

JULIUSZ VERNE

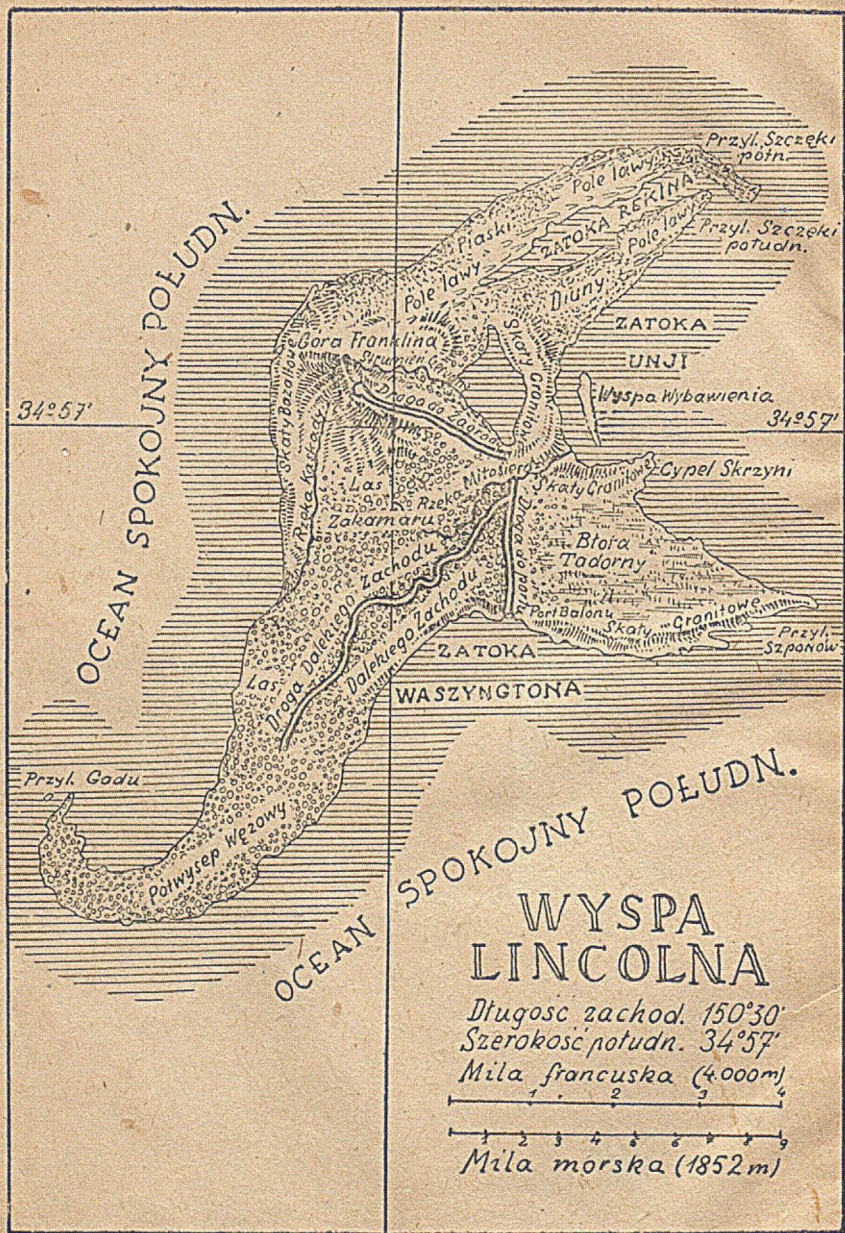
WYSPA TAJEMNICZA

Z 19 ILUSTRACJAMI

WYDANIE SZÓSTE

WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. KUBICKIEGO



OCEAN SPOKOJNY POŁUDN.

34°57'

34°57'

Przyl. Godu

WASZYNGTONA

OCEAN SPOKOJNY POŁUDN.

WYSPA LINCOLNA

Długość zachod. 150°30'
 Szerokość połudn. 34°57'
 Mila francuska (4000m)



Mila morska (1852m)

WYSPA TAJEMNICZA



821.162.1-93



~~20678~~



SN 13503

M-08166

ROZDZIAŁ I.

Huragan w r. 1865. — Krzyk w powietrzu. — Balon uniesiony trąbą. — Naokoło tylko morze. — Pięciu podróżnych. — Co się dzieje w łódce. — Wybrzeże jakieś ukazuje się w oddali. — Rozwiązanie dramatu.

- Czy wznosimy się wyżej?
- Przeciwnie, balon się obniża.
- Nie tylko obniża, lecz grozi upadkiem, panie Cyrusie.
- Wyrzućcie jak najprędzej balast.
- Wypróżniliśmy już ostatni worek.
- I czy balon wznosił się wyżej?
- Nie.

— Słyszę jakby pluskanie fali.

— Balon unosi się nad morzem.

— Które nie więcej jak pięćset stóp odległe jest od nas.

Silny głos rozległ się w powietrzu i usłyszano te słowa:

— Wyrzuć wszystko, co tylko ma jakąkolwiek wagę!...
wszystko bez wyjątku, i... niech się dzieje wola Boża!

Rozkaz ten zabrzmiał w powietrzu ponad niezmiernym obszarem spienionych fal Oceanu Spokojnego dnia 23 marca 1865 roku, około czwartej godziny wieczorem.

W owym roku, około porównania dnia z nocą, zerwał się straszny huragan, trwający bez przerwy od 18 do 26 marca. Pamiętne są okropne spustoszenia, jakich dokonał on wtedy w Ameryce, Azji i Europie. Miasta całe obrócone w perzynę, poniszczone lasy, których drzewa powyrywał z korzeniami, ogromne przestrzenie zalane wodą, okręty rozbite, których przeszło sto naliczono, rzucone na wybrzeża, tysiące osób zabitych na miejscu lub porwanych przez trąbę i rzuconych w morze — oto jakie były skutki przejścia rozszalałego huraganu. Przewyższył srogością straszne trąby i huragany, które tak niezmiernie spustoszyły Hawannę i Gwadelupę, pierwszą dnia 25 października 1810 r., drugą 26 lipca 1825 r.

Otóż, jednocześnie z tak przerażającymi katastrofami na lądzie i na morzu, równie okropny dramat rozgrywał się w powietrzu, wstrząsanym straszną burzą.

Balon, uniesiony jak kula na sam wierzchołek trąby i pochwycony kołowym wirem słupa powietrza, leciał w przestrzeni z prędkością 166 kilometrów na godzinę, unoszony jakby nadprzyrodzoną siłą. Pod tym balonem zawieszona była łódka, zawierająca pięciu podróżnych, których zaledwie można było dostrzec z powodu gęstej mgły, opuszczającej się aż do powierzchni oceanu.

Z jakichże stron świata przybywał ten balon, będący teraz igrzyskiem tak strasznej burzy? Boć przecie nie podobna, aby go puszczono podczas rozszalałego huraganu. Huragan ten trwał już od pięciu dni, a pierwsze jego objawy już od dnia 18 marca poczęły się pokazywać. Trzeba więc było wnosić, że przybywał ze stron bardzo odległych, gdyż musiał przynajmniej po dwa tysiące kilometrów przebywać w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Sami podróżni nie wiedzieli, jak daleką przebyli drogę, gdyż pozbawieni byli wszelkiego sposobu jej oznaczenia. Co więcej, porwani burzą, nie czuli przecież jej gwałtowności; obracali się w koło, nie wiedząc o tym; oczy ich nie mogły przebić gęstej mgły, otaczającej łódkę i tak zasłaniającej wszystko dokoła, iż nie wiedzieli nawet, czy jest dzień, czy noc zapadła. Ani promyk światła, ani jakikolwiek odgłos z ziem zamieszkałych, ani nawet ryk oceanu nie mógł dosięgnąć do nich podczas gdy w tak wysokich unosili się sferach, i dopiero, gdy balon nagle opadać zaczął, mogli poznać grożące im niebezpieczeństwo, dostrzegając, że znajdują się ponad falami morskimi.

Uwolniony z ciężkich przedmiotów, to jest broni, nabożów i innych zapasów, balon wzniósł się w wyższe sfery powietrza, na wysokość 4500 stóp. Podróżni, widząc, że pod łódką pienia się morskie bałwany, zrozumieli, że w górze mniejsze grozi im niebezpieczeństwo, i bez wahania pozbywali się najpotrzebniejszych przedmiotów, byle ocalić łódkę, będącą dla nich arką zbawienia.

Noc przebyli wśród strasznego niepokoju, który mógłby stać się zabójczym dla mniej odważnych i wytrwałych; nade dniem huragan zaczął nieco słabnąć, nareszcie ustał zupełnie. Około jedenastej niższe warstwy powietrza znacznie się oczyściły; mgła podniosła się w górę, lecz jednocześnie można było poznać, że balon zwolna opuszczał się ku dołowi, że skutkiem ubytku gazu tracił kształt kulisty a, rozciągając się wzdłuż, przybierał jajowaty. Około południa wznosił się już

tylko o 2000 stóp ponad morzem. W tej chwili podróżni zaczęli wyrzucać zapasy żywności i nawet drobne przedmioty, jakie mieli w kieszeniach: widocznie coraz więcej brakowało gazu; niebezpieczeństwo zwiększało się z każdą chwilą.

A u stóp ich szalało rozhukane morze. Jak wzrokiem zasięgnąć, nigdzie miejsca, gdzieby się spuścić można, chociaż z takiej wysokości nadzwyczaj rozległy roztaczał się widok. Trzeba więc było nie dopuścić do opadania balonu; lecz wszelkie usiłowania biednych powietrznych żeglarzy stawały się daremne, balon spadał nadzwyczaj szybko w kierunku wiatru, to jest z północnego-wschodu na południowy-zachód.

Straszne było położenie podróżników! Gaz uchodził raptownie, balon rozdarł się nieco i opadał, a o godzinie pierwszej łódka była co najwyżej o 600 stóp nad powierzchnią morza. Można było cokolwiek opóźnić straszną katastrofę, ale nie podobna było jej uniknąć i, jeżeli przed nadejściem nocy nie dojrzą gdzie ziemi, zguba ich jest nieuchronną.

Ale podróżni, znajdujący się w łódce balonowej, byli to ludzie energiczni, nie lękający się śmierci; ani jedna skarga z ust ich nie wyszła, postanowili jednak ratować się do ostatka. Łódka, był to prosty kosz, upleciony z łożyny, nie mogłaby więc w żaden sposób utrzymać się na powierzchni wody; gdy już obniżyła się o 400 zaledwie stóp nad morzem, dał się słyszeć silny głos męski:

— Czy już wszystko wyrzucone?

— Nie, pozostało jeszcze 10.000 fr. w złocie.

— Wrzucić je w morze.

I ciężki worek spadł w otchłanie wód oceanu.

— Czy teraz balon idzie w górę?

— Cokolwiek, ale niebawem opadnie.

— Uchwycmy się siatki, a łódkę rzucić w morze.

Rozkaz spełniono, był to ostatni środek ratunku. Teraz już tylko w miłosierdziu Bożym mogli pokładać nadzieję.

Wiadomo, że najmniejsze ulżenie ciężaru wywołuje zmianę w położeniu balonu, a więc po usunięciu ciężaru względnie dość ciężkiego musiała zajść zmiana nagle i ważna. Chwilowo balon wzbił się dość wysoko, lecz, że nie podobna było naprawić rozdarcia, nagle zaczął opadać. Wtem dało się słyszeć głośne szczekanie Topa. Był to ulubiony pies jednego z podróżujących statkiem powietrznym, który uczeplił się sieci, tuż obok swego pana.

— Top coś zobaczył! — zawołał jeden z podróżników.

Wtem zagrzmiął głos silny:

— Ziemia! ziemia!

Wicher nieustannie popychał balon na południowy-wschód; tym sposobem od świtu przebyto setki mil. Wreszcie ukazał się w tym kierunku ląd dość wyniosły, odległy jednak jeszcze o blisko trzydzieści mil. A czy przed upływem tego czasu balon nie postrada reszty gazu? Oto pytanie, jakie z przerażeniem stawiali sobie towarzysze niedoli.

Widzieli z oddali grunt, do którego koniecznie dostać się było trzeba; nie wiedzieli jednak, czy to ląd, czy wyspa, czy ziemia zamieszkała, czy bezludna — ale nie było wyboru.

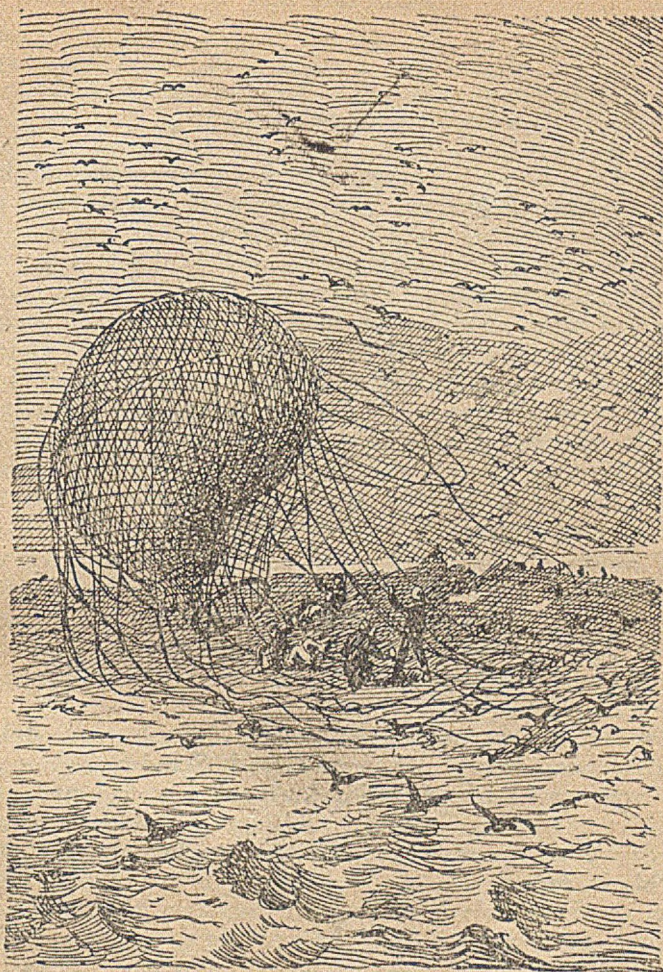
Nie mogąc się utrzymać, balon dotykał już prawie powierzchni morza, unosząc się ciężko jak ptak, któremu ołów przyczepiono do skrzydeł. Nareszcie, gdy już ziemia, była odległa zaledwie o milę, balon spłaszczony niemal zupełnie, zaledwie w samej górze zachował nieco gazu. Przyczepieni do siatki podróżni zbyt wielki dla niego stanowili ciężar i już dotykali powierzchni morza, i czuli uderzenie spienionych bałwanów; wtem wiatr dostał się do wnętrza balonu i, pędząc go, jakby okręt płynący z wiatrem, popchnął ku wybrzeżu, które już teraz było odległe zaledwie o paręset sążni.

Nagle straszny krzyk wydarł się z piersi czterech aeronautów, i balon, który, jak się zdawało, nie mógł się już unieść, podskoczył do góry, jakby wyrzucony siłą bałwanów i oswobodzony od znacznej części swego ciężaru. Podniósł się znów na 1500 stóp w przeciwnym od ziemi kierunku; lecz na tej wysokości wiatr popchnął go ukośnie, i balon raptownie wstrząśnięty, opadł nareszcie na wybrzeże, gdzie nie dosięgały go rozhukane fale.

Pomagając sobie wzajem, podróżni zdołali nareszcie wypłatać się z siatki. Oswobodzony od wszelkiego ciężaru, balon poleciał, uniesiony wiatrem, i znikł w przestrzeni.

W łódce znajdowało się pięciu podróżnych i pies, a czterej tylko spadli na wybrzeże; widać brakujący wraz z wiernym psem swoim został uniesiony przez wzburzone fale, które, uderzając gwałtownie w siatkę, oderwały go od niej, a uwolniony od znacznej części ciężaru balon wzniósł się po raz ostatni i w chwilę potem spadł na nieznanne brzegi.

Zaledwie stanąwszy na lądzie, rozbitkowie spostrzegli nieobecność współtowarzysza i wykrzyknęli jednocześnie:



*Pomagając sobie wzajemnie, podróżni zdołali nareszcie
wypłatać się z siatki (str. 8).*

— Pewnie próbuje ocalić się i wplaw przepłynąć morze.
Ratujmy go! ratujmy! — i rzucili się na pomoc nieszczęśli-
wemu.

ROZDZIAŁ II.

Ustęp z ostatniej wojny amerykańskiej. — Inżynier Cyrus Smith. — Gedeon Spilett. — Murzyn Nab. — Marynarz Penkroff. — Młody Harbert. — Nadspodziewana propozycja. — Schadzka o dziesiątej wieczór. — Wzniesienie się podczas burzy.

Podróźni, których huragan rzucił na wybrzeże, nie byli to ani żeglarze powietrzni z powołania, ani zwolennicy powietrznych wycieczek, lecz więźniowie wojenni, którzy, niezachwianą ożywieni odwagą, postanowili i zdołali uciec tym niezwykłym sposobem. Ze sto razy śmierć im zagrażała, a rozdarty balon powinien był spaść z nimi w morskie otchłanie, ale widać Bóg niezwykły los im przeznaczył. Uciekli z Richmondu dnia 20 marca pomimo, że miasto to obleżone było przez wojska generała Ulissesa Granta, i po pięciodniowej powietrznej żegludze znajdowali się o 7000 mil od tej stolicy Wirginii, głównej warowni separatystów. Oto w jakich okolicznościach więźniowie dokonali zamierzonej ucieczki, której smutny koniec widzieliśmy w przeszłym rozdziale.

W miesiącu lutym 1865 r., w jednej z tych śmiałych wycieczek, jakie tylekroć bezużytecznie przedsiębrał generał Grant w celu zdobycia Richmondu, wielu z jego oficerów dostało się do niewoli; zostali oni internowani w mieście. Najznakomitszym z nich był Cyrus Smith, oficer głównego sztabu federalistów.

Cyrus Smith urodził się w Stanie Massachussets. Był to bardzo uczony inżynier, któremu rząd Stanów Zjednoczonych powierzył podczas wojny kierunek i zarząd nad kolejami żelaznymi, odgrywającymi tak ważną rolę strategiczną. Prawdziwy to Amerykanin północny, suchy, chudy, blade; miał około czterdziestu pięciu lat, krótko ostrzyżone włosy; broda jego zaczynała już siwieć, i tylko wasy były gęste i zamaszyste. Rysy twarzy miał bardzo regularne, warte dłuta artysty; oczy pełne ognia i wyrazu, czoło wysokie i otwarte—słowem, cała postać zdradzała uczonego wojskowego. Jak generałowie, dosługujący się od stopnia prostego żołnierza, tak uczony ten inżynier pracował jako prosty robotnik. Toteż wyrobił w sobie wielką siłę, wprawę i zręczność, które, obok wytrwałości, nie zrażającej się żadnymi przeszkodami wielkiej nauki i twórczości umysłu, czyniły zeń prawdziwie niepospolitego człowieka. Jego wytrwałość, czynność i żelazna wola dozwalały mu wziąć sobie za godło dewizę Wilhelma,

księcia Oranii: „Gdy coś przedsięwzięję, nie potrzebuję spodziewać się powodzenia, lecz potrafię wytrwać, choćby mi się nie wiodło“.

Obok tyłu przymiotów, Cyrus Smith odznaczał się jeszcze niezachwianą odwagą i brał udział we wszystkich niemal potyczkach wojny separatystycznej. Wielokrotnie cudem prawie uniknął śmierci i, choć narażał się więcej od innych, nie poniósł nawet rany, aż dopiero pod murami Richmondu, gdzie dostał się do niewoli.

Jednocześnie z Cyrusem Smithem dostała się w moc południowców druga bardzo ważna osobistość, szanowny Gedeon Spilett, reporter gazety „New York Herald“, wysłany przez redaktora do armii północnej dla donoszenia o wszystkim, co się działo w obozie i na polu bitwy.

Gedeon Spilett należał do rzędu tych godnych podziwu dziennikarzy angielskich i amerykańskich, którzy, jak Stanley i tyłu innych, nie cofną się przed niczym, byle zdobyć dla swoich gazet dokładne i szczegółowe wiadomości i to jak można najwcześniej. Gazety Stanów Zjednoczonych, takie jak np. „New York Herald“, są to prawdziwe potęgi, z których przedstawicielami liczyć się trzeba, a Gedeon Spilett zajmował wśród nich najpierwsze miejsce.

Objechał cały świat, wiele się nauczył, był żołnierzem i artystą; gorący na radzie, stanowczy w działaniu, nie liczył się z trudami, ani z niebezpieczeństwem, ilekroć chodziło o nauczenie się czegoś lub zasięgnięcie pewnych wiadomości dla swojej gazety. Był jednym z tych korespondentów, którzy układają sprawozdania wśród gradu kul i grzmotu dział. Był obecny przy wszystkich potyczkach; wysunięty naprzód, w jednej ręce trzymał rewolwer a w drugiej notesik, i nie zdrząły mu one wśród największego ognia. Nie trudził co chwila drutów telegraficznych nic nie znaczącymi wiadomościami, pisał krótko i zwięźle, ale co tylko doniósł, było ważne i niezaprzeczenie prawdziwe.

Był wysokiego wzrostu, miał około czterdziestu lat i nosił duże, rudawe faworyty. Oko żywe i spokojne zarazem, bystre rzucało spojrzenia; widać było, że nawykł jednym rzutem chwycić wszelkie najdrobniejsze nawet szczegóły. Zdrow i silnie zbudowany, zahartował się w różnych klimatach, jak kawał stali w zimnej wodzie.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett przed dostaniem się do niewoli znali się tylko ze słyszenia; zbliżeni jednaką niedolą,

poznawszy się, pokochali się bardzo i jedną tylko żyli myślą, do jednego zmierzali celu — uciec z Richmondu i, wróciwszy do armii Granta, znów walczyć o nierozdzielność Unii. Postanowili sobie zatem nie pomijać żadnej przyjaznej sposobności. Ale choć w mieście byli zupełnie swobodni, Richmond jednak był tak ściśle strzeżony, że ucieczka była prawie niemożliwa.

Gdy tak rozmyślali, przybył do Richmondu wierny i pełen nieograniczonego poświęcenia służący Cyrusa Smitha. Był to murzyn, urodzony w posiadłości inżyniera, z rodziców niewolników, którego Cyrus Smith wyzwolił od dawna, choć wyzwolony, murzyn nie chciał opuścić pana, którego kochał nad życie. Był to człowiek trzydziestoletni, silny, zręczny, rzutny, pojętny, rozumny, łagodny, spokojny, niekiedy nawet naiwny, dobry, usłużny i zawsze uśmiechnięty. Nazywał się Nabuchodonozor, ale przez skrócenie wołano go: Nab.

Dowiedziawszy się, że ukochany pan jego dostał się do niewoli, niezwłocznie opuścił rodzinne strony, udał się do Richmondu i, dzięki odwadze, zręczności i przebiegłości, narreszcie z narażeniem życia dostał się do oblężonego miasta. Nie podobna wyrazić słowami radości Cyrusa Smitha i poczciwego Naba, gdy się znów połączyli.

Jednakże łatwiej było dostać się do Richmondu, niżli wyjść z niego, gdyż więźniowie federalni nader surowo byli strzeżeni — tylko jakaś nadzwyczajna okoliczność mogła ucieczkę uczynić możliwą, a taka nie nastęrczała się wcale, i nie można jej było wymyśleć.

Oblężenie nie ustawało, nie tylko więźniowie gorąco pragnęli uciec i wrócić do armii Granta, niektórzy z oblężonych również gorąco życzyli sobie wydostać się z miasta i połączyć się z wojskami separatystów. Do takich należał Jonatan Forster, zapalony separatysta. Ale ani więźniowie, ani federaliści nie mogli przedrzeć się przez szeregi wojsk nieprzyjacielskich. Gubernator Richmondu już od dawna nie mógł się porozumiewać z generałem Lee, zawiadomić go o smutnym położeniu miasta i zawezwać posiłków. Wtedy to Jonatan Forster postanowił puścić się balonem i tym sposobem dostać się do obozu separatystów. Gubernator dał mu żądane upoważnienie. Przygotowano balon i oddano go do rozporządzenia Jonatana Forstera, który zamierzał wziąć z sobą pięciu towarzyszy na tę powietrzną wędrówkę. Mieli zabrać z sobą broń

dla obrony w razie napadu ze strony federalistów po opuszczeniu się balonu i zapas żywności na wypadek, gdyby podróż ich powietrzna miała się przedłużyć.

Wzniesienie się balonu oznaczono na 18 marca w nocy, a Forster i jego towarzysze obiecywali sobie, że za kilka godzin przybędą do głównej kwatery generała Lee. Ale już 18 marca rano zerwał się wichur gwałtowny, który niebawem zamienił się w huragan i ten srożył się aż do 20 marca rano z taką siłą, że nie podobna było myśleć o wznesieniu się i narażeniu balonu i śmiałych aeronautów.

Tegoż dnia na jednej z ulic Richmondu jakiś nieznamy przystąpił do inżyniera Cyrusa Smitha; był to marynarz, nazwiskiem Penkroff, mający trzydzieści kilka lat, cerę nadzwyczaj ogorzłą, pocziwą fizjognomię i oczy żywe, którymi mrugał nieustannie. Marynarz ten był rodem z Ameryki Północnej, żeglował już po wszystkich morzach i doznał wszelkich najdziwniejszych przygód, jakie tylko człowieka spotkać mogą. Nadzwyczaj przedsiębiorczy, gotów odważyć się na wszystko, niczego się nie lękał i niczemu się nie dziwił.

Penkroff na początku roku przybył do Richmondu w interesie, w towarzystwie piętnastoletniego chłopca, Harberta Browna z New Jersey; był to sierota, syn dawnego jego kapitana, marynarz kochał go jak własnego syna. Oblężenie zastało ich w Richmondzie, i Penkroff nie posiadał się ze złości, że nie może opuścić miasta. Odtąd jedną tylko żył myślą: uciec przy pierwszej sposobności. Znał z opinii inżyniera Cyrusa Smitha i wiedział, że znakomity ten mąż pragnie wszelkimi sposobami wydostać się z niewoli; dlatego też bez ceremonii zaczął go na ulicy:

— Panie Smith, wszak Richmond już się panu sprzykrzył?

Inżynier spojrzał badawczo na pytającego, który dodał, zniżając głos:

— Panie Smith, czy chce pan stąd uciec?

— Jak i kiedy — odrzekł żywo zapytany, zupełnie mimowolnie, gdyż nie miał jeszcze czasu przypatrzeć się nieznanemu. Teraz wlepił w niego oczy i po chwili, rozpatrzywszy się w jego twarzy, nie wątpił już, że ma do czynienia z pocziwym człowiekiem.

— Kto jesteś? — zapytał.

Penkroff oznajmił swoje nazwisko i stan.

— Dobrze, — odrzekł Cyrus — lecz jakimże sposobem zamierzasz uciec i mnie zabrać z sobą.

— Z pomocą tego próżniaka, balonu, który leży tu bezczynnie, jakby czekał na nas...

Nie potrzebował mówić więcej; inżynier zrozumiał go od razu, wziął Penkroffa pod rękę i zaprowadził do siebie. Tam marynarz wypowiedział swój projekt, bardzo prosty według niego, gdyż nie narażali nic — prócz życia. Wprawdzie huragan szalał z całą gwałtownością, ale tak śmiały i rozumny inżynier, jak Cyrus Smith, potrafił przecież obejść się z balonem; gdyby on, Penkroff, wiedział tylko, jak z nim się obchodzić, jużby go wraz z Harbertem nie było w Richmondzie. Nie takie on przeżył niebezpieczeństwa, a burza wcale go nie przestraszała.

Cyrus Smith słuchał, milcząc; oczy jego jednak pałały. Nadarzała się sposobność, a taki człowiek, jak on, pewnie jej nie opuści. Wprawdzie był to sposób nader niebezpieczny — lecz to nie mogło go odstraszyć. Pomimo nadzoru można było wśród nocy zbliżyć się do balonu, wskoczyć w łódkę i odciąć przytrzymujące go sznury. Wiedzieli, że narażają się na utratę życia, lecz za to, jeśli się powiedzie — i gdyby nie ta szalona burza... Ba! gdyby nie ta burza, balon już dawno byłby uleciał, i teraz by się wznieść nim nie mogli...

— Lecz ja nie sam tylko jestem — rzekł Cyrus Smith.

— A ileż osób chce pan zabrać? — zapytał marynarz.

— Dwie: przyjaciela mego, Spiletta, i służącego mego, Naba.

— To więc razem ze mną i z Harbertem będzie pięć osób — odrzekł Penkroff — a balon przygotowany był dla sześciu.

— Więc zgoda, puszczamy się! — zawołał inżynier.

I niezwłocznie zawiadomił reportera Spiletta o zamierzonej ucieczce; ten zgodził się od razu i dziwił się tylko, że mu to przedczajnie przyszło do głowy. Co do Naba, ten byłby w piekło poszedł za panem.

— A więc do widzenia o dziesiątej wieczór — rzekł Penkroff — zejdziemy się tam wszyscy niby przypadkiem.

— Do widzenia — odpowiedział inżynier — daj tylko Boże, aby burza nie ustała, zanim się wznesiemy.

Pożegnali się i Penkroff wrócił do domu, gdzie go oczekiwał Harbert Brown. Odważny ten młodzieniec wiedział, jaki plan ułożył sobie marynarz, i oczekiwał niecierpliwie,

co na to powie inżynier; ucieszył się więc niewymownie, dowiadując się o zawartej umowie.

Huragan nie ustawał, toteż Jonatan Forster i jego towarzysze ani myśleli puszcząć się w tak wątlej łódce. Inżynier i marynarz ciągle kręcili się w pobliżu balonu, zdjęci obawą, aby go wiatr silny nie podarł, lub, zrywając sznury, nie porwał w powietrze.

Nadszedł nareszcie wieczór, a za nim noc czarna. Gęste mgły, niby chmury, dotykały prawie ziemi; zimno było dokuczliwe, padał deszcz ze śniegiem. Zdawało się, że gwałtowna burza zmusiła oblegających i obłązonych do zawarcia rozejmu, i grzmot działał ucichł wobec przerażającego huku huraganu. Ulice były zupełnie puste, a władze miasta uważały, że wśród tak rozszalanej burzy nie ma zupełnie potrzeby strzec placu, na którym przytwierdzony był balon. Tak więc wszystko sprzyjało ucieczce więźniów, lecz jak dokonać jej wśród tak gwałtownej burzy!?

W umówionym czasie zeszli się więźniowie. Obok łódki tak było ciemno, że nie mogli się dostrzec. Niebawem Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab, Harbert zajęli miejsca w łódce, a Penkroff, zgodnie z rozkazem inżyniera, odwiązywał z kolei worki balastu, poczem wszedł także do łódki. Już mieli oderżnąć sznury i unieść się w górę, gdy wtem pies jakiś jednym susem wskoczył do łódki. Był to Top, wierny pies inżyniera, który, urwawszy się z łańcucha, pobiegł za panem. Cyrus Smith, bojąc się nadmiaru ciężaru, chciał oddalić biedne zwierzę.

— Ba! jeden mniej, jeden więcej! — zawołał Penkroff, wyrzucając z łódki dwa worki piasku.

Poczem zaraz puścił sznury: balon wzniósł się i, znikając w przestrzeni, uderzył łódką o dwa kominy, które rozwalił.

Huragan srożył się ciągle; w nocy ani podobna było spuścić się na ziemię, a gdy dzień nastął, gęsta mgła zasłaniała wszystko tak, że nie wiedzieli, czy grunt stały, czy woda roztacza się pod ich stopami. Dopiero w pięć dni później rozjaśniło się nareszcie o tyle, iż mogli dojrzeć, że pod balonem, unoszonym przez gwałtowny wichur niesłychanie prędko, płynie niezmierzone morze,

Pięciu ludzi i pies wznieśli się balonem dnia 20 marca, a widzieliśmy, że 24 marca czterech tylko rzuconych zostało na bezludne wybrzeże, przeszło o 6000 mil od ich kraju.

Tym sposobem nieszczęśliwi rozbitkowie utracili naturalnego przywódcę, inżyniera Cyrusa Smitha i, jak to powiedzieliśmy w pierwszym rozdziale, bez namysłu wszyscy rzucili się na jego ratunek.

Dnia 5 kwietnia generał Grant zajął Richmond, bunt separatystów uśmierzone. Lee cofnął się na zachód, sprawa jedności odniosła triumf.

ROZDZIAŁ III.

Piąta godzina wieczór. — Ten, którego brakuje. — Rozpacz Naba. — Poszukiwania na północ. — Wysepka. — Noc niespokojna. — Mgła poranna. — Nab rzuca się w pław w morze. — Widok ziemi. — Przepłynięcie kanału.

Siatka rozerwała się, i pęd morski porwał inżyniera; pies jego znikł także. Wierne zwierzę rzuciło się na pomoc panu.

— Naprzód! — zawołał reporter.

I wszyscy czterej, zapominając o własnym utrudzeniu i wyczerpaniu sił, rozpoczęli poszukiwania. Biedny Nab płakał i rozpaczał na samą myśl, że może utracił wszystko, co kochał. Może we dwie minuty po spadnięciu na ziemię i zniknięciu Smitha towarzysze rozpoczęli poszukiwania, mogli więc mieć nadzieję, że ratunek nie będzie spóźniony.

— Szukajmy! szukajmy! — krzyczał rozpaczliwie Nab.

— Tak, poczciwy Nabie, będziemy szukali i znajdziemy.

— Żywego?

— Żywego!

— Czy umie pływać? — zapytał Penkroff.

— Umie — odrzekł Nab — a zresztą Top jest przy nim!...

Marynarz popatrzył na rozhukane bałwany i potrząsnął głową.

Inżynier znikł na północ od wybrzeża, prawie o pół mili od miejsca, w którym rozbitkowie spadli na ziemię, jeśli więc zdołał wypłynąć na wybrzeże, to pewnie nie dalej jak o jakie pół mili.

Było około godziny szóstej, mgła się podniosła i bardzo zaciemniła horyzont. Rozbitkowie posuwali się w kierunku północnym, stąpając po tej nieznannej sobie ziemi, na którą los

ich rzucił, a której położenia geograficznego wcale nie znali. Grunt był piaszczysty, pomieszany z kamieniami, o ile się zdawało pozbawiony wszelkiej roślinności, a przy tym nader nierówny, pełen rozpadlin, co bardzo utrudniało pochód. Z nor i rozpadlin wylatywały co chwila ptaki o ciężkim locie, uciekając w różnych kierunkach. Inne, szybsze, zrywały się stadami, rozlatując się jak chmury. Marynarzowi zdawało się, że są to mewy i mewki, których świst jakby przedrzeźniał szum morskich bałwanów; ale ciemność nie dozwalała mu przyjrzeć się dobrze.

Od czasu do czasu rozbitkowie zatrzymywali się, wydawali głośny okrzyk i słuchali, czy głos jaki nie odezwie się od strony oceanu, sądzili bowiem, że gdyby znajdowali się w pobliżu miejsca, w którym inżynier zdołałby dostać się na grunt, wtedy, choćby on nawet nie był w stanie dać znaku życia, szczekanie Topa dałoby im poznać, gdzie się znajdują. Lecz żaden odgłos nie wyróżniał się wśród szumu fal i ryku bałwanów; szli więc znów naprzód, przeszukując najmniejsze zakręty wybrzeża.

Tak szli dwadzieścia minut, gdy nagle przeciął im drogę przesmyk, na którym piętrzyły się bałwany; brakło im stałego gruntu, fale morskie szalały tuż przed nimi.

— To przyładek — rzekł marynarz — zawróćmy się i idźmy na prawo, a dojdziemy do łądu.

— A jeśli pan mój tu właśnie się znajduje? — zawołał Nab.

— Więc wołajmy!

I wszyscy razem zaczęli wołać, krzyczeć, jak mogli najgłośniej; daremnie, tylko huk morskich fal rozlegał się w przestrzeni. Po chwili kilka razy jeszcze powtórzyli wołanie, ale również bezskutecznie.

Zawrócili w przeciwną stronę przyłodka; i tu grunt był piaszczysty i kamienisty, tylko nieznacznie wznosił się w górę. Nic napotykali tak licznych stad ptaków, i nawet szum morski zaledwie dawał słyszeć się. Widać z tej strony przyłodek tworzył małą przystań półkolistą, którą wysoki, ostry wierzchołek osłaniał nieco od bałwanów. Lecz, idąc w tym kierunku, szli ku południowi, to jest w stronę przeciwną tej, w której mógłby znajdować się Cyrus Smith. Szli dalej, mimo ogromnego znużenia, spodziewając się, że nareszcie uda im się gdzieś zawrócić ku północy. Uszedłszy

tak milę drogi, spostrzegli z rozpaczą, że znów morze zagradza im drogę. Stanęli właśnie na wzgórzu dość wysokim, utworzonym ze śliskich skał.

Jest to mała wysepka — zawołał Penkroff — i obezliśmy ją dokoła.

I miał słuszność, biedni rozbitkowie znaleźli się nie na lądzie stałym, lecz na małej wysepce, zaledwie dwie mile długiej i zapewne dość wąskiej. Z powodu ciemności nie mogli rozejrzeć się w miejscowości, trzeba więc było odłożyć do następnego dnia poszukiwanie inżyniera, który żadnym głosem nie zdradzał swej obecności.

— Milczenie Cyrusa niczego nie dowodzi — rzekł reporter — może zemdlął lub raniony i chwilowo bezprzytomny, ale nie rozpaczajmy jeszcze.

Przyszła mu myśl zapalić wielki ogień, aby służył za znak inżynierowi, ale daremnie szukali drzewa lub gałęzi — na wysepce nie było nic, prócz kamieni i piasku. Łatwo wyobrazić sobie rozpacz Naba i boleść współtowarzyszów, którzy szczerze przywiązali się do śmiałego i energicznego inżyniera; ale mimo najlepszych chęci z powodu ciemności obecnie nie dla ratowania go nie mogli przedsięwziąć. Musieli czekać jutra, a do tego czasu Cyrus Smith sam zdoła się uratować lub... zginie.

Straszne i ciężkie były do przebycia te długie godziny oczekiwania. Zimno dokuczalo rozbitkom, ale nie czuli tego prawie; zapominając o sobie, myśleli tylko o ukochanym towarzyszu; nie chcieli tracić nadziei, przebiegali na wszystkie strony stromą, jałową wysepkę, powracając zawsze na jej kraniec północny, gdzie, jak mniemali, znajdowali się najbliżej miejsca smutnej katastrofy. Wołali, przysłuchiwali się, czy nie usłyszą wołania o ratunek, a krzyki ich musiały rozlegać się daleko, gdyż uspokoiło się, i nawet szum fal morskich zaledwie dawał słyszeć się.

Raz nawet zdawało im się, że na krzyk Naba jakieś odpowiedziało echo.

— To dowodzi, że na zachód musi gdzieś niedaleko znajdować się wybrzeże — odezwał się Penkroff.

Lecz słabe to echo było jedyną na wołanie ich odpowiedzią; poczem w koło głucho zaległo milczenie. Nareszcie noc minęła. Około piątej z rana mgła nie dozwalała jeszcze widzieć przed sobą dalej niż na dwadzieścia kroków. Nab i re-

porter wytężali wzrok na ocean, a marynarz i Harbert zwracali oczy ku wschodowi, chcąc dojrzeć tam wybrzeże.

— Nie można nic dojrzeć — rzekł marynarz — ale mniejsza o to, choć nie widzę, czuję, że tam jest ziemia, i jestem tego równie pewny, jak tego, żeśmy uciekli z Richmondu.

Nareszcie około wpół do siódmej, w trzy kwadransy po wschodzie słońca, mgła zaczęła stawać się coraz przezroczystszą, zgęszczała się w górze a opadała dołem, i wkrótce cała wysepka ukazała się, jakby zstąpiła z obłoków; z kolei powoli ukazało się wyraźnie morze, okiem niezmierzone ku wschodowi, lecz od zachodu otoczone wyniosłym, jałowym wybrzeżem.

Tam, tam jest ziemia, tam przynajmniej czasowe zbawienie. Między ich wysepką a tym wybrzeżem znajdował się kanał pół mili szeroki, w którym toczył się prąd nadzwyczaj bystry. Mimo to jeden z rozbitków, idąc jedynie za popędem serca, nie pytając o radę, nie uprzedziwszy nawet towarzyszy, odważnie rzucił się w kanał. Był to Nab, który pragnął przepłynąć ku północnej stronie wybrzeża. Daremnie Penkroff wołał, aby się zatrzymał, murzyn nie odpowiedział nawet; reporter chciał się rzucić za nim, Penkroff go powstrzymał, pytając:

— Czy chcesz przepłynąć kanał?

— Tak jest — odrzekł Gedeon Spilett.

— Zatrzymaj się więc. Rzucając się wpław do kanału, w którym prąd jest tak bystry, wszyscy możemy potonąć. O ile mi się zdaje, zbliża się odpływ morza, poczekajcie trochę, a wtedy łatwo będzie przepłynąć.

— Masz słuszość — odparł reporter — dość już, że poczciwy Nab nas opuścił. O ile można, nie rozłączajmy się.

Nab walczył dzielnie z bystrym prądem kanału, który często odrzucał go w przeciwną stronę, mimo to dzięki wytrwałym usiłowaniom powoli zbliżał się do wybrzeża. Uplynieło przeszło pół godziny, nim zdołał przepłynąć półmilionową przestrzeń, dzielącą wysepkę od przeciwległej ziemi; nareszcie dostał się na wybrzeże i znikł poza wysoką skałą. Towarzysze z niewypowiedzianym niepokojem śledzili rozpaczliwe jego usiłowania, a gdy już znikł im z oczu, wlepili wzrok w tę ziemię, na której mieli szukać przytułku. Posilili się

małżami, rozrzuconymi na piasku; nieszczęśliwe było to śniadanie, ale lepsze to, niż nic.

Przeciwległe wybrzeże tworzyło rozległą, ostro zakończoną zatokę, przedstawiającą się dziko i od strony południowej zupełnie pozbawioną roślinności. Jednym końcem dotykała wysokich skał granitowych. Ku północy tworzyła zaokrąglone wybrzeże; od strony, gdzie grunt wznosił się wyżej, żadnego nie było drzewa, ale na prawo, z przeciwnej strony, nie brakło zieleni. Z wysepki widać było ogromne masy wielkich drzew, których końca dojrzeć nie było można. Piękna zieloność mile nęciła oko, zasmucone nagromadzeniem skał granitowych. Na drugim planie, poza wysoką płaszczyzną, w kierunku północno-wschodnim, błyszczał wierzchołek biały, na który padały jasne promienie słoneczne. Był to jakby kapelusz śnieżny, włożony na szczyt oddalonej, wysokiej góry.

Nie podobna było rozeznaczyć, czy ziemia ta stanowiła wyspę, czy też należała do stałego lądu, lecz na sam widok tych skał, piętrzących się na lewo, geolog poznałby ich pochodzenie wulkaniczne. Gedeon Spilett, Penkroff i Harbert nie spuszczała oka z tej ziemi, na której może wypadnie im długie przeżyć lata, a może i umierać, jeśli okręty nie przepływają w tej okolicy.

— Cóż myślisz o tym wszystkim, Penkroffie? — spytał Harbert.

— Ha! zobaczymy. Jak we wszystkim, tak i tu jest pewnie i złe, i dobre. Ale cóż czuję, że zbliża się odpływ morza; za trzy godziny spróbujemy przejść kanał, a raz dostawszy się na drugą stronę, postaramy się jakoś poradzić sobie i odszukamy pana Smitha.

Penkroff miał słuszość; podczas odpływu morza odkryło się prawie zupełnie piaszczyste dno kanału, a choć miejscami pozostała woda, można było przejść z wysepki na wybrzeże bez niebezpieczeństwa, gdyż największa głębokość nie przechodziła czterech stóp. Toteż Gedeon Spilett i towarzysze jego rozebrali się, zwiążali rzeczy w węzełek i, trzymając je ponad głową, dostali się na nieznanne wybrzeże, gdzie przede wszystkim radzić zaczęli, co czynić dalej.

ROZDZIAŁ IV.

Litodomy. — Rzeka przy ujściu. — „Kominy“. — Dalsze poszukiwania. — Las drzew zielonych. — Zapas opału. — Czekają na odpływ morza. — Z wierzchołka wzgórza. — Tratwy z drzewem. — Powrót na brzeg.

Umówiono się, że reporter uda się na poszukiwanie Cyrusa Smitha, a towarzysze czekać nań będą i zaraz postarają się o wygodniejsze miejsce spoczynku i o wyszukanie pożywienia, aby wzmocnić zwątlone siły.

Tak więc reporter zwrócił się w stronę, w którą pierwiej już udał się Nab, a Harbert rzekł do Penkroffa:

— Cóż więc będziemy robili?

— Zaraz, zaraz, młody przyjacielu, trzeba postępować systematycznie, a jakoś to będzie. Tak tedy jesteśmy znużeni, poziębnięci i głodni; trzeba więc znaleźć miejsce spoczynku, drzewo i pożywienie. Drzewo znajdzie się w lesie, gniazda ptasic dostarczą jaj bardzo pożywnych — ale najtrudniejsza sprawa, gdzie i jak znaleźć schronienie.

— Pójdę szukać między skałami, a może znajdę grotę lub przynajmniej norę, w której moglibyśmy się pomieścić.

— Dobrze, ruszajmy więc, mój chłopcze, ja także nie będę próżnował i szczerze ci dopomogę.

Zwrócili się na południe, gdyż Penkroff spostrzegł, że o jakie sto kroków od miejsca, w którym dostali się na wybrzeże, znajdował się wąski przesmyk, który według niego musiał być ujściem rzeki lub strumienia; a wiele im zależało, aby osiedlić się w pobliżu wody bieżącej, zdatnej do picia; również zdarzyć się mogło, że prąd w tę właśnie stronę uniósł inżyniera.

Ściana skały granitowej, wznosząca się od morza na jakie trzysta stóp wysokości, była nadzwyczaj twarda, bałwany morskie zaledwie stopy jej obmywały i nigdzie nie utworzyły grot ani nawet rozpadlin, mogących ludziom służyć za schronienie. Ponad skałą unosiły się niezliczone stada ptaków wodnych, szczególnie z rodzaju pływających, z dużym, ostrym dziobem; ptactwo to nie lękało się bynajmniej obecności ludzi, zapewne po raz pierwszy widzianych, i można by upolować ich nadzwyczaj wiele — gdyby mieli broń. Penkroff pocieszał towarzysza, że w tym razie niewiele tracą, gdyż mięso tych ptaków a nawet i jaja są bardzo niesmaczne.

Zwróciwszy się nieco w lewo, Harbert ujrzał skały, pokryte porostami wodnymi, które odsłonił odpływ morza;

wśród nich leżało mnóstwo małży o podwójnych skorupach, na które człowiek zgłodniały nie mógł patrzeć obojętnie. Chłopiec przywołał zaraz Penkroffa.

— Aha! to czarne ślimaki morskie — zawołał marynarz — wiwat! zastąpią nam jaja.

— Nie — odrzekł Harbert, przypatrując się mięczakom, rozłożonym na skale — to nie ślimaki, tylko małże, zwane litodomami (Lithodomes).

— I to się da zjeść? — zapytał Penkroff.

— Z wielkim smakiem — odrzekł Harbert.

Penkroff mógł polegać na zdaniu młodzieńca, gdyż wiedział, że Harbert od najmłodszych lat z wielkim zamiłowaniem studiował nauki przyrodnicze. Ojciec jeszcze dał mu za nauczycieli najpierwszych profesorów Bostonu, którzy bardzo polubili pilnego, pracowitego i zdolnego chłopca. Zobaczymy, że jego wiadomości przyrodnicze jak obecnie tak i w dalszych przygodach bardzo się przydały.

Owe litodomy były to małże podłużne, bardzo mocno trzymające się skały; należały do rodzaju mięczaków, przedziurawiających najtwardsze kamienie, a nazwane są dwuskorupnymi z powodu, że ich konchy składają się z dwóch połówek; prócz tego, skorupy są zaokrąglone na obu końcach, co nie zdarza się u zwyczajnych ślimaków. Pootwierają się na słońcu; Harbert i Penkroff jedli je jak ostrygi; miały smak ostry, więc nie ubolewali, że nie mają korzeni.

Po tak pieprznym pożywieniu pragnienie gorzej jeszcze zaczęło im dokuczać, trzeba więc było wyszukać wody słodkiej, która musiała pewnie znajdować się niedaleko. Zabrawszy znaczny zapas muszli, przeszli ku dołowi wybrzeża. O jakie dwieście kroków doszli do miejsca, w którym, zgodnie z przypuszczeniem Penkroffa, płynęła rzeka. Tu skała zdawała się rozdzielona skutkiem gwałtownego działania plutonicznego. Woda rzeki była czysta i przezroczysta i płynęła wśród rozpadniętej skały. Penkroff przekonał się, że podczas przypływu morza woda nie mieszała się z morskimi falami, była więc dobra i zdatna do picia; ugasiwszy pragnienie, Harbert zawołał:

— Wybornie! mamy już wodę i las; brak nam tylko domu mieszkalnego.

Długo szukali daremnie, nareszcie przy samym ujściu rzeki, w położeniu wyższym, jak się zdawało, niż mogą do-



*...odłamy skał utworzyły otwór, który nazywają kominami
(str. 23).*

sięgnąć bałwany morskie podczas przyływu, odłamy skał utworzyły otwór, jaki często zdarza się napotykać w miejscowościach granitowych, a który nazywają „kominami“. Obaj zapuścili się w to przejście piaszczyste. Światło docho-

dziło do niego przez szczeliny między odłamami granitu, z których niejedyn tylko skutkiem równowagi utrzymywał się w swym położeniu. Lecz za światłem wicher i ostre zimno wdzierały się także do wnętrza; marynarz osądził jednak, że szczeliny te można będzie pozatykać mieszaniną kamieni i piasku i tym sposobem Kominy uczynić mieszkalnymi.

— No! dzięki niebu, mamy mieszkanie; żeby tylko należeć pana inżyniera, jestem pewny, że zrobi z tego wygodny apartament.

— O! bądź spokojny, jestem pewny, że go odszukamy, ale trzeba by urządzić dom na jego przyjęcie; a chcąc tego dokonać, musimy w lewym korytarzu urządzić ognisko i otwór, którym by dym mógł wychodzić.

— Da się to zrobić, mój chłopcze, tylko najpierw postarajmy się o materiał opałowy, a jak tylko pozatykamy otwory, przez które szatan wygrywa na swojej trąbie, Kominy staną się bardzo przyzwoitym mieszkaniem.

Szli teraz lewym brzegiem rzeki, której prąd był dość bystry i niósł kilka pni suchego drzewa. Zauważywszy to, pomyślał sobie Penkroff, że prąd ten można będzie spożytkować do transportowania ciężarów.

Po kwadransie doszli do miejsca, w którym rzeka nagle zwracała się na lewo i płynęła środkiem wspaniałego lasu drzew iglastych, właściwych wszystkim sferom i klimatom, tak polarnym jak zwrotnikowym. Szczególniej odznaczały się pięknym zapachem i zielenią wspaniałe deodary, bardzo pospolite w okolicach himalajskich. Grunt zaścielała wysoka trawa, po której stąpając, Penkroff uczył suche gałęzie, trzeszczące mu pod nogami. Widząc, że Harbert bacznie przypatruje się drzewom, zawołał:

— Nie pora teraz na uczone badania, młody mój przyjacielu, ważniejsze mamy sprawy do załatwienia. Ja nic się na tym nie znam, do jakiego gatunku należą te suche gałęzie, ale wiem o tym doskonale, że mogą stanowić dobry materiał opałowy — a to grunt dla nas.

— To go nazbierajmy — odrzekł Harbert, żwawo zabierając się do pracy.

Nie potrzebowali trudzić się odłamywaniem gałęzi, gdyż bardzo wiele ich leżało na ziemi; ułożyli już stos ogromny, gdy Harbert zwrócił uwagę towarzyszowi, że go przenieść nie zdołają.

— Na wszystko jest sposób, młodzieńcze, tylko trzeba go umieć wymyśleć; najłatwiej zaradziłby temu wóz albo statek, ale ich nie mamy.

— Ale za to mamy rzekę — odparł Harbert.

— Mądrze mówisz; mój chłopcze, nie darmo ludzie wymyślili tratwy; rzeka stanie się wygodnym traktem.

— Tak, tylko że morze zaczyna przyplýwać, więc trakt nasz pójdzie w przeciwnym kierunku — rzekł Harbert.

— Przyplýwa, to i odpłynie, musimy tylko poczekać, a odstawi nam drzewo do Kominów; tymczasem przygotujmy trochę.

Powiązawszy drzewo w wiązki łądygami suchych lian, każdy zabrał, ile mógł udźwignąć, i poniósł nad rzekę; tam także zebrali jeszcze mnóstwo leżących gałęzi i, ułożywszy stos ogromny, zaczęli pracować nad urządzeniem tratwy. Powybierali grube pniaki i ułożywszy je, powiazali lianami; tym sposobem sporządzili tratwę i zostawili ją nad wodą, a sami poszli jeszcze rozejrzeć się w miejscowości, korzystając z kilku godzin, które miały upłynąć do czasu odpływu morza.

Wszedłszy na wierzchołek skały, lekko pochylającej się ku skrajowi lasu, ujrzeli niezmierny ocean i miejsce, w którym zniknął Cyrus Smith; zaczęli rozpatrywać, czy nie dojrzą gdzie jakiego szczątka balonu, na którym człowiek mógłby się utrzymać, ale, jak okiem dojrzeć, widzieli tylko pustynię i morze. Nawet Naba i reportera, nigdzie zobaczyć nie mogli. Nie trwożyli się tym jednak, wnosząc, że zaszli dalej, niż wzrokiem sięgnąć można.

— Przeczucie mówi mi — rzekł Harbert — że człowiek tak mądry i energiczny, jak pan Cyrus Smith, nie mógł utonąć jak pierwszy lepszy śmiertelnik; on pewnie umiał sobie radzić i dostał się na wybrzeże.

Marynarz smutnie potrząsnął głową; nie spodziewał się już zobaczyć inżyniera; lecz nie chcąc odbierać nadziei Harbertowi, odpowiedział:

— Zapewne, zapewne, potrafi on dać sobie radę.

— Może już niedługo wszyscy trzej powrócą.

Marynarz zamyślił się i po chwili rzekł, jakby do siebie:

— Czy to wyspa?

— W każdym razie, widać, jest bardzo rozległa — od-rzekł Harbert.

— I cóż mi z tego? Największa wyspa zawsze jest tylko wyspą.

W każdym razie tej kwestii teraz jeszcze nie można było rozstrzygnąć; ale czy to była wyspa, czy ład stały, okolica była dość ładna, grunt zdawał się urodzajny i mogący różne wydawać produkty.

— Wielkie to jest szczęście, żeśmy się tu dostali, i powinniśmy kornie dziękować Bogu, że nas nie opuścił w nie-szczęściu.

I, zamyśliwszy się nad tym, jaka przyszłość czekała ich w tej nieznaney krainie, zwrócili się znów ku południowej stronie. Tu znaleźli gromady ptaków, gnieźdzących się w szczelinach skał; przypatrzwszy się im, Harbert zawołał:

— Ach! to są dzikie, tak zwane, skalne gołębie; poznają je po podwójnych czarnych obwódkach na skrzydłach, po białym ogonie i niebiesko-popielatym upierzeniu. Mięso ich bardzo dobre; sądzę więc, że i jaja muszą być smaczne. Jeśli tylko znajdziemy je w gniazdach...

— Nie pozwolimy im się wylęgnać, chyba pod postacią jajecznicy — odrzekł wesoło Penkroff.

— Tak, ciekawy jestem, w czym byś ją usmażył: może w kapeluszu?

— Tej sztuki nie potrafię, musimy więc zjeść je na miękko, jeśli się tylko znajdą — rzekł marynarz.

Zaczęli szukać pilnie w załamach i szczelinach granitu i rzeczywiście znaleźli i zabrali kilka tuzinów jaj, które pochowali w kieszenie i chustki, a ponieważ nadchodził czas odpływu morza, zwrócili się ku rzece. Była pierwsza godzina gdy doszli do miejsca, gdzie złożyli drzewo na tratwie. Właśnie prąd wody się odwrócił, trzeba więc było korzystać z niego. Penkroff nie chciał ani sam wsiąść na tratwę, ani puścić jej na los szczęścia; w tym celu uplótł z suchych lian kilkosążniowej długości linę, sznur ten roślinny przytwierdził do tratwy jednym końcem, a drugi trzymał w ręce; Harbert zepchnął tratwę i podtrzymywał ją długą żerdzią.

Pomysł ten powiódł im się doskonale; tratwa posuwała się z prądem wody i przed godziną drugą zatrzymała się u ujścia rzeki o kilka kroków od Kominów.

ROZDZIAŁ V.

Urządzenie mieszkania w Kominach. — Ważna kwestia ognia. — Pudełko zapalek. — Poszukiwanie na wybrzeżu. — Powrót reportera i Naba. — Jedyna zapalka. — Suty ogień. — Pierwsza wieczerza. — Pierwsza noc na łądzie.

Gdy już tratwę drzewa wyładowano, Penkroff zajął się zaraz opatrzeniem otworów, przez które przechodził wielki przewiew powietrza, aby tym sposobem Kominy uczynić mieszkalnymi. Pozatykał szczeliny piaskiem, gałęziami, kamieniami i mokrą ziemią, zostawiając jeden tylko otwór, niby rurę do odprowadzenia dymu. Kominy składały się z trzech czy czterech pokoiów, jeśli można tak nazwać ciemne nory, które zaledwie dzikie zwierzę mogłyby zadowolić. Ale zawsze było to przynajmniej suche schronienie i szczególnie w środkowym pokoju można było stać prosto. Cienki piasek pokrywał grunt, w każdym więc razie można było poprzestać na tym, zanim będą mogli wynaleźć coś lepszego.

Pracując nad urządzeniem, rozmawiali z sobą.

— Może towarzysze nasi wynaleźli gdzie lepsze schronienie — rzekł Harbert.

— Być może, ale nie oglądajmy się na nich; pracujmy nad urządzeniem tego, jakie mamy — a jeśli będzie drugie, to od przybytku głowa nie boli.

— Ach! — zawołał Harbert — niech tylko odszukają pana Smitha, a nasze Kominy wydadzą im się pałacem.

— Wierzę, bo był to człowiek nie lada.

— Był?... czy sądzisz, że już nie żyje?

— Broń Boże!... tak mi się jakoś wymówiło.

Po parogodzinnej pracy urządzili jako tako Kominy. Zachowali tę nazwę.

— No, teraz — rzekł Penkroff — towarzysze nasi mogą już wrócić, znajdują gotowe schronienie, trzeba tylko zapalić ognisko i przygotować wieczerzę.

Nie było to zbyt trudne zadanie. W głębi lewego korytarza ułożyli szerokie, płaskie kamienie, tuż przy pozostawionym ciasnym otworze, który miał stanowić komin; pomimo że z dymem uchodzić będzie wiele ciepła, pozostanie zawsze tyle, że w mieszkaniu swoim mieć będą dostateczną temperaturę. W jednym z „pokoiów“ złożyli sprowadzone wodą drzewo, a marynarz wziął kilka większych polan i ułożył na kamieniach, mających stanowić ognisko, poprzekładawszy je

starannie drobnymi drewkami, aby się łatwiej zajęły. Widząc to, Harbert zapytał go, czy ma zapalki.

— A jakże! — odrzekł — i wielkie to szczęście dla nas, bo jakże zapalilibyśmy ogień bez zapalek, lub bez hubki.

— Moglibyśmy uciec się do środka, używanego przez dzikich, to jest trzeciej jeden o drugi dwa suche kawały drzewa.

— Spróbuj tego sposobu, mój chłopcze, a jestem przekonany, iż jedynym jego następstwem będzie to, że się bardzo zmęczysz.

— Jednakże jest to sposób bardzo prosty, używany często na wyspach Oceanu Spokojnego.

— Nie będę ci przeczył, ale w takim razie dzicy muszą mieć sobie tylko znany sposób dokonania tego, lub też używają specjalnego drzewa, bo co do mnie, nieraz już próbowałem rozniecić ogień podobnym sposobem, ale nigdy mi się nie udało — toteż stokroć wolę zapalki. Ale gdzież u licha podziałem swoje?

I zaczął szukać w kieszeni pudełka zapalek, które zawsze nosił przy sobie, gdyż był namiętym palaczem. Daremnie jednak przeszukał wszystkie kieszenie, w żadnej zapalek nie było.

— A to straszna rzecz! — zawołał, patrząc z osłupieniem na Harberta — widocznie pudełko wypadło mi z kieszeni i zgubiłem zapalki. Ależ ty, Harbercie musisz przecie mieć choćby krzesiwko, lub cokolwiek do zapalania ognia?

— Nie mam nic.

Pudełko było mosiężne, więc łatwo można by je dostrzec: wyszli też obaj, ale, pomimo najstaranniejszych poszukiwań na piasku, nad wybrzeżem i między skałami, nigdzie go nie znaleźli.

— Może wyrzuciłeś je z łódki razem z innymi przedmiotami? — zapytał Harbert.

— Jakże też mógłbym popełnić podobną niedorzeczność! Ale przy takich wstrząśnieniach, jakim podlegaliśmy w balonie, tak mały przedmiot łatwo mógł się wysunąć, wszak mi też ulubiona fajka wypadła. Ach! gdzież ty jesteś, przeklęte pudełko?

— Morze odpływa — rzekł Harbert — pójdziemy jeszcze szukać w miejscu, gdzieśmy wczoraj spadli z balonem.

Było to o jakie dwieście kroków od Kominów, lecz i tu nie znaleźli pudełka; jeśli nawet tam upadło, fale morskie

uniósł je podczas przyływu — a w obecnych okolicznościach była to strata nie do powetowania.

Penkroff zmarszczył czoło i milczał; chcąc go pocieszyć, Harbert zrobił uwagę, iż nie ma się czego smucić, gdyż zapalki musiały zapewne zwilgotnieć, więc i tak nie zapaliłyby się.

— Gdzież tam — odrzekł marynarz — były schowane w szczelnie zamykającym się, miedzianym pudełku. A teraz cóż poczniemy?

— Niezawodnie znajdzie się sposób rozniecenia ognia; pan Smith albo pan Spilett potrafią coś obmyśleć — rzekł Harbert.

— Być może, lecz nim to nastąpi, nie możemy rozpałcić ognia i smutne przyjęcie zgotujemy towarzyszom.

— Ależ to nie podobna, żeby który z nich nie miał hubki lub zapalek.

— Lękam się tego — odpowiedział marynarz, potrząsając głową. — Pan Smith i Nab wcale nie palą, a co do pana Spiletta, ten pewnie więcej pilnuje notesika, niż pudełka z zapalkami.

Harbert mocno się zamyślił. — Bez zaprzeczenia — mówił sobie — bardzo przykry to wypadek, ale przecież zaradzi się mu tym lub owym sposobem. — Penkroff przeciwnie, choć zazwyczaj nie lękał się byle czego, ale nauczony doświadczeniem znalazł trudność położenia. Po głębszym zastanowieniu doszedł do przekonania, że nie ma innej rady, jak czekać powrotu Naba i reportera. Trzeba się jednak było wyrzec jaj, które na wieczrę przyrzadzić zamierzał, a potem przerażała go smutna perspektywa żywienia się surowym mięsem.

W przewidywaniu, że może wypadnie im obyć się bez ognia, poszli zrobić zapas litodomów i, milcząc, wrócili do Kominów o godzinie piątej wieczorem.

Około szóstej, gdy słońce już zaczynało znikać, Harbert, który nieustannie wybiegał na wybrzeże, zwiastował nareszcie towarzyszowi powrót Gedeona Spiletta i Naba. Niestety! wracali sami. Smutne przecucie marynarza spełniło się — nie mogli nigdzie odszukać inżyniera.

Gedeon Spilett, milcząc, usiadł na odłamie skały; znudzony, zgłodniały, smutkiem znękanym, słowa wymówić nie mógł.

Biedny Nab miał oczy zaczerwienione od płaczu, a gojące łzy, spływające ciągle po czarnej jego twarzy, mówiły jasno, że wszelką stracił nadzieję.

Posiliwszy się nieco, reporter opowiedział jak obaj robili poszukiwania na kilkumilowej przestrzeni, a zatem znacznie jeszcze dalej, niż miejscowość, w której inżynier Cyrus Smith i pies jego Top zniknęli im z oczu, ale wybrzeże całe było zupełnie puste, nigdzie ani śladu kroków, nigdzie nie dostrzegli ani jednego świeżo poruszonego kamyka. Przekonali się, że cała ta przestrzeń była zupełnie bezludna, że nigdy może noga ludzka nie powstała na tym wybrzeżu. Morze było równie puste jak wybrzeże i widocznie inżynier znalazł grób o kilkaset stóp od brzegu.

Usłyszawszy to, Nab zerwał się nagle i krzyknął głosem, zdradzającym głęboką nadzieję:

— Nie! nie! nie! Mój pan nie w grobie! on nie umarł! Nie! nie! to być nie może... On! on! miałby umrzeć?! nie podobna! Każdy inny mógłby zginąć — ale on nigdy! Ten człowiek zawsze i wszędzie radzić sobie umie...

Nagle siły go opuściły i upadł na skałę. Herbert pobiegł do niego.

— Nabie! — wołał — uspokój się, znajdziemy twego pana... Bóg nam go powróci... Jesteś nadzwyczaj znużony i zgłodniały... posil się trochę.

I podał biednemu murzynowi garść mały — ale i tego nędznego posiłku biedak przjąć nie chciał. Utraciwszy pana, wierny sługa także chciał umierać.

Posiliwszy się nieco, Gedeon Spilett rzucił się na piasek u stóp skały; był nadzwyczaj zmęczony, lecz spokojny.

Herbert zbliżył się i rzekł, biorąc go za rękę:

— Chodź pan, noc zapada, znaleźliśmy tu nieco wygodniejsze schronienie, tam będziesz mógł odpocząć lepiej. Jutro zobaczymy, co czynić dalej...

Spilett powstał i poszedł z nim do Kominów. Wtem Penkroff przysunął się i najnaturalniejszym w świecie głosem zapytał, czy przypadkiem nie ma zapalek.

Spilett zatrzymał się, poszukał w kieszeniach, lecz nic nie znalazł, odpowiedział więc:

— Miałem w kieszeni, ale musiałem wyrzucić.

Marynarz poszedł do Naba, to samo zadać mu pytanie i tę samą otrzymał odpowiedź.

— Do kroćset!... — zaklął marynarz mimowolnie, — ani jednej zapalki, nie można więc myśleć o ogniu.

— Gdyby tu był mój pan, zaraz by wam zrobił zapalki — zawołał Nab.

Wszyscy spoglądali na siebie z niewymownym niepoko-
jem. Harbert pierwszy przerwał milczenie.

— Panie Spilett — rzekł — jesteś zapalonym palaczem, nosisz zawsze przy sobie zapalki, poszukaj jeszcze, może znaj-
dziesz choćby jedną.

Reporter zaczął znów uważnie przeglądać wszystkie kieszenie i nareszcie uczuł kawałek drzewa między kieszonką a podszewką kamizelki. Czuł go pod palcem, lecz nie mógł wyjąć: zapewne była to zapalka, ale jedna i jedyna, należało więc postępować bardzo ostrożnie, aby nie obetrzeć fosforu.

— Spuście się na mnie — rzekł Harbert i, upatrzwszy mały otwór, nadzwyczaj zręcznie wydobyl nieuszkodzoną zapalkę, która dla nich była tak nieocenionym skarbem.

— Zapalka! zapalka! — wołał radośnie Penkroff — dajże mi ten drogocenny klejnot.

Wszyscy poszli do Kominów.

Jakże ważnym nabytkiem stała się dla nich jedyna ta za-
palka, jakich setki marnuje się w każdym domu. Marynarz trzymał ją bardzo ostrożnie, obejrzał, czy nie zwilgotniała, a widząc, że sucha, rzekł:

— Teraz potrzeba mi jeszcze kawałka papieru.

— Oto jest — odrzekł reporter, wydzierając kartkę z notesika.

Wziąwszy papierek, Penkroff przykucnął przed przygo-
towanym ogniskiem. Na trawie, liściach i suchym mchu ułożył wiązki chrustu w ten sposób, aby powietrze mogło swobodnie przechodzić i suche drzewo prędko się zająć; na-
stępnie zwinął w trąbkę otrzymany kawałek papieru, jak to czynią zapalający fajkę na wielkim wietrze, i ustawił go wśród mchu. Teraz wziął mały ostry kamyk, obtarł go starannie i z mocnym biciem serca, zatrzymując oddech, lekko potarł zapalkę.

— Pierwsze potarcie było bezskuteczne, gdyż potarł za słabo, bojąc się ułamać łebek z fosforem.

— Nie! nie potrafię... ręka mi drży... zapalka mogłaby się zepsuć... nie chcę... nie mogę... — wyjąkał — niech mnie Harbert zastąpi.

Biedny chłopiec może jeszcze nigdy w życiu nie był tak wzruszony! Serce biło mu gwałtownie — zdobył się jednak na odwagę i prędko potarł zapałkę o kamyk. Usłyszeli jakby syknięcie, i ukazał się mały, błękitny płomyk. Harbert wolno obrócił zapałkę, aby się lepiej rozpałała, potem wsunął ją w trąbkę papierową; w parę sekund papier się zapalił, i zaraz mech zajął się od niego.

Niecaługo suche gałęzie zaczęły trzeszczeć, i jasny płomień, podsycony silnym dmuchaniem Penkroffa, zajaśniał, w ciemności. Dym wychodził przygotowanym kanałem, i miłe ciepło rozeszło się dokoła.

Teraz należało już tylko czuwać, aby ogień nigdy im nie zgasł, a przynajmniej, aby iskry tliły się w popiele — ale było to już łatwe zadanie, wymagające tylko uwagi, bo drzewa nie mogło zbraknąć.

Penkroff radośnie zacierał ręce i zaczął się krzątać około przyrządzenia nieco posilniejszej wieczerzy. Harbert przyniósł dwa tuziny jaj i zaczął mu pomagać, a reporter usiadł w kącie i przypatrywał się w milczeniu. On myślał tylko o tym, czy Cyrus Smith żyje jeszcze — a jeżeli żyje, gdzie może się znajdować i jak to się stało, iż dotąd nie zjawił się jeszcze? Co do biednego Naba, ten błąkał się po wybrzeżu jak zaklęta dusza.

Penkroff uskarżał się, że nie może popisywać się swoją umiejętnością przyrządzania jaj, które umiał przyrządzać na pięćdziesiąt sposobów, i musi poprzestać na prostym włożeniu ich w ciepły popiół, aby się upiekły.

W kilka minut wieczerza była gotowa, i marynarz zaprosił reportera, aby w niej wziął udział. Wiadomo, że jaja zawierają części nader pożywne — tak więc pierwsza wieczerza na tych nieznanym brzegach choć bardzo skromna, pokrzepiła siły biednych rozbitków.

Ach! gdybyż tylko jednego z nich nie brakowało na tej uczcie, gdyby wszyscy pięciu siedzieli przed tym ogniskiem, płonącym we wnętrzu skały, jakżeby gorąco dziękowali Bogu za cudowne ocalenie. Ale niestety! utracili najrozumniejszego, najbardziej uczonego towarzysza i nie mogli nawet wynaleźć i pogrzebać jego ciała.

Tak upłynął im dzień 25 marca; nareszcie noc zapadła. Słychać było, jak wiatr dął w oddali i bałwany rozbijały się o morskie wybrzeża. Drobne kamienie, popychane falami w tę i ową stronę, spadały z ogłuszającym hałasem.

Reporter zanotował szczegółowo wszystkie wypadki i wrażenia w tym dniu doznane, poczem oddalił się w najciemniejszy kąć, rzucił się na piasek i znużony zasnął snem twardym. Harbert poszedł za jego przykładem; Penkroff położył się przy ognisku, lecz nie spał, drzemał tylko, zrywając się co chwila i dokładając drzewa, aby ogień nie zagasł. Sam tylko Nab nie chciał położyć się ani na chwilę; przez noc całą błąkał się po wybrzeżu, rozpaczliwym głosem przywołując swego pana.

ROZDZIAŁ VI.

Inwentarz rozbitków. — Nic. — Spalona bielizna. — Wycieczka do lasu. — Flora. — Ślad dzikich zwierząt. — Kuruku. — Cietrzewie. — Szczególniejsze rybołówstwo.

Łatwo i prędko da się sporządzić inwentarz ruchomości, posiadanych przez naszych rozbitków, których balon rzucił na te, o ile się zdaje, bezludne brzegi.

Słowem, nie posiadali nic prócz sukien, jakie mieli na sobie w chwili smutnego wypadku, prócz zegarka i notesika, które utrzymały się w kieszeni reportera — zresztą ani broni, ani żadnych niezbędnych narzędzi, ani nawet noża kieszonekowego. Wszystko wyrzucili z łódki, aby ulżyć balonowi.

Ani Robinson, ani Selkirk i Raynal nie byli tak zupełnie ze wszystkiego огоłoceni, albowiem mogli zużytkować szczątki rozbitego okrętu, zabierać z niego narzędzia, broń, zboże, bydło i różne zapasy, które starczyły na niezbędne potrzeby życia. Nie byli więc zupełnie bezbronni wobec dzikiej przyrody, gdy tymczasem nasi rozbitkowie z balonu, pozbawieni najpierwszych potrzeb, musieli wszystko tworzyć z niczego.

Gdyby jeszcze choć Cyrus Smith był z nimi, gdyby uczony ten inżynier mógł przyjść z pomocą swoją praktyczną nauką, twórczym umysłem i zaradnością, wtedy położenie ich nie byłoby jeszcze tak rozpaczliwe. Niestety! biedni stracili już nawet nadzieję zobaczenia go jeszcze, a nie mogli liczyć na nic, jak tylko na własne siły i na miłosierdzie Opatrzności, która ufających w nią nigdy nie opuszcza.

Przede wszystkim należało osiedlić się w tej części wzgórza, a następnie starać się zbadać, czy należało do jakiego lądu, czy było zamieszkane, wreszcie, czy stanowiło tylko wybrzeża bezludnej wyspy; od tego bowiem zależały dalsze ich postanowienia. Jednakże Penkroff radził, aby badania te odłożyć na kilka dni i najpierw zająć się wyszukaniem żywności, posilniejszej, niż jaja i mięczaki, przed urządzeniem długich wycieczek, które zapewne na ciężkie narażą ich trudy. Zapewne też podczas ich trwania nie znajdą schronienia, gdzieby spokojnie złożyć można głowę. Koniecznie zatem należało wypocząć i wzmocnić nadwątłone siły.

Jak na teraz, Kominy stanowiły dostateczne schronienie: ogień płonął i łatwo było go utrzymać. Mięczaków i jaj na skromne pożywienie nie zabraknie w szczelinach skał i na wybrzeżu; setki stad gołębi unoszą się ponad wybrzeżem, muszą przecież obmyśleć sposób zabijania ich, choćby kijami lub kamieniami. Może w pobliskich lasach znajduje się drzewo, rodzące owoce, zdatne do jedzenia: woda słodka była niedaleko. Po namyśle uradzono tedy, że przez kilka dni jeszcze pozostaną w Kominach i zajmą się przygotowaniami do zamierzonej wycieczki na wybrzeża i w głąb kraju.

Postanowienie to wielce ucieszyło Naba, który wcale nie pragnął opuszczać miejsca, będącego widownią straszego wypadku. Wszyscy byli przekonani, że Cyrus Smith zginął w nurtach oceanu — on jeden nie mógł w to uwierzyć. — Nie! to nie podobna — myślał sobie — aby taki człowiek zginął tak marnie, aby miał utonąć o kilkaset kroków od brzegu!... — Dopóki fale nie wyrzucą zwłok, dopóki ich się nie dotknie, nie uwierzy w śmierć swego pana; gdy przekona się o tym, wtedy pewno tego nie przeżyje.

Dnia 26 marca, zaledwie ranek zaświtał, Nab pobiegł znów szukać pana. Harbert wynalazł sól, która po wyparowaniu wody pozostała w szczelinie skały, co bardzo ucieszyło rozbitków. Po śniadaniu, złożonym z litodomów i jaj gołębich, Penkroff zapytał reportera, czy pójdzie do lasu, gdzie on z Harbertem spróbują coś upolować. Stanęło jednak na tym, że Gedeon Spilett pozostanie, aby pilnować ognia i udzielić pomocy Nabowi, jeśliby tego zaszła potrzeba.

— Więc ruszajmy na polowanie, mój chłopcze — zawołał marynarz. — W drodze zaopatrzymy się w amunicję, a broń znajdziemy w lesie.

Już mieli odejść, gdy Harbert zrobił uwagę, że skoro nie mają hubki, dobrze byłoby zastąpić ją czymś innym.

— Czymże, na przykład? — zapytał marynarz.

— Spaloną bielizną; próchno łatwo zastąpi hubkę.

Rada była dobra, ale chcąc ją wykonać, trzeba było poświęcić choć kawałek chustki od nosa. Ciężka to była ofiara, jednak ze względu na ważne okoliczności, marynarz spalił kawał swej kraciatej chustki. Zapalny ten materiał schowano starannie w „środkowym pokoju“, w głębi szpary, znajdującej się w skale, aby wiatr ani wilgoć nie mogły się dostać do niego.

Około godziny dziewiątej Harbert i Penkroff weszli do lasu. Tam marynarz odłamał dwie ogromne gałęzie i porobił z nich wielkie kije, a Harbert zaostrzył je na skale, poczem zapuścili się w wysoką trawę i szli wybrzeżem ponad rzeką. Ku południowemu-zachodowi koryto rzeki znacznie się zwężyło, a brzegi pokryte były drzewami; obawiając się zabłądzenia, postanowili iść z brzegiem rzeki, ale była to dość trudna przeprawa. Zagradzały im drogę wątle i giętkie gałęzie, spuszczone się aż ponad wodę, to znów liany i ciernie, które kijami musieli rozrywać. Harbert zwinny i lekki wybiegał często naprzód i znikał w zaroślach, ale marynarz przywoływał go natychmiast, zalecając, aby się nie oddalał.

Tak w lesie, jak i na całym wybrzeżu, nigdzie nie znaleźli śladu stopy ludzkiej, ale za to liczne dawniejsze i świeże ślady najrozmaitszych zwierząt czworonożnych; z tych niektóre należały widocznie do wielkich i dzikich. Marynarz uważnie rozglądał się wokoło, ale nigdzie nie dostrzegł ani znaku cięcia siekierą na drzewach, ani resztek wygasłego ognia. Słowem, nic nie zdradzało obecności człowieka, co raczej go pocieszało, niż zasmucało, gdyż wiedział, że na tym kawałku ziemi, zabłąkanym wśród Oceanu Spokojnego, spotkanie się z dzikimi wcale nie było pożądane dla kilku bezbronnych rozbitków.

Szli bardzo powoli, milcząc, gdyż coraz większe trudności napotykali na drodze. Godzina upłynęła, uszli zaledwie milę i dotąd nic upolować nie mogli. Wprawdzie tu i ówdzie ptaki świergotały, ale latały tak wysoko ponad drzewami, jakby tajemny instynkt kazał im stronić od ludzi. W błotnistej części lasu Harbert spostrzegł ptaka z ostrym i długim dziobem, podobnego do zimorodka; różnił się jed-

nak upierzeniem; pióra jego błyszcząły metalicznym blaskiem.

— Zdaje mi się, że to żakamar (jacamar) — rzekł Harbert, próbując zbliżyć się do ptaka i stając w pewnej odległości.

— Dobrze byłoby przekonać się, jak on smakuje — rzekł marynarz — tylko nie wiem, czy zezwoli nam zabić się i upiec.

W tejże chwili kamień, zręcznie i trafnie rzucony przez Harberta, ugodził ptaka w skrzydło, ale widocznie uderzenie było za słabe, gdyż żakamar zerwał się i odleciał.

— Ach! jakżem niezgrabny! — zawołał młodzieniec.

— Eh! niekoniecznie, mój chłopcze, i najlepszy strzelec chybia czasem. Ale nie smuć się: co się odwlecze — to nie uciecze.

Im dalej zapuszczali się w głąb lasu, tym wspanialsze i rozłożystsze napotykali drzewa, Niestety, żadne nie rodziło owoców zdatnych do jedzenia. Penkroff upatrywał daremnie pięknych palm, które doskonale użytkować można dla potrzeb domowych, ale las ten składał się wyłącznie z drzew iglastych, a głównie z deodarów, tak zwanych „douglasów“, podobnych do rosnących na brzegach północno-zachodniej Ameryki, i przepysznych sosen, mających po sto pięćdziesiąt stóp wysokości.

W tej chwili stado ptaszków, ślicznie ubarwionych, z długimi, puszystymi ogonami, zerwało się spomiędzy gałęzi, gubiąc swe słabo osadzone piórka, które puchem zasłaly grunt. Harbert podniósł kilka piórek i, przypatrzawszy się im, rzekł:

— Są to ptaki, zwane „kuruku“.

— Wolałbym, żeby to był cietrzew albo kura afrykańska, ale zresztą mniejsza o to, jeśli i te jakieś kukuryku dobre są do jedzenia — odrzekł Penkroff.

— Są bardzo smaczne, a mięso ich jest bardzo delikatne. O ile mi się zdaje, łatwo nam się uda zbliżyć do nich i zabić kilka przy pomocy kija.

Obaj pochyleni ostrożnie posuwali się aż do drzewa, na niższych jego gałęziach rozsiadły się małe ptaszęta, oczekując na przelatujące owady, którymi się żywiły.

Wtem nasi myśliwi wyprostowali się szybko i, zręcznie wywijając kijami, zmiatali całe szeregi biednych ptasząt,

które, znienacka napadnięte, nie myślały o ucieczce i pozwalały się zabijać. Już kilkadziesiąt leżało na ziemi; zanim reszta zdobyła się na ucieczkę.

— To mi się podoba! — zawołał Penkroff — to właśnie zwierzyna jakby dla nas stworzona; można ją chwycić ręką.

Ponawlekali zabite ptaszki na giętką gałązkę, niby skowronki na sznurek, i udali się w dalszą drogę. Spozrzegli, że koryto rzeki zaczynało się wyginać i zwracać ku południowi, lecz zakręt musiał być nieznaczny. Zapewne źródło rzeki znajdowało się w górach i tam zasilało się topniejącym śniegiem, pokrywającym szczyt środkowy.

Głównym celem tej wycieczki było zaopatrzenie się w zwierzynę, toteż nie ustawali w poszukiwaniach. Marynarz mruczał i, prawdę mówiąc, zaklął niekiedy, ilekroć zwierzę, którego nawet rozpoznać nie miał czasu, uciekało i kryło się w wielkich trawach.

— Ach! żebym choć nóż albo Topa miał z sobą!... ale wierny pies, zapewne zginął razem z panem.

Około trzeciej po południu nowe stada ptactwa zaczęły zjawiać się na niektórych drzewach i, siadając na najwyższych gałęziach, ogryzały ich aromatyczne owoce. Nagle odgłos trąb rozległ się po lesie; dźwięki te wydawało ptactwo z rodzaju kur, które w Stanach Zjednoczonych nazywają tetrasami (cietrzewie). Wkrótce ukazało się kilka par z upierzeniem płowo-brunatnym, z ciemno-brunatnymi ogonami. Penkroff pragnął koniecznie schwytać choćby jednego z tych ptaków, tak dużych jak kura, których mięso jest bardzo smaczne; trudne to było jednak zadanie, gdyż nie dały się podejść. Po wielu bezowocnych usiłowaniach, które daremnie płoszyły cietrzewie, marynarz rzekł do towarzysza:

— Skoro nie możemy ich zabić, spróbujmy złowić na wędkę.

— Jak ryby? — zapytał zdziwiony Harbert.

— A tak — odrzekł poważnie Penkroff.

Penkroff wynalazł w trawie pół tuzina gniazd cietrzewi, a w każdym było po dwa lub trzy jaja; nie poruszał ich, gdyż był pewny, że właściciele niezawodnie do nich powrócą. Umyślił więc założyć na nich prawdziwe wędki z haczykami i, stanąwszy w pewnej odległości od gniazd, zabrał się do przygotowań. Harbert przypatrywał się z zajęciem, ale

nie dowierzał aby się to na co zdało. Wędki przyrządził marynarz z cienkich lian, piętnaście do dwudziestu stóp długich, powiązanych z sobą; zamiast haczyków przymocował do końców grube, zakrzywione ciernie, które odłamał z krzaka karłowatej akacji. Za przynętę posłużyć miały wielkie, czerwone robaki, pełzające po ziemi.

Tak urządziwszy wędki, Penkroff podchodził ukryty w wysokiej trawie i końce wędek z haczykami zarzucał w pobliżu gniazd; drugie końce razem z Harbertem trzymali w rękach i ukryli się poza drzewami.

Po upływie pół godziny, zgodnie z przewidywaniem marynarza, kilka par cietrzewi przyleciało do swoich gniazd. Nie domyślając się zasadzki, skakały wesoło, uderzając dziobami o ziemię.

Młody Harbert patrzył z natężoną uwagą i mocno zaintrygowany zatrzymał oddech. Penkroff zaś wytrzeszczył oczy i otworzył usta, jakby już miał skosztować kawałka cietrzewia. Ptaki tymczasem chodziły sobie spokojnie, nie zważając na sidła; wtedy marynarz lekko potrząsnął wędką, skutkiem czego robaki poruszyły się jakby żywe.

Te poruszenia zwróciły nareszcie uwagę cietrzewi. Ptaki rzuciły się na przynętę i niebawem trzy najżarłoczniejsze polknęły razem z przynętą i haczyki. Wtedy Penkroff szybko pociągnął wędkę, a trzepotanie skrzydeł zwiastowało, że ptaki się złapały.

— Wiwat! — krzyknął wesoło — i pobiegł po zdobycz.

Harbert radośnie klaskał w dłonie. Pierwszy raz w życiu widział łapanie ptactwa na wędkę, lecz marynarz powiedział mu, że to sposób wypróbowany i że nie może poszczycić się, aby był jego wynalazcą.

— Mój chłopcze — dodał — w naszym położeniu wypadnie nam pewnie nieraz uciekać do daleko dziwniejszych się sposobów.

Powiązali cietrzewie za nogi, i Penkroff, zadowolony z tego pierwszego polowania, widząc, że zaczyna się ściemniać, uznał za stosowne zawrócić ku Kominom. Nie mogli zabłądzić, gdyż i teraz trzymali się brzegów rzeki, i około godziny szóstej, mocno znużeni, wrócili do swego „mieszkania“.

ROZDZIAŁ VII.

Nab nie wrócił. — Uwagi reportera. — Wieczera. — Zapowiedź trudnej do przebycia nocy. — Straszna burza. — Wychodzą w nocy. — Walka, z deszczem i wichrem. — O osiem mil od pierwszego obozowiska.

Gedeon Spilett stał nieruchomy z założonymi rękoma, wlepiając wzrok ku wschodowi, gdzie ponad morzem wielka czarna chmura szybko wnosila się w górę. Wiatr był silny przez cały dzień, a ku wieczorowi znacznie się jeszcze oziębiło; wszystko wokoło zapowiadało groźną burzę.

Harbert poszedł do Kominów, a Penkroff zbliżył się do stojącego na wybrzeżu reportera, mówiąc:

— Panie Spilett, ciężka noc nas czeka: wichur i ulewa, dopieroż to petrele radować się będą *).

Obudzony z zamyślenia reporter zwrócił się do marynarza:

— Jak ci się zdaje, w którym to miejscu łódkę odcięliśmy i pęd wiatru uniósł naszego towarzysza?

— Najdalej o paręset sążni stąd — odrzekł marynarz po chwili namysłu.

— Przypuśćmy, że towarzysz nasz utonął, dziwne to jednak, że i pes jego Top także znalazł śmierć, i że morze nie wyrzuciło na brzeg zwłok ani Cyrusa Smitha, ani psa jego.

— Nic dziwnego, skoro morze tak było wzburzone; a zresztą może prąd uniósł i rzucił je gdzie dalej.

— Więc jesteś przekonany, że towarzysz nasz utonął?

— Tak.

— A wiesz, iż niepodobnym wydaje mi się, aby Cyrus i Top zginęli tak bez śladu; może jeszcze żyją?

— Chciałbym temu wierzyć — odrzekł marynarz — ale doświadczenie moje nie pozwala mi się łudzić.

To powiedziawszy, Penkroff poszedł do Kominów, gdzie już Harbert rozniecił ogień, dorzucając suchych gałęzi; wielki płomień strzelający do góry, oświetlił najciemniejsze nawet zakątki...

— Penkroff zabrał się zaraz do przyrządzenia obiadu, który chciał zrobić nieco posilniejszy, ponieważ wszyscy byli wyczerpani i potrzebowali pożywniejszego pokarmu. Kuruki zachował na jutro, a oskubał dwa cietrzewie i, wsadzwszy na kij niby na rożen, piekł przy mocnym ogniu.

*) Są to ptaki morskie, lubujące się w burzach.

Była już siódma wieczorem, a Nab jeszcze nie wrócił; tak długa nieobecność jego mocno zaniepokoiła pozostałych towarzyszków. Obawiali się, czy nie uległ wypadkowi, lub obłąkany rozpaczą nie odebrał sobie życia. Harbert tylko zupełnie przeciwnie wyprowadził wnioski. On mniemał, że skoro Nab nie wraca, to widocznie coś go skłoniło do przedsięwzięcia nowych poszukiwań, bo cóż mogłoby go zatrzymać? Może znalazł jakie wskazówki, jaki ślad kroków lub część ubrania inżyniera, i może właśnie w tej chwili wpadł już na trop, lub nawet odszukał pana...

Tak mówił młody Harbert, ale tylko Gedeon Spilett podzielał jego nadzieję. Penkroff utrzymywał, że najpewniej Nab zapuścił się dalej, niż wczoraj, i dlatego dotąd nie wrócił.

Harbert chciał koniecznie biec szukać murzyna, lecz towarzysze tłumaczyli, że w nocy i w czas tak szkaradny wycieczka jego na nic by się nie zdała, a nadto w żadnym razie nie powinni się już rozłączać. Jeżeli Nab nie wróci do jutra, wszyscy trzej pójdą go szukać. Harbert był posłuszny, ale dwie duże łzy spłynęły mu z oczu, tak żał mu było biednego murzyna. Widząc to, Gedeon Spilett serdecznie uściskał szlachetnego chłopca, który nie wahał się narazić na trudy i niebezpieczeństwo przez współczucie dla towarzysza niedoli.

Burza na dobre zaczynała szaleć; dał gwałtownie wiatr południowo-wschodni; morze z rykiem rozbijało się o nadbrzeżne skały. Deszcz, rozpylony huraganem, unosił się jakby mgła płynna; zdawało się, że szmaty pary uwijają się nad wybrzeżem, a leżące na nim drobne głazy, rzucane wichrem, taki wydawały odgłos, jak gdyby kto przewracał kupy kamieni. Wicher unosił tumany piasku, które mieszały się z ulewą; dym nie mógł wychodzić wąskim otworem, gdyż wiatr pędził go na powrót do wnętrza, skutkiem czego tak rozchodził się po wszystkich korytarzach, że wytrzymać w nich było nie podobna. I dlatego też zaraz po upieczeniu cietrzewi Penkroff zgasił ogień, starannie tylko podtrzymując zarzewie.

Już było po ósmej, a Nab nie wracał, wszelako teraz można było przypuścić, że powodem była burza, i że może schronił się w jaką rozpadlinę skały, aby w niej przeczekać wiatr lub przynajmniej dnia doczekać. Niepodobieństwem też było iść szukać go w nocy podczas takiej zawieruchy.

Zasiedli do wieczerzy, na którą nie mieli nic, prócz pieczonych ptaków, ale że mięso ich było wyborne, zajadali je z wielkim smakiem, a szczególnie Penkroff i Harbert, którym długa wycieczka dodała apetytu. Po wieczerzy udali się na spoczynek.

Im głębiej noc zapadała, tym straszniej srożyła się burza.

Dał wicher, podobny do tego, który jeńców, uciekających z Richmondu, zapędził aż na te nieznane wybrzeża Oceanu Spokojnego. Takie burze często zdarzają się tu podczas porównania dnia z nocą i szaleją tym gwałtowniej, iż wściekłość ich żadnej nie spotyka zapory na tej pustej i bezludnej części oceanu.

Szczęściem, skały olbrzymie, wśród których znajdowały się Kominy, były granitowe, nader mocno osadzone. A jednak mimo to zdawało się nieraz, że zadrżały w podstawach. Penkroff położył rękę na ścianie skały i czuł pod nią drżenie, lecz nie przeraził się zbyt, gdyż zdawało mu się, iż to improwizowane ich schronienie nie zapadnie się przecież. Słyszał jednak łoskot, jaki wydawały głazy, odrywane od szczytu i spadające na wybrzeże; niektóre nawet staczały się ponad Kominami i tam rozpryskiwały się w kawały. Dwa razy marynarz, czolgając się, dochodził do otworu korytarza, aby stamtąd wyrzucić na zewnątrz, czy nie grozi im niebezpieczeństwo. Tym samym sposobem powracał na swoje miejsce przy ognisku i pilnował, aby zarzewie nie zagasło.

Harbert spał spokojnie mimo wściekłości huraganu, ryku burzy i huku grzmotów; Penkroff, który w długim swoim zawodzie oswoił się z niebezpieczeństwami, wkrótce poszedł za jego przykładem. Sam tylko Gedeon Spilett czuwał ciągle — niepokój sen spędzał mu z powiek. Wyrzucał sobie, że nie towarzyszył Nabowi; on, równie jak Harbert, nie mógł wyrzec się nadziei, iż Smith żyje, i że go odszukają.

— Czemu Nab nie wraca?... czy odkrył jakie poszlaki?... — I tak myślał, myślał, przewracając się na piaszczystym łożu, nie troszcząc się o walkę żywiołów... Niekiedy zamykał na chwilę oczy, pokonany znużeniem, lecz nie bawem budziła go nagle jakaś myśl, i zrywał się na nogi.

Od dawna już ponure cienie nocy pokryły wybrzeże i była pewnie druga po północy, gdy nagle szarpnięcie zbudziło Penkroffa, śpiącego snem twardym.

— Co się stało? — zawołał, zrywając się zupełnie przy-

tomny, gdyż długa służba morską oswoiła go z wszelkimi niespodziankami.

Gedeon Spilett stał nad nim pochylony, mówiąc:

— Czy słyszysz, Penkroffie?... Słuchaj! słuchaj!

Marynarz nadstawił ucha, ale nie słyszał nic, prócz huków fal morskich.

— To wicher i szum bałwanów.

— Ale nie! — odrzekł reporter, przysłuchując się. — Mnie się zdaje, że słyszę...

— Co takiego?

— Szczekanie psa.

— Szczekanie psa! — krzyknął Penkroff, od razu stając.

— Tak... wyraźnie...

— Ależ to nie podobna!... — odrzekł marynarz — skąd by się wzięło, zresztą wśród tego ryku burzy...

— Ach! słuchaj teraz! — zawołał Gedeon.

Penkroff natężył słuch, i rzeczywiście zdało mu się, że w chwili przelotnego uciszenia się burzy, doleciało go oddalone szczekanie.

— A co?... — rzekł reporter, ściskając dłoń marynarza.

— Tak... tak!... ma pan słusność.

— Ach! Top!... Top! — krzyknął, zbudzony nagle ze snu, Harbert, i wszyscy trzej rzucili się ku wyjściu.

Wiatr dął tak gwałtownie, iż z trudnością mogli wyjść, gdyż odpychał ich ciągle do wnętrza, i dopiero, opierając się o skały, zdołali utrzymać się na nogach.

Ciemność zalegała dokoła; morze, niebo, ziemia w jedną czarną stopiły się całość, w całej atmosferze nie widać było najmniejszego atomu rozprószonego światła. Przez kilka minut stali, miotani gwałtownym wichrem, deszcz lał na nich strumieniem, piasek zasypywał oczy.

Tak, było to szczekanie Topa; ale czy z kim, czy sam tylko wracał? Zdaje się, że gdyby szedł za Nabem, już dawno byłiby wpadli do Kominów.

Nie mogli słyszeć, toteż marynarz ścisnął tylko dłonie towarzyszków, jakby im mówił: czekajcie! Powrócił do Kominów, skąd wyszedł za chwilę, trzymając w ręku pęk zapalonego łuczywa. Bujał nim w powietrzu i świstał, jak mógł, najgłośniej. W tejże chwili dało się słyszeć bliższe i głośniejsze szczekanie, i, jakby tylko oczekując tego znaku, pies wpadł gwałtownie do korytarza. Penkroff, Harbert i Gedeon Spilett pobiegli za nim, jak mogli najprędzej. Marynarz

dorzucił do ognia garść łuczywa, jasny płomień wystrzelił w górę i oświetlił korytarz.

— Top! Top! — krzyknął Harbert.

Rzeczywiście był to Top, ulubiony pies inżyniera Cyrusa Smitha; ale był sam, nie towarzyszył mu ani pan jego, ani Nab.

Jakimże sposobem instynkt doprowadził go do Kominów, których nie znał wcale, i to jeszcze wśród nocy i takiej burzy?! Drugi fakt dziwniejszy jeszcze — Top nie był ani zbiedzony, ani nawet zablocony.

Harbert przyciągnął go i łeb jego położył na swoich kolanach, głaszcząc i pieszcząc; pies radośnie ocierał się o niego.

— Skoro pies powrócił, znajdziemy i jego pana — rzekł uradowany reporter.

— Daj to Boże! — odrzekł Harbert. — Chodźmy szukać pana inżyniera, pies nas zaprowadzi.

— Chodźmy! — odrzekł marynarz i reporter.

Penkroff zgarnął starannie węgle w ognisku i ułożył pod popiołem kilka nowych kawałków drzewa, aby zastali ogień po powrocie. Następnie zabrał resztki wieczerzy, i wszyscy wyszli z Kominów, idąc za Topem, który wyraźnie dawał im do zrozumienia, że ich prowadzi.

Burza szalała wściekle; zdawało się, że dochodzi do największej gwałtowności. Był to nów księżycy; blade promienie jego nie przebijały spoza chmur, zatem bardzo było trudno po ciemku iść w prostej linii. Postanowili spuścić się na instynkt Topa.

Najpierw tedy szedł pies, potem Harbert i Gedeon Spilett a Penkroff zamykał pochód. Nie podobna było mówić; deszcz nie był ulewny, gdyż wir huraganu rozpylał go prawie, ale burza ryczała zawzięcie. Szczęściem jedna okoliczność sprzyjała pochodowi rozbitków; wiatr dał od południowego-wschodu, a więc popychał ich naprzód; tumany piasku uderzały ich w plecy, tak więc, byle się nie odwracali, nie potrzebowali lękać się o oczy. Wprawdzie nieraz musieli iść prędzej, niżby chcieli, ale nadzieja, że tym razem nie trują się nadaremnie, podtrzymywała ich siły. Byli niemal pewni, że Nab odszukał pana i wyprawił do nich poczciwe psisko. Ale czy Cyrus Smith żył jeszcze? A może Nab wzywał tylko jego towarzyszków, aby mu ostatnią oddali posługę?

Po upływie kwadransa zatrzymali się w załomie skały, osłaniającym ich od wichru, aby odetchnąć swobodniej i wypocząć nieco po tak szybkim biegu.

Tu mogli słyszeć się i rozmawiać. Gdy Harbert wymienił nazwisko Cyrusa Smitha, Top zaczął szczeekać, jakby chcąc dać do zrozumienia, że pan jego ocalony.

— Pan twój żyje, wszak prawda, Top? — zapytał Harbert.

A Top szczeekał na odpowiedź.

Było około wpół do trzeciej, gdy znów puścili się w drogę. Morze zaczynało przybierać, a przypyływ, pędzony wiatrem, zapowiadał się groźnie. Gdy tylko wyszli ze swego ukrycia wśród skał, wiatr znów gwałtownie zaczął miotać nimi; mocno pochyleni, szli bardzo prędko, nadstawiając mu plecy, a Top biegł tak śmiało, iż widać było, że wie, dokąd prowadzi. Zdążali ku północy; po prawej stronie roztaczało się nadzwyczaj wzburzone morze, po lewej okolica, której ciemność nie dozwalała widzieć. O czwartej zdawało się, że uszli pięć mil drogi. Chmury podniosły się nieco i już nie dotykały ziemi; wiatr od morza nie był już tak mroźny, ale za to bardzo wilgotny. Ubranie nie zabezpieczało ich od zimna, toteż przeziębli bardzo, jednak nalżejsza skarga z ust ich nie wyszła; postanowili iść jak najdalej za rozumnym zwierzęciem.

O piątej dzień zaczęło. Na wierzchołkach bałwanów ukazały się płowe odbłyски; piana pobielala. Na lewo wydatniejsze części wybrzeża zaczęły rysować się nieznacznie. Był to tylko jakby szary odcień na tle czarnym.

O szóstej dzień zajaśniał zupełny; chmury wzniosły się do góry. Marynarz i jego towarzysze znajdowali się wtedy blisko sześć mil od Kominów.

Szli po płaszczyźnie, otoczonej skałami, których szczyty tylko widać było, gdyż morze przybrało. Na lewo rozciągało się wybrzeże, przedstawiające widok dzikiej, piaszczystej pustyni. Całe to wybrzeże nie przedstawiało oceanowi innej zapory, nad dość nieregularny łańcuch małych wzgórz; tu i ówdzie parę drzew pochylało się ku zachodowi. Daleko na południowym-zachodzie ukazywał się skraj lasu.

W tej chwili Top zaczął okazywać żywy niepokój; to biegł naprzód, to wracał do marynarza, jakby nalegając, aby szedł prędzej. Nagle pies opuścił płaszczyznę i, jakby cudownym

wiedziony instynktem, bez wahania wbiegł między piaszczyste wzgórza, ciągnące się wzdłuż morza.

Trzej towarzysze poszli za nim. Zdawało się, że to okolica zupełnie bezludna, żadne żyjące stworzenie jej nie ożywiało. Wzgórza rozrzucone były tak fantastycznie, iż trzeba było nadzwyczajnej bacności, aby nie zbłądzić.

W pięć minut po zejściu z płaszczyny marynarz i dwaj jego towarzysze stanęli przed otworem, wydrążonym w dość wysokim wzgórzu; tutaj Top zatrzymał się i zaszczekał głośno, Spilett, Harbert i Penkroff weszli do groty.

Tu Nab klęczał przed martwym ciałem, leżącym na łożu z mchu i trawy...

Był to inżynier Cyrus Smith!...

ROZDZIAŁ VIII.

Gyrus Smith żyje. — Opowiadanie Naba. — Ślady nóg. — Sprawa nierozwiązana. — Pierwsze wyrazy Cyrusa Smitha. — Stwierdzenie śladów. — Powrót do Kominów. — Rozpacz Penkroffa.

Nab ani się poruszył.

— Czy żyje jeszcze? — spytał go marynarz.

— Nie! nie! — odpowiedział.

Gedeon Spilett i Penkroff zadrżeli z przerażenia, twarze ich pobladły; Harbert załamał ręce i stał nieruchomy. Co do biednego murzyna, ten pogrążony w rozpacz nie wiedział nic, nie słyszał słów swych towarzyszków.

Reporter ukląkł przy nieruchomym ciele, rozpiął ubranie i przyłożył ucho do serca. Upłynęła minuta, która oczekującym wydawała się wiekiem — a on słuchał, chcąc dobrać się uderzeń serca.

Nab podniósł nieco głowę i patrzył, nie widząc. Rozpacz zmieniła go do niepoznania; serce pękało mu z boleści, gdyż pewny był, że pan jego nie żyje.

Nareszcie po długim badaniu Gedeon Spilett powstał, mówiąc:

— Żyje!

Teraz z kolei Penkroff ukląkł obok inżyniera; i on także pochwycił słabe uderzenia serca i słaby oddech, wydobywający się z rozwartych ust nieruchomego Cyrusa Smitha.

Harbert pobiegł co prędzej szukać wody. O sto kroków znalazł czysty strumyk, zwiększony widocznie wczorajszym deszczem, ale nigdzie nie było ani śladu muszli lub skorupy, w którą by jej nabrać można. Widząc, że nie ma innego sposobu, zmaczał mocno chustkę w strumieniu i pobiegł z nią co prędzej do groty.

Gedeon Spilett pragnął tylko zwilżyć usta inżyniera, mógł więc poprzestać na mokrej chustce. To dotknięcie zimnej wody podziało natychmiastowo: pierś Cyrusa Smitha podniosła się westchnieniem, a po chwili zdawało się nawet, że pragnął przemówić.

— Uratujemy go! — zawołał reporter.

Nab oprzytomniał, usłyszawszy te słowa; z polecenia reportera rozebrał pana, aby można było przekonać się, że wyrzucone z łódki ciało poobijało się o skały, jednak nigdzie nie było ani ran, ani śladów stłuczenia; na rękach nawet najłżejszego zadrażnienia. Zaszło więc coś nadzwyczajnego, ale wytłumaczyć sobie tego nie mogli. Sam tylko Cyrus Smith będzie mógł objaśnić im tę nadzwyczajną okoliczność. Lecz teraz inżynier leżał bezprzytomny, i należało przede wszystkim wrócić go do życia. Zdawało im się, że rozcieranie najprędzej doprowadzi do tego celu, a więc zaczęli nacierać go wełnianym kaftanem marynarza. Rozgrzany mocno, inżynier zaczął dawać znaki życia; naprzód lekko poruszył ręką, a następnie słychać było regularniejszy oddech. Długie zemdlenie wynikało z głodu i znużenia i, gdyby towarzysze nie przyszli mu z pomocą, Cyrus Smith jużby się nie obudził.

— Byłeś przekonany, że pan twój nie żyje? — zapytał Naba marynarz.

— Ach! tak — odrzekł murzyn — i gdyby Top nie był was sprowadził, byłbym pogrzebał ukochanego mego pana i sam spoczął obok niego snem wiecznym.

Widzicie młodzi czytelnicy, że o mało co inżyniera nie pogrzebano żywcem.

Teraz Nab opowiedział towarzyszom, że w przeddzień przed świtem wyszedł z Kominów, przeszedł wybrzeże w kierunku północnym i doszedł do raz już zwiedzanej części wyspy. Przeszukał najuważniej całą tę przestrzeń, obszedł wszelkie zagłębienia i przejścia między skalami, przypatrywał się bacznie, czy na piasku nie dojrzy śladów, według których mógłby się kierować. Nie miał już nadziei, że dobrego pana

śwego znajdzie jeszcze żyjącym, szukał więc tylko zwłok jego, chcąc go pogrzebać własnymi rękami.

Szukał, szukał długo, lecz daremnie; zdawało się, że nigdy dotąd noga ludzka nie stąpała po tym wybrzeżu. W miejscach, gdzie przyływ morza nie dosięgał, napotykał miliony muszli; wszystkie były nienaruszone. Na przestrzeni dwustu do trzystu jardów, nie było ani śladu dawnego lub świeżego wylądowania. Wtedy Nab poszedł o kilka mil dalej, sądząc, że może prąd morski lub wicher poniósł ciało gdzieś daleko, gdyż najczęściej tak bywa, że jeśli zwłoki unoszą się w niewielkiej odległości od piaszczystego wybrzeża, prędzej czy później morze je na ląd wyrzuca. Wiedząc o tym, Nab pragnął koniecznie odszukać nieodżałowanego pana, aby go raz jeszcze zobaczyć.

— Zaszedłem jeszcze kilka mil dalej — mówił — lecz wszędzie szukałem daremnie, i już rozpacz zaczęła mnie ogarniać, gdy wczoraj wieczór około godziny piątej dostrzegłem na piasku ślady stóp.

— Ślady stóp — krzyknął Penkroff.

— Tak — odrzekł Nab.

— I ślady zaczynały się zaraz przy skałach? — zapytał reporter.

— Nie — odrzekł Nab — tam dopiero, gdzie nie dosięgają wody morskie podczas przyływu; bliższe musiała zatrzeć woda.

— Cóż dalej? — zapytał reporter.

— Ujrawszy ślady stóp, myślałem, że oszaleję z radości. Ślady te były zupełnie wyraźne i kierowane ku wybrzeżu. Śledziłem je, biegnąc jak szalony, uważałem wszelako, aby ich nie zatrzeć. Noc zaczynała zapadać, gdy usłyszałem szczekanie psa; był to wierny Top, który przybiegł i doprowadził mnie do tej groty.

Tu opowiadał, jak bezmierna przygniotła go boleść, gdy ujrzał pana swego bez życia; próbował wszelkimi sposobami, czy nie uda mu się go otrzeźwić — wszelkie jednak usiłowania były bezskuteczne.

Biedny Nab pomyślał tedy o współtowarzyszach, którzy pewnie pragnęliby zobaczyć inżyniera raz jeszcze. Spojrzał na Topa. Czyż nie może się spuścić na zmysł wiernego zwierzęcia?... Wtedy to wymówił kilkakrotnie nazwisko reportera, gdyż jego Top znał najlepiej, a następnie wskazał mu stronę południową; pies pobiegł, we wskazanym kierunku.

I widzieliśmy, jak, wiedziony nadprzyrodzonym prawie instynktem, trafił do Kominów, choć nigdy przedtem w nich nie był.

Zgromadzeni z wielką uwagą słuchali opowiadania Naba. W żaden sposób pojąć nie mogli, jak się to stało, że Cyrus Smith, który zapewne musiał długo walczyć z rozhukanymi wśród skał falami, nigdzie nawet zadraśnięty nie został. Nie podobna także było wytłumaczyć, jakim sposobem inżynier mógł dostać się do groty, ukrytej wśród wzgórz, odległej od wybrzeża o milę.

— Więc to nie ty, Nabie, przeniósłeś tu swego pana? — zapytał reporter.

— Nie ja — odrzekł.

— Widocznie pan Smith sam tu przyszedł — rzekł marynarz.

— Widocznie, lecz trudno w to uwierzyć — odrzekł Gedeon Spilett.

Tylko od samego inżyniera można się było spodziewać rozwiązania zagadki, trzeba jednak było czekać, aż odzyska przytomność i mowę. Szczęściem przychodził do siebie; rozcieranie przywróciło obieg krwi. Teraz Cyrus Smith znowu poruszył ręką, potem powoli obrócił głowę, z ust uleciało kilka słów niezrozumiałych.

Nab, pochylony nad nim, wypowiadał swoją radość, lecz zdawało się, że pan jego nic nie słyszy: oczy wciąż miał zamknięte, i tylko lekkie ruchy zdradzały życie. Dotąd jednak nic odzyskał przytomności.

Penkroff żałował bardzo, że zapomniał przynieść próchna, z którego pomocą można by może rozniecić ogień, krzesząc iskry krzemieniem. W kieszeniach inżyniera nie znaleźli nic, prócz zegarka. Nie było rady, należało jak najspieszniej przenieść ołabionego do Kominów. Na tym też stanęło.

Starania, jakimi nieustannie otaczano Cyrusa Smitha, prędzej, niż można się było spodziewać, przywróciły mu przytomność. Ożywiła go woda, którą ciągle zwilżano mu usta, Penkroffowi przyszła myśl wycisnąć sok z przyniesionych z sobą tetrasów, więc, pomieszawszy go z wodą, wpuszczał po kropelce w usta zemdlonego. Widząc to, Herbert pobiegł na wybrzeże, przyniósł kilka złożonych muszli; marynarz wycisnął je do pierwotnie przyrządzonego soku i wlewał w usta inżyniera, który zdawał się połykać sok z chciwością.

Po chwili otworzył oczy. Nab i reporter pochyleni byli nad nim.

— Mój pan, mój ukochany pan! — krzyczał radośnie murzyn.

Cyrus Smith usłyszał te słowa a nadto poznał wszystkich towarzyszków i uściśnął ich dłonie.

I znów z ust jego wyszło kilka słów, zapewne tych samych, które już pierwej próbował wymówić. Dawaly one poznać, co nawet w owej chwili głównie zajmowało myśl jego. Teraz zrozumieli je wszyscy.

— Czy to ład, czy wyspa? — wyszeptał.

— A pal licho! — zawołał marynarz, nie mogąc powstrzymać tego marynarskiego wykrzykniku. — Co nas to obchodzi, byle pan nam żył, panie Cyrusie. Będzie dość czasu myśleć o tym!

Cyrus Smith skinął lekko głową; zdawało się, że zasnął.

Nie przerywali snu jego, i zaraz reporter zajął się obmyśleniem jak najwygodniejszego sposobu przeniesienia inżyniera do Kominów. Nab, Harbert i Penkroff wyszli z groty i skierowali kroki ku niezbyt odległemu wzgórzowi, na wierzchołku którego rosło kilka nędznych drzew; idąc, Penkroff powtarzał:

— To mi dopiero; tchu w nim prawie jeszcze nie ma, a on już łamie sobie głowę, czy to ład, czy wyspa. Szczególny człowiek!

Wyszedszy na szczyt wzgórza, zaczęli obłamywać największe gałęzie dość nędznej sosny karłowatej, z której urządzili rodzaj noszów, aby, nakrywszy je następnie mchem i trawą, przenieść inżyniera do Kominów.

Robota ta zajęła im przeszło pół godziny. Była już dzięsiąta, gdy powrócili do groty, w której Gedeon Spilett czuwał nad towarzyszem. Właśnie wtedy Cyrus Smith zaczynał budzić się ze snu, czyli raczej z senności, w jakiej był pogrążony; twarz dotąd martwo-błada zaczęła odzyskiwać zwykłą cerę. Uniósł nieco głowę, rozejrzał się wokoło, jakby pytając gdzie się znajduje.

— Czy możesz słuchać mnie bez znużenia? — zapytał reporter.

— Mogę — odpowiedział cicho.

— Moim zdaniem — rzekł marynarz — pan Smith daleko lepiej pana słuchać będzie, jeśli pierwej posili się moją przyprawką z tetrasów, do której teraz dołożę okruszynę mięsa.

Cyrus Smith przeżuł i wysał sok z odrobinek mięsa tetrasów, a resztę zabranego posiłku spożyli jego towarzysze, którym także głód dawał się odczuwać. Tym razem bardzo nędzne mieli śniadanie.

— Ha! trudna rada — rzekł marynarz. — W Kominach czeka nas lepszy posiłek, bo trzeba panu wiedzieć, panie inżynierze, że tam na południu mamy dom, złożony z kilku pokoiów, mamy łóżko i ogień, a w spiżarni kilka tuzinów ptaków, które młody nasz Harbert nazywa kuruku. Nosze już gotowe, jeśli więc czuje się pan na siłach, przeniesiemy pana do naszego mieszkania.

— Bóg wam zapłać, moi drodzy. Sądzę, że za parę godzin przyjdę o tyle do siebie, iż będziemy mogli opuścić grootę... A teraz, co chciałeś mówić, Gedeonie?

Reporter opowiedział mu wszystko, co zaszło od ostatecznego rozbicia się balonu, o którym Cyrus Smith nic już nie wiedział: ich dostanie się na tę pustą i nieznaną ziemię, o której nie umieli powiedzieć, czy była wyspą, czy lądem, odkrycie Kominów, poszukiwania, przedsiębrane dla odnalezienia go, nieograniczone przywiązanie poczwiwego Naba i jak wiele zawdzięczają zmyślności Topa.

— Więc — zapytał inżynier osłabionym głosem — więc to nie wy przynieśliście mnie tu z wybrzeża?

— Nie — odrzekł reporter.

— Jak daleko leży ta grota od skał nadbrzeżnych? — zapytał znowu.

— Blisko pół mili — odrzekł Penkroff — i wierzaj mi, że niemniej od ciebie jesteśmy zaciekawieni i zdziwieni, jakim sposobem mogłeś się tu dostać?

— Rzeczywiście, to rzecz szczególna, — rzekł inżynier, który coraz był rzeświejszy. — Nie mogę tego pojąć.

— Lecz czy nie mógłbyś powiedzieć nam, co się z tobą działo od chwili, gdy pęd wichru uniósł cię z łódki?

Cyrus Smith zamyślił się, ale mało co sobie przypominał. Wir wichru rozerwał siatkę i porwał go z łódki balonowej, a następnie zanurzył w głębokich falach morskich. Gdy wypłynął na powierzchnię, było prawie ciemno, nie widział więc, lecz czuł, że jakaś żyjąca istota porusza się koło niego; był to wierny Top, który pośpieszył mu z pomocą. Podniósł oczy w górę, nie dostrzegł już jednak balonu, który, uwolniony od podwójnego ciężaru, poleciał jak strzała. I znajdował się wśród rozhukanych bałwanów, pewnie w odległości

pół mili od brzegu; płynął, walcząc całą siłą ze wzburzonymi falami. Top trzymał go za suknie. Wtem zerwał się huragan, prąc go ku północy; jeszcze z jakie pół godziny walczył z rozszalałymi żywiołami, nareszcie poszedł na dno, pociągając psa za sobą. Od owego czasu aż do chwili, gdy ujrzał się wśród ukochanych towarzyszków, nic nie wie, co się z nim działo.

— Zdaje się, że bałwany musiały rzucić cię na wybrzeże, i miałeś jeszcze dość siły, aby dowlec się do tej groty, skoro Nab znalazł na piasku ślady twoich kroków — rzekł marynarz.

— Tak... zdaje się... zapewne — odrzekł, namyślając się inżynier. — Lecz, czy nie spotkaliście tu nigdzie żyjącej istoty, śladu pobytu człowieka?

— Nawet najmniejszego? — odrzekł reporter. — A zresztą, gdyby był zjawił się niespodziewany zbawca, czemużby cię tu porzucił, ocaliwszy od śmierci?

— Masz słuszość, przyjacielu. — A odwracając się do Naba, dodał: — Nabie, powiedz mi, proszę, czy to czasem nie ty... może potem straciłeś przytomność... może, ale nie! to niedorzeczność... nie podobna... Czyż owe ślady stóp pozostały gdzie dotąd? — zapytał.

— Tak, panie mój — odrzekł Nab. — Niedaleko wejścia do groty, w miejscu, które osłania przyległe wzgórze; inne wiatr i deszcz zatarły.

— Proszę cię, Penkroffie, weź moje obuwie i zmierz, czy całkiem przypada do pozostałych śladów.

Marynarz spełnił polecenie, Harbert poszedł z nim, Nab ich zaprowadził. Gdy odeszli, Cyrus Smith rzekł do reportera:

— W tym wszystkim jest coś dziwnie niepojętego.

— Rzeczywiście, lecz nie myślmy teraz o tym; wszystko zapewne wyjaśni się później.

Niezadługo powrócił marynarz z towarzyszami. Nie było wątpliwości, buty inżyniera doskonale pasowały do pozostałych jeszcze śladów. Tak więc Cyrus Smith musiał przechodzić tamtędy.

— Ha! — widać, że byłem pod wpływem halucynacji... i szedłem jak lunatyk, sam nie wiedząc, co robię... a Top, wiedziony instynktem, wyratował mnie z toni i tu przyprowadził. Chodź Top, chodź moje wierne psisko!

Szlachetne zwierzę poskoczyło ku panu, szczerząc, i radoowało się szczerze z otrzymanych pieszczot.

Każdy przyzna, że nie podobna było w inny sposób wytłumaczyć uratowania Cyrusa Smitha, musiano więc zasługę przyznać Topowi.

Okolo południa inżynier siłą woli zdołał podnieść się z mchowego łoża, ale był tak osłabiony, że sam nie mógł utrzymać się na nogach. Penkroff poprowadził go, wołając: — Lektyka dla inżyniera!

Wyżej wspomniane nosze stały przed grotą: były one miękko usłane mchem i długą trawą. Ułożono na nich jak najwygodniej Cyrusa Smitha i zwrócono się ku Kominom.

Wiatr dął jeszcze gwałtowny, ale deszcz przestał padać. Inżynier, leżąc, wsparł się na łokciu, rozglądając się po wybrzeżu, szczególnie zaś stronie przeciwległej morza. Milczał, lecz wpatrywał się bacznie i niezawodnie plan całej okolicy, wszelkie zmiany gruntu i lasy doskonale odrysowały się w jego pamięci. Po upływie dwóch godzin znużenie przemogło: opuścił głowę i zasnął.

Mieli osiem mil do przebycia, a że musieli iść wolno i nieraz zatrzymywać się dla odpoczynku, więc ledwie za sześć godzin mogli dojść do Kominów. Nareszcie o wpół do szóstej stanęli na miejscu. Cyrus Smith spał mocno; zwolna postawili nosze — nie obudził się.

Penkroff zadziwił się niewymownie, zobaczywszy dzieło zniszczenia, dokonane przez wczorajszą burzę. Tu i ówdzie leżały na wybrzeżu ogromne odłamy skał, grunt zasłany był grubym kobiercem z traw morskich, porostów i roślin wodnych. Widocznie morze, podniósłszy się ponad wybrzeże, dosięgało aż do stóp granitowego przedmurza.

Przed wejściem do Kominów grunt był głęboko poorany przez bałwany; tu i ówdzie potworzyły się wielkie wyrwy.

Penkroff zadrżał przerażony, straszne przeczucie ścisnęło mu serce — jednym tchem wpadł do korytarza, chwilę za ledwie tam zabawił, wybiegł i, stojąc nieruchomy, wlepił wzrok w towarzyszków...

Ani śladu ognia nie zostało. Zalany popiół zamienił się w błoto; próchno z bielizny, które miało służyć za hubkę, znikło bez śladu. Morze wdarło się do korytarzy i zniszczyło wszystko wewnątrz Kominów.

ROZDZIAŁ IX.

Cyrus da radę. — Próby Penkroffa. — Tarcie drzewa. — Wyspa, czy ląd stały. — Projekt inżyniera. — Gdzie się znajdują na Oceanie Spokojnym. — W lesie. — Sosny. — Polowanie na kable. — Dym.

Marynarz w kilku słowach opowiedział towarzyszom, co się stało. Wypadek ten mógł mieć nadzwyczaj ważne następstwa, toteż przykre w pierwszej chwili wywarł wrażenie na wszystkich.

Tylko jeden Nab, całkiem oddany radości, że nareszcie odzyskał ukochanego pana, nie zważał wcale na to, co mówił Penkroff.

Harbert podzielał w pewnej mierze niepokój marynarza, reporter zaś po chwili rzekł spokojnie:

- Doprawdy, Penkroffie, wszystko mi jedno.
- Jakto! czyż nie słyszałeś, że nie mamy ognia!
- Ba!
- Nie mamy żadnego sposobu rozpalenia go.
- Co znowu?
- Ależ panie Spilett...

— Alboż to nie mamy teraz naszego inżyniera? — odrzekł reporter. — Wszakże on żyje, a więc niezawodnie znajdzie sposób rozniecienia ognia.

— Ale jakim sposobem?

— To już jego rzecz.

Penkroff nic nie odpowiedział, gdyż i on także pokładał nieograniczone zaufanie w inżynierze. Cyrus Smith był dla nich ideałem doskonałości, uosobieniem wszelkich nauk i umiejętności. Być razem z Cyrusem na bezludnej wyspie, lub bez niego w najznakomitszym, najwięcej przemysłowym mieście Stanów Zjednoczonych — to na jedno wychodziło. Z nim niczego nie trzeba było się lękać, nie było czego rozpaczać. Gdyby ktoś przyszedł i powiedział tym poczciwym ludziskom, że nastąpi trzęsienie ziemi lub wybuch wulkanu, że cały ten ląd zapadnie się w morze, być może, iż odpowiedzieliby spokojnie: Cyrus Smith jest z nami! Idź pogadaj z nim o tym!

Teraz jednak inżynier znowu bardzo osłabł, gdyż przeniesienie nadzwyczajnie go zmęczyło; nie podobna było uciekać się do jego pomysłowości. Na domiar złego tetrasy były zjedzone, upolowane kuruku porwała woda i żadnych już

nie mieli zasobów, ani też ognia, by cokolwiek ugotować. Trzeba było coś obmyśleć.

Najpierw przeniesiono Cyrusa Smitha do głównego korytarza i tam usłano mu łożę z mchu i trawy morskiej. Towarzysze niedoli ułożyli go ostrożnie, gdyż wiedzieli, że mocny i spokojny sen lepiej go pokrzepi niż jedzenie.

Noc zapadła; z nią temperatura, oziębiona wiatrem północno-wschodnim, bardzo się obniżyła, a że fale morskie poznosiły przegrody, które marynarz budował tu i ówdzie, powstały tak wielkie przeciągi, że dalszy pobyt w Kominach stawał się nader niewygodny. Cyrus Smith znalazłby się w bardzo złych warunkach, gdyby towarzysze nie ogołocili się z części ubrania i nie pokrywali go, aby się nie przeziębił.

W dniu tym wieczerali bardzo skromnie, gdyż cały posiłek składał się tylko z litodomów, których Harbert i Nab nazbierali na wybrzeżu. Jako dodatek do tych mięczaków, młody Harbert przyniósł nieco porostów wodnych, zdatnych do jedzenia, a uzbieranych na wysokich skałach, które morze tylko podczas wielkich przypliwów zalewało. Porosty te wodne był to rodzaj sargasów, które, wysuszone, dostarczają materii kleistej, dość bogatej w pożywne pierwiastki. Reporter i jego towarzysze spożyli znaczną liczbę litodomów, a następnie wysysali sargasy, które im dosyć smakowały. Trzeba wiedzieć, że na wybrzeżach azjatyckich trawy te stanowią jeden z ważniejszych artykułów żywności miejscowej ludności.

Ale zimno stawało się coraz dotkliwsze, i na nieszczęście nie było na to rady. Marynarz próbował najrozmaitszych sposobów roznieciania ognia; Nab pomagał mu, jak mógł. Nazbierał suchego mchu i uderzał nad nim dwoma kamiami jeden o drugi; wprawdzie zaczęły powstawać iskry, ale mech, jako nie łatwo zapalny, nie zajął się, tym bardziej, że iskry te, które w rzeczywistości były tylko rozpalonym do białości krzemieniem, nie miały takiej siły, jak wytwarzające się ze stali w zwyczajnych krzesiwkach. Tak więc praca jego była daremna.

Penkroff, jakkolwiek nie wierzył w powodzenie tego środka, zaczął jednak trzeć bardzo mocno jeden o drugi dwa kawały suchego drzewa, jak to mają robić dzicy, chcący wzniecić ogień. Gdyby ruch, w jaki tym sposobem obaj z Nabem się uprawiali, zamienił się w ciepło, mogliby nim zape-

wne ogrzać kocioł maszyny parowej. Ale próba ta nie doprowadziła do niczego więcej, jak tylko do tego, że sami rozgrzali się daleko mocniej niż drzewo, które tak zawzięcie tarli.

Po godzinnej pracy, Pencroff, cały oblany potem, rzucił z gniewem drzewo, mówiąc:

— Do kroćset tysięcy! Kto potrafi teraz wmówić we mnie, że dzicy tym sposobem rozniecają ogień, potrafi także dokazać tego, że będzie gorąco wśród najcięższej zimy. Prędzej uwierzę, że ręce moje zapaliłyby się, gdybym je tak długo tarł jedna o drugą.

Ale marynarz mylił się; nie ulega wątpliwości, że dzicy zapalają drzewo, trąc silnie dwa kawałki drzewa jeden o drugi. Nie każdy jednak rodzaj drzewa nadaje się do tej operacji, a potem może nie umiał wziąć się do rzeczy.

Zły humor Penkroffa nie trwał jednak długo, a nawet, gdy marynarz spostrzegł, że Harbert wziął dwa rzucone przez niego kawałki drzewa i zaczął trzeć w najlepsze — nie mógł powstrzymać się od głośnego śmiechu, widząc, że taki młodzieniaszek chce dokazać tego, czego on nie mógł dokonać mimo swej olbrzymiej siły.

— Trzyj, mój chłopcze, trzyj choćby do jutra — wołał, śmiejąc się do rozpuku.

— Będę tarł przez pewien czas, lecz tego tylko pragnę, abym się rozgrzał tak jak ty; przestanę, gdy nie będę drzał z zimna.

— W takim razie masz słusność.

Na skutek tego tym razem trzeba się było wyrzec nadziei rozniecenia ognia. Gedeon Spilett powtórzył towarzyszom ze dwadzieścia razy, iż dla Cyrusa Smitha byłoby to igraszką — ale Cyrus Smith spał snem twardym. Nie było rady, udali się na spoczynek; Top rozciągnął się przy nogach pana.

Nazajutrz rano inżynier, obudziwszy się około godziny ósmej, ujrzał swoich towarzyszków, zgromadzonych około siebie; uśmiechnął się tedy do nich i znów zapytał:

— Wyspa czy ląd?

Wyraźnie myśl ta owładnęła całą jego istotą.

— Masz tobie! — zawołał wesoło Penkroff. — Alboż my możemy wiedzieć? Dowiemy się, gdy pan zostanie naszym sternikiem.

— Zdaje mi się, że mogę już spróbować sił swoich — rzekł i bez wielkiego trudu wstał.

— Wyśmienie! — zawołał marynarz.

— Głód był główną przyczyną mego osłabienia, dajcie mi się czym posiłnić, a przyjdę do siebie. — Wszak macie ogień?

Wszyscy milczeli. Po kilku dopiero chwilach Penkroff odpowiedział:

— Niestety! panie inżynierze, nie mamy ognia; czyli raczej mieliśmy, lecz już go nie ma.

I opowiedział wczorajsze wydarzenie. Zabawił bardzo inżyniera opowieścią o owej jednej, jedynej zapalce i o wczorajszych pokuszeniach wzniesienia ognia sposobem, praktykowanym u dzikich ludów.

— Pomyślimy o tym — odrzekł inżynier — a jeżeli nie wyszukamy czegoś, co by nam zastąpiło hubkę...

— Więc co? — zapytał marynarz.

— Więc narobimy sobie zapalek.

— Chemicznych?

— Tak, chemicznych!

— I tak sobie wywinie my je jak z płotka! — zawołał reporter, uderzając marynarza po ramieniu.

Penkroff sądził, że chyba nie przyjdzie to tak łatwo, lecz nic nie odpowiedział.

Działo się to dnia 28 marca. Jasne słońce weszło ponad widnokręgiem morza, roztaczając złote blaski na ściany otaczających skał. Rozbitkowie wyszli z Kominów.

Inżynier usiadł na skale i powiódł wzrokiem dokoła. Harbert podał mu parę garści czarnych ślimaków morskich, zdanych do jedzenia „i trochę saragasów, mówiąc:

— Oto wszystko, czym możemy panu służyć.

— Dziękuję ci, młodzieńcze, to dostateczne — przynajmniej na dziś rano.

I spożył z apetytem ten skromny posiłek, poczem napił się świeżej wody, której Nab zaczerpnął z rzeki dużą muszlą. Po śniadaniu rzekł do towarzyszków:

— Więc tedy, moi kochani, nie wiecie dotąd, czy los rzucił was na ląd, czy na wyspę?

— Nie wiemy, panie Cyrusie — odrzekł Harbert.

— Dowiemy się jutro — rzekł inżynier — teraz nie ma o czym myśleć.

— Przeciwnie — odparł Penkroff.

— Jakto?

— Trzeba myśleć o roznieceniu ognia — odrzekł marynarz, który nieustannie myślał o tym.

— Będzie i ogień — odpowiedział Cyrus Smith, a po chwili dodał. — Czy mi się zdaje, że wczoraj, gdyście mnie nieśli na noszach, widziałem ku wschodowi górę, panującą nad całą tą okolicą?

— Tak, i góra ta musi być dość wysoka...

— Dobrze, jutro wejdziemy na jej szczyt, aby się przekonać, czy ziemia ta jest lądem, czy wyspą; nie wiedząc o tym, nic przedsięwziąć nie można.

— Ależ można przynajmniej myśleć o roznieceniu ognia — zawołał marynarz.

— Bądź spokojny, Penkroffie, trochę cierpliwości, a będzie i ogień — rzekł Gedeon Spilett.

Marynarz spojrział na reportera z miną, zdającą się mówić: — No! jeżeli będziemy czekali, aż ty go zrobisz, to pewno długo nie pokosztujemy pieczeni — ale nic nie odpowiedział.

Cyrus Smith zamilkł i zamyślił się — widać kwestia ognia utkwiała mu w głowie. Po jakimś czasie rzekł:

— Moi przyjaciele, położenie nasze jest zapewne bardzo opłakane, ale nie ma tu znów nic nadzwyczajnego. Jedno z dwojga, albo znajdujemy się na lądzie stałym, a wtedy z mniejszymi, czy z większymi trudnościami dostaniemy się do zamieszkałego kraju — albo jesteśmy na wyspie. Jeżeli jest zamieszkała, postaramy się porozumieć z mieszkańcami, jeżeli jest bezludna, musimy sami sobie radzić.

— Rzecz prosta — rzekł marynarz.

— Ale jak myślisz, Cyrusie, czy to ląd, czy wyspa?

— Z pewnością nic jeszcze powiedzieć nie mogę; zdaje się jednak, że jest to ziemia, leżąca wespół Oceanu Spokojnego. Gdyśmy opuszczali Richmond, wiatr dął od północnego-wschodu, i sama gwałtowność jego dowodzi, że zapewne nie zmienił kierunku. Jeżeli kierunek ten utrzymał się z północnego-wschodu na południowy-zachód, przebyliśmy Stany Karoliny Północnej i Karoliny Południowej, Georgię, zatokę Meksykańską i część Oceanu Spokojnego. Odległość przebytą balonem obliczam na sześć do siedmiu tysięcy mil. A jeżeli wiatr zmienił się nieco, mógł ponieść nas ponad archipeląg Mendana; a nawet gdyby siła jego była większa, przypuszczam, że może zapędził nas aż na ziemie Nowej Zelandii. W tym

ostatnim razie nasz powrót do ojczyzny nie byłby trudny, gdyż spotkalibyśmy się albo z Anglikami albo z Maorysami, z którymi równie łatwo możemy się porozumieć. Jeśli, przeciwnie, wybrzeże to stanowi część bezludnej wyspy archipelagu, lub czego podobnego, co zapewne będzie można rozpoznać ze szczytu tej góry, panującej nad okolicą, wtedy trzeba nam będzie pomyśleć o urządzeniu się tak, jak gdybyśmy mieli pozostać tu na zawsze.

— Na zawsze!... powiedziałaś, na zawsze, Cyrusie! — zawołał reporter.

— Lepiej od razu przygotować się na gorsze, wtedy lepsze stanie się miłą niespodzianką — odrzekł inżynier.

— Dobrze pan mówi — zawołał Penkroff. — Możemy jednak pocieszać się nadzieją, że wyspa ta niekoniecznie ma być tak nadzwyczaj odległa od drogi, uczęszczanej przez okręty.

— Przede wszystkim musimy wejść na górę, bo wtedy dopiero będziemy mogli dowiedzieć się, czego należy się trzymać — odrzekł inżynier.

— Ale czy tak osłabiony, będzie pan w stanie przedsięwziąć zaraz jutro trudną wycieczkę? — zapytał Harbert.

— Tak sędzę: lecz pod warunkiem, że ty i Penkroff popiszecie się wielkimi myśliwskimi zdolnościami — odparł inżynier.

— Mówi pan o zwierzynie? — rzekł marynarz. — O! gdybym tylko mógł być pewny, że upolowawszy ją, będę miał przy czym upiec...

— Upoluj tylko, Penkroffie, o reszcie pomyślimy — rzekł inżynier.

Stało na tym, że Cyrus Smith i Gedeon Spilett pozostaną w Kominach, aby zbadać miejscowość, zaś Nab, Harbert i marynarz udadzą się do lasu, który raz już zwiedzali, aby nagromadzić jak największy zapas ptactwa i zwierzyny, jako też drzewa na opał.

Wszyscy trzech tedy wyszli około dziesiątej rano, ale każdy w innym usposobieniu: Harbert pełen nadziei, Nab uradowany, a Penkroff markotny mruczał sobie pod nosem:

— Jeśli za powrotem znajdę ogień w Kominach, to chyba piorun sam w swej osobie przyjdzie go zapalić...

Przeszli urwiste wybrzeże; stanąwszy przy skręćcie rzeki, marynarz rzekł do towarzyszków:

— Czymże będziemy pierwaj, drwałami czy myśliwymi?

— Myśliwymi — odrzekł Harbert — bo oto Top już nadstawia uszu.

— Polujmy więc, a następnie pomyślimy o drzewie. Teraz pójdźmy za Topem, który już coś goni w wysokich trawach.

Szli w prostym kierunku w głąb lasu i tu, tak jak za pierwszy raz w przeciwnej stronie, napotykali najwięcej drzew, należących do rodziny sosen. W niektórych miejscach drzewa były bardzo wielkie i pięknie rozwinięte, co zdawało się wskazywać, że okolica ta znajdowała się pod wyższym stopniem szerokości geograficznej, niż to mniemał inżynier. W innych leżało mnóstwo suchych drzew, mogących stanowić niewyczerpany zapas opału. Dalej las był tak gęsty, iż prawie nie podobna było go przebyć.

Dla zabezpieczenia się od zablakania, marynarz gałęziami wytykał przebywaną drogę. Ale może źle zrobili, nie idąc jak pierwszym razem z biegiem rzeki, gdyż tu nie spotkali żadnych zwierząt, a jeżeli zjawił się jaki ptak, to tak daleko i wysoko, że ani on, ani Top dotrzeć do niego nie mogli. Nawet kurukusy nie pokazywały się, sądzili więc, że pewnie wypadnie im wrócić do owej błotnistej części lasu, w której przedtem upolowali kilka cietrzewi.

— Ej, Penkroffie — rzekł Nab z odcieniem szyderstwa w głosie — coś do upieczenia zwierzyny, jaką dotąd upolowałeś, pan mój nie będzie potrzebował rozpalać wielkiego ognia.

— Cierpliwości Nabie — odparł marynarz — zobaczysz, że za powrotem na zwierzynie zbywać nam nie będzie.

— Więc nie ufasz mojemu panu?

— Co znowu?

— Ale nie uwierzysz, że rozpali ogień?

— Uwierzę, jak go zobaczę na ognisku.

— Zobaczysz, skoro mój pan tak powiedział.

— Będziemy to widzieli.

Tymczasem słońce coraz wyżej wzbijało się na niebie, a rozbitkowie coraz głębiej zapuszczali się w las. Harbert zrobił tu bardzo pożyteczne odkrycie, wynalazł bowiem drzewo, którego owoce zdatne były do jedzenia. Był to rodzaj sosny, rodzącej doskonale owoce, bardzo poszukiwane w sferach umiarkowanych Ameryki i Europy. Orzeszki były zupełnie dojrzałe, toteż na polecenie Harberta uraczyli się nimi dowoli.

— No! — rzekł Penkroff! — mamy porosty wodne zamiast chleba, ślimaki surowe zamiast pieczeni, a nawet orzechy na wety... Właśnie to obiad dla ludzi, nie mających ani jednej zapalki.

— Nie narzekajmy — rzekł Harbert.

— Ależ ja nie narzekam, mój chłopcze, mówię tylko, że pieczone mięso byłoby pożywniejsze i smaczniejsze.

— Co tam Top robi? — zawołał Nab, zdążając w stronę, w której pies, czekając, znikł w gęstwinie, gdzie także kwik słyszeć się dawał.

Marynarz i Harbert poszli za nim. Jeżeli pies wytropił zwierzynę, należało teraz myśleć nie o tym, jak ją upiec, ale o tym, żeby ją upolować. Wszedłszy w gąszcz, zobaczyli, jak Top szamotał się z jakimś czworonożnym stworzeniem. Był to rodzaj świni, dwie i pół stopy długi, maści czarnobrunatnej, pokryty ostrą, rzadką sierścią. Harbertowi zdawało się, że jest to kabia, jeden z największych przedstawicieli gryzoniów.

Kabia nie broni się nawet psu; wytrzeszczył głupowate wielkie oczy, osadzone w grubej warstwie tłuszczu, i nie ruszał się z miejsca. Może i psa, i ludzi widział po raz pierwszy.

Nab podniósł duży kij, który trzymał w ręku, aby nim uderzyć i zabić gryzonia, gdy ten wydarł się z zębów Topa, zostawiając mu tylko kawałek ucha, zakwiczał głośno, obalił Harberta, przeskoczył przez niego i uciekł w głąb lasu.

— A to łotr jakiś! — krzyknął Penkroff.

Wszyscy w ślad Topa pobiegli za zwierzem i już go doganiali, lecz zdążył wpaść do głębokiego bagniska, okolonego wickowymi sosnami.

Nab, Harbert i Penkroff stanęli nieruchomo, Top rzucił się do wody, ale kabia ukrył się w głębi bagna, tak że nie było go widać.

— Poczekajmy, nieza długo pokaże się na powierzchni, aby odetchnąć.

— Może utonie w tym bagnie? — rzekł Nab.

— Nie — odpowiedział Harbert — ponieważ ma nogi z płetwami i jest to zwierzę prawie ziemnowodne.

Top nie przestawał pływać; Penkroff, Nab i Harbert rozstawili się tak, aby zwierzęciu przeciąć odwrót, a pies szukał go w wodzie.

Harbert miał słuszną przeczucie — po kilku minutach zwierzę ukazał się na powierzchni: Top natychmiast rzucił się na niego,

nie pozwolił mu dać nura, i niezadługo kabia, wyciągnięty na wybrzeże, został ugodzony przez Naba śmiertelnym ciosem.

— Wiwat! — krzyczał Penkroff — dajcie mi rozżarzonych węgli, a zobaczycie, jak smacznie go przyprawię.

Nab wziął na plecy upolowaną zwierzynę, a marynarz, miarkując po słońcu, że musi być już druga godzina, zakomenderował odwrót.

Instynkt Topa ułatwił myśliwym powrót do Kominów: w pół godziny doszli do miejsca, w którym rzeka zwracała się w inną stronę. Teraz urządzili tratwę i, zapelniwszy ją drzewem, równie jak pierwszym razem spuścili na rzekę, chociaż Penkroff powtarzał ciągle, iż drzewo na nic się nie przyda, kiedy nie ma ognia.

Kiedy dochodzili do Kominów, nagle Penkroff krzyknął z całych sił i zaczął klaskać w dłonie.

— Patrzcie! patrzcie! — wołał.

— Nad skałami, górującymi nad Kominami, wznosiły się kłęby dymu, kreśląc w powietrzu różne zygzaki.

ROZDZIAŁ X.

Wynalazek inżyniera. — Pytanie, zajmujące wciąż Cyrusa Smitha. — Wycieczka na górę. — Las. — Grunt wulkaniczny. — Muflony. — Pierwsza płaszczyzna. — Noc. — Wierzchołek stożka.

W kilka chwil później trzej myśliwi stanęli przy jasno płonącym ognisku, przy którym zastali Cyrusa Smitha i reportera. Zdumiony Penkroff spoglądał na nich w milczeniu, trzymając kabie w ręku.

— Tak, tak, mój przyjacielu, to ogień, prawdziwy ogień; upieczemy przy nim tę wyśmienitą zwierzynę i spożyjemy ją ze smakiem.

— Ale któż go zapalił? — zapytał Penkroff.

— Słońce!!

Gedeon Spilett mówił prawdę, słońce zapaliło ten ogień, na który z takim zdumieniem Penkroff spoglądał, że nie dowierzał własnym oczom i, stojąc jak osłupiały, nie zapytał jakim sposobem.

— Więc miał pan przy sobie szkło pałace? — zapytał Harbert Cyrusa Smitha.

— Nie, moje dziecię — odpowiedział inżynier — ale urządziłem je sobie.

Mówiąc to, pokazał przyrząd, którym zastąpił szkło pałace: były to po prostu dwa szkiełka od zegarków, które napełnił wodą i, przyłożywszy do siebie, skleił ich brzegi gliną; tym sposobem urządził wyborne szkło pałace i za jego pomocą zapalił wysuszony mech, ześrodkowawszy na niego promienie słońca.

Marynarz obejrzał przyrząd, potem spojrzął na inżyniera, nie wymówiwszy ani słowa. Jakże wymowne było to spojrzenie! Znać było, że dla niego Cyrus Smith jest czymś więcej, niż człowiekiem. Na koniec, ochłonąwszy trochę ze zdumienia, zawołał:

— Proszę to zapisać, panie Spilett, proszę to zapisać na papierze.

— Już zapisałem — odpowiedział reporter.

Następnie Nab i Penkroff wypatroszyli kabię i, wsadzwszy go na rożen, upiekli jak zwyczajne prosię.

Kominy mogły znów służyć za mieszkanie, gdyż suty ogień ogrzewał przerynające je korytarze, a nadto porobiono w nich przepierzenia z piasku i kamieni, co dowodziło, że inżynier i reporter nie marnowali także dnia na próżno.

Cyrus Smith już prawie zupełnie odzyskał siły i wypróbował to zaraz, wchodząc na pochyłą płaszczyznę na znaczną wysokość. Gdy tam stanął, oko jego, przywykłe do oceniania wysokości i odległości, zatrzymało się długo na stożkowatym wierzchołku góry, na który chciał wejść nazajutrz. Góra, stercząca o sześć mil mniej więcej na północny-zachód, zdawała się wznosić na trzy tysiące pięćset stóp nad powierzchnią morza; tym sposobem, stojąc na jej wierzchołku, można było objąć okiem przestrzeń w obrębie pięćdziesięciu mil naokoło. Prawdopodobnie więc Cyrus Smith będzie mógł przekonać się z łatwością, czy znajdują się na stałym lądzie, czy też na wyspie, co słusznie bardzo uważał jak na teraz za najważniejszą kwestię.

Wieczera była wyśmienita. Uznano, że mięso kabii jest wyborne, a sargasy i orzeszki sosny, zwanej pinią, smakowały także wszystkim; głośno wyrażali swe zadowolenie, z wyjątkiem inżyniera, układającego plany na dzień następny.

Kilka razy Penkroff wypowiedział zdanie odnośnie do tego, co by nadal czynić wypadło, lecz Cyrus Smith potrząsnął tylko głową, powtarzając:

— Jutro będziemy już wiedzieli, czego się mamy trzymać, i stosownie do tego musimy postępować.

Po wieczery dołożono drzewa na ognisko, i mieszkańcy Kominów, nie wyłączając wiernego Topa, zasnęli głęboko. Żaden wypadek nie zamącił spokoju tej nocy i nazajutrz — 29 marca obudzili się rzeźwi i gotowi przedsięwziąć wy-cieczkę w celu przekonania się, jakie mogą mieć nadal nadzieje.

Przygotowano wszystko na drogę: resztki kabii mogły wystarczyć im jeszcze na dwadzieścia cztery godziny, a zresztą spodziewali się, że w drodze uda im się zaopatrzyć w żywność. Szkiełka wstawiono napowrót w zegarki inżyniera i reportera, Penkroff spalił trochę bielizny na próchno, mające zastąpić hubkę, krzemień zaś łatwo będzie można znaleźć na gruncie pochodzenia wulkanicznego.

O wpół do ósmej rano wyruszyli z Kominów z grubymi kijami w rękę. Stosownie do rady Penkroffa udano się znaną już drogą przez las, jako prosto prowadzącą do podnóża góry. Zwrócono się więc ku południowi, idąc lewym brzegiem rzeki aż do miejsca, w którym koryto jej odwracało się na południowy-zachód. Odnaleziono wkrótce ścieżkę wśród gęstwiny i o godzinie dziesiątej dostali się na zachodni kraniec lasu.

Grunt dość równy, z początku bagnisty, następnie suchy i piaszczysty, podnosił się teraz lekko, począwszy od wybrzeża w głąb łądu. Gdzieniegdzie dostrzegali wśród gęstwiny uciekające przed nimi zwierzęta. Top biegł za nimi, lecz pan odwoływał go natychmiast, uważając, że mają teraz ważniejsze zajęcie nad polowanie. Inżynier według swego zwyczaju dążył prosto do celu, i można było zapewnić, że obecnie nie zwracał uwagi ani na położenie okolicy, ani na płody. Głównym przedmiotem jego uwagi była góra, na której szczyt zamierzał wejść, i siedł do niej, na nic nie zważając.

O godzinie dziesiątej zatrzymano się trochę dla wypoczynku. Za lasem można już było poznać system orograficzny tej okolicy *). Góra składała się z dwóch stożków, z których pierwszy, wznoszący się na dwa tysiące pięćset stóp, z wier-

*) Orografia, opis zewnętrznych kształtów gór i dolin.

chołkiem płasko ściętym, opierał się na poprzecznie idących pasmach niższych gór, rozgałęzionych fantastycznie. Wśród tych gór ciągnęły się wąskie doliny, zarosłe gęsto drzewami, rosnącymi także na pochyłości pierwszego stożka aż do jego wierzchołka. Jednak od strony północno-wschodniej roślinność była nie tak silna, a głębokie wklęsnięcia w boku góry pozwoliłyby się domyślać, że tam kiedyś lawa spływała potokami.

Na pierwszym stożku opierał się drugi, z lekko zaokrąglonym i trochę skrzywionym szczytem, przypominającym okrągły kapelusz, włożony nieco na bakier. Cyrus Smith chciał dostać się na szczyt drugiego stożka.

— Jesteśmy na gruncie wulkanicznym — powiedział inżynier i wraz z towarzyszami zaczął wstępować na pochyły grzbiet góry, sięgającej pierwszej płaszczyzny.

Wszędzie na drodze spotykali ślady działania sił plutonicznych, liczne wypukłości gruntu, odłamy skał, bazaltu, pumeksu. Te same drzewa iglaste, które w wąwozach tworzyły gąszcz nieprzejrany, tu wyrastały miejscami tylko.

Zaledwie uszli kilkaset kroków, Harbert pokazał swym towarzyszom świeże ślady jakichś wielkich zwierząt; nie mogli z nich jednak poznać, do jakiego należały rodzaju.

— Zdaje mi się — rzekł Penkroff — że te zwierzęta nie łatwo ustąpią nam swego państwa.

— Być może — odpowiedział reporter, który już w Indiach polował na tygrysy a w Afryce na lwy — ale w takim razie postarajmy się o to, aby się pozbyć tak niemiłego sąsiedztwa; teraz zaś miejmy się na baczności.

Wycieczka była ciężka i nużąca: musieli często nakładać drogi, aby wyminąć niepodobne do przebycia miejsca. W południe zatrzymali się dla spożycia posiłku pod cieniem sosen, rosnących nad strumieniem, który z szumem toczył się w dolinę. Przebyli zaledwie pół drogi do pierwszej płaszczyzny, nie mogli więc mieć nadziei, że staną na niej przed zmrokiem.

Z wysokości, na której znajdowali się teraz, oczy ich mogły objąć ogromny przestwór morza, lecz ze wszystkich stron szczyty przyległych gór zasłaniały widok: nie można przeto było odpowiedzieć jeszcze na tak ważne dla nich pytanie, czy znajdują się na wyspie, czy na stałym lądzie.

O pierwszej godzinie wyruszyli dalej. Teraz musieli iść ukośnie na południowy-zachód i wkrótce znaleźli się w dość gęstym lasku, gdzie na gałęziach drzew spostrzegli duże

stado ptaków, podobnych do kur. Były to tragopansy, ptaki z rodziny bażantów, z mięsistym podgardlem u szyi, z walcowatymi różkami, obsadzonymi nad oczyma; samice miały jednostajne brunatne upierzenie, samce jaśniały pyszną barwą czerwoną, nakrapianą biało. Gedeon Spilett tak zręcznie cisnął kamień, że zabił jednego z tych ptaków. Ucieszyło to bardzo Penkroffa, którego apetyt zaostrzyło świeże powietrze.

Wyszędłszy z lasku, musieli iść przynajmniej sto stóp po nadzwyczaj stromym zboczach, podsadzając się wzajemnie, i tym sposobem dostali się na wyższą kondygnację, gdzie znów zwrócili się na wschód. Nakładali nieraz znacznie drogi, aby znaleźć mniej niebezpieczne miejsca. Nab i Harbert szli naprzód, za nimi Cyrus i reporter, a Penkroff na końcu. Zwierzęta, przebywające na tych wyżynach — a ślady ich spotykano wszędzie — mogły być tylko jakimś gatunkiem dzikich kóz, żyjących zazwyczaj w górach. Zobaczono ich kilka skaczących po górach, i Penkroff zawołał:

— Barany!

Wszyscy zatrzymali się mniej więcej o pięćdziesiąt kroków od małego stada dość dużych zwierząt o silnych, w tył zagiętych rogach, spłaszczonych na końcu, z długą i miękką wełną płowego koloru.

Nie były to jednak zwyczajne barany, lecz zwierzęta, żyjące w górach sfer umiarkowanych, które Harbert nazwał muflonami.

— Czy można z nich robić kotlety i pieczenie? — zapytał marynarz.

— Oczywiście — odpowiedział Harbert.

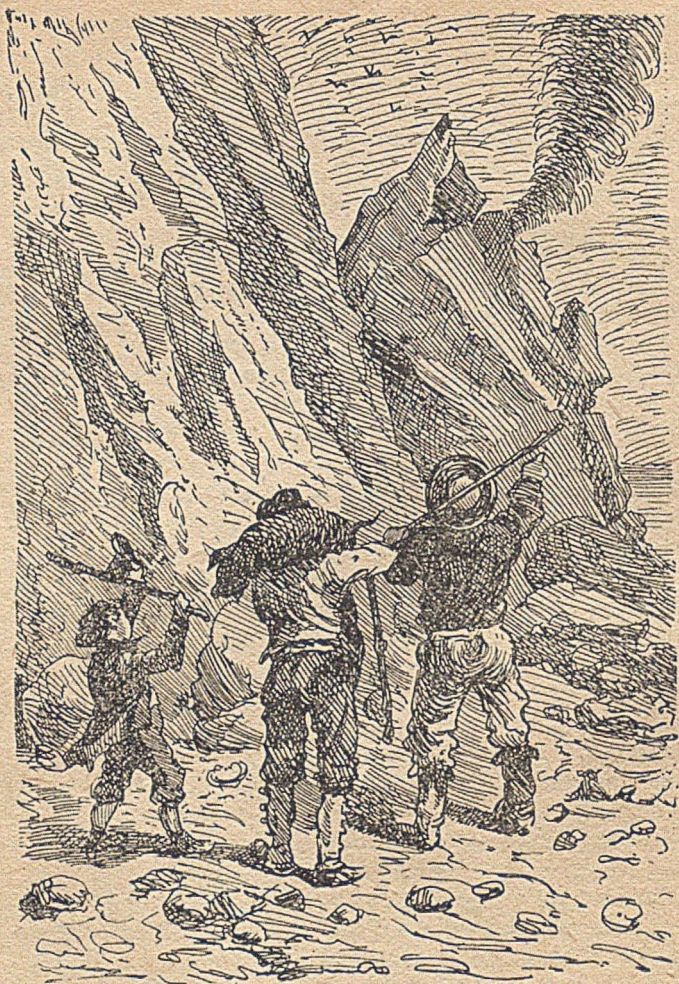
— No to są po prostu baranami — rzekł Penkroff.

Muflony stały nieruchomo wśród odłamów bazaltu, przyglądając się tak ciekawie podróżnym, że znać było, iż po raz pierwszy widzą ludzi; potem, jakby nagle wzbudziła się w nich obawa, uciekły szybko, skacząc po skałach.

— Do widzenia! — zawołał Penkroff, tak komicznym tonem, że Cyrus, Gedeon, Harbert i Nab nie mogli powstrzymać się od śmiechu.

Poszli dalej. Na niektórych zboczach dostrzegli ślady lawy, dziwacznie porysowanej. Małe, wygasłe wulkany zagradzały im niekiedy drogę, i musieli obchodzić naokoło.

W miarę, jak zbliżali się do płaszczyny, stanowiącej szczyt niższego stożka, coraz to większe musieli przewy-



Ponad skalami, górującymi nad Kominami, wznosiły się kłęby dymu różne kreśląc w powietrzu zygzaki ((str. 61).

ciężać trudności. Około czwartej minęli już pas, na którym rosły jeszcze drzewa; obecnie spotykali już tylko czasami karłowate i pokrzywione sosny, które jednak musiały być bardzo odporne, skoro mogły oprzeć się wiatrom, wiejącym na tak znacznej wysokości. Szczęściem dla naszych podróż-

nych czas był piękny i spokojny, gdyż wiatr, wiejący na wysokości trzech tysięcy stóp nad powierzchnią morza, byłby dla nich bardzo dokuczliwy. Niebo było pogodne i powietrze przejrzyste; słońca już nie widzieli, gdyż skryło się za wyższym stożkiem, który zasłaniał widnokrąg od zachodu, a cień jego olbrzymi sięgał aż do wybrzeża, przedłużając się jeszcze w miarę, jak słońce chyliło się ku zachodowi. Leciuchne jak mgła chmurki zaczęły pokazywać się na wschodzie, zabarwiając się pod działaniem promieni znikającej gwiazdy dziennej wszystkimi kolorami widma słonecznego.

Już tylko pięćset stóp dzieliło podróżnych od płaszczyny, na której chcieli noc przepędzić, lecz te pięćset stóp zamieniło się w dwa tysiące z powodu konieczności ciągłego zbaczania to w tę, to w ową stronę. Miejscami zbocze góry było tak strome, że ześlizgiwali się z niej, jeśli który postawił nogę na skruszałej już pod wpływem powietrza lawie. Noc prawie zapadła, gdy Cyrus Smith wraz ze swymi towarzyszami stanął wreszcie na płaszczyźnie, stanowiącej szczyt pierwszego stożka.

Zajęto się zaraz wyszukaniem miejsca, odpowiedniego na spoczynek. Wyższy stożek wznosił się na podstawie ze skał, wśród których łatwo znaleźli schronienie. Trudno im było o drzewo; można jednak było rozniecić ogień z mchu i suchych gałęzi krzaków, rosnących tu miejscami. Kiedy marynarz układał kamienie, aby na nich rozłożyć ognisko, Nab i Harbert poszli po mech i gałęzie i wkrótce przynieśli dostateczny ich zapas na całą noc. Skrzesał ogień, próchno się zatliło, Nab dmuchał na nie, i jasny płomień objął mech i gałęzie.

Ogień potrzebny im był tylko dla zabezpieczenia się od chłodu nocnego, gdyż resztki kabii i orzeszki pinii stanowiły ich wieczerzę. Bażanta zostawiono na dzień następny.

Po wieczerzy Cyrus Smith postanowił, pomimo zmroku, przekonać się, czy wyższy stożek będzie można obejść około jego podstawy na wypadek, gdyby wstęp na szczyt okazał się niepodobnym. Była to nader ważna dla niego sprawa, bo jeżeli nie będą mogli wejść na wierzchołek góry, ani okrążyć jej u podstawy, w takim razie cała zachodnia część okolicy pozostanie dla nich, przynajmniej do czasu, nieznaną i pomimo tylu poniesionych trudów w części tylko osiągną zamierzony cel.

Gdy Penkroff i Nab przygotowywali posłanie, a Spilett spisywał wypadki dnia ubiegłego, inżynier poszedł zwiedzić płaszczynę wraz z Harbertem, który pomimo zmęczenia towarzyszył mu chętnie.

Noc była cicha i jasna, łatwo więc mogli rozróżnić otaczające ich przedmioty. Miejscami płaszczyna była tak szeroka i równa, że z łatwością posuwali się naprzód, idąc obok siebie; gdzie indziej znów odłamy skał tak ją zacieśniały, że z trudnością było można przejść. Na koniec, po dwudziestu minutach drogi, Cyrus Smith i Harbert musieli się zatrzymać, gdyż boki stożków połączyły się z sobą, i znikła płaszczyna, oddzielająca je od siebie, a zbocze góry było tak strome, że nie można było się na nim utrzymać.

Już mieli zawrócić, gdy spostrzegli, że będą mogli wejść na wierzchołek wyższego stożka, łatwiej nawet niż na pierwszy. Przed nimi na boku góry znajdowała się głęboka rozpadlina, rodzaj czeluści, przez który wylewała się lava w stanie płynnym w czasie, gdy wulkan był jeszcze czynny. Stwardniała lava i zeskorupiała piana utworzyły rodzaj dość wygodnych schodów, ułatwiających wejście na sam wierzchołek.

Cyrus Smith poznał to za pierwszym rzutem oka i pomimo wzrastającej ciemności, bez wahania zapuścili się z Harbertem w tę rozpadlinę. Szczyt stożka wznosił się na tysiąc stóp nad ich głowami.

Nie można było wątpić, że główny wulkan już wygaśł zupełnie: najłżejszy nawet dymek nie wydobywał się z niego, żaden huk, żaden szmer nie wychodził z głębi tej bezdennej studni, dosięgającej być może aż do wnętrza ziemi. W powietrzu nie dawał się uczuwać najłżejszy zapach siarki. Był to wulkan nie uśpiony tylko, ale zupełnie zamarły.

W miarę, jak Cyrus i Harbert postępowali w górę, otwór krateru zdawał się rozszerzać nad ich głowami, i można powiedzieć, że za każdym krokiem nowe gwiazdy ukazywały się ich oczom.

O godzinie szóstej inżynier i Harbert stanęli wreszcie na szczycie stożka. Było już tak ciemno, że nie można było objąć okiem dwumilowej przestrzeni i nie podobna było przekonać się, czy morze otaczało dokoła tę nieznaną ziemię, czy też od zachodu łączyła się ona z jakimś lądem Oceanu Spokojnego. Ku zachodowi ciemna smuga, wyraźnie zarysowana na widnokregu, powiększała jeszcze ciemności, i najbystrzejsze oko nie zdołałoby dostrzec niczego w tym kierunku.

Wkrótce atoli w jednym punkcie widnokregu ukazało się nagle mdle światelko, zsuwające się powoli, w miarę jak ciemna chmura podnosiła się ku zenitowi.

Był to sierp księżycy zachodzącego już na nowiu, lecz światło jego oświetliło o tyle widnokrąg w tej stronie, że inżynier widział przez chwilę księżyc, odbijający się w przezroczu wody. Pochwycił rękę Harberta i rzekł poważnym głosem:

— Wyspa!

W tej samej chwili księżyc skrył się zupełnie.

ROZDZIAŁ XI.

Na szczycie stożka. — Wnętrze krateru. — Naokoło morze. — Zarysy wyspy z lotu ptaka. — Czy jest zamieszkała? — Chrzest zatok, przylądków, rzek i t. d. — Wyspa Lincoln.

W pół godziny później Cyrus Smith i Harbert wrócili do towarzyszków. Inżynier powiadomił ich, że znajdują się na wyspie i że nazajutrz obmyślą, co dalej wypada czynić. Każdy ułożył się do spoczynku, jak mógł najwygodniej, i „wyspiarze“ zasnęli głęboko, otoczeni bazaltowymi skałami, na wysokości dwóch tysięcy pięciuset stóp nad powierzchnią morza.

Nazajutrz, dnia 30 marca, po śniadaniu, złożonym jedynie z pieczonego bażanta, wyspiarze, za radą inżyniera, postanowili wejść na szczyt wulkanu, aby stamtąd uważnie zbadać położenie wyspy, na której może wypadnie im pozostać na całe życie, jeżeli była zbyt oddalona od zamieszkałej ziemi, lub' nie leżała na drodze, uczęszczanej przez statki, zwiedzające archipelagi Oceanu Spokojnego.

Okolo siódmej rano, opuścili obozowisko, nie troszcząc się zbyt o oczekującą ich przyszłość. Cyrus Smith wiedział, że potrafi wydrzeć tej dzikiej naturze to, co może być potrzebne do utrzymania życia tak jemu, jak jego towarzyszom; oni zaś ze swej strony nie obawiali się niczego dlatego właśnie, że Cyrus Smith był z nimi. Penkroff zaś odkąd zobaczył ogień, rozpalony przez inżyniera, nie lękałby się pozostać z nim na nagięj zupełnie skale.

— Co tam — powtarzał — wydobyliśmy się z Richmondu bez pozwolenia władz, czemuż nie mielibyśmy prędzej lub później opuścić miejsca, w którym z pewnością nikt nas nie będzie w stanie zatrzymać.

Cyrus Smith udał się tą samą drogą, którą szedł poprzednio. Czas był prześliczny, słońce wschodziło na wypogodzone niebo, ozłacając swymi promieniami wschodni stok góry.

Wnętrze krateru, jak mówiliśmy wyżej, nie było zbyt spadziste, wijące się stopniowo ku górze aż do wierzchołka, wyniesionego na tysiąc stóp ponad płaszczyznę, tworzącą szczyt pierwszego stożka. U dołu rozpadliny rozpościerały się szerokie strumienie zastygłej lawy i, wijąc się wężykowato po bokach góry, sięgały aż do dolin, ciągnących się w północnej części wyspy.

Podróźni nasi dość łatwo wspinali się w górę. Widać tam było ślady lawy zastygłej już bardzo dawno, która prawdopodobnie wypływała przez wierzchołek stożka, dopóki nie utorowała sobie drogi przez rozpadlinę, otwartą w jego boku.

Nie podobna było zbadać głębokości komina wulkanicznego, stanowiącego związek między wnętrzem ziemi i kraterem gdyż oko gubiło się w ciemnościach. To jednak było niewątpliwe, że wulkan wygaśł już zupełnie.

Przed ósmą wyspiarze stanęli na wierzchołku krateru i weszli na stożkowaty pagórek, sterczący na jego brzegu.

— Morze! wszędzie morze! — zawołali razem, jakby nie mogąc powstrzymać okrzyku, stwierdzającego ich odosobnienie od reszty świata.

Rzeczywiście, nieprzejrzany wzrokiem bezmiar morza rozciągał się dokoła. Być może, że nawet Cyrus Smith, wchodząc powtórnie na szczyt krateru, pocieszał się jeszcze nadzieją, iż dostrzeże jakiś ląd lub wyspę, której nie mógł dostrzec wśród ciemności. Teraz jednak przekonał się, że w promieniu pięćdziesięciu mil nie było nigdzie ziemi i ani jeden żagiel nie zjawił się na tej rozległej przestrzeni wód.

Tak inżynier jak i towarzysze jego, milczący i nieruchomi, długo śledzili wzrokiem ocean aż do krańców widnokregu, lecz nawet Penkroff nic dostrzec nie zdołał, choć posiadał wzrok tak doskonały, że można by sądzić, iż w miejsce oczu miał osadzone dwa wyborne teleskopy.

Z oceanu przenieśli wzrok swój na wyspę, którą dokładnie mogli widzieć, stojąc na tak znacznej wyniosłości. Po jakimś czasie Gedeon Spilett przerwał milczenie pytaniem:

— Jaka może być rozległość tej wyspy?

Cyrus Smith przyjrzał się bacznie jej brzegom i obliczył w myśli jej obwód, mając na względzie wysokość, na której się znajdowali.

— O ile się zdaje, nasza wyspa musi mieć więcej niż sto osiemdziesiąt kilometrów obwodu.

— A więc jej powierzchnia?...

— Trudno to oznaczyć z tego powodu, że brzegi wyspy są dziwacznie zarysowane.

Jeżeli Cyrus Smith obliczył dobrze, to wyspa musiała mieć mniej więcej tę samą rozległość, co Malta lub Zante na morzu Śródziemnym, tylko że brzegi jej nie były tak symetryczne. Kształt wyspy był tak dziwaczny, że kiedy Gedeon Spilett odrysował jej kontury, uznano jednogłośnie, iż była podobna do jakiegoś chyba zwierzęcia przedpotopowego, drzemiącego pod powierzchnią wód.

Musimy koniecznie poznać dokładnie kształt wyspy, opiszemy go więc podług mapy, narysowanej przez reportera.

Wschodnia część wybrzeża, ta, na której podróżni wyładowali, była szeroko wyszczerbiona i obejmowała swymi ramionami obszerną zatokę, zakończoną w południowo-wschodniej stronie przylądkiem, wpadającym w nią i spiczasto zakończonym. W północno-wschodniej dwa inne przylądki zamykały zatokę, a między nimi ciągnęła się wąska odnoga, co, razem wzięte, przypominało otwartą paszczę jakiejś żarłocznej ryby.

Od północno-wschodniej aż do północno-zachodniej strony wybrzeże zaokrąślało się jakby spłaszczona czaszka dzikiego zwierzęcia. Od tego punktu wybrzeże ciągnęło się dość symetrycznie od północy i południa i było przecięte wąską przystanią, od której zwęzało się w długi język ziemi, podobny do ogona olbrzymiego aligatora.

Język ten tworzył półwysep, na przeszło trzydzieści mil wpadający w morze i, zaokrąglając się, formował szeroką i otwartą przystań.

Wyspa w najwęższym miejscu, to jest począwszy od Kominów aż do leżącej równoległe z nimi zatoki na zachodnim wybrzeżu, miała tylko dziesięć mil szerokości, lecz

w najszerszym, to jest od wspomnianej paszczy rybiej w północno-wschodniej stronie, aż do końca ogona aligatora w południowo-zachodniej, liczyła najmniej trzydzieści mil.

Powierzchnia wyspy w swej części południowej, była pokryta gęstym lasem, od północy zaś piaszczysta i jałowa. Pomiędzy wulkanem o wschodnią częścią wybrzeża wyspiarze ze zdziwieniem spostrzegli duże jezioro, otoczone drzewami. Patrzącym na jezioro z tej wysokości zdawało się, że leży na tym poziomie, co morze, lecz inżynier, przypatrzywszy mu się lepiej, oznajmił, że jest wyniesione o jakie trzysta stóp nad poziom morza, gdyż leży na wysokiej płaszczyźnie, ciągnącej się od wybrzeża.

— Więc to jezioro zawiera wodę słodką? — zapytał Penkroff.

— Bez wątpienia — odpowiedział inżynier — gdyż, jak się zdaje, zasycą je woda, spływająca z gór.

— Widzę nawet rzeczkę, wpadającą do niego — odezwał się Harbert, wskazując strumień, wypływający ze wzgórz, ciągnących się na zachodzie.

— Masz słuszność — odpowiedział Cyrus Smith. — Skoro zaś strumień ten zasila ciągle jezioro, to prawdopodobnie od strony morza musi być jakiś naturalny odpływ, chroniący jezioro od przepelnienia. Zobaczymy to, wracając.

Prócz jeziora, dawniej już odkrytej rzeki i strumienia, mieszkańcy wyspy nie widzieli już nigdzie większego zbiornika wody; możliwe jednak, iż były jeszcze inne rzeki, kryjące się wśród ogromnego lasu, pokrywającego dwie trzecie wyspy. Co do jej północnej części, nigdzie nie było nawet śladu wody bieżącej; może gdzie wśród bagien w północno-wschodniej stronie były jakie zbiorniki wody stojącej, których dojrzeć nie mogli, ale obecnie widzieli tylko piaszczyste wzgórza i płaszczyny, pozbawione prawie roślinności; tylko na północno-wschodniej stronie szeroki potok zastygłej lawy dochodził aż do zatoki morskiej.

Cyrus Smith wraz z towarzyszami więcej niż godzinę zostali na wierzchołku góry, skąd dokładnie mogli objąć wzrokiem całą wyspę. Teraz pozostawało do rozwiązania jedno tylko pytanie, od którego po części zależała ich przyszłość, to jest: czy wyspa jest zamieszкана? Lecz z tego, co dotąd już widzieli, zdawało się, że można było na nie odpowiedzieć przecząco.

Nigdzie nie mogli dostrzec ani chaty, ani żadnego dzieła rąk ludzkich; nigdzie w powietrzu nie było widać dymu, zdradzającego obecność człowieka. Wprawdzie nawet bystry wzrok Penkroffa nie byłby zdolny dostrzec chaty, stojącej na najodleglejszym punkcie wybrzeża; nie można także było wiedzieć, czy wśród lasu nie kryją się mieszkania ludzkie, ale w ogóle mieszkańcy wysp Oceanu Spokojnego zakładają swe siedziby nad brzegami morza, a tu wybrzeża wydawały się całkiem puste.

Zgodzono się, że prawdopodobnie wyspa była bezludna; ale czy do niej nie przyplływali czasem mieszkańcy wysp sąsiednich? Na to pytanie trudno było odpowiedzieć. Wprawdzie na pięćdziesiąt mil w koło nie widać było ziemi, ale pięćdziesiąt mil łatwo można przebyć w wielkich łodziach malajskich lub w polinezyjskich pirogach. Wszystko więc zależało od położenia wyspy, od jej osamotnienia wśród oceanu, lub sąsiedztwa z jakimś archipelagiem. Podobna wątpliwość nakazywała im przedsięwziąć pewne środki ostrożności dla zabezpieczenia się na wypadek, gdyby dzicy wylądowali na wyspie.

Poznali już położenie wyspy, posiadali jej plan, skreślony przez reportera, postanowili jeszcze zbadać, jakimi minerałami, roślinnością i zwierzętami obdarzyła ją natura.

Przed powrotem do doliny Cyrus Smith odezwał się do towarzyszków poważnym i spokojnym głosem:

— Oto, przyjaciele moi, roztacza się u stóp naszych mały zakątek ziemi, na który rzuciła nas ręka Wszchemocnego. Długo tu a może i na zawsze pozostaniemy, jeżeli nie przyjdzie nam z pomocą statek, przypadkiem zablakany na tych wodach... Mówię zablakany, gdyż nasza wyspa nie posiada nawet portu, mogącego służyć za przystań dla okrętów, i lękam się bardzo, czy nie leży z dala od dróg, uczęszczanych przez żeglarzy, bo jest zanadto wysunięta na południe dla statków, zwiedzających archipelagi Oceanu Spokojnego, zanadto zaś na północ dla udających się do Australii około przyłodka Horn. Nie chcę taić przed wami przykrości naszego położenia.

— I masz słuszość, kochany Cyrusie — przerwał mu żywo reporter — wszakże nie jesteśmy dziećmi. My pokładamy w tobie ufność, a ty w każdym razie możesz liczyć na nas. Wszak prawda, towarzysze?

— Chętnie będę spełniał rozkazy pana — odezwał się Harbert, ściskając rękę inżyniera.

— Przez całe życie będę posłusznym i wiernym sługą mego ukochanego pana — zawołał Nab.

— Co do mnie — rzekł marynarz — niech zapomnę swego nazwiska, jeżeli nie będę pracował zawsze ochoczo. Gdyby pan tylko chciał, panie Smith, zrobilibyśmy z tej wyspy małą Amerykę. Pobudujemy miasta, porobimy drogi żelazne, pozakładamy telegrafy, a gdy już będzie zupełnie przeistoczona, zagospodarowana, ucywilizowana, podarujemy ją rządowi Unii! Czynię tylko jedno zastrzeżenie.

— Jakie? — zapytał reporter.

— Abyśmy się już nie uważali za rozbitków, lecz za kolonistów, którzy przybyli tu założyć kolonię.

Cyrus Smith uśmiechnął się, i wniosek marynarza przyjęto jednogłośnie. Następnie inżynier podziękował towarzyszom, dodając, że liczy na ich wytrwałość i pomoc Opatrzności.

— A więc w drogę do Kominów? — zawołał Penkroff.

— Jeszcze chwilkę, przyjaciele — odpowiedział Cyrus. — Zdaje mi się, że wypada wymyśleć nazwę dla naszej wyspy, jako też dla przylądków, zatok, rzek i wszystkich główniejszych części tej ziemi.

— Masz słuszną — odpowiedział reporter — tym sposobem łatwiej nam będzie wydawać i wykonywać różne polecenia.

— Rzeczywiście — odpowiedział marynarz — już i to wiele znaczy, gdy można powiedzieć, dokąd idziemy lub skąd wracamy.

— Teraz na przykład możemy powiedzieć: idziemy do Kominów — rzekł Harbert.

— Ma się rozumieć — odpowiedział Penkroff — wszakże z tym dogodniej i nazwa bardzo stosowna. Panie Cyrusie, czy miejsce, gdzie założyliśmy nasze obozowisko, i nadal zatrzyma nazwę „Kominy“?

— Bez wątpienia, Penkroffie, skoro je tak nazwałś.

— Wybornie! Inne miejscowości z łatwością nazwiemy — mówił dalej marynarz — ochrzcijmy je tak, jak Robinson, o którym Harbert czytał mi nieraz. Możemy mieć zatokę Opatrzności, cypel Potfisz, przylądek Omylonej Nadziei...

— Lepiej będzie nadać im nazwiska pana Smitha, pana Spiletta, Naba — powiedział Harbert.

— Jakto? moje nazwisko? — zawołał Nab, pokazując białe swe zęby.

— Czemu nie — odpowiedział Penkroff. — Na przykład port Naba, wszakże to brzmi bardzo pięknie! Albo też przylądek Gedeona.

— Co do mnie — rzekł reporter — wolalbym wziąć nazwiska miejscowości, znanych w naszym kraju, które by nam przypominały Amerykę.

— Zgadzam się na to co do miejsc znaczniejszych — rzekł Cyrus Smith. — Możemy, na przykład, tę wschodnią zatokę nazwać zatoką Unii; tę drugą, na południu, zatoką Washingtona; górę, na której stoimy, górą Franklina; błyszczące tam jezioro, jeziorem Granta — te nazwy przypominać nam będą nasz kraj rodzinny i wielkich jego obywateli. Ale dla rzek, mniejszych zatok i przylądków, wybierzmy nazwy, przypominające ich kształty. Będą praktyczniejsze i prędzej wbiją się nam w pamięć, a dziwny kształt wyspy ułatwi ich wyszukanie. Różne nieznanne nam części lasu, rzeki lub przystanie nazywać będziemy w miarę, jak je poznamy. Czy zgadzacie się na to?...

Towarzysze inżyniera chętnie poszli za jego radą. Cała wyspa roztaczała się przed ich oczyma, pozostawało więc tylko nadawać kolejno nazwy wszystkim znaczniejszym jej częściom. Gedeon Spilett spisywał jedne po drugich, i geograficzna nomenklatura wyspy została ułożona.

Naprzód stosownie do życzenia inżyniera zapisywano nazwy zatoki Unii, zatoki Washingtona i góry Franklina, oznaczając nimi wskazane już przez niego miejscowości.

— Teraz — rzekł reporter — według mnie, warto by nazwać półwysep, wybiegający w morze od południowo-zachodniej strony, półwyspem Wężowatym, a zakończający go przylądek w kształcie zakręconego ogona gadu, przylądkiem Gadu (Reptile-End).

— Zgoda — rzekł inżynier.

— Ten drugi zaś kraniec wyspy — rzekł Harbert — tak podobny do otwartej paszczy, nazwijmy zatoką Rekina (Shark-gulf).

— Dobrze pomyślane — zawołał Pencroff. — A dla uzupełnienia obrazu, niech dwie części paszczy noszą nazwę przylądka Szczęki (Mandible cap).

— Wszakże są tam dwa przylądki — rzekł reporter.

— Nic to nie szkodzi — odrzekł Penkroff — będziemy mieli dwa przylądki Szczęki, północny i południowy.

— Już zapisane — powiedział Gedeon Spilett.

— Trzeba teraz ochrzcić cypel na południowo-wschodniej stronie wyspy — rzekł Penkroff.

— Czyli kraniec zatoki Unii — poprawił go Harbert.

— Niech się nazywa Szpony — zawołał Nab, chcąc być także chrzestnym ojcem jakiejś części wyspy.

Trzeba przyznać, że Nab wyborną znalazł nazwę, gdyż rzeczywiście ten przylądek podobny był bardzo do potężnych szponów fantastycznego zwierza, którego całe ciało wyobraża wyspa swym dziwnym ukształtowaniem.

Rzeka, dostarczająca kolonistom wody słodkiej, przy której zostali wyrzuceni z balonu, została nazwana rzeką Miłosierdzia (Mercy). Tym sposobem składali podziękowanie Opatrzności.

Nadbrzeżna wysepka otrzymała nazwę wysepki Wybawienia (Safety—Island).

Plaszczyznę, wieńczącą wysokie granitowe mury ponad Kominami, z której można było objąć wzrokiem całą wielką zatokę, nazwano plaszczyzną „Pięknego Widoku“.

— Na koniec nieprzejrany las, pokrywający półwysep Wężowaty, otrzymał nazwę lasu (Far—West) Dalekiego Zachodu.

Wszystko więc było skończone, i koloniści mieli już schodzić z góry Franklina, aby powrócić do Kominów, gdy Penkroff zawołał:

— Jak wielkimi jesteśmy roztrzepańcami.

— Dlaczego? — zapytał Gedeon Spilett, zamykając notatnik.

— A nasza wyspa! Zapomnieliśmy ją ochrzcić.

Harbert miał już doradzić, aby jej nadano imię inżyniera, na co jego towarzysze zgodziliby się chętnie, gdy Cyrus Smith powiedział:

— Niech wyspa nasza nosi nazwisko wielkiego naszego obywatela, który obecnie walczy w obronie jedności Rzeczypospolitej Amerykańskiej! Nazwijmy ją wyspą Lincolna!

Potrójne wiwat było odpowiedzią na propozycję inżyniera.

Tegoż wieczora, po powrocie do Kominów, koloniści rozmawiali długo o rodzinnej ziemi, o strasznej, niszczącej ją wojnie; nie powątpiewali ani na chwilę, że Południowcy

zostaną wkrótce pokonani, że Północ, że sprawiedliwość triumfować będzie, dzięki Grantowi, dzięki Lincolnowi!

Działo się to 30 marca, i żaden z nich nie mógł się domyśleć, że w szesnaście dni później straszna zbrodnia zostanie popełniona w Washingtonie, że w wielki piątek Abraham Lincoln przestanie żyć, ugodzony kulą mordercy fanatyka *).

ROZDZIAŁ XII.

Regulowanie zegarka. — Penkroff zadowolony. — Podejrzany dym. — Wycieczka. — Flora wyspy. — Fauna. — Bażanty. — Ściganie kangurów. — Aguty. — Jezioro Granta. — Powrót do Kominów.

Koloniści wyspy Lincolnna raz jeszcze dokoła rzucili oczyma, obeszlili krater, a w pół godziny później stanęli już na niższej płaszczyźnie, gdzie przepędzili noc ubiegłą.

Penkroff był zdania, że czas już było pomyśleć o śniadaniu; spojrzano na zegarki i wtedy dopiero pomyślano o ich uregulowaniu.

Jak wiadomo, zegarek Gedeona Spiletta nie był uszkodzony przez wodę morską, gdyż reporter upadł na suchy piasek. Był to wyborny chronometr kieszonkowy, który Gedeon nakręcał codziennie regularnie o tej samej godzinie.

Zegarek inżyniera stanął wtenczas, gdy właściciel jego leżał na wydmach piaszczystych. Inżynier nakręcił go teraz, a wnosząc z wysokości słońca, że musi być około dziewiątej, nastawił wskazówki na tę godzinę.

Gedeon Spilett chciał pójść za jego przykładem, lecz inżynier zatrzymał jego rękę, mówiąc:

— Nie trzeba, kochany Gedeonie, wstrzymaj się jeszcze. Wszakże zegarek twój wskazuje godzinę, jaka obecnie jest w Richmond?

— Tak, Cyrusie.

— A więc jest naregulowany podług południka tego miasta, różniącego się mało od południka Washingtonu?

— Bez wątpienia.

* Lincolnna zamordował w teatrze w Washingtonie aktor J. Booth, sprzyjający Południowcom.

— W takim razie pozostaw go tak, jak jest, tylko nakreślaj regularnie; może nam się to przydać.

— Nie pojmuję na co — pomyślał Penkroff.

Śniadanie spożyto z takim apetytem, że nie pozostało już nic ze zwierzyny, ani też orzechów, lecz Penkroff nie troszczył się o to wiele, gdyż sądził, że w drodze uda im się coś upolować przy pomocy Topa, który teraz bardzo małą otrzymał porcję i podniecony głodem potrafi wyszukać jakiego zwierza w zaroślach u stóp góry. Prócz tego marynarz zamierzał prosić inżyniera, aby dostarczył prochu i parę dubeltówek, i był przekonany, że otrzyma to z największą łatwością, bo wszakże już pan Smith potrafił promieniem słońca zapalić ognisko.

Po śniadaniu Cyrus Smith zaproponował, aby inną drogą wracać do Kominów. Pragnął poznać jezioro Granta, przedstawiające się tak pięknie wśród pysznych drzew, otaczających go w koło; zeszli więc na pasmo niższych, poprzecznie ciągnących się gór, służących stożkom za podstawę, wśród których prawdopodobnie brał początek strumień, zasilający jezioro. Koloniści uradzili, rozmawiając, że choć nie ma konieczności, aby wszyscy szli razem, jednak lepiej, gdy jedni od drugich nie będą oddalali się zbyt znacznie. Prawdopodobnie w tych gęstych lasach musiały znajdować się dzikie zwierzęta; sama roztropność nakazywała zachować ostrożność. Najczęściej Penkroff, Harbert i Nab szli naprzód, a przed nimi biegł Top, zaglądając w każdy zakątek. Inżynier i reporter szli obok siebie. Gedeon Spilett trzymał w ręku notatnik, aby zapisać natychmiast każde ważniejsze odkrycie lub zdarzenie. Cyrus Smith, milcząc, spoglądał w koło i niekiedy zbacał trochę z drogi, aby drobny przedmiot podnieść z ziemi, przyjrzeć mu się i, nie mówiąc ani słowa, schować do kieszeni.

— Co on u licha zbiera tak starannie? — powtarzał Penkroff. — Patrzę i patrzę, a nie widzę nic takiego, po co warto by się schylić.

Około godziny dziesiątej koloniści dochodzili już do podnóża góry Franklina, gdzie spotykali tylko krzaki i zaledwie gdzieś drzewa.

Cyrus Smith sądził, że bez żadnego wypadku dojdą do strumienia, który, jak mniemał, musiał płynąć pod drzewami przy końcu doliny. Wtem zobaczył Harberta, powracającego

śpiesznie, a jednocześnie Nab i marynarz skryli się za skałami.

— Cóż się to stało, Harbercie? — zapytał reporter.

— Dym — odpowiedział Harbert — zobaczyliśmy dym, wychodzący spomiędzy skał o jakie sto kroków przed nami.

— Co! mielibyśmy znaleźć tu ludzi?! — zawołał reporter.

— Nie pokazujemy się, dopóki nie będziemy wiedzieli, z kim mamy do czynienia — odpowiedział Cyrus. — Więcej obawiam się, niż pragnę spotkać się z mieszkańcami tej wyspy, jeżeli tylko są tu rzeczywiście. Gdzie jest Top?

— Top pobiegł naprzód.

— I nie szczeka?

— Nie.

— Dziwna rzecz. Spróbujmy go przywołać.

Niebawem inżynier, reporter i Harbert połączyli się z towarzyszami i równie jak oni skryli się za odłamami bazaltu.

Stojąc tam, widzieli wyraźnie słupy żółtawego dymu, wzbijające się w powietrze.

Inżynier lekkim świnięciem przywołał Topa i, dawszy znak towarzyszom, aby na niego zaczekali, wsunął się między skały.

Koloniści z pewnym niepokojem oczekiwali skutków tego badania. Cyrus Smith zawołał na nich. Pobiegli i zatrzymali się nagle, poczuwszy niemiłą woń, roztaczającą się w powietrzu, po której inżynier poznał od razu, że nie mają się czego obawiać.

— Ten ogień, czyli raczej dym — rzekł do przybyłych — nie zwiastuje nam obecności człowieka, lecz źródło siarczanę, którym będziemy mogli leczyć wszelkie przypadłości kataralne.

— Wybornie — zawołał Penkroff — żałuję doprawdy, że nie mam kataru!

Zbliżyli się do miejsca, z którego dym wychodził, i spostrzegli między skałami źródło, które wydawało silną woń siarkowodoru.

Cyrus Smith skosztował tej wody i stwierdził, że miała smak słodkawy. Co do temperatury, oznaczył ją na dziewięćdziesiąt stopni Fahrenheit'a (35° Celsjusza ponad zero). Gdy Harbert zapytał go, jakim sposobem mógł to obliczyć, odpowiedział:

— Bardzo łatwym, mój chłopcze. Gdy zanurzyłem rękę w tej wodzie, nie czułem ani zimna, ani ciepła, co dowodzi, że temperatura jej jest równa temperaturze ciała ludzkiego, oznaczonej mniej więcej na dziewięćdziesiąt pięć stopni.

Opuścili wkrótce źródło siarczane, które obecnie było dla nich całkiem bezużyteczne, i zwrócili kroki do lasu, rozpoczynającego się o kilkaset kroków dalej.

Tam, jak się tego domyślano, strumień toczył swe bystre i przejrzyste wody wśród wysokich brzegów z czerwonej ziemi, której kolor zdradzał obecność tlenku żelaza. Kolor ten tak uderzał w oczy, że strumień otrzymał nazwę Czerwonego Strumienia.

Był to strumień szeroki, głęboki i przezroczysty, utworzony z wód, spływających z gór, który miejscami płynął wartko, miejscami toczył się wolno po piasku, to z hukiem uderzał o skały, gdzieniegdzie tworzył szumiące kaskady. Dążył on do jeziora, odległego o półtorej mili. Woda w nim była słodka, to jest zdatna do picia, trzeba więc było wnosić, że taka sama napelniała jezioro. Byłoby to nader ważne odkrycie, w razie gdyby w tej stronie znaleziono mieszkanie, dogodniejsze niż Kominy.

Kilkaset sztuk drzew, rosnących w dole strumienia i ocieniających jego brzegi, należało po większej części do gatunków, rosnących w umiarkowanych strefach Australii i Tasmanii, a nie do drzew, pokrywających poznaną już pierwszej części wyspy, o kilka mil od płaszczyzny „Pięknego Widoku“. W kwietniu, który na tej półkuli jest tym, czym u nas październik, to jest początkiem jesieni, jeszcze gęsto pokrywały je liście. Były tam kazuaryny, eukaliptusy, a z tych niektóre miały na wiosnę dostarczyć kolonistom słodkiej manny, zupełnie podobnej do manny wschodniej. Kępy cedrów australijskich rosły na małych łączkach, pokrytych wysoką trawą, zwaną w Nowej Holandii „tussak“; zdawało się jednak, że na wyspie nie było wcale kokosów, tak obficie rosnących na archipelagach Oceanu Spokojnego. Może klimat był tu dla nich za chłodny.

— Co za szkoda — rzekł Harbert. — Brak nam drzewa, tak użytecznego i wydającego tak piękne orzechy.

Co do ptaków, tych mnóstwo uwijało się na niezbyt suto pokrytych liśćmi gałęziach kazuarynów i eukaliptusów, gdzie swobodnie mogły rozwijać skrzydła. Kakatoc, czarne, białe i szare, papugi zwyczajne i z klinowatym ogonem

z upierzeniem o najpiękniejszych barwach, oraz błękitne lory przeskakiwały z gałęzi na gałąź, wśród ogłuszającego szczebiotania.

Nagle dziwny koncert rozległ się w gęstwinie. Koloniści słyszeli kolejno śpiew ptaków, głosy zwierząt, klaskania, niby wychodzące z ust ludzkich. Nab i Harbert pobiegli w tę stronę, zapominając o wszelkich przepisach ostrożności. Szczęściem, nie znaleźli tam ani dzikich zwierząt, ani dzikich ludzi, lecz pół tuzina krzykliwych i przedrzeźniających ptaków, w których poznali „górskie bażanty“. Kilka zręcznych uderzeń kijem zakończyło scenę naśladownictwa, a kolonistów zaopatrzyło w wyborne pieczyste.

Harbert pokazał także towarzyszowi pyszne gołębie z połyskującymi skrzydłami miedzianego koloru; jedne ozdobione pięknymi czubami, inne upierzone zielono, jak pokrewne ich z Port-Macquarie. Nie podobna jednak było zabić żadnego, równie jak napotykanych tam kruków i srok, gdyż ulatywały zbyt prędko. Jeden nabój śrutu byłby pozabawił życia mnóstwo tych ptaków, lecz myśliwi nasi posiadali tylko kamienie i kije, a ta broń pierwotna pozostawiała wiele do życzenia.

Brak lepszej broni jeszcze więcej dał im się we znaki, gdy całe stado zwierząt, podskakując na kilkanaście stóp w górę, uciekło, przesadzając zarośla tak prędko i tak wysoko, że można było sądzić, iż jak wiewiórki skaczą z drzewa na drzewo.

— Kangury! — krzyknął Harbert.

— Czy to zdatne do jedzenia? — zapytał Penkroff.

— Duszone w rondlu — rzekł reporter — są nawet wymśnioną potrawą!..

Nie dokończył jeszcze, gdy marynarz, Nab i Harbert pobiegli za kangurami. Daremnie Cyrus wołał, aby się wrócili. Oni zaś na próżno ścigali zwierzynę, uciekającą tak szybko i odskakującą od ziemi, jak piłka elastyczna. Po pięciu minutach stanęli zadyszani, kangury zaś znikły w lesie. Nawet Top nie był od nich szczęśliwszy.

— Panie Smith — rzekł Penkroff, gdy inżynier wraz z reporterem zbliżyli się do nich — panie Smith, sam pan widzi, że strzelba koniecznie nam potrzebna. Czy ją pan zrobi?

— Być może, ale zaczniemy od wyrobienia strzał z łuków, i pewny jestem, że wkrótce nauczysz się z nich strzelać równie dobrze, jak australijscy myśliwi.

— Łuki, strzały! — rzekł pogardliwie. — To dobre dla dzieci.

— Nie bądź tak wybredny, przyjacielu — rzekł reporter. — Przez wiele wieków toczono krwawe wojny, nie mając innej broni nad łuki i strzały. Proch wynaleziono niebardzo dawno, a na nieszczęście początek wojen jest współczesny z początkiem rodu ludzkiego.

— Ma pan słusność, panie Spilett, nie zastanowiłem się nad tym, co mówię.

— Zresztą — dodał Harbert, zawsze z upodobaniem mówiący o wszystkim, co należało do historii naturalnej — mieliśmy do czynienia z gatunkiem, najtrudniejszym do upolowania. Był to największy gatunek kangurów, odziany długim, popielatym futrem; ale są jeszcze kangury czarne i czerwone, kangury skalne, kanguro-szczury, które łatwiej schwytać można. Jeżeli się nie mylę, obliczono dotąd dwanaście gatunków, a...

— Harbercie — rzekł poważnie marynarz — dla mnie istnieje tylko jeden gatunek kangura: kangur na rożnie. A tego właśnie nie zobaczymy już dzisiaj!

Wszyscy roześmieli się, słysząc podobną klasyfikację i żartowali z marynarza, gdy ubolewał, że nie będą mieli na obiad nic więcej prócz bażanta śpiewającego. Ale i teraz jeszcze fortuna okazała się dla niego łaskawą.

Top, mając może własny interes na względzie, biegał i wietrzył to w tej, to w owej stronie i prawdopodobnie, gdyby udało mu się upolować jaką zwierzynę, nie zostawiłby ani kawałka dla swych panów; szczęściem Nab, domyślając się tego, nie spuszczał go z oczu.

Okolo godzinę trzeciej Top zniknął w krzakach, a wkrótce potem dało się słyszeć przytłumione kwiczenie, dowodzące, że stacza walkę z jakimś zwierzęciem.

Nab podskoczył za nim i rzeczywiście spotkał Topa, pozerającego zwierzę, które w dziesięć sekund później byłoby już całkiem znikło w jego żołądku. Szczęściem Top spotkał całe gniazdo i za jednym zamachem udusił trzy zwierzątka, z których dwa leżały jeszcze rozciągnięte na ziemi.

Nab zabrał je i powrócił do towarzyszków, trzymając w każdej ręce zwierzątko, należące do rzędu gryzoniów co-

kolwiek większe od zająca. Żółte ich futra były ozdobione zielonawymi plamami, ogona prawie nie miały.

Obywatele Unii musieli poznać je od razu: były to m a r a s y, rodzaj zwierząt z okolic podzwrotnikowych, prawdziwie amerykańskie króliki, z długimi uszami, ze szczękami, opatrzonymi z każdej strony pięcioma trzonowymi zębami, czym głównie odróżniają się od agutów.

— Wiwat! — zawołał Penkroff — znalazła się pieczeń! Teraz możemy spokojnie wrócić do domu.

Poszli dalej. Czerwony Strumień płynął ciągle pod sklepieniem kazuarynow, bakcyj i olbrzymich drzew gumowych. Pyszne gatunki roślin liliowatych wyrastały do dwudziestu stóp wysokości. Inne gatunki, nieznanne młodemu naturaliście, kąpały swe gałązki w nurtach strumienia, którego łożysko rozszerzało się tak widocznie, że Cyrus oznajmił towarzyszom, iż zbliżają się do jego ujścia. I rzeczywiście niedługo tam stanęli.

Koloniści znajdowali się teraz na zachodnim brzegu jeziora Granta, a oczom ich przedstawił się prawdziwie ujmujący widok. Jezioro miało blisko siedem mil obwodu, a powierzchnia jego zajmowała około dwustu pięćdziesięciu akrów. Ku wschodowi, przez zieloną firankę pysznych drzew, przebijały błyszczące fale morza. O kilkaset kroków od południowego brzegu, ponad wodami jeziora, sterczała duża skała; na niej żyło zgodnie kilkanaście par zimorodków: stały poważne, nieruchome, czatując na ryby, potem nagle, z ostrym krzykiem zanurzały się w wodzie i wracały znów na dawne miejsce, trzymając zdobycz w dziobie. Na brzegach przechadzały się dzikie kaczkę, pelikany, kurki wodne i wiele innych gatunków wodnego ptactwa, oraz parę tych świetnych liroogonów, których rozwinięty ogon przedstawia kształt liry.

Woda jeziora była słodka, przezroczysta, a ukazujące się często na jej powierzchni koła oznajmiały, że musiały być ryby.

— Śliczne jest to jezioro! — rzekł Gedeon Spilet — chciałbym mieszkać nad jego brzegami.

— I będziesz mieszkał — odpowiedział Cyrus Smith.

Koloniści, chcąc wrócić krótszą drogą do Kominów, zwrócili się ku południowi i zaczęli przedzierać się przez zarośla, wśród których dotąd nie postąpiła noga ludzka; przeszedłszy je, skierowali się ku płaszczyźnie Pięknego Widoku.

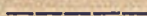
Chcąc z tej płaszczyzny dostać się do Kominów, dość było przejść ją i zejść na dół przy pierwszym zakręcie rzeki Mercy; lecz że inżynier chciał koniecznie zobaczyć, gdzie i jak odpływa woda z jeziora, aby się przekonać czy nie będą mogli jakim sposobem zużytkować siły, więc szli jeszcze przez pewien czas między drzewami. Tym sposobem, dążąc nad brzegiem jeziora, zbliżali się zarazem do płaszczyzny.

Uszli jeszcze milę w tym kierunku, lecz nie znaleźli ujścia, który jednak musiał istnieć koniecznie, skoro dotąd woda nie przepłynęła brzegów jeziora; a że było już po czwartej i trzeba było pomyśleć o obiedzie, koloniści zawrócili i lewym brzegiem Mercy doszli do Kominów.

Rozpalono ogień. Nab i Penkroff, którzy wspólnie sprawowali obowiązki kucharzy, podali wkrótce pieczeń z aguta, z której nic prawie nie pozostało.

Po obiedzie, gdy już wszyscy mieli udać się na spoczynek, Cyrus Smith rzekł do towarzyszków, wyjmując z kieszeni próbki różnych minerałów:

— Przyjaciele, to jest ruda żelazna, to piryt, to glina, to wapno, a to węgiel. Oto czym obdarzyła nas natura, to są dzieła jej pracy! Jutro na nas przyjdzie kolej!



ROZDZIAŁ XIII.

Co znaleziono na Topie. — Sporządzenie łuków i strzał. — Cegielnia. — Piec garncarski. — Naczynia kuchenne. — Bylica. — Krzyż Południa. — Ważne spostrzeżenie astronomiczne.

— Od czego dziś zaczniemy, panie Cyrusie? — zapytał Penkroff nazajutrz z rana.

— Od początku — odpowiedział Smith.

Rzeczywiście musieli zaczynać od początku, gdyż nie posiadali nawet narzędzi, potrzebnych do niezbędnej pracy, a nie znajdowali się w tak korzystnych warunkach jak przyroda, która, mając czas przed sobą, śpieszyć się i wysilać nie potrzebuje! Ich żelazo i stal jeszcze pod postacią rudy leżały w ziemi, garnki były dotąd tylko niewyrobioną gliną, suknie i bielizna pozostawały do tej chwili w pierwotnym swym stanie, t. j. na grzbietach muflonów lub w łodygach roślin włóknistych.

— Zaczniemy od początku — powiedział Cyrus Smith.

Otóż tym początkiem miało być zbudowanie przyrządu, w którym by można przetwarzać materiały surowe. Wiemy już, jak ważną rolę gra ogień we wszystkich podobnych przemianach. Otóż materiały opalowe, jak drzewo lub węgiel, były już gotowe, ale, chcąc je zużytkować, trzeba było zbudować piec odpowiedni.

— Na co nam się przyda taki piec? — zapytał Penkroff.

— Do wyrabiania garnków i misek — odpowiedział inżynier.

— A z czegoż ten piec zbudujemy?

— Z cegiel.

— A cegły?

— Z gliny. Ale czas nam w drogę, towarzysze. Aby uniknąć trudów przenoszenia materiałów surowych, założymy nasz warsztat tam, gdzie będziemy je mieli pod ręką. Nab zabierze zapasy śpizarniane, a do upieczenia ich nie zabraknie nam ognia.

— Tak — odpowiedział reporter — ale kto wie, czy z powodu braku myśliwskiej broni nie zabraknie nam żywności.

— Ach! gdybyśmy mieli choć jeden nóż! — zawołał marynarz.

— Cóżbyś z nim zrobił? — zapytał Cyrus.

— W mgnieniu oka zrobiłbym łuk i strzały, a w takim razie z pewnością nie zabrakło by nam zwierzyny.

— Tak; nóż... — rzekł jakby do siebie inżynier i przypadkiem spojrzął na Topa, biegnącego nad brzegiem, a w oczach jego zabłysła radość.

— Top, do nogi! — zawołał.

Posłuszne zwierzę przybiegło do pana. Cyrus pogłaskał je, zdjął z szyji obrozę i rozłamał ją, mówiąc:

— Oto są dwa noże, Penkroffie!

Marynarz odpowiedział mu podwójnym okrzykiem radości. Obroza Topa była płaska jak klinga noża i wyrobiona z hartowanej stali: trzeba więc było tylko każdy kawałek zaostrzyć z jednej strony na piaskowcu, a że w pobliżu znajdowały się takie skały, więc w dwie godziny później koloniści posiadali już dwa ostre noże w mocnej, drewnianej obsadzie.

Wyrobienie tego pierwszego narzędzia uważano sobie za triumf prawdziwy, ale też rzeczywiście dla naszych kolonistów była to zdobycz bardzo wielka i przybywająca w porę.

Koloniści stanęli wreszcie na miejscu, obfitującym w glinę tłustą, używaną na cegły i dachówki, a więc taką właśnie, jakiej potrzebowali obecnie.

Nie mając odpowiednich narzędzi, inżynier postanowił wyrabiać cegłę ręcznie. Całe dwa dni poświęcono tej pracy: glina, zmoczona wodą, zmieszana z piaskiem i starannie przerobiona nogami, została podzielona na graniastostupy równej wielkości. Wprawny robotnik może wyrobić w przeciągu dwunastu godzin do dziesięciu tysięcy cegieł, lecz ceglarze z wyspy Lincolna w przeciągu dwóch dni wyrobili ich zaledwie trzy tysiące. Poukładano je rzędami i pozostawiono tak, dopóki nie wyschną dostatecznie, na co potrzeba było trzech do czterech dni, gdyż bez tego nie można by ich wypalać.

Zanim przystąpiono do wypalania cegły, trzeba było przygotować dostateczną ilość drzewa, a praca ta zajęła kolonistom aż dwa dni. Oblamywano gałęzie drzew, rosnących w pobliżu, i zbierano suche, leżące na ziemi. Przy tej sposobności upolowano kilka sztuk zwierzyny, gdyż Penkroff posiadał teraz kilka tuzinów strzał, zakończonych doskonałymi ostrzami. Dostarczył ich Top, zadusiwszy jeżozwierza, którego wartość umieli ocenić koloniści, nie dla mięsa, lecz dla pokrywających go kolców. Powyrywano je natychmiast i poobsadzano je na jednym końcu strzał, na drugim zaś, aby nie zmieniały kierunku w locie, przymocowano po kilka piórek kakatoesów. Reporter i Harbert zostali wkrótce wybornymi łucznikami. Odtąd też spiżarnia w Kominach obficie była zaopatrzona w czworonożną i skrzydlatą zwierzynę, jak kabcie, aguty, gołębie, głuszce i wiele innych.

W czasie wycieczek dokoła polanki, na której założyli cegielnię, myśliwi spotkali raz świeże ślady zwierząt, uzbrojonych silnymi pazurami. Cyrus Smith zalecił wszystkim ostrożność, gdyż prawdopodobnie w lesie znajdowały się drapieżne zwierzęta.

W parę dni potem Gedeon Spilett i Harbert spostrzegli rzeczywiście zwierzę, podobne do jaguara. Szczęście, że nie napadło na nich, gdyż prawdopodobnie nie wyszliby z tej walki co najmniej bez ciężkich ran. Dziś musieli kryć się i ustępować, lecz za to, gdy będą już mieli strzelby, o które

Wypisy

Penkroff tak się dopominał, wydadzą dzikim zwierzętom za-
ciętą wojnę i oczyszczą z nich swą wyspę.

Dotąd nie zaprowadzono żadnych ulepszeń w Kominach,
gdyż inżynier postanowił wyszukać, a w najgorszym razie
zbudować dogodniejsze mieszkanie. Porobiono tam tylko
miękkie posłania z mchu i suchych liści, a koloniści, utru-
dzeni całodzienną pracą, spali wybornie na tych skromnych
łożach.

Obliczyli także, ile dni przebywają już na wyspie, i posta-
nowili zapisywać odtąd każdy dzień ubiegły. We środę, dnia
piątego kwietnia, upłynęło dwanaście dni, od czasu jak wiatr
wyrzucił ich na te brzegi.

Jako skutek prac dokonanych, inżynier w dniu 9 kwiet-
nia posiadał już dość znaczną ilość wapna i kilka tysięcy
cegiel.

Przystąpiono natychmiast do budowy garncarskiego pieca,
gdyż ciężko dawał im się odczuwać brak garnków i misek.

Na teraz jednak koloniści poprzestali na najprostszyc
wyrobach garncarskich, w których by można przyrządzać
i spożywać potrawy. Wyrobiono je z gliny, do której Cyrus
Smith dodał stosowną ilość piasku i tym sposobem otrzymał
wyborną glinę garncarską. Tak więc kuchnia i kredens kolo-
nistów zostały zaopatrzone w garnki, miski, talerze, filiżanki,
dzbanki mniejsze i większe i tym podobne rzeczy. Wprawdzie
wszystko to było trochę niezgrabne, nieco krzywe, ale po-
mimo to dla kolonistów tak drogocenne, jak gdyby było
wyrobione z najprzedniejszej kaoliny.

Przy tej sposobności Penkroff wyrobił sobie kilka nie-
zgrabnych fajek, które wydały mu się bardzo piękne,
i ciężko ubolewał nad tym, że nie ma do nich tytoniu.

— Ba! — powtarzał, pocieszając się, gdy zatęsknił za
fajeczką — skoro już mamy tyle rzeczy, to i tytoń mieć bę-
dziemy.

Roboty garncarskie trwały do piętnastego kwietnia. Kolo-
niści, zamianowani przez Cyrusa garncarzami, zajmowali się
gorliwie garncarstwem, a gdy inżynier zamieni ich na kowali,
staną się równie ochoczymi kowalami. Ponieważ jednak na-
zajutrz wypadła niedziela, a do tego niedziela ta była pierw-
szym dniem Wielkiejnocy, wszyscy jednogłośnie postanowili
dzień ten święcić, powstrzymując się od wszelkiej pracy.
Amerykanie nasi byli ludźmi religijnymi, trzymali się ściśle
przepisów Biblii, a terażniejsze ich położenie musiało jeszcze

silniej rozwinąć ich miłość dla Stwórcy i ufność w Jego nieograniczone miłosierdzie.

Wieczorem dn. 15 kwietnia powrócono do Kominów, by zanieść resztę wyrobów garncarskich. W czasie powrotu zrobiono pożyteczne odkrycie: inżynier znalazł roślinę, zastępującą wybornie hubkę. Wiadomo, że to gąbczaste ciało wydaje pewien gatunek grzyba; jest ono bardzo palne, skoro zostanie stosownie przyrządzone, to jest nasycone prochem, albo też zanurzone w roztworze azotanu lub chlorku potasu. Dotąd nie dostrzeżono na wyspie tego rodzaju grzybów, ani nic ich zastąpić nie mogło. Teraz dopiero Cyrus Smith spotkał rodzaj bylicy, której pokrewnymi są: piołun i estragon. Wyrwał kilka kępek tej rośliny i rzekł, pokazując je marynarzowi:

— Patrz, Penkroffie, to odkrycie zrobi ci zapewne przyjemność.

Penkroff zaczął uważnie przyglądać się roślinie, której liście pokryte były puszkciem.

— Co takiego, panie Cyrusie? Czyżby Opatrzność obdarzyła nas jakim tytoniem?

— Nie — odpowiedział inżynier — dla uczonych jest to byllica chińska, a dla nas będzie hubką.

Rzeczywiście byllica po wysuszeniu okazała się łatwo zapalną, zwłaszcza, gdy później inżynier nasycił ją azotanem potasu, którego pokłady znajdowały się na wyspie.

Tego wieczora koloniści sutą uraczyli się wieczerzą. Nab ugotował rosół z aguty, szynkę z kabii, przesiąkniętą aromatycznymi ziołami, miążgę rośliny trawiastej „*Caladium macrorrhizum*“, która w strefie podzwrotnikowej przybiera postać drzewa. Ma ona smak doskonały, jest bardzo pożywna i bardzo podobna do sprzedawanego w Anglii tak zwanego portlandzkiego sago. Poniekąd mogła ona zastąpić chleb, którego brakowało kolonistom wyspy Lincolna.

Po wieczerzy, około godziny ósmej, Cyrus i towarzysze jego wyszli odetchnąć świeżym powietrzem. Wieczór był prześliczny. Było to pięć dni po pełni. Chociaż księżyc nie wszedł jeszcze, niebo srebrzyło się już tym błedziuchnym i słabym światłem, które by można nazwać brzaskiem księżyca. Na zenicie południowym błyszcząły gwiazdozbiory podbiegunowe, a mocniej nad wszystkie jaśniał Krzyż Południa, który już kilka dni temu powitał inżynier, stojąc na szczycie góry Franklina.

Cyrus Smith wpatrywał się przez kilka minut w tę pyszną konstelację, mającą na szczycie i u podstawy dwie gwiazdy pierwszej wielkości, na lewym ramieniu gwiazdę drugiej, a na prawym gwiazdę trzeciej wielkości.

Zamyślił się, a potem rzekł:

— Harbercie, wszak dziś mamy 15 kwietnia?

— Tak, panie Cyrusie.

— A więc, jeżeli się nie mylę, jutro będziemy mieli jeden z tych czterech dni roku, w których czas prawdziwy zgaźdać się będzie z czasem średnim, wskazywanym przez zegary, to jest moje dziecię, jutro słońce przejdzie przez południk wtenczas właśnie, gdy zegary wskazywać będą południe. Różnicę może stanowić kilka sekund. Jeżeli więc będzie pogoda, oznaczę prawie dokładnie długość geograficzną wyspy.

— Bez narzędzi, bez sekstansu? — zapytał Gedeon Spilett.

— Tak — odpowiedział inżynier. — Dlatego też, korzystając z tej jasnej nocy, spróbuję, czy mi się nie uda dziś jeszcze oznaczyć szerokości geograficznej wyspy, przez obliczenie odległości Krzyża Południa od poziomu, to jest bieguna południowego. Wiedziecie to sami, że nim rozpoczniemy ważniejsze prace w celu osiedlenia się w tym zakątku ziemi, nie dosyć nam wiedzieć, że jest wyspą, lecz jeszcze powinniśmy przekonać się, jak można najdokładniej, w jakiej leży odległości, bądź to od lądu amerykańskiego lub australijskiego, bądź też od głównych archipelagów Oceanu Spokojnego.

— Rzeczywiście — odezwał się reporter — jeżeli przypadkiem znajdujemy się o setkę mil od zamieszkałego lądu, zamiast o stawianiu domu, wypadnie nam pomyśleć o zbudowaniu statku.

— Dlatego też — odpowiedział Cyrus Smith — spróbujmy dziś jeszcze obliczyć szerokość geograficzną wyspy Lincoln, jutro zaś w południe jej długość geograficzną.

Ponieważ Cyrus Smith nie posiadał sekstansu, musiał zastąpić go czym innym. Przy świetle ognia wystrugał dwie małe, płaskie linijki, które w jednym końcu połączył ze sobą tak, że utworzyły rodzaj cyrkiela z ruchomymi ramionami. Zamiast sztyfcika do spojenia z sobą linijek, użył twardego kolca akacji, odciętego od gałęzi, przeznaczonej do palenia.

Cyrus, urządziwszy cyrkiel, wrócił na wybrzeże. Ponieważ potrzebował oznaczyć wysokość bieguna nad poziomem

wyraźnie zarysowanym, to jest nad poziomem morza, a przy-
ląddek Łapy zakrywał mu horyzont od strony południowej,
musiał szukać dogodniejszego miejsca. Po znalezieniu odpo-
wiedniego, dokonał pomiarów, a obliczenie szczegółowe po-
zostawił do dnia następnego.

ROZDZIAŁ XIV.

Porządkowanie ubrania. — Szerokość wyspy. — Wycieczka na północ. —
Ławy ostryg. — Projekty na przyszłość. — Przejście słońca przez po-
łudnik. — Oznaczenie miejsca, w którym znajdowała się wyspa Lincolna.

Nazajutrz, dnia 16 kwietnia — w niedzielę wielkanocną
koloniści równo ze świtem wyszli z Kominów, aby wyprać
bieliznę i wyczyścić odzienie. Inżynier myślał już o zaopa-
trzeniu kolonii w mydło, skoro tylko będzie miał potrzebne
do tego materiały, to jest: tłuszcz lub oliwę, potaż lub sodę.
O ważnej kwestii odnowienia garderoby, pomyślał we wła-
ściwym czasie, gdyż suknie wystarczą im jeszcze na
kilka miesięcy. Dalsze ich przedsięwzięcia zależeć będą od
położenie wyspy względem ziem zamieszkałych, które ozna-
czą dziś jeszcze, jeżeli tylko pogoda sprzyjać im będzie.

Postanowili przeznaczyć tę niedzielę na przechadzkę, czyli
raczej na zwiedzenie części wyspy między północnym brze-
giem jeziora i zatoką Rekina, a jeżeli czasu wystarczy. Posta-
nowili posunąć się aż do północnego wybrzeża, południo-
wego przylądka Szczęki. Mieli zjeść kolację na piaszczystych
wzgórzach nad brzegiem morza i dopiero wieczorem wrócić
do Kominów.

Po ósmej szli już wybrzeżem rzeki; po drugiej stronie,
na wysepce Wybawienia, mnóstwo ptaków przechadzało się
swobodnie. Były to nurki z gatunków bezlotków, znane
z niemiłego krzyku, przypominającego ryk osła. Penkróff pa-
trzył na nie tylko jak na artykuł żywności i z przyjemnością
dowiedział się, że mięso ich choć czarniawe, jest dość smaczne.

Widać było także pełzające po piasku duże ziemnowodne
zwierzęta, zapewne foki, które obrały sobie wysepkę na miej-
sce odpoczynku. Za pokarm nie mogły służyć, gdyż mięso
ich, przesiąknięte tłuszczem, ma smak nieznośny. Jednak Cy-

rus Smith przyglądał im się z uwagą i widać snuł w myśli jakieś zamiary. Nie mówiąc nic o nich, oznajmił towarzyszom, że wkrótce zwiedzą wysepkę.

Wybrzeże, którym szli, zasiane było muszlami, a między nimi znajdowały się tak piękne, że mogłyby się stać ozdobą najpiękniejszych zbiorów.

Lecz użyteczniejsze daleko było odkrycie ławy ostryg, którą przy odpływie morza spostrzegł Nab między skałami, blisko o cztery mile od Kominów.

— Nab nie stracił dnia na próżno — wykrzyknął radośnie Penkroff, patrząc na wskazaną mu ławę.

— Rzeczywiście — odpowiedział reporter — jest to bardzo pożądane odkrycie. Jeżeli, jak utrzymują, każda ostryga wydaje rocznie pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy młodych, to będziemy mieli nigdy niewyczerpane zapasy.

— Zdaje mi się tylko, że ostrygi nie są zbyt pożywne — rzekł Harbert.

— Tak — rzekł Cyrus — ostrygi zawierają w sobie bardzo mało azotu, i gdyby człowiek chciał wyłącznie żywić się nimi, musiałby ich spożywać dziennie najmniej piętnaście do szesnastu tuzinów.

— Ba! — odpowiedział Penkroff — gdybyśmy połykali tuziny tuzinów, to i tak wystarczyłoby nam na długie lata. Możemy ich zabrać trochę na dzisiejsze śniadanie?

Nie czekając na odpowiedź, oderwał wraz z Nabem dość ostryg, które następnie włożono do siatki z włókien hibiskusa, zawierającej już w sobie zapasy, przeznaczone na śniadanie. Poczem puszczono się w dalszą drogę.

Cała ta część wyspy była nieurodzajna aż do szpiczastego klina ziemi, zamykającego zatokę Unii, któremu nadano nazwę południowego przylądka Szczęki. Widać tam było tylko piasek i muszle, zmieszane ze szczątkami ławy. Jednak niektóre ptaki zwiedzały to puste wybrzeże, a między innymi mewy, albatrosy i dzikie kaczki. Te ostatnie Penkroff powitał z radością, lecz nie udało mu się zastrzelić ani jednej i dlatego rzekł, zwróciwszy się do inżyniera:

— Sam pan widzi, panie Cyrusie, że dopóki nie będziemy mieli choćby jednej strzelby, polowanie nie pójdzie nam dobrze.

— Masz słuszość, Penkroffie — odpowiedział reporter. — Ale jeżeli chcesz posiadać strzelbę, to dostarcz nam

żelaza na lufy, stali na zamki, saletry, węgla i siarki na proch, ołowiu na kule, a Cyrus wyrobi nam doskonale strzelby.

— O! — rzekł inżynier — sądzę, że to wszystko znaleźlibyśmy na wyspie, lecz do zrobienia broni palnej trzeba mieć wyborne narzędzia, a my żadnych nie posiadamy. Zresztą, pomyślimy o tym później.

— Czemuż — zawołał Penkroff — czemu wyrzuciliśmy z naszej powietrznej łódki wszystką broń, nie wyłączając nawet kieszonkowych noży!

— Bo w przeciwnym razie balon byłby nas wyrzucił w morze — powiedział Harbert.

— Prawda i to, mój chłopcze — odrzekł marynarz. Potem dodał, zmieniając nagle przedmiot rozmowy: — Co też tam powiedział Jonatan Forster wraz z towarzyszami, gdy nazajutrz rano zastał puste miejsce po balonie? Dopieroż to pocieszoną musiał zrobić minę!...

— Wcale się o to nie troszczę, co oni myśleli lub mówili — rzekł reporter.

— A jednak był to mój pomysł — rzekł Penkroff dumnie.

— Wyborny pomysł, Penkroffie — rzekł, śmiejąc się Gedeon — skoro mu zawdzięczamy pobyt na tym pustkowiu.

— Wolę być tu, niż w ręku południowców — odrzekł marynarz — zwłaszcza, odkąd pan Cyrus był łaskaw połączyć się z nami.

— Podzielim twoje zdanie — odpowiedział reporter. — Zresztą, czegoż nam tu brakuje? Niczego.

— Z wyjątkiem... wszystkiego! — odpowiedział Penkroff, śmiejąc się głośno. — Lecz wydobędziemy się stąd przecie prędzej czy później.

— Może rychlej, niż sądzisz — odezwał się inżynier — jeżeli tylko wyspa Lincoln nie jest zbyt oddalona od zamieszkałego archipelagu lub stałego ładu. O tym zresztą dowiemy się, zanim upłynie godzina. Nie mam mapy Oceanu Spokojnego, lecz pamiętam dobrze jego część południową. Sądząc z szerokości geograficznej wyspy Lincoln, leży ona pomiędzy Nową Zelandią a Chile; lecz te dwie ziemie dzieli przestrzeń co najmniej sześciu tysięcy mil. Musimy więc oznaczyć, jaki punkt zajmuje nasza wyspa na tym wielkim obszarze morza, a tego dowiemy się, zbadawszy, pod jakim leży stopniem długości geograficznej.

— Wszak — zapytał Harbert — pod względem szerokości geograficznej archipelag Pomotu jest najwięcej do nas zbliżony?

— Tak — odpowiedział inżynier — ale więcej niż tysiąc dwieście mil dzieli nas od niego.

— A tam? — zapytał Nab, uważnie przysłuchujący się rozmowie, wskazując ręką na południe.

— Tam nic — odpowiedział Penkroff.

— Nic, rzeczywiście — odpowiedział inżynier.

— A więc Cyrusie — odezwał się reporter — jeżeli wyspa nasza leży tylko o dwieście lub trzysta mil od Nowej Zelandii albo od Chili, to...

— To — przerwał inżynier — zamiast zbudować dom, zbudujemy statek, a Penkroff obejmie nad nim dowództwo.

Najchętniej, panie Cyrusie — zawołał marynarz. — Jestem gotów zostać kapitanem, byle pan tylko potrafił zbudować szalupę, zdolną utrzymać się na morzu.

— Zbudujemy ją, jeżeli tego będzie potrzeba! — odpowiedział Cyrus Smith.

Zbliżała się godzina, w której mieli rozpocząć obserwację, a Harbert był bardzo ciekawy, jakim sposobem inżynier zdoła sprawdzić przejście słońca przez południk wyspy, nie posiadając potrzebnych do tego przyrządów.

Koloniści znajdowali się wówczas o sześć mil od Kominów, niedaleko od tej części piaszczystych wzgórz, wśród których znaleziono Cyrusa po jego zagadkowym uratowaniu.

Zatrzymano się tam i zaczęto przyrządzać śniadanie, gdyż było dopiero w pół do dwunastej. Cyrus tymczasem przygotował wszystko do swych obserwacji astronomicznych. Wybrał na wybrzeżu miejsce równe, doskonale nivelowane przez odpływ morza, na którym miałki piasek leżał tak gładko, że prawie ani jedno ziarnko nie wystawało nad drugie. Zresztą nic na tym nie zależało, czy to miejsce było poziome lub nie, lub też aby laseczka, wysoka na sześć stóp, którą tam wetknął w ziemię, stała zupełnie pionowo. Przeciwnie, inżynier pochylił ją nawet ku południowi, to jest w kierunku odwrotnym od słońca, gdyż pamiętać trzeba, że koloniści wyspy Lincolna, z powodu położenia wyspy na półkuli południowej, widzieli gwiazdę dzienną, zakreślającą swój łuk dzienny ponad widnokreślim południowym.

Harbert zrozumiał teraz, że inżynier dowie się o chwili przejścia słońca przez południk wyspy za pomocą cienia, rzucanego przez laseczkę.

Rzeczywiście, chwila, w której ten cień dojdzie do minimum swej długości, będzie oznaczała samo południe: dosyć będzie zwrócić pilną uwagę na koniec tego cienia, aby dostrzec chwilę, w której, po stopniowym skróceniu się, zacznie znów przedłużać się zwolna. Przechylając laseczkę w stronę odwrotną od słońca, Cyrus Smith przedłużał cień, aby jego stopniowe kurczenie się było łatwiejsze do sprawdzenia. Wiemy, że im wskazówka na zegarze jest dłuższa, tym łatwiej można dostrzec jej posuwanie się, tu zaś cień laseczki był tym samym, czym jest wskazówka na zegarze.

Skoro inżynier uznał, że nadeszła stosowna pora, ukląkł na piasku i, wtykając w ziemię krótkie patyczki drewniane, oznaczał stopniowe skracanie się cienia. Towarzysze, stojący za nim, z największym zajęciem przyglądali się tej czynności.

Reporter trzymał w ręku swój chronometr, aby wiedzieć, którą wskazuje godzinę, gdy cień dojdzie do swego minimum. Prócz tego, ponieważ Cyrus Smith czynił obserwację 16 kwietnia, to jest w dniu, w którym czas prawdziwy zgadza się z czasem średnim zegarowym, chronometr Gedeona Spiletta wskazywać będzie godzinę, jaka w tym czasie będzie w Washingtonie, co znacznie ułatwi rachunek.

Słońce posuwało się wolno, cień zmniejszał się stopniowo, wreszcie, gdy zdawało się Cyrusowi, że zaczynał się powiększać, zawołał:

— Która godzina, Gedeonie?

— Piąta i jedna minuta — odpowiedział natychmiast Spilett.

Teraz pozostawało już tylko obliczenie, a było to rzeczą łatwą, gdyż cyfry były okrągłe: pięć godzin różnicy między południkiem Washingtonu i wyspy Lincolna, to jest, że gdy na wyspie było południe, w Washingtonie była już piąta wieczorem.

Cyrus Smith oznajmił rezultat swych obliczeń towarzyszom i dodał, iż niewątpliwie wyspa Lincoln leżała daleko od wszelkiej znanej ziemi, że nie podobna było myśleć o przebyciu tak wielkiej przestrzeni w zwykłej łodzi.

Rzeczywiście, z jej szerokości i długości geograficznej okazywało się, że leży najmniej o tysiąc dwieście mil od Taiti

i archipelagu Pomotu, więcej niż o tysiąc osiemset mil od Nowej Zelandii i przeszło cztery tysiące pięćset mil od wybrzeża Ameryki.

Cyrus Smith myślał długo i nie mógł sobie przypomnieć, aby jakakolwiek wyspa zajmowała w tej części Oceanu Spokojnego położenie, oznaczone dla wyspy Lincolna.

ROZDZIAŁ XV.

Zimowanie postanowione. — Sprawa metalurgiczna. — Wyprawa na wyspę Wybawienia. — Polowanie na fokii. — Kangury. — Wydobywanie żelaza z rudy. — Wyrabianie stali.

Tysiąc dwieście mil oddzielało wyspę od najbliższego archipelagu; i Penkroff oświadczył stanowczo, że w łodzi nie podobna przebyć tak wielkiej przestrzeni. Nawet posiadając potrzebne narzędzia, nie tak łatwo zbudować łódź dokładnie; a że koloniści nie mieli żadnych, musieli pierwiej zrobić młoty, siekiery, piły, topory, świdry, heble i t. d., co wymagałoby wiele czasu. Postanowili więc przepędzić zimę na wyspie Lincolna i poszukać miejsca dogodniejszego na mieszkanie, niż Kominy.

— Przede wszystkim trzeba było zużytkować rudę żelazną, której pokłady inżynier widział w północno-zachodniej części wyspy, i zamienić ją na żelazo i na stal.

— Teraz więc, panie Cyrusie, weźmiemy się do żelaza? — zapytał Penkroff.

— Tak, mój przyjacielu, i co ci się zapewne spodoba, zaczniemy od polowania na fokii.

— Od polowania na fokii! — wykrzyknął marynarz, zwracając się do Gedeona Spiletta. — Więc fokii są potrzebne do otrzymania żelaza?

— Ha! skoro Cyrus tak mówi... — odpowiedział reporter.

Inżynier wyszedł tymczasem z Kominów, i marynarz nie otrzymał odpowiedzi.

Wkrótce koloniści byli już na zwirowisku; korzystając z odpływu morza, przeszli zatokę w bród, zamoczywszy się tylko po kolana, i dostali się na wyspę Wybawienia.

Gdy wstąpili na wysepkę, kilkaset bezłotków (pingwinów) spoglądało na nich spokojnie. Uzbrojeni kijami, łatwo by je mogli zabić, lecz, że mięso ich jest niesmaczne, nie uczynili tego, obawiając się spłoszyć foki, drzemiące zapewne na brzegu.

Koloniści szli ostrożnie po gruncie, poprzerzinywanym rozpadlinami, z których każda służyła za gniazdo dla morskich ptaków. W pobliżu końca wyspy ukazały się dwa duże czarne punkty, pływające na powierzchni wody i wyglądające z daleka, jakby ruchome wierzchołki skał.

Były to właśnie owe ziemnowodne zwierzęta, na które zamierzali polować. Aby polowanie powiodło się szczęśliwie, musieli czekać, dopóki foki nie wyjdą na brzeg; gdyż foki, przypominające ryby swym podługowatym kształtem i posiadające krótkie nogi z płetwami, są wybornymi pływakami, i trudno uchwycić je w morzu. Za to na ziemi chód mają utrudniony, ledwie się czołgają.

Penkroff znał obyczaje tych zwierząt i radził zaczekać, póki nie wyjdą na piasek, gdzie pod wpływem ciepłych promieni słońca wkrótce zasną głęboko; wtenczas łatwo zastąpić im drogę do morza i zabić silnym uderzeniem w nozdrza.

Myśliwi, idąc za jego radą, ukryli się za nadbrzeżne skały i w milczeniu oczekiwali stosownej pory.

Upłynęła godzina, zanim foki wyszły na piasek i zasnęły. Było ich sześć na tej części wybrzeża. Penkroff i Harbert odłączyli się od towarzyszków, okrążyli wchodzący w morze cypel wyspy, zaszli z tyłu i przecięli ucieczkę. W tym samym czasie Smith, Spilett i Nab, czołgając się wzdłuż skał, dążyli na miejsce walki.

Nagle Penkroff krzyknął i podniósł kij do góry. Inżynier i dwaj jego towarzysze stanęli między morzem i fokami; silne i dobrze wymierzone uderzenia kijem dwie z nich pozbawiły życia, inne zaś zdołały uciec i szybko odplynęły od brzegu.

— Qto są żądane foki, panie Cyrusie — rzekł marynarz, zbliżając się do inżyniera.

— Dobrze — odrzekł Cyrus Smith — zrobimy z nich miechy kowalskie.

— Miechy kowalskie! — zawołał Penkroff. — No, czy one się też tego spodziewały!...

Marynarz i murzyn wywiązali się wybornie ze swego zadania. Niebawem Cyrus Smith zabrał się do pracy tak umiejętnie, a towarzysze pomagali mu tak gorliwie, że w trzy dni później narzędzia robocze kolonistów pomnożone zostały miechem kowalskim.

Następnego zaraz dnia wyruszono w drogę wczesnie rano. Nab i Penkroff ciągnęli za sobą miech i zapasy żywności, które zresztą ciągle będą mogli powiększać nowymi nabytkami.

Przeprawa przez las trwała cały dzień. Top biegał wśród zarośli i wypłaszał różne zwierzęta. Harbert i Gedeon Spilett zabili z łuków dwa kangury, a prócz tego zwierzę, podobne bardzo do jeża i mrówkojada; do pierwszego tym, że zwijało się w kłębek i najeżało kolcami, do drugiego kształtem pazurów, zastosowanych do grzebania w ziemi, długim, cienkim pyskiem, zakończonym dziobem jak u ptaka, i wysuwalnym językiem, opatrzonym małymi kolcami, na których zatrzymywały się owady.

— A jak go włożymy w garnek — zapytał Penkroff — do czego będzie podobny?

— Do wybornego kawałka wołowiny — odpowiedział Harbert.

— Nó, to nie będziemy od niego wymagali niczego więcej — rzekł wesoło marynarz.

W ciągu tej wycieczki spotkali kilka dzików, lecz te nie napastowały wcale podróżnych. Zdawało się, że nie napotykają nigdzie drapieżnych zwierząt, gdy wtem reporter spostrzegł między gałęziami drzewa, rosnącego o kilka kroków dalej, zwierzę, które wziął za niedźwiedzia. Był to leniwiec wzrostu dużego psa, z sierścią najeżoną brudnego koloru, z łapami, uzbrojonymi w silne pazury, co pozwalało mu wdrapywać się na drzewa. Po sprawdzeniu tożsamości rzeźzonego zwierzęcia nie naruszano jego spokoju; tylko Gedeon wymazał ze swych notatek „niedźwiedź“, a podpisał pod rysunkiem „leniwiec“.

O piątej godzinie wieczorem rozłożono obozowisko i w ciągu niespełna godziny zbudowano chatę z gałęzi i obrzucono ją gliną. Poszukiwania geologiczne pozostawiono do następnego dnia. Przyrządzono wieczerzę: przy wielkim ognisku przed chatą upieczono kawał zwierzyny. Już o godzinie ósmej koloniści spali smacznie z wyjątkiem jednego,

który czuwał nad ogniskiem, aby nie wygasło i odstraszało od nich dzikie zwierzęta.

Nazajutrz, dnia 25 kwietnia, Cyrus poszedł wraz z Harbertem wyszukać miejsce, na którym dawniej znalazł kawałek rudy żelaznej. Znalazł jej pokład na powierzchni ziemi, prawie przy źródłach strumienia.

Inżynier z pomocą towarzyszków pokruszył rudę na drobne kawałki, oczyściwszy ją pierwiej od nieużytecznych części mineralnych. Następnie ułożono ją w stos, przekładając węglem kamiennym, i rozpoczęto prażenie.

Była to trudna praca i wymagała wielkiej wytrwałości i znajomości rzeczy, aby pomyślnie wydać skutki, w końcu jednak koloniści otrzymali pewną ilość surowca. Z tego po powtórnej przeróbce otrzymano kawał żelaza, który, przytłoczony do drewnianej rękojeści, służył za młot do wykucia pierwszej sztabki na granitowym kowadle.

Dnia 30 kwietnia, po ciężkiej i mozolnej pracy, koloniści posiadali już kilka sztab żelaza i zaczęli wyrabiać różne narzędzia, jak cęgi, młoty, drągi żelazne, motyki i tym podobne rzeczy, które według zdania Penkroffa i Naba były prawdziwymi arcydziełami.

Dla kolonistów naszych stal była potrzebniejsza niż żelazo; że zaś stal jest połączeniem żelaza z węglem, a co do ilości węgla zajmuje pośrednie miejsce między surowcem a żelazem kowalnym, zatem otrzymać ją można z surowca przez odebranie części węgla, albo też z żelaza przez dodanie węgla.

Zamiana żelaza na stal odbywa się przez wypalanie żelaza w proszku węgla, co daje stal tak zwaną cementową; a ponieważ, jak wiemy, Cyrus Smith posiadał już zapas czystego żelaza, więc w ten właśnie sposób postanowił otrzymać stal.

Z żelaza, zamienionego na stal, Nab i Penkroff, pod dozorem Cyrusa, wyrabiali następnie siekiery, toporki, pily, heble, łopaty, młoty, gwoździe motyki, dłuta i inne narzędzia. Te, które wymagały zahartowania, zanurzano w zimnej wodzie, rozpaliwszy je poprzednio do czerwoności.

Piątego maja koloniści wrócili do Kominów, aby odpocząć, a następnie zabrać się do innych robót.

ROZDZIAŁ XVI.

Kwestia mieszkania jeszcze niezalatwiona. — Pomysł Penkroffa. — Wycieczka na północ jeziora. — Północny brzeg płaszczyny. — Węże. — Kraniec jeziora. — Niepokój Topa. — Top w wodzie. — Walka pod wodą. — Dugong.

Szóstego maja, to jest w dniu, odpowiadającym szóstemu listopada w okolicach, leżących na półkuli północnej, widok zaszepiającego się coraz bardziej nieba przypomniał kolonistom, że zbliża się zima i czas pomyśleć o cieplejszym mieszkaniu. Dotąd miewali jeszcze po dziesięć do dwunastu stopni ciepła, lecz że wyspa musiała znajdować się w takich samych warunkach klimatycznych jak Sycylia i Grecja, a w obu tych krajach bywają silne mrozy, więc i tu może nadejść pora, w której obniży się znacznie temperatura.

Choćby nawet zima nie groziła jeszcze, to zbliżała się pora deszczów, a na wyspie, rzuconej samotnie na morskiej przestrzeni, wystawionej ze wszech stron na wichry morskie, musiały być w tej porze częste i gwałtowne burze.

Morze już raz wtargnęło do Kominów, i trudno było narażać się powtórnie na podobny wypadek.

— Zresztą — rzekł Cyrus Smith, rozmawiając o tym z towarzyszami — musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— Dlaczego? Wszakże wyspa niezamieszкана? — rzekł reporter.

— Tak się zdaje — odrzekł inżynier — chociaż nie znamy jeszcze całej. Ale choćbyśmy byli rzeczywiście jedynymi jej mieszkańcami, to w lasach mogą ukrywać się dzikie zwierzęta. Zresztą, przyjaciele moi, wszystko przewidzieć trzeba: ta część Oceanu Spokojnego często bywa zwiedzana przez malajskich piratów...

— Jak to, zapuszczaliby się tak daleko od wszelkiej zaludnionej ziemi? — zapytał Harbert.

— Tak, mój bracie, ci piraci są równie śmiałyymi żeglarzami, jak groźnymi złoczyńcami. Powinniśmy więc obmyśleć zabezpieczające nas od nich środki.

— Ha! — rzekł Penkroff — w takim razie oszańcujemy się przeciwko dwunożnym i czworonożnym wrogom. Ale czyby nie było dobrze, zanim rozpoczniemy prace około nowego mieszkania, zwiedzić wyspę w całej rozciągłości?

— Podzielam zdanie Penkroffa—powiedział reporter. — Kto wie, czy na przeciwległym wybrzeżu wyspy nie znajdziemy jaskini, której tu szukaliśmy daremnie.

— Prawda — odpowiedział inżynier — lecz zapominacie, że musimy koniecznie osiedlić się w pobliżu rzeczki czy strumienia, a z wierzchołka góry Franklina nie dostrzegliśmy nic podobnego.

W takim razie panie Cyrusie, zbudujemy dom nad brzegiem jeziora — rzekł marynarz. — Teraz nie brak nam już cegieł, ani narzędzi. Byliśmy już ceglarzami, garnarczami, hutnikami, kowalami, to czemu nie mielibyśmy zostać murarzami?

— Masz słuszość, przyjacielu, ale zanim przystąpimy do tej pracy, musimy szukać mieszkania, zbudowanego przez samą przyrodę.

— Nie przeczę — rzekł reporter. — Ale już tak dobrze znamy skały na tym wybrzeżu, a nigdzie nie znaleźliśmy nawet szerokiej rozpadliny.

— Tak, nawet rozpadliny! — zawołał Penkroff.

— Gdybyśmy mogli wykuć sobie mieszkanie w tej ścianie granitowej, ale trochę wyżej, nie przy samej ziemi, aby przystęp do niego był utrudniony, jakże by to było dobrze! Urządzilibyśmy sobie pięć lub sześć pokoi od strony morza...

— Z oknami! — powiedział, śmiejąc się, Harbert.

— I z prowadzącymi do nich schodami! — dodał Nab.

— Śmiejecie się z tego — rzekł marynarz — a przecież nie ma w tym nic niepodobnego. Czy to nie mamy żelaznych drągów i młotów? Czy to pan Cyrus nie potrafiłby zrobić prochu do wysadzenia w powietrze zawadzającego kawała skały?

Cyrus Smith słuchał w milczeniu fantastycznych projektów Penkroffa. Poruszyć ten mur granitowy — nawet za pomocą miny — było by to dokonać pracy, godnej Herkulesa. Lecz inżynier, zamiast dać marynarzowi przeczącą odpowiedź, oświadczył towarzyszom, że warto by uważnie przyrzeć się tej ścianie, poczynawszy od ujścia rzeki aż do końca od północnej strony.

Udali się tam natychmiast i na przestrzeni, wynoszącej blisko dwie mile, czynili jak najstaranniejsze poszukiwania, lecz nigdzie w gładkiej i prostej ścianie granitowej nie znaleźli zagłębienia.

Zatrzymali się wreszcie przy północnym końcu ściany. Dalej, na pochyłości, ciągnącej się aż do zwirowiska, leżało mnóstwo wielkich kamieni wśród dość bujnej trawy; spotykały się jeszcze drzewa, lecz coraz mniejsze, a w końcu aż do wybrzeża ciągnęła się piaszczysta równina.

Inżynier sądził, że z tej strony właśnie musi znajdować się ów naturalny upust, którym wody jeziora odpływają do morza.

W kilka minut później stanęli już na płaszczyźnie. O dwieście kroków przed nimi przezroczysta szyba jeziora połyskiwała od słonecznych promieni. Drzewa, przybrane w jesienne barwy, grupowały się pięknie; czarna kora drzew, obalonych przez burzę, czy też uschłych ze starości, dziwnie odbijała od zielonego kobierca. Tysiące różnobarwnych papug unosiło się w powietrzu lub skakało z gałęzi na gałąź. — Słowem, śliczny widok roztaczał się przed ich oczyma.

Koloniści postępowali ostrożnie po tej nieznannej sobie okolicy. Oprócz luków i okutych kijów, nie posiadali innej broni; musieli więc strzec się spotkania z dzikimi zwierzętami, choć prawdopodobnie prędzej by je znaleźć można w gęstych lasach na południu wyspy. Jednakże i Cyrus, i jego towarzysze niemiłego doznali wrażenia, gdy Top zatrzymał się, spostrzegłszy węża, mającego około piętnastu stóp długości. Nab poskoczył natychmiast i zabił go kijem, a Cyrus Smith, obejrawszy go, oświadczył, że nie był to wąż jadowity i należał do gatunków, służących za pokarm dzikim mieszkańcom Nowej Walii. Lecz możliwe, że w tej stronie znajdowały się żmije i węże, których ukąszenie byłoby śmiertelne; trzeba więc ostrożnie posuwać się dalej.

Stanęli wkrótce przy ujściu Czerwonego Strumienia, i Cyrus raz jeszcze zwrócił uwagę towarzyszków na to, że skoro strumień tak obficie zasila jezioro, to musi koniecznie znajdować się miejsce, którym odpływa woda z jeziora, że należy znaleźć to miejsce i przekonać się, czyby go zużytkować nie można...

Koloniści szli teraz wzdłuż brzegów jeziora, obfitującego w ryby. Penkroff postanowił zrobić wędkę i w chwilach wolnych od ważniejszych zajęć zajmować się rybołówstwem.

Brzeg jeziora, ciągnący się równolegle do wybrzeża wyspy, nie był tak gęsto zarośnięty drzewami. Jezioro Granta ukazywało się w całej swej rozciągłości; najbliższy wietrzyk nie

poruszał gładkiej powierzchni. Top, kręcąc się tu i ówdzie między krzakami, płoszył stada rozmaitych ptaków, a Gedeon i Harbert strzelali do nich z luków. Harbertowi udało się zastrzelić jednego z nich. Top, rzuciwszy się w wodę, przyniósł młodemu łucznikowi pięknego ptaka wielkości dużej kuropatwy, pokrytego siwym pierzem, ze skrzydłami, zakończonymi białą obwódką i krótkim dziobem: była to lyska.

Top, dotąd spokojny; zaczął okazywać niepokój; to biegł naprzód po urwistym brzegu, to się zawracał, to stawał i patrzył na wodę, jakby chciał się rzucić na jakąś niewidzialną zwierzynę; szczekał gniewnie i uciszał się nagle.

Z początku Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie zwracali na to uwagi, w końcu jednak to ciągle powtarzające szczekanie obudziło ich ciekawość.

— Co tam widzisz, Topie? — zapytał inżynier.

Pies poskoczył do pana z oznakami wyraźnego niepokoju, znów szybko wrócił na brzeg a po chwili rzucił się w wodę.

— Top, do nogi! — zawołał Cyrus, obawiając się, aby wierne zwierzę nie spotkało tam groźnego nieprzyjaciela.

— Co on zobaczył w tej wodzie? — rzekł Penkroff, wpatrując się w powierzchnię jeziora.

— Top zwietrzył zapewne jakieś ziemnowodne zwierzę — odpowiedział Harbert.

— Może aligatora — rzekł reporter.

— Wątpię — odpowiedział Cyrus. — Aligatory nie zamieszkuja pod tym stopniem szerokości geograficznej.

Top, posłuszny wezwaniu, powrócił na brzeg, lecz nie uspokoił się bynajmniej: biegł ciągle, patrząc na wodę, jakby ścigał niewidzialną istotę, płynącą samym brzegiem jeziora. Powierzchnia jeziora była zupełnie gładka, i chociaż koloniści przyglądali się pilnie, nic nie mogli zobaczyć. Była w tym tajemnica, której nawet Cyrus Smith nie umiał odgadnąć.

O piątej po południu koloniści zamierzali już wrócić do domu, gdy Top zaczął znów się niepokoić: szczekał, ujadł i, zanim Cyrus potrafił go zatrzymać, po raz drugi rzucił się w jezioro.

Wszyscy pobiegli na brzeg, a gdy Cyrus przywołał Topa, który odpłynął już kilkadziesiąt stóp od brzegu, na powierzchni wody nie bardzo głębokiej, jak się zdawało, w tym miejscu, ukazała się ogromna głowa.

Harbert poznał od razu, do jakiego gatunku ziemnowodnych należała ta szpiczasta głowa z wielkimi oczami i długimi wąsami.

— To krowa morska — zawołał, zwracając się do towarzyszków.

Nie była to jednak krowa morska, lecz inne tegoż gatunku zwierzę, zwane „dugong“. Nozdrza jego znajdowały się w wyższej części pyska.

Ogromne zwierzę rzuciło się na psa, śpiesznie do brzegu podążającego. Pan jego nie mógł przyjść mu z pomocą, a zanim Gedeon i Harbert naciągnęli łuki, Top, pochwycony przez dugonga, zniknął pod wodą.

Nab, uzbrojony okutym drągiem, chciał rzucić się i stoczyć walkę z groźnym zwierzęciem.

— Nie, Nab, nie pozwól na to — rzekł inżynier, powstrzymując odważnego murzyna.

Tymczasem trudno było przypuścić, aby Top mógł się oprzeć tak potężnemu nieprzyjacielowi. Jednak, sądząc z gwałtownego poruszenia się wody, musiała tam odbywać się straszna walka, która bez wątpienia zakończyć się miała śmiercią Topa. Nagle woda zapieniała się, i ukazał się Top, wyrzucony w powietrze jakąś nieznaną siłą. Wzniósł się na dziesięć stóp nad powierzchnię jeziora, potem spadł na wodę i w kilka minut dopłynął do brzegu, lekko tylko raniony.

Koloniści zdziwieni spojrzeli po sobie, a zdumienie ich wzrosło, bo widocznie walka nie ustawała pod wodą. Zapewne dugong, napadnięty przez potężnego wroga, puścił psa, aby sam walczyć we własnej obronie.

Niedługo to jednak trwało. Woda zaczerwieniła się i niezwywy dugong wynurzył się z krawej kąpieli. Niezadługo potem woda wyrzuciła go na piasek w południowym końcu jeziora.

Koloniści pobiegli tam i przekonali się, że dugong był rzeczywiście zabity. Było to ogromne zwierzę, długie na piętnaście do szesnastu stóp i ważące, jak się zdaje, przeszło trzy tysiące funtów. W szyi miał głęboką ranę, jak gdyby ktoś silnie pchnął go nożem.

Jakież to zwierzę mogło w ten sposób odebrać życie dugongowi? Trudno było domyśleć się tego, toteż koloniści, zajęci rozwiązaniem tej zagadki, milcząc, wrócili do Kominów.

Wycieczka do jeziora. — Dziwny prąd. — Przypuszczenia i projekty Cyrusa Smitha. — Tłuszcz dugonga. — Zużytkowanie pirytu łupkowego. — Siarczek żelaza. — Kwas siarczany i azotowy. — Nowy spadek.

Nazajutrz, 7 maja, gdy Nab przyrządził śniadanie, a Penkroff i Harbert udali się w górę rzeki po drzewo, Cyrus Smith i Gedeon Spilett poszli przez płaszczyznę i wkrótce stanęli w miejscu, na którym leżał dugong.

• Stada ptaków obsiadły już nieżywe zwierzę. Musiano odganiać je kamieniami, gdyż inżynier pragnął zachować tłuszcz dugonga na potrzeby kolonii. Mięso jego musiało też być bardzo smaczne, skoro na niektórych z wysp Malajskich podają je wyłącznie na stołach krajowych książąt. Ale to już wchodziło w atrybucje Naba.

Cyrus Smith był zajęty obecnie ważniejszymi rzeczami. Myślał ciągle o wczorajszym wypadku, radby zgłębić tajemnicę walki podwodnej i dowiedzieć się, jaki to potwór morski ocalił życie wiernemu Topowi.

W miejscu, gdzie dugong leżał, woda była dość płytka, lecz dalej dno jeziora obniżało się powoli, i prawdopodobnie ku środkowi woda musiała być głęboka.

— Patrząc na to jezioro — rzekł reporter — zdawać się może, że nie ma w nim nic zastraszającego.

Masz słusność, kochany Gedeonie. Nie wiem doprawdy, jak sobie wytłumaczyć wczorajszy wypadek.

— Przyznaję — rzekł Gedeon — że zarówno mnie dziwi rana, od której zginęło to zwierzę, jak i to, że Top został tak silnie wyrzucony w powietrze. Zdawać się mogłoby nawet, że podrzuciła go jakaś silna ręka, która także zadała śmierć dugongowi.

— Tak — odpowiedział zamyślony inżynier — jest w tym coś, czego zrozumieć nie mogę. Ale czy potrafisz także odgadnąć, kochany Gedeonie, jakim sposobem ja sam zostałem uratowany, jakim sposobem z głębi morza dostałem się między piaszczyste wzgórza? Wszak prawda, że trudno to pojąć? Dlatego też widzę w tym tajemnicę, którą odkryjemy zapewne kiedyś. Zwracajmy na wszystko baczną uwagę, ale wobec naszych towarzyszków nie przypisujemy tym wypadkom wielkiego znaczenia. Zachowajmy dla siebie nasze uwagi.

Wiemy, że inżynier nie mógł dotąd odnaleźć, którędy odpływa z jeziora nadmiar wody. Otóż teraz spostrzegł

w tym miejscu właśnie dosyć wyraźny prąd wody; rzucił kilka drobnych kawałków drzewa i zauważył, że płyną dalej ku południowi. Poszedł w tę stronę i zatrzymał się w końcu południowej strony jeziora. Tam widać było ruch wody, jakby wpadała nagle w szczelinę.

Cyrus Smith przyłożył ucho do ziemi i usłyszał wyraźny szum podziemnego spadku wody.

— Tędy — rzekł, wstając — tędy uchodzi woda. Musi mieć kanał, wyłobiony w tej prostopadłej skale, przez który wpada do morza. Kto wie, czy nie ma tam także jaskini, którą moglibyśmy zużytkować dla siebie. O tym właśnie muszę się przekonać.

Inżynier uciął długą gałąź i, oberwawszy z niej liście, zanurzył ją w jeziorze. Przekonał się, że pod powierzchnią wody znajdował się szeroki otwór, a pęd był tak silny, że wyrwał mu z rąk gałąź.

— Teraz już nawet wątpić nie można — powiedział inżynier — że woda odpływa tym otworem, a ja go odsłonić muszę.

— A to jakim sposobem? — zapytał Gedeon Spilett.

— Obniżając o trzy stopy poziom jeziora.

— Poziom jeziora? A to jakim cudem?

— Otwierając wodzie z innej strony obszerniejsze ujście.

— W którym miejscu, Cyrusie?

— W części brzegów, najwięcej zbliżonych do morza.

— Ale tam są brzegi skaliste? — rzekł reporter.

— To wysadzę je w powietrze, a woda, uchodząc, odkryje otwór.

— I, spadając, tworzyć będzie kaskadę — dodał Gedeon.

— Tak, kaskadę, którą potrafimy zużytkować! — odpowiedział Cyrus. — Chodź, wracajmy!

Gdy wrócili do Kominów, Harbert i Penkroff kończyli właśnie układanie drzewa.

— Drwale już kończą robotę; panie Cyrusie, jeżeli więc panu potrzeba mularzy...

— Mularzy — nie, lecz potrzebuję chemików — odpowiedział inżynier.

— Tak — odpowiedział reporter — wysadzimy wyspę.

— Wysadzimy wyspę! — wykrzyknął Penkroff.

— No, nie całą — odpowiedział Gedeon z uśmiechem — tylko jej małą częśćkę.

Tu inżynier zawiadomił towarzyszków o skutku swych spostrzeżeń. Według niego w granitowej podstawie płaszczyny musiało znajdować się większe lub mniejsze zagłębienie, to jest rodzaj jaskini, do której postanowił wejść. Aby to było możliwe, wypadło odstąpić otwór, którym woda odpływała, a zatem obniżyć znacznie poziom jeziora, otwierając wodzie drogę do odpływu. W tym celu trzeba było przyrządzić substancję wybuchającą, która by mogła wyszczerbić skalisty brzeg jeziora. To właśnie zamierzał uczynić, korzystając z minerałów, jakimi przyroda wyposażyła wyspę.

Nie potrzebujemy zapewnić, że ten zamiar podobał się wszystkim, a Penkroffa wprowadził w zachwyt.

— Będę, czym tylko zechcę — rzekł do Naba — choćby nauczycielem tańca, jeżeli to będzie potrzebne.

Nab i Penkroff otrzymali naprzód polecenie wydobywania tłuszczu z dugonga i zakonserwowania mięsa, przeznaczonego na użytek. Zajęli się tym natychmiast, nie pytając o dalsze objaśnienia, gdyż Cyrus Smith budził w nich nieograniczone zaufanie.

W kilka minut potem Cyrus i pozostali towarzysze szli w górę rzeki, ciągnąc za sobą nosze, uplecione z gałęzi. Dążyli ku pokładom węgla kamiennego, gdzie Cyrus już dawniej widział wielką ilość piryty łupkowego. Po zebraniu, przemieśli znaczną ilość do Kominów.

Następnego dnia Cyrus zabrał się do roboty. W tym celu oznaczył miejsce poza Kominami, i grunt wyrównano jak najstaranniej. Następnie ułożył stos z gałęzi i drzewa, poukładał na nim kawałki piryty i posypał na wierzchu mianem — poczem zapalił drzewo. Ciepło ognia udzieliło się łupkom, zawierającym w sobie węgiel i siarkę, i dlatego zapaliły się. Teraz nasypał wielką ilość potłuczonego piryty, przykrył ziemią i trawą, pozostawiając otwory dla powietrza. Wszystko zostawił tak do czasu żądanego przeistoczenia. Potrzeba było dziesięć do dwunastu dni, siarczek żelaza zamienił się w siarczan żelaza, a glin w siarczan glinu. Obie te substancje są rozpuszczalne, inne zaś, to jest krzemionka, węgiel spalony i popiół — są nierozpuszczalne.

Podczas tego działania chemicznego koloniści pracowali zawzięcie. Nab i Penkroff odarli tłuszcz z dugonga i złożyli w naczynia gliniane, aby następnie wydobyć z niego glicerynę.

Towarzysze nie wiedzieli dotąd, do czego Cyrus Smith potrzebował kwasu azotowego, jednakowoż pomagali mu przy tym. Wreszcie otrzymał go. Zgęszczoną glicerynę, skutkiem wyparowania przez zanurzenie w gorącej wodzie naczynia, w jakim była zawarta, połączył z kwasem azotowym i otrzymał kilka kwart olejowatego, żółtego płynu.

Ostatniej tej operacji dokonał sam daleko od Kominów, gdyż mógłby nastąpić wybuch nader groźny w razie najmniejszej nieostrożności. Przynosząc ten płyn w dużej flasce, dobrze zatkaney, rzekł do towarzyszków:

— Jest to nitrogliceryna!

I był to rzeczywiście ten straszny wytwór, którego siła dziesięć razy prawie przewyższa siłę zwyczajnego prochu, i który już spowodował tyle okropnych wypadków. Jednak od chwili, jak wynaleziono sposób zamieniania nitrogliceryny na dynamit, przez zmieszanie jej z substancją stałą, dość dziurkowaną, aby mogła ją zatrzymać, jak glina lub cukier, groźny ten płyn może być zużytkowany z większym bezpieczeństwem. Ale dynamit nie był jeszcze znany w owym czasie, gdy koloniści nasi przebywali na wyspie Lincoln.

— I ta ciecz ma wysadzić naszą skałę? — zapytał Penkroff z niedowierzającą miną.

— Tak, mój przyjacielu — odrzekł inżynier — a nitrogliceryna tym silniej działać będzie, że granit jest nadzwyczaj twardy i wielką przedstawia siłę oporu.

Nazajutrz, dnia 21 maja, już o świcie udali się na wschodni brzeg jeziora o pięćset kroków od wybrzeża morskiego.

Penkroff, zaopatrzony w drąg żelazny, zaczął silnie uderzać w powierzchnię skały pod kierunkiem inżyniera.

Była to praca ciężka i szła powoli, gdyż inżynier, pragnąc wywołać straszny skutek, zamierzał użyć na ten cel przeszło dziesięć litrów nitrogliceryny. Jednak Penkroff na przemian z Nabem pracowali tak niezmordowanie, że około czwartej wieczorem otwór był wydrążony.

Teraz już trzeba było zapalić substancję wybuchową. Zazwyczaj zapala się nitroglicerynę za pomocą lontu piorunującego, który, pękając, powoduje wybuch. Potrzeba konieczne tarcia, uderzenia do wywołania wybuchu, gdyż zapalona bez uderzenia nitrogliceryna paliłaby się ale bez wybuchu.

Uderzenie młotem w kilka kropli nitrogliceryny, rozlanej na powierzchni twardego kamienia, powoduje wybuch;

lecz kto by tego dokonał, sam stałby się ofiarą wybuchu. Aby temu zaradzić, Cyrus przymocował wysoko ponad wydrążonym otworem, na grubej linie, ukręconej z włókien roślinnych, kawał żelaza, ważący kilkadziesiąt funtów. Do tej liny przywiązał w samym środku drugą, nasiarkowaną. Jej koniec spadał na ziemię i był tak długi, iż ciągnął się po powierzchni na kilkanaście stóp od otworu miny. Po zapaleniu, lina będzie palić się aż do połączenia z pierwszą, z kolei zapali ją, a wtedy ciężar żelaza spadnie na nitroglicerynę.

Gdy wszystko przygotowano, inżynier kazał towarzyszom oddalić się. Otwór miny napełnił nitrogliceryną i puścił kilka kropel na skałę, tuż pod zawieszonym żelazem. Następnie uchwycił koniec nasiarkowanej liny, zapalił i, biegnąc prędko, dostał się do oczekujących go towarzyszków.

Lina miała palić się dwadzieścia pięć minut. Natychmiast po ich upływie rozległ się przerażający huk, który trzeba słyszeć, gdyż wyobrazić go sobie nie podobna. Zdawało się, że cała wyspa zadrżała i wstrząsnęła się w posadach; grad kamieni wyleciał w powietrze, jakby wyrzucony z wulkanu. Wstrząs był tak silny, że skały Kominów zachwiały się, a koloniści zostali rzućni o ziemię, choć znajdowali się bardzo daleko od miejsca wybuchu.

Podniósłszy się, weszli na płaszczyznę i pobiegli ku miejscu, gdzie wybrzeże jeziora zostało rozsądzone.

Głośne, potrójne wiwat! wydarło się z ich piersi. Ściana granitowa była szeroko rozwarta, bystry prąd wody, pieniąc się z wysokości trzystu stóp staczał się przez otwór na wybrzeże.

ROZDZIAŁ XVIII.

Penkroff przestaje wątpić. — Dawne miejsce odpływu wody. — Zstąpienie do podziemi. — Przejście przez wzgórza granitowe. — Zniknięcie Topa. — Pieczara środkowa. — Tajemnica. — Otwór wybity. — Powrót.

Zamiary Cyrusa uwieńczył szczęśliwy skutek, lecz, stosownie do zwyczaju, z zimną krwią patrzył na swoje dzieło. Harbert wpadł w zachwyt, Nab skakał z radości, a Penkroff powtarzał ciągle, przechylając głowę z ramienia na ramię:

— Ho, ho! dla naszego inżyniera nie ma nic trudnego!

Rzeczywiście nitrogliceryna zostawiła potężne ślady swego działania. Przez nowy otwór wypływało więcej niż trzy razy tyle wody, co przez dawny; a wskutek tego poziom jeziora musiał obniżyć się w krótkim czasie przynajmniej o parę stóp.

Koloniści wrócili do Kominów. Top pobiegł za nimi.

W drodze marynarz rzekł do Cyrusa:

— Jak widzę, panie Cyrusie, płynem wyrobionym przez pana można by z łatwością wysadzić całą naszą wyspę.

— Nie tylko wyspę, lecz wszystkie lądy i całą nawet ziemię — odpowiedział Cyrus. — Zależałoby to jedynie od ilości.

— Czy ta nitrogliceryna nie mogłaby służyć za nabój do palnej broni?

— Nie, Penkroffie, gdyż można by broń rozerwać. Co do nas, moglibyśmy łatwo wyrabiać proch, skoro mamy kwas azotowy, saletrę, siarkę i węgiel, lecz na cóż by się to zdało, kiedy, niestety, nie mamy broni.

Koloniści stanęli niebawem przy dawnym upuście i za pierwszym rzutem oka przekonali się, że życzenia ich zostały spełnione.

W granitowej ścianie jeziora, wznoszącej się obecnie już nad poziomem wody, ukazał się tak długo poszukiwany otwór. Przystęp do niego ułatwił kawał skały, wystający ponad wodą po jej opadnięciu, a ciągnący się wzdłuż poniżej otworu, blisko na dwadzieścia stóp szerokiego, lecz mającego zaledwie parę stóp wysokości. Koloniści tylko z największą trudnością mogliby się przecisnąć przez ten otwór, lecz Nab i Penkroff mieli żelazne drągi i pracowali tak szczerze, że w godzinę podwyższyli go dostatecznie.

Inżynier przekonał się wówczas, że dno otworu nie obniżało się zbyt stromo, i że będzie można zejść aż do poziomemu morza, jeżeli pochyłość dalej będzie jednakowa.

— Na cóż my jeszcze czekamy, panie Cyrusie? — zapytał marynarz, który pragnąłby jak najprędzej wejść do podziemia. — Już i tak Top nas wyprzedził.

— I my zejdziemy — odpowiedział inżynier — tylko nie mamy jeszcze światła. Nabie, przynieś nam smołnych gałęzi!

Nab i Harbert pobiegli na brzeg jeziora, ocienionego sosnami, i wrócili wkrótce, niosąc spory pęk gałęzi, które ułożyli w kształcie pochodni. Gdy skrzესano ognia i zapalono pochodnie, Cyrus Smith, a za nim koloniści weszli w ciemny korytarz, oswobodzony od zalewającej go przedtem wody.

Wbrew przypuszczeniom, szerokość i wysokość tego przejścia zwiększała się w miarę, jak się posuwali, i wkrótce mogli już chodzić wyprostowani. Ściany granitowe, od wieków może zalane wodą, były śliskie, trzeba więc było schodzić bardzo ostrożnie, dlatego też koloniści poprzywiązywali się jeden do drugiego sznurami, jak to czynią wchodzący na wysokie góry. Szczęściem dno granitowe nie było zupełnie gładkie i wystające na nim wypukłości zastępowały schody. Krople wody, pozostałe jeszcze na skałach, połyskiwały od światła pochodni; można by sądzić, że wszystkie ściany pokryte były stalaktytami. Inżynier przyjrzał się granitowi: był czarny, zbity i nadzwyczaj ścisły. A więc to podziemie istniało od powstania wyspy, więc to nie woda wyłobila je powoli; nie Neptun, lecz Pluton wykuł je swą ręką.

Koloniści bardzo wolno spuszczaali się na dół. Doznawali jakiegoś dziwnego uczucia, zapuszczając się w te podziemia, w których widocznie nie stanęła nigdy noga człowieka. Szli milcząc, lecz może każdemu z nich przychodziło do głowy, że olbrzymi potwór morski obrał sobie mieszkanie w niższych częściach jaskini, gdzie już wdzierały się fale morza. Top szedł przed nimi; ufając w jego zmyślność, pewni byli, że ich ostrzeże gdyby groziło niebezpieczeństwo.

Gdy szeszli już sto stóp na dół, Cyrus zatrzymał się, inni poszli za jego przykładem. W tym miejscu podziemie rozszerzało się znacznie i tworzyło małą jaskinię. Z jej sklepienia spadały krople wody, świadczące, że fale rwącego potoku były jedynymi jej mieszkankami. Powietrze wilgotne nie zawierało w sobie szkodliwych wzyewów.

— No cóż, kochany Cyrusie — odezwał się Gedeon — znaleźliśmy schronienie ciche, ukryte, lecz nie podobna w nim zamieszkać.

— A to dlaczego? — zapytał marynarz.

— Bo za małe i za ciemne.

— A czy to nie możemy powiększyć tej jaskini, powykuwać okien, aby światło i powietrze miały do niej dostęp? — rzekł Penkroff, któremu teraz wszystko wydawało się prawdopodobne.

— Chodźmy dalej — powiedział inżynier — może tam niżej znajdziemy coś lepszego.

— Przeszliśmy zapewne dopiero trzecią część wysokości — rzekł Harbert.

— Gdzie jest Top, panie? — zapytał Nab, przerywając.

— Zapewne pobiegł dalej — odezwał się Penkroff.

— A więc i my pójdziemy za nim — rzekł Cyrus.

Inżynier, idąc, zważał pilnie na wszystkie zakręty i przejścia, a pomimo, że były dość liczne, umiał sobie zdać sprawę z ogólnego kierunku, w jakim dążyli ku morzu.

Koloniści zeszli znów o pięćdziesiąt stóp niżej, gdy uwagę ich zwróciły dźwięki, wychodzące z głębi podziemia; stanęli, przysłuchując się. Dźwięki te, dochodzące do nich przez wąski korytarz, jakby przez trąbkę akustyczną, wyraźnie obijały się o ich uszy.

— To szczekanie Topa! — zawołał Harbert.

— Tak — powiedział Penkroff — poczciwy nasz piesek jakoś gniewnie ujada!

— Mamy nasze żelazne drągi — rzekł Cyrus. — Naprzód więc i bądźmy uważni.

— Rzecz zaczyna być coraz bardziej zajmująca — szepnął Gedeon marynarzowi, który odpowiedział mu potwierdzającym skinieniem głowy.

Koloniści biegli na pomoc Topowi, ujadającemu coraz głośniej, a w jego głosie czuć było wściekłość prawie. Czyby walczył z jakim zwierzęciem, którego spokój naruszył? Koloniści, zdjęci ciekawością, nie myśleli o niebezpieczeństwie, zapomnieli o środkach ostrożności, nie schodzili już, ale zsuwali się z pochyłości, i w kilka minut, o sześćdziesiąt stóp niżej zobaczyli Topa.

W tym miejscu otwierało się wejście do obszernej i pięknej jaskini. Tam właśnie Top ujadał gniewnie. Penkroff i Nab, otrząsnąwszy pochodnie, rzucili jasne promienie światła na granitowe ściany, a Cyrus, Gedeon i Harbert podnieśli do góry oszcypy, gotowi na wszelki wypadek.

Jaskinia była pusta. Koloniści przebiegli ją wzdłuż i w szerz, nie spostrzegli jednak nigdzie ani zwierzęcia, ani żadnej żyjącej istoty. Top wszelakó ujadał ciągle i ani pieszczoty, ani groźby nie mogły skłonić go do milczenia.

— Musi tu być otwór, którym woda uchodziła do morza — odezwał się inżynier.

— Rzeczywiście — odpowiedział Penkroff — uważajmy, abyśmy tam nie wpadli.

— Szukaj, Top, szukaj! — zawołał Cyrus.

Pies, zachęcony głosem pana, pobiegł na drugi koniec jaskini i tam głośniej jeszcze zaczął szczekać.

Wszyscy poszli za nim i przy świetle pochodni zobaczyli otwór, podobny do otworu studni. Przez niego właśnie odpływała woda z jeziora. Poza tym otworem nie było już spadzisto pochyłającego się przejścia, lecz prostopadłe ściany, po których nie można było zejść.

Pochylnono pochodnie nad otworem, lecz nic nie zobaczono. Cyrus Smith rzucił wewnątrz zapaloną gałąź smolną, która spadając, żywszym jeszcze zabłysła światłem i oświetliła ściany studni, ale prócz nich nic nie widzieli. Potem, gdy ogień gasnął, dało się słyszeć lekkie syczenie, dowodzące, że gałąź dotknęła wody, to jest poziomu morza.

Inżynier obrachował podług czasu, jaki upłynął od wrzucenia do spadnięcia gałęzi, że głębokość studni wynosiła około dziewięćdziesięciu stóp: a więc dno jaskini wznosiło się o dziewięćdziesiąt stóp nad poziom morza.

— Oto przyszłe nasze mieszkanie — rzekł Cyrus do towarzyszy.

— Które z pewnością było przedtem zajęte przez jakąś żyjącą istotę — rzekł Gedeon nie rad, że ciekawość jego nie była dotąd zaspokojona.

— Być może — odrzekł inżynier — lecz ta istota widocznie uciekła tym otworem i ustąpiła nam miejsca.

— Bądź co bądź — dodał marynarz — chciałbym być z Topem kwadrans temu, bo on z pewnością nie ujadł tak bez przyczyny.

Cyrus pogłaskał psa i rzekł cicho do siebie:

— O! z pewnością wiele moglibyśmy dowiedzieć się od Topa!

Tak więc życzenia kolonistów ziściły się niemal zupełnie. Mogli rozporządzać obszerną grota, której wielkości nie potrafili jeszcze dostatecznie ocenić, lecz widzieli już, że będzie można podzielić ją przepierzeniami z cegły na pewną ilość pokoi, a tym sposobem urządzić w niej wygodne mieszkanie. Dopływu wody nie trzeba się już było obawiać.

Pozostawały jeszcze dwie trudności: naprzód oświetlenie jaskini, wyłobionej wewnątrz tak olbrzymiej skały, następnie ułatwienie wejścia do niej. Nie można było myśleć o oświetleniu groty z góry, ponieważ pokrywało ją nadzwyczaj grube granitowe sklepienie, trzeba więc było spróbować, czy nie uda się przebić bocznej ściany, ciągnącej się od strony morza. Cyrus, schodząc do podziemia, zwrócił uwagę na ukośny kierunek korytarza i wnosił, że może

ta ściana nie będzie zbyt gruba. Jeżeliby zaś można oświetlić grotę z tej strony, to i przystęp będzie ułatwiony, bo równie łatwo wybić drzwi jak okna i wchodzić przy pomocy drabiny.

— W takim razie, panie Cyrusie, zabierzmy się do roboty. Mam mój drąg żelazny i dosyć siły, aby spróbować, czy mi się nie uda przebić tej ściany. Gdzie uderzyć?

— Tu! — odpowiedział inżynier, wskazując dość znaczne zagłębienie w rodzaju framugi, co zmniejszało w tym miejscu grubość ściany.

Penkroff tak silnie przez całe pół godziny bił drągiem w ścianę, że w koło niego spadały kawałki skały, a iskry sypały się za każdym uderzeniem. Następnie Nab, a po Nabie Gedeon zabrał się do roboty.

Pracowali już od dwóch godzin, i zaczęto się obawiać, aby długość drąga nie okazała się niedostateczną w stosunku do grubości ściany, gdy wreszcie, po silnym uderzeniu, drąg przebił ścianę, wysunął się z ręki i upadł na zewnątrz.

— Wiwat! Wiwat! — krzyknął Penkroff.

Ściana granitowa miała w tym miejscu tylko trzy stopy grubości.

Cyrus Smith spojrział przez otwór: przed nim rozciągało się wybrzeże wysepki a dalej morze.

Jednocześnie pierwszy raz promienie światła dziennego wdarły się do groty, która w tej chwili wydała się kolonistom jakimś zaczarowanym pałacem. Jeżeli część jej na lewo nie miała więcej nad dwadzieścia stóp wysokości i szerokości, nad sto stóp długości, to na prawo rozmiary jej były ogromne a zaokrąglone sklepienie wznosiło się wyżej niż osiemdziesiąt stóp. Sklepienie to, oparte w niższych, bocznych swych częściach na granitowych filarach, jak nawa kościoła, tworzyło to luki, to arkady, niknące wśród dziwacznych ozdób i obłąków, wyrzeźbionych ręką przyrody, i przedstawiało w malowniczym połączeniu próbki architektury bizantyjskiej, romańskiej i gotyckiej. A jednak było to dzieło samej tylko natury; ona to w tym granicie wykuła tę czarodziejską Alhambrę!

Koloniści stali zdumieni i zachwyceni. Tam, gdzie spodziewali się zastać ciasną jaskinię, znaleźli jakiś czarodziejski pałac. Nab odkrył głowę, jakby nagle został przeniesiony do świątyni!



*Sklepienie to... jak nawa kościoła, tworzyło to łuki,
to arkady... (str. 113).*

Ze wszystkich ust wyrwały się okrzyki zachwytu, które echo powtarzało na wszystkie strony.

— Ach! przyjaciele moi — rzekł Cyrus — skoro oświe-
tlimy dostatecznie to podziemie, gdy podzielimy tę część
po lewej ręce na pokoje, składy i kuchnię, pozostanie nam

jeszcze w całości ta pyszna grota, którą, przeznaczymy na zbiory osobliwości i ogólne zebrania.

— A nazwiemy ją?... — zapytał Harbert.

— Granitowym Pałacem — odpowiedział Cyrus.

Towarzysze jego z zadowoleniem przyjęły tę nazwę.

Pochodnie już się prawie dopalały, a ponieważ byłoby niebezpiecznie wracać po ciemku przez wąski i spadzisty korytarz, postanowiono wyjść z jaskini i zaraz nazajutrz rozpocząć prace około urządzenia nowego mieszkania.

Przed odejściem Cyrus raz jeszcze pochylił się nad otworem studni i przysłuchiwał się uważnie. Cicho tu było, nie dochodził nawet szum bałwanów morskich, których huk w czasie burzy musiał tu dolatywać. Rzucono jeszcze jedną gałąź zapaloną, lecz znowu jak pierwej zobaczono tylko prostopadłe ściany. Jeżeliby więc nawet jaki potwór morski pozostał tu chwilowo po nagłym odpływie wody, to widocznie zdołał już przez ten otwór schronić się do morza, zanim oni weszli do jaskini.

Inżynier jednak stał nad studnią zamyślony; słuchał i z nateżeniem wpatrywał się w jej otwór.

W końcu marynarz zbliżył się do niego i rzekł, trącając go w ramię:

— Panie Cyrusie!

— Czego chcesz, przyjacielu? — zapytał inżynier, jakby przebudzony ze snu.

— Pochodnie niezadługo zgasną.

— Więc wracajmy! — odpowiedział Cyrus.

Koloniści opuścili grotę i zaczęli piąć się pod górę przez ciemny korytarz. Top szedł na końcu i jeszcze niekiedy warczał, odwracając się w przeciwną stronę. Wejście pod górę było męczące, zatrzymali się więc na chwilę dla wypoczynku w mniejszej grocie, a potem poszli dalej.

Wkrótce zaczął dochodzić do nich powiew wiatru. Kropelki wody nie połyskiwały już na granicie, osuszonym pod wpływem powietrza, pochodnie blade tylko wydawały światło, a niebawem jedna z nich zgasła zupełnie, i trzeba się było śpieszyć, aby jak najprędzej wyjść z podziemnego korytarza.

Około godziny czwartej zgasła druga pochodnia, ale też w parę minut później koloniści wyszli z podziemia i stanęli na wolnym powietrzu.

ROZDZIAŁ XIX.

Plany Cyrusa. — Fasada Granitowego Pałacu. — Drabina sznurowa. — Marzenia Penkroffa. — Ziola aromatyczne. — Królikarnia. — Odpro-
wadzenie wody z jeziora. — Widok z okien Granitowego Pałacu.

Dnia 22 maja rozpoczęto prace około oczyszczenia i urządzenia nowego mieszkania. Koloniści jednak nie chcieli zupełnie opuścić Kominów, gdyż Cyrus przeznaczył je na warsztaty, gdzieby wykonywano grubsze roboty.

Naprzód inżynier starał się rozpoznać, w którym punkcie wypada fasada Granitowego Pałacu. Udał się więc w tym celu do stóp granitowej ściany. Ponieważ żelazny drąg, który wysunął się z ręki reportera, musiał upaść prostopadle, wystarczyło wyszukać go, ażeby zarazem znaleźć miejsce, w którym przebito ścianę.

Odszukano go z łatwością. I rzeczywiście w prostej linii nad nim o jakie osiemdziesiąt stóp nad ziemią spostrzeżono wykuty otwór. Kilka gołębi skalnych wyleciało już z niego; sądziły może, że to dla nich odkryto Pałac Granitowy.

Inżynier zamierzał podzielić połowę jaskini na kilka pokoi, poprzedzonych korytarzem, i oświetlić je pięcioma oknami i drzwiami, wykutymi w fasadzie. Penkroff rozumiał użyteczność okien, lecz nie pojmował, po co mieli się trudzić nad wykuciem drzwi, skoro przez miejsce dawnego odpływu można było z łatwością dostać się do Granitowego Pałacu.

— Mój przyjacielu — rzekł do niego Cyrus — jeżeli nam łatwo dostać się tym otworem do mieszkania, to i ktoś inny potrafi to samo uczynić. Mam zamiar zawalić ten otwór odłamami skały, a nawet замуrować szczelnie, aby go można w razie potrzeby, ukryć jak pierwej pod wodą.

— A jak my będziemy wchodzić? — zapytał marynarz.

— Po sznurowej drabinie. Skoro ją wciągniemy za sobą do mieszkania, przystęp do niego będzie przecięty.

— Ale kogóż możemy się obawiać — rzekł znów marynarz. — Nie spotkaliśmy dotąd ani jednego drapieżnego zwierzęcia, a ludzi nie ma na wyspie.

— Czy jesteś tego pewny, Penkroffie? — zapytał inżynier znacząco.

— No! pewnym będę wówczas dopiero, gdy poznam całą wyspę.

— Słusznie — rzekł Cyrus — a dotąd znamy zaledwie małą jej część. W każdym razie, choćbyśmy nie mieli nie-

przyjaciół wewnętrznych, to mogą spaść na nas z zewnątrz, bo, jak ci wiadomo, ta część Oceanu Spokojnego nie jest bezpieczna. Bądźmy więc ostrożni i zabezpieczmy się na wszelki wypadek.

Postanowiono więc wykuć w fasadzie Granitowego Pałacu pięć okien, dla oświetlenia mieszkalnych pokoi i drzwi wchodowe; dla ochrony zaś deszczu i wiatru, inżynier miał zamiar umocować przy oknach grube okiennice i zamykać je w razie potrzeby.

Przystąpiono najpierw do wybicia tych otworów, lecz że byłaby to zbyt długa i ciężka praca przy wykuwaniu żelaznymi drągami, a Cyrus posiadał jeszcze dostateczną ilość nitrogliceryny, przeto i teraz postanowił skorzystać.

W kilka dni później Granitowy pałac był już dostatecznie oświetlony, a promienie wschodzącego słońca zakradły się do najtajniejszych jego zakątków.

Według planu Cyrusa mieszkanie miało składać się z pięciu części, to jest z korytarzyka, prowadzącego do drzwi wchodowych, przy których miała być przymocowana drabina sznurowa, dalej z kuchni i jadalni, wspólnego pokoju sypialnego, a na koniec, na usilne prośby Penkroffa, utrzymującego, że trudno przewidzieć, czy to kiedyś nie okaże się potrzebnym, i z pokoju gościnnego, przylegającego do wielkiej sali.

Wszystkie te pokoje, ciągnące się jeden za drugim, nie zajmowały całej pieczary. Od tyłu miała być urządzona komora na skład różnych sprzętów i zapasów; mogli być pewni, że wszystkie zapasy, zebrane na wyspie, czy to roślinne, czy zwierzęce, wybornie utrzymywać się tam będą, jako w chłodnym i suchym miejscu. Prócz tego koloniści mieli jeszcze do rozporządzenia małą grotę, znajdującą się powyżej, którą w razie potrzeby będą mogli obrócić na magazyn.

Plan nakreślono, lecz trzeba jeszcze było go wykonać. Koloniści zabrali się znowu do wyrobu cegły, którą składali pod fasadą Granitowego Pałacu.

Dotąd wchodzili do jaskini tylko przez miejsce dawnego odpływu. Ponieważ musieli przebywać znaczny kawał drogi, trudzić się niepotrzebnie i tracić czas, Cyrus postanowił natychmiast zająć się sporządzeniem mocnej, sznurowej drabiny.

Upleciono grube sznury z włókna roślinnego, tak mocne jak liny okrętowe; szczebli dostarczyły lekkie a mocne

i trwale gałęzie czerwonego cedru. Penkroff, jako marynarz, zrobił wyborną drabinę.

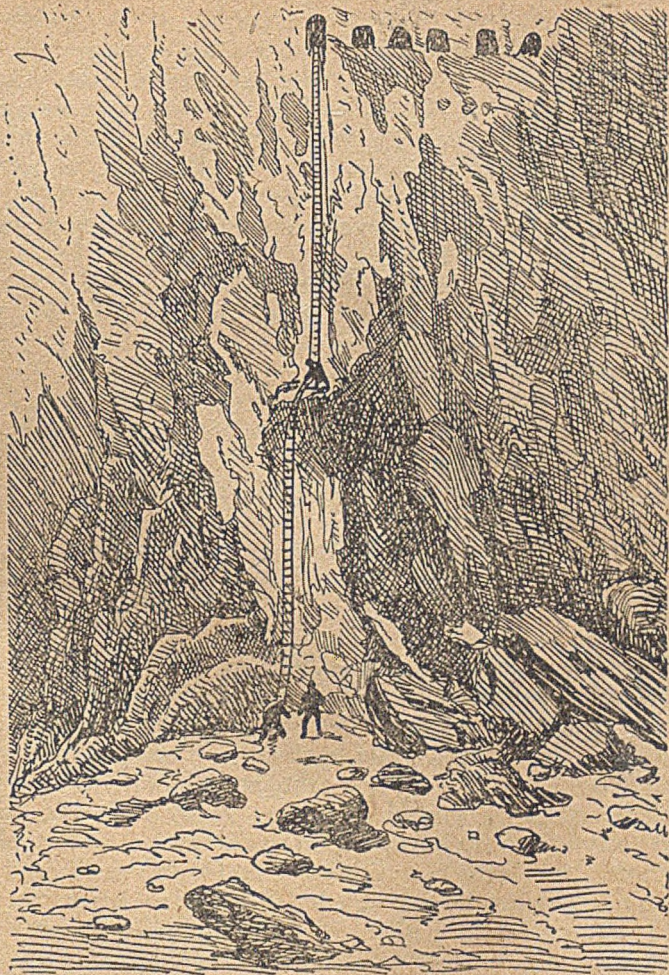
Przygotowano więcej jeszcze takich sznurów i przy ich pomocy urządzono windę, na której wciągano do jaskini cegły i wapno. Wszystkie te roboty szły spieszenie pod dozorem inżyniera, który sam uczył towarzyszków, jak mają robić kielnią i młotem; a że pracowali ochoczo, w dość krótkim czasie stanęły wszystkie przepierzenia. Penkroff, spełniający obowiązki cieśli, powroźnika lub mularza, był bardzo wesoły i rozweselał innych. Nie lękał się braku obuwia, ani braku oświetlenia w ciągu długich zimowych nocy, bo wierzył, że pan Cýrus Smith potrafi temu zaradzić.

Inżynier nie przeczył Penkroffowi, nie niweczył jego nadziei. Widząc, że to zaufanie podwaja energię i chęć do pracy, nigdy nie dał poznać po sobie, że mu przyszłość nie przedstawiała się w tak różowych kolorach. Wiedział, że okręty nie zwiedzają tej części Oceanu Spokojnego, i że chyba przypadkiem jakiś statek mógłby przyplłynąć w te strony, więc prawdopodobnie wypadnie im pozostać tu na zawsze. Nie podobna byłoby puszczać się w odległą podróż morską na takiej łodzi, jaką sami byliby w stanie zbudować.

Drabina była zawieszona dnia 28 maja. Zawierała przeszło sto szczebli.

Koloniści przyzwyczaili się do schodzenia po niej, a Penkroff, który jako marynarz nawykł do biegania po linach, prowadzących na wierzchołek masztu, był ich nauczycielem. Musiał jeszcze dawać lekcje biednemu Topowi, którego cztery łapy nie bardzo nadawały się do chodzenia po drabinie. Jednakowoż, dzięki wybornemu nauczaniu marynarza, Top wyuczył się nareszcie i wkrótce chodził tak dobrze, jak jego współbracia, pokazujący sztuki w cyrkach. Penkroff zadowolony chlubił się swoim uczniem; często jednak znosił go na plecach, o co Top nie gniewał się wcale.

Pomimo pośpiechu, z jakim ukończono te roboty, gdyż pora deszczowa zbliżyła się, nie zapomniano przecież o zapasach żywności. Reporter i Harbert, którzy podjęli się dostawy dla kolonii, codziennie kilka godzin poświęcali polowaniu. Dotąd polowali tylko w lesie i na lewym brzegu rzeki, gdyż nie mając łodzi, ani mostu, nie mogli przebywać Mercy; dlatego też ogromnych lasów, które nazwali lasem Dalekiego Wschodu, dotąd nie zwiedzali. Dopiero w pierwszych dniach przyszłej wiosny obiecywali sobie ciągnąć



Drabina była zawieszona dnia 28 maja (str. 118).

z niego korzyści. Ale i las Żakamaru był bogato zaopatrzony w zwierzynę; znajdowało się w nim mnóstwo dzików i kangurów, a okute drągi, łuki i strzały pozwalały myśliwym zabijać je. Pewnego poranka Harbert odkrył w południowo-zachodniej stronie lasu jakby naturalną królikarnię; był to

rodzaj wilgotnej nieco łączki, zarosniętej wierzbami i ziołami aromatycznymi, których woń rozchodziła się w powietrzu.

Reporter zrobił uwagę, że skoro zastali tak hojnie zastawiony stół dla królików, więc muszą tu one gościć. W każdym razie królikarnia dostarczy im przynajmniej pożytecznych ziół, posiadających różne własności lecznicze. Uzbierali więc znaczny zapas. Gdy to Penkroff zobaczył, zapytał, do czego mają służyć te zioła.

— Są to lekarstwa, których używać będziemy w razie choroby — odrzekł Harbert.

— A jakże moglibyśmy chorować, skoro nie ma doktorów na naszej wyspie? — powiedział Penkroff z bardzo poważną miną.

Oprócz tych ziół lekarskich, Harbert znalazł jeszcze znaczną ilość roślin, znanych w Ameryce Północnej pod nazwą „herbaty Oswego“, która stanowi doskonały napój.

Nareszcie, po starannych poszukiwaniach na łące, udało im się wynaleźć królikarnię. W tym miejscu grunt był podziurawiony jak przetak.

— Nory! — zawołał Harbert.

— A widzę! — odrzekł reporter.

— Ale czy są zamieszkane?

— Otóż to kwestia.

Rozwiązanie jej nastąpiło niebawem, bo w tejże chwili setki małych zwierzątek, podobnych do królików, zaczęły uciekać na wszystkie strony i to tak prędko, że i Top nie mógłby ich prześcignąć. Ale myśliwi postanowili nie wracać do domu, nie złapawszy przynajmniej pół tuzina tych czworonożnych zwierzątek. Pierwsze miały stanowić zapas spiżarniany, z późniejszymi postanowili zrobić próbę obłaskawienia i hodować je w mieszkaniu. Gdyby mieli sieci do łowienia królików, łapanie ich byłoby bardzo łatwe; ale nie mając ich, musieli zaglądać do wszystkich nor, zapuszczając w nie długi kij, co wymagało czasu i cierpliwości.

Po godzinie poszukiwań schwytali cztery zwierzątka; były to króliki, zwane amerykańskimi, bardzo podobne do europejskich.

Gdy ukończono już roboty wewnątrz Granitowego Pałacu, inżynier zajął się zawalaniem otworu dawnego miejsca odpływu, tak, aby wejście z tej strony uczynić niepodobnym. Zatoczono do otworu duże odłamy skał i pospajano je silnie. Na razie Cyrus Smith nie skuteczniał zamiaru zatopienia tego

wejścia przez podniesienie poziomu jeziora do poprzedniej wysokości, tylko zasłonił je, zasadzając między szczelinami skał niewielkie krzewy i kępy trawy, które na wiosnę rozrosną się i gałązkami swymi zakryją zamurowany otwór.

Cyrus, chcąc zaopatrzyć nowe mieszkanie w słodką wodę, zostawił małą szczelinę trochę niżej od poziomu jeziora. To czyste i nie wysychające nigdy źródło dostarczało kolonistom dwadzieścia pięć do trzydziestu garncy dziennie wybornej do picia wody, i w żadnym razie nie potrzebowali obawiać się jej braku.

Ukończono wreszcie roboty około Granitowego Pałacu. Zrobiono nawet okiennice do zasłaniania okien, dopóki inżynier nie zaopatrzy ich w szyby. Gedeon zaś pootaczał z prawdziwie artystycznym smakiem otwory okien świeżą zielenią, zasadziwszy w zakłębnięciach skały różnego rodzaju rośliny i puszyste trawy.

Jak widzimy, mieszkańcy tak trwałego, zdrowego i bezpiecznego mieszkania mogli być szczerze zadowoleni. Penkroff też nie szczędził pochwał swemu, jak wyrażał się żartobliwie, „apartamentowi na piątym piętrze“, z którego tak piękny widok roztaczał się na wszystkie strony, że nie można się było dosyć napatrzeć.

ROZDZIAŁ XX.

Okres deszczów. — Kwestia odzieży. — Polowanie na foki. — Wyrób świec. — Roboty wewnątrz Granitowego Pałacu. — Dwa mostki. — Wyprawa po ostrygi. — Co Harbert znalazł w swej kieszeni.

Z początkiem czerwca rozpoczęła się prawdziwa zima, gdyż miesiąc ten odpowiada grudniowi stref północnych. Następowały teraz ulewy i wichry morskie. Dzięki mieszkaniu, urządzonemu w Granitowym Pałacu, koloniści byli doskonale zabezpieczeni od słyoty. Cyrus Smith przedsięwziął też pewne środki ostrożności, aby, o ile można, zabezpieczyć kuźnię i piece, założone w Kominach.

Przez cały czerwiec obok innych prac zajmowano się także polowaniem i rybołówstwem dla zaopatrzenia spiżarni. Penkroff zamierzał pozostawiać pułapki, po których wiele obie-

cywał sobie, a tymczasem porobił sieci, i nie było dnia, żeby nie złapała się w nie pewna liczba królików. Nab soli i wędził mięso, aby mogło być przechowywane przez zimę.

Należało teraz pomyśleć o ubraniu, gdyż koloniści nie posiadali nic, prócz ubrań, jakie mieli na sobie. Ubrania te były ciepłe i mocne; w doskonałej utzymywali je czystości, jednak łatwo było przewidzieć, że zedrą się niezadługo, a nadto podczas zimy nie ochronią dostatecznie od zimna.

Na to obecnie nawet inżynier nie mógł nic poradzić, tym więcej, że musiał pilniejsze pokończyć prace. Dobrze zaopatrzywszy mieszkanie, trzeba będzie przebiedować pierwszą zimę. Z nadejściem pięknej pory zajmą się polowaniem na muflony, które widzieli na wyspie, zwiedzając górę Franklina. Zaopatrzywszy się w ich wełnę, inżynier potrafi wydobyc z niej mocny i ciepły materiał... Jakim sposobem? — a to już jego rzecz. Zobaczymy.

— No, w najgorszym razie będziemy się grzali przy kominie w naszym Granitowym Pałacu — rzekł Penkroff. — Drzewa nam nie brakuje, a nie kupując, nie potrzebujemy oszczędzać.

— A zresztą — dodał Gedeon Spilett — wyspa Lincoln nie leży pod bardzo wysokim stopniem szerokości, więc zima nie powinna tu być zbyt ostra. Wszak mówiłeś, Cyrusie, że położenie jej odpowiada położeniu Hiszpanii?

— Tak, ale i w Hiszpanii zdarzają się bardzo ciężkie zimy, kiedy nie brak śniegów, ani lodów, więc i tu możemy ich zaznać. Pocieszam się jednak, że ponieważ jest to wyspa, więc temperatura może będzie bardziej umiarkowana.

— Dlaczegoż to, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Dlatego, mój chłopcze, że można uważać morze za wielki zbiornik, w którym gromadzi się ciepło letnie. W zimie morze wraca nagromadzone ciepło, i dlatego to w okolicach, zbliżonych do oceanów, panuje temperatura średnia; w lecie niezbyt wysoka, w zimie niezbyt niska.

— Zobaczmy to — rzekł Penkroff — teraz radziłbym nie kłopotać się, czy będzie ciepło, czy zimno, lecz zwrócić uwagę na to, że nastały już długie wieczory i warto by pomyśleć o oświetleniu.

— To rzecz bardzo łatwa — odrzekł Smith.

— W słowach, czy w wykonaniu? — zapytał marynarz.

— W wykonaniu.

— Więc kiedyż się do tego zabierzemy?

— Jutro. Urządzimy polowanie na fok.

— I to fok zastąpią świece łojowe?

— Pfe! któż mówi o łojowych, taką brzydką woń wydają. Nasze świece będą jak woskowe.

I rzeczywiście projekt inżyniera mógł być urzeczywistniony, ponieważ posiadali wapno i kwas siarczany, a zwierzęta ziemnowodne mogły dostarczyć potrzebnego tłuszczu.

Był to dzień 4 czerwca, a zarazem święto Zielonych Świątek, więc postanowiono jednogłośnie obchodzić je uroczysto. Zawiesili wszelkie roboty i gorące modły wzniesli do Pana Zastępów. Tym razem były to modły dziękczynne. Nasi koloniści nie byli już teraz nieszczęśliwymi, wszystkiego pozbawionymi rozbitkami, toteż nie prosili, lecz dziękowali Bogu.

Nazajutrz czas był niepewny, mimo to wszyscy udali się na wysepkę Wybawienia. Korzystając z odpływu morza, przeszli kanał w bród; postanowili jednak niebawem sporządzić łódź dla ułatwienia komunikacji, mają zamiar przepłynąć Mercy w celu lepszego zbadania południowo-zachodniej części wyspy.

Fok było bardzo wiele; myśliwi zabili ich kilka za pomocą drągów okutych żelazem. Nab i Penkroff poodzierali je ze skóry, które wraz z tłuszczem zanieśli do Granitowego Pałacu. Skóry te miały później dostarczyć kolonistom mocnego obuwia, a przeszło 300 funtów zebranego tłuszczu przeznaczono na wyrób świec.

Operacja była bardzo prosta, a choć świece nie były doskonałe, były jednak zdatne do użytku. Gdyby Cyrus Smith posiadał nawet sam tylko kwas siarczany, wtedy już przez ogrzanie go z ciałami tłustymi, jak na przykład tłuszczem fok, mógł odosobnić glicerynę; następnie od niej oddzieliłby oleinę, margarynę i stearynę, za pomocą gorącej wody. Lecz dla uproszczenia roboty wołał zmydlić tłuszcz za pomocą wapna. Tym sposobem otrzymał mydło wyborne, dające się łatwo rozłożyć przez kwas siarczany.

Z trzech kwasów: olejowego, margarynowego i stearynowego, pierwszy jako płynny wydobyto przez odpowiednie ciśnienie, a dwa pozostałe miały być użyte do odlewania świec.

Cała robota zajęła dwadzieścia cztery godziny. Po wielu próbach udało im się zrobić knoty z włókien roślinnych, które umoczone w roztopionej materii utworzyły świece

stearynowe; brakło im tylko wybielenia i politory. Wprawdzie nie dorównywały one świecom, których knoty nasyczone są kwasem bornym, ale bardzo były użyteczne podczas długich wieczorów.

Przez cały ten miesiąc pracowali gorliwie w nowym mieszkaniu. Stolarskiej roboty im nie zabrakło, a oprócz tego udoskonalono i uzupełniano narzędzia, o ile się dało.

Mogli już sobie zrobić nożyczki i poobcinać włosy, spadające prawie na ramiona. Nab i Harbert nie mieli zarostu, lecz towarzysze ich okropnie wyglądali, więc w braku brzytw, przynajmniej obcinali brody, wąsy i faworyty.

Nadzwyczaj wiele trudu kosztowało ich wyrobienie piły ręcznej; w końcu jednak udało im się urządzić narzędzie, z którego pomocą mogli wyrabiać deski. Korzystając z tego, porobili sobie stoły, szafy, krzesła, którymi umeblowali pokoje; oraz łóżka, w których pościel stanowiły materace z trawy morskiej. W kuchni urządzili półki, na których Nab porozstawiał swoje przybory.

Po robocie stolarskiej przyszła kolej na ciesielską. Nowe koryto, utworzone przez wysadzenie skały, wymagało koniecznie dwóch mostów, jednego na płaszczyźnie Pięknego Widoku, drugiego na samym wybrzeżu, gdyż tak tę płaszczyznę jak wybrzeże przerzynał teraz strumień wody, nie pozwalający dostać się na północ wyspy. Chcąc go ominąć, koloniści musieli obchodzić bardzo daleko i zwracać się na zachód aż poza Czerwony Strumień.

Przystąpiono do budowy mostów, które niebawem ukończyli.

Korzystając z tego, Nab i Penkroff udali się zaraz do ławy ostryg, odkrytej kiedyś na piaszczystych wzgórzach nadmorskich. Mieli teraz rodzaj wozu i przyciągnęli na nim kilka tysięcy ostryg, które bardzo prędko zaaklimatyzowały się pośród skał, roztaczających się przy ujściu Mercy. Mięczaki te były wyborne, i koloniści raczyli się nimi niemal codziennie.

Jak widzimy, wyspa Lincoln we wszystko prawie mogła zaopatrzyć kolonistów, choć dotąd zaledwie jedną jej część poznali. Nadto należało przypuszczać, że, gdy ją zwiedzają i zbadają w całej rozciągłości, a szczególnie część zaleśnioną od rzeki Mercy aż do przylądka Gadu, nowe odkryją zasoby i skarby.

Tak więc nie brakło im pożywienia mięsnego i roślinnego; z korzeni trzciny palmowej, zwanej smoczą, wyrabiali bardzo smaczny, kwasowy napój, zastępujący piwo; mieli nawet cukier, nie z trzciny, ani z buraków, lecz z soku, który wydziela z siebie drzewo, klon cukrowy (acer saccharinum), należący do rodziny klonowatych, bardzo obficie rosnące na wyspie Lincoln; dobrą herbatę mieli z ziół, królikarni; soli im nie brakowało... Ale nie mieli chleba.

Może uda im się później zastąpić chleb czymś odpowiednim, mączką z sagowca lub z drzewa chlebowego; może drzewa te znajdują się w lesie południowym, ale dotąd ich nie znaleziono.

Pod tym względem Opatrzność bezpośrednio przyszła w pomoc kolonistom, wprawdzie w nader maluczkich rozmiarach, ale bądź co bądź pomimo całego rozumu i nauki, inżynier nie zdołałby wytworzyć tego, co pewnego razu znalazł przypadkiem w kieszeni Harbert, naprawiając podszewkę kamizelki.

Dnia tego deszcz lał ulewny, koloniści siedzieli razem w wielkim salonie Granitowego Pałacu, gdy nagle Harbert zawołał:

— Proszę popatrzeć, panie Cyrusie, ziarnko zboża!

I pokazał towarzyszom jedno, jedyne ziarnko zboża, które przypadkiem z dziurawej kieszeni dostało się za podszewkę.

— Ziarnko zboża! — zawołał żywo inżynier.

— Tak, panie Cyrusie, ale jedno tylko.

— To mi dopiero — zawołał Penkroff — jest o czym mówić, mój chłopcze; na cóż nam się przyda jedno ziarnko!

— Będziemy z niego mieli chleb! — rzekł inżynier.

— Chleb, ciasta, sucharki — odparł marynarz — a wszystko z tego jednego ziarnka zboża! No! no! żebyśmy tylko nie pochorowali się z przejedzenia.

Nie przywiązując wartości do swego odkrycia, Harbert zamierzał rzucić ziarnko, lecz inżynier wziął je od niego, obejrzał starannie i przekonał się, że jest zupełnie zdrowe. Zatrzymał je więc i, stając przed marynarzem, zapytał go spokojnie:

— Czy wiesz, Penkroffie, ile kłosów może wydać jedno ziarnko zboża?

— No! zapewne jeden kłos — odrzekł Penkroff, zdziwiony tym zapytaniem.

— Nie, może dać dziesięć kłosów. A teraz, czy wiesz, ile jest ziarenek w jednym kłosie?

— O, nie wiem, doprawdy.

— Osiemdziesiąt, średnio — odrzekł Cyrus Smith. — Tak więc, zasadzimy to ziarno, a gdy ono zejdzie, pierwszy zbiór da osiemset ziarn; te zasadzone z kolei wydadzą już sześćset czterysta tysięcy ziarn; trzeci zbiór wyniesie już pięćset dwadzieścia milionów, a czwarty czterysta miliardów ziarn. Oto ściśle obliczenie.

Towarzysze słuchali Cyrusa z wielkim zajęciem. Liczby te wprawiły ich w osłupienie; były jednak jak najdokładniejsze.

— Tak, moi, przyjaciele — mówił dalej inżynier. — Oto jak wielką jest płodność natury. A czymże jeszcze jest to rozmnażanie się ziarn zboża w porównaniu na przykład z makiem, którego jeden krzaczek wydaje trzydzieści dwa tysiące ziarenek maku, albo jeszcze z tytoniem, którego jeden krzew daje trzyset sześćdziesiąt tysięcy ziarenek nasienia. Gdyby nie różne przyczyny, powstrzymujące ich wzrost i płodność, rośliny te w przeciągu lat kilku zagarnęłyby świat cały. A teraz powiedz mi jeszcze, Penkroffie, czy wiesz, ile uczyni korcy czterysta miliardów ziarn zboża?

— E! gdzie tam, panie inżynierze, wie pan przecie, że ze mnie stary osioł.

— Otóż, mój kochany, licząc po sto trzydzieści tysięcy na korzec, uczyni to przeszło trzy miliony korcy.

— Trzy miliony!

— I to w przeciągu czterech lat?

— Tak jest, — odrzekł inżynier — a może nawet i w przeciągu dwóch lat, bo sądzę, że w tej szerokości będziemy mieli żniwa dwa razy do roku.

Wysłuchawszy wszystkiego, Penkroff, swoim zwyczajem odpowiedział przez głośnie: Wiwat! kilkakrotnie powtórzone.

— Tak więc, kochany Harbercie — rzekł inżynier — zrobiliście odkrycie, które nadzwyczaj ważne następstwa może mieć dla nas. Proszę was, nie zapominajcie o tym, że w naszym położeniu wszystko może się przydać.

— Nie, panie Cyrusie, nigdy nie zapomnimy o tym — odrzekł marynarz — i jeśli kiedykolwiek uda mi się znaleźć jedno nasionko tytoniu, co to pomnaża się do trzystu sześćdziesięciu tysięcy, przysięgam, że nie rzucę go na cztery wiatry. No! a teraz cóż mamy robić?

— Zasadzić to ziarnko — odrzekł Harbert.

— Tak — dodał Gedeon Spilett — i to z jak największą powagą i ostrożnością, bo w nim spoczywają całe nadzieje przyszłych plonów.

— Oby tylko zeszło! — zawołał marynarz.

— Zejdzie — odrzekł Cyrus Smith.

Działo się to 20 czerwca, a więc we właściwej porze do zasiania tego nieocenionego, jedyne go ziarnka zboża. Najpierw zamierzali zasadzić je w doniczkę, lecz po głębszej rozprawie postanowili zaufać przyrodzie i powierzyć je ziemi. Zasiali je więc jeszcze tego dnia. Nie potrzebujemy dodawać, że nie zaniedbali niczego, co by mogło przyczynić się do pomyślnego wzrostu.

Weszli na szczyt Granitowego Pałacu; tam obrali miejsce, które otaczające drzewa strzegły od wichrów, a słońce południowe ogrzewało ciepłymi promieniami. Oczyszczili starannie grunt, powyrywali chwasty, poruszyli go nieco dla przekonania się czy nie ma robaków, domieszali wapna i otoczyli palisadą. Poczem złożono ziarno w wilgotnej ziemi.

Można by powiedzieć, że koloniści założyli węgielny kamień wielkiego gmachu. Czynność ta przypominała Penkroffowi dzień, w którym Harbert z takimi ostrożnościami zapalił jedyną znaną zapalkę. Tylko, że teraz szło o rzecz daleko ważniejszą: ogień tym, lub owym sposobem zawsze by w końcu wytworzyć zdołali, ale gdyby ziarnko to przepało, żadna potęga ludzka odtworzyć by go nie mogła.

ROZDZIAŁ XXI.

Kilka stopni mrozu. — Wyprawa do bagnisk na południowy-zachód. — Widok morza. — Rozmowa o przeszłości Oceanu Spokojnego. — Praca nieustanna wymoczków. — Polowanie. — Bagno Tadorna.

Od tej chwili nie było dnia, żeby Penkroff nie chodził oglądać ich ładu zboża, jak się wyrażał — a owady, które odważały się tam pojawiać, bez miłosierdzia skazywał na śmierć.

Po nieznośnych, nieustannych deszczach powietrze zaczęło się oziębiać, a dnia 29 czerwca było tak zimno, że gdyby

mieli termometr Fahrenheita, niezawodnie wskazywałyby kilka stopni poniżej zera.

Nazajutrz 30 czerwca, co odpowiada 31 grudniowi na naszej półkuli, był piątek. Nab zrobił uwagę, że rok w zły dzień się kończy. Na to Penkroff odpowiedział mu, że za to nowy rok zaczyna się w dobry, a to lepiej dla nich.

Z nowym rokiem nastaly wielkie zimna. Znaczne bryły lodu nagromadziły się przy ujściu Mercy; całe jezioro zamarzło.

Koloniści zbierali zapasy materiału opałowego. Nie czekając zamrznięcia rzeki, Penkroff splawiał tratwami ogromne ilości drzewa, a rzeka dostawiała je niezamordowanie. Oprócz drzewa zaopatrzoneo się także w torf, który znajdował się na zboczu góry Franklina. Silne ciepło, jakie torf wydaje, bardzo im się przydało, gdyż 4 lipca temperatura spadła do ośmiu stopni Fahrenheita (13^o C. niżej zera). Urządzono drugi komin w sali jadalnej, i tam wszyscy wspólnie pracowali.

W tym okresie zimna mogli ocenić pożyteczność strumienia wody, którą inżynier przeprowadził z jeziora Granta do Granitowego Pałacu. Woda, przeprowadzona przez dawny otwór poniżej zamarzłej powierzchni, splywała wolno do wewnętrznego zbiornika, wykutego w skale poza ich składem, jej zaś nadmiar odpływał przez studnię do morza.

Powietrze było zupełnie suche, a że koloniści ciepło byli odziani, postanowili przeznaczyć dzień jeden na zwiedzenie części wyspy, zawartej między Mercy a przylądkiem Szpony. Była to rozległa, błotnista przestrzeń, na której spodziewali się znaleźć mnóstwo ptaków wodnych. Część ta była odległa o osiem do dziewięciu mil, a ponieważ wcale jeszcze jej nie znali, więc wszyscy mieli wziąć udział w tej wycieczce. Wstali wcześniej rano i dnia 5 lipca opuścili Granitowy Pałac, uzbrojeni w luki, drągi okute, sieć i zaopatrzeni w dostateczny zapas żywności. Top biegł przodem.

Dla skrócenia drogi przeszli przez zamarzlą Mercy, ale Gedcon Spilett zauważył, iż warto by zbudować „most stały“, toteż budowę jego umieszczono w planie przyszłych prac.

Po raz pierwszy koloniści dostali się na prawy brzeg Mercy i zapuścili się pomiędzy wspaniałe drzewa iglaste, pokryte teraz śniegiem. Zaledwie uszli pół mili, z gęstych zarosli wybiegła cała czworonożna rodzina, wystraszona szczekaniem Topa.

— Ach! zdaje się, że to lisy — zawołał Harbert, patrząc za uciekającymi zwierzętami.

Były to rzeczywiście lisy, lecz nadzwyczaj duże; ich szczekanie przestraszyło nawet Topa, więc zatrzymał się chwilę, co pozwoliło im uciec i zniknąć.

Pies mógł się zadziwić, bo nie uczył się historii naturalnej, lecz właśnie to szczekanie zdradziło pochodzenie uciekających zwierząt. Lisy miały futro rudawo-popielate i czarne ogony, zakończone białą kitką. Harbert poznał je od razu i wymienił rzeczywistą ich nazwę. Zwierzęta te można spotkać w Chile i na wszystkich wybrzeżach amerykańskich, leżących pod odpowiednim stopniem szerokości. Harbert żałował bardzo, że Top nie zdołał pochwycić którego z tych mięsożernych zwierząt.

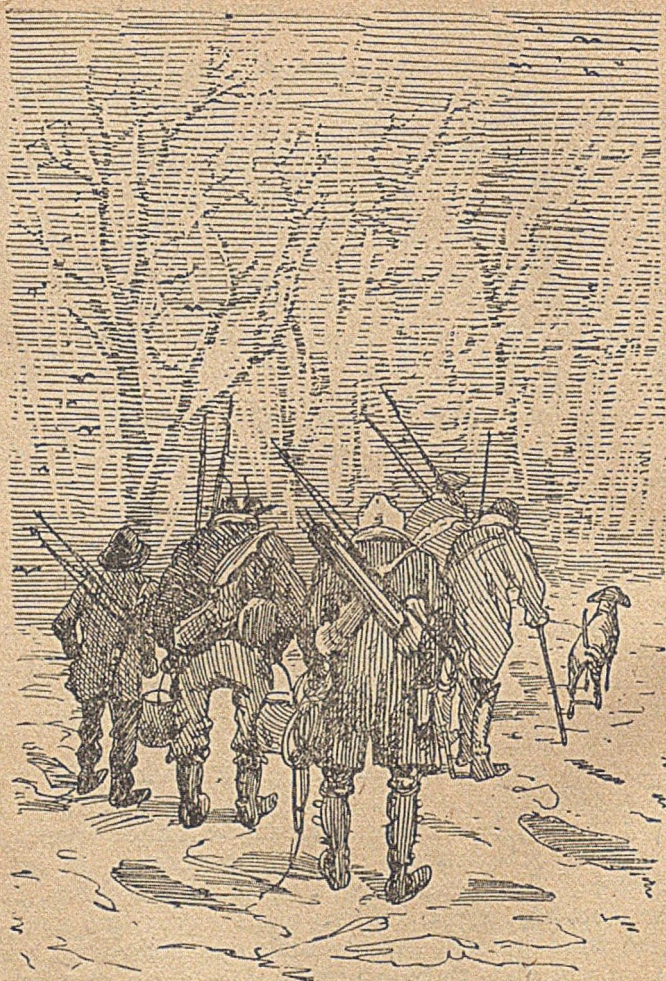
— A czy one dobre do jedzenia? — zapytał Penkroff, który z tego jedynie punktu oceniał przedstawicieli fauny wyspy.

— Nie — odrzekł Harbert — ale dla głodnego nie ma nic niesmacznego. O tej prawdzie nie zapominaj, żarłoku!

Cyrus Smith uśmiechnął się, słysząc to objaśnienie, dowodzące, jak młody Harbert, zastanawiał się nad wszystkim. Marynarz zaś, gdy tylko dowiedział się, że lisy nie nadawały się do kuchni, mało go obchodziło, do jakiego zaliczały się rodzaju. Zrobił wszakże uwagę, że gdy zaprowadzą hodowlę drobiu w swym gospodarstwie, trzeba będzie dobrze się strzec przed tymi czworonożnymi rabusiami.

Była ósma rano. Zagrzani długą przechadzką, koloniści nie odczuwali bardzo zimna, tym więcej, że wcale nie było wiatru. Jaskrawe, lecz nie przygrzewające słońce wynurzało się z oceanu, roztaczającego się poza płaszczyznę, na której się znajdowali. Cała powierzchnia morza była błękitna. Niczamącony spokój morza, którego woda nigdzie nie wpadała w odcień żółtawy, oraz zupełny brak skał podwodnych dowodził, że wybrzeże to było urwiste, i że ocean ukrywał tu w swym łonie głębokie otchłanie. Daleko, o jakie cztery mile na zachód, rysowały się pierwsze szeregi drzew lasu Far-Westu. Koloniści zatrzymali się dla posiłku. Rozpalono ogień z gałęzi i mchu, i Nab przyrządził posiłek, złożony z zimnego mięsa i herbaty.

Jedząc, rozglądali się w koło. Cała ta część wyspy była pusta i jałowa. Reporter zrobił uwagę, iż gdyby w onej części spadli z balonem, musieliby powziąć jak najgorsze wy-



*Po raz pierwszy koloniści dostali się na prawy brzeg
Mercy... (str. 128).*

brażenie o przyszłej swojej siedzibie. Szczęściem, część zachodnia była całkiem odmienna.

— Szczególniejsza rzecz — mówił dalej reporter — że ta niewielka wyspa odznacza się taką różnorodnością wa-

runków; taka rozmaitość zazwyczaj właściwa jest tylko lądom dość obszernym. Można by sądzić, że zachodnia część wyspy Lincolna, tak bogata i urodzajna; dotyka ciepłych wód prądu Meksykańskiego, zaś wybrzeże północne i południowo-wschodnie graniczy z morzem Lodowatym.

— Masz słuszość, kochany Gedeonie — odrzekł Cyrus Smith — i ja to samo zauważyłem. Rzeczywiście, dziwną jest postać i przyroda tej wyspy. Przypuszczam nawet, że może kiedyś była lądem.

— Co! ląd wśród Oceanu Spokojnego? — zawołał Penkroff.

— Czemuż by nie? — odparł inżynier. — Czemuż by Australia, Nowa Zelandia i wszystko, co geografowie angielscy nazywają Australazją, nie miałyby w połączeniu z archipelagami Oceanu Spokojnego tworzyć kiedyś szóstej części świata, jak Europa, lub Azja, Afryka, lub obie Ameryki? Bynajmniej nie wydaje mi się niepodobnym, że wszystkie te wyspy, wylaniające się z tego wielkiego oceanu, są tylko wierzchołkami lądu dziś zatopionego, który w epokach przedhistorycznych wznosił się ponad wody.

— Tak, jak niegdyś Atlantyda — rzekł Harbert.

— Tak, moje dziecię, jeżeli tylko Atlantyda istniała kiedy rzeczywiście.

Więc i nasza wyspa miałaby stanowić część tego lądu? — zapytał Penkroff.

— Mogło to być — odrzekł Cyrus — i to właśnie tłumaczyłoby ową różnorodność płodów, znajdujących się na jej powierzchni.

— Jak również tak znaczną liczbę zamieszkujących ją zwierząt — dorzucił Harbert.

— Masz słuszość, chłopcze, i oto dostarczasz mi jednego jeszcze dowodu na poparcie mego przypuszczenia. Nie ulega wątpliwości, że znaczna liczba zwierząt znajduje się na wyspie i to najróżnorodniejszych gatunków — a nie może to być bez przyczyny. Otóż sądzę, że wyspa Lincolna jest zapewne częścią jakiegoś obszernego lądu, który powoli zanurzył się w Oceanie Spokojnym.

— Tak więc, pewnego poranku, ten skrawek wielkiego niegdyś lądu mógłby znów z kolei zniknąć pod oceanem; a w takim razie nie pozostałoby nic między Ameryką i Azją — rzekł Penkroff, który, jak się zdawało, nie bardzo wierzył w to przypuszczenie.

— Przeciwnie — odrzekł Cyrus Smith — zjawią się nowe lądy, nad których wzniesieniem miliardy miliardów żyjątek pracują nieustannie.

— I cóż to za jedni są ci pracownicy? — zapytał znów marynarz.

— Wymoczki koralowe — odrzekł inżynier. — One tą nieustanną pracą wytworzyły wyspę Clermont, Tonnere i inne liczne wyspy koralowe Oceanu Spokojnego. Czterdzieści siedem milionów tych wymoczków waży tylko jeden gram, a przecież zwierzątka te wytwarzają pokłady wapienne, z których następnie formują się tak twarde jak granit. Kiedyś, w początkach istnienia świata, przyroda tworzyła ziemię przez wynoszenie gruntu za pomocą ognia; obecnie mikroskopijne istotki zastępują działanie ognia, którego siła dynamiczna wewnątrz kuli ziemskiej widocznie osłabła — jak tego dowodzi wielka liczba wulkanów, obecnie wygasłych już, na powierzchni ziemi. Bardzo wierzę w przypuszczenie, że kiedyś, gdy liczne wieki upłyną i setki pokoleń wymoczków nastąpią jedno po drugim — ten Ocean Spokojny może zamieni się w wielki ląd, który zamieszkają nowe pokolenia i rozkrzewią na nim nową cywilizację.

— Chyba jeszcze bardzo długo czekać na to trzeba — rzekł marynarz.

— Przyrodzie nie zbraknie czasu, nie potrzebuje się spieszyć — odrzekł inżynier.

Ale na cóż by się zdały te nowe lądy? — zapytał Harbert. — Zdaje się, że dzisiejsza rozległość ziemi zamieszkałej wystarcza ludzkości, a przecież przyroda nic nie robi bezużytecznie.

— Zapewne. Ale można pojąć potrzebę w przyszłości nowych lądów i to właśnie w strefie podzwrotnikowej, zajętej przez wyspy koralowe. Ja przynajmniej nie widzę w tym nic nadzwyczajnego.

— Proszę nam to wytłumaczyć, panie Cyrusie — prosił Harbert.

— A więc słuchajcie. W ogólności uczeni przypuszczają, że świat nasz skończy się kiedyś, czyli raczej, że ustanie na nim życie zwierzęce i roślinne, gdyż stanie się niemożliwym skutkiem nadzwyczajnego oziębienia. Nie zgadzają się tylko co do przyczyn tego oziębienia. Jedni mniemają, że nastąpi ono z powodu obniżenia temperatury słońca, inni znów utrzymują, że będzie wynikiem stopniowego wygasania ognia,

ukrytego we wnętrzu ziemi, który wywiera daleko większy wpływ na kulę ziemską, niż mniemają. Co do mnie, podzielał ostatnie przypuszczenie, wychodząc z tego założenia, że księżyc jest gwiazdą wygasłą, która dziś już nie mogłaby być zamieszkaną, chociaż słońce zawsze jednakową ilość ciepła poryła na jego powierzchnię. Tak więc oziębienie księżycy przypisać trzeba zupełnemu wygaśnięciu tego ognia wewnętrznego, któremu, jak wszystkie gwiazdy, zawdzięcza swój początek. Zresztą choć nie znamy dotąd przyczyny, to jednak zdaje się, że świat nasz oziębnie kiedyś, stopniowo i bardzo powoli. Cóż się wtedy stanie? Oto w mniej lub więcej oddalonych przyszłości strefy umiarkowane staną się równie niemożliwe do zamieszkania, jak dziś strefy podbiegunowe — a wtedy tak ludzie jak zwierzęta tłumnie będą się posuwać ku równikowi. I nastąpi stopniowa wędrówka ludów; Europa, Azja Środkowa, Ameryka Północna będą tak opuszczone, jak Australazja, lub niższe części Ameryki Południowej. W ślad za wędrówką ludów nastąpi wędrówka roślin. Flora, a z nią i fauna posuną się ku równikowi. Środkowe krainy Afryki i Ameryki Południowej staną się najbardziej pożądanym miejscem zamieszkania. Łapończycy i Samojedzi odnajdą na wybrzeżach morza Śródziemnego te same warunki klimatyczne, jakie dziś istnieją nad morzem północnym. I któż może wiedzieć, czy w owej epoce okolice podrównikowe nie okażą się za małymi do pomieszczenia i wyżywienia całej ludności ziemi? I dlaczegóż by przewidująca przyroda nie miała już dziś zakładać pod równikiem podwalin nowego gruntu, którego wzniesienie powietrza maluczkiemu wymoczkom, aby kiedyś dać na nim schronienie całej tej emigracji zwierzęcej i roślinnej?

— Ja, towarzysze moi, często zastanawiam się nad tym wszystkim, i wierzę temu, że postać naszej kuli ziemskiej kiedyś ulegnie zupełnej zmianie, że skutkiem wyniesienia się nowych lądów, morza zaleją dawne i że kiedyś w przyszłości nowi Kolumbowie odkryją wyspy Chimboraso, Himalaja, lub Mont-Blanc, jako resztki zalanej Ameryki, Azji lub Europy. Potem znów te nowe lądy staną się niemożliwe do zamieszkania; ciepło ich zginie jak ciepło ciała, które opuściła dusza... I życie przypadnie na świecie przynajmniej na pewien czas. Może wtedy nasza kula ziemską wypocznie, może przemieni się przez śmierć, aby kiedyś zmartwychwstać w lepszych warunkach!... Ale to już, przyjaciele moi, jest tajem-

nicą Stwórcy wszechświata, a ja, z powodu pracy maluczkich wymoczków, może zanadto zapuściłem się w badanie tajników przyszłości, pozostającej w ręku Boga.

— Kochany Cyrusie — rzekł Gedeon Spilett — ja teorie te uważam za bardzo prawdopodobne.

— To tylko Bogu wiadomo — odrzekł inżynier.

— Wszystko to piękne i mądre, ale chciałbym teraz wiedzieć, czy i naszą wyspę zbudowały wymocзки? — zapytał Penkroff, który nadzwyczaj uważnie słuchał mowy inżyniera.

— Nie — odparł inżynier — jest ona pochodzenia wulkanicznego.

— Więc także zniknie kiedyś?

— Tak się zdaje.

— Do nówek upadam. Byle nie podczas naszej tu bytności.

— Nie kłopotz się tym, pewnie nas już na niej nie będzie. Wszak nie chcemy zostać tu do końca życia i może narzeczcie uda się nam wydostać z tej wyspy.

— Jednakże nie należy nic robić w połowie, urządzimy się więc, jakby na całą wieczność — rzekł reporter.

— Na tym skończyła się rozmowa. Zaraz po śniadaniu koloniści puścili się w dalszą drogę i doszli aż do miejsca, gdzie zaczynały się bagna.

Była to ogromna przestrzeń bagnista, ograniczająca wyspę od południowego wschodu i mogącą mieć dwadzieścia mil kwadratowych powierzchni. Grunt był gliniasto-krzemienisty, pomieszany ze szczątkami roślinnymi. Tu i ówdzie zamarłe kałuże błyszczały od blasku słonecznych promieni. Tych małych zbiorników wody nie mogły potworzyć ani deszcze, ani nagłe przybieranie jakiejś rzeki, trzeba więc było wnieść, że bagno zasycane było przesiąkaniem wody wewnętrznej, co kazało się obawiać, że podczas upałów mogą wywiązywać się miazmaty, które, rozchodząc się w powietrzu, dają początek zaraźliwym gorączkom i febrom.

Ponad wodnymi ziołami, wylaniającymi się ze stojącej wody, unosiły się stada ptactwa; nic się nie bały, i łatwo było do nich dostać. Strzałem z dubeltówki można by ich położyć od razu kilka tuzinów, tak szeregi były zwarte, ale za to przy strzelaniu z łuku nie płoszyło się ptactwo hukiem. Koloniści zabili tuzin kaczek, upierzonych biało, z cynamonowymi paskami, o głowach zielonych a skrzydłach czarnych, białych i rudawych, dziobach spłaszczonych. Top aportował

zabite z łuku ptactwo, a od ich nazwy tę błotnistą część wyspy nazwano Tadorną. Koloniści zamierzali z czasem oswoić wiele rodzajów tego ptactwa, a przynajmniej zaaklimatyzować je ponad jeziorem, aby nie potrzebować tak daleko chodzić po nie.

Około piątej wieczorem zawrócili ku domowi. Przeszli przez bagnisko Tadorna i przebyli Mercy po lodowym moście. O ósmej byli z powrotem i weszli do Granitowego Pałacu.

ROZDZIAŁ XXII.

Pułapki. — Lisy. — Pekari. — Zmiana kierunku wiatru. — Śnieżycy. — Stolarstwo i koszykarstwo. — — Krystalizacja cukru klonowego. — Znowu tajemnica. — Zamierzona wycieczka. — Ziarnko śrutu.

Mocne zimna trwały aż do 15 sierpnia. Gdy powietrze było spokojne, łatwiej było znosić tak niską temperaturę, lecz gdy dął wiatr od morza, zimno bardzo dawało się we znaki ludziom, nie mającym odpowiedniego okrycia. Penkroff ubolewał mocno, że zamiast tych lisów i fok, których futra niewiele były warte, nie gnieździły się raczej niedźwiedzie na wyspie Lincolna.

— Niedźwiedzie mówił — są zawsze dobrze przyodziane i, co do mnie, z wielką chęcią pożyczylbym od nich na zimę ciepłego płaszcz, jaki noszą.

— Ależ, kochany Penkroffie — powiedział Nab — może niedźwiedzie nie chciałyby ci oddać swoich płaszczy.

— Nie pytałbym o ich pozwolenie, Nabie — odpowiedział poważnie.

Lecz drapieżne te zwierzęta nie istniały na wyspie, a przynajmniej nie pokazały się dotąd.

Harbert, Penkroff i reporter zajęli się zastawianiem pułapek na płaszczyźnie Pięknego Widoku i przy wejściu do lasu. Pułapki te były bardzo proste. Pokopali doły i przykryli je trawą i gałęziami, a w głębi kładli coś na przynętę dla zwierząt. Dołów tych nie kopali bezplanowo, lecz w tych tylko miejscach, gdzie znać było ślady zwierząt czworonożnych. Codziennie zaglądali do nich i w pierwszych dniach znajdowali lisy, które widzieli przedtem na prawym brzegu Mercy.

— A cóż do kroćstotysięcy! Czyż same tylko lisy istnieją na tej wyspie? — zawołał Penkroff, gdy za trzecim razem z kolei znalazł złapanego lisa. — Co mi po zwierzętach, które się na nic nie zdadzą!

— Ależ przeciwnie, bardzo się nam przydadzą — rzekł Gedeon Spilett.

— Ciekawym na co?

— Na przynętę.

Marynarz pourządzał także wnyki z włókien trzciniowych i te okazały się korzystniejsze od pułapek. Prawie codziennie łapały się na nie króliki, które Nab przyrządzał coraz to z innym sosem.

W drugiej połowie sierpnia kilkakrotnie złapały się w pułapki zwierzęta, daleko pożyteczniejsze od lisów, a mianowicie kilka dzików, które dostrzegli dawniej w okolicy jeziora. Penkroff już nie pytał, czy były dobre do jedzenia, gdyż można było poznać to od razu po wielkim ich podobieństwie do świń amerykańskich i europejskich.

— Ale uprzedzam cię, Penkroffie, że to nie są świny — rzekł Harbert.

— Mój miły chłopcze — odrzekł Penkroff, pochylony nad pułapką, wyciągając za maleńki ogon pochwycone zwierzę — proszę cię, nie rozpraszaaj moich marzeń; ja chcę koniecznie, żeby to była świnia.

— A to dlaczego?

— Bo mi to wielką zrobi przyjemność.

— Czy tak lubisz wieprzowe mięso?

— Lubię bardzo, a szczególnie wieprzowe nogi w galarecie, i gdyby świny zamiast czterech miały po osiem nóg, większe jeszcze miałyby u mnie łaski.

Zwierz pochwycony należał rzeczywiście do rodzaju świń, zwanych pekari; miał sierść bardzo ciemną i nie posiadał dwóch długich kłów, jakimi opatrzone są trzy inne, pokrewne rodzaje; zdatne są one do jedzenia od końca ogona do nosa, a Penkroff nic więcej od nich nie żądał. Żyją gromadnie i zapewne w lesistej części wyspy musiały się znajdować w licznych stadach.

Dnia 15 sierpnia pogoda zmieniła się nagle skutkiem wiatru północno-zachodniego. Temperatura podniosła się o kilka stopni, a para, nagromadzona w powietrzu, niebawem zamieniła się w śnieg. Cała wyspa pokryła się białym całunem

i pod nową postacią ukazała się rozbitkom. Śnieg padał obficie przez kilka dni i pokrył ziemię na dwie stopy grubo.

Wkrótce zaczął dąć wiatr gwałtowny i z wierzchołka Granitowego Pałacu słychać było morze, z hukiem rozbijające się o skały. W niektórych miejscach śnieg zbijał się w wysokie, wirujące kolumny, podobne do owych trąb wodnych, które trzeba rozpędzać ogniem z dział. Szczęściem wichur nie dał w prostym kierunku na Granitowy Pałac, mimo to w czasie tej strasznej śnieżnej zawiei żaden z kolonistów nie mógł wychodzić z mieszkania. Pozostali w nim przez pięć dni zupełnie zamknięci.

— Wichur został drwalem — mówili — dobrze, niech pracuje dla nas.

Jakież to dzięki składali teraz Stwórcy mieszkańcy Granitowego Pałacu za to tak trwałe i niewzruszone mieszkanie, w którym byli zupełnie bezpieczni, a tak gwałtowna burza szkodzić im nie mogła. Gdyby zbudowali dom z cegły i drzewa, pewnie nie oparłby się wściekłości rozszalałej burzy. Z pewnością kominy zalewały także rozhukane bałwany morskie, zaś Pałac Granitowy nie lękał się ani burzy, ani wody, ani żadnych zmian powietrza.

Podczas tego kilkudniowego aresztu koloniści nie próżnowali. Mieli dużo porzniętych desek, toteż uzupełniali umeblowanie swego apartamentu, wyrabiając stoły i krzesła. Nab i Penkroff tak byli z nich zadowoleni, że nie zamieniliby ich na najcudniejsze meble z drzewa różanego.

Następnie ze stolarzy zmienili się w koszykarzy, i w nowym tym rzemiośle wcale dobrze im się wiodło. W północnej części jeziora odkryli wielką ilość czerwonej trzciny. Przed porą deszczową Harbert i Penkroff nagromadzili znaczne jej zapasy do późniejszego użytku. Pierwsze próby nie były udatne, ale dzięki zręczności i pojętności robotników niebawem poczynili znaczne postępy w koszykarskiej robocie. Poprawiali robotę i pomagali sobie wzajemnie, przypominali niegdyś widziane wzory, współzawodniczyli ze sobą, dość, że wyrabiali wcale dobre koszalki i koszyki, które zwiększyły ich gospodarski inwentarz.

W ostatnim tygodniu sierpnia czas zmienił się raz jeszcze; temperatura trochę się obniżyła, burza uspokoiła, i koloniści mogli wyjść z mieszkania. Śnieg na dwie stopy wysokości pokrywał ziemię, lecz był tak twardy, że wygodnie

było można po nim stąpać. Udali się na płaszczyznę Pięknego Widoku.

Jak wielka zmiana zaszła wokoło! Lasy, które jeszcze za ostatniej ich bytności zieleńiły się tak pięknie, szczególnie w części, porosłej drzewami iglastymi, teraz raziły smutną jednostajnością wraz z całą otaczającą przyrodą. Wszystko teraz było białe od wierzchołka góry Franklina do krańców wídnokręgu; lasy, łąki, jezioro, rzeka, wybrzeża. Wody Mercy toczyły się pod lodowym sklepieniem, które za każdym przyplływem i odpływem pękało z wielkim hukiem. Liczne stada ptactwa latały nad zamarzlą powierzchnią jeziora: kaczkę, bekasy, nurki i inne im pokrewne, których można by naliczyć tysiące. Zwrócili wzrok ku lasowi, lecz pokrywał go ogromny całun śnieżny. Nie mogli zobaczyć, jakie szkody zrobił w nim huragan.

Gedeon, Penkroff i Harbert poszli obejrzyć pułapki, które wykopali przed spadnięciem śniegu. Śnieg przysypał je tak grubo, że trudno było trafić do nich, i musieli bardzo ostrożnie postępować, aby nie wpaść we własne zasadzki. Nareszcie udało im się odszukać je: były nienaruszone, choć dokoła znać było liczne ślady. Wnosząc z tych śladów, Harbert rzekł, że muszą znajdować się na wyspie dzikie, drapieżne zwierzęta, co potwierdzało dawniejsze przypuszczenie inżyniera. Zapewne zwierzęta te przebywały zwykle w gęstych lasach Far-Westu i tylko zniewolone głodem zapuszczały się aż na płaszczyznę Pięknego Widoku, a może też zwąchały niespodziewanych gości z Granitowego Pałacu.

— No! ale jakież to mogą być zwierzęta? — zapytał Penkroff.

— Zdaje się, że jaguary — odpowiedział Harbert.

— Ja sądziłem, że jaguary żyją tylko w krajach gorących.

— Na nowych łądach spotkać je można od Meksyku aż do pampasów w Buenos Aires — odrzekł Harbert. — Że wyspa Lincolna położona jest prawie na tej samej szerokości co La Plata, więc i tu mogą przebywać jaguary.

— No! to trzeba być ostrożnym, aby nam się nie dały we znaki pazurami i zębami — odrzekł Penkroff.

Koloniści zrobili także wycieczkę do Kominów i szczerze winszowali sobie, że nie byli tam obecni podczas owej burzy, gdyż morze zostawiło tu zgubne ślady swego przejścia. Pędzone wichrem fale morskie wtargnęły z wielką siłą i prawie

do połowy zasypały piaskiem i zapchały trawą morską wszystkie korytarze.

Od pewnego czasu deszcze i śniegi padały na przemian, a około 23 sierpnia wiatr zmienił się nagle na południowozachodni, i nastaly wielkie zimna. Koloniści nie mogli opuszczać Granitowego Pałacu, a nadto musieli pozatykać wszelkie otwory, z wyjątkiem niezbędnych dla odświeżania powietrza, co zmuszało ich do długiego palenia świec, których teraz wychodziło im bardzo wiele. Dla oszczędzenia ich, długie godziny przesiadywali przed kominem, poprzestając na świetle, jakie rzucał wielki, nieustannie płonący na nim ogień.

Aby nie marnować czasu podczas tego przymusowego zamknięcia, Cyrus wymyślił pracę, nie wymagającą wychodzenia z domu.

Wiemy już, że nie mieli cukru i zastępowali go sokiem z drzewa klonowego, otrzymywanym przez głębokie nacinanie. Płyn ten zlewali w naczynia i następnie używali do napojów i do kuchni. Starzejąc się, sok klonowy bieleje i ścina się w syrop.

Było to wiele, lecz jeszcze nie dość, i dlatego pewnego poranka Cyrus oznajmił towarzyszom, że teraz zajmą się rafinerią cukru.

— Słyszałem, że ta robota wymaga wielkiego ognia — rzekł Penkroff.

— Tak jest.

— No! to i dobrze, będzie nam ciepło — odrzekł marynarz.

Rafineria, o jakiej myślał inżynier, nie wymagała ani wielkich warsztatów, ani rozlicznych narzędzi i znacznej liczby robotników, jak w zwykłych cukrowniach. Sok klonowy można skryształizować łatwym bardzo sposobem.

Wlewa się go do wielkich glinianych naczyń i stawia na mocnym ogniu; niebawem zaczyna parować i piana występuje na powierzchnię. Dla przyspieszenia parowania i niedopuszczenia przypalenia, Nab mieszał płyn od czasu do czasu drewnianą łopatką. Po kilkugodzinnym wrzeniu na dobrym ogniu, na który pracownicy bynajmniej się nie skarżyli, sok zamienił się w bardzo gęsty syrop, który zlali w przygotowane na ten cel formy. Nazajutrz zastygły syrop zamienił się w cukier, wprawdzie nie dość biały, lecz twardy i smaczny.

Zimna trwały do połowy września, wychodzić było nie podobna. Niewola ta przykrzyła się bardzo kolonistom. Nie mieli biblioteki, lecz inżynier stał się dla nich prawdziwą encyklopedią, zawsze zadowolając wszelkie wymagania i potrzeby. I tak czas upływał, oswajali się ze swoim położeniem i jakoś nie lękali się przyszłości.

Najwięcej jednak niecierpliwił się biedny Top, któremu jakoś duszno i ciasno było w Granitowym Pałacu: biegał z pokoju do pokoju i często, bardzo często zatrzymywał się przy owej studni, połączonej z morzem. Cyrus zauważył, że ilekroć Top zbliżał się do tego miejsca, skowycał i wyl jakoś dziwnie, obiegając dokoła klapę drewnianą, zakrywającą otwór studni. Niekiedy próbował koniecznie wsunąć łapę pod klapę, jakby pragnął ją podnieść i ujadł gwałtownie w sposób, zdradzający zarazem gniew i niepokój.

Inżynier baczną zwracał uwagę na te manewry wiernego psa. Co mogło być w tej otchłani, co tak niepokoiło zmyślnie zwierzę. Nic ma wątpliwości, że dochodzi do morza. A może ciasnymi przejściami łączy się z innymi pieczarami? Może jakiś potwór morski przebywa w niej niekiedy. To postępowanie Topa nad wszelki wyraz zaciekawiało i intrygowało jego pana; rozumiał, że tu jest coś, czego rozwiązać nie może. Jednak nie chcąc niepokoić towarzyszków i teraz, jednemu tylko Gedeonowi opowiedział o swoich przypuszczeniach.

Przez pewien czas jeszcze śniegi, grady i deszcze padaly na przemian; często zrywał się ogromny wichur, aż nareszcie zima minęła, lody i śniegi stopniały, morskie wybrzeże, równiny, urwiste brzegi Mercy i otaczające lasy stały się dostępnymi.

W drugiej połowie września znów rozpoczęło się polowanie. Penkroff nieustannie domagał się broni palnej, wmaiwiając w inżyniera, że mu przyrzekł ją zrobić. Ale Cyrus, wiedząc, że nie podobna tego dokazać bez odpowiednich narzędzi, przekładał marynarzowi, że Harbert i Gedeon Spilett tak doskonale strzelają z łuków i tyle najrozmaitszej przynoszą zwierzyny, iż broń prawie jest niepotrzebna. Penkroff nie dał się przekonać i zaprzysiął się, iż nie da spokoju panu inżynierowi, dopóki mu nie dostarczy broni.

Jednakże obecnie przede wszystkim trzeba było myśleć o zaopatrzeniu się w odzież; gdyż ta, którą posiadali, nie dotrwa do zimy. Potrzebowali zatem zaopatrzyć się w wełnę

i skóry zwierzęce; a że muflonów bardzo wiele było na wyspie, zamierzali przyswoić je i hodować dla potrzeb kolonii. Oczekiwali zatem niecierpliwie ciepłej pory, gdy wtem zdarzył się wypadek, który zwiększył jeszcze gorącą ich żądę poznania całej wyspy.

Było to dnia 24 października. Penkroff wybrał się do pulapek i w jednej znalazł trzy sztuki: samicę pekari i dwoje małych. Marynarz wrócił niezmiernie uradowany.

— Oho! panie Cyrusie — wołał — wyborną mieć będziemy ucztę; uruczmy się doskonałym przysmakim.

— A i owszem, ale cóż to będzie za przysmak?

— Prosię! — odrzekł triumfujący marynarz.

— Ba!... prosię! Słyszac twoje pochwały — rzekł reporter — myślałem, że co najmniej poczęstujesz mnie kuropatwą z truflami.

— Jest pan tak wybrednym smakoszem, że już nawet prosię panu nie smakuje? — odrzekł nieco urażony. — Eh! panie dziennikarzu, jeżeliby kto podał kawalek takiego prosięcia przed siedmiu miesiącami, gdy dostaliśmy się na tę wyspę, byłby pan zajadał ze smakiem i oblizywał paluszki.

— Masz słuszność, kochany Penkroffie. Ale cóż chcesz — czas płaci, czas traci.

O piątej podano do stołu. Potrawa z pekari bardzo wszystkim smakowała. Penkroff szczególnie nie mógł się na jeść. Nagle zawołał, wyjmując z ust:

— Patrzcie, ziarnko śrutu. Zwierzyna już przed dostaniem się w nasze ręce była postrzelona!

ROZDZIAŁ XXIII.

Z powodu ziarnka śrutu. — Budowa łodzi. — Łowy. — Z wiercholka drzewa. — Nic, co by świadczyło o obecności człowieka. — Żółw przewrócony. — Zniknięcie żółwia. — Wyjaśnienie Cyrusa.

Upłynęło siedem miesięcy od dnia, w którym żeglarze nadpowietrzni spadli na wyspę Lincolna. Przez cały ten czas, pomimo usilnych poszukiwań, nie znaleźli na niej ani jednego człowieka, nie dostrzegli w powietrzu dymu, zdradzającego jego obecność, nie dopatrzyli nigdzie śladu pracy rąk ludzkich, dowodzącej, że nawet niegdyś przebywały podobne

im istoty — musieli więc wnosić, że wyspa jest i zawsze była bezludna. Jedno ziarnko śrutu obaliło wszelkie te wnioski i przypuszczenia. Śrut ten mógł wypaść tylko z broni palnej, a jedynie człowiek mógł posługiwać się tą bronią!

Gdy Penkroff położył na stole owo ziarnko śrutu, towarzysze jego zwrócili na nie zdumione spojrzenia i wszystkie następstwa tego tak błahego na pozór wypadku stanęły im od razu w myśli.

Cyrus Smith odezwał się pierwszy:

— Czy jesteś pewny — rzekł do Penkroffa — że pekari, zraniony tym śrutem, nie miał więcej nad trzy miesiące?

— Zaledwie trzy miesiące, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz. — Ssał właśnie, gdy go znalazłem.

— W takim razie nie można powątpiewać, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś polował na wyspie Lincolna — mówił dalej inżynier.

— I że ziarnko śrutu zraniło lekko to zwierzątko — dodał Gedeon Spilett.

— Bez wątpienia — rzekł Cyrus. — Z tego zaś trzeba wyprowadzić następujące wnioski; albo wyspa była już zamieszkała przed naszym przybyciem, albo też ludzie wylądowali na nią w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Czy przybyli tu dobrowolnie, czy zagnała ich burza, czy są jeszcze, czy odplynęli? — tego nie można domyśleć się. A są to kwestie tak dalece nas obchodzące, że nie możemy pozostać dłużej w niepewności.

— Nie! — przerwał Penkroff, wstając od stołu. — Pewny jestem, że oprócz nas nie ma tu nikogo więcej!

— Musimy zatem przypuścić — odezwał się Cyrus — że w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś strzelał na wyspie. Sądzę jednak, że ten ktoś albo niedawno wylądował, albo chwilowo tylko przebywał, bo gdyby ludzie znajdowali się na niej w czasie naszej wycieczki na górę Franklina, to my ich lub oni nas musieliby zobaczyć. W każdym razie winniśmy jak najspieszniej dowiedzieć się prawdy.

— I zabezpieczyć się o ile możności — dodał reporter.

— Oczywiście — odpowiedział Cyrus — bo, niestety, można się obawiać, że byli to korsarze malajscy.

— Panie Cyrusie — odezwał się Pencroff — czy nie wypadałoby przede wszystkim zbudować czółna, abyśmy w razie potrzeby mogli puścić się rzeką, lub opłynąć wybrzeża. Lepiej zawsze być na wszystko przygotowanym.

— Bardzo to dobra myśl, lecz my nie możemy czekać, a na zbudowanie łodzi trzeba by poświęcić przynajmniej cztery tygodnie.

— Tak, na zbudowanie dużej i mocnej łodzi, w której by można puścić się na morze, ale takiej teraz nie potrzebujemy. Ja w przeciągu pięciu dni podejmuję się zbudować łódkę, w której bezpiecznie będziemy mogli pływać po naszej rzece i okrążyć brzegi wyspy.

— W ciągu pięciu dni chcesz zbudować łódź? — zawołał Nab.

— Tak, Nabie, ale łódź indyjską.

— Z drzewa? — zapytał z niedowierzaniem murzyn.

— Z drzewa — odpowiedział marynarz — czyli raczej z kory, jak to czynią Indianie. Zaręczam, że za pięć dni nasza łódź będzie gotowa.

— A więc dobrze, za pięć dni dopiero rozpoczniemy nasze poszukiwania. Tymczasem zaś zalecam wam największą ostrożność i proszę, abyście nie oddalali się zbyt daleko od Granitowego Pałacu.

Pewność, że oprócz nich znajdują się na wyspie inni mieszkańcy, zaniepokoiła żywo naszych kolonistów, a wieczorem Cyrus i Gedcon długo z sobą o tym rozmawiali. Według nich ten wypadek miał pewną styczność z cudownym, a dotąd niezrozumiałym ocaleniem inżyniera, i wielu niepojętymi dla nich wypadkami. W końcu Cyrus Smith rzekł do przyjaciela:

— Czy chcesz kochany Gedeonie, abym ci powiedział, co o tym myślę?

— Ma się rozumieć.

— A więc pewien jestem, że choć najstaranniej przeszukamy całą wyspę, nic nie znajdziemy na niej!

Pencroff zaraz nazajutrz zabrał się do roboty. Nie chodziło tu o zbudowanie prawdziwej łodzi, lecz o łódkę taką, jakiej używają dzicy, a dostateczną do pływania po Mercy, szczególnie w pobliżu źródeł, gdzie woda nie była zbyt głęboka. Marynarz miał ją zbudować z wielkich kawałów kory, tak szczelnie z sobą pozbijanych gwoździami, aby woda nie mogła dostać się do wnętrza.

W ciągu myśliwskich wycieczek Harbert rozmawiał często z Gedeonem o znalezionym ziarnku śrutu.

— Czy się to nie zdaje rzeczą dziwną i prawie niepodobną, że gdyby ktoś wylądował lub jak my był wyrzucony na

wyspę, nie pokazałyby się dotąd w pobliżu Granitowego Pałacu.

— Byłoby to rzeczywiście bardzo dziwne — odpowiedział reporter — jeżeliby ten ktoś dotąd znajdował się na naszej wyspie, lecz bardzo naturalne, jeżeli odplynął z powrotem.

— Więc sądzicie, że obecnie nie ma już nikogo?

— Tak się przynajmniej zdaje, bo gdyby ludzie przebywali tu dłużej, to jakiś ślad musiałby zdradzić ich obecność.

— Lecz jeżeli mogli oddalić się, to nie byli rozbitkami.

— Bez wątpienia. Być może, iż burza zagnała tu statek, nie uszkodziwszy go wcale; więc gdy przeszła, puścili się na morze.

— O ile mi się zdaje — rzekł Harbert — Smith więcej obawia się, niż pragnie spotkać ludzi na naszej wyspie.

— Tak, gdyż prawdopodobnie tylko malajczycy przebywają te morza, a z tymi panami spotkanie bywa niebezpieczne.

W ciągu tej rozmowy myśliwi weszli do części lasu, sięgającej brzegów Mercy, a obfitującej w najpiękniejsze drzewa.

— Spójrz na te drzewa — rzekł Harbert. — Gdybym wszedł na wierzchołek którego z nich, mógłbym dokoła daleko sięgnąć wzrokiem.

— Wyborna myśl — odpowiedział reporter. — Czy jednak zdołasz się dostać aż na wierzchołek tego olbrzyma?

— Spróbuję — odpowiedział Harbert.

Zwinny i zręczny chłopiec z łatwością dostał się na pierwsze gałęzie kaurysa, a w kilka minut później był już na wierzchołku drzewa, ponad morzem zieleni, poruszonym z lekka powiewem wiatru.

Harbert ze swego obserwatorium mógł widzieć właśnie nieznaną dotąd część wyspy, w której przypuszczalnie chronili się lub jeszcze chronią nieznanani sąsiedzi. Spoglądał wokoło z natężoną uwagą: na morzu ani w dali, ani bliżej wyspy nie ukazywał się nigdzie żagiel. Ponieważ jednak las dochodził do samego brzegu, statek, zwłaszcza bez masztów, mógłby stać blisko lądu a nie być dostrzeżonym przez Harberta.

Wśród lasów nic także nie było można dojrzeć. Tworzyły nieprzejrzaną gęstwinę, ciągnącą się przez kilka mil kwadratów, nieprzerwaną nigdzie łączką ani polanką.

Harbert nie mogąc dostrzec nigdzie śladów obozowiska, baczył, czy nie zobaczy gdzie kłębow dymu, zdradzającego obecność człowieka. Przez chwilę zdawało mu się, że na zachodniej stronie widzi lekki dym, lecz przyjrawszy się lepiej, poznał, że się omylił.

Powrócił wraz z towarzyszem do Granitowego Pałacu. Cyrus potrząsnął tylko głową w milczeniu, gdy się dowiedział o wyniku jego spostrzeżeń.

Nazajutrz 28 października zaszło nowe zdarzenie, trudne do wytłumaczenia. Nab i Harbert, idąc brzegiem morza, schwytali ogromnego żółwia. Harbert spostrzegł go, gdy przesuwał się między skałami, dążąc do morza.

— Nabie! chodź prędko! — zawołał.

— Pyszne zwierzę! — rzekł Nab, nadbiegając. — Ale jak go tu schwytać?

— Bardzo łatwo — odpowiedział Harbert. — Przewrócimy go na wznak, i nie będzie mógł uciec. Weź swój oszczepek i podsuń pod niego.

Żółw, czując niebezpieczeństwo, skrył się w skorupę tak, że nie widać mu było nawet nóg i głowy, i leżał nieruchomo jak skała. Nab i Harbert podsunęli równocześnie oszczepy pod piersi zwierzęcia i wspólnymi siłami, choć z trudem, przewrócili je na wznak. Żółw, długi na trzy stopy, ważył najmniej czterysta funtów.

— Wybornie! — zawołał Nab. — Jak to ucieszy Penkroffa.

Rzeczywiście Penkroff mógłby być zadowolony, gdyż mięso tego gatunku żółwiów, żywiących się morskimi roślinami, jest bardzo smaczne.

— Cóż teraz zrobimy z naszą zdobyczą? — rzekł Nab. — Nie zdołamy zaciągnąć jej sami do Granitowego Pałacu.

— Ponieważ nie może odwrócić się i uciec, pozostawimy tutaj — odpowiedział Harbert — a sami pójdziemy po wóz.

Harbert przez ostrożność, która Nabowi wydała się zbyt dużą, podsunął z dwóch stron pod tarczę żółwia duże kamienie tak, że się na bok nie mógł przechylić. Późem obydwaj myśliwi wrócili do Granitowego Pałacu. Harbert, chcąc zrobić niespodziankę Penkroffowi, nie wspominał mu nic o żółwiu, lecz obydwaj z Nabem starali się sprowadzić go jak najprędzej. We dwie godziny później byli już z wozem na miejscu, gdzie swą zdobycz zostawili, lecz żółw zginął bez śladu.

Nab i Harbert spojrzeli naprzód na siebie, następnie wokoło siebie. Wszakże tu pozostawili żółwia. Harbert znalazł nawet kamienie, którymi go otoczył, był więc pewny, że się nie myli.

— A! więc te zwierzęta mogą się odwracać? — rzekł Nab.

— Tak się zdaje — odpowiedział Harbert, sam nie wiedząc, co ma o tym myśleć, i przyglądając się rozrzuconym kamieniom.

— Penkroff będzie z tego bardzo niezadowolony.

— A Smithowi — pomyślał Harbert — nie łatwo będzie wytłumaczyć to zniknięcie.

— Zabrali więc pusty wóz i wrócili do Granitowego Pałacu.

Harbert udał się zaraz do warsztatu, aby opowiedzieć całe zdarzenie inżynierowi, pracującemu wspólnie z Penkroffem.

— O! niezdary! — wykrzyknął marynarz. — Wypuścili z rąk najmniej pięćdziesiąt wybornych rosołów.

— Wierzaj mi, Penkroffie — odpowiedział Nab — że to zwierzę nie z naszej winy uciekło; przed odejściem przewróciliśmy je.

— Widać, że nie dosyć było przewrócone — odpowiedział marynarz.

— Mylisz się, Penkroffie, przewróciliśmy je na wznak, a oprócz tego podparłem z obydwóch stron kamieniami — bronił się Harbert.

— No, to już cud widoczny! — zawołał Penkroff.

— Sądziłem, panie Cyrusie — rzekł Harbert — że żółwie, zwłaszcza wielkie, nie mogą powstać na nogi, gdy zostaną na wznak przewrócone!

— I nie myliłeś się, mój chłopcze — odpowiedział inżynier.

— A więc, jakim sposobem ten mógł powędrować sobie?

— Jak daleko od morza zostawiliście żółwia? — zapytał inżynier po krótkim namyśle.

— O piętnaście stóp najwięcej — odpowiedział Harbert.

— A było to w czasie przyływu morza?

— Tak, panie Cyrusie.

— W takim razie zdaje się, że to, co było niepodobne dla żółwia, leżącego na piasku, stało się możliwe w wodzie.

Musiał się odwrócić na nogi, gdy go woda uniosła, i popłynął spokojnie.

Nie śmielibyśmy zaręczyć, czy Cyrus Smith, dając to prawdopodobne tłumaczenie, był sam przekonany o jego prawdziwości.

ROZDZIAŁ XXIV.

Pierwsza próba łodzi. — Skrzynia na wybrzeżu. — Wyciąganie z piasku. — Dostawienie do Granitowego Pałacu. — Zawartość skrzyni: narzędzia, broń, przyrządy, odzież, książki, sprzęty. — Czego brak Penkroffowi. — Pismo Święte. — Wiersz z Pisma.

Dnia 29 października czółno z kory było już zupełnie gotowe. Penkroff dotrzymał słowa i zbudował je w ciągu pięciu dni. Na łodzi, długiej na dwanaście stóp, przymocowano trzy ławki: jedną z tyłu, drugą w środku, a trzecią na przodzie; zrobiono rodzaj rudla, aby łatwiej można było nadać żądany kierunek statkowi i przygotowano parę lekkich a mocnych wiosel. Spuszczenie na wodę poszło bardzo łatwo: ustawiono łódź na piasku nad morzem, które uniosło ją w czasie przyływu. Oczekujący na to Penkroff wskoczył i kierując to w tę, to w ową stronę, przekonał się, że można w niej bezpiecznie opłynąć brzegi wyspy.

— Wiwat! — krzyknął marynarz, ucieszony swym dziełem. — Można w tym bezpiecznie opłynąć całą...

— Kulę ziemską? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie, całą wyspę. Włożyć trochę kamieni na balast, postawić maszt na przodzie, dodać żagiel, który pan Cyrus sporządził nam z pewnością, a można w daleką się puścić drogę! Cóż to, panie Cyrusie, panie Gedeonie, i wy także, Harbercie i Nabie, czy nie macie ochoty wypróbować naszego statku? Trzeba się przecie przekonać, czy nas wszystkich uniesie.

Rzeczywiście, wypadło zrobić takie doświadczenie. Marynarz przybił więc do lądu i postanowiono tegoż dnia jeszcze wypróbować łódkę, płynąc wzdłuż brzegu, aż do miejsca, w którym kończyły się skały, piętrzące się od strony południowej.

Nab wsiadając, zawołał:

— Penkroffie, do twojej łódki dostaje się woda!

— To nic nie znaczy, Nabie—odpowiedział marynarz. — Drzewo wkrótce nasiąknie i napęcznieje, za parę dni ani kropla wody nie dostanie się do wnętrza naszego czółna. Wsiadaj!

Gdy wszyscy już byli w łódce, Penkroff odbił od brzegu. Czas był prześliczny, a morze tak spokojne jak jezioro.

Płynęli paręset sążni od brzegu, omijając gęsto rozsiane w tym miejscu skały, które przyplływające właśnie morze zaczęło już zakrywać. Od ujścia rzeki skały obniżały się stopniowo, a były rozrzucone tak beładnie, jakby ktoś rozsytał olbrzymie odłamy granitu. Całej okolicy nadawały one dziką i ponurą postać. Na dwumilowej przestrzeni nie było nawet śladu roślinności, co tym więcej uderzało, że dalej, poza nagimi szczytami skał, kołysały się zielone wierzchołki drzew gęstego lasu. Łódka, popychana miarowymi uderzeniami wiosel, posuwała się szybko. Gedeon Spilett wyjął notatnik i szkicował naprędce zarys wybrzeża. Nab, Penkroff i Harbert rozmawiali z sobą, przyglądając się nieznaney im okolicy. Cyrus Smith milczał i patrzył, a spojrzenia jego z jakąś dziwną podejrzliwością błędziły pomiędzy skałami, jakby spodziewał się ujrzeć tam coś nadzwyczajnego.

Po trzech kwadransach Harbert zawołał, wsłazując ręką:

— Co to leży tam, na piasku?

Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę.

— Rzeczywiście jest tam jakiś przedmiot — odezwał się reporter. — Można by sądzić, że to szczątki rozbitego statku, do połowy zasypane piaskiem.

— A! — zawołał Penkroff — ja wiem, co to jest!

— Cóż takiego? — zapytał Nab.

— Beczułki! a może jeszcze pełne! — wykrzyknął marynarz.

— Do brzegu, Penkroffie! — rzekł Cyrus.

Po kilku uderzeniach wiosła łódź zatrzymała się w małej przystani. Wyskoczyli na ląd.

Penkroff miał słuszność. Były to dwie beczułki, do połowy zasypane piaskiem, lecz silnie przymocowane do dużej skrzyni, którą utrzymywały na powierzchni wody, dopóki nie osiadła na piasku.

— Więc jakiś statek musiał się rozbić w okolicach tej wyspy! — zawołał Harbert.

— Tak się zdaje — odpowiedział Gedeon Spilett.

— Ale co może być w tej skrzyni? — odezwał się zaciekawiony Penkroff. — Zamknięta, a nie mamy z sobą nic takiego, czym można by rozłupać wieko! A! są tu kamienie.

Marynarz podniósł już wielki kamień i zamierzał uderzyć nim w skrzynię, gdy inżynier powstrzymał go:

— Czy nie mógłbyś, Penkroffie, powstrzymać swej ciekawości na jedną godzinę?

— Ależ, panie Cyrusie, tam mogą być bardzo potrzebne nam rzeczy!

— Wkrótce przekonamy się o tym — odpowiedział inżynier. — Szkoda byłoby niszczyć skrzynię, która nam się może przydać. Przewieziemy ją do Granitowego Pałacu, gdzie otworzymy bez uszkodzenia. Jeżeli dopłynęła tutaj, to dopłynie także do ujścia rzeki.

Inżynier dobrze radził. Prawdopodobnie nie zmieściłyby się w czółnie rzeczy, zamknięte w skrzyni, która musiała być ciężka, skoro dla zmniejszenia ciężaru przymocowano dwie próżne beczulki.

Skąd się tam wzięła ta skrzynia? Trudno było odpowiedzieć na tak ważne pytanie. Koloniści przebiegli znaczny kawał wybrzeża i nie znaleźli nigdzie śladów rozbicia.

Mimo to trudno było wątpić o rozbiciu. Kto wie nawet, czy owo ziarno śrutu nie miało z nim styczności. Może jacyś ludzie dostali się na ląd z innej strony wyspy, może są tam jeszcze? W każdym razie koloniści byli pewni, że to nie mogą być korsarze malajscy bo skrzynia pochodziła widocznie z Europy lub Ameryki.

Powrócili wszyscy do niej, aby przyjrzeć się lepiej. Miała pięć stóp długości, a trzy szerokości! była starannie zamknięta i pokryta grubą skórą, przybitą mosiężnymi gwoździami: dwie próżne beczulki, szczelnie zamknięte, przywiązane były do jej boków mocnymi powrozami. Nie znać było na niej żadnego uszkodzenia, co można by przypisać temu, że morze wyrzuciło ją na piasek, a nie między skały. Nadto, przyjrząwszy się jej bacznie, trudno było nie poznać, że niedługo przebywała w morzu i niedawno osiadła na piasku.

Morze tymczasem przyplęwało ciągle i woda dochodziła już do skrzyni. Nab i Penkroff odrzucili obsypujący ją piasek i wkrótce łódką, ciągnąc za sobą skrzynię, oddaliła się od wąskiego pasa ziemi, który nazwano: cyplem Skrzyni. W półtorej godzinie później koloniści przybili do brzegu

wprost Granitowego Pałacu i wyciągnęli na piasek skrzynię i łódkę.

Nab pobiegł po narzędzia. Penkroff drżącymi od wrzucenia rękami odwiązywał beczułki. Odbito wreszcie zamek i podniesiono wieko.

Wewnątrz skrzyni znajdowało się wielkie pudło z blachy cynkowej starannie zalutowane, aby na wszelki wypadek zawarte tam przedmioty zabezpieczyć od wilgoci.

— A! — zawołał Nab — to muszą być konserwy.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiedział reporter.

— O, żebym ja tam znalazł... — rzekł Penkroff.

— Co takiego?

— Nic!... nic...

Przecięto wzdłuż na środku blachę i odwinęto ją na boki, a następnie zaczęto wyjmować i układać na piasku rozmaite przedmioty. Każdy z nich wywoływał radosne okrzyki Penkroffa, Harbert klaskał co chwila w ręce, a wierny swej murzyńskiej naturze Nab tańczył dokoła. Znajdowały się tam książki, które Harbert byłby chętnie przycisnął do serca, i naczynia kuchenne, które Nab miał ochotę ucałować.

Zresztą wszyscy koloniści mogli być zadowoleni z przedmiotów, znalezionych w skrzyni, które wyliczamy podług spisu, sporządzonego przez Gedeona Spiletta:

Narzędzia: 3 noże o kilku ostrzach, 2 siekiery dla drwali, 2 siekiery ciesielskie, 3 heble, 2 toporki, 1 dłuto, 6 par nożyc, 2 pilniki, 3 młotki, 3 świderki, 3 świdry, 10 worków gwoździ i śrubek, 3 piły różnej wielkości, 2 pudełka igieł i drobiazgów.

Broń: 2 strzelby skałkowe, 2 strzelby pistonowe, 2 karabiny, 5 noży myśliwskich, 4 szable, 2 barylki prochu, ważące po 25 funtów, 12 pudełek pistonów.

Przyrządy: 1 sektans, 1 lorneta, 1 kompas, 1 busola kieszonkowa, 1 termometr Fahrenheita, 1 barometr, 1 pudło z całym przyrządem fotograficznym.

Odzienienie: 2 tuziny koszul z tkaniny roślinnej, które na pierwszy rzut oka zdawały się wełniane, 3 tuziny pończoch z tejże samej tkaniny.

Przęty kuchenne: 3 dzbanki żelazne, 6 rondli miedzianych, 3 miski żelazne, 10 nakryć z aluminium, 2 kociołki, 1 mały piecyk przenośny, 6 noży stołowych.

Książki: 1 Biblia, zawierająca „Stary i Nowy Testament“, 1 atlas, 1 słownik różnych narzeczy polinezyjskich,

1 dzieło o naukach przyrodniczych w sześciu tomach, 3 rzyzy papieru, 2 czyste księgi rejestrowe.

— Trzeba przyznać — rzekł reporter, gdy już spisał inventarż — że właściciel tej skrzyni był człowiekiem praktycznym! Nie zapomniał o niczym. Można by przypuszczać, że spodziewał się rozbicia okrętu i przygotował się zawczasu!

— Tak, pamiętał o wszystkim — rzekł do siebie Cyrus Smith.

— Można być pewnym — dodał Harbert — że kapitan statku, wiozącego tę skrzynię i jej właściciela, nie był korsarzem malajskim.

— Chyba — rzekł Penkroff — że ten właściciel został więźniem korsarzy.

— To nieprawdopodobne przypuszczenie — powiedział reporter. — Prędzej można by wnosić, że burza zagnała w te strony okręt europejski lub amerykański, a podróżni, chcąc uratować przynajmniej najpotrzebniejsze rzeczy, zapakowali je w tę skrzynię i puścili na morze.

— Czy i pan podziela to zdanie, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Sądzę, że tak być mogło — odpowiedział inżynier. — Może, przewidując rozbicie statku, złożono w tej skrzyni najpotrzebniejsze przedmioty, aby później znaleźć je gdzie na wybrzeżu...

— Nawet i przyrząd fotograficzny? — zapytał z niedowierzaniem marynarz.

— Co do tego — odpowiedział Cyrus — przyznaję, że nie rozumiem, po co go włożono, bo tak dla nas, jak i dla każdego w naszym położeniu, potrzebniejsza byłaby odzież, lub większy zapas prochu!

— Trzeba zobaczyć — odezwał się Gedeon — czy na tych przedmiotach nie znajdziemy jakiej cechy lub znaku, który by nam dał poznać ich pochodzenie.

Obejrzano wszystko starannie, szczególniej broń, narzędzia i książki, ale wbrew powszechnie przyjętemu zwyczajom nie było nigdzie cechy fabrykanta, ani nazwiska wydawcy. Co więcej, wszystko było zupełnie nowe, a zatem nie pakowane pośpiesznie, lecz dobierane starannie i z rozmysłem.

Oba dzieła drukowane były po angielsku, jako też i piękna Biblia, której karty często, jak się zdawało, były przewracane. Nazwy na przepysznym atlasie, zawierającym mapy całego

świata, były francuskie, lecz nigdzie nie znaleziono ani miejsca wydania, ani nazwiska wydawcy, a zatem nic nie pozwalało domyślać się, jakiej narodowości okręt tak niedawno znajdował się w pobliżu wyspy.

Bądź co bądź, znaleziona skrzynia stanowiła prawdziwy skarb dla kolonistów wyspy Lincoln. Dotąd ciężką pracą musieli wszystko zdobywać, a teraz zdawało się, że Opatrzność zesłała im naraz tyle użytecznych rzeczy, aby ich wynagrodzić za trudy i wytrwałność. Dlatego też, wiedzeni uczuciem wdzięczności, wzniesli wspólne dziękczynne modły do nieba.

Trzeba jednak przyznać, że jeden z nich nie był jeszcze zupełnie zadowolony. Widocznie w skrzyni nie znaleziono tego, czego bardzo sobie życzył, bo w miarę jak z niej wyjmowano rzeczy, coraz mniej radosne wydawał okrzyki, a gdy już nic nie pozostało, rzekł półgłosem:

— Wszystko to pięknie, ale w całym pudle nie ma nic dla mnie.

— A czegoż jeszcze chcesz, Penkroffie? — zapytał Nab.

— Choćby pół funta tytoniu, a byłbym zupełnie szczęśliwy!

Znalezienie tak wyraźnego śladu niedawnej obecności ludzi na wyspie nakazywało zwiedzić ją jak najspieszniej. Postanowiono więc zaraz nazajutrz puścić się w drogę. Jeżeli ktoś zmuszony był schronić się na to wybrzeże, to może być pozbawiony najpierwszych potrzeb życia, i trzeba mu śpieszyć na ratunek.

Znalezione w skrzyni przedmioty przeniesiono do Granitowego Pałacu i umieszczono w głównej sali.

Ponieważ była to właśnie niedziela, Harbert, zanim udano się na spoczynek, prosił inżyniera, aby przeczytał im jaki ustęp z Ewangelii.

— Najchętniej — odpowiedział Cyrus i, wzięwszy Pismo Święte, już zamierzał otworzyć księgę, gdy zatrzymał go Penkroff, mówiąc:

— Panie Cyrusie, wyznaję, że jestem trochę przesądny. Proszę otworzyć Biblię i przeczytać nam ten wiersz, na który wzrok pana padnie. Zobaczymy, czy się da zastosować do naszego położenia i co nam powie.

Cyrus otworzył księgę w miejscu, gdzie była włożona zakładka, a oczy jego zatrzymały się na ustępie, przy którym

nakreślony był krzyżyk czerwonym ołówkiem. Był to wiersz ósmy, w VII-ym rozdziale Ewangelii świętego Mateusza:

Przeczytał głośno: Proście a danem wam będzie, szukajcie a znajdziecie.

ROZDZIAŁ XXV.

Odjazd. — Wiązy i obrotnice. — Rozliczne rośliny. — Widok lasu. — Eukaliptusy olbrzymy. — Dlaczego noszą nazwę „drzewa febry“. — Stada małp. — Spadek wodny.

Nazajutrz, 30 października, wszystko już było gotowe do wycieczki, którą nakazywały przyśpieszyć ostatnie wypadki. Koloniści znajdowali się teraz w takim położeniu, iż mogli nabrać przekonania, że nie tylko nie potrzebują od nikogo pomocy, lecz jeszcze innym mogą jej udzielić.

Dla zmniejszenia sobie trudu i łatwiejszego przewiezienia broni i żywności postanowiono popłynąć rzeką jak będzie można najdalej. Cyrus i to miał na względzie, że jeżeli jakiś statek rozbił się przy brzegach wyspy, to prócz tego, co zabierają z sobą, znajdzie się wiele szczątków, które wypadnie sprowadzić do Granitowego Pałacu.

Nab włożył do łodzi żywności na trzy dni, gdyż wyprawa nie miała trwać dłużej, a w razie potrzeby można by powiększyć zapasy świeżo upolowaną zwierzyną. Nie zapomniał także o kilku dzbankach piwa i o przenośnym piecyku.

Koloniści zabrali także dwie siekiery, aby móc w razie potrzeby torować sobie drogę w lesie, a prócz tego lunetę i busolę kieszonkową.

Z broni wzięto dwie strzelby skałkowe, jeden karabin i pięć kordelasów w mocnych, skórzanych pochwach. Tak uzbrojeni, mogli bez wielkiego niebezpieczeństwa zapuścić się w gęste i nieznanne im lasy.

O szóstej rano spuszczone na morze łódź, do której wsiedli wszyscy, nie wyłączając Topa.

Wybrzeża były prześliczne. Podróżni musieli podziwiać twórczość przyrody, która prostymi środkami, jak drzewa i woda, umie tworzyć tak piękne krajobrazy. W miarę jak płynęli, ukazywały się coraz to nowe gatunki drzew. Na pra-

wym brzegu wznosiły się pyszne gatunki z rodziny Ulmaceae, wiąży tak wysoko cenione przez budowniczych, posiadające tę własność, że bardzo długo mogą bez uszkodzenia pozostawać w wodzie. Dalej ukazywały się inne, należące do tej samej rodziny, a między nimi obrostnica, znana także w południowej Francji, gdzie ją nazywają pospolicie „drzewem z Perpignan“, które daje materiał twardy, ścisły, ciężki, czarniawy, i łatwo dający się politurować.

Od czasu do czasu przybijano do brzegu w miejscach dogodnych do wylądowania, a wówczas Spilett, Penkroff i Harbert wysiadali w nadziei, że może znajdą jakąś użyteczną roślinę. Znalazł ich wiele, jak na przykład dziki szpinak, rzęźuchę, chrzan, rzepeę, a nareszcie roślinkę, wysoką na jeden metr, obfitującą w ciemne, drobniutkie nasienie.

— Czy wiesz, co to za roślina? — zapytał Harbert marynarza.

— Może tytoń? — zawołał Penkroff, który widocznie znał ulubioną roślinę tylko pokrajaną i zawiniętą w papier.

— Nie, Penkroffie! to jest gorczyca.

— Ha! weź i ją! Ale, jeżeli przypadkiem znajdziesz gdzie krzaczek tytoniu...

— Bądź spokojny, znajdziemy go także kiedyś — powiedział Spilett.

— Doprawdy?! — wykrzyknął Penkroff — a więc w owym dniu już niczego nie będzie nam brakować.

Wszystkie znalezione rośliny wyjmowano z korzeniami i przenoszono do łodzi, aby je zasadzić w pobliżu Granitowego Pałacu.

W czasie jednej wycieczki na brzeg udało się Gedeonowi uchwycić żywcem dwie pary ptaków z rodziny grzebiących; ptaki te o długim i cienkim dziobie, krótkich skrzydłach i bez ogona Harbert poznał od razu i nazwał kusakami, a że były blisko spokrewnione z kurami, darowano im życie i postanowiono oswoić, aby stanowiły drób domowy.

Około godziny dziesiątej dopłynęli do drugiego zakrętu Mercy, o pięć mil mniej więcej od jej ujścia. Zatrzymano się tu na pół godziny i spożyto śniadanie w cieniu wielkich drzew.

Rzeka w tym miejscu miała jeszcze około siedemdziesięciu stóp szerokości, a pięć do sześciu głębokości; las zaś rozciągał się na niezmierzonej okiem przestrzeni, i tak w nim,



Zatrzymano się tu na pół godziny... (str. 154).

jak pod drzewami, pokrywającymi brzegi Mercy, nic nie zdradzało obecności człowieka.

Ponieważ inżynier chciał jak najspieszniej dostać się na zachodnie wybrzeże wyspy, dał hasło do puszczenia się

w dalszą drogę. Ustał przyplływ, więc Nab i Harbert musieli wziąć się do wiosła, a Penkroff stanął przy rudlu.

Las przeredzał się stopniowo, a drzewa, mając więcej miejsca i powietrza, rozrastały się coraz wspanialej.

— Eukaliptusy! — zawołał Harbert.

Rzeczywiście były to olbrzymy strefy podzwrotnikowej, pokrewne eukaliptusom Australii i Nowej Zelandii i tak tu jak i tam rosące pod tym samym stopniem szerokości geograficznej. Wierzchołki niektórych z nich miały dwieście stóp obwodu, a kora, z której wypływała obficie wonna żywica, była gruba na pięć cali. Trudno znaleźć coś piękniejszego nad te ogromne drzewa z rodziny mirtowych, których liście, zwrócone bokiem do słońca, przepuszczają jego promienie aż do żywiącego je gruntu.

U stóp eukaliptusów rosła bujna i świeża trawa, spomiędzy której wylatywało mnóstwo małych ptasząt, polyskujących w słońcu jak drogie kamienie.

— To mi drzewa — zawołał Nab — ale czy tylko są równie użyteczne jak wielkie?

— Ba! — odpowiedział Penkroff — zapewne można to samo powiedzieć o olbrzymiego wzrostu roślinach, co i o ludziach olbrzymiego wzrostu, że nadają się tylko do pokazywania na jarmarkach.

— Mylisz się, Penkroffie, bo drzewo eukaliptusów jest poszukiwane na budowie, a prócz tego wyrabiają z niego kosztowne sprzęty.

— Dodam jeszcze, że należą do rodziny, zawierającej w sobie wiele drzew użytecznych, jak na przykład: gwajawy, wydające smaczne owoce; drzewa gwoźdźnikowe, dostarczające znanych powszechnie gwoźdźników; drzewa granatowe, rodzące owoc zwany granatem; Eugenia cauliflora, z której owoców wyrabiają niezłe wino; Mirt ugni, z którego otrzymują wyborny trunek alkoholiczny; Mirt caryophyllus, którego kora zastąpić może cynamon; mirt zwyczajny, którego owoce mogą być używane zamiast pieprzu; Eucaliptus robusta, dostarczający wybornej mанны; Eucaliptus Gunei, wydający z siebie sok, który po sfermentowaniu zamienia się w piwo; na koniec wszystkie drzewa, znane pod ogólną nazwą drzew życia lub drzew żelaznych, należące do rodziny mirtowych, liczące w sobie tysiąc kilkaset gatunków.

— Wybornie, Harbercie! — rzekł Penkroff, widocznie ucieszony jego uczonością. — Ale gotów bym przysiąc, że te wszystkie użyteczne drzewa nie są takimi olbrzymami jak te, które tu widzimy.

— Rzeczywiście — odpowiedział Harbert.

— A więc to służy właśnie na poparcie tego, co powiedziałem, że co olbrzymie, to nie wiele warte i nieużyteczne.

— Mylisz się, Penkroffie — powiedział inżynier — bo właśnie te olbrzymie eukaliptusy oczyszczają powietrze a przez to czynią je zdrowszym. Czy wiesz, jak je nazywają w Australii i Nowej Zelandii?

— Nie, panie Cyrusie.

— Nazywają je drzewami febrycznymi.

— Czy dlatego, że sprowadzają febrę?

— Nie, lecz dlatego, że od niej chronią. Jest prawie dowiedzione, że obecność eukaliptusów zubożnia szkodliwe wyziewy. Sadzano już te drzewa w pewnych niezdrowych okolicach południowej Europy i północnej Ameryki i po pewnym okresie stan zdrowia mieszkańców polepszył się znacznie. Zimnica jest nieznana w krajach, posiadających lasy eukaliptusów; jest to fakt, nie podlegający wątpliwości i nader szczęśliwy dla nas, mieszkańców wyspy Lincolna.

— A! jakąż to błogosławiona wyspa! Niczego na niej nie brakuje... wyjąwszy...

— Bądź cierpliwym, Pencroffie, i to znajdzie się kiedyś — odpowiedział inżynier. — Teraz wsiądźmy do łodzi i płynmy dalej, dopóki tylko rzeka będzie mogła unieść nas i łódkę.

Płynęli jeszcze parę mil pod cieniem eukaliptusów, pokrywających z obu stron rzeki okiem nieprzejrzaną przetrzeń. Wodne rośliny, a miejscami i skały zagradzały im teraz drogę i utrudniały żeglugę; nadto woda coraz była płytsza. Penkroff oznajmił, że lada chwila łódź nie będzie mogła posuwać się dalej. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Cyrus Smith, widząc, że nie podobna im będzie stanąć tego samego dnia na zachodnim brzegu wyspy, postanowił zatrzymać się na noc w miejscu, gdzie brak wody uniemożliwi żeglugę.

Łódka płynęła ciągle pomiędzy ścianami lasu, który znów powoli stawał się coraz gęstszy i więcej ożywiony, gdyż do-

strzegano w nim z dala gromady małp; a wkrótce kilka tych zwierząt zatrzymało się niedaleko od łódki i przyglądało się podróżnym, nie okazując najmniejszego przestachu. Można było zastrzelić je z największą łatwością i Penkroff byłby to niewątpliwie uczynił, gdyby Cyrus nie sprzeciwił się tej niepotrzebnej rzezi, przedkładając, że sama ostrożność nie pozwala zaczepiać tak silnych i zwinnych małp, które rozgniewane mogłyby stać się niebezpieczne.

Marynarz oceniał małpy tylko pod względem gastronomicznym, a mięso ich uważane jest za wyborne.

Łódź posuwała się coraz wolniej, gdyż co chwila musiała omijać skały lub przedzierać się między wodnymi roślinami.

— Panie Cyrusie, najdalej za kilkanaście minut będziemy zmuszeni zatrzymać się — rzekł marynarz.

— A więc zatrzymamy się i urządzimy na noc obozowisko.

Wkrótce łódka zaczęła się ocierać o kamieniste dno rzeki, której szerokość w tym miejscu wynosiła zaledwie dwadzieścia stóp. Gałęzie drzew okrywały jej łożysko, tworząc zielone sklepienie tak gęste, że prawie nie przepuszczało promieni słonecznych. Silny szum spadającej wody zapowiadał, że o kilkaset kroków dalej, w górze rzeki, musi być wodospad, który ujrzeli między drzewami, gdy dopłynęli do ostatniego zakrętu Mercy.

W kilka minut później przywiązano łódkę do drzewa.

Ostatnie promienie słońca wciskały się pod konary drzew i z boku oświetlały wodospad, a w drobnutkich kropelkach kurzawy wodnej odbijały się wszystkie kolory tęczy. Dalej, łożysko rzeki znikало już w gęstwinie lasu. Ponieważ miejsce było śliczne, koloniści wysiedli na ląd. Rozpalono ogień pod rozłożystymi wiazami, których gałęzie w razie potrzeby mogły im służyć za schronienie. Głód już dobrze dokuczał, najpierw więc pomyśleli o wieczerzy. Ze zmierzchem dały się słyszeć głosy dzikich zwierząt, przeto przed udaniem się na spoczynek ułożyli wielkie ognisko, aby blask jego płomieni odstraszał niepożądanych gości. Nazajutrz, 31 października, o piątej rano puścili się w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ XXVI.

Wycieczka na wybrzeże. — Gromady czwororękich. — Nowy strumień. — Nadbrzeżny las. — Przylądek Gadu. — Harbert zazdrości Gedeonowi. — Trzaskanie bambusów.

Koloniści, przyjrząwszy się okolicy przy świetle dziennym, nabrali przekonania, iż będą zmuszeni siekierą torować sobie drogę wśród krzaków, a może i ze strzelbą w rękę.

Przed wyruszeniem w drogę silniej jeszcze przywiązano łódkę do drzewa. Zabrali żywności na dwa dni, gdyż inżynier polecił towarzyszom, aby żaden z nich nie strzelał, choćby spotkali najwyborniejszą zwierzynę, bo hukiem wystrzału mogliby zdradzić obecność swą w tych stronach.

Ominąwszy spadek wody, koloniści musieli już siekierą torować sobie przejście wśród gąszczu leśnego, a Cyrus, idąc naprzód z busolą w rękę, wskazywał drogę.

Napotykali często gromady małp, przyglądających się z widocznym zdziwieniem istotom, dotąd zupełnie nieznanym. Gedeon pytał żartobliwie, czy te silne i zręczne zwierzęta nie uważają tak jego, jak towarzyszków za wyrodzonych i zniedołężniałych współbraci! Prawdę mówiąc, koloniści, przedzierający się z trudnością między zaroślami, mogli pozazdrościć siły i zwinności zwierzętom, tak lekko i łatwo przeskakującym z drzewa na drzewo. Gromady tych małp były liczne, lecz nie odnosiły się nieprzyjaźnie.

Raz po raz przesuwaly się także dziki, aguty, kangury i parę kaoli, do których Penkroff byłby chętnie strzelił.

— Polowanie stracone — mówił z westchnieniem — więc skaczcie, biegajcie spokojnie. Dopiero wracając, rozmówię się z wami.

Okolo dziesiątej podróżni spotkali nową przeszkodę, przecinającą im drogę. Był to nieznanym im dotąd strumień do czterdziestu stóp szeroki, którego wody toczyły się szybko i z głośnym szumem po spadzistym i skałami zasłanym łożysku. Woda była głęboka i czysta, lecz spuszczone na nią łódka roztrzaskałaby się wkrótce o skały.

— Droga przecięta! — zawołał Nab. — Musimy szukać innej.

— Po co? Wszakże możemy ją wpław przebyć.

— I to niepotrzebne — rzekł inżynier. — Strumień ten widocznie dąży do morza, idźmy więc ciągle jego brzegiem,

a pewny jestem, że wkrótce wyprowadzi nas na wybrzeże. Ruszajmy!

— Zatrzymajmy się jeszcze trochę! — zawołał Penkroff.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Polowanie wzbronione, lecz sądząc, że rybołówstwu od-
dawać się wolno — rzekł marynarz — zwłaszcza gdy idzie
o smaczne śniadanie.

Rzekłszy to, położył się nad brzegiem, zanurzył ręce
w wodzie i zaczął śpiesznie wyrzucać na trawę wielkie raki,
których mnóstwo ukrywało się między skałami.

— Wybornie! — zawołał Nab i pośpieszył z pomocą
przyjacielowi.

Nie upłynęło pięć minut, a napelnili cały koszyk najpięk-
niejszymi rakami.

Droga nad brzegiem nowoodkrytego strumienia była
dość łatwa, i koloniści mogli przyśpieszyć kroku. Nic do-
tąd nie zwiastowało obecności człowieka, tylko gdzie-
gdzie spotykali ślady wielkich zwierząt, przychodzących tu
zapewne gasić pragnienie.

Cyrus zwracał baczną uwagę na wartki prąd wody, dą-
żącej ku morzu, i zaczął przypuszczać, że do zachodniego
wybrzeża musi być znacznie dalej, niż sądził. Był to właśnie
czas przyływu morza, który powinien cofnąć wstecz bieg
rzeki, gdyby do jej ujścia nie było więcej nad kilka mil. Otóż
tego nie było; woda toczyła się ciągle ku morzu. Zdziwiony
tym inżynier spoglądał na busolę, aby się przekonać, czy za-
kręt rzeki nie cofa ich na powrót ku środkowi wyspy.

Łożysko rzeki rozszerzało się powoli, a jednocześnie
bieg wody stawał się spokojniejszym. Drzewa po obu brze-
gach rosły tak gęsto, że trudno było coś dojrzeć, widocznie
jednak brzegi nie musiały być zamieszkane, bo Top biegł spo-
kojnie.

O wpół do jedenastej Harbert, wyprzedzający towarzy-
szów, zatrzymał się nagle i zawołał:

— Morze!

W kilka minut później podróżni stali już na skraju lasu
i mogli objąć wzrokiem zachodnie wybrzeże wyspy, całkiem
odmienne od tego, na które los ich wyrzucił. Nie było tu już
ani ścian granitowych, ani skał, sterczących nad powierzch-
nią morza, ani nawet piaskiem usłanej płaszczyny; las po-
krywał całe wybrzeże, wyniesione znacznie ponad poziom

morza, a ostatnie jego drzewa chłostane falami, pochylały się ku wodzie.

Koloniści zatrzymali się przy malutkiej przystani, w której nie zmieściłyby się nawet trzy łodzie rybackie: przez nią to wody nowoodkrytego strumienia spływały do morza, nie po lekkiej, jak to zwykle bywa spadzistości, lecz gwałtownie z wysokości, przynoszącej czterdzieści stóp. Inżynier nie dziwił się już teraz, że przyływ morza nie oddziaływał na bieg rzeki, której koryto było znacznie wywyższone nad poziom oceanu. Nazwano ją też „rzeką Kaskady“.

Ku północy las ciągnął się jeszcze blisko dwie mile, potem przerzedzał się znacznie, a w dali poza nim ukazywały się malownicze wzgórza, ciągnące się ku północy i południowi.

Po spożytym naprędce posiłku Cyrus Smith dał znak do dalszej podróży.

Dotąd nie znaleźli jeszcze nic, świadczącego o rozbiciu się statku, lecz, jak twierdził Gedeon, morze mogło unieść z sobą wszystkie jego szczątki.

O piątej godzinie koloniści zauważyli, że muszą jeszcze przejść dwie mile, zanim dojdą do przylądka Gadu, i że będą zmuszeni tam noc przepędzić, gdyż nie podobna było przypuścić, aby mogli wrócić przed zachodem słońca do obozowiska przy źródłach Mercy. Zresztą mieli z sobą dość żywności, a choć w nadbrzeżnym lesie nie spotykali zwierzyny, to mogli ją w razie potrzeby zastąpić ptactwem, jak cietrzewie, lory, papugi, kakatoesy, bażanty, gołębie i wiele jeszcze innych. Trudno było znaleźć drzewo, na którym by nie było gniazda, i gniazdo, w którym nie trzepotałyby się ptaszęta.

O godzinie siódmej stanęli wreszcie na przylądku. Tu kończył się już nadbrzeżny las półwyspu, a na południowym jego brzegu widać było tylko skały, rafy i piaszczyste wydmy. Kto wie, może jaki okręt został zagnany do tej części wyspy. Ale noc się zbliżała, więc dopiero nazajutrz będzie można rozpocząć poszukiwania.

Penkroff i Harbert zaczęli natychmiast szukać miejsca, dogodnego na nocleg. Młody naturalista dostrzegł na kraju lasu gęste kępy bambusów.

— A to nieocenione odkrycie! — zawołał.

— Doprawdy? — rzekł Penkroff.

— Tak, bo trzeba ci wiedzieć, Penkroffie, że z kory bambusów, pokrajanej w paski, wyplatają kosze, że z teje samej kory, przyrządzonej odpowiednio wyrabiają papier chiński, że

sama trzcina, stosownie do swej grubości, służy na laski, cybuchy, rury do przeprowadzenia wody, że wielkie bambusy stanowią wyborny, bo lekki i trwały materiał budowlany, nigdy nie uszkodzany przez owady, że wreszcie, przerynąc tę trzcinę w poprzek przez środek sęciska, otrzymać można dogodnie i mocne naczynia do wody, używane powszechnie w Chinach. Ale to jeszcze nie dosyć dla ciebie, więc dodam...

— Że co?

— Że w Indiach jadają bambusy jak szparagi.

— Szparagi, długie na trzydzieści stóp! — zawołał marynarz. — A czy są dobre?

— Wyborne, tylko że nie biorą na ten cel tak wysokiej trzciny, lecz młodziutki jej pędy.

— Doskonale, musimy kiedy spróbować tej potrawy.

— Prócz tego rdzeń młodych pędów, zamarynowany w occie, stanowi bardzo smaczną przyprawę.

— Bambusy wzbudzają we mnie coraz większy szacunek — przerwał marynarz.

— Na koniec, zawierają słodki płyn, z którego można przyrządzić bardzo smaczny napój.

— A czy też nie dałoby się z nich urządzić coś podobnego do tytoniu?

— Nie, mój biedny Penkroffie.

— Szkoda, wielka szkoda!

Harbert i marynarz nie potrzebowali szukać długo dogodnego miejsca na nocleg. Bałwany morskie, gnane wiatrem południowo-zachodnim, wyżłobiły w nadbrzeżnych skałach dość głębokie wydrążenia, które mogły służyć za chwilowe schronienie. Wybrali jedno z największych, lecz gdy już mieli wejść do niego, rozległ się wewnątrz straszny ryk.

— Uciekajmy! — zawołał Penkroff — strzelby nasze śrutem tylko nabite.

Mówiąc to, pochwycił Harberta za rękę i wraz z nim ukrył się za skałę w tej właśnie chwili, gdy ogromny zwierz ukazał się przy wejściu do jaskini.

Był to jaguar, dorównywujący wzrostem zamieszkującym Amerykę. Miał więcej niż pięć stóp, licząc od głowy do początku ogona. Płowe jego futro zdobiły duże i okrągłe centki, odbijające pięknie od białego podbrzusza. Harbert poznał w nim straszego współzawodnika tygrysa, stokroć

niebezpieczniejszego, którego można by porównać z wilkiem.

Jaguar zatrzymał się przed jaskinią, najeżywszy sierść, i spojrzał dokoła błyszczącymi ślepiami, jakby już nie po raz pierwszy zwęszył i widział człowieka. W tejże chwili wyszedł reporter pomiędzy skał, a Harbert sądząc, że nie dostrzegł jaguara, chciał mu bieć na pomoc, gdy Gedeon dał znak ręką, aby pozostał na miejscu, i spokojnie szedł dalej.

Jaguar skurczył się do skoku, chcąc rzucić się na Spiletta, lecz ugodzony kulą w czoło upadł na ziemię. Towarzy-sze reportera zbiegli się natychmiast, aby przyjrzcć się leżącemu bez życia jaguarowi, którego pyszne futro miało wkrótce przyozdobić wielką salę Granitowego Pałacu.

— A! panie Spilett! Podziwiam, a zarazem zazdroszczę panu! — zawołał Harbert z uniesieniem.

— Nie ma czego — odpowiedział reporter — i ty potrafiłbyś to zrobić.

— O! nie, ja nie zdobyłbym się na tyle zimnej krwi.

— Gdy spotkasz jaguara, Harbercie, powiedz sobie, że to zając, a najspokojniej strzelisz do niego i zabijesz.

— Doprawdy! — zawołał Penkroff. — Nie domyślałem się nawet, że to rzecz tak łatwa.

— Teraz, gdy już nie potrzebujemy się obawiać powrotu jaguara — powiedział Gedcon, — kryjówka jego może posłużyć nam za schronienie na dzisiejszą noc.

— A jeżeli inne przyjdą? — zapytał Penkroff.

— Rozłożymy ogień przy wejściu do jaskini: nie ośmiela się zbliżyć do nas.

— Więc wejdźmy do groty jaguara!

Nab zajął się zdjęciem skóry, a inni znosili suche gałęzie z lasu i układali wielkie ognisko, do którego Cyrus dołożył dość znaczną ilość bambusów.

Po wieczery zapalono ogień. Wkrótce rozległ się w powietrzu huk podobny do tego, jaki się daje słyszeć przy puszczaniu rac. Huk ten wydawały bambusy, gdy ogień do nich doszedł, a już sam ten hałas mógł odstraszyć najodważniejsze zwierzęta. Nie był to jednak wynalazek inżyniera, gdyż, jak wspomina Marco Polo, Tatarzy, używają go skutecznie już od wieków dla odstraszenia od swych obozowisk krwiożerczych zwierząt.

ROZDZIAŁ XXVII.

Zwiedzanie południowego wybrzeża. — Kształty wybrzeża. — Poszukiwanie domniemanego miejsca rozbicia. — Skrzynia z powietrza. — Odkrycie naturalnej przystani. — Na północnym brzegu Mercy. — Przerwana lina. — Zniknięcie drabiny.

Koloniści przepędzili noc spokojnie w jaskini, a o wschodzie słońca byli już nad brzegiem morza, lecz ani gołym okiem, ani za pomocą lunety nie mogli dostrzec nigdzie śladów rozbicia.

Teraz pozostawało im poznać południowe wybrzeże wyspy. Gedeon radził, aby je zwiedzić zaraz.

— Słuszna uwaga — odezwał się Penkroff — ale co się stanie z naszą łódką?

— Skoro mogła pozostać przy źródłach Mercy na jeden dzień, to i przez dwa nic jej się nie stanie. Dotychczas nie przekonaliśmy się jeszcze, aby złodzieje znajdowali się na naszej wyspie.

— A czy zapomniał pan o żółwiu? — zapytał marynarz. — Przyznam się, że ten wypadek budzi we mnie pewne podejrzenia.

— Wszakże wiesz, że to morze uniosło go z sobą.

— Kto wie? — rzekł cicho inżynier.

Koloniści szybko przebyli pięć mil drogi, lecz, pomimo starannych poszukiwań, nie znaleźli nigdzie najlżejszego śladu rozbicia, ani też obecności człowieka. Gdy wreszcie stanęli przy zatoce, mogli już objąć wzrokiem całe południowe pobrzeże wyspy, zakończone o dwadzieścia pięć mil dalej przylądkiem, zaledwie widocznym wśród mgły porannej. Od miejsca, w którym stali, aż do głębi zatoki ciągnęła się szeroka i równa piaszczysta wydma, zakończona łaskiem; poza nią brzegi były nierówne, postrzępione, najęzione skałami, sięgającymi aż w morze.

— Każdy okręt, zagnany w te strony, musiałby zginąć — rzekł Penkroff.

— W każdym razie musiałyby zostać przynajmniej szczątki z rozbitego statku — powiedział reporter.

— Pomiędzy skałami, lecz nie na piasku.

— Dlaczego?

— Bo piaski stokroć niebezpieczniejsze od skał, pochłaniają wszystko, co na nie padnie. Dostyc kilku dni, aby pułdło okrętu znacznych rozmiarów znikło w nich bez śladu.

— Więc utrzymujesz, Penkroffie — odezwał się inżynier — że te ławy piasku mogłyby pochłonąć cały statek?

— Tak, panie Smith, ale nawet w takim razie byłoby rzeczą zadziwiającą, aby morze nie wyrzuciło na brzegi kawałków masztów lub innych szczątków.

— Szukajmy zatem — rzekł Cyrus.

O godzinie pierwszej koloniści stanęli nad zatoką. Czas było pomyśleć o posiłku.

Odtąd wybrzeże przybierało coraz dzikszą postać, brzegi jego, dziwacznie powykrawane, jeżyły się ostrymi skałami, z których niższe w czasie przyływu morza ukrywały się pod wodą. Od tego punktu aż do przylądka między skałami i lasem ciągnął się wąski pas piaszczystej płaszczyny.

Po krótkim spoczynku ruszyli w dalszą drogę, lecz i teraz pomimo starannych poszukiwań nie znaleźli żadnych śladów rozbicia, chociaż Penkroff i Nab zapuszczali się nawet między skały.

O godzinie trzeciej doszli do wąskiej przystani, tworzącej mały port naturalny, niewidzialny od strony morza, gdyż jedyny do niego przystęp stanowił wąski przesmyk między skałami. Z głębi tej przystani można było dostać się na ląd przez wąskie przejście między skałami, a stamtąd, idąc po łagodnej pochyłości, wejść na wyniesioną płaszczynę.

Za radą Gedeona podróżni zatrzymali się, aby odpocząć i posilić się nieco, gdyż dopiero na wieczerzę mogli zdążyć do Granitowego Pałacu. W kilka minut później, siedząc w cieniu pysznych sosen, zajadali resztki zabranej na drogę żywności.

Siedzieli na miejscu, wyniesionym nad poziom morza o jakie sześćdziesiąt stóp, i mogli objąć wzrokiem dość wielką przestrzeń, lecz i tu nic nie dostrzegli.

— Ha! — rzekł w końcu Gedeon. — Chociaż poszukiwania nasze były bezskuteczne, to przynajmniej możemy pocieszać się tą myślą, że jesteśmy jedynymi mieszkańcami i właścicielami wyspy Lincoln!

— A owo ziarnko śrutu! — zawołał Harbert. — Nie możemy przecie wmówić w siebie, że widzieliśmy je tylko we śnie.

— O! co nie, to nie! — zawołał marynarz, wskazując palcem ukruszony żąb.

— A więc jakże to sobie wytłumaczyć? — zapytał reporter.

— Że nie dalej, jak trzy miesiące temu, jakiś statek umyślnie lub mimowolnie przybił do brzegów wyspy — powiedział inżynier.

— Jak to, Cyrusie, sądzisz, że zniknął bez śladu, zagnany na te lawy piasku?

— Nie, kochany Gedeonie. Lecz zwróć na to uwagę, że jeżeli nie możemy wątpić, iż jakiś człowiek był niedawno na wyspie, to z drugiej strony przekonaliśmy się, iż obecnie już go nie ma.

— To jest, panie Cyrusie — rzekł Harbert — że statek był, lecz już odpłynął?

— Bez wątpienia.

— I że straciliśmy bezpowrotnie sposobność wrócenia do Ameryki — dodał Nab.

— Tak się zdaje.

— No! to w takim razie wracajmy do domu — zawołał Penkroff, któremu już tęskno było do Granitowego Pałacu.

Zanim jednak powstał, Top, który pobiegł w głąb lasu, zaczął głośno ujadać, a wkrótce potem przybiegł do pana, trzymając w pysku spory kawałek tkaniny, unurzanej w błocie. Nab wziął go w ręce i zawołał:

— To kawał płótna!

Top szczekał ciągle i biegał tam i napowrót, jakby zachęcał pana, aby poszedł za nim.

— Tam musi być coś takiego, co nam wytłumaczy, skąd się wzięło moje ziarnko śrutu! — wykrzyknął Penkroff.

— Zapewne człowiek — rzekł Harbert.

— Może raniony! — powiedział Nab.

— Lub już martwy — dodał reporter.

Wszyscy pobiegli za psem, lecz przez ostrożność zabrali z sobą strzelby i siekiery. Te ostatnie okazały się wkrótce niezbędne, gdyż Top wprowadził ich w taką gęstwinę, że musieli przed sobą wycinać gałęzie i liany. Trudno było nawet przypuścić, aby człowiek przechodził już tą drogą.

W kilka minut później pies zatrzymał się, i koloniści weszli na małą łączkę, otoczoną wielkimi drzewami. Obejrzeli się naokoło, szukali pod drzewami i między krzakami i... nic nie znaleźli.

— No i cóż, Topie! — rzekł Cyrus, głaszcząc wierne zwierzę.

Top zaczął głośniejsze jeszcze czekać, skacząc około pnia olbrzymiej sosny.

— A! to doskonale! Przewybornie! — zawołał nagle Penkroff.

— Co takiego? — rzekł reporter.

— Szukamy śladów obecności człowieka na wodzie i lądzie, a tymczasem znajdują się one w powietrzu.

Mówiąc to, marynarz wskazał ręką ogromną płachtę, uczepioną na wierzchołku sosny, od której, jak widać, oddarty kawałek Top znalazł pod drzewem.

— Ależ to nie są szczątki statku! — rzekł Gedeon.

— Przeciwnie, są to szczątki naszego powietrznego statku, naszego balonu, który spadł tam wysoko, na wierzchołek sosny!

Penkroff miał słuszną rację, był to rzeczywiście ich własny balon.

— Teraz — dodał marynarz — będziemy mieli z czego porobić koszule i chustki; mamy mocne i dobre płótno! Co powie pan, panie Spilett, o takiej wyspie, gdzie na drzewach rodzą się koszule?

Rzeczywiście, był to bardzo szczęśliwy traf, że balon spadł na wyspę i że przypadek doprowadził ich do niego. Mogli zostawić go tak, jak był, w razie gdyby chcieli raz jeszcze spuścić się na los i spróbować powietrznej żeglugi, lub też obrócić na osobisty użytek kilkaset łokci gęstej i mocnej bawelnianej materii, po zdjęciu z niej werniksu.

Naprzód jednak trzeba było pomyśleć o tym, aby zdjąć balon z drzewa: i umieścić go w pewnym miejscu. Była to niemała praca. Nab, Harbert i marynarz musieli wejść na sam wierzchołek drzewa: pracowali przez dwie godziny, zanim udało się im spuścić na ziemię ogromny balon wraz z kotwicą, linami i sznurami. W jednym tylko miejscu była rozdarta powłoka balonu.

— Wszak prawda, panie Cyrusie, że gdybyśmy teraz mieli opuścić wyspę, to już nie balonem? — zapytał marynarz. — Przekonaliśmy się, że te powietrzne statki nie wiele warte: leci to i leci byle dalej, ale pokierować tym nie podobna. Gdyby pan chciał posłuchać mojej rady, to zbudowalibyśmy sobie dużą i mocną szalupę. Z tego płótna można by do niej zrobić parę żagli; a z reszty uszyjemy koszule, chustki i inne części ubrania.

— Pomyślmy o tym później, Penkroffie — odpowiedział inżynier.

— Teraz zaś przede wszystkim wypadłoby złożyć to w bezpiecznym miejscu, aby nie uległo zniszczeniu — dodał Nab.

Rzeczywiście nie można nawet było pomyśleć o przeniesieniu natychmiast takiego ciężaru do Granitowego Pałacu. Zaciągnęli więc wspólnymi siłami balon aż na brzeg morza, gdzie znaleźli między skałami małą jaskinię w takim położeniu, że ani deszcz, ani morze nie miały do niej przystępu.

— Potrzebna nam była szafa, i mamy szafę — rzekł Penkroff. — Ale ponieważ nie ma przy niej zamku, ostrożność każe nam drzwi zabarykadować. Mówiąc to, myślę o złodziejach czworonożnych — dwunożnych nie potrzebujemy się obawiać.

O szóstej wieczorem balon był już w ukryciu, a koloniści nadali małej przystani nazwę „portu Balonu“ i puścili się w dalszą drogę. Penkroff i Cyrus, idąc obok siebie, roztrząsali, czym teraz najspieszniej wypada zająć się. Przede wszystkim trzeba było zbudować most na Mercy dla ułatwienia komunikacji z południową częścią wyspy; następnie przewieźć wozem balon, gdyż nie zmieściłby się w łódce; potem zbudować mocną szalupę, w której by można opłynąć wyspę i t. d.

Następnie podróżni przeszli jeszcze cztery mile, i Mercy przecięła im drogę, musieli więc zatrzymać się, dopóki Penkroff nie ułatwi im przeprawy na przeciwległy brzeg rzeki. Znużeni i głodni żałowali szczerze, że dotąd nie zbudowali mostu, gdyż w takim razie nie dalej jak po kwadransie mogliby stać w Granitowym Pałacu.

Zegarek reportera wskazywał już dwunastą. Noc była dość ciemna, pomimo to Penkroff i Nab wybrali dwa drzewa, rosnące blisko brzegu, aby je ściąć i zrobić z nich rodzaj tratwy, na której przeprowić się można na drugą stronę. Wkrótce też rozległy się wśród ciszy nocnej silne uderzenia siekiery.

Cyrus i Gedeon, siedząc nad brzegiem, oczekiwali chwili, w której pomoc ich będzie potrzebna towarzyszącom. Harbert chodził to w tę to w ową stronę nad samym brzegiem Mercy. Nagle zatrzymał się, a następnie zawołał, wskazując ręką w górę rzeki:

— Patrzcie, co takiego unoszą fale?

Penkroff przybiegł pierwszy i pomimo ciemności dostrzegł przedmiot, posuwający się szybko po wodzie.

— To łódka! — zawołał po chwili.

Wszyscy nadbiegli i z największym zdziwieniem ujrzeli łódkę, gnaną pędem wody.

— Hej! tam z czółna! — zawołał Penkroff, wierny marynarskim zwyczajom, zapominając, że może byłoby rozsądniej zachować milczenie.

Nie było odpowiedzi. Łódka zbliżała się ciągle, aż wreszcie znalazła się nie dalej jak o dziesięć kroków od stojących nad brzegiem. Marynarz zawołał:

— Ależ, to nasza własna łódź!... Widocznie bujając się na wodzie, zerwała linę, na której przywiązaliśmy ją do drzewa. Ot! trzeba przyznać, że przyplływa w porę!

Penkroff miał słuszną rację. Rzeczywiście było to czółno, pozostawione przez nich przy źródłach Mercy, które prąd wody przyniósł aż w to miejsce. Trzeba je więc śpiesznie zatrzymać, gdyż inaczej bystre fale rzeki mogły unieść je aż do morza. Toteż Penkroff i Nab pochwycili co prędzej długie gałęzie i za ich pomocą udało im się przyciągnąć do brzegu łódkę, w którą inżynier wskoczył natychmiast, aby się przekonać, czy rzeczywiście lina zerwała się sama przez tarcie o skały.

— Doprawdy, to dziwny wypadek — rzekł do niego cicho Gedeon.

— Bardzo dziwny — odpowiedział Cyrus.

Harbert, Penkroff i Nab wskoczyli także do łodzi, lecz żaden z nich nie wątpił ani na chwilę, że lina zerwała się sama. Dziwili się tylko, że łódź nadpłynęła właśnie w tym czasie, gdy ją mogli zatrzymać; trochę później lub wcześniej, woda zniosłaby ją do morza.

Po kilkunastu uderzeniach wiosłem, koloniści dopłynęli do ujścia Mercy, gdzie wysiedli na ląd, wyciągnęli łódkę na piasek i zwrócili się do Granitowego Pałacu.

Nagle Top zaczął szczeekać gniewnie, a Nab, który wyprzedził innych, wydał okrzyk podziwu i przerażenia...

Drabina zniknęła.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Wołanie Penkroffa. — Noc w Kominach. — Strzała Harberta. — Projekty Cyrusa. — Nieoczekiwane rozwiązanie. — Kto był w Pałacu Granitowym. — Nowy służący.

Cyrus zatrzymał się, nie wyrzekłszy ani słowa, a towarzysze jego zaczęli szukać drabiny po ciemku to na ziemi, to na ścianie, sądząc, że wiatr ją przesunął lub całkiem zrzucił. Wszelkie poszukiwania okazały się bezskuteczne.

— Jeżeli to ma być żart, to całkiem niewłaściwy! — krzyknął Penkroff.

— Dziś nie było nawet wiatru — odczuwał się Harbert. — Uważam, że od pewnego czasu dzieją się dziwne rzeczy na naszej wyspie.

— Nie widzę w tym nic dziwnego — rzekł Gedeon. — Widocznie ktoś w naszej nieobecności wszedł do mieszkania i wciągnął za sobą drabinę.

— Ktoś! Ale kim on jest, ten ktoś?

— Zapewne myśliwym, z którego strzelby wypadło owo ziarnko śrutu, znalezione przez ciebie w mięsie pekary. To jedno przypuszczenie staje się prawdopodobne.

— No, skoro tam ktoś jest — odpowiedział zniecierpliwiony marynarz — to zawołajmy na niego, a przecie nam coś odpowie?

Mówiąc to, głośno krzyknął: — Hop, hop?

Po chwili oczekiwania zdawało im się, że usłyszeli coś podobnego do szyderczego śmiechu. Nikt jednak nie odpowiedział na kilkakrotne wołanie Penkroffa.

Koloniści znajdowali się w takim położeniu, że każdy, choćby drobny, wypadek musiał mieć dla nich ważne znaczenie, a cóż dopiero mówić o tym, który ich dziś spotkał. Stali przed Granitowym Pałacem zdumieni, nie wiedząc, co myśleć i czynić. Nic znajdowali odpowiedzi na wzajemne zapytania, tworzyli więc tysiączne, niepodobne do prawdy, przypuszczenia.

Nab zaczął na koniec głośno ubolewać nad tym, że nie może dostać się do spiżarni i do kuchni wtenczas właśnie, gdy wszystkie wzięte zapasy żywności wyczerpano i nie będzie miał co dać na wieczerzę.

— Widzę, że nie zostaje nam nic innego — odczuwał się Cyrus — jak czekać cierpliwie do świtu, a następnie dopiero działać stosownie do okoliczności. Teraz udajmy się do Ko-

minów. Nie znajdziemy tam wprawdzie wieczerzy, ale spać będziemy mogli.

— Ale cóż to za ladaco wyplatało nam takiego figla? — zapytał raz jeszcze Penkroff niezdolny pogodzić się tak łatwo z niemłą koniecznością spędzenia nocy w Kominach.

Oczywiście zostało to bez odpowiedzi i wszyscy w milczeniu poszli za radą Cyrusa. Rozkazano tylko Topowi zostać pod oknami Granitowego Pałacu, a że Top spełniał zawsze wiernie wydane mu rozkazy, więc i teraz położył się na wskazanym miejscu, nie bażąc na to, iż wszyscy oddalili się do Kominów.

Minęlibyśmy się z prawdą, utrzymując, że koloniści do brze spali tej nocy. Nie tylko że zaniepokoił ich mocno tak niespodziewany wypadek, że myśleli ciągle, jakie mogą być dalsze jego skutki, i że pragnęli odgadnąć, czy mają o to oskarżać ludzi, czy też prosty przypadek — lecz nadto leżeli na gołej ziemi z tą myślą, że może ktoś inny zajmuje ich wygodną siedzibę.

Dla kolonistów Granitowy Pałac był nie mieszkaniem, lecz skarbcem, w którym złożyli najcenniejsze dla siebie rzeczy, jak broń, proch, naczynia, narzędzia i wszelką żywność. Gdyby ktoś pozbawił ich tego, znaleźliby się w takim samym położeniu, jak w pierwszych dniach pobytu na wyspie. Zaniepokojeni tą myślą, wychodzili na przemian, aby zobaczyć, czy Top nie opuścił swego stanowiska. Jedyne Cyrus czekał cierpliwie, choć był rozdrażniony, że nie umie rozwiązać tej zagadki, choć go oburzało, że w kolo niego dzieją się rzeczy, których nie może zrozumieć. Gedeon podzielał jego zdanie; obaj zgadzali się, że ich wyspa ukrywała jakąś tajemnicę, Harbert nie wiedział, co ma o tym myśleć i radby był poznać zdanie inżyniera. Nab powiedział sobie w końcu, że nie potrzebuje biedzić się nad tym, o czym już pan jego myśli, i gdyby nie obawiał się, że tym zrobi przykrość towarzyszom, byłby spał równie spokojnie, jak w Granitowym Pałacu. Penkroff nie mógł się uspokoić i gniewał się ciągle.

— Zażartowano z nas sobie — powtarzał. — Takich żartów nie lubię i biada żartownisiowi, jeżeli mi wpadnie w ręce.

Gdy tylko świtać zaczęło, koloniści wyszli na wybrzeże z bronią w ręku. Skoro pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły Granitowy Pałac, przekonali się, że okna jego były, tak jak je zostawili, zasłonięte okiennicami. Z tej więc strony wszystko było w porządku, lecz mimo woli

okrzyk wydarł się z ich piersi, gdy zobaczyli, że drzwi, które zamknęli, wychodząc, były teraz otwarte. Nie mogli wątpić, że ktoś był w Granitowym Pałacu.

Wyższa część drabiny pozostała na miejscu, lecz niższą podniesiono aż do progu, co dowodziło, że nieproszeni goście chcieli zapobiec temu, aby ich kto nie zaszedł niespodzianie. Co to byli za ludzie i ilu ich tam było?

Penkroff zaczął znów nawoływać potężnym swym głosem. Nie było odpowiedzi.

— A to niecnoty! — krzyknął marynarz. — Śpią tak spokojnie, jakby we własnym domu. Nuże! zbójce, korsarze, bandyci!

Harbertowi przyszło na myśl, aby przywiązać do strzały długi sznurek, a następnie wystrzelić, celując pomiędzy pierwsze szczeble drabiny, podciągniętej do progu, a później, uchwyciwszy sznurek, pociągnąć drabinę do ziemi i tym sposobem przywrócić komunikację z Granitowym Pałacem. Pomysł ten podobał się wszystkim, tym więcej, że, wykonany zręcznie, musiał przynieść pożądany skutek. Szczęściem łuki i strzały złożono na skład w jednym z korytarzów w Kominach, równie jak i kilkadziesiąt metrów cienkiego, lecz mocnego sznura z włókna hibiskusa. Penkroff wybrał starannie strzałę, przywiązał do niej sznur i oddał Harbertowi, który, naciągnąwszy łuk, wycelował w koniec drabiny. Cyrus, Gedeon, Penkroff i Nab cofnęli się trochę, aby zobaczyć, czy się kto nie pokaże w oknach.

Strzała świsnęła, pociągając za sobą sznurek, i przeleciała pomiędzy ostatnimi szczeblami drabiny. Koloniści przyklnęli, a Harbert pochwycił natychmiast za sznurek, lecz za ledwie nim wstrząsnął, aby zsunąć drabinę, jakaś ręka ukazała się we drzwiach i wciągnęła ją.

— A niegodziwcz! — krzyknął marynarz — zasłużyłeś, aby cię poczęstować kulką, i niedługo będziesz na nią czekał.

— Któż to taki? — zapytał Nab.

— Jakto, nie poznałeś?...

— Nie.

— To szympan, goryl, pawian, orangutan, czy tam jakaś inna jeszcze małpa! Tak, w czasie, naszej nieobecności małpy zakradły się do mieszkania.

Jednocześnie, jakby na potwierdzenie słów marynarza, cztery małpy odepchnęły okiennice i ukazały się w oknach,

wykrzywiając się najdziwaczniej na prawych właścicieli mieszkania.

— Wiedziałem dobrze, że to psota! — zawołał marynarz — ale przynajmniej jeden z psotników musi odpokutować za innych.

Mówiąc to, przyłożył do ramienia strzelbę, wycelował i strzelił. Jedna z małp, ugodzona śmiertelnie, wypadła przez okno, inne uciekły.

Nie znając nawet nazwy tej małpy, można było poznać od razu, że należy do jednego z gatunków, które tak wzrostem, jak i całą swą postacią najwięcej zbliżają się do człowieka; Harbert zaś, jako dobry zoolog, oświadczył, że to orangutan.

— Pyszne zwierzę! — zawołał Nab.

— Niechże będzie i pyszne, kiedy tak chcesz — odpowiedział Penkroff — ale pomimo to nie wiem, jakim sposobem wejdziemy do domu.

— Harbert strzela wybornie z łuku — rzekł reporter — niech spróbuje raz jeszcze.

— Oho! Małpy to przebiegłe stworzenia! Nie pokażą się drugi raz w oknie, a gdy pomyślę, jakie szkody mogą porobić w mieszkaniu i składach...

— Trochę cierpliwości — rzekł Cyrus. — Te zwierzęta nie mogą długo triumfować nad nami.

Uwierzę wtenczas dopiero, gdy tak, jak ich towarzyszka, będą leżały na ziemi, bo obecnie pan nawet nie wie, ile tuzinów tych psotników dokazuje tam na górze.

Rzeczywiście trudno było na to odpowiedzieć. Spróbowano raz jeszcze pociągnąć za sznurek, przywiązany do strzały, lecz zerwał się, a drabina pozostała na miejscu.

Położenie kolonistów było kłopotliwe, bo choć nie wątpili, że wypędzą napastników i odzyskają swe mieszkanie, lecz nie wiedzieli, kiedy i jakim sposobem.

Parę razy jeszcze widocznie śmielsza małpa wysunęła łapę przez drzwi lub okno, lecz rozlegające się natychmiast wystrzały tak je widać przestraszyły, że następnie przez dwie godziny żadna z nich się nie ukazała.

— Ukryjmy się — rzekł inżynier — może, sądząc, żeśmy odeszli, pokażą się znowu. Trzeba, aby Spilett i Harbert zaczęli się za skałami i czekali, aż się która wysunie.

Zastosowano się do rady inżyniera, i gdy Harbert i reporter, jako najlepsi strzelcy, pozostali na czatach, inni udali

się na polowanie do lasu, gdyż wszyscy byli głodni, a nie było żadnych zapasów żywności. Myśliwi powrócili w pół godziny, niosąc kilka gołębi skalnych, które Nab upiekł zapalwszy ognisko. Tymczasem nie pokazała się żadna małpa.

Gedcon i Harbert, odchodząc na śniadanie, zostawili Topa na straży; następnie wrócili na swe stanowisko, gdzie znów, przeszło dwie godziny oczekiwali na próżno. Małpy siedziały tak cicho, jakby ich wcale nie było. Koloniści domyślali się, że, przerażone wystrzałami i śmiercią towarzyszeki, schroniły się gdzie do kąta lub może dostały się aż do składu. To przypuszczenie natchnęło wszystkich najwyższym niepokojem. Trudno dziwić się temu, gdyż w składzie złożyli wszystkie swe skarby.

— Doprawdy, nasze położenie zaczyna być nieznośne — rzekł zniecierpliwiony reporter — a nie widzę sposobu wydobycia się z niego.

— Trzeba przecie koniecznie wygnać tych urwisów z naszego domu! — zawołał Penkroff. — Poszłoby nam to łatwo, choćby ich tam było i parę tuzinów, lecz trzeba by dostać się do nich. Czyż nie ma na to żadnego sposobu?

— Jest jeden tylko? — zawołał inżynier.

— Jeden? — rzekł Penkroff. — To ten z pewnością będzie dobry, skoro nie ma innego! Cóż mamy uczynić?

— Spróbujemy dostać się do Granitowego Pałacu przez dawny otwór od strony jeziora.

— A! do miliona okrętów! — wykrzyknął marynarz — że też dotąd nie pomyśleliście o tym.

Rzeczywiście był to jedyny sposób wejścia do Granitowego Pałacu i wypędzenia z niego nieproszonych gości. Wprawdzie trzeba było rozwalić mur, zasłaniający dawny otwór, lecz to nie mogło ich powstrzymać, gdyż wiedzieli, że potrafią go naprawić. Szczęściem także, inżynier nie doprowadził jeszcze do skutku zamierzonego zalania muru wodą, gdyż w takim razie nie mogliby tak prędko dostać się do domu.

Było już po dwunastej, gdy koloniści, wyszedłszy z Kominów, z motykami i żelaznymi drągami, przechodzili pod oknami Granitowego Pałacu. Pozostawiwszy na straży Topa, podążyli dalej, aby się dostać na płaszczyznę.

Zaledwie skręcili na skały, Top zaczął ujadać tak gwałtownie, jakby ich wzywał na ratunek. Zatrzymali się.

— Wracajmy jak najprędzej! — zawołał Penkroff.

Wszyscy zaczęli biec, co im sił starczyło, i wkrótce przekonali się, że położenie całkiem się zmieniło. Małpy widocznie czymś przestraszone, usiłowały uciekać, przeskakiwały żwawo od okna do okna, kręciły się tu i ówdzie, nie wiedząc, jak wydobyć się na wolność. Widać, że w przerażeniu zapomniały zupełnie o drabinie i nie pomyślały nawet, że jak po niej weszły, tak i wyjść mogłyby z łatwością. Wkrótce kilka tak się wysunęło, że koloniści mogli strzelać do nich; ranione lub zabite spadały do pokoiów lub na zewnątrz. Następnie wszystko się uspokoiło i można było wnosić, że w Granitowym Pałacu nie było już ani jednej żywej małpy.

— Wiwat! — krzyknął Penkroff! — wiwat! wiwat!

— Jeszcze za wczesne twoje okrzyki — rzekł Gedeon.

— Dlaczego? Wszak zabiliśmy wszystkie.

— Być może, lecz pomimo to nie możemy wejść do mieszkania.

— Chodźmy od strony jeziora.

— Tak, chodźmy — rzekł inżynier — wołałbym jednak...

Nie dokończył, gdyż w tej chwili drabina zaczęła się poruszać, a następnie zsunęła się aż do ziemi.

— A! do tysiąca fajek! — zawołał Penkroff, spoglądając na towarzyszków. — To znów coś nowego.

— Tego już nadto! — rzekł do siebie Cyrus i pierwszy zaczął wchodzić po drabinie.

— Ostrożnie, panie Cyrusie — wołał Penkroff — może tam są jeszcze małpy...

— Zaraz się o tym przekonamy — odpowiedział inżynier, idąc dalej.

Towarzysze pośpieszyli za nim i w kilka minut później byli już w mieszkaniu.

Rozpoczęto poszukiwania. Tak w pokojach, jak w składzie, gdzie wszystko znaleźli w porządku, nie było nikogo.

— Wszystko to dobrze — rzekł marynarz — ale chciałbym wiedzieć, gdzie się podział uprzejmy człowiek, który nam spuścił drabinę.

Prawie jednocześnie odezwał się krzyk w korytarzu, a niebawem wpadła do sali wielka małpa, ścigana przez Naba.

— A jesteś rozbójniku! — zawołał Penkroff.

Porwał siekierę i chciał uderzyć, lecz inżynier zatrzymał go, mówiąc:

— Nie zabijaj, Penkroffie.

— Jak to! mam darować życie temu rabusiowi?

— Tak, przecie to on nam spuścił drabinę.

Inżynier powiedział to tak dziwnym głosem, że trudno było poznać, czy to mówi na serio, czy też żartem.

Wszyscy rzucili się na małpę, powalili ją na ziemię i związali, choć bronila się dzielnie.

— Nareszcie! — rzekł Penkroff — ale cóż my z nią teraz zrobimy?

— Będzie naszym służącym — odpowiedział Harbert.

Młody naturalista, mówiąc to, nie żartował, gdyż wiedział, że te małpy można wyuczyć wykonywania różnych posług.

Osobnik schwytyany należał do rodzaju zbliżającego się najwięcej całą postacią do człowieka; kąt twarzy nie o wiele się różnił od tego, jaki przedstawia twarz Australczyków i Hotentotów; słowem, był to orangutan. Jak wiadomo, ten gatunek przechodzi zmyślnością wszystkie inne małpy. Widziano nieraz usługujących do stołu, sprzątających pokoje, czyszczących suknie i obuwie, używających zręcznie noży, widelców i łyżek, a nawet pijących wino... Wiadomo, że Buffon posiadał orangutana, który długo służył mu wiernie i gorliwie.

Orangutan schwytyany był dobrze zbudowany, miał 4 stopy wysokości, pierś szeroką, głowę średniej wielkości, czaszkę okrągłąwą, nos wydatny, skórę pokrytą włosiem miękkim i połyskującym. Oczy jego, trochę mniejsze od ludzkich, wyrażały żywość i pojętność, białe zęby ukazywały się spod wąsów, a bródkę posiadał niewielką, kręcącą się, jasno-orzechowego koloru.

— Silny i pięknie zbudowany — rzekł Penkroff — i ma tak roztropną minę, że, gdybyśmy umieli mówić jego językiem, można by z nim porozmawiać.

— Czy naprawdę pan myśli przyjąć go do służby — zapytał Nab inżyniera.

— Tak, Nabie, ale nie lękaj się, będzie tylko twoim pomocnikiem.

— Sądzę, że będzie zręcznym do usług, a że wydaje się młodym jeszcze, łatwo go będzie obłaskawić i wytresować bez użycia gwałtownych środków.

Zbliżył się potem do orangutana i rzekł:

— Cóż kochanku, dobrze ci tutaj?

Orangutan odpowiedział mruknięciem, nie objawiającym złego humoru.

— Chcesz więc przyłączyć się do naszej kolonii i wejść do służby pana Cyrusa?

Małpa mruknęła powtórnie.

— I nie wymagasz innego wynagrodzenia nad dostateczną ilość żywności?

Trzecie mruknięcie orangutana.

— Zdaje się, że nie jest bardzo rozmowny — powiedział Gedeon.

— Tym lepiej! — zawołał Penkroff. — Małomówni służący są zwykle najlepsi. Zresztą ten nie wymaga wynagrodzenia.

— Czy słyszysz kochanku? Z początku nie dostaniesz żadnej zapłaty, ale później, jeśli na to zasłużysz, damy ci dużo przysmaków.

Tym to sposobem przybył do Granitowego Palacu nowy mieszkaniec, który miał w przyszłości oddać niejedną przysługę kolonistom. Teraz trzeba jeszcze nadać mu nazwisko i stosownie do życzenia Penkroffa nazwano go Jowiszem, a przez skrócenie Jowem, gdyż tak nazywała się małpa, którą marynarz niegdyś bardzo lubił.

ROZDZIAŁ XXIX.

Projektowane roboty. — Most na Mercy. — Płaszczyzna „Pięknego Widoku“ wyspą. — Most zwodzony. — Żniwa. — Strumyk. — Mostek. — Podwórze. — Gołębnik. — Onagi. — Zaprzęg do wózka. — Wyprawa do portu Balonu.

Tego samego dnia jeszcze koloniści wynieśli zabite małpy do lasu, gdzie zagrzebali je w ziemi, aby ciała ich, psując się, nie zatrwały powietrza. Po powrocie zajęli się uporządkowaniem, bo chociaż małpy nic nie popsuly, lecz poprzewracały wszystko. Nab tymczasem rozpałił ogień na kominie i przyrządził sutą wieszę, którą wszyscy spożyli z największym apetytem.

Nie zapomniano o Jowie, który z widocznym zadowoleniem zjadał orzechy oraz korzenie, których mu obficie dostarczono. Penkroff rozwiązał mu ręce, lecz uznał za stosowne zostawić pęta na nogach, póki się nie oswoi.

Następnie Cyrus Smith naradzał się jeszcze z towarzyszami, jakie roboty wypadalo by najpierw wykonać. Wszyscy

uznali zgodnie, że najpilniejszym było postawienie mostu na Mercy dla ułatwienia komunikacji z południową częścią wyspy, a potem zaraz urządzenie owczarni, gdzieby mogli pomieścić muflony lub inne zwierzęta dostarczające wełny, w które postanowili się zaopatrzyć. Most ułatwi im sprowadzenie powłoki balonu, przeznaczonej na bieliznę; owczarnia dostarczy wełny na zimowe ubranie.

Owczarnię zamierzał Cyrus założyć przy źródłach Czerwonego Strumienia, gdzie znajdowały się doskonałe pastwiska, na których muflony będą mogły znaleźć zawsze świeżą i obfitą paszę. Droga do Czerwonego Strumienia była już utorowana, więc i komunikacja z owczarnią mogła być łatwa, zwłaszcza, jeżeli uda im się znaleźć i schwytać zwierzęta, zdatne do zaprzęgu.

Owczarnia mogła być oddaloną od domu, inaczej było z kurnikiem, o który Nab dopominał się. Drób musiał być pod ręką kucharza, i dlatego postanowiono założyć kurnik na brzegu jeziora, gdzie i ptaki wodne mogły znaleźć dogodny pomieszczenie. Najpierwszymi jego mieszkańcami miały być kusaki, schwyte podczas ostatniej wycieczki.

Nazajutrz, trzeciego listopada, koloniści wyszli z piłami, siekierami, młotami i innymi narzędziami do budowy mostu. Uszli już kilka kroków, gdy Penkroff zatrzymał się, mówiąc:

— A jeżeli też Jow w czasie naszej nieobecności zrobi nam znów figła i wciągnie drabinę, którą wczoraj spuścił nam tak łaskawie?

— Przymocujemy ją u dołu — odpowiedział Cyrus Smith.

Wbito natychmiast dwa grube kołki w ziemię i przywiązano do nich starannie drabinę, poczem koloniści udali się na lewy brzeg Mercy i zatrzymali się dopiero przy pierwszym jej zakręcie. Było to najodpowiedniejsze miejsce do postawienia mostu, gdyż z tego punktu do portu Balonu nie było nawet czterech mil angielskich.

Zanim zabrali się do roboty, Cyrus uwiadomił ich, że ma zamiar odosobnić płaszczyznę Pięknego Widoku od reszty wyspy, aby tym sposobem zabezpieczyć od napaści zwierząt czworonożnych i czwororękich Pałac Granitowy, Kominy, kurnik i całą wyższą część płaszczyzny, przeznaczoną pod zasiewy.

Wykonanie tego planu było bardzo łatwe. Płaszczyzna była już obecnie otoczona wodą z trzech stron, chodziło więc tylko o jej część zachodnią, ciągnącą się między rzeką Mercy a jeziorem, na przestrzeni, wynoszącej niecałą milę.

Trzeba było tylko wykopać szeroki i głęboki rów, tak, aby z jednej strony wpadała do niego woda z jeziora, z drugiej zaś uchodziła do rzeki.

— Tym sposobem — dodał inżynier — płaszczyna Pięknego Widoku będzie zamieniona na wyspę, połączoną z resztą lądu mostem, który wznieść zamierzamy, dwoma już istniejącymi mostkami i mostkiem, jaki następnie przerzucimy przez rów. Otóż jeśli te mosty i mostki będą zwołzone, płaszczynę Pięknego Widoku zabezpieczymy od wszelkiej napaści.

Zabrano się pilnie do roboty. Zbudowanie mostu, który miał być stałym od prawego, a zwołzonym od lewego brzegu rzeki, szerokiej na osiemdziesiąt stóp, wymagało niemałych trudów i pracy, szczególnie, gdy przyszło wbijać w łożysko rzeki grube pale, aby mogły wytrzymać ciężar mostu i przewożonych przedmiotów.

Szczęściem, koloniści posiadali potrzebne narzędzia i materiały, nabyli już pewnej wprawy i pracowali gorliwie pod zwierzchnictwem człowieka, doskonale obznajomionego z podobnego rodzaju robotami. W ciągu trzech tygodni most zupełnie skończono, a ruchoma część jego spuszczała się i podnosiła łatwo przy pomocy przeciwwagi.

Jow tymczasem przyzwyczajał się do nowego życia, przyglądał się ciekawie swym panom i oswajał się z nimi. Penkroff nie chciał mu jednak wrócić zupełnej wolności, dopóki płaszczyna nie będzie dokoła otoczona wodą, co mu przeszkodzi uciec do lasu. Top i Jow żyli w największej zgodzie i chętnie bawili się razem, tylko Jow był zawsze poważny.

Cyrus Smith odłożył na później sprowadzenie powłoki balonu, gdyż trzeba było jechać po nią wozem, a to znów pociągało za sobą konieczność wycięcia drogi przez las. Wszyscy też chętnie zgodzili się na to, aby najpierw przeprowadzić roboty około płaszczyny Pięknego Widoku.

— To nam pozwoli — rzekł Penkroff — pomyśleć wczasu o zapełnieniu naszego kurniką, gdy już będziemy pewni, że ani lisy ani inne szkodniki nie znajdą do niego przystępu.

— Prócz tego — dodał Nab — będzie można wykarczować pewną część płaszczyzny pod ogród, gdzie zasadzimy różne warzywa, rosnące dziko na wyspie.

— I uprawimy rolę pod powtórny zasiew zboża — odezwał się z dumą marynarz.

Rzeczywiście, pierwszy zasiew zboża, składający się z jednego ziarenka, wydał, dzięki staraniom Penkroffa, zapowiedziane przez inżyniera dziesięć kłosów. Każdy z nich zawierał osiemdziesiąt ziarenek, koloniści więc po sześciu miesiącach z jednego ziarenka posiadali osiemset ziarn. Z tych mieli odłożyć pięćdziesiąt na wszelki wypadek, resztę zaś zasiać i pielęgnować równie starannie.

Uprawiono pole, zasiano je i otoczono wysoką, mocną i ostro zakończoną palisadą, aby nie było stratowane przez zwierzęta, jeżeliby jakie znalazły się na płaszczyźnie. Dla odstraszenia ptaków Penkroff poustawiał różne straszydła i pozawieszał mnóstwo grzechotek.

Dwudziestego pierwszego listopada Cyrus Smith rozpoczął roboty około rowu. Pod ziemią napotkano granit; trzeba się było uciec do nitrogliceryny, co tak przyśpieszyło robotę, że po dwóch tygodniach ukończono już rów szeroki na dwaście, a głęboki na sześć stóp. Rozsadzono znów skalę nad brzegiem jeziora, i woda popłynęła natychmiast rowem, który otrzymał nazwę: Strumienia Glicerynowego.

Chociaż w grudniu upały były nieznośne, koloniści nie chcieli przerywać pracy i przystąpili zaraz do zbudowania kurnika.

Nie potrzebujemy dodawać, że, jak tylko płaszczyznę Pięknego Widoku zamieniono na wyspę, Jow uzyskał zupełną swobodę. Nie oddalał się jednak nigdy od swych panów i nie okazywał chęci do ucieczki. Było to bardzo silne, zwinne i zręczne, a przytem łagodne zwierzę; gdy szło o wejście na drabinę, wiodącą do mieszkania, nikt z nim równać się nie mógł. Zaczęto już używać go do niektórych robót: przyciągał wiązki drzewa i wynosił kamienie, wydobyte z łóżyska Glicerynowego Strumienia.

Kurnik zajął dwieście jardów kwadratowych gruntu, otoczonego palisadą, na którym postawiono rodzaj chatek wplecionych z chrustu i podzielonych na przedziały, aby każdy gatunek drobiu mógł być pomieszczony oddzielnie. Naprzód wpuszczono tam kusaki, które wkrótce zaczęły wysiadywać młode. Niedługo potem dodano im do towarzystwa kilka ka-

czek, między którymi odznaczał się pewien gatunek kaczek chińskich, ze skrzydłami rozsuwającymi się wachlarzowato i tak świetnym upierzeniem, że mogły śmiało współzawodniczyć ze złotymi bażantami.

Prócz kurnika Cyrus Smith postawił jeszcze gołębnik i umieścił w nim sześć par skalnych gołębi. Przyzwyczyły się one wkrótce do nowego mieszkania.

Trzeba było na koniec pomyśleć o przewiezieniu powłoki balonu i spożytkowaniu jej na bieliznę, a że wóz był bardzo niezgrabny i ciężki, koloniści musieli najpierw przerobić go i ulepszyć. Podczas tej pracy przychodziło im często na myśl, jakby to było dobrze, gdyby udało się znaleźć na wyspie zwierzę, które by można użyć do ciągnięcia wozu.

— Doprawdy — odezwał się pewnego dnia Penkroff — bardzo przydałoby się nam zwierzę pociągowe, zanim pan Cyrus zbuduje lokomotywę, bo z pewnością będziemy kiedyś mieli drogę żelazną z Granitowego Pałacu do portu Balonu i na górę Franklina.

Zacny marynarz wierzył w to jak najmocniej, lecz obecnie byłby poprzestał na jakim bądź pociągowym zwierzęciu. Nie czekał długo na spełnienie swych życzeń. Opatrzność była dla niego łaskawą.

Dwudziestego trzeciego grudnia koloniści, pracujący w Kominach, usłyszeli jednocześnie krzyki Naba i szczekanie Topa. Zaniepokojeni wybiegli i zobaczyli dwa piękne i duże zwierzęta, które niebacznie wbiegły przez mostek na płaszczyznę. Z daleka można je było wziąć za konie, a przynajmniej za osły; budowa ich była kształtna, maść brudno-żółta, nogi i ogon białe; na szyi, głowie i grzbiecie miały czarne pręgi. Szły spokojnie bez obawy, przyglądając się ciekawie tym, w których nie domyślały się przyszłych panów.

— To są onagi — zawołał Harbert — zajmują one środek między zebrami i kwagami.

— Może to osły? — powiedział Nab.

— Nie, gdyż są kształtniejsze i nie mają tak długich uszów.

— Osły czy konie — odpowiedział Penkroff — o to mniejsza, zawsze są to motory, jak mówi pan Smith, a zatem warto je schwytać.

Ostrożnie, nie przestraszając zwierząt, zbliżył się do mostu, podniósł go, i onagi nie mogły uciec.

Koloniści, zamiast ujarzmiąć je od razu, pozwolili im przez kilka dni biegać swobodnie po płaszczyźnie, poroślej bujną trawą; tymczasem zaś postawili tuż przy kurniku stajnię, aby później służyła onagom za nocne schronienie. Z początku nie zbliżano się nawet do nich, aby ich nie przestraszać.

Piękne te zwierzęta pragnęły opuścić miejsce zbyt dla nich ciasne, obchodziły dokoła płaszczyznę, spoglądając to na las, to na wodę, dzielącą ich od niego, potem biegały galopem to w tę, to w ową stronę, a na koniec stały godzinami na jednym miejscu, patrząc na te gęste lasy, do których już wrócić nie miały.

Tymczasem koloniści zrobili mocną uprzęż z włókien roślinnych i wycięli prostą choć nieszeroką drogę przez las, a ostatniego grudnia postanowili po raz pierwszy zaprząć onagi.

Penkroff obłąskawił je już na tyle, że jadły z jego ręki; ale gdy je zaprzężono, tak się rwały i wspinały, że zaledwie można je było utrzymać. Dopiero gdy się przekonały, że opór jest daremny, pogodziły się ze swym losem. W ogóle onagi oswajają się dość łatwo; zaprzęgają je często w górzystych okolicach południowej Afryki, a nawet zdołano je zaaklimatyzować w Europie, w dość zimnej stosunkowo strefie.

W parę dni potem wszyscy, z wyjątkiem Penkroffa, prowadzącego onagi, wsiedli na wóz i udali się do portu Balonu. Łatwo się domyśleć, że podróż po zaledwie uutorowanej drodze nie była zbyt przyjemna, jednak koloniści stanęli szczęśliwie na miejscu i tego samego dnia o ósmej wieczorem wrócili do domu ze szczątkami balonu.

ROZDZIAŁ XXX.

Bielizna. — Obuwie ze skóry foki. — Wyrób bawelny strzelniczej. — Zasiew. — Jajka żółwie. — Postępy Jowa. — Zagroda. — Polowanie na muflony. — Nowe bogactwa roślinne i zwierzęce. — Wspomnienie ojczyzny.

Przez cały pierwszy tydzień stycznia koloniści zajmowali się wyłącznie szyciem bielizny. Igły, znalezione w skrzyni,

przydały się teraz, a jeżeli szyjący nie umieli używać ich zręcznie, to przynajmniej szwy były mocne.

Nici mieli pod dostatkiem, gdyż Cyrus Smith doradził, aby użyć powtórnie tych, które służyły do pozszywania balonu, a Gedeon Spilett i Harbert wypruli je z wzorową cierpliwością. Dla Penkroffa była to praca tak nieznośnie nudna, że go od niej uwolniono, ale za to, gdy przyszło do szycia, nikt mu nie zdołał dorównać, gdyż, jak wiadomo, wszyscy prawdziwi marynarze szyją dobrze i prędko.

Naprzód przyrządzono ług z popiołu, aby w nim wyprać płótno z powłoki balonu, a gdy już odzyskało swą naturalną miękkość, rozciągnięto je na trawie i polewano wodą, aby wybielało na słońcu.

Wkrótce koloniści posiadali kilka tuzinów koszul, prześcieradeł, chustek, ręczników, a nawet skarpetek płóciennych. Wszystko było grube, niedokładnie zrobione; a jednak łatwo pojąć, z jaką dumą spoglądali na pracę swoich rąk, z jaką radością kładli na siebie świeżą i całą bieliznę i przykrywali swe postania białymi prześcieradłami!

Gdy już bielizna była gotowa, koloniści zajęli się sporządzeniem obuwia ze skóry fokii. To, które posiadali, było już zupełnie zniszczone. Wyrobione przez nich obuwie wiele pozostawiało do życzenia, ale przynajmniej było obszerne i wygodne.

Ponieważ, pomimo silnych upałów, na początku 1866 r. Gedeon i Harbert chodzili ciągle na polowania i codziennie świeżą przynosili zwierzynę, przez co znacznie zmniejszyły się zapasy prochu i kul znalezione w skrzyni, przeto Cyrus Smith, chcąc zachować pozostałe naboje na nieprzewidziany wypadek, postanowił zastąpić je inną substancją, łatwiejszą do otrzymania.

Dotąd nie znaleziono na wyspie ołowiu, trzeba więc było zastąpić zwykłe kule ołowiane siekańcami z żelaza. Jakkolwiek inżynier posiadał wszystko, co wchodzi w skład prochu, to jest siarkę, saletrę i węgiel, jednak brakowało mu odpowiednich narzędzi. Dlatego też wołał poprzestać na pyroksylinie, czyli bawełnie strzelniczej, do której bawełna nie jest koniecznie potrzebna, gdyż wchodzi do składu tej substancji tylko jako drzewnik, znajdujący się także w stanie dość czystym w lnach, konopiach, papierze, starej bieliźnie, w rdzeniu bzu czarnego itd. Właśnie na wyspie mnóstwo

było czarnego bzu lekarskiego przy ujściu Czerwonego Strumienia, którego owoców koloniści używali już zamiast kawy.

Dość było nazbierać tego drzewnika, czyli rdzenia bzu czarnego, aby posiadać jedną niezbędną substancję do wytwarzania bawełny strzelniczej. Drugą, to jest kwas azotowy dymiący, łatwo mógł inżynier otrzymać, gdyż nie brakowało saletry.

Postanowił tedy fabrykować bawełnę strzelniczą (pyroksylinę) choć wiedział, że pod wielu względami ustępuje prochowi. Najpierw zapala się już przy temperaturze 74^o, proch zaś dopiero w temperaturze 240^o Reaumura; a nadto, przy całkowitym nagłym spaleniu, może wywołać uszkodzenie broni. Obok tej wady, bawełna strzelnicza posiada przecież ważne zalety, a mianowicie: wilgoć jej nie psuje, nie zanieczyszcza lufy broni, siła jej wybuchu jest cztery razy silniejsza, niż zwyczajnego prochu.

Cyrus posiadał kwas azotowy zwyczajny, a nie kwas azotowy dymiący, nazwany tak dlatego, że w zetknięciu z powietrzem wydaje biały dym. Jednak, używając kwasu azotowego zwyczajnego, zmieszanego w stosunku trzech części na pięć z kwasem siarczanym stężonym, mógł otrzymać i otrzymał dobre wyniki. Tym sposobem koloniści mieli wkrótce do swego rozporządzenia bawełnę strzelniczą, która roztropnie używana zapewniała im wielkie korzyści.

Obok tych wszystkich zajęć, koloniści wykarczowali jeszcze trzy akry gruntu na płaszczyźnie Pięknego Widoku; reszta miała służyć na pastwisko dla onagów. Z lasów Żakamaru i Dalekiego Zachodu przyniesiono różne dzikie rośliny, jak szpinak, rzeżuchę, chrzan, rzepę, i inne, które miano udomowić przez umiejętne hodowanie i tym sposobem urozmaicić pożywienie, dotąd wyłącznie prawie składające się z rozmaitej zwierzyny. Zwieziono także znaczny zapas węgla i drzewa na zimę, a każde przejście ciężkiego wozu ubijało i poprawiało świeżo utorowane drogi.

Królikarnia zasilala także ciągle kuchnię Granitowego Pałacu, a że leżała za Glicerynowym Strumieniem, mieszkańcy jej nie mogli wchodzić na płaszczynę i niszczyć świeżo zasadzonych roślin. Ława ostryg, znajdująca się wśród skał nadbrzeżnych, dostarczała codziennie świeżych ostryg, a w jeziorze i w rzece Mercy Penkroff łowił prześliczne pstrągi i inne smaczne ryby.

Koloniści robili także wycieczki do przylądka Szczęki, odwiedzanego często przez żółwie morskie. Wybrzeże było tam najeżone małymi wypukłościami, zawierającymi w sobie kuliste jaja żółwie, w twardej skorupie, posiadające tę własność, że białko ich nie ścina się nigdy tak, jak w jajach ptasich. Młode żółwie wylęgają się z nich pod działaniem promieni słonecznych a liczba jaj musiała być wielka, skoro każda samica znosi rocznie do dwustu pięćdziesięciu.

— Mamy tu pole, na którym rodzą się jaja — powiedział zartem Gedeon Spilett — i wystarczy tylko schylić się, aby zbierać jego plony.

Nie poprzestając na tych plonach, koloniści polowali i na same żółwie, gdyż mięso ich jest bardzo posilne i smaczne. Rosół z żółwia, przyprawiony ziołami aromatycznymi i skrupiakami, zjednywał zawsze Nabowi zasłużone pochwały.

Musimy tu jeszcze przytoczyć fakt, który pozwolił mieszkańcom wyspy Lincolna zaopatrzyć spiżarnię w świeże zapasy na zimę. Tysiące łososi wpłynęły do Mercy w czasie, kiedy samice szukają dogodnego miejsca do złożenia ikry. Dostyć było w kilku miejscach rzekę zastawić, aby złowić kilkaset tych ryb, które po zasoleniu przechowano na zimę, gdy lód, pokrywający wodę, nie da zajmować się połowem.

W tym także mniej więcej czasie zmyślny i roztropny Jow został wyniesiony do godności lokaja. Ubrano go w płócienną kurtkę, krótkie spodnie i fartuch z kieszeniami, którymi nie mógł się dość nacieszyć; kładł w nie ciągle ręce i gniewał się, gdy ktoś do nich zaglądał. Nab wytresował doskonale zręcznego orangutana; mogło się zdawać, że murzyn i małpa rozumieją się doskonale. Jow przywiązał się bardzo do mistrza; byli prawie zawsze razem w kuchni, i Jow naśladował wszystkie czynności murzyna. Jeżeli nauczyciel gorliwie i z największą cierpliwością starał się o wykształcenie ucznia, to uczeń niemniej gorliwie korzystał z dawanych mu nauk.

Łatwo sobie wyobrazić zadowolenie mieszkańców Granitowego Pałacu, gdy nieuprzedzeni o tym, zasiadając do stołu, ujrzeli Jowa w opisanym powyżej ubraniu, z serwetą zawieszoną na ręce. Zręczny i uważny, wywiązywał się doskonale ze swego zadania: zmieniał talerze, przynosił półmiski, podawał wodę do picia — a wszystko to czynił z powagą, rozśmieszając kolonistów i wprawiając Penkroffa w zachwyt.

Wołano ze wszystkich stron:

— Jow, nalej mi zupy!

— Jow, podaj mi kawałek pieczeni!

— Jow, zmień talerze!

— Jow, dobry Jow, zręczny Jow!

Rozsądne zwierzę uwijało się żwawo, spełniając te rozkazy, pomrukując z zadowolenia, gdy Penkroff, klepiąc je po ramieniu, powtarzał żartobliwie:

— Doprawdy, Jowie, trzeba ci będzie podwoić zapłatę.

Nie potrzebujemy dodawać, że Jow przyzwyczał się już zupełnie do pobytu w Granitowym Pałacu, a chociaż często towarzyszył swym panom do lasu, nie okazywał nigdy chęci do ucieczki. Zabawnie wyglądał, gdy szedł, trzymając na ramieniu zamiast strzelby laskę, którą mu zrobił Penkroff. A jak zwinnie wskakiwał na najwyższe drzewo, gdy trzeba było z wierzchołka jego zerwać owoc; jak zręcznie i prędko podnosił wóz, jeżeli koła jego ugrzęzły w błocie!

Przy końcu stycznia koloniści rozpoczęli nowe i ważne prace w środkowej części wyspy. Wiemy już, że mieli zamiar ogrodzić w pobliżu Czerwonego Strumienia, u stóp góry Franklina, dość znaczną przestrzeń gruntu, aby tam pomieścić muflony, które miały im dostarczać wełny na zimowe ubrania.

Co dzień rano wszyscy lub tylko Penkroff, Harbert i Cyrus Smith udawali się do źródeł strumienia. Tam, na południowym stoku góry, wybrano żyzną i dość obszerną łączkę, pokrytą kępami drzew i przeciętą strumykiem, wpadającym do Czerwonego Strumienia. Otóż tę łączkę trzeba było otoczyć tak wysoką palisadą, aby najzwinniejsze nawet zwierzę nie mogło przez nią przeskoczyć.

Prace około owczarni zajęły trzy tygodnie czasu, gdyż oprócz palisady Cyrus Smith zbudował jeszcze obszerne szopy z desek, aby muflony miały gdzie schronić się w czasie burzy. Wszystko zresztą musiało być mocno zbudowane, gdyż muflony są bardzo silne, i zwłaszcza z początku trzeba było obawiać się ich gwałtowności.

Po skończeniu owczarni, dnia 7 lutego zrobiono wielką obławę na muflony, w której wszyscy brali udział. Gedeon Spilett i Harbert pojechali wierzchem na onagach, które i tym razem okazały się bardzo użyteczne.

Polowanie polegało głównie na tym, aby naganiać muflony i dzikie kozy do owczarni. Dlatego też Cyrus, Pen-

kröff, Nab i Jow stanęli na obranych stanowiskach w lesie, a jeźdźcy i Top galopowali dokoła ogrodzenia, zacieśniając coraz bardziej kolo i wydając głośnie okrzyki, aby spłoszyć muflony i nagonić ich do zagrody.

Polowanie odbywało się właśnie na pastwiskach, licznie uczęszczanych przez te piękne zwierzęta, równe wzrostem danielowi, a rogami, silniejszymi niż u zwyczajnych baranów, i szarawą wełną przypominające azjatyckiego barana argali.

Ze stu najmniej muflonów zaledwie trzydzieści i dziesięć dzikich kóz wpadło przez otwartą bramę do ogrodzenia, gdzie zamknięto je natychmiast. Koloniści byli zadowoleni, zwłaszcza, że samice znajdowały się między schwytanymi zwierzętami w przeważającej liczbie, można więc było spodziewać się wkrótce pomnożenia owczarni.

Gdy koloniści wrócili do domu, upadali prawie ze znużenia, pomimo to nazajutrz udali się do owczarni. Wszystko znaleźli w dobrym stanie. Wprawdzie muflony próbowały przewrócić palisadę lecz, widząc że bezskutecznie uderzają w nią rogami, uspokoiły się nieco.

Miesiąc luty przeszedł bez żadnego ważniejszego wypadku. Ulepszono już istniejące drogi i wytyczono nowe od owczarni do zachodniego wybrzeża, gdyż dotąd jeszcze nieznaną częścią wyspy był dla kolonistów wielki las, pokrywający półwysep Wężowaty, gdzie ukrywały się krwiożercze zwierzęta, z których Gedeon Spilett postanowił oczyścić wyspę Lincolna.

Przed nadejściem zimy zajęto się gorliwie przesadzaniem dzikich roślin, które Harbert przynosił z każdej wycieczki do lasu: szczaw zwyczajny, kilka odmian kartofli, których poznano dotąd już przeszło dwieście gatunków, jakąś inną użyteczną roślinę. Każdą z nich sadił na osobnej grządce w ogrodzie warzywnym.

Nie mogli także uskarżać się na brak napojów; prócz herbaty, posiadali jeszcze napój z korzeni dračeny i piwo, które Cyrus Smith wyrabiał z młodziutkich pędów pewnego gatunku świerku, zwanego *Abies nigra*; one to po wygotowaniu i fermentacji dają smaczny i zdrowy napój, zwany przez Anglo-Amerykanów „spring-beer“, to jest piwo wio-senne.

Przy końcu lata przybyło do kurnika parę dropiów i kilka innych ptaków z rodziny grzebiących, a między nimi pyszne

koguty z czarnymi czubami, podobne do kogutów mozambickich.

Wszystko szło jak najlepiej, dzięki niezmordowanej pracowitości odważnych i rozumnych tych ludzi. Wprawdzie Opatrzność czuwała nad nimi, ale oni też wiernie trzymali się zasady: „Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże!”

W piękne letnie wieczory po skończonej pracy koloniści odpoczywali razem w altanie, pokrytej pnącymi się roślinami, postawionej przez Naba na skraju płaszczyzny Pięknego Widoku. Tam uczyli się wzajemnie, układali plany na przyszłość i rozmawiali o swej pięknej i ukochanej Ameryce. Choć nie wiedzieli nic o dalszych losach wojny, mieli jednak moralne przekonanie, że się już musiała skończyć, że Północ, walcząca za dobrą sprawę, odniosła stanowcze zwycięstwo. Tylko Cyrus Smith rzadko mieszał się do rozmowy, gdyż myśl jego głównie była zajęta dziwnymi wypadkami, które spotykały ich na wyspie i dotąd jeszcze stanowiły dla niego tajemniczą zagadkę.

ROZDZIAŁ XXXI.

Burze. — Winda hydrauliczna. — Wyrób szkła. — Drzewo chleba. — Częste wycieczki do zagrody. — Powiększenie się stada. — Pytanie reportera. — Dokładne oznaczenie położenia wyspy. — Projekt Penkroffa.

Czas zmienił się z początkiem marca, upały były nieznośne, a powietrze tak przesycone elektrycznością, że trzeba się było obawiać burzy. Rzeczywiście drugiego marca przy gwałtownym wietrze, przy huku grzmotów i piorunów, zaczął padać grad wielkości gołębiego jaja, uderzając w okna Granitowego Pałacu tak mocno, że musiano pozamykać szczelnie drzwi i okiennice, aby nie wpadał do pokoiów.

Przez osiem dni srożyła się burza z gwałtownymi grzmotami. Pioruny roztrzaskały kilkadziesiąt drzew, a spadając na wybrzeże, stopiły i zeszkliły piasek. Gdy inżynier znalazł powstały tym sposobem fulgurit czyli piorunowiec, przyszło mu na myśl, że będzie mógł zaopatrzyć okna Granitowego Pałacu w grube szyby, które zabezpieczą jego mieszkańców od wiatru, deszczu i gradu.

Przez cały ten czas koloniści zajmowali się różnymi pracami wewnątrz domu, robili półki i szafy do ustawiania różnych przedmiotów. Inżynier zaś sporządził tokarnię. Tak więc pilni i pracowici nie marnowali nigdy ani chwili czasu.

Nie zapomniano także o Jowie i przy głównym składzie ogrodzono dla niego osobny pokoik, w którym usłano mu wygodne łóże z mchu i suchych liści.

— Nieoceniony jest ten nasz Jow — powtarzał często marynarz. — Z nikim się nie sprzecza, nigdy nie usłyszysz od niego niewłaściwej odpowiedzi! Doprawdy, nieoceniony z niego służący.

— To mój uczeń — mówił wówczas Nab — dorówna mi wkrótce.

— Ba! on już przewyższa cię teraz, Nabie, — odpowiadał, śmiejąc się, marynarz — bo ty mówisz, a on milczy.

Łatwo się domyśleć, że Jow nabywał coraz większej wprawy: trzepał ubranie, obracał rożen, zamiatał pokoje, usługiwał do stołu, przynosił i układał drzewo, wreszcie, co najwięcej cieszyło Penkroffa, nie położył się spać, dopóki nie otulił w łóżku prześcieradłem zacnego marynarza.

Wszyscy koloniści cieszyli się wybornym zdrowiem. Pędząc życie na wolnym powietrzu, w klimacie umiarkowanym i zdrowym, zajęci pracą fizyczną i umysłową, mogli nie lękać się żadnej choroby. Harbert urósł o dwa cale w przeciągu tego roku, twarz jego zaczęła nabierać męskiego wyrazu, i wszystko zapowiadało, że chłopiec rozwinie się korzystnie, tak pod względem fizycznym, jak i moralnym. Korzystając chciwie z każdej chwili, wolnej od ręcznej pracy, czytywał książki, znalezione w skrzyni, a oprócz nauki praktycznej, wynikającej z codziennych jego zajęć, miał jeszcze gorliwych nauczycieli: do nauk ścisłych w Cyrusie, w reporterze do języków.

Inżynier pragnął przekazać całą swą wiedzę Harbertowi: uczył go zarówno przykładami, jak słowami, a młody chłopiec umiał korzystać z nauk zacnego nauczyciela.

— W razie mej śmierci — myślał nieraz Cyrus — on mnie potrafi zastąpić.

Około tego czasu w stajni przybyła mała onaga, a w owczarni kilkanaście jagniątek. Próbowano także przyswoić pekary, i próba udała się doskonale. Postawiono obok kurnika chlewek, a wkrótce potem kilka małych zwierzątek zaczęło się w nim tuczyć za staraniem Naba. Jow, na którego

włożono obowiązek przynoszenia im codziennej żywności, to jest pomyj i obierzyn, sumiennie wywiązywał się ze swego zadania; choć czasem bawił się kosztem swych stołowników, gdyż bawiły go bardzo małe pokręcone ogonki.

Pewnego dnia Penkroff, rozmawiając z inżynierem, przypomniał mu obietnicę, której Cyrus nie miał czasu dotąd spełnić.

— Wspomniał pan o przyrzadzie, którym można by zastąpić drabinę, wiodącą do Granitowego Pałacu. Czy nie zechciałby pan zająć się tym obecnie?

— Mówisz zapewne o windzie hydraulicznej — powiedział Cyrus.

— Niech się nazywa i hydrauliczna, skoro pan tak chce. Mnie nie idzie o nazwisko, lecz o łatwiejsze wejście do mieszkania.

— Nic łatwiejszego, Penkroffie, ale czy potrzebne?

— Bez wątpienia, panie Cyrusie. Skoro własną pracą pozyskaliśmy już rzeczy potrzebne, wolno nam pomyśleć o wygodzie. Zresztą dla nas samych może byłoby to zbytuczne, ale prawie niezbędne do wnoszenia ciężarów. Ciężko wchodzić na tak wysoką drabinę, dźwigając ciężar na grzbiecie.

— Dobrze, Penkroffie, spełnię twoje życzenie:

— I zrobi pan maszynę parową?

— Nie, będzie to maszyna, poruszana wodą, a zbudowanie jej nie jest zbyt trudne.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że przy zamurowaniu dawnego miejsca odpływu pozostawiono mały otwór, przez który wpływała dostateczna ilość wody na zaspokojenie potrzeb mieszkańców Granitowego Pałacu. Otóż obecnie powiększono ten otwór, przez co utworzył się dość silny spadek wody, spływającej następnie do studni, umieszczonej tuż pod nim, wewnątrz korytarza. Pod spadającą wodą umieścił inżynier koło, podobne do tych, jakie obracają młyny wodne, a połączone z drugim kołem zewnętrznym za pomocą trybu i drąga, około którego obwijała się gruba lina, utrzymująca wielki i mocny kosz. Tym sposobem za pomocą sznura, spadającego aż do ziemi, można było wprawić w ruch lub powstrzymać motor hydrauliczny, i stosownie do woli, podnieść się w koszu aż do drzwi lub też spuścić na dół.

Siedemnastego marca użyto po raz pierwszy windy i od-
tąd już stale zastępowała drabinę. Najwięcej zadowolenia oka-
zywał Top, który nie mógł tak zręcznie wchodzić na dra-
binę jak Jow i z początku zwykle na grzbiecie Naba, a na-
stępnie orangutanga, przebywał tę przykrą dla siebie drogę.

W parę dni później Cyrus Smith rozpoczął przygotowa-
nia do wyrobu szkła od przerobienia pieca garncarskiego na
hutniczy. Czynność ta przedstawiała liczne trudności, które
jednak zdołał pokonać po wielu próbach, przy współudziale
reportera i Harberta, swych zwykłych pomocników.

Cyrus Smith miał pod ręką materiały, wchodzące w skład
szkła, to jest biały piasek, kredę i sodę. Piasku dostarczało
wybrzeże, kredy — wapno, sody — rośliny morskie, kwasu
siarczanego — piryty, a opału do ogrzania pieca — kopalnia
węgla kamiennego. Najtrudniejszym do wyrobienia narzę-
dziem była rurka żelazna, długa na pięć stóp, zwana „cybu-
chem“ lub „piszczelem“; rurka ta z jednego końca jest obło-
żona drzewem, drugim zaś zanurza się w roztopionej masie
szklanej. Penkroff niemało się napracował, zanim udało mu
się zrobić dość dobry cybuch z cienkiej i długiej sztabki że-
laza, którą zwinął w kształcie lufy od strzelby.

Dwudziestego ósmego marca rozpalono mocno piec. Cy-
rus Smith zmieszał 100 części piasku białego z 35 częściami
kredy, 40 sody i 2 częściami sproszkowanego węgla. Wszys-
tko to wsypał do umieszczonych w piecu tyglów z gliny
ogniotrwałej. Gdy, pod wpływem wysokiej temperatury,
masa roztopiła się, a następnie przez zmniejszanie ognia stała
się ciągnącą, Cyrus umaczał w niej koniec cybucha, wydał
nieco przyczepioną do niego kulkę, aby nie zatkała otworu
cybucha, obracał przez pewien czas na przygotowanej bla-
sze i podał Harbertowi, aby ją dalej wydymał przez otwór
cybucha.

— Czy w ten sposób, jak się robi bańki mydlane?

— Zupełnie tak samo — odpowiedział Cyrus.

Harbert dopóty dał, obracając ciągle cybuch, dopóki nie
rozszerzyła się kulka; wówczas dodano do niej większą ilość
masy przez powtórne umaczanie w tyglu. Wreszcie przez
ciągle wydymanie i obracanie utworzyła się bańka, mająca
stopę średnicy. Cyrus wziął wtedy cybuch z rąk Harberta
i nadając mu ruch wahadłowy, wydłużał bańkę tak, że przy-
brała kształt podłużny.

Obcięto następnie tę bańkę u dołu i góry, rozcięto wzdłuż żelaznym ostrzem, umaczanym w zimnej wodzie, i po stosownym ogrzaniu, umieszczono na gorącej blasze, gdzie wyprostowano drewnianym wálkiem.

Pierwsza szyba była zrobiona. Powtórzono tę czynność pięćdziesiąt razy. Okna Granitowego Pałacu zaopatrzono w szyby, wprawdzie niebardzo białe i przejrzyste, ale przepuszczające dostateczną ilość światła.

Szklanki i butelki daleko mniej kosztowały pracy, tym bardziej, że brano takie, jakie się udały. Penkroff prosił, aby mu także pozwolono zająć się tą pracą. Tak mocno jednak dął w cybuch, że wyroby jego przybierały najdziwaczniejsze kształty. Niewymownie go to cieszyło.

W tym czasie odkryto nowe, użyteczne drzewo, Harbert, idąc przez las z inżynierem, zatrzymał się nagle z radosnym okrzykiem.

— A! panie Cyrusie, proszę spojrzeć na to drzewo.

Mówiąc to, wskazywał ręką małe drzewko bez gałęzi, pokryte łuskami.

— Cóż to za drzewo, tak podobne do małej palmy? — zapytał Cyrus.

— Jest to cycas revoluta, którego rysunek znajduje się w naszym podręczniku historii naturalnej.

— Nie widzę na nim żadnego owocu.

— Tak, panie Cyrusie, ale pień jego dostarczy nam mąki już zmielonej.

W takim razie, mój chłopcze, zrobiłeś nieocenione dla nas odkrycie, zwłaszcza, gdy nie mamy dostatecznej ilości pszenicy. Ale czy się tylko nie mylisz.

Harbert nie mylił się, był to rzeczywiście sagowiec. Gdy złamano jego lodygę, przekonano się, że rdzeń zawiera mąkę, przesiąkniętą kleistym sokiem niemilego smaku, który jednak łatwo było usunąć przez wyciskanie w prasie. Ten gatunek sagowca znajduje się także w Japonii, a wywóz pożywnej jego mąki był dawniej surowo zakazany prawami tego kraju.

Cyrus i Harbert przyjrzeni się dobrze tej części i, wracając do domu, znaczyli drogę, aby mogli później znaleźć miejsce, w którym rosły sagowce. Zaraz nazajutrz wszyscy się tam udali, a Penkroff, coraz więcej zachwycony wyspą, zapytał inżyniera:

— Jak pan sądzi, panie Cyrusie, czy są wyspy, przeznaczone dla rozbiteków?

— Co przez to rozumiesz, Penkroffie?

— Pytam się, czy są wyspy umyślnie na to stworzone, aby przy nich można się było rozbić szczęśliwie, to jest takie, na których biedni rozbitkowie mogliby zapracować sobie na wygodne życie.

— Być może — odpowiedział z uśmiechem inżynier.

— Dla mnie jest to rzeczą pewną — odpowiedział marynarz — a niewątpliwie wyspa Lincolna należy do ich liczby.

Koloniści przywieźli do domu znaczną ilość pieńków sagowca. Inżynier urządził prasę do wyciskania kleistej ciecicy, a niezadługo Nab wyrabiał z białej sagowej mąki placki i budynie. Nie był to jeszcze chleb, ale przynajmniej coś bardzo podobnego.

Wszystko więc szło pomyślnie na wyspie, i koloniści tak się przyzwyczaili do niej, że z żalem opuściliby jej gościnną ziemię. Pomimo to przywiązanie do rodzinnej ziemi tak silnie jest zakorzenione w sercu człowieka, że, gdyby zjawił się na morzu okręt, staraliby się zwrócić na siebie uwagę jego osady za pomocą sygnałów i wróciliby z ochotą do kraju.

Tymczasem wyspa Lincolna była często przedmiotem ich rozmowy. Pewnego dnia dało to powód do pytania, które pociągnęło za sobą ważne następstwa.

Było to 1 kwietnia, w niedzielę, w pierwszy dzień Wielkiej Nocy, który koloniści poświęcili wyłącznie modlitwie i czytaniu Pisma Świętego. Dzień był piękny, choć trochę chłodny. Wieczorem wszyscy zasiedli w altanie, i, pijąc odwar z jagód bzowych, zastępujący im kawę, rozmawiali o swej wyspie i samotnym jej położeniu na Ocenie Spokojnym, wskutek czego Gedeon Spilett zapytał inżyniera:

— Powiedz mi, kochany Cyrusie, czy, posiadając sekstans, obliczyłeś powtórnie geograficzne położenie naszej wyspy?

— Nie — odpowiedział Cyrus.

— Zdaje mi się, że warto by się tym zająć, posiadając odpowiednie i dokładne narzędzie.

— A to po co? — zapytał marynarz. — Wyspa jest z pewnością tam, gdzie wówczas była.

— Bez wątpienia — odpowiedział Gedeon — lecz pierwsze obliczenie mogło być niedokładne z powodu braku stosownych narzędzi.

— Masz słuszność, kochany Gedeonie, mogłem się pomylić o kilka stopni. Zaraz jutro sprawdzę.

— Ba! — rzekł marynarz — pan Cyrus nie mógł się pomylić. Jeżeli więc wyspa nie poruszyła się z miejsca, to jest tam, gdzie ją umieścił.

Nazajutrz po sprawdzeniu obliczenia pokazało się, że Cyrus Smith, pomimo niedokładności pierwszych narzędzi, pomylił się tylko o pięć stopni.

— Teraz — rzekł Spilett — ponieważ posiadamy także atlas, oznacz, kochany Cyrusie, dokładnie położenie naszej wyspy na Oceanie Spokojnym.

Harbert przyniósł atlas, rozwinięto mapę Oceanu Spokojnego, a inżynier wziął cyrkiel, aby oznaczyć położenie wyspy.

Nagle cyrkiel wysunął mu się z ręki.

— Patrzcie! na tej części oceanu jest jakaś wyspa.

— Wyspa? — zawołał Penkroff.

— Zapewne nasza — rzekł Gedeon Spilett.

— Nie — rzekł Cyrus — gdyż leży o 2 i pół stopnia więcej na zachód i 2 stopnie niżej na południe, niż wyspa Lincoln.

— Jak się nazywa?

— Wyspa Tabor.

— Czy to znaczniejsza wyspa?

— Nie, mała i samotna wysepka, zapewne mało komu znana.

— No to my ją poznamy — rzekł Penkroff.

— My?

— Tak, panie Cyrusie, zbudujemy szalupę, a ja podejmuję się nią kierować. Jak daleko może być od nas wyspa Tabor?

— O sto pięćdziesiąt mil!

— To niedaleko — rzekł Penkroff. — Przy dobrym wietrze można do niej dopłynąć w czterdzieści osiem godzin.

— Ale w jakim celu? — zapytał reporter.

— Trudno naprzód wiedzieć, na co się to może przydać.

Na żądanie marynarza postanowiono zbudować mocną szalupę, tak, aby za powrotem cieplej pory roku, to jest w początku października, można się było puścić na morze.

Budowa szalupy. — Nowa roślina więcej przyjemna, niż pożyteczna. — Wieloryb w pobliżu. Harpun. — Pocięcie wieloryba. — Zastosowanie fiszbinu. — Koniec maja. — Spełnione pragnienie Penkroffa.

Gdy Penkroff powziął jaki zamiar, nie uspokoił się i nie dał innym spokoju, dopóki nie doprowadził go do skutku. Otóż obecnie chciał zwiedzić wyspę Tabor, a ponieważ do tego był koniecznie potrzebny statek większych rozmiarów, myślał tylko o tym, aby go zbudować. W końcu, po długiej naradzie z inżynierem, stanęło na tym, że obaj zajmą się zbudowaniem statku większych rozmiarów z pomostem, dwoma kajutami, opatrzonego w maszty i żagle — słowem, zdatnego do żeglugi około brzegów i na pełnym morzu. Z początku wahano się co do wyboru drzewa jodłowego, jako łatwiejszego do obróbki i również dosyć trwałego.

W osiem dni później już zwieziono drzewo, założono warsztat między Kominami i Granitowym Pałacem. Cyrus Smith nie przystępował na ślepo do tak ważnej pracy, lecz obrachował wszystko dokładnie i odrysował na papierze cały plan statku. Penkroff był mu bardzo pomocny, gdyż, pracując przez kilka lat w warsztatach okrętowych w Brooklynie, nabył praktycznych wiadomości. Oddał się też gorąco pracy, gdyż całą duszą pragnął, aby przedsięwzięcie się powiodło.

Raz tylko oderwał się dość chętnie od zajęcia w dniu 15 kwietnia, w którym wypadło powtórne żniwo. Stosunkowo dało plon równie pomyślny jak pierwsze.

— Panie Cyrusie! mamy już półtrzeciej ćwiartki — zawałał marynarz, przemierzwszy pszenicę.

— W takim razie — rzekł inżynier — rachując po dwieście sześćdziesiąt tysięcy ziarn na ćwiartkę, mamy już sześćset pięćdziesiąt tysięcy ziarn.

— I te zasiejemy znowu, odłożywszy małą tylko część na nieprzewidziany wypadek?

— Tak, Penkroffie. A jeżeli przyszły zbiór będzie równie pomyślny, będziemy mieli pięćset korcy pszenicy i to z jednego ziarnka.

— I będziemy jedli chleb?

— Będziemy.

— Ale nie mamy jeszcze młyna.

— Postawimy go.

Gedeon i Harbert wychodzili często na polowanie i zapuszczali się w nieznaną im dotąd część Dalekiego Zachodu. Reporter brał w takim razie busolę kieszonkową, aby nie zbłądzić w tej gęstej kniei, gdzie zaledwie dochodziły promienie słońca. W czasie jednej z takich wycieczek Gedeon Spilett, wyprzedziwszy Harberta o kilkadziesiąt kroków, wszedł na małą polankę, gdzie uwagę jego zwróciła swym zapachem pewna roślina o kwiatach, ułożonych w kiście, i drobniutkich nasionkach. Reporter zerwał kilka gałązek i rzekł, przystępując do towarzysza:

— Cóż to za roślina, Harbercie?

— A gdzie ją pan znaleźli?

— Tam na tej polance rośnie w wielkiej obfitości.

— Panie Gedeonie, to odkrycie nadaje panu prawo do nieograniczonej wdzięczności ze strony Penkroffa.

— Więc to tytoń?

— Tak, a choćby nie był w najlepszym gatunku, to zawsze Penkroff będzie miał co palić.

— Jakże się ucieszy nasz pocziwy marynarz! A i dla nas będzie to jedna więcej przyjemność, bo przecie nie wypali wszystkiego.

Przyszła mi wyborna myśl, panie Spilett. Nie mówmy nic Penkroffowi, dopóki nie przyrządzimy tytoniu, a wtedy podamy mu nałożoną już fajkę.

— Dobrze, Harbercie! W tym dniu spełnione będą gorące życzenia naszego zacnego towarzysza.

Zebrali znaczną ilość liści drogocennej rośliny a, wróciwszy do Grantowego Pałacu, ukryli tak starannie, jak gdyby Penkroff był strażnikiem celnym. Przypuszczono do tajemnicy inżyniera i Naba. Marynarz, zajęty ciągle budową statku, nie domyślał się nawet, jaka czeka go przyjemność. Trzeba było jednak czekać dwa miesiące, aby wysuszyć liście, pokrajać i poddać pewnemu rodzajowi prażenia na rozgrzanych kamieniach.

Około pierwszego maja marynarz raz jeszcze musiał się oderwać od swego ulubionego zajęcia. Przez kilka dni z rzędu spoztrzegano o dwie lub trzy mile od wyspy ogromnego wieloryba, który, jak się zdawało, musiał należeć do gatunku, znanego pod nazwą wielorybów południowych.

— Ach! — zawołał marynarz — gdybyśmy mieli odpowiedni statek i dobry harpun, umiałbym rozpocząć polowanie na tego olbrzyma.

— Prawdę mówiąc, Penkroffie — rzekł Spilett — rad-
bym widzieć cię, ciskającego harpunem. Musi to być ciekawe
polowanie.

— Ciekawe i dość niebezpieczne — powiedział inży-
nier — ale jak na teraz, przechodzące naszą możność.

— Dziwi mię to, że widzę wieloryba pod tą szerokością
geograficzną.

— Dlaczego, panie Spilett? — odezwał się Harbert. —
Znajdujemy się właśnie w części Oceanu Spokojnego, zwa-
nej przez angielskich i amerykańskich rybaków „Whale-
Field“ (pole Wielorybów), i tu właśnie, między Nową Ze-
landią i Ameryką Południową, spotkać można najwięcej
statków, trudniących się połowem wielorybów na półkuli
południowej.

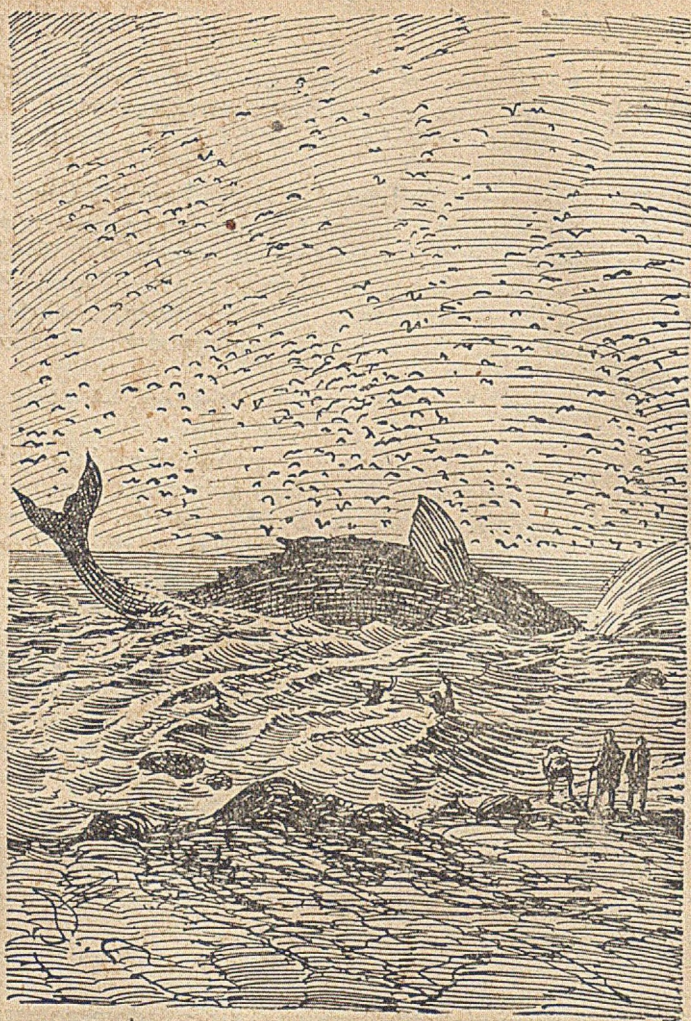
— Harbert ma słuszność — rzekł Penkroff. — Mnie to
właśnie dziwi, że dotąd ich nie widzieliśmy.

Penkroff wrócił do roboty z westchnieniem żalu, gdyż
każdy marynarz ma pociąg do takiego polowania, a tu prócz
przyjemności podobna zdobycz byłaby bardzo korzystna
dla kolonii, gdyż pozwoliłaby zaopatrzyć się w tłuszcz i fisz-
bin, dające się w rozmaity sposób zużytkować.

Tymczasem wieloryb, jak na przekorę, nie oddalał się od
wyspy, i koloniści mogli ciągle śledzić jego ruchy przez lu-
netę. Pływał szybko po obszernej zatoce Unii, od przylądka
Szczęki do przylądka Szponów. Czasami tak blisko podpły-
wał do wyspy, że mu się dobrze przyjrzeć było można. Był
to rzeczywiście wieloryb południowy, całkiem czarny, z głó-
wą bardziej spłaszczoną, niż u wielorybów północnych, wy-
rzuczał w górę nozdrzami wysokie słupy pary czy wody, bo
choć to się może wydawać dziwnym, przyrodnicy nie zga-
dzają się jeszcze pod tym względem; przemaga jednak zda-
nie, że to para zgęszczona nagle przez zetknięcie z zimnym
powietrzem, spada w rzęsiстых kroplach wody.

Ciągła obecność tego morskiego ssącego zwierza drażniła
kolonistów, a najwięcej Penkroffa, który nawet we śnie ma-
rzył o nim. Gdyby nie brak harpuna i statku, zdolnego utrzy-
mać się na pełnym morzu, byłby gotów rozpocząć walkę
z wielorybem.

W dniu trzecim maja krzyki Naba, stojącego w oknie
kuchni, uwiadomiły kolonistów, że morze wyrzuciło na
brzeg wieloryba. Wszyscy natychmiast porzucili robotę
i, uzbroiwszy się w okute drągi, pobiegli na wybrzeże cypla



— *Jakież to potwór!* — krzyknął Nab (str. 199).

Skrzyni, gdzie leżał wieloryb. Chociaż musieli zrobić trzy mile angielskie, stanęli zaledwie po dwudziestu minutach przy olbrzymim zwierzęciu, nad którym unosiły się już liczne stada ptaków.

— Jakiż to potwór! — krzyknął Nab.

Wrażenie to było całkiem usprawiedliwione, gdyż wieloryb miał osiemdziesiąt stóp długości i mógł ważyć około stu pięćdziesięciu tysięcy funtów! To tylko dziwne, że potwór nie poruszał się i nie usiłował wrócić do morza, korzystając z przyływu. Wkrótce i ta zagadka została wyjaśnioną, gdy po odpływie morza koloniści zdołali się zbliżyć do zwierzęcia. Przekonali się, że leży bez życia z utkwionym w lewym boku harpunem.

— Są więc w tej stronie statki, zajmujące się połowem wielorybów! — zawołał Gedeon Spilett.

— Z czego to wnosisz? — zapytał marynarz.

— Najlepszym dowodem jest ten harpun.

— O! panie Spilett! — odpowiedział Penkroff — widziano już nieraz wieloryby, które przepłynęły tysiące mil z harpunem utkwionym w ciele. Nie byłoby więc nic dziwnego, gdyby i ten, będąc ranionym w północnej stronie Atlantyku, zakończył życie w południowej części Oceanu Spokojnego.

— Być może — powiedział inżynier — ale przede wszystkim obejrzymy harpun, może też, stosownie do dość rozpowszechnionego zwyczaju, wyryto na nim nazwę statku.

Penkroff wyciągnął harpun, spostrzegł na nim napis i przeczytał:

Maria-Stella

Vineyard.

— Statek z Vineyard! Statek z mego kraju! — wołał z uniesieniem. — Maria-Stella! O! znam go dobrze, piękny to, śliczny statek! Ach! moi przyjaciele! Ten statek płynął z mojej rodzinnej ziemi, z Vineyard*).

Ponieważ trudno było przypuścić, aby osada Marii-Stelli zażądała zwrotu wieloryba, koloniści postanowili poświęcić go jak najprędzej, zanim ulegnie zepsuciu, zwłaszcza, że ptaki drapieżne otoczyły go w koło i nawet sploszone wystrzałami wracały po chwili.

Penkroff służył niegdyś na statku, przeznaczonym do połowu wielorybów, mógł więc kierować ćwiartowaniem. Choć

*) Port w Stanie Nowego Jorku.

jest to bardzo niemiłe zajęcie, wszyscy koloniści brali w nim udział, nie wyłączając Gedeona Spilettę, który, jak się wyraził marynarz, wprawiał się coraz lepiej w prace; właściwe rozbitkom.

Tłuszcz, pokrajany na pasy szerokie na dwie i pół stopy, a następnie podzielony na mniejsze części, z których każda ważyła około tysiąca funtów, został stopiony w wielkich glinianych dzieżach, przyniesionych na wybrzeże. Sam język dostarczył sześć tysięcy funtów tłuszczu czyli tranu. Prócz tłuszczu, koloniści zaopatrzyli się w znaczną ilość fiszbinu, który mógł im się przydać w przyszłości. W górnej części gęby wieloryba znajdują się listwy rogowe, elastyczne, które dają znany powszechnie fiszbin; przypominają one kształtem dwa wielkie grzebienie, których zęby, długie na sześć stóp, służą do przytrzymywania tysiąca rybek i mięczaków, którymi żywi się wieloryb.

Gdy po ukończonej pracy koloniści zabierali się z powrotem do domu, Cyrus wziął kilkanaście kawałków fiszbinu, podzielił je na równe części i zaostrzył na końcu.

— Do czego to będzie służyło, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Do zabijania wilków, lisów, a nawet jaguarów.

— Czy zaraz?

— Nie, dopiero w zimie, gdy już będziemy mieli lód.

— Nie rozumiem tego — rzekł Harbert.

— Zaraz ci to wytłumaczę, moje dziecko. Gdy już nadejdą mrozy, zegnę mocno każdy z tych fiszbinów i tak długo będę polewał wodą, aż pokryją się powłoką z lodu, która nie pozwoli im się wyprostować. Następnie posmaruję grubo tłuszczem i porozrzucam na śniegu. Otóż, jak tylko zgłodniałe zwierzę połknie taką przynętę, lód roztopi się w jego żołądku, a fiszbin, prostując się, przebije ostrymi końcami jego wnętrzości. — Sposobu tego używają często myśliwi w Alasce.

— To wyborny pomysł! — rzekł Penkroff.

— Czekajmy więc zimy.

— Tak, czekajmy zimy.

Budowa statku postępowała ciągle i przy końcu miesiąca można już było wnosić z jego kształtów, że będzie się dobrze trzymał na morzu. Penkroff pracował tak gorliwie, że musiał

mieć żelazne zdrowie, skoro mu sił nie zabrakło; ale też towarzysze przygotowali mu nagrodę za podjęte trudy. 31 maja doznał tak wielkiej radości, że nie zapomniał jej przez całe życie.

Przy końcu obiadu, gdy marynarz chciał wstać od stołu, aby wrócić do roboty, Gedeon Spilett położył mu rękę na ramieniu, mówiąc:

— Nie śpiesz się tak, Penkroffie. — Zapominasz o wetchach.

— Dziękuję, panie Spilett, śpieszę do roboty.

— Wypij przynajmniej filiżankę kawy.

— I za to dziękuję.

— No to może wypalisz fajeczkę?

Penkroff zerwał się nagle i pobladł, gdy reporter podał mu nałożoną fajkę, a Harbert rozżarzony węgiel. Nie mógł wymówić ani słowa, ale pochwycił fajkę i, przyłożywszy do niej węgiel, przytknął usta do cybucha i pociągnął kilka razy.

Niebieskawy wonny dym uniósł się w powietrze, a spoza jego kłębow odezwał się głos wzruszony i radosny:

— Tytoń! Prawdziwy tytoń!!

— Tak, Penkroffie, i do tego wyborny tytoń — rzekł inżynier.

— O wszechmocna Opatrzności! Jakże cudowne są Twoje dzieła — rzekł wzruszony marynarz. — Teraz niczego już nie brakuje na naszej wyspie. — I marynarz palił, palił chciwie, rozkoszując się dymem.

— Komuż zawdzięczam to odkrycie? — zapytał na koniec. — Zapewne tobie, Harbercie?

— Nie, Penkroffie, panu Spilettowi.

— Panie Spilett — zawołał Penkroff i tak silnie przycisnął reportera do piersi, jakby go chciał udusić.

— O! Penkroffie — rzekł na koniec Gedeon — do wdzięczności twojej równe mają prawo: Harbert, że rozpoznał tę roślinę, Cyrus, że przyrządził tytoń, i Nab, że nie wydał tajemnicy, choć go to wiele kosztowało.

— Toteż, moi przyjaciele, ja wam wszystkim chciałbym odwdziżyć się za to i gotów bym oddać za was ostatnią kropelkę krwi.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Zima. — Folsz. — Młyn. — Zamiary Penkroffa. — Fiszbin. — Do czego może posłużyć albatros. — Opał przyszłości. — Top i Jow. — Burze. — Spustoszenia. — Wycieczka do błot. — Cyrus Smith sam jeden. — Zwiedzenie studni.

Zima zbliżała się, trzeba więc było koniecznie zająć się sporządzaniem ciepłego odzienia. Ma się rozumieć, że Cyrus, nie posiadając maszyn i narzędzi do przedzenia wełny i tkania sukna, musiał poprzestać na daleko prostszym sposobie. Postanowił skorzystać z własności wełny, która przez powtarzane przewracanie i ubijanie tak ściśle płącze się, że przez samo powikłanie tworzy tkaninę, zwaną pilśnią.

Inżynier z pomocą towarzyszków urządził rodzaj folszu przy spadku wody od strony wybrzeża, następnie oczyścił wełnę z tłuszczu, naprzód przez zanurzenie na kilkanaście godzin we wrzącej wodzie, a następnie przez wymycie w wodzie z sodą. Gdy wełna była dostatecznie wysuszona, przeniesiono ją do folszu, wyrobiono z niej materiał gruby, który niewielką miałby wartość w Europie lub Ameryce, ale na rynkach wyspy Lincolna był wysoko ceniony. Służył nie tylko na ciepłą odzież, ale i na kołdry, tak, że mogli bez obawy oczekiwać zimy 1866—67 roku.

Mrozy rozpoczęły się dwudziestego czerwca, i Penkroff z zalem musiał odłożyć do wiosny dalsze roboty około budowy statku. Marynarz pragnął koniecznie zwiedzić wyspę Tabor, chociaż Cyrus nie pochwalał tej podróży, nie mającej innego celu nad zaspokojenie ciekawości. Inżynier często rozmawiał o tym z Penkroffem, lecz marynarz zawsze z uporem obstawał za tą podróżą, choć może nie byłby w stanie wytłumaczyć, dlaczego jej tak gorąco pragnie.

— Dziwi mnie to, mój przyjacielu — rzekł pewnego dnia inżynier — że ty, co tak często powtarzasz, iż z zalem opuściłbyś wyspę Lincolna, koniecznie pragniesz ją porzucić.

— Na kilka dni, panie inżynierze, na kilka dni tylko, żeby zobaczyć, co to za wysepka!

— Zapewne nie tak piękna jak nasza.

— To nie ulega wątpliwości.

— Więc po cóż chcesz do niej płynąć?

— Żeby zobaczyć, co się dzieje na wyspie Tabor.

— Nic, prawdopodobnie, gdyż, jak się zdaje, nie jest zamieszkana.

— Kto wie?

— A jeżeli spotka cię burza?

— Tego się nie ma co obawiać w pięknej porze roku. Ponieważ jednak należy być przewidującym, prosiłbym, żeby w tej podróży nie towarzyszył mi nikt, prócz Harberta.

— Penkroffie — odpowiedział inżynier, kładąc rękę na ramieniu marynarza — czy sądzisz, że nie zatruloby nam to życia, gdyby nieszczęście spotkało ciebie lub tego chłopca, który zbiegiem okoliczności stał się naszym przybranym synem?

— Panie Cyrusie — rzekł z niezłomnym przekonaniem marynarz — nie sprawimy wam tej przykrości. Zresztą pomówimy jeszcze o tej podróży, gdy nadejdzie stosowna pora, a pewny jestem, że gdy pan zobaczy nasz statek ukończony, uzbrojony, opatrzone w żagle, maszty, liny i wszystko, co potrzeba, gdy przekona się, jak zgrabnie i lekko będzie sunął po morzu, gdy na koniec wszyscy razem opłyniemy na nim dokoła wyspę, wtenczas bez wahania pozwoli pan na tę wycieczkę! O! mogę zaręczyć panu, że statek pana będzie arcydziełem!

— Wypadalo by przynajmniej powiedzieć: nasz statek — odrzekł inżynier.

Pierwszy śnieg spadł przy końcu czerwca, zdążono jednak nagromadzić w owczarni znaczne zapasy paszy. Obecnie koloniści zastawili nowe pułapki i porozkładali przynęty, w których pod powłoką z lodu i tłuszczu ukrywał się zgięty fiszbin. W rezultacie padło kilkanaście lisów, kilka dzików i jeden jaguar.

W tym czasie koloniści po raz pierwszy spróbowali porozumieć się z ludźmi. Gedeon Spilett od dawna nosił się z tym, aby powierzyć małą karteczkę gołębiowi lub w zakorkowanej dobrze butelce rzucić w morze. Zaniechał jednak tego, zważywszy, że nie podobna było przypuścić, aby gołąb lub butelka mogły przebyć przestrzeń tysiąca dwustu mil, które oddzielały wyspę od zamieszkałej ziemi. W ostatnim dniu czerwca udało się Harbertowi schwytać albatrosa, którego przedtem zranił w nogę wystrzałem z fuzji. Był to wielki ptak, którego rozpostarte skrzydła miały dziesięć stóp długości, mógł więc przebyć Ocean Spokojny.

Albatros wyleczył się wkrótce i Harbert miał ochotę zatrzymać go i obłaskawić, lecz Gedeon Spilett przełożył mu, że należy spróbować, czy za pomocą tego ptaka nie uda się

im uwiadomić mieszkańców innych ziem pobliskich o pobycie na wyspie. Harbert zgodził się na to, wiedząc, że albatros wróci tam, skąd przyleciał, a kto wie, czy nie przybył z ziemi zamieszkałej.

Być może, że w Gedeonie odezwała się żyłka dziennikarska, i pragnął przesłać krótki artykuł, streszczający przygody kolonistów wyspy Lincoln, przewidując, jak wielkiego tam narobi rozgłosu. Opisał wszystko, co się stało, treściwie na ćwiartce papieru i dołączył usilną prośbę, aby ktokolwiek znajdzie to pismo, przesłał je natychmiast do redakcji New-York-Heralda. Włożył ją w mały woreczek z gumowego płótna, następnie przywiązał nie do nogi, lecz do szyi albatrosa, gdyż ptaki te odpoczywają zwykle na powierzchni morza. Gdy wreszcie wypuścili powietrznego gońca, z widocznym wzruszeniem patrzyli, dopóki nie zniknął im z oczu, lecąc ku zachodowi.

— Dokąd on leci? — zapytał Penkroff.

— Ku Nowej Zelandii — odpowiedział Harbert.

— Szczęśliwej podróży — krzyknął marynarz nie wierzący, aby korespondencja, przesłana w ten sposób, została wręczona podług adresu.

Wraz z zimą rozpoczęły się znów roboty wewnątrz Granitowego Pałacu, a między innymi robiono żagle do nowego statku. W lipcu mrozy były bardzo silne, lecz koloniści, dzięki swej zapobiegliwości, nie potrzebowali już oszczędzać drzewa i węgla. Czas też szybko im upływał, gdy, siedząc przy kominku w wielkiej sali, zajmowali się robotą, czytaniem lub też w chwilach odpoczynku ogólną rozmową.

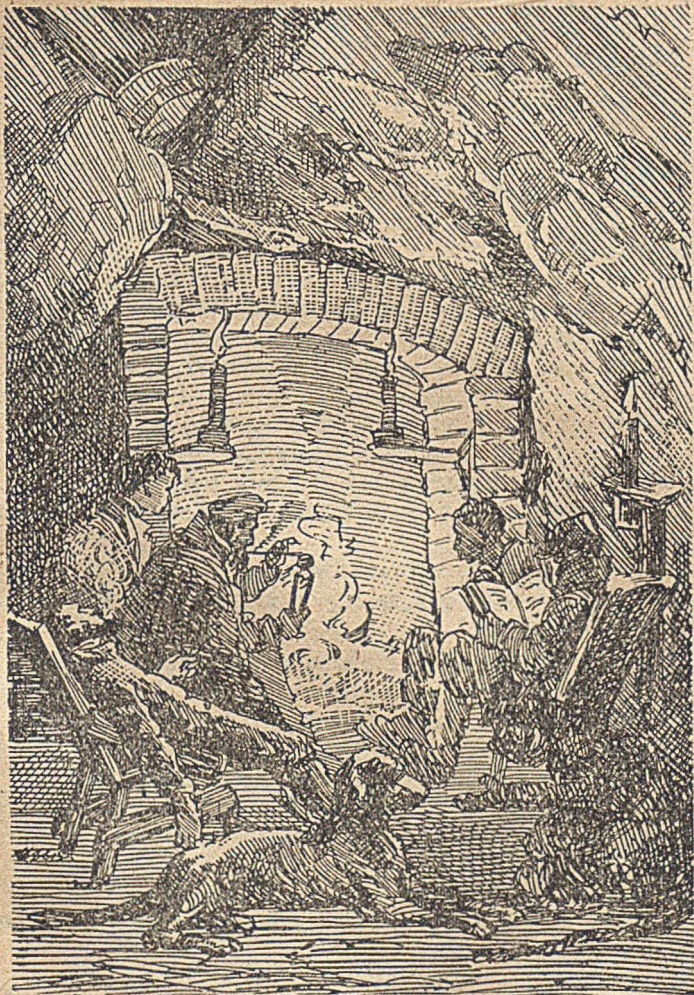
Pewnego dnia, gdy Cyrus Smit, mówiąc o przemyśle i handlu, przepowiadał mu coraz świetniejszą przyszłość, Gedeon Spilett przerwał zapytaniem:

— Zdaje mi się jednak, Cyrusie, że ten postęp przemysłu i handlu, którym tak świetną rokujesz przyszłość, może być kiedyś powstrzymany.

— Powstrzymany? Czym?

— Brakiem węgla, który słusznie uważać można za najcenniejszy z przedmiotów kopalnych.

— Tak, najcenniejszy — odpowiedział Cyrus. — Wszak sama natura, chcąc to stwierdzić, utworzyła diament, który jest tylko skryształizowanym węglem.



Czas też szybko im upływał... (str. 204).

— Ale nie chce pan zapewne utrzymywać — odezwał się marynarz — że przyjdzie czas, w którym diamenty zastąpią węgiel.

— Bynajmniej — odpowiedział inżynier.

— Wszakże nie możesz temu zaprzeczyć, że kopalnie węgla będą kiedyś całkiem wyczerpane? — mówił dalej Gedeon.

— Tak, ale jeszcze nie tak prędko, pomimo że sto tysięcy robotników wydobywa z nich co rok sto milionów cetnarów metrycznych węgla*).

— Przy wzrastającym ciągle zapotrzebowaniu węgla można przewidywać, że ilość ta wkrótce będzie podwojona.

— Bez wątpienia. Jednak przy ulepszonych nawet sposobach eksploataowania kopalni, pokłady węgla nie wystarczą na długo.

— Na jaki też mniej więcej przeciąg czasu?

— Najmniej na dwieście kilkadziesiąt do trzystu lat.

— Bardzo to jest pocieszające dla nas, ale niepomysłne dla naszych prawnuków — rzekł marynarz.

— Wynajdą sobie co innego — rzekł Harbert.

— Co też oni mogą wynaleźć? — zapytał marynarz. — Czy nie domyśla się pan tego, panie Cyrusie?

— Tylko do pewnego stopnia, mój przyjacielu.

— A więc proszę nam powiedzieć, co oni będą palili zamiast węgla?

— Wodę — odpowiedział Cyrus.

— Jak to! wodę będą palili pod kotłami parowymi, wodą będą ogrzewali wodę?

— Tak, lecz wodą, rozłożoną na jej części składowe — odpowiedział inżynier — a rozłożoną, jak się zdaje, za pomocą elektryczności, która wówczas stanie się silną, potężną i posłuszną woli człowieka. Tak, moi przyjaciele, sądzę, że kiedyś woda będzie służyła za opał, że wodór i tlen, czy to każdy osobno, czy połączone razem, staną się niewyczerpanym źródłem tak silnego ciepła i światła, jakiego nie może wydać węgiel!

— Chciałbym to widzieć — rzekł marynarz.

— Za wcześniej przyszedłeś na świat, Penkroffie — odezwał się milczący dotąd Nab.

Rozmowę przerwało głośne szczekanie Topa, który jednocześnie zaczął biegać dokoła otworu studni.

— Dlaczego znowu Top tak szczeka? — zapytał marynarz.

— A Jow tak dziwnie mruczy? — dodał Harbert.

*) Jeden taki cetnar zawiera 100 kilogramów, czyli około 246 funtów.

Rzeczywiście orangutan pobiegł także do studni, i co dziwniejsze, tak jedno jak drugie zwierzę zdawało się być więcej zaniepokojone, niż rozgniewane.

— Widocznie — rzekł Gedeon — jakieś zwierzę morskie musi przyływać niekiedy do tej studni.

— Tak — odpowiedział marynarz. — Trudno byłoby to wytłumaczyć inaczej... Cicho, Top — dodał, zwracając się do psa — a ty, Jow, wracaj do swego pokoju!

Zwierzęta zamilkły; Jow poszedł spać, lecz Top pozostał w sali i warczał przez cały wieczór. Czoło inżyniera zasępiło się widocznie. Znowu ta nierozwiązana zagadka!

Zima była łżejsza od poprzedniej, lecz ciągle wichury i burze czyniły ją bardzo przykrą. Bałwany morskie wstrząsały Kominami i piętrzyły się aż pod ściany Granitowego Pałacu, zalewając całe wybrzeże. Chociaż trudno a nawet niebezpiecznie było przebiegać drogi w czasie podobnej burzy, gdy wichry wyrwał i łamał największe drzewa, koloniści odwiedzali co tydzień owczarnię, która niewiele ucierpiała dzięki położeniu u stóp góry Franklina, służącej jej za ochronę. Natomiast kurnik i gołębnik, znajdujące się na płaszczyźnie Pięknego Widoku, znajdowały się w oplakanyh stanic. Wskutek tego koloniści, pomimo niestosownej pory roku, musieli wciąż coś naprawiać lub podpierać.

W pierwszym tygodniu sierpnia burze ustały. Jakkolwiek powietrze znacznie się oziębiło, koloniści postanowili zrobić wycieczkę do bagna Tadorno; nęciło ich wodne ptactwo. W polowaniu tym wszyscy wzięli udział z wyjątkiem inżyniera, który pozostał w domu pod pozorem, że chce skończyć jakąś robotę. Gdy tylko myśliwi w towarzystwie Topa i Jowa przeszli przez most Mercy, Cyrus spuścił go i wrócił do domu, aby spełnić to, co dawno zamierzał.

Pragnął mianowicie zwiedzić wnętrze studni, znajdującej się w Granitowym Pałacu i mającej, jak wiadomo, bezpośrednią styczność z morzem. Pragnął dowiedzieć się, czemu Top tak często biegał koło jej otworu, warcząc lub szczerkając? Czemu Jow łączył się z nim i okazywał dziwny niepokój? A może ten otwór, prostopadły, na pozór, rozciągał się poniżej i tworzył podziemne przejścia ku innym częściom wyspy? Ponieważ nie chciał niepokoić towarzyszy, postanowił przekonać się o tym w czasie ich nieobecności.

Przyciągnął do otworu studni sznurową drabinę, przywiązał mocno jednym końcem, drugi spuścił do wewnątrz, za-

palil latarnię, założył za pas kordelas, a następnie powoli zaczął się spuszczać. W ścianach jej nie znalazł nigdzie nawet wąskiej szczeliny; za to napotkał na nich dość znaczne wypukłości, po których ktoś bardzo zręczny mógłby dostać się do góry.

Cyrus Smith spuścił się aż do poziomu wody i nie znalazł nic, co by pozwalało domyślać się przejścia. Wszędzie spotykał zbitą masę granitu, przez którą nie mogła przecisnąć się najdrobniejsza istota. Wszystko to dowodziło, że do otworu studni można było dostać się tylko przez ten pionowy korytarz, wiecznie zalany wodą i bezpośrednio połączony z morzem.

Cyrus Smith wyszedł ze studni, wyciągnął drabinę, przykrył otwór i rzekł, wracając do sali:

— Nic nie znalazłem, a jednak tam coś musi być.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Zaopatrzenie szalupy w przyrządy. — Napad lisów. — Jow ranny. — Pielęgnowanie. — Jow wyleczony. — Wykończenie łodzi. — Triumf Penkroffa. — Bonawentura. — Pierwsze próby. — Niespodziewany dokument.

Myśliwi wrócili wieczorem, obciążeni zdobyczą w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, gdyż nieśli jej tyle, ile tylko czterech ludzi udźwignąć może. Nadto Top miał naszyjnik z cyranek, a Jowa opasano sznurkiem, na którym wisiały bekasy.

— Patrz, mój drogi panie — wołał Nab, spostrzegłszy Cyrusa — będzie z czego robić pasztety i konserwy, trzeba tylko, aby mi ktoś dopomógł. Liczę na ciebie, Penkroffie.

— Nie, Nabie — odpowiedział marynarz — muszę się zająć przyrządzeniem żagli, lin i wszystkiego, czego potrzeba do naszego statku. Musisz więc obejść się beze mnie.

— Więc może pan, panie Harbercie.

— Ja, Nabie, muszę jutro pójść do owczarni.

— To już chyba pan Spillet zechce mi dopomóc.

— Najchętniej, Nabie — odpowiedział reporter. — Ale muszę cię uprzedzić, że jeżeli odkryjesz mi sekrety kuchenne, to je wydrukuję.

— I owszem, panie Spilett, i owszem — odpowiedział Nab.

Tym sposobem reporter został pomocnikiem Naba i zaraz nazajutrz zaczął pełnić nowe obowiązki. Przedtem Cyrus zawiadomił go o skutku poszukiwań w studni, i obaj zgodzili się, że choć nic nie znaleziono, ukrywała się tam jakaś tajemnica.

Przez cały tydzień trwały tak tęgie mrozy, że koloniści nie mogli wyjść z domu, i przez ten czas marynarze z Harbertem pracowali tak gorliwie, że wykończyli wszystkie żagle, liny, bloki i inne przyrządy okrętowe. Penkroff zrobił nawet flagę niebieską, czerwoną i białą, korzystając z barwników, znalezionych w roślinach; tylko do połyskujących na banderach okrętów amerykańskich trzydziestu siedmiu gwiazd, przedstawiających Stany Unii, dodał trzydziestą ósmą „Stanu Lincolna“. Wyspę uważał już jako należącą do wielkiej Rzeczypospolitej. Tymczasem wywieszono flagę w oknie Granitowego Pałacu, a koloniści powitali ją potrójnym: wiat!

Zima już się skończyła, i zdawało się, że minie bez żadnego ważniejszego wypadku, gdy jedenastego sierpnia w nocy płaszczyzna Pięknego Widoku o mało co nie uległa spustoszeniu.

Koloniści spali głęboko. Około czwartej rano obudziło ich głośnie szczekanie Topa. Nie szczekał przy otworze studni, lecz przy drzwiach, skacząc na nie, jakby je chciał otworzyć, a Jow ze swej strony wydawał piskliwe odkrzyki.

— Co ci się stało, Topie? — zapytał Nab, przebudzony pierwszy.

Pies w odpowiedzi głośnie jeszcze zaczął szczekać.

— Co to takiego? — rzekł Cyrus i zerwał się z posłania.

Wszyscy poszli za jego przykładem i, ubrawszy się na prędko, pootwierali okna i wyjrzeli. Tak było ciemno, że za ledwie mogli dojrzeć śnieg, leżący na ziemi, za to usłyszeli dziwne szczekanie, dowodzące, że na wybrzeżu znajdują się zwierzęta, których nie mogli dojrzeć.

— Co to być może? — zapytał Penkroff.

— Wilki, jaguary lub małpy — odpowiedział Nab.

— Do licha! Mogą dostać się także na płaszczyznę — rzekł reporter.

— A nasz kurnik, nasze pole i ogród! — zawołał Harbert.

— Którędy one przeszły? — rzekł Penkroff.

— Zapewne ktoś zapomniał spuścić most nad strumieniem — odpowiedział inżynier.

— Rzeczywiście — odpowiedział Spilett — przypominam sobie, że go otworzyłem...

— To dopiero narobił nam pan bigosu! — odezwał się marynarz.

— Co się stało, tego już nie cofniemy — odpowiedział Cyrus. — Pomyślmy lepiej, co teraz wypada zrobić.

Nie ulegało wątpliwości, że na wybrzeżu były zwierzęta, które z lewego brzegu Mercy mogły dostać się na płaszczyznę, trzeba więc uprzedzić je i wypędzić choćby z bronią w rękę.

— Ale co to mogą być za zwierzęta? — zapytał ktoś powtórnie wtenczas właśnie, gdy znów głośniejsze rozległo się szczekanie.

Harbert zdrzął. Przypomniał sobie, że słyszał już takie szczekanie w czasie wycieczki do Czerwonego Strumienia.

— To lisy! — zawołał.

— Naprzód! — krzyknął marynarz.

Koloniści, uzbrojeni w siekiery i karabiny, spuścili się na dół, i choć spotkanie z tym gatunkiem lisów jest niebezpieczne, jeżeli są w znacznej liczbie i do tego głodne, nie wahałi się rzucić na zwierzęta, które też po pierwszych wystrzałach cofnęły się nieco. Szło głównie o to, aby lisy znalazły zapórę na wąskim kawałku wybrzeża, pomiędzy rzeką a granitową ścianą; tam też na rozkaz Cyrusa pobiegli koloniści i stanęli rzędem w pewnych odstępach. Top szedł naprzód, pokazując groźne zęby, a tuż za nim podążał Jow, wywijając grubym sękatym kijem jakby maczugą. Noc była tak ciemna, że koloniści tylko przy błysku wystrzałów mogli widzieć napastników, których musiało być najmniej stu; oczy ich w ciemności świeciły się jak rozżarzone węgle.

— Nie można ich tu wpuścić — wołał Penkroff.

— Nie wpuścimy — odpowiedział inżynier.

Jeżeli jednak nie wtargnęły na płaszczyznę, to nie z braku chęci. Ostatnie szeregi pchały naprzód pierwsze i zdawało się, że liczba lisów nie zmniejsza się wcale, chociaż wybrzeże musiało już być zaślane ich trupami.

Wkrótce rozwścieczone zwierzęta zaczęły rzucać się na broniących im wstępu, którzy jednak szczęśliwie lekkie tylko ponieśli rany. Jeden z lisów zginął na plecach Naba;

Harbert spostrzegł iskrzące się jego oczy, przyłożył mu do łba strzelbę i wystrzelił. Top walczył z największą zajądłością i dusił przeciwników, chwytając zębami za gardło; a Jow, którego wzrok, jak widać, przebijał ciemności, biegł, gdzie było najwięcej napastników, i gruchotał im kości swą pałką, wydając za każdym uderzeniem ostre gwizdnięcie, co było u niego oznaką wielkiej radości. Przy blasku wystrzału widziano go, jak z zimną krwią walczył z kilku otaczającymi go dokoła zwierzętami.

Po dwugodzinnej walce, zwycięstwo przechyliło się na stronę kolonistów, gdyż, jak tylko świtać zaczęło, lisy zaczęły ustępować z placu i uciekać przez mostek, który następnie Nab spuścił co prędzej.

— A Jow — zawołał nagle Penkroff — gdzie Jow?

Jow zniknął gdzieś, a chociaż Nab przywoływał go głośno, nie przybiegł na jego wołanie.

Wszyscy zaczęli szukać Jowa, lękając się, czy nie zginął. Znaleziono go wśród stosu zabitych lisów, których pogruchothane czaszki i żebra świadczyły, z czyjej zginęły ręki. Biedny Jow trzymał jeszcze w ręku kawałek pałki. Pozbawiony broni uległ przemocy, czego dowodziły zresztą głębokie na piersiach rany.

— Żyje jeszcze! — wykrzyknął klęczący przy nim murzyn.

— I wyleczymy go — zawołał marynarz — będziemy go pielęgnowali tak starannie, jak gdyby był człowiekiem,

Można było sądzić, że Jow zrozumiał te słowa, bo oparł łeb na jego ramieniu, jakby mu chciał podziękować. Nab i Penkroff przenieśli go na rękę aż do windy, posadzili na świeżym, miękkim posłaniu i starannie obmyli jego rany. Zdawało się, że żaden z ważniejszych organów nie był uszkodzony, ale Jow był bardzo osłabiony z powodu utraty krwi — dostał silnej gorączki. Opatrzono troskliwie rany orangutana, poddanego surowej diecie, przygotowano do picia chłodzący napój, słowem, według wyrażenia Naba, obchodzono się z nim, jak z prawdziwym chorym.

Gdy Jow zasnął, wszyscy oddalili się, aby nie przerywać mu snu, a od czasu do czasu Top przybiegał cichutko, aby odwiedzić przyjaciela, i gdy Jow przez sen spuścił jedną rękę, zaczął ją lizać, jakby tym sposobem chciał mu okazać współczucie.

Tego samego dnia wykopano głęboki dół w lesie i wrzuciono w niego zabite zwierzęta. Koloniści od tego czasu nie położyli się nigdy, dopóki jeden z nich nie przekonał się, czy wszystkie mosty są opuszczone.

Przez kilka dni obawiano się bardzo o Jowa, w końcu jednak silna natura jego przemogła, gorączka zmniejszała się, a Gedeon Spilett, który znał się trochę na medycynie, oświadczył, że niebezpieczeństwo już minęło.

Gdy Jow zaczął jeść, Nab przyprowadził mu różne przysmaczki, które chory zjadał z widoczną przyjemnością, gdyż łakomstwo było główną wadą, z której Nab nie starał się nigdy wyleczyć faworyta.

— Co pan chce — mówił do Gedeona, gdy ten łąał go, że psuje Jowa — ten biedny Jow nie ma innej przyjemności nad tę, że czasem zje coś smacznego, a mnie też przyjemnie, że choć tym sposobem mogę go wynagrodzić za oddawane nam usługi.

Po dziesięciu dniach Jow zaczął już wstawać. Rany jego zablizniły się, i można było przewidzieć, że niedługo odzyska dawniejszą zwinność i siły. Jak wszyscy przychodzący do zdrowia, miał ogromny apetyt. Nab powtarzał, przynosząc mu różne smaczne kąski:

— Przełałeś za nas krew swoją, więc też my powinniśmy postarać się o to, aby ci nowej przybyło.

Dwudziestego piątego sierpnia koloniści, zgromadzeni w wielkiej sali, usłyszeli głośnie wołanie Naba:

— Panie Cyrusie, panie Gedeonie, panie Harbercie, Penkroffie, chodźcie tu, chodźcie tu, tylko prędko!

Wszyscy zerwali się i pobiegli na wezwanie Naba.

— Cóż się stało? — zapytał reporter.

— Patrzcie, panowie — rzekł z głośnym śmiechem, wskazując ręką.

Jow siedział na progu Granitowego Pałacu ze zgiętymi jak Turek nogami, i poważnie palił fajkę.

— Moja fajka! — zawołał Penkroff — moja własna fajka! O! chętnie ci ją daruję, mój pocziwy Jowie! Pal, mój przyjacielu, pal!

Jow wypuszczał poważnie wielkie kłęby dymu, co, jak się zdawało, nieopisaną sprawiało mu uciechę. Nie zadziwiała to bynajmniej Cyrusa, który też zaraz oświadczył Penkroff

fowi, że nie ma nic w tym nadzwyczajnego, gdyż widział już oswojone małpy, namiętnie lubiące tytoń.

Odtąd Jow miał swoją własną fajkę i swój tytoń; sam ją nakładał, sam zapalał rozżarzoną węglem i zdawał się być najszczęśliwszym z czwororęcznych stworzeń.

— Może to człowiek — mówił niekiedy marynarz do Naba. — Czyby cię to bardzo zdziwiło, gdyby kiedy przemówił do was?

— Bynajmniej — odpowiedział murzyn. — Więcej mnie to dziwi, że dotąd nie przemówił.

— Jakby to było zabawne — dodawał marynarz — gdyby kiedy rzekł do mnie: pomieniajmy się na fajki, Penkroffie!

— To prawda — mówi Nab. — Jakaż to szkoda, że jest niemy z urodzenia!

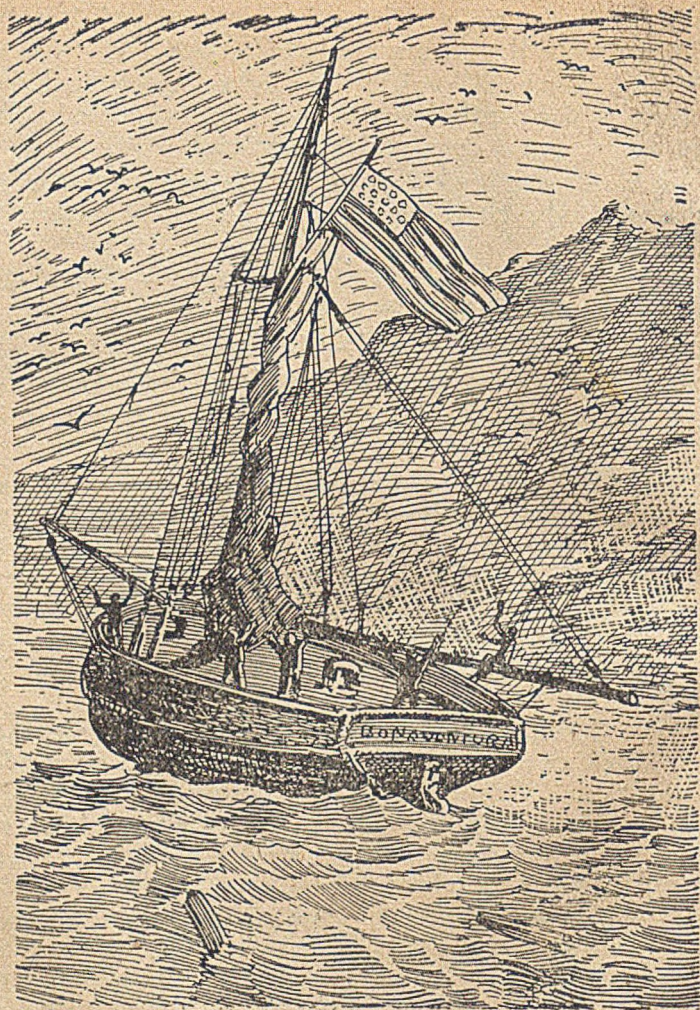
Zima skończyła się we wrześniu, i zaraz rozpoczęto roboty poza domem. Budowa statku postępowała szybko, pomost już był ułożony, pokryto szkielet statku klepkami, które za pomocą pary wodnej uczyniono tak giętkimi, że mogły się giąć stosownie do jego kształtu. Ponieważ drzewa było pod dostatkiem, Penkroff zaproponował inżynierowi, aby wewnątrz wyłożyć jeszcze deskami, przez co statek stanie się daleko trwalszym.

Cyrus Smith zgodził się na to chętnie, gdyż nie mógł przewidzieć, czy w tym statku nie wypadnie im odbyć długiej podróży.

Wszystkie, choćby najmniejsze, szpary pozapychano starannie wysuszoną trawą morską, a następnie zalano wrzącą smołą, której dostarczyły im sosny.

Za balast służyły odłamy granitu, pospajane wapnem, których ciężar razem wynosił około dwunastu tysięcy funtów. Ponad balastem w pewnej odległości umieszczono pomost, a przestrzeń pod nim podzielono na dwie kajuty, do których wchodziło się przez drzwiczki, umieszczone w pokładzie.

W pierwszym tygodniu października wykończono maszty, reje, wiosła i wszystko, czego jeszcze brakowało. Postanowiono wypróbować najpierw statek przy brzegach wyspy, aby zobaczyć, jak się będzie trzymał na morzu i czy można mu zaufać.



Dziesiątego października zepchnięto statek na sam brzeg rzeki, skąd już w czasie przyptywu morza uniosły go fale... (str. 214).

Dziesiątego października zepchnięto statek na sam brzeg rzeki, skąd już w czasie przyptywu morza uniosły go fale, przy radosnych okrzykach kolonistów, a szczególnie Pen-

kroffa, który otwarcie pysznił się swym dziełem i spadając na niego godnością. Miał być przecież kapitanem!

Aby zadowolić kapitana Penkroffa, trzeba było, nie zwlekając, nadać nazwę jego statkowi: wszyscy uznali za rzecz stosowną, aby nosił chrzestne imię zacnego marynarza — Bonawentura.

Czas był śliczny i wiatr pomyślny, postanowiono więc wypróbować szalupę tego samego dnia. Po zjedzeniu śniadania zabrali z sobą trochę żywności i o dziesiątej godzinie już znajdowali się na pokładzie. Nab i Harbert podnieśli kotwicę, na szczycie masztu ukazała się amerykańska bandera. Bonawentura wypłynął na pełne morze, i z głębokim zadowoleniem pasażerowie przekonali się, że statek nadaje się wybornie do żeglugi.

— Jakże nasza wyspa jest piękna! — zawołał Harbert, gdy statek oddalił się może o cztery mile od jej brzegów, tak, że można było objąć jednym rzutem oka piękną i tak urozmaiconą panoramę jej wybrzeży, od przylądka Szponów do wznęzistego przylądka Gadu wraz z pysznymi lasami, w których, na ciemnym tle drzew iglastych, odbijały się malowniczo młodziutkie listki innych drzew, i górą Franklina, wznoszącą dumnie w dali ubielony śniegiem szczyt.

— Tak, nasza wyspa jest piękna i dobra — odpowiedział marynarz. — Kocham ją, jak kochałem moją matkę! Ona przytułiła nas do siebie biednych, pozbawionych wszystkiego. A czegoż teraz brak pięciu synom, którzy jej spadli jakby z nieba?

— Niczego, kapitanie, niczego — odpowiedział Nab.

— Jakże, panie Cyrusie — zapytał po chwili Penkroff — czy jest pan zadowolony z naszego statku?

— Zupełnie — odpowiedział inżynier.

— Wybornie! A czy sądzi pan teraz, że można przedsięwziąć dłuższą podróż?

— Jaką podróż, Penkroffie?

— Na wyspę Tabor — odpowiedział marynarz.

— Mój przyjacielu — rzekł Cyrus — nie wahałbym się przebyć na Bonawenturze nawet większej przestrzeni, gdyby tego była potrzeba, ale byłoby mi przykro, gdybyś popłynął do wyspy Tabor bez żadnego celu.

— Warto zawsze znać swoich sąsiadów — odrzekł Penkroff — a wyspa Tabor jest naszą sąsiadką i do tego jedyną. Sama grzeczność nakazuje, abyśmy jej złożyli wizytę.

— Do licha! — rzekł Gedeon Spilett. — Nasz przyjaciel Penkroff trzyma się ściśle przepisów etykiety.

— Ja się niczego nie trzymam — odparł marynarz, rozdrażniony trochę oporem inżyniera, a nie chcący pomimo to sprawić mu przykrości.

— Pomyśl i o tym, Penkroffie, że nie mógłbyś sam płynąć do wyspy Tabor.

— Wystarczy mi tylko jeden towarzysz.

— A więc — odpowiedział inżynier — nie lękasz się narazić naszej kolonii na stratę dwu z pięciu jej członków.

— Ależ tu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, panie Cyrusie — rzekł marynarz.

— Być może, Penkroffie, jednak powtórzę ci raz jeszcze, że narażałbyś się bez potrzeby.

Marynarz nie przedłużał więcej rozmowy, lecz zamierzał rozpocząć ją później. Nie wiedział o tym, że wypadek przyjdzie mu z pomocą, zamieniając niczym nieuzasadnioną zachciankę na dzieło miłosierdzia.

Statek zbliżył się znów do brzegu i zmierzał do portu Balonu, gdzie wypadało poznać dokładnie przejście między ławami piasku i rafami i w razie potrzeby poumieszczać znaki ostrzegające.

O pół mili od brzegu wiatr, powstrzymywany w części przez wzgórza, ucichł prawie zupełnie, i statek posuwał się dość wolno. Harbert, stojący na przodzie, i wskazujący, jaką płynąć drogą, aby wyminąć skały, zawołał nagle:

— Z wiatrem Penkroffie, z wiatrem!

— Czemu? — zapytał marynarz, wstając. — Czy płyniemy na skały?

— Nie... nie widzę dobrze... — rzekł Harbert... Trochę bliżej brzegu... Teraz dobrze!...

Harbert, mówiąc to, przechylił się i zanurzył rękę w wodzie.

— Butelka! — rzekł, prostując się.

Trzymał w ręce zakorkowaną butelkę, którą zaraz oddał inżynierowi. Cyrus utracił szyjkę, wyjął z butelki wilgotny kawałek papieru, i przeczytał:

„Rozbitek... Wyspa Tabor: 153^o dł. Z. — 37^o 11' sz. P.“

ROZDZIAŁ XXXV.

Wyjazd postanowiony. — Przypuszczenie. — Przygotowanie. — We trzech. — Pierwsza noc. — Druga noc. — Wyspa Tabor. — Poszukiwania na wybrzeżu. — W lasach. — Nikogo. — Zwierzęta i rośliny. — Chata.

— Rozbitek! — zawołał Penkroff — opuszczony, o paręset mil od nas, na wyspie Tabor! A, panie Cyrusie, teraz nie będzie się już pan sprzeciwiał mojej podróży!

— Nie, Penkroffie, życzę sobie nawet, abyś wypłynął jak najprędzej.

— Może jutro?

— Tak, jutro.

Inżynier trzymał jeszcze papier, wyjęty z butelki; przyglądał mu się przez pewien czas, a potem mówił dalej:

— Z tego dokumentu, przyjaciele moi, trzeba wnosić: po pierwsze, że ten, co go pisał, musi posiadać dość rozległe wiadomości, przynajmniej o rzeczach, dotyczących marynarki, skoro potrafił tak dokładnie oznaczyć długość i szerokość geograficzną wyspy; po wtóre, że jest Amerykaninem lub Anglikiem, gdyż dokument napisany jest po angielsku.

— Tak przynajmniej wypada — odpowiedział Gedeon. — Z drugiej strony obecność tego rozbitka tłumaczy nam, skąd się wzięła znaleziona przez nas skrzynia. Gdzie jest rozbitek, tam musiało koniecznie być rozbicie. Co zaś do tego nieszczęśliwego, powinien dziękować Bogu, że natchnął Penkroffa myślą zbudowania tego statku, a następnie wypróbowania go dziś właśnie, gdyż może jutro już butelka rozbiłaby się o skały.

— Rzeczywiście — rzekł Harbert — jest to traf bardzo szczęśliwy, że statek nasz płynął około tego miejsca wtenczas właśnie, gdy butelka unosiła się jeszcze na powierzchni wody.

— Czy się to nie wydaje dziwnym, Penkroffie? — zapytał Cyrus.

— Uważam to jedynie za szczęśliwy wypadek — odpowiedział marynarz. — Czy pan widzi w tym co nadzwyczajnego, panie Cyrusie? Przecie ta butelka musiała gdzieś popłynąć. Cóż więc dziwnego, że przyplłynęła tu, zamiast gdzie indziej?

— Może masz słusność, Penkroffie, a jednak...

— O ile mi się zdaje — rzekł Harbert — nie można wnosić, że ta butelka już od dawna była wrzucona w morze.

— Masz słuszość — odpowiedział Gedeon. Zdaje się nawet, że ten dokument niedawno napisano. Jak sądzisz, Cyrusie?

— Trudno o tym coś powiedzieć, a zresztą wkrótce się dowiemy.

Penkroff nie próżnował w ciągu tej rozmowy. Zmienił kierunek, i Bonawentura z rozpiętymi żaglami płynął szybko ku przylądkowi Szponów. Wszyscy myśleli o nieszczęśliwym rozbitku na wyspie Tabor, czy jeszcze żyje, czy nie za późną będzie ich pomoc? Wprawdzie i oni byli tylko rozbitkami, ale prawdopodobnie on nie był tak szczęśliwy, jak oni, a więc obowiązkiem ich było śpieszyć na pomoc nieszczęśliwemu.

Okolo godziny czwartej zarzucono kotwicę przy ujściu Mercy. Tegoż dnia postanowiono, że Penkroffowi będzie towarzyszył Harbert, jako najlepiej umiejący kierować statkiem. Odpłynąwszy rano, 11 października, będą mogli przy panującym pomyślnym wietrze dopłynąć 13-go do wyspy, gdzie zatrzymają się przez jeden dzień. W ten sposób nie prędzej jak 17 lub 18 zarzucą znów kotwicę przy brzegach wyspy Lincolna. Czas był piękny, wiatr pomyślny, barometr podnosił się zwolna, wszystko zdawało się sprzyjać tym zacnym ludziom, których poczucie obowiązku odciągało tak daleko od przyjaciół i domu.

Powiedzieliśmy wyżej, że Cyrus, Nab i Gedeon mieli pozostać w Granitowym Pałacu. Ale w Gedeonie Spilecie odezwała się znów żyłka dziennikarska i oświadczył stanowczo, że jeżeli go nie wezmą na pokład, gotów wplaw się rzucić, byle nie pominąć tak dobrej sposobności do zebrania ciekawych szczegółów do artykułu, który kiedyś zamieści na szpaltach New-York-Heralda. Tego jeszcze wieczora przeniesiono na statek potrzebne sprzęty, naczynia, broń i naboje, busole, żywność na osiem dni. Gdy wszystko już było na swoim miejscu, koloniści udali się na spoczynek.

Nazajutrz o piątej rano pożegnali się i wsiadli na statek; Penkroff podniósł kotwicę i skierował Bonawenturę ku przylądkowi Szponów, który trzeba było minąć, aby następnie posuwać się wprost na południowy-zachód.

Przez cały ranek żeglarze widzieli wyspę Lincolna. W miarę, jak się oddalali, wydawała im się coraz mniejszą; w odległości dziesięciu mil wyglądała już tylko jak kosz zieleni, a w trzy godziny później całkiem znikła z widnokregu.

Statek posuwał się lekko i szybko, Penkroff przy pomocy busoli płynął ciągle w prostym kierunku. Od czasu do czasu Harbert zastępował go przy rudlu i tak dobrze wywiązywał się ze swego zadania, że marynarz nie mógł mu nic zarzucić. Gedeon Spilett nie wymawiał się także od żadnej pracy, więc kapitan Penkroff był zupełnie zadowolony z podwładnych.

Noc i następny dzień przeszły bez żadnego wypadku, do wieczora statek przepłynął około stu dwudziestu mil. Choć wiatr był słaby, podróżni mieli nadzieję, że nazajutrz o świcie, jeżeli tylko w dobrym płynęli kierunku, zobaczą wyspę Tabor. Żaden z nich nie zmrużył oka tej nocy, oczekując z niepokojem świtu, a w myśli ich snuły się różne pytania: czy są już blisko wyspy Tabor? Czy jeszcze dotąd znajduje się na niej ten, któremu śpieszą na ratunek? Co to za człowiek? Czy obecnością swoją nie zamąci spokoju kolonii, w której dotąd panuje taka jedność? Wszystkie te pytania spędziły sen z ich powiek. Zaledwie dzień zaczęło, wyteżali wzrok, czy nie zobaczą wyspy.

— Ziemia! — zawołał wreszcie Penkroff około szóstej godziny rano.

Ponieważ trudno było przypuścić, aby marynarz mógł pomylić się co do tego, towarzysze jego z radością przyjęli tę wiadomość, zapewniającą ich, że za kilka godzin będą mogli wylądować.

O jedenastej z rana zeglarze byli już tylko o dwie mile od wyspy, czyli raczej wysepki, jak ją nazwał Harbert, patrząc się jej lepiej, i mogli już rozróżnić grupy rozmaitych drzew. Dziwiło ich, że nie dostrzegali nigdzie dymu, a na wybrzeżu żadnego sygnału, pozwalającego wnosić, że znajduje się tu człowiek i wzywa pomocy przepływających statków. Dokument jednak, znaleziony w butelce, nie pozwalał wątpić o tym.

Statek przesuwiał się ostrożnie przez wąskie przesmyki między skałami, które Penkroff śledził bacznie, stojąc na przodzie statku, gdy tymczasem Harbert zastępował go przy rudlu. Na koniec około południa zbliżono się do piaszczystego wybrzeża, zwinięto żagiel i zarzucono kotwicę. Osada wysiadła na ląd, zabrawszy z sobą broń, i udała się do wzgórza wysokiego na trzysta stóp mniej więcej, a wznoszącego się o pół mili od brzegu.

— Z wierzchołka tego wzgórza — rzekł Gedeon Spillett — będziemy mogli powziąć wyobrażenie o całości wyspy, co ułatwi nasze poszukiwania.

— Zrobimy więc tutaj to, co pan Cyrus zrobił na naszej wyspie — rzekł Harbert.

— Tak, bo to najlepszy sposób — odpowiedział Gedeon.

Tak rozmawiając, szli brzegiem łąki, kończącej się u stóp wzgórza. Stada gołębi skalnych uciekały przed nimi, a w lesie, ciągnącym się po lewej stronie, słyszeli szum potrącanych gałęzi krzaków, co kazało domyślać się obecności płochliwych zwierząt. Oprócz tego nic dotąd nie pozwalało przypuszczać, że wyspa była zamieszкана.

Z łatwością dostali się na wierzchołek i, obejrawszy się dokoła, przekonali się, że wysepka ma kształt wydłużonego owalu, że nigdzie nawet przez lunetę nie można dostrzec nic, prócz morza.

Wysepka, całkiem pokryta lasem, nie odznaczała się taką różnorodnością krajobrazu, jak wyspa Lincolna, wszędzie tylko jednostajna zieloność, ponad którą unosiły się szczyty kilku niezbyt wysokich wzgórz. Strumień, płynący przez obszerną łąkę, przerzynał w poprzek wysepkę i wpadał do morza na zachodzie.

— Mała to wysepka — rzekł Harbert — nie ma więcej jak sześć mil angielskich obwodu.

— Tak — odpowiedział Penkroff — byłaby dla nas zbyt ciasna.

— A co więcej — dodał reporter, — wydaje się całkiem niezamieszкана.

— Rzeczywiście — odpowiedział Harbert. — Zejdźmy jednak i szukajmy.

Wrócili na to miejsce, gdzie Bonawentura stał na kotwicy, chcieli bowiem zwiedzić dokładnie brzegi wyspy, zanim zapuszczą się w głąb. Idąc ku południowi, płoszyli stada wodnych ptaków i fok, które, z daleka spostrzegając ich, rzucały się w morze.

— Jest to najlepszy dowód, że te zwierzęta nie po raz pierwszy widzą człowieka: budzi w nich obawę, a więc go znają.

W ciągu trzech godzin obeszlą wyspę dokoła i wszędzie spotykali na wybrzeżu piasek i skały, a poza nimi w głąb wyspy ciągnął się gęsty las. Nic nie świadczyło o bytności czło-

wieka, i trzeba było wnosić, że wyspa Tabor nie była nigdy, a przynajmniej teraz zamieszkała. Któż mógł wiedzieć zresztą, czy dokument nie był pisany kilka miesięcy, nawet kilka lat temu. W takim razie ten, który go pisał, mógł już odplynieć na jakim okręcie lub umrzeć z głodu i z nędzy.

Nasi podróżni czynili te przypuszczenia na pokładzie statku, gdzie pośpiesznie zjedli obiad. Następnie wyszli na ląd i rozpoczęli znów poszukiwania w lesie. Za ich zbliżaniem pierzchało na wszystkie strony mnóstwo zwierząt, w których poznawali głównie, a nawet prawie wyłącznie, kozy i świnie, należące do gatunków europejskich; to doprowadziło ich na myśl, że okręt musiał zabląkać się tu niegdyś i pozostawił je na wyspie, gdzie szybko się rozmnożyły. Harbert postanowił schwytać żywcem przynajmniej po jednej parze i przewieźć na wyspę Lincolna.

Pewniejszym jednak dowodem, że ludzie przebywali już na tej wyspie, były ścieżki, utorowane w lesie i pnie drzew, pościnanych siekierą. Pnie te jednak dziś gnijące, musiały już tam leżeć od wielu lat; ślady od uderzeń sickiery porosły już mchem, a na ścieżkach rosła bujna trawa.

— Wszystko, co tu widzimy — rzekł Gedeon Spilett — dowodzi nie tylko, że ludzie kiedyś tu byli, lecz jeszcze, że tu mieszkali przez pewien czas. Teraz zachodzi tylko pytanie, co to byli za ludzie, ilu ich było i ilu zostało?

— W znalezionym dokumencie jest wzmianka o jednym tylko — rzekł Harbert.

— Którego znaleźć musimy, jeżeli tylko znajduje się jeszcze na wyspie — dodał marynarz.

Doszli wreszcie do strumienia i tam ujrzeli kawałek ziemi, widocznie uprawianej niegdyś; rosły na niej jeszcze różne dziczące warzywa. Harbert nie posiadał się z radości, gdy poznał ziemniaki, kapustę, marchew, rzodkiew, które tak łatwo będzie mógł przewieźć i rozmnożyć na wyspie Lincolna.

— Wybornie! — rzekł Penkroff. — Gdybyśmy nawet nie znaleźli tu nikogo, to i tak podróż nasza nie będzie bez korzyści, Bóg nagradza nas tym sposobem za nasze dobre chęci.

— Bez wątpienia — odpowiedział Gedeon. — Ale stan, w jakim znajduje się obecnie ten warzywny ogród, każe wnosić, że wysepka jest całkiem niezamieszkała.

— Ma pan słuszność — odrzekł Harbert — gdyż w przeciwnym razie nie zanedbano by uprawy tak pożytecznych roślin.

— Tak — rzekł Penkroff — widocznie przybyliśmy za późno...

— W takim razie należy przypuścić, że znaleziony przez nas dokument był już dawno napisany?

— Być może — odpowiedział Penkroff. — Ale noc się zbliża, i czas już zawiesić nasze poszukiwania.

— Tak, wracajmy na statek — rzekł reporter — a jutro rozpoczniemy je na nowo.

Już mieli odejść, gdy Harbert dostrzegł o kilkanaście kroków dalej coś w rodzaju budynku wśród drzew. Pobiegł zobaczyć, co to być mogło, i zawołał:

— To chatka!

Penkroff i Spilett pobiegli natychmiast. Pomimo zmroku rozpoznali, że chata była zbudowana z desek, pokrytych grubym, nasyconym smołą płótnem. Marynarz popchnął drzwi i śpiesznie wszedł do wnętrza.

Chata była pusta!

ROZDZIAŁ XXXVI.

Co znaleziono. — Noc. — Kilka listów. — Dalsze poszukiwania. — Straszne niebezpieczeństwo. — Harbert. — Na brzegu. — Odjazd. — Niepogoda. — Instynktownie. — Zgubienie drogi. — Światło w porę.

W chacie było ciemno. Podróżni stali chwilę w milczeniu, poczem Penkroff zawołał głośno:

— Jest tu kto?

Nie było odpowiedzi. Marynarz skrzesał ognia i zapalił suchą gałązkę. Przy jej świetle ujrzano małą izbę, jak się zdawało, całkiem opuszczoną, w głębi której znajdował się komin z wystygłym już popiołem i kilku kawałkami drzewa. Penkroff rzucił na nie zapaloną gałązkę, drzewo zapaliło się i żywy płomień oświetlił wkrótce izdebkę.

Spostrzegli wówczas łóżko, a na nim poótkłe od wilgoci poduszki i kołdry, co dowodziło, że już dawno nikt na nim nie spoczywał. W jednym rogu komina leżały, rdzą pokryte, dwa żelazne garnki i kociołek; przy ścianie stała szafa, a w niej

wisiał na pół zbutwiałe marynarskie ubranie; na stole leżało cynowe nakrycie na jedną osobę i biblia. W kącie izby stały narzędzia robocze, jak motyka, łopata, drąg żelazny i dwie strzelby myśliwskie, z których jedna zepsuta. Na półce, przybitej do ściany, stała baryłka prochu, druga śrutu i kilka pudełek z wędkami. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, na którą zapewne całe lata się składały.

— Pustka — rzekł reporter.

— I zdaje się, od dawna nikt tu nie mieszka — dodał Harbert.

— Panie Spilett — odezwał się Penkroff — sądząc, że lepiej będzie, jeżeli, zamiast wracać na statek, przepędzimy tu dzisiejszą noc.

— Masz słuszność — odpowiedział Spilett — tym bardziej, że choćby gospodarz domu wrócił, nie rozgniewa się o to, że nas tu zastał.

— Nie wróci już — rzekł marynarz.

— Czy sądzisz, że opuścił wyspę?

— Nie. Gdyby ją opuścił, zabrałby z sobą broń i sprzęty, bo wie pan dobrze, jak wielką cenę przywiązuje każdy robotnik do tych rzeczy, które dla niego były prawdziwym skarbem. Nie! — powtórzył marynarz z głębokim przekonaniem — on jest dotąd jeszcze na wyspie... żywy lub umarły. Jeżeli umarł, to nie podobna przypuścić, aby się sam pochował, znajdziemy więc przynajmniej jego kości.

Korzystając z zapasu drzewa, leżącego w chacie, dolożyli go do ognia, aby na wszelki wypadek nie pozostać w ciemności, zamknęli drzwi i, usiadłszy na ławie, postanowili tak doczekać rana. Znajdowali się w takim usposobieniu, że, gdyby drzwi otworzyły się nagle i ktoś stanął przed nimi, nie zdziwiłoby ich to wcale, pomimo, że w mieszkaniu wszystko trąciło pustką; byliby wyciągnęli ręce na powitanie nieznanego przyjaciela, któremu przybyli na pomoc.

Czuwającym noc wydawała się nadzwyczaj długą. Jeden tylko Harbert spał przez parę godzin za namową reportera, który wiedział o tym, że w tym wieku sen jest bardzo potrzebny. Wszystkim pilno było skończyć rozpoczęte poszukiwania odnalezienia właściciela chaty, jeżeli dla niewiadomych im przyczyn przeniósł się w inną stronę wyspy, lub przynajmniej pochować po chrześcijańsku jego zwłoki.

Dzień zaświtał wreszcie, i mogli przyjrzeć się dokładnie chacie. Zbudowana była na zboczcu małego wzgórza, pod osło-

na kilku drzew akacji. Wycięta wprost jej okien, dość szeroka i prosta droga odsłaniała widok na morze. Na pierwszy rzut oka można było domyśleć się, że za materiał do zbudowania chaty służyły deski z rozbitego okrętu, a nie podobna już było wątpić o tym, że Spilet, obchodząc dokoła chatę, spostrzegł na jednej z desek na pół zatarte już litery:

BR. TAN. A.

— Brytania — rzekł przywołany tam Penkroff — jest to nazwa, wspólna bardzo wielu statkom; trudno więc domyśleć się nawet, czy był angielski czy amerykański.

— Mniejsza o to, Penkroffie.

— Tak, mniejsza o to — odpowiedział marynarz — bo jeżeli ktoś z jego osady pozostał dotąd przy życiu, zabierzemy go z sobą, nie pytając o jego narodowość! Zanim jednak rozpoczniemy dalsze poszukiwania, powróćmy na chwilę na pokład *Bona w entury*.

Towarzysze zgodzili się i we dwadzieścia minut później byli już na wschodnim wybrzeżu, gdzie statek stał na kotwicy. Penkroff odetchnął swobodniej, ujrawszy go, gdyż pomimo, że sam uważał to za nieprawdopodobne, przychodziła mu jednak myśl, że jeżeli ktoś znajduje się na wyspie, to mógłby przywłaszczyć sobie *Bona w enturę* i odpłynąć, pozostawiając na wyspie prawych właścicieli.

Weszli na statek i zjedli tak obfite śniadanie, że mogli bezpiecznie czekać do wieczery. Następnie puścili się na dalsze poszukiwania. Gdy jednak przez kilka godzin trudzili się na próżno, doszli do przekonania, że jeżeli nieszczęśliwy rozbitek zakończył na wyspie życie, to dzikie zwierzęta musiały pożreć nawet jego kości.

— Odpłyniemy stąd jutro o świcie — rzekł Penkroff do towarzyszy, odpoczywając wraz z nimi około godziny drugiej w cieniu sosen.

— Sądzę — rzekł Harbert — że możemy bez wyrzutów sumienia zabrać z sobą narzędzia i wszystko, co kiedyś należało do nieszczęśliwego.

— I ja tak myślę — odpowiedział Gedeon. — O ile mi się zdaje, zapas kul i prochu jest znaczny.

— Tak jest — rzekł Penkroff — lecz nie zapomnijmy także zaopatrzyć się w trzodę chlewną, której nie ma na wyspie *Lincolna*...

— Ani o zebraniu rozsady, która dostarczy nam wszelkich jarzyn, znanych na starym i nowym łądzie — dodał Harbert.

— Może w takim razie wypadło by nam zostać na wyspie jeden dzień dłużej — powiedział reporter — abyśmy mieli czas zaopatrzyć się we wszystko, co nam się może przydać.

— Nie, panie Spilett, chciałbym puścić się w drogę jutro o świcie. Zdaje mi się, że wiatr się odwróci, i że jak tu płynęliśmy z wiatrem, tak z wiatrem będziemy mogli wrócić.

— W takim razie nie traćmy czasu — odpowiedział Penkroff. — Ty, Harbercie, zajmij się zebraniem jarzyn, ponieważ lepiej się znasz na tym od nas, a my tymczasem postaramy się schwycić kilka sztuk nierogacizny. Mam nadzieję, że nam się to uda nawet bez pomocy Topa.

Stosownie do tego rozporządzenia, Harbert udał się drożyną, wiodącą do uprawnej części wyspy, a dwaj jego towarzysze weszli w las. Mnóstwo pięknych okazów trzody chlewnej uciekło, dając dowody niezwyklej zwinności, jednak po półgodzinnym ściganiu udało się schwycić parę tych zwierząt. Wpadły one między tak gęste krzaki, że się z nich nie mogły od razu wydobyć. Jednocześnie o sto kroków dalej odezwały się głośne krzyki, pomieszczone z przerażającym odgłosem, podobnym do chrapliwego ryku. Penkroff i Spilett wyprostowali się, a świny, korzystając z tego, uciekły.

— To głos Harberta! — zawołał reporter.

— Biegnijmy! — krzyknął Penkroff.

Biegli jak najspieszniej i za zakrętem drogi spostrzegli, że jakieś dzikie stworzenie, niby mała olbrzymia, przewróciła Harberta i nie pozwala mu się poruszyć, jakby go chciała udusić. W mgnieniu oka Gedeon i marynarz rzucili się na potwora, wydarli mu Harberta, powalili na ziemię i pomimo oporu tak silnie skrępowali powrozami, które miały służyć do wiązania trzody chlewnej, że nie mógł się nawet poruszyć.

— Czy ci się nie stało co złego, Harbercie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie! nie!

— Ach! gdyby cię zraniła ta przeklęta mała!... — wykrzyknął Penkroff.

— Ależ to nie mała! — zawołał Harbert.

Penkroff i Gedeon spojrzeli uważnie na dziwną istotę, leżącą na ziemi. Rzeczywiście nie była to mała! Był to czło-

wiek! Ale jaki człowiek! Człowiek dziki, w najgorszym znaczeniu tego wyrazu, człowiek, który doszedł do najwyższego stopnia zezwierzęcenia.

Włosy najęzone, broda rozczochrana i spadająca do pasa, ciało prawie nagie, z wyjątkiem łachmana, obwiniętego koło bioder, oczy dzikie, ręce ogromne, paznokcie grube i niezmiernie długie, cera, przypominająca świeży mahoń, skóra na nogach twarda jak róg; oto obraz upośledzonej istoty, która jednak miała prawo nazywać się człowiekiem! Pomimo woli nasuwało się pytanie, czy w tym ciele ukrywa się jeszcze dusza, czy nie ożywiają go tylko same zwierzęce instynkty?

— Czy jest pan pewnym, że to jest, a przynajmniej był kiedyś człowiek? — zapytał Penkroff.

— Niestety! nie ulega wątpliwości — odpowiedział reporter.

— Czyżby to on miał być rozbitkiem, którego szukamy? — zapytał Harbert.

— Tak — odrzekł Gedeon — lecz nieszczęśliwy nie ma w sobie już nic ludzkiego!

Reporter miał słuszną rację. Widocznym było, że jeżeli nawet nieszczęśliwy był kiedyś człowiekiem cywilizowanym, to długa samotność uczyniła go dzikim, a nawet gorzej jeszcze, bo zdziczałym. Z gardła jego, przez zaciśnięte i ostre zęby, jak u mięsożernych zwierząt, wychodziły chrapliwe dźwięki. Pamięć musiał utracić już dawno i od dawna także zapewne nie umiał już używać narzędzi, broni, ani rozniecić ognia! Znać było, że jest silny, zręczny, zwinny, lecz zarazem, że te fizyczne przymioty rozwinęły się w nim kosztem przymiotów duchowych.

Gedeon Spilett przemówił do niego. Zdawało się, że nie tylko nie rozumie, lecz i nie słyszy. Jednak, gdy reporter patrzył w jego oczy, zdawało mu się, że myśl i rozum nie wygasły w nim zupełnie.

Leżał spokojnie na ziemi, nie usiłując rozerwać krępujących go więzów. Czyżby obecność ludzi, do których niegdyś sam był podobny, tak silne i przygnębiające uczyniła na nim wrażenie? Czy w jakim zakątku jego mózgu odezwało się przelotne wspomnienie tego, że i on kiedyś był człowiekiem? Czy na koniec uciekłby, czy też pozostał, gdyby go uwolniono z więzów? To ostatnie pytanie najłatwiej było rozwiązać, lecz ani Gedeon, ani towarzysze jego nie chcieli

wystawiać nieszczęśliwego na próbę. Reporter przyglądał mu się długo z nadzwyczajną uwagą, a potem rzekł:

— Jakimkolwiek jest obecnie, jakimkolwiek był dawniej i jakimkolwiek będzie, obowiązek nakazuje nam zabrać go z sobą na wyspę Lincolna.

— O! tak, tak — zawołał Harbert. — Może przy troskliwych staraniach potrafiemy w nim wzniecić iskierkę rozumu.

— Dusza nie umiera — rzekł reporter — a dla nas będzie to prawdziwa radość, jeżeli zdołamy podźwignąć bliźniego z upadku i zezwierzecenia.

Penkroff wstrząsnął głową z powątpiewaniem.

— W każdym razie trzeba spróbować — odpowiedział reporter.

Było to ich obowiązkiem jako chrześcijan i ludzi cywilizowanych. Zrozumieli to wszyscy i wiedzieli dobrze, że Cyrus Smith postąpiłby tak samo.

— Czy zostawimy mu więzy? — zapytał marynarz.

— Może sam pójdzie, skoro rozwiążemy mu nogi — rzekł Harbert.

— Spróbujmy — rzekł Penkroff.

Rozwiązano więźniowi nogi, lecz ręce jego pozostawiono silnie skrępowane. Wstał sam i nie okazywał ochoty do ucieczki, rzucał ostre spojrzenia na idących obok, i nic w nim nie zdradzało, że wie o tym, iż jest lub był do nich podobny. Z ust jego wydobywało się syczące świstanie; cała powierzchność była nacechowana jakąś srogą dzikością, ale nie opierał się wcale.

Reporter radził, aby zaprowadzić nieszczęśliwego do jego mieszkania. Może widok należących do niego przedmiotów uczyni na nim wrażenie; może byłoby dosyć jednego wspomnienia dla oświecenia jego myśli i rozbudzenia uspijonej duszy.

Do chaty było dość blisko, po kilku więc minutach weszli do niej wszyscy; ale więzień nic nie poznał, i zdawało się, że zupełnie stracił pamięć. Z tak zupełnego zezwierzecenia trzeba było wnosić, że nieszczęśliwy długo już przebywał na wyspie, i długoletnie osamotnienie doprowadziło go do tego stanu.

Reporter postanowił jeszcze spróbować, czy ogień nie wywrze na nim wrażenia. Istotnie zdawało się, że widok ja-

snych płomieni zwrócił uwagę nieszczęśliwego, lecz po chwili dziki odsunął się i bezmyślnie spoglądał na płomienie.

Nic już nie pozostawało do zrobienia, jak odprowadzić biedaka na statek, gdzie pozostał pod strażą Penkroffa. Harbert i Gedeon wrócili na wysepkę dla zabrania różnych potrzebnych rzeczy. W kilka godzin później wrócili na statek, niosąc broń i narzędzia z chaty, różne nasiona, kilka partrzody chlewnej i kóz.

Więzień, umieszczony w jednym z pokoików pod pomostem, sprawował się cicho, spokojnie, zdawał się być głuchym i niemym. Gdy Penkroff przyniósł mu posiłek, odepchnął od siebie mięso, od którego odwykł widocznie; gdy zaś marynarz pokazał mu surową dziką kaczkę, rzucił się na nią i pożerał ze zwierzęcą chciwością.

— Sądzi pan, że otrząśnie się kiedyś z tego? — rzekł Penkroff do Gedeona.

— Kto wie — odpowiedział reporter — może nasze starania i nasze towarzystwo oddziałają na niego zbawiennie, gdyż, o ile się zdaje, samotność uczyniła go takim, a obecnie już nie będzie samotny.

— Zapewne biedak od dawna pozostaje w tak okropnym stanie — rzekł Harbert.

— Tak się zdaje — odpowiedział Gedeon Spilett.

— Ile może mieć lat?

— Trudno określić — odrzekł reporter — gdyż faworyty, broda i wąsy osłaniają mu całą twarz. Ale sądzą, że musi mieć najmniej pięćdziesiąt.

— Czy widział pan, jak jego oczy są głęboko osadzone? — zapytał znów Harbert.

— Tak, Harbercie, ale pomimo to są więcej człowiecze, niżby się tego można spodziewać, wnosząc z całej jego powierzchowności.

— Ciekawy jestem — odezwał się Penkroff — co też pan Cyrus powie o naszym dzikim człowieku. Sądzi, że przywieziemy istotę do nas podobną, a my pokazemy mu potwora! Trudno, każdy czyni to tylko, co może.

Noc przeszła spokojnie. Nazajutrz o świcie wiatr się zmienił i zaczął wiać w pomyślnym kierunku; wzmógł się jednak, co znów utrudniało żeglugę. O piątej rano podniesiono kotwicę i Penkroff zwrócił statek na północny-zachód, aby płynąć w prostym kierunku do wyspy Lincoln.

Pierwszy dzień minął bez żadnego wypadku. Nieznajomy siedział spokojnie w swoim pokoiku; zdawało się nawet, że kołysanie statku oddziaływa nań zbawiennie. Może nasunęło mu to wspomnienia jakieś, dosyć, że siedział spokojnie, okazując raczej zdziwienie, niż przerażenie lub niepokój.

Nazajutrz, 17 października, wiatr wzmógł się znacznie i zmienił kierunek bardziej na północny, a zatem nie był już tak pomyślny. Stan morza zaczął niepokoić Penkroffa, bałwany bowiem uderzały silnie o przód statku. Nie chciał trwożyć towarzyszków, lecz wiedział dobrze, iż przy takim wietrze nie zdołają dopłynąć w oznaczonym czasie.

Rzeczywiście, następnego poranka, już czterdzieści osiem godzin znajdowali się na morzu, a nic nie pozwalało wnosić, że zbliżają się do lądu. W dwadzieścia cztery godziny później nie widzieli jeszcze ziemi; płynęli pod wiatr, a morze było burzliwe. Trzeba było ciągle manewrować żaglami, które niekiedy dotykały piętrzących się fal, i płynąć w zygzak; dnia 18 fala morska załaziła nawet pokład statku i byłaby z pewnością uniosła żeglarzy, gdyby ci, przewidując to, nie przywiązali się na pokładzie.

Penkroff i towarzysze jego otrzymali wówczas niespodziewaną pomoc: nieznajomy wybiegł na pomost, jakby się w nim odezwał instynkt marynarza; widząc, że wszyscy są zajęci wydobywaniem się z dobrowolnych więzów, grubym kawałem drzewa wyszczerbił wystający nad pokładem bok statku aby woda spłynąć mogła prędzej; gdy spłynęła, zeszedł na powrót do swego pokoju, nie wymówiwszy ani słowa do zdumionych towarzyszków.

Penkroff przez cały dzień musiał walczyć z wiatrem i morskimi falami; w końcu zaczął się obawiać, czy nie zbłądził na tym ogromnym obszarze, na którym nie zdołałby już odszukać właściwej drogi.

Noc z 18 na 19 była zimna i ciemna, jednak około jedenastej wiatr znacznie się zmniejszył, może się uspokoiło i statek mógł posuwać się prędzej po kołyszącej się lekko jego powierzchni. Jednak ani Penkroff, ani towarzysze jego nie zasnęli, gdyż niepokój spędzał sen z ich powiek; wiedzieli, że albo o wschodzie słońca zobaczą wyspę Lincolna, albo też przekonają się, że statek zboczył z drogi, a w takim razie prawie niepodobieństwem będzie wrócić do towarzyszków, pozostałych na wyspie.

Penkroff nie tracił jednak nadziei i odwagi. Siedząc przy rudlu, starał się przebić wzrokiem otaczające go ciemności. Około godziny drugiej po północy zerwał się nagle, wołając: — Ogień! ogień!

Rzeczywiście o jakie dwadzieścia mil na północny-zachód błyszczało żywe światło. Tam musiała być wyspa Lincoln, a ogień zapalony przez Cyrusa Smitha, wskazywał gdzie jej należy szukać.

Penkroff przekonał się wtedy, że zboczył na północ, zmienił więc kierunek i płynął w prostej linii do światła, błyszczącego w dali, jak gwiazda pierwszej wielkości.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Powrót. — Rozmowa. — Cyrus i nieznajomy. — Port Balonu. — Doświadczenia. — Kilka łez wylanych.

Nazajutrz 20 października o siódmej rano Bonawentura dopłynął szczęśliwie do ujścia Mercy.

Cyrus Smith i Nab, zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością towarzyszków, już o świcie weszli na płaszczyznę Pięknego Widoku, skąd też na koniec dostrzegli zbliżający się statek.

— Dzięki Bogu! to oni! — zawołał Cyrus Smith.

Nab zaczął tańczyć z radości, kręcić się dokoła, klaszcząc w ręce i wołając:

— To oni, mój drogi panie!

Inżynier mógł wreszcie dostrzec osoby, znajdujące się na pokładzie Bonawentury, i nabrał przekonania, że Penkroff nie znalazł już rozbitka na wyspie Tabor lub że ten nieszczęśliwy nie chciał zamienić swego więzienia na inne.

Gdy statek przybił do brzegu, inżynier i Nab byli już tam. Cyrus, pozdrowiwszy ich, zawołał:

— Byliśmy o was bardzo niespokojni! Czy nie spotkało was co złego?

— Nie — odpowiedział Gedcon — wszystko poszło jak najlepiej.

— Jednak — rzekł Cyrus — cel waszej wyprawy chybiony, skoro wracacie sami.

— Nie, panie Cyrusie, jest jeszcze ktoś z nami.

— Więc znaleźliście biednego rozbitka?

— Tak.

— Czy jest na statku?

— Jest.

— Któż to taki?

— Jest — rzekł reporter — czyli raczej był kiedyś człowiekiem! Więcej nic nie możemy powiedzieć o nim, Cyrusie.

Reporter opowiedział przyjacielowi wszystkie przygody podróży, opisał mu wyspę Tabor, co na niej znaleźli, jak długo szukali na próżno biednego opuszczonego, w jaki sposób nareszcie znaleźli nieszczęśliwą istotę, w której już trudno dopatrzeć się człowieka.

— I do tego stopnia — dodał Penkroff — że nie wiem nawet, czy postąpiliśmy dobrze, przywożąc go tutaj.

— Bez wątpienia dobrze, Penkroffie — rzekł żywo inżynier.

— Ale ten nieszczęśliwy już zupełnie stracił rozum!

— Być może — odpowiedział Cyrus — ale kilka miesięcy temu był takim jak my człowiekiem, a kto wie, jakim się stanie po długim osamotnieniu ten spomiędzy nas, który innych przeżyje? Biada temu, kto żyć musi z dala od ludzi, moi przyjaciele, widać jak osamotnienie może prędko pozbawić rozumu, skoro znaleźliście tego nieszczęśliwego w tak opłakanym stanie!

— Ale z czego pan wnosi, panie Cyrusie — zapytał Harbert — że ten nieszczęśliwy dopiero od kilku miesięcy stał się takim, jakim jest obecnie.

— Ponieważ dokument, zawarty w butelce, był niedawno napisany, a nikt prócz tego nieszczęśliwego skreślić go nie mógł.

— A może — dodał Gedeon Spilett — towarzysz tego człowieka, który następnie mógł umrzeć!

— To niepodobne do prawdy, kochany Gedeonie.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Bo w takim razie dokument wspominałby o dwóch rozbitkach — odpowiedział Cyrus Smith.

Harbert opowiedział o przygodach, jakie spotkały ich w drodze powrotnej i zwrócił szczególną uwagę na ciekawy fakt, obudzenia się umysłu nieznanego, gdy w niebezpieczeństwie przypomniał sobie, że jest marynarzem.

— Bardzo słusznie, Harbercie, przywiązujesz /tak wiele wagi do tego zdarzenia. Dowodzi ono, że ten nieszczęśliwy może jeszcze być uleczony, że tylko rozpacz doprowadziła go do stanu, z którego w towarzystwie naszym może się otrząsnąć.

Mieszkaniec wyspy Tabor okazał widoczną chęć ucieczki, skoro go tylko na ląd wyprowadzono, lecz Cyrus zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu i zwrócił na niego pełne słodyczy spojrzenie. Natychmiast nieszczęśliwy, jakby ulegając nieprzepartej sile, zaczął się uspokajać, spuścił oczy, pochylił czoło i stał się zupełnie uległy.

— Biedny opuszczony! — rzekł ze współczuciem inżynier.

Cyrus Smith, przyjrawszy się uważnie nieszczęśliwemu, przekonał się, że istotnie w całej jego postawie nie pozostało już nic ludzkiego, lecz równie jak Gedeon dostrzegł w jego spojrzeniu pewne przebłyski rozumu.

Koloniści postanowili, że nieznanomy będzie mieszkał razem z nimi w Granitowym Pałacu, skąd zresztą trudno mu było uciec. Poszedł za nimi bez oporu, co pozwalało mieć nadzieję, że przy troskliwych staraniach, może stać się kiedyś ich towarzyszem.

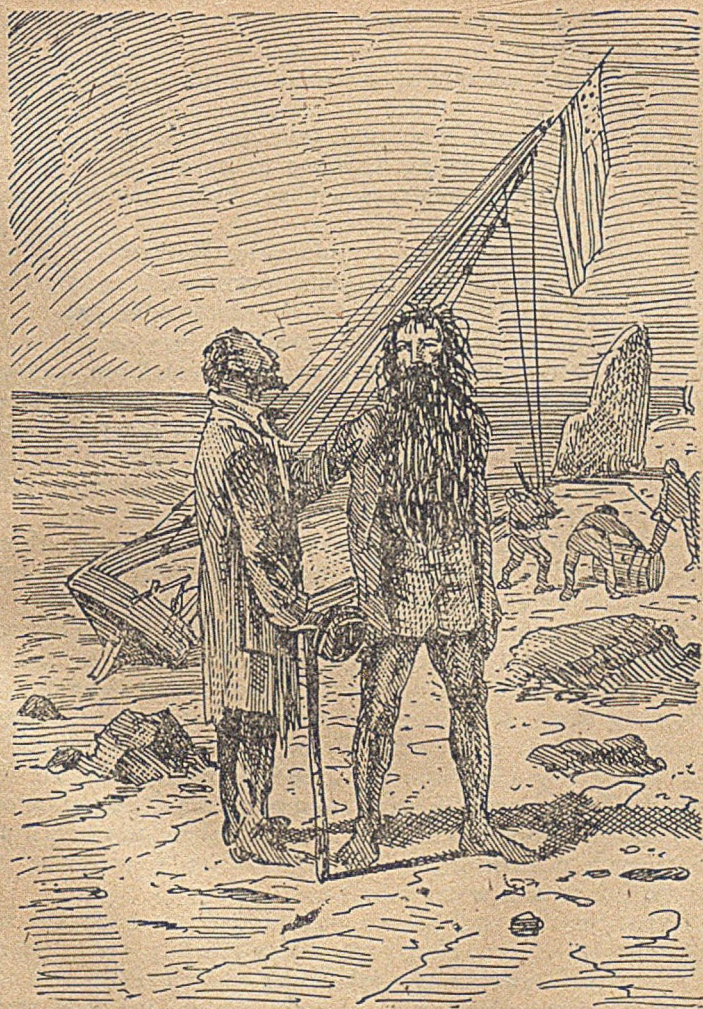
W czasie śniadania, które Nab przygotował naprędce dla podróżnych, rozmawiano wiele o wyspie Tabor i o jej mieszkańcu, w którego twarzy, pomimo ogromnej brody i włosów najeżonych jak strzecha, inżynier dostrzegł charakterystyczne rysy Anglosasów.

— Ale doprawdy, Harbercie, nie powiedziałaś nam dotąd — rzekł Gedeon — jakim sposobem spotkałeś się z tym nieszczęśliwym. Wiemy tylko, że byłby cię zadusił, gdybyśmy nie przybiegli.

— Bo i mnie samemu trudno byłoby opowiedzieć, jak się to stało. Zbierałem właśnie nasiona, gdy nagle coś ciężkiego zsunęło się z drzewa, rosnącego o kilka kroków za mną, i zaledwie miałem czas obejrzeć się, ten nieszczęśliwy rzucił się na mnie i obalił. Gdyby nie pan Spilett i Penkroff...

— Rzeczywiście, moje dziecię, wielkie groziło ci niebezpieczeństwo — rzekł Cyrus — ale gdyby nie to, może ten nieszczęśliwy ukrywałby się przed wami, i nie zyskalibyśmy towarzysza.

— Więc masz nadzieję, Cyrusie, że on odzyska jeszcze rozum? — zapytał Gedeon.



...Cyrus zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu... (str. 232).

— Mam — odpowiedział inżynier.

Po śniadaniu koloniści przenieśli do Granitowego Pałacu wszelkie przedmioty, zabrane z wyspy Tabor, z wyjątkiem trzody chlewnej, którą zamknięto w chlewach.

— Panie Cyrusie — rzekł Penkroff, gdy na statku już nic nie zostało — trzeba by umieścić Bonawenturę w dogodniejszym miejscu.

— Dlaczego nie miałby pozostać tu, gdzie stoi? — zapytał inżynier.

— Bo tu połowę czasu stać musi na piasku, co niekorzystnie wpływa na niego. A dobry to statek, panie Cyrusie, wybornie stawiał się podczas wichru, który nas napastował w podróży.

— Gdzież więc chcesz go umieścić, Penkroffie?

— W porcie Balonu. Ta mała przystań, zasłonięta od wichrów skałami, wydaje mi się najodpowiedniejszą.

— Dobrze, Penkroffie, zaprowadź Bonawenturę, gdzie uznasz, że mu będzie najlepiej, chociaż wolałbym, abyśmy mogli czuwać nad nim z bliska; dlatego też, skoro znajdziemy na to czas, urządzimy dla niego bliżej wygodną przystań.

— Wybornie! — zawołał Penkroff. — Port z latarnią morską, tamą i dokami! Ach! panie Cyrusie, panu to wszystko przyjdzie z łatwością.

— Tak, mój poczciwy Penkroffie, ale pod warunkiem, że ty pomagać mi będziesz, bo dotąd we wszystkich naszych pracach ty trzy części roboty bierzesz na siebie.

Wróćmy teraz do nieznanego. Zaraz w pierwszych dniach pobytu w Granitowym Pałacu taka zaszła zmiana, że Cyrus i reporter zaczęli przypuszczać, że może z czasem powrócić do rozumu. Z początku, przyzwyczajony do nieograniczonej swobody na wyspie Tabor, nieznanemu rzucał się gniewnie w swym pokoju; obawiano się nawet, aby nie wyskoczył oknem; powoli jednak uspokoił się i pozostawiono mu zupełną swobodę ruchów. Zaczął także używać mniej zwierzęcych pokarmów, a mięso gotowane i pieczone nie budziło już w nim wstrętu.

Cyrus Smith zastał go raz pogrążonego w twardym śnie i, korzystając z tego, obciął mu włosy i brodę, tworzące rodzaj grzywy i nadające mu tak dziką postać. Później znów włożył na niego przyzwoite ubranie. Dzięki też jego staraniom, nieznanemu odzyskał postać ludzką; zdawało się nawet, że oczy jego przybrały łagodniejszy wyraz.

Cyrus Smith poczytywał sobie za obowiązek spędzić codziennie kilka godzin w jego towarzystwie; pracował w jego pokoju i zmieniał często rodzaj zajęcia, aby tym sposobem ściągać na siebie jego uwagę. Mówił głośno z towarzyszami,

którzy razem, lub oddzielnie przychodzili do niego, aby od razu przez wzrok i słuch działać na ten odrętwiały umysł. Mówili zwykle o rzeczach, dotyczących marynarki, jako o przedmiocie najwięcej zajmującym marynarza. Niekiedy zdawało się kolonistom, że nieznajomy zwraca uwagę na to, co mówią, że ich rozumie. Czasami znowu twarz jego przybierała wyraz głębokiej boleści, jakby w sercu jego kryło się moralne cierpienie; milczał jednak ciągle, choć nieraz można było sądzić, że chciałby coś powiedzieć.

Biedak był zawsze spokojny i smutny. Czy jednak nie był to spokój pozorny, czy pozbawienie wolności nie było przyczyną tego smutku? Czy rzeczywiście odradzał się fizycznie i moralnie, czy też oswajał się tylko z ludźmi? Były to pytania, na które Cyrus pragnął odpowiedzieć jak najspieszniej, nie chciał jednak zbyt nagle wystawiać chorego na próbę, bo w nieznajomym widział tylko chorego. Towarzysze inżyniera wzięli szczerzy udział w tym dziele miłosierdzia i wkrótce wszyscy, z wyjątkiem Penkroffa, zaczęli podzielać jego nadzieje.

Inżynier wywierał duży wpływ na nieznajomego i potrafił w nim wzbudzić rodzaj przywiązania. Postanowił więc wypróbować to przywiązanie, przenosząc go w inne miejsce, ukazując mu to morze, na którym dawniej oczy jego tak długo się zatrzymywały, i lasy, przypominające te, w których przeżył tyle lat.

— Czy tylko nie zechce uciec, skoro poczuje się wolnym — rzekł Spilett.

— Przekonamy się o tym — odpowiedział inżynier.

— Ho! ho! — zawołał Penkroff — jak tylko będzie mógł, ucieknie tak prędko, że go dogonić nie zdołamy!

— Nie sądzę — odpowiedział inżynier.

— Spróbujmy — rzekł Gedeon.

Cyrus Smith i Penkroff zbliżyli się do nieznajomego, który, leżąc przy oknie, wpatrywał się w pogodne niebo.

Nieznajomy wstał natychmiast, zwrócił oczy na Cyrusa i poszedł za nim. Gdy spuścili się na dół, koloniści odstąpili trochę od niego, aby czuł się zupełnie swobodnym. Postąpił wtenczas kilka kroków ku morzu, oczy jego ożywiły się, lecz, nie myślał o ucieczce, patrzył z widoczną przyjemnością na fale, rozbijające się o brzegi wyspy.

— Widok morza nie budzi w nim chęci do ucieczki — rzekł Gedeon. — Zobaczmy, co będzie dalej.

— Tak — rzekł Cyrus — zaprowadźmy go teraz na płaszczyznę, ażeby zobaczył las. Tam dopiero dowiemy się czegoś stanowczego.

— Zresztą nie będzie mógł uciec — rzekł Nab — bo mosty są zwodzone.

— A cóż dla niego znaczy taki wąski strumień — odezwał się Penkroff. — Zaręczam, że go przeskoczy, nie zamoczywszy nogi.

— Zobaczmy — odpowiedział inżynier, nie spuszczać oczu z nieznanego.

Gdy doszli do miejsca, w którym zaczynał się las, nieznanomy z upojeniem chwycił w piersi przesiąkniętą wonią drzew powietrze i zapuścił wzrok w gęstwinę. Koloniści stanęli tuż za nim, aby go przytrzymać, gdyby okazał chęć do ucieczki. Rzeczywiście była chwila, że nieszczęśliwy chciał rzucić się w strumień, oddzielający go od lasu, posunął się już naprzód, ale cofnął się natychmiast, pochylił głowę, i dwie wielkie łzy potoczyły się z jego oczu.

— Ach! — zawołał Cyrus Smith — płaczesz, więc znów jesteś człowiekiem!

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Tajemnica do zbadania. — Pierwsze wyrazy nieznanego. — Dwanaście lat pobytu. — Wyznanie. — Zniknięcie. — Ufność Cyrusa. — Budowa młyna. — Pierwszy bochenek chleba. — Dowód oddania się. — Uczciwe ręce.

Tak, nieszczęśliwy zapłakał! Widać jakieś wspomnienie odżyło w jego umyśle i, podług wyrażenia Cyrusa, przez te łzy odzyskał człowieczeństwo. Koloniści odsunęli się, aby czuł się zupełnie swobodnym, ale nie myślał korzystać z wolności. Wkrótce też Cyrus odprowadził go do Granitowego Pałacu.

Od tego dnia zdawało się, że nieznanomy mniej unikał towarzyszków. Widocznym było, że ich słyszy i rozumie i tylko nie chce mówić z nimi. Pewnego dnia Penkroff, stojąc pod drzwiami jego pokoju, usłyszał, jak mówił sam do siebie:

— Ja tutaj? Nigdy! o! nigdy!

Marynarz zawiadomił o tym natychmiast towarzyszków.

— Jest w tym jakaś bolesna tajemnica — rzekł Cyrus Smith.

Nieznajomy zaczął z własnej ochoty pracować w ogrodzie warzywnym, często jednak zatrzymywał się i stał długo, pogrążony w głębokim zamyśleniu. Jeżeli który z kolonistów zbliżył się do niego, cofał się prędko, a z piersi jego wydobywały się bolesne łkania.

Czyżby powodem tego były wyrzuty sumienia? Tak się zdawało, i Gedeon Spilett rzekł pewnego dnia:

— Zdaje mi się, iż dlatego nic nie mówi, że zbyt wiele miałby do powiedzenia.

W kilka dni później, gdy nieznajomy, pracując na płaszczynie, wypuścił z rąk rydel i stał nieruchomy z twarzą zalaną łzami, Cyrus Smith, zdjęty litością, zbliżył się do niego i rzekł łagodnie, dotykając jego ramienia:

— Mój przyjacielu!

— Nieznajomy opuścił wzrok, a gdy Cyrus chciał go wziąć za rękę, odskoczył od niego.

— Mój przyjacielu — rzekł Cyrus stanowczo — patrz na mnie, chcę tego!

Nieznajomy zwrócił wzrok na inżyniera, chciał uciec, lecz się zatrzymał, jakby zmuszony, i w całym jego obliczu zaszła nagle zmiana; oczy błysnęły ogniem, przerywane słowa z ust wymykały się i, nie mogąc już zapanować nad sobą, skrzyżował ręce na piersiach i zapytał z przymusem:

— Kto wy jesteście?

— Jesteśmy rozbitkami równie jak ty — rzekł Cyrus. — Przewieźliśmy cię tu, abyś żył w towarzystwie podobnych sobie istot.

— Mnie podobnych!...

— Tak, jesteś teraz pośród przyjaciół!...

— Wśród przyjaciół!... ja!... — zawołał nieznajomy, ukrywając twarz w dłoniach... — Nie... nigdy... Odejdź ode mnie! odejdź!

Potem pobiegł w stronę morza i stał tam długo milczący i nieruchomy. Cyrus wrócił do towarzyszków i opowiedział im całe to zdarzenie.

— Widocznie jest coś tajemniczego w życiu tego człowieka — powiedział Gedeon.

— Co będziemy szanować — odrzekł Cyrus żywo. — Jeżeli popełnił błąd, ciężko już za niego odpokutował i, moim zdaniem, zasłużył na przebaczenie.

Nieznajomy jeszcze przez dwie godziny pozostał samotny. Następnie zbliżył się do Cyrusa. Oczy miał zaczerwienione od łez, ale już nie płakał; twarz jego wyrażała głęboką pokorę, wstyd i obawę, oczy patrzyły w ziemię.

— Panie — zapytał Cyrusa — czy ty i twoi towarzysze jesteście Anglikami?

— Nie, jesteśmy Amerykanami — odpowiedział inżynier.

— Ach! — rzekł, odetchnąwszy swobodniej, nieznajomy i dodał ciszej: — To lepiej dla mnie.

— A ty, mój przyjacielu? — zapytał inżynier.

— Jestem Anglikiem — odpowiedział spieszenie.

Widać było, że z trudnością zdobył się na tę odpowiedź, po której znów się oddalił, długo chodził nad brzegiem morza, a z ruchów jego znać było, że zostawał pod wpływem silnego wzruszenia. Następnie, przechodząc koło Harberta, zatrzymał się i zapytał cichym, drżącym głosem:

— Który mamy miesiąc?

— Grudzień — odpowiedział Harbert.

— Który rok?

— 1866.

— Dwanaście lat! dwanaście lat! — wykrzyknął i oddalił się spieszenie.

Harbert powtórzył to towarzyszom.

— Dwanaście lat — rzekł Cyrus — dwanaście lat spędzonych samotnie i może z myślą o występnej przeszłości. Musi to zgubnie oddziaływać na umysł człowieka!

— Mnie się zdaje — rzekł Penkroff — że ten człowiek nie dostał się na wyspę Tabor wskutek rozbicia statku, lecz go tam pozostawiono umyślnie, aby odpokutował za popełnioną zbrodnię.

— Podzielam twoje zdanie — odpowiedział reporter. — Jeżeli tak jest w istocie, to być może, iż ci, co go zostawili na wyspie, zgłoszą się kiedyś po niego.

— I już go tam nie znajdą — rzekł Harbert.

— W takim razie — zawołał Penkroff — trzeba by raz jeszcze popłynąć tam i...

— Moi przyjaciele — rzekł Cyrus — nie możemy przedsiębrać nic stanowczego, nie wiedząc, jak rzeczy stoją. Zdaje się, że ten nieszczęśliwy przecierpiał wiele, że ciężko odpokutował za winy, że z trudnością powstrzymuje się od wypowiedzenia tego, co mu ciąży na sumieniu. Nie nalegajmy, aby nam opowiedział dzieje swego życia. On sam uczyni to kiedyś z własnej chęci, a wówczas będziemy wiedzieli, jak należy postąpić. On jeden tylko mógłby nam powiedzieć, czy mu pozostawiono nadzieję, że kiedyś sędziowie jego ułatwią mu powrót do rodzinnej ziemi. Wydaje mi się to jednak wątpliwym.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Bo, będąc pewnym, że w oznaczonym terminie odzyska wolność, nie byłby wrzucił w morze znalezionego przez nas dokumentu. Zdaje mi się prawdopodobniejszym, że miał na całe życie pozostać na wyspie.

— Jest tam jedna jeszcze zagadka, której rozwiązać nie umiem — rzekł marynarz.

— Jaka?

— Jeżeli tego człowieka opuszczono na wyspie Tabor dwanaście lat temu, to prawdopodobnie już od kilku lat musiał zostawać w tym stanie, w jakim nam się ukazał, a zatem musiałby już bardzo dawno napisać ów dokument.

— Bez wątpienia. A jednak ze wszystkiego trzeba wnosić, że butelka niedługo przebywała w morzu.

— Tak, tak. Nawet trudno przypuścić, aby butelka mogła płynąć przez kilka lat od wyspy Tabor do wyspy Lincoln.

— Nie wydaje mi się to jednak zupełnie niemożliwym — rzekł reporter — bo mogła już dawno znajdować się przy brzegach wyspy.

— Nie — rzekł marynarz — tego przypuścić nie można, skoro jeszcze unosiła się na wodzie. Nie można także wnosić, że wyrzuconą dawniej na brzeg morze uniosło powtórnie, bo południowe wybrzeże wyspy najeżone jest skałami, o które musiałaby się rozbić.

— Masz słuszość — odpowiedział Cyrus i zamyślił się głęboko.

— Zresztą — dodał marynarz — wilgoć musiałaby uszkodzić papier, zamknięty w butelce, znajdującej się tak długo w morzu. Ten zaś był całkiem świeży.

— Rzeczywiście, jest w tym coś tajemniczego — powiedział Cyrus — ale czekajmy cierpliwie, dopóki nasz nowy towarzysz nie rozwiąże tego sam.

Przez kilka następnych dni nieznajomy nie wymówił ani jednego słowa. Pracował gorliwie koło roli, lecz z dala od wszystkich. W godzinach przeznaczonych na posiłek nie wracał do domu, pomimo, że go przywoływano, i poprzestawał na surowych jarzynach. Noce spędzał pod cieniem drzew, a w razie deszczu wciskał się w wydrążenia skały. Wrócił więc do tego samego trybu życia, jaki prowadził na wyspie Tabor. Wtem dnia 10 grudnia, około godziny ósmej wieczorem, nieznajomy stanął nagle przed kolonistami, siedzącymi w altanie. Oczy jego błyszczały dziwnym ogniem, w całej postawie malowała się jakaś sroga dzikość.

Koloniści słuchali, nie przerywając nieszczęśliwemu. Gdy skończył, zęby jego szczękały jak w febrze. Co mu się stało? Czy widok ludzi tak nieznośny był dla niego? Czy mu się sprzykrzyło pracowite i uczciwe życie? Czy tęsknił za swym dawniejszym zwierzęcym żywiołem? Tak można było wnosić ze słów, wyrrywających się z jego ust.

— Dlaczego ja tu jestem?... Jakim prawem porwaliście mnie z mojej wyspy?... Czy może być jaki związek między mną a wami?... Czy wiecie, kto jestem... co uczyniłem... za co tam byłem... sam jeden? Kto wam powiedział, że nie zostawiono mnie tam umyślnie... że mnie nie skazano na samotne życie... na samotną śmierć na wyspie?... Czy znacie moją przeszłość?... Skąd wiecie, czy ja nie kradłem, czy nie byłem mordercą... czy nie jestem nędznikiem... istotą wyklętą... zasługującą na to jedynie, aby żyć jak dzikie zwierzęta... z dala od ludzi? Mówcie... czy wam to wiadomo?

Koloniści słuchali, nie przerywając nieszczęśliwemu. Gdy skończył, Cyrus zbliżył się do niego, chcąc go uspokoić, lecz ten cofnął się żywo.

— Nie! nie! — zawołał. — Jedno tylko słowo... Czy jestem wolny?

— Zupełnie — odpowiedział inżynier.

— A więc żegnam was! — zawołał i uciekł, pędząc, co mu sił starczyło.

Nab, Penkroff i Harbert pobiegli za nim aż na skraj lasu, lecz powrócili sami.

— Trzeba mu pozostawić zupełną swobodę — rzekł Cyrus.

— Nie wróci już nigdy — powiedział marynarz.

— Wróci z pewnością — odpowiedział inżynier.

Wiele dni upłynęło od tego czasu, a Cyrus, jakby wiedziony przeczuć, utrzymywał niezmiennie, że nieszczęśliwy powróci do nich prędzej czy później.

— Jest to — powtarzał — ostatni bunt tej dzikiej natury, wstrząśniętej do głębi wyrzutami sumienia, lecz niezdolnej już oswoić się z myślą nowego osamotnienia.

Koloniści pracowali gorliwie. Zasiano już nasiona, zebrane przez Harberta na wyspie Tabor; tym sposobem znacznie powiększony ogród warzywny niemal wymagał pracy. Prócz tego po raz trzeci już od osiemnastu miesięcy, to jest od chwili, kiedy pierwsze ziarno zboża rzucono w ziemię, rozpoczęto i ukończono żniwa. Powtórny siew 600.000 ziarn wydał teraz 500 korcy, to jest przeszło 500,000.000 ziarn! Kolonia posiadała więc obfite zapasy pszenicy, i obecnie trzeba było tylko myśleć o sposobach zmielenia jej na mąkę.

Cyrus z początku miał zamiar zbudować młyn wodny, lecz na ogólnej naradzie postanowiono postawić wiatrak na płaszczyźnie Pięknego Widoku, w pobliżu morza.

Przygotowano natychmiast potrzebny budulec, z północnego brzegu jeziora przyniesiono piaskowce i wyrobiono kamienie młyńskie; niewyczerpana dotąd powłoka balonu miała dostarczyć płótna, potrzebnego do skrzydeł wiatraka.

Ponieważ wszyscy zabrali się ochoczo do pracy, a Nab i Penkroff byli już teraz bardzo dobrymi cieślami, roboty postępowały szybko, i 11 grudnia wiatrak był już zupełnie gotowy. Penkroff zadowolony, jak zwykle, ze swej pracy, zawołał:

— Teraz niech tylko wiatr wieje, a będziemy mleć naszą pszenicę...

— Tak, Penkroffie, niech wieje, tylko niezbyt silnie — odpowiedział inżynier.

— Przecież nie byłoby to źle, gdyby nasz wiatrak obrał się prędko.

— Doświadczenie nauczyło, Penkroffie, że zbyt mocny wiatr nie przynosi pożądanych korzyści.

Koloniści pragnęli jak najprędzej skosztować chleba, na który tak sumiennie zapracowali, więc tego samego dnia zmleli korzec zboża. Nazajutrz przy śniadaniu leżał już przed nimi duży bochenek chleba, który tak im smakował, że, gdy wstawali od stołu, nic z niego nie zostało.

Nieznajomy nie wrócił jeszcze. Gedeon i Harbert przebiegali dość często las w pobliżu Granitowego Pałacu, lecz zawsze nadaremnie. To tak długie i staranne ukrywanie się niepokoiło wszystkich; bez wątpienia dawny mieszkaniec wyspy Tabor mógł z łatwością wyżywić się w lasach, obfitujących w zwierzynę, ale trzeba się było lękać, aby nie odezwały się w nim znowu jego dawniejsze dzikie instynkty. Jednak Cyrus utrzymywał, że zbieg powróci dobrowolnie.

Niespodziewany przypadek dopomógł do spełnienia tej przepowiedni. Dnia 2 grudnia Harbert poszedł z wędką na południowy brzeg jeziora; nie brał z sobą broni, ponieważ dotąd żadne krwiożercze zwierzęta nie ukazywały się w tej części wyspy. Pozostali zajęci byli robotą na dziedzińcu przed kurnikami, gdy nagle posłyszeli krzyk:

— Ratujcie! ratujcie!

Pobiegli, co im tchu starczyło, lecz uprzedził ich nieznajomy, którego obecności w tych stronach nikt się nie spodziewał. Przebywszy wpływ strumień, oddzielający w tym miejscu las od płaszczyny, dobiegł w tej chwili właśnie, gdy jaguar, podobny do zabitego na przyładku Gadu, zbliżył się do Harberta o kilka kroków i skurczył się już, chcąc skoczyć na niego... Nieznajomy, nie posiadając innej broni prócz noża, rzucił się na krwiożercze zwierzę. Walka trwała krótko, bo nieznajomy posiadał niezwykłą zręczność i siłę. Jedną ręką ścisnął jaguara za gardło jakby kleszczami, nie zważając, że zwierzę zapuszcza mu pazury w ciało, drugą uderzył go nożem w serce.

Jaguar padł. Nieznajomy odepchnął go nogą i chciał uciec, widząc, że koloniści przybyli na pole walki, lecz Harbert, chwytając go — zawołał:

— Nie! nie! już nas nie opuścisz!

Nieznajomy zmarszczył brwi gniewnie. Krew płynęła mu z ramienia, lecz nie zwracał na to uwagi.

— Mój przyjacielu — rzekł do niego Cyrus — zaciągnęliśmy względem ciebie dług wdzięczności. Dla uratowania Harberta naraziłeś własne życie.

— Moje życie! — szepnął nieznajomy. — Cóż ono warte?... Mniej niż nic!

— Jesteś raniony.

— Mniejsza o to.

— Pozwól mi uścisnąć tę rękę, która mi uratowała życie — rzekł Harbert.

Nieznajomy skrzyżował ręce, z piersi jego ciężkie wydo-
było się westchnienie, a oczy zaszyły łzami. Chciał uciekać,
potem — jakby zadając sobie gwałt — rzekł porywczo:

— Kto wy jesteście i czym zamierzacie być dla mnie?

Pierwszy to raz zapytywał o przeszłość kolonistów.

Cyrus zapoznał go z wszystkim, co przeszli od chwili od-
dalenia się z Richmondu, i jakim sposobem, ogołoceni ze
wszystkiego, własnymi siłami zdobyli sobie byt dostatni, pra-
wie zbyt kowny.

Nieznajomy słuchał go z natężoną uwagą, lecz gdy inży-
nier dodał, że przez cały czas pobytu na wyspie Lincoln,
ani on, ani jego towarzysze nie doznali nigdy tak żywej ra-
dości, jak w chwili, gdy ich grono powiększył samotnik
z wyspy Tabor, nieznajomy spuścił głowę, a twarz jego ob-
lala się rumieńcem wstydu.

— Teraz, kiedy nas poznałeś, zechcesz zapewne podać
nam rękę? — rzekł Cyrus.

— Nie — odpowiedział nieznajomy drżącym głosem —
nie! Wy jesteście ludzie zaci, uczciwi, a ja!...

ROZDZIAŁ XXXIX.

Zawsze na uboczu. — Żądania nieznajomego. — Zbudowanie chaty przy
ogrodzie. — Minęło lat 12! — Kapitan Brytanii. — Pozostawienie na
wyspie Tabor. — Ręka Cyrusa Smitha. — Tajemniczy dokument.

Te ostatnie słowa potwierdzały domysły kolonistów.
Przeszłość tego nieszczęśliwego musiała być zbrodnicza, a choć
odpokutował za nią, własne sumienie jeszcze go nie rozgrze-
szyło. Nie mogąc się jednak oderwać od nowych towarzy-
szów i uciec do lasu, przebywał ciągle w pobliżu Granitowego
Pałacu.

Wszystko wróciło znów do dawnego porządku. Niezna-
jomy pracował zawsze samotnie, nie zasiadał nigdy do wspól-
nego posiłku, sypiał pod drzewami. Zdawało się, że obecność
ludzi była mu nieznośną, i dopiero w tydzień po powrocie
do Granitowego Pałacu nieznajomy zbliżył się do Cyrusa
i rzekł do niego z pokorą, lecz spokojnie:

— Mam do pana prośbę.

— Spełnię ją najchętniej. Ale przedtem zadam ci pytanie... Nieznajomy zarumienił się i cofnął, a Cyrus, pomiarkowawszy, że obawia się, aby go nie zapytano o przeszłość, rzekł, zatrzymując go za rękę:

— Chciałem ci jedynie powiedzieć, że nie tylko jesteście moimi towarzyszami, ale że masz w nas szczerych przyjaciół; teraz słucham cię.

Nieznajomy otarł oczy ręką; drżał cały i przez pewien czas nie mógł wymówić ani jednego słowa.

— Panie — odezwał się wreszcie — przyszedłem prosić cię o wielką łaskę.

— Czegoż żądasz?

— O cztery lub pięć mil stąd posiadacie owczarnię. Znajdujące się tam zwierzęta potrzebują dozoru, czy zechcesz mi pozwolić, abym mieszkał tam z nimi?

Cyrus spojrział na nieszczęśliwego z głębokim współczuciem i rzekł:

— Mój przyjacielu, owczarnia składa się tylko z bud nieco wygodnych nawet dla zwierząt.

— Dla mnie będą aż nadto dobre.

— Mój przyjacielu — odpowiedział Cyrus — nie chcemy ci się sprzeciwiać w niczym. Chcesz mieszkać przy owczarni, niech i tak będzie, choć milej by nam było, gdybyś pozostał z nami, tylko postaramy się o to, abyś tam znalazł stosowne pomieszczenie.

— Dziękuję — rzekł krótko nieznajomy, odchodząc.

Tego jeszcze dnia koloniści udali się do owczarni z potrzebnymi narzędziami; nim upłynął tydzień, zbudowali już małą chatkę o kilkadziesiąt kroków od owczarni, a w parę dni później zaopatrzyli ją w potrzebne sprzęty, narzędzia, strzelbę i pewną ilość prochu.

Nieznajomy nie pomagał kolonistom w tej pracy, nie przyszedł nawet zobaczyć nowego mieszkania, ale za to tak gorliwie pracował na płaszczyźnie, że, gdy skończyli, całe pole było przygotowane już pod zasiewy.

Dwudziestego grudnia inżynier zawiadomił nieznajomego, że mieszkanie jego skończono już; ten oświadczył, że się tam przenieść zaraz wieczorem.

Około ósmej godziny, gdy koloniści, zebrani w wielkiej sali, zajęci byli rozmową, nieznajomy wszedł i odezwał się do nich:

— Zanim pożegnam was, panowie, muszę opowiedzieć, kim byłem.

— Nie wymagamy od ciebie żadnych zwierzeń — rzekł inżynier łagodnie — masz prawo milczeć...

— Mam obowiązek mówić.

— Siadaj więc.

— Wolę stać.

— A więc słuchamy — rzekł Cyrus, siadając.

Nieznamy stał w cieniu z pochyloną głową i skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Głosem stłumionym, jak ktoś, zmuszający się do mówienia, rozpoczął następujące opowiadanie:

„Dnia 20 grudnia 1854 roku jacht spacerowy *Duncan*, należący do bogatego Szkota, lorda Glenarvana, zarzucił kotwicę około przylądka Bernouilli, na zachodnim wybrzeżu Australii. Na pokładzie tego jachtu znajdowali się: lord Glenarvan z żoną, major armii angielskiej, geograf Francuz, młoda panienka i młody chłopiec. Ci ostatni byli dziećmi kapitana Granta, którego statek *Brytania* rozbił się i zatonął przed rokiem. Kapitanem *Duncan* był John Mangles, a osada składała się z piętnastu ludzi.

„Sześć miesięcy przedtem znaleziono w morzu Irlandzkim butelkę, zawierającą dokument, pisany w języku angielskim, niemieckim i francuskim. Z tego dokumentu dowiedziano się, że trzy osoby z osady *Brytania* i pozostały przy życiu, jedną z nich był kapitan Grant. Znalazły schronienie na nieznannej ziemi. Dalej następowało oznaczenie długości, lecz wilgoć tak uszkodziła papier, że nie można było tego odczytać. Jednak, płynąc według wskazanej szerokości, można było odszukać ziemię, zamieszkiwaną przez kapitana Granta i jego towarzyszków.

„Admiralicja ociągała się z rozpoczęciem poszukiwań, lord Glenarvan postanowił więc dołożyć wszelkich starań, aby odnaleźć kapitana. Poczyniono stosowne przygotowania do tak odległej wyprawy, w której także miała wziąć udział rodzina lorda i dzieci kapitana, Maria i Robert. *Duncan* wypłynął z Glasgowa, skierował się ku Atlantykowi, opłynął cieśninę Magielańską, przez Ocean Spokojny dotarł do Patagonii, gdzie, jak przypuszczano na zasadzie dokumentu, kapitan mógł być w niewoli u krajowców.

„Duncan zostawił podróżnych na zachodnim brzegu Patagonii i odpłynął na wschodni, około przylądka Sorriente, aby tam oczekiwać na ich przybycie.

„Lord Glenarvan przeszedł wpoprzek Patagonię, trzymając się ciągle oznaczonej szerokości, nie znalazł jednak nigdzie śladów kapitana. Wsiadł na statek 13 listopada, zwiedził po drodze wyspy Tristan da Cunha i Amsterdam, a nareszcie, jak już wspomniałem, przybił 20 grudnia do wybrzeża australijskiego, około przylądka Bernouilli.

„Tu znów wysiedli na ląd, gdyż lord Glenarvan zamierzał przejść Australię, tak jak przeszedł Patagonię. O kilka mil od brzegu znajdowała się farma, należąca do pewnego Irlandczyka, który chętnie udzielił gościnności podróżnym. Lord Glenarvan powiadomił gospodarza o celu swojej podróży i zapytał go, czy nie słyszał co przed niespełna dwoma laty o rozbiciu trzymasztowego statku angielskiego *Brytania* na zachodnim brzegu Australii.

„Irlandczyk nic o tym nie wiedział, lecz jeden z jego służących odezwał się:

— „Podziękuj Bogu, milordzie, bo jeżeli kapitan Grant żyje dotąd, to z pewnością znajdziesz go w Australii.

— „Któż ty jesteś? — zapytał lord Glenarvan.

— „Jestem — milordzie — równie jak ty, Szkotem, a prócz tego jednym z towarzyszków kapitana Granta, rozbitek z statku *Brytania*.

„Człowiek ten nazywał się Ayrton i był rzeczywiście sternikiem na statku *Brytania*, jak to poświadczyły jego papiery. Powiedział jednak, że nie może udzielić żadnych wiadomości o swym kapitanie, gdyż stracił go z oczu w chwili, gdy statek rozbił się o skały; dotąd był pewny, że statek utonął wraz z resztą osady.

— „Tylko — dodał — *Brytania* rozbiła się nie na tym, lecz na wschodnim brzegu Australii, tam więc trzeba szukać kapitana Granta.

„Człowiek ten mówił głosem pewnym i spoglądał śmiało. Irlandczyk, u którego służył przeszło rok, ręczył za niego. Lord Glenarvan uwierzył więc jego słowom i, stosownie do rady, postanowił udać się na wschodnie wybrzeże, nie zbacząc od wskazanego w dokumencie kierunku. Lord Glenarvan, jego żona, dzieci kapitana, major, Francuz, kapitan Mangles i kilku majtków mieli podróżować łodem pod przewodnictwem Ayrtona, Duncan zaś pod dowództwem

porucznika Toma Austina odpłynął do Melbourne, gdzie miał czekać na dalsze rozkazy lorda.

„Muszę teraz wyznać, że Ayrton był zdrajcą. Służył on rzeczywiście na statku *Brytania*, ale, gdy ukarany za brak karność, starał się nakłonić osadę do buntu i opanowania statku, kapitan Grant wysadził go na ląd na zachodnim wybrzeżu Australii i popłynął dalej. Czyniąc tak, postępował sprawiedliwie.

„Nędznik ten dopiero od lorda Glenarvana dowiedział się o rozbiciu *Brytanii*. Został on pod nazwiskiem Bena Joyca naczelnikiem zbiegłych deportowanych, dlatego jedynie utrzymywał, że statek rozbił się przy wybrzeżu wschodnim i namówił lorda Glenarvana do rozpoczęcia poszukiwań w tej stronie, aby go oddalić od jachtu, zając *Duncana* i zrobić z niego statek korsarski“.

Tu nieznamy zatrzymał się jakby mu tchu zabrakło; po chwili jednak znów zaczął mówić drżącym głosem:

„Łatwo pojąć, że wyprawa pod przewodnictwem Ayrtona nie mogła przynieść pożądaných wyników, i dodać należy, że towarzyszyli jej ciągle niepostrzeżenie podwładni Bena Joyca, zbiegli zbrodniarze, aby w razie potrzeby miał pomoc zapewnioną.

„Wiemy już, że *Duncana* posłano do Melbourne. Teraz więc chodziło Ayrtonowi głównie o to, aby lord Glenarvan wydał mu rozkaz przybycia do wschodniego wybrzeża Australii, gdzie zbrodniarze mogli go łatwiej opanować. Doprowadziwszy podróżnych do dziewiczych a niezbyt od wybrzeża odległych lasów, gdzie czuć się dawał brak najpierwszych wygód, Ayrton otrzymał wreszcie list od porucznika Toma Austina z rozkazem, aby *Duncan* udał się natychmiast na wybrzeże wschodnie i zatrzymał się w zatoce Twofold, to jest o kilka dni drogi od miejsca, w którym zatrzymali się podróżni. Tam właśnie Ben Joyce wyznaczył schadzkię swym współnikom.

„Dotąd zbrodniarz przeprowadził szczęśliwie swe nieczne zamiary. Teraz miał zaprowadzić jacht do zatoki Twofold, gdzie złoczyńcy opanują go z łatwością i wymordują osadę. Wówczas Ben Joyce stanie się panem na tym morzu. Bóg nie pozwolił mu spełnić tych zbrodniczych zamiarów.

„Ayrton — przybywszy do Melbourne — wręczył list porucznikowi Austinowi, który zaraz po przeczytaniu go zaczął rozwinać żagle, lecz łatwo wyobrazić sobie gniew Ayr-

tona, gdy dowiedział się, że jacht płynie nie do wschodniego wybrzeża Australii, lecz do wschodniego wybrzeża Nowej Zelandii. Chciał się temu sprzeciwić, porucznik pokazał mu list!... Rzeczywiście — wskutek zrządzenia Opatrzności — geograf Francuz — piszący ten list — wskazał wybrzeża Nowej Zelandii jako miejsce przeznaczenia dla *Duncana*.

„*Ayrton* chciał stawić opór, więc uwięziono go. Popłynął do wybrzeża Nowej Zelandii, nie mogąc uwiadomić współników, nie wiedząc, co się stało z lordem *Glenarvanem*.

„*Duncan* krążył około wybrzeża do trzeciego marca. W tym dniu *Ayrton* posłyszał wystrzały; *Duncan* witał lorda *Glenarvana* wystrzałami armatnimi.

„Po trudach i niebezpieczeństwach podróży dostali się na wybrzeża Australii, około zatoki *Twofold*. Ale nie zastali tam *Duncana*. Lord *Glenarvan* telegrafował do *Melbournu*, odpowiedziano mu: „*Duncan*, wypłynął 18, miejsce jego przeznaczenia niewiadome“.

„Lord *Glenarvan* był przekonany, że jacht wpadł w ręce *Bena Joyca*. Nie odstąpił jednak od raz powziętego postanowienia. Wsiadł na okręt kupiecki, płynący do Nowej Zelandii, i tu z radością i zadziwieniem zastał swój statek pod dowództwem porucznika *Austina*, który czekał na niego już od pięciu tygodni.

„Stawiono *Ayrtona* przed lordem *Glenarvanem*, który pragnął dowiedzieć się od niego szczegółów o kapitanie *Grancie*. *Ayrton* nie chciał mówić. Lord *Glenarvan* oświadczył mu, że go odda w ręce władz angielskich. *Ayrton* milczał. Dopiero lady *Glenarvan* wymogła na nim tyle, że obiecał powiedzieć wszystko, co wie, jeżeli lord *Glenarvan*, zamiast oddawać w ręce sprawiedliwości, pozostawi go na której z wysp *Oceanu Spokojnego*. Lord zgodził się na to. *Ayrton* opowiedział mu wówczas całe swoje życie, lecz utrzymywał niezmiennie, że nie słyszał nic o kapitanie od chwili, gdy ten pozostawił go na wybrzeżu Australii.

„Mimo to lord *Glenarvan* dotrzymał słowa. *Duncan* puścił się w dalszą podróż i przybył do wyspy *Tabor*, leżącej także pod trzydziestym siódmym stopniem szerokości. Tam pozostawiono *Ayrtona*, tam także, co można uważać za cud prawdziwy, znaleziono kapitana *Granta* i dwóch jego towarzyszy.

„W chwili, gdy złoczyńcę wyprowadzono na ląd, lord *Glenarvan* odezwał się do niego:

— „Tu, Ayrtonie, pozostaniesz z dala od współników i od wszelkiej zamieszkałej ziemi, nie zdołasz więc uciec z tej wysepki. Będziesz żył samotnie pod okiem Boga, przed którym nic utaić nie można, jednak nie zginiesz bez wieści, jak kapitan Grant. Jakkolwiek niegodny jesteś wspomnienia, ludzie nie zapomną o tobie. Znam miejsce twego pobytu — Ayrtonie — wiem, gdzie cię znaleźć można, i nie wyjdzie to z mej pamięci!

„Duncan rozwinął żagiel i odpłynął. Było to dnia 18 marca 1855 roku.

„Ayrton pozostał sam jeden, ale zaopatrzonego w odzież, żywność, broń, proch i rozmaite nasiona, nie potrzebował się nawet troszczyć o mieszkanie, bo mu pozostawiono domek, zbudowany przez zacnego kapitana Granta, mógł więc myśleć o tym jedynie, aby życiem samotnym odpokutować za zbrodnię.

„Żal jego był szczery, wstydził się zbrodni, dręczyły go straszne wyrzuty sumienia i był bardzo nieszczęśliwy! Powiedział sobie, że jeżeli ludzie zechcą kiedyś wyrwać go z tej samotności, powinien stać się godnym ich towarzystwa! Ileż on wycierpiał! Jak gorąco się modlił, aby się odrodzić przez modlitwę!...

„Tak było przez dwa lub trzy lata. Ayrton — znękanym samotnością — wpatrywał się ciągle w morze, czy tam nie ujrzy statku, zadawał sobie pytanie, jak prędko skończy się czas pokuty, cierpiał najstraszniejsze męki. Ach! straszna jest samotność dla duszy, trapionej wspomnieniami popełnionych zbrodni! Widać jednak cierpienia te nie były jeszcze dostateczną karą za jego winy, gdyż uczuł, że powoli ogarnia go zezwierzęcenie i staje się zupełnie dzikim. Nie podobna mi oznaczyć, czy się to stało po dwóch, czy czterech latach opuszczenia, dość że z czasem stał się ową nędzną istotą, którą napotkaliście na wyspie.

„Nie potrzebuję objaśniać panów, że Ayrton, Ben Joyce i ja, to jedna i ta sama osoba“.

Nie podobna opisać wzruszenia, z jakim Cyrus i jego towarzysze wysłuchali tego opowiadania. Jakże wiele wycierpiał opowiadający, jak straszna boleść i rozpacz miały jego sercem!

— Ayrtonie — rzekł Cyrus — popełniłeś wielkie zbrodnie, ale widać Bóg osądził, że już odpokutowałeś za nie, skoro

pozwolił ci wrócić do ludzi. My ci przebaczymy — Ayrtonie — i przyjmujemy za współtowarzysza.

Ayrton cofnął się wzruszony.

— Oto moja ręka — rzekł inżynier.

Ayrton rzucił się do podanej ręki i oblał ją rześzystymi łzami.

— Czy chcesz pozostać z nami? — zapytał Cyrus.

— Pozwól mi przynajmniej jeszcze przez pewien czas pozostać w samotnej chatce przy owczarni.

— Dobrze, skoro tego pragniesz, ale jedno jeszcze zadam ci pytanie. Skoro zawsze chcesz żyć samotnie, dlaczegoż wrzuciłeś w morze ów dokument, który naprowadził nas na twój ślad.

— Dokument? — powtórzył, nie domyślając się, o co chodzi?

— Tak, ów dokument w butelce, który podał nam dokładne oznaczenie położenia wyspy Tabor.

Ayrton przesunął ręką po czole, zamyślił się głęboko i nareszcie odpowiedział stanowczo:

— Nigdy żadnego dokumentu nie wrzuciłem w morze.

— Nigdy? — zawołał Penkroff.

— Tak jest, nigdy! — odrzekł — i, pożegnawszy się, wyszedł.

ROZDZIAŁ XL.

Rozmowa. — Cyrus Smith i Gedeon Spilett. — Myśli inżyniera. —
Telegraf. — Druty i baterie. — Ciepła pora. — Rozwój kolonii. —
Fotograf. — Minęło dwa lata.

— Nieszczęśliwy człowiek! — zawołał Harbert, gdy Ayrton oddalił się.

— Skoro Ayrton nie wrzucił tej butelki, więc musiał wrzucić ją ktoś inny? Jak to wytłumaczyć, panie Cyrusie? — zapytał zdziwiony Penkroff.

Przyznać trzeba, że pytanie to nasuwało się każdemu.

— Ech! on wrzucił butelkę niezawodnie, tylko biedak musiał już wtedy być na wpół przytomny — odrzekł Nab.

— Zapewne — dorzucił Harbert — sam nie wiedział, co robi.

— Rzeczywiście, tylko w ten sposób można ten fakt wytłumaczyć — rzekł inżynier. — Przecież Ayrton tylko mógł tak dokładnie oznaczyć położenie wyspy Tabor, skoro znał ją dobrze jeszcze przed owymi opowiedzianymi nam wypadkami, które skazały go na samotny pobyt na niej.

— Jednakowoż — rzekł Penkroff — nie był jeszcze zdziwiony, gdy układał ów dokument. Jeżeli siedem lub osiem lat temu, jak się to stać mogło, że wilgoć go nie uszkodziła?

— Widocznie — odparł Cyrus — znacznie później, niż sądzi, utracił pamięć i rozum.

— Czy tylko Ayrton powiedział nam prawdę? — zapytał marynarz.

— O tym nie można wątpić — odparł reporter. — Historia, którą nam opowiedział, jest najzupełniej prawdziwa. Doskonale przypominam sobie, że dzienniki podawały ją z najdrobniejszymi szczegółami, opisując zarazem przedsięwzięte przez lorda Glenarvana poszukiwania i ich wyniki.

— Bądź pewny, Penkroffie, że Ayrton mówił prawdę; nikt by nie kłamał, aby oskarżać się o podobne zbrodnie — rzekł inżynier.

Nazajutrz, 21 grudnia, koloniści udali się na płaszczyznę, lecz nie zastali Ayrtona, który w nocy oddalił się do swej samotnej chaty. Postanowił zostawić mu zupełną swobodę, licząc na to, że czas dokona reszty. Harbert, Penkroff i Nab wrócili do zwykłych zajęć, a inżynier i reporter pracowali razem w Kominach.

— Wiesz co, Cyrusie — rzekł Gedeon Spilett. — Wczorajsze twoje objaśnienia co do znalezionej butelki bynajmniej mnie nie zadowolily. Czy można przypuszczać, żeby ten nieszczęśliwy, który teraz, oprzytomniawszy, tak doskonale pamięta całą przeszłość, nic nie wiedział o tym, że wrzucił w morze butelkę z dokumentem?

— Toteż nie ulega wątpliwości, że nie on ją wrzucił.

— A więc sądzisz...

— Dotąd nic nie sądzę, bo nic nie wiem — przerwał Cyrus. — Zaliczam to wydarzenie do rzędu tych, których także nie mogliśmy jeszcze dotąd rozwiązać.

— Doprawdy, Cyrusie, dzieją się rzeczy niepodobne do uwierzenia. Twoje cudowne ocalenie, skrzynia znaleziona na piasku, owe przygody Topa i nareszcie ta butelka... Czy nigdy już nie rozwiążemy tych niepojętych zagadek?...

— Rozwiążemy niezawodnie, choćby mi przyszło rozkopać całą wyspę — odrzekł inżynier.

— Ha! może szczęśliwy wypadek wyjaśni nam nareszcie te dziwne tajemnice.

— Mój drogi, nie wierzę ani w wypadki, ani w nierozwiązane tajemnice. Wszystko, co nam się wydaje niewytłumaczonym, ma swój powód i przyczynę, które nauka i praca pozwalają wykryć. Będziemy pracowali wytrwale i dojdziemy do celu.

Nadszedł styczeń, a z nim rok 1867. Harbert i Gedeon poszli ku owczarni i przekonali się, że Ayrton zajął przygotowane mieszkanie i troskliwie pilnował powierzonej sobie trzody. Tym sposobem oszczędzał kolonistom trudów; nie chcąc jednak przyzwyczajać go do samotności, odwiedzali go dość często. Nadto — ponieważ Gedeon i Cyrus mieli pewne zamiary, które wymagały bacznego zwracania uwagi na tę część wyspy, polecono więc Ayrtonowi, aby zawiadomił ich niezwłocznie, gdyby wydarzyło się coś niezwykłego.

Ponieważ mogły się wydarzyć wypadki rozmaite, jak np. pojawienie się w oddali okrętu, ukazanie się rozbójników itp., co by wymagało prędkiej obecności wszystkich kolonistów, przeto Cyrus postanowił zaprowadzić bezpośrednią komunikację między chatką przy owczarni a Granitowym Pałacem.

O zamiarze tym zawiadomił towarzyszków dnia 10 stycznia.

— Ciekaw jestem, jak pan tego dokona! — zawołał Penkroff. — Czy czasem nie zamierza pan założyć telegrafu?

— Właśnie — odrzekł inżynier.

— Co? Zamierza pan zaprowadzić telegraf elektryczny? — rzekł Harbert.

— Tak, mój młody przyjacielu. Mamy przecież, wszystko, co może być potrzebne do wytworzenia prądu elektrycznego; najtrudniej będzie z wyrobem drutu, ale i temu zaradzimy.

— No, kiedy tak — zawołał marynarz — to być może, iż niezadługo będziemy pędzili po naszej wyspie koleją żelazną.

Zabrano się do pracy, poczynając od rzeczy najtrudniejszej, to jest wyrobienia drutu, bo, gdyby to się nie udało, nie byłoby potrzeby pracować nad innymi przyrządami.

Żelazo, znajdujące się na wyspie Lincolna, było, jak wiemy, w najlepszym gatunku, zatem łatwo dało się ciągnąć. Cyrus zrobił najpierw blachę stalową, w której porobił otwory stożkowe różnej wielkości, aby stopniowo doprowadzać drut do pożądanej grubości. Zahartowawszy tę blachę, przymocował ją do pnia, utwierdzonego w ziemi o kilka stóp od spadku wody, którego siłę postanowił zużytkować.

Dnia 6 lutego zaczęto ustawiać słupy telegraficzne wzdłuż drogi prowadzącej do chaty. W kilka dni później drut był przeprowadzony.

Założono dwie baterie; jedną w Granitowym Pałacu, drugą w chatce przy owczarni, aby w każdej chwili można się było porozumiewać z sobą.

Dnia 12 lutego cały przyrząd był już wykończony, i zaraz Cyrus zapytał Ayrtona, czy co złego nie zaszło w owczarni; w kilka minut odebrał zadowolającą odpowiedź. Penkroff nie posiadał się z radości i codziennie rano i wieczór wysyłał telegramy do owczarni, na które zawsze odbierał żądane odpowiedzi.

Urządzenie telegrafu zapewniało podwójną korzyść: najpierw mogli zawsze wiedzieć, czy Ayrton nie opuścił chaty, a po wtóre, nie pozwalali mu zostawać w zupełnym odosobnieniu. Oprócz tego Cyrus odwiedzał go regularnie przynajmniej raz na tydzień, a ilekroć Ayrton przybywał do Granitowego Pałacu, przyjmowano go życzliwie.

Piękna pora roku upłynęła wśród zwykłych zajęć. Zawsoby kolonii, szczególnie pod względem jarzyn i zboża, zwiększały się nieustannie, a rośliny, sprowadzone z wyspy Tabor, udały się jak najlepiej. Czas był prześliczny; we dnie temperatura była bardzo wysoka, ale wieczorami wietrzyk, wiejący od morza, chłodził mile powietrze. Niekiedy jednak nadchodziły burze i, choć krótkie, były przecież bardzo gwałtowne.

W owym czasie stan kolonii sięgał wysokiego stopnia rozwoju. Drób tak się rozmnożył, że mieli go za wiele. Onagi także doczekały się potomstwa, a dwoje ich dzieci służyło za wierzchowców dla reportera i Harberta, który dzięki Gedeonowi był doskonałym jeźdźcem. Oprócz tego zaprzęgano młode onagi do wozu, aby zwoziły węgiel i drzewo, oraz rozmaite minerały, których inżynier ciągle potrzebował.

Kilkakrotnie odbywano wycieczki do lasów, leżących na zachodzie. Koloniści nie obawiali się zbyt wysokiej tempe-

ratury, bo promienie słoneczne zaledwie gdzieniegdzie zdołały się przedrzeć przez nadzwyczaj gęste sklepienie lasu. Zwiedzili cały lewy brzeg Mercy. Wybierając się na te wycieczki, uzbrajali się zawsze dobrze, gdyż często zachodziły im drogę dziki nadzwyczaj zuchwałe, z którymi musieli staczać uparte walki.

W tej także porze roku Gedeon i Harbert rozpoczęli straszną wojnę z jaguarami. Obaj myśliwi uzupełniali się wzajemnie. Harbert był nadzwyczaj odważny i śmiały, reporter odznaczał się zimną krwią i przezornością. Dzięki tym zapałonym myśliwym już przeszło dwadzieścia prześlicznych skór jaguarów zdobiło ściany wielkiej sali Granitowego Pałacu, z czego można było wnosić, że potrafią dojść do zamierzonego celu i oczyścić wyspę z tych niebezpiecznych zwierząt.

Inżynier często towarzyszył w wycieczkach w nieznaną okolice wyspy i rozpatrywał się w nich nadzwyczaj bacznie. Nie szukał jednak ani roślin, ani zwierząt, lecz innych śladów; dotąd jednak nie natrafił na nic godnego uwagi.

Aparatem fotograficznym znalezionym w skrzyni, Gedeon i Harbert zrobili kilka widoków najpiękniejszych części wyspy. Aparat ten, zaopatrzony w doskonałe szkła, był nadzwyczaj dokładny.

Reporter i Harbert wkrótce tak się wprawili w zdejmowanie widoków, iż otrzymali ładne odbicia krajobrazów tak pojedynczych miejscowości jak i całej wyspy, a Penkroff, patrząc na odbicia, wesoło zacierał ręce, mówiąc:

— Gdy widzę nas wszystkich raz w Granitowym Pałacu, a potem na obrazkach, wydaje mi się, że nasza wyspa jest gęściej zaludniona.

Z radością przyglądał się swemu portretowi, zawieszonemu na ścianie, przechodził do innych, wpatrując się z takim zajęciem, jak gdyby znajdował się w najbogatszej galerii obrazów.

Trzeba jednak przyznać, że najlepiej może udał się portret Jowa; orangutan wybrał pozę nadzwyczaj poważną i stał tak spokojnie, iż obraz odbił się doskonale.

— Tylko patrzeć, jak się na nas wykrzywi! — wołał Penkroff.

Toteż jegomość Jow poznał się na doskonałym podobieństwie portretu i najzupełniej był z niego zadowolony, a gdy mu się przypatrywał, małpia jego fizjonomia przybierała wyraz pychy i zarozumiałości.

Z końcem marca minęły upały. Deszcze zaczynały padać, ale mimo to powietrze było duszne. Miesiąc ten odpowiadał wrześniowi na półkuli północnej; obcenie nie był tak pięknym jak przedtem i zdawał się zapowiadać ostrą i wczesną zimę. Raz nawet koloniści mniemali, że już śnieg zawitał do nich. Harbert tego dnia wstał najwcześniej i, zbliżywszy się do okna, zawołał:

— Patrzcie! wysepka pokryta jest śniegiem!

— Co! śnieg o tej porze? — rzekł reporter, podbiegając do okien.

Spostrzegli ze zdziwieniem, że nie tylko wysepka, lecz całe wybrzeże poniżej Granitowego Pałacu pokryte było białym pokładem.

— Istotnie śnieg — rzekł Penkroff.

— A przynajmniej coś bardzo do niego podobne — odparł Nab.

— Ależ termometr wskazuje pięćdziesiąt osiem stopni (14 stopni C. wyżej zera) — zrobił uwagę Gedeon.

Cyrus przyglądał się w milczeniu białemu całunowi, pokrywającemu ziemię, bo sam nie wiedział, jak wytłumaczyć to zjawisko w obecnej porze roku i przy takiej temperaturze.

— Kroć sto tysięcy bomb i kartaczy! — krzyknął Penkroff — plantacje nasze zmarzną!

I chciał wybiec na wybrzeże, ale Jow go uprzedził, i o dziwo, za jego ukazaniem się cały pokład śniegu uniósł się i rozleciał w powietrzu na tak liczne płatki, że przez kilka minut całkiem zasłoniły światło słoneczne.

— To ptaki! — zawołał Harbert.

Rzeczywiście były to niezliczone stada ptaków morskich, których upierzenie jest lśniącej białości. Rozsiadły się setkami tysięcy na wysepce i na wybrzeżu i w mgnieniu oka znikły w oddali, a zdumieni koloniści patrzyli na ich pojawienie się i zniknięcie, jakby na zmianę dekoracji w czarodziejskim przedstawieniu, w którym po lecie w jednej chwili następuje zima. Na nieszczęście ptaki odleciały tak nagle, że ani reporter, ani Harbert nie mogli zabić nawet jednego a tym samym przekonać się, do jakiego należały gatunku.

W kilka dni później koloniści nasi obchodzili drugą rocznicę wylądowania na wyspę Lincolna.

ROZDZIAŁ XLI.

Wspomnienia. — Czy powrócą? — Projekt zwiedzenia brzegów wyspy. — Odjazd 1 kwietnia. — Półwysp Wężowaty. — Widok od morza. — Bazalty brzegu zachodniego. — Słota. — Nadchodzi noc. — Nowy wypadek.

Minęły dwa lata! Przez ten czas koloniści nie mieli żadnej wiadomości ze stron rodzinnych.

Co się działo w kraju rodzinnym? Nieustannie tkwiło w ich myślach wspomnienie ukochanej ojczyzny, szarpanej wojną domową. Czy ta wojna skończyła się nareszcie upokorzeniem Południa?

Żaden okręt nie przepłynął, lub przynajmniej nie dojrzeli go z wyspy, co utwierdzało ich w przekonaniu, że wyspa Lincoln była zupełnie nieznaną, że żadne statki nigdy nie zdążyły w tę stronę, więc na siebie tylko mogą liczyć i sami muszą koniecznie obmyśleć sposób wydostania się stąd i powrotu do kraju.

W początkach kwietnia koloniści, zgromadzeni w salonie Granitowego Pałacu, rozmawiali o Ameryce, której ujrzeć już prawie nie mieli nadziei; wtem Gedgton zawołał:

— Jeden tylko jedyny mamy środek wydostania się z naszej wyspy: trzeba by zbudować statek takich rozmiarów, aby mógł odbyć kilkusetmilową podróż morską. A przecież nie jest to znów nic niepodobnego; zbudowaliśmy szalupę, możemy zbudować okręt.

— I popłynąć do wysp Pomotu, jak dopłynęliśmy do wyspy Tabor — dodał Harbert.

— Dlaczego nie — odpowiedział Penkroff, który w kwestiach, dotyczących marynarki, miał zawsze głos poważny. — Dlaczego nie, choć nie powiem, aby to było wszystko jedno puścić się w krótką lub długą podróż. Gdyby, na przykład burza spotkała nas w drodze do wyspy Tabor, wiedzielibyśmy, że tak z jednej jak z drugiej strony niedaleko mamy do portu; gdy tymczasem tysiąc dwieście mil, to przestrzeń ogromna, a bliżej nie znaleźliśmy nigdzie ziemi.

— Więc nie odważyłbyś się, Penkroffie, na taką wyprawę? — zapytał reporter.

— Odważyłbym się na wszystko w razie potrzeby — odrzekł marynarz — wszakże pan wie, że nie cofam się przed niebezpieczeństwem.

— Trzeba pamiętać i o tym — odezwał się Nąb — że mamy teraz drugiego marynarza.

— Kogo? — zapytał Penkroff.

— Ayrtona.

— Prawda — rzekł Harbert.

— Tak, tylko nie wiemy, czy chciałby popłynąć z nami.

— Trudno o tym wątpić — odpowiedział reporter. — Łękałby się pozostać znów samotnym.

— Teraz — odezwał się Cyrus — chodzi nam głównie o to, czy możemy liczyć na powrót szkockiego statku. Otóż, co do mnie, pewny jestem, że skoro lord Glenarvan przyrzekł Ayrtonowi, że go zabierze z wyspy Tabor, gdy już odpokutuje za przewinienia, to dotrzyma słowa.

— Tak — rzekł reporter — a co więcej, przybędzie niedługo, skoro Ayrton został opuszczony dwanaście lat temu.

— O! — zawołał Penkroff — zgadzam się zupełnie z panem, że lord powróci i zapewne niedługo, ale gdzież się zatrzyma?

— Chyba przy wyspie Tabor, a nie przy naszej.

— O tym nie możemy wątpić już przez to samo — rzekł Harbert — że wyspa Lincoln nie jest oznaczona na mapie.

— Dlatego też — odezwał się inżynier — musimy postarać się o to, aby lord, w razie wylądowania na wyspie Tabor, znalazł jakimkolwiek bądź sposobem dokładne zawiadomienie w chacie, zbudowanej przez kapitana Granta, że tu jesteśmy i czekamy pomocy.

— Tak, tylko, że wówczas, gdy tam byliśmy, nie sądziłimy, aby się to zdać na coś mogło. Zdawało nam się, że Ayrton jest rozbitkiem. Gdy nas uwiadomił o wszystkim, nadeszła pora roku, nie pozwalająca nam puścić się w podróż.

— Masz słuszność, Harbercie — odpowiedział Cyrus — teraz już za późno, musimy czekać do przyszłej wiosny.

— A jeżeli też jacht szkocki przybije do wyspy Tabor właśnie w tym czasie? — rzekł Penkroff.

— To nieprawdopodobne — odpowiedział inżynier. — Lord Glenarvan nie chciałby się puszcząć w zimie na tę tak mało uczęszczaną część oceanu: albo był na wyspie w ciągu tych pięciu miesięcy pobytu Ayrtona u nas i odpłynął, albo też przybędzie tam dopiero później. W takim razie będziemy mieli czas udać się na wyspę Tabor zaraz w początku października i zostawić tam zawiadomienie.

— Trzeba przyznac — rzekł Nab — że byłby to dla nas bardzo niepomysłny zbieg okoliczności, gdyby Duncan znajdował się już na tych wodach w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

— Mam nadzieję — rzekł Cyrus — że Niebo nie pozba-
wiło nas prawie jedynej sposobności powrócenia do rodzinnej
naszej ziemi.

— W każdym razie dowiemy się o tym z pewnością, bo
w razie, gdyby Duncan zatrzymał się przy brzegach wy-
spy Tabor, poszukujący Ayrtona musieliby tam zatrzymać
się przez pewien czas i pozostawić ślady swego pobytu.

— Bez wątpienia — odpowiedział inżynier. — Dlatego
też czekajmy cierpliwie, a jeżeli nadzieje nasze będą zawie-
dzione, pomyślimy wtenczas, co nam wypada czynić.

— W każdym razie — rzekł Penkroff — nie ulega wāt-
pliwości, że choćbyśmy opuścili kiedyś wyspę Lincolna, to nie
dlatego, aby nam źle było.

— Tak, Penkroffie — odrzekł Cyrus. — Powodem na-
szego oddalenia byłoby jedynie to, że jesteśmy tu z dala od
wszystkiego, co najdroższe na świecie, od rodziny, przyja-
ciół i ojczystej ziemi.

Wskutek powyższej rozmowy zaniechano jak na teraz
zbudowania statku, zdatnego do dalszej podróży, i zajęto się
przygotowaniem potrzebnych zapasów na zimę. Prócz tego
postanowiono jeszcze opłynąć dokoła wyspę, dla dokładniej-
szego zbadania jej zachodniego i północnego wybrzeża, od
ujścia rzeki Spadku do przylądka Szczęki, oraz wciskającej
się w nią wąskiej zatoki.

Czas był zmienny, lecz barometr nie wskazywał nagłych
zmian, można było zatem bez obawy puścić się w podróż
nadbrzezną. Zaopatrzone więc statek w żywność na kilka
dni i 16 kwietnia rano koloniści wraz z Topem puścili się
w drogę. Ayrton przeniósł się na ten czas do Granitowego
Pałacu, a dla rozrywki pozostawiono mu Jowa.

Wiatr dość silny wiał z południowego wschodu i Bo-
nawentura musiał lawirować, opuszczając swe stanowi-
sko w porcie Balonu, aby się udać do przylądka Gadu. Na
dziewięćdziesiąt mil obwodu wyspy, dwadzieścia przypadło
na wybrzeże południowe, począwszy od portu aż do przy-
ładka; trzeba było te dwadzieścia mil płynąć, o ile możności,
najbliżej brzegów, gdyż wiatr wiał przeciw statkowi.

Podróż do przylądka trwała cały dzień, gdyż statek, wyszedłszy z portu, mógł korzystać tylko przez dwie godziny z odpływu morza, a z przyplływem musiał walczyć przez sześć godzin. Było już zupełnie ciemno, gdy opłynęli przylądek.

Cyrus Smith kazał zarzucić kotwicę o kilkaset sążni od lądu, aby w dzień przyrzeć się lepiej tej części wybrzeża. Postanowiono zatrzymać się na noc, choćby wiatr pomyślny zachęcał do podróży.

Nazajutrz Penkroff już o świcie rozwinął żagle, i Bona w entura zaczął posuwać się wzdłuż zachodniego wybrzeża. Koloniści znali już tę część wyspy, pokrytą pysznymi drzewami, gdyż przebiegli ją dawniej, a jednak przyglądali się z zachwytem, podziwiając jej piękność. Płynęli o ile można było najbliżej ziemi, aby żaden szczegół nie uszedł ich uwagi. Kilka razy nawet zarzucali kotwicę. Gedeon Spilett ustawiał przyrząd fotograficzny i fotografował najbardziej malownicze widoki.

Okolo południa znajdowali się już przy ujściu rzeki Spadku. Tu jeszcze rosły drzewa, lecz rzadko rozsiane, a o trzy mile dalej widać było tylko odosobnione kępy, tulące się do wzgórz, podpierających od zachodu górę Franklina, której nagi grzbiet spuszczał się stopniowo aż do brzegów morza.

Jakąż rażąca zachodziła różnica między południowym i północnym wybrzeżem; o ile pierwsze było wesołe, uroczne i pokryte bujną zielonością, o tyle drugie posępne, straszne i dzikie.

Statek płynął wolno i blisko lądu, mogli więc przekonać się, że całe wybrzeże było skaliste, postrzępione w najróżnorodniejsze kształty. Niektóre ze skał wznosiły się na trzysta stóp, inne zaledwie na dwadzieścia, a były między nimi okrągłe, czworokątne, proste i krzywe, jakby lada chwila miały się przewrócić. Tu odłam skały, wsparty na dwóch wierzchołkach, tworzy most, wznoszący się paręset stóp nad ziemią, tam ciągną się arkady, jak w nawie kościoła, dalej widać głębokie sklepione jaskinie, a dalej jeszcze zdaje się, że widzisz gotycką świątynię, najeżoną mnóstwem większych i mniejszych wieżyczek różnobarwnego kształtu.

Przez całe dziewięć mil podróży przyglądali się w milczeniu tym groźnym a zarazem wspaniałym dziełom przyrody; widocznie jednak Topowi znudziło się patrzeć ciągle na skały, bo zaczął kręcić się na pokładzie i szczekał zupełnie

tak samo, jak to czynił nieraz, biegając około studni w Granitowym Pałacu.

— Zatrzymajmy się — zawołał Cyrus. — Kto wie, czy nie ma tu jakiej jaskini, którą by wypadło poznać dokładnie.

Penkroff doprowadził statek, jak można było najbliżej brzegu, ale nie znaleziono nigdzie jaskini, w której można by znaleźć schronienie, gdyż skały wynurzały się z wody; a że Top wkrótce uspokoił się zupełnie, podróżni popłynęli dalej.

W północno-zachodniej części wyspy wybrzeże było płaskie i piaszczyste, a drzewa ukazywały się tylko gdzieniegdzie w oddali, ale za to miliardy ptaków wodnych ożywiały całą tę okolicę.

Wieczorem *Bonaventura*, popychany wzmagającym się ciągle wiatrem, posuwał się szybko ku północnemu przylądkowi Szczęki.

— Kto wie — odezwał się Penkroff — czy wichur nie zerwie się od zachodu. Wczoraj słońce zachodziło krwawo, a dziś te drobne chmurki nie wróżą nam nic dobrego.

Chmurki, o których wspominał marynarz, podobne do rozrzuconych kawałków waty, unosiły się najmniej o pięć tysięcy stóp nad poziom morza i zapowiadały zbliżającą się burzę.

— Ha! — rzekł Cyrus — rozwińmy żagle i śpieszmy szukać schronienia w zatoce Rekina; sądzę, że tam *Bonaventura* będzie zupełnie zabezpieczony.

— Tak, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz. — Zresztą całe wybrzeże północne składa się z wydm piaszczystych, którym nie warto się przyglądać.

— Prócz tego — dodał inżynier — chciałbym przepędzić nie tylko noc, ale i cały dzień w tej zatoce, gdyż warto by ją poznać dokładnie.

— Sądzę — odpowiedział marynarz — że nawet wbrew naszej woli musielibyśmy pozostać tam dłużej, gdyż niebo na zachodzie przybiera coraz groźniejszą postać.

— W każdym razie — odezwał się reporter — możemy się spodziewać, że przy tak pomyślnym wietrze, jak teraz, dopłyniemy przed nadejściem nocy do przylądka Szczęki.

— Tak, panie Gedeonie, lecz trzeba lawirować, wpływając do zatoki, i nie chciałbym puszczać się po ciemku na te całkiem nieznanne wody.

— Tym bardziej — dodał Harbert — że cała ta przestrzeń musi być zasiana skałami, tak przynajmniej wypada

wnosić ze znanej nam już od wybrzeża południowego części zatoki Rekina.

— Penkroffie — rzekł Cyrus — czyń, jak ci się zdaje, że będzie najlepiej. Spuszczamy się zupełnie na ciebie.

— Niech pan będzie spokojny, panie Cyrusie, nie będę się narażał bez potrzeby. Wolałbym, aby mnie kto uderzył nożem w serce, niż żeby *Bonaventura* miał uderzyć o skałę. Która godzina, panie Spilett?

— Dziesiąta — odpowiedział reporter.

— Ile mil mamy jeszcze do przylądka, panie Cyrusie?

— Około piętnastu — odpowiedział Cyrus.

— To znaczy dwie i pół godziny drogi, a zatem pomiędzy dwunastą a pierwszą będziemy się znajdować naprzeciwko przylądka. Niestety w tym samym czasie rozpocznie się odpływ morza, i fale będą ustępowały z zatoki; zdaje mi się więc, że trudno będzie do niej wpłynąć, mając przeciwko sobie wiatr i morze.

— Zwłaszcza — dodał Harbert — że mamy dziś pełnię, a odpływy kwietniowe są bardzo silne.

— Czy nie można by zarzucić kótewicy u cypla przylądka? — zapytał inżynier.

— Zarzucać kotwicę blisko lądu, gdy się zbiera na burzę! — zawołał marynarz. — Ach! panie Cyrusie, byłoby to samo, jakby ktoś dobrowolnie szukał nieszczęścia.

— Cóż więc zamyślasz?

— Będę się starał utrzymać na pełnym morzu aż do następnego przypływu, to jest do siódmej wieczorem, a jeżeli jeszcze będzie dość widno, spróbuję wpłynąć do zatoki. W przeciwnym razie musimy pływać przez całą noc w tę i ową stronę, a dopiero o wschodzie słońca skierować statek do zatoki Rekina.

— Dobrze, Penkroffie, powtarzam ci raz jeszcze, że spuszczamy się na ciebie.

— Ach! — zawołał Penkroff — jaka szkoda, że tu nie mamy latarni morskiej!

— Tak — odpowiedział Harbert — zwłaszcza, że tym razem pan Cyrus jest z nami, nie zapali więc nam ognia, abyśmy się mogli według niego kierować.

— Rzeczywiście, kochany Cyrusie, nie podziękowaliśmy ci dotąd, bo gdyby nie ten ogień, zabłądzilibyśmy.

— Jaki ogień? — zapytał Cyrus zdziwiony.

— Ten, panie Cyrusie — rzekł Penkroff — który zapaliłeś na płaszczyźnie Pięknego Widoku w nocy z 19 na 20 października, gdy wracaliśmy z wyspy Tabor.

— A! tak, tak!... W istocie był to dobry pomysł — odpowiedział inżynier.

— Teraz zaś Ayrtonowi nie przyjdzie to na myśl, a prócz niego nie ma tam już nikogo.

— Tak, nie ma nikogo — powtórzył Cyrus.

W kilka minut później, gdy reszta towarzystwa zajęta była rozmową, Cyrus zbliżył się do reportera i rzekł do niego cicho:

— Mogę ci zaręczyć, Gedeonie, że w nocy z 19 na 20 października nie zapaliłem ognia ani na płaszczyźnie Pięknego Widoku, ani na żadnej innej części wyspy!

— Któż go zatem rozniecił?

— Nie wiem. Jest to nowa tajemnica bardzo zdumiewająca.

ROZDZIAŁ XLII.

Noc na morzu. — Zatoka Rekina. — Zwierzenia. — Przygotowania na zimę. — Zabezpieczenie się od burzy. — Wielkie mrozy. — Prace wewnętrzne. — Po sześciu miesiącach. — Klisza fotograficzna. — Niezwykłe zdarzenie.

Przepowiednie Penkroffa ziściły się. Wiatr wzmagął się stopniowo, statek już o szóstej godzinie znajdował się naprzeciwko zatoki, lecz odpływ morza nie pozwolił mu wpłynąć do niej. Marynarz rozwinął trójkątny żagiel na wielkim maszcie i, zwróciwszy statek przodem ku ziemi, pozostał na pełnym morzu.

Szczęściem, choć wiatr dął gwałtownie, morze pod osłoną brzegów nie było zbyt burzliwe, nie trzeba więc było obawiać się uderzeń fali, bardzo niebezpiecznych dla mniejszych statków. Wreszcie o piątej z rana *Bonaventura* stanął na kotwicy przy ujściu Mercy. Ayrton czekał na kolonistów nad brzegiem, a Jow wybiegł naprzeciwko nich, skacząc i pomrukując radośnie.

Teraz więc poznali już dokładnie wybrzeża wyspy i nigdzie nie znaleźli śladów bytności człowieka. Jeżeli więc znaj-

dowała się na niej jaka tajemnicza istota, to musiała ukrywać się w nieznanym dotąd, nieprzebytych lasach półwyspu.

Gedeon i Cyrus zgodzili się na to, że trzeba zwrócić uwagę towarzyszków na dziwne wypadki, które ich spotkały na wyspie, a z których ostatni był może najtrudniejszy do wytłumaczenia.

— Czy tylko z pewnością widziałeś ogień? — zapytał Cyrus. — Może to był częściowy wybuch wulkanu albo meteor.

— Nie, Cyrusie, — odpowiedział reporter — nie ma wątpliwości, że to był ogień, zapalony ręką człowieka! Zresztą zapytaj Penkroffa i Harberta, oni widzieli go także i potwierdzą moje słowa.

W kilka dni po tej rozmowie, 25 kwietnia wieczorem, kiedy wszyscy koloniści znajdowali się na płaszczyźnie Pięknego Widoku, Cyrus odezwał się w te słowa:

— Wypada mi zwrócić waszą uwagę, towarzysze, na pewne wypadki, które zaszły na tej wyspie i o których chciałbym usłyszeć wasze zdanie. Wypadki te można by nazwać nadprzyrodzonymi.

— Nadprzyrodzonymi! — zawołał Penkroff. — Więc nasza wyspa miałaby być nadprzyrodzoną?

— Nie, Penkroffie, lecz musimy ją uważać za tajemniczą, jeżeli nie potrafisz nam wytłumaczyć tego, czego ani ja, ani Spilett, nie możemy zrozumieć.

— Cóż to takiego, panie Cyrusie? — zapytał marynarz.

— Powiedz mi, czy zrozumiałeś, jak się to stało, że ja, wpadłszy w morze, znalazłem się, nie wiem jakim sposobem, na wyspie, o ćwierć mili od brzegu?

— Tak, trudno to sobie wytłumaczyć — odpowiedział Penkroff.

— Czy zrozumiałeś, jakim sposobem Top odkrył wasze schronienie, odległe o pięć mil od miejsca, w którym leżałem?

— Zapewne biegł wiedziony instynktem — odezwał się Harbert.

— Byłby to szczególny instynkt, zwłaszcza, że pomimo ulewnego deszczu i wichru, Top przybiegł do Kominów zupełnie suchy i niepowalany błotem.

— Idźmy dalej — mówił inżynier. — Czy zrozumielście, jakim sposobem nasz pies został wyrzucony w tak dziwny sposób z jeziora, po walce z dugongiem?

— Przyznaję, że nie — odpowiedział Penkroff — a co prawda, to i rana, którą otrzymał dugong, zupełnie taka, jakby go ktoś uderzył wielkim nożem, także nie łatwo da się wytłumaczyć.

— Idźmy dalej jeszcze — kończył Cyrus. — Czy zrozumieliście, towarzysze, jakim sposobem ziarnko śrutu znalazło się w mięsie pekary, jakim sposobem skrzynia z niezbędnymi nam przedmiotami znalazła się na wybrzeżu, chociaż nie było najmniejszych nawet śladów rozbicia, jakim sposobem nasza łódka zerwała przytrzymujące ją sznury i przypląnęła z biegiem Mercy, wtenczas właśnie, gdyśmy jej potrzebowali, jakim sposobem, po napadzie małp, drabina została spuszczone, abyśmy mogli wrócić do Granitowego Pałacu, jakim sposobem na koniec w czasie pierwszej naszej wycieczki na morze przypląnęła w samą porę butelka, zawierająca dokument, i nareszcie kto go tam umieścił, skoro Ayrton zapewnia, że go nie napisał?

Harbert, Penkroff i Nab spoglądali na siebie, nie wiedząc, co mają odpowiedzieć. Dotąd przypisywali to wszystko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności; teraz dopiero wspomniane wypadki zaczęły im się ukazywać we właściwym świetle.

— Masz słusność — odezwał się Penkroff — że trudno to wszystko wytłumaczyć.

— Otóż — dodał inżynier — trzeba do tych faktów dodać jeszcze jeden, równie niezrozumiały jak inne.

— Jaki, panie Cyrusie?

— Wszak mówiłeś, Penkroffie, że, wracając z wyspy Tabor, widzieliście ogień na wyspie Lincoln?

— Bez wątpienia — odpowiedział marynarz.

— Jesteś pewny, że widziałeś ogień?

— Tak pewny, jak tego, że teraz na pana patrzę.

— A ty, Harbercie?

— I ja także, panie Cyrusie — zawołał Harbert. — Ten ogień błyszczał jak gwiazda pierwszej wielkości.

— Więc może to była gwiazda? — zapytał inżynier.

— Nie — odpowiedział Penkroff — po pierwsze całe niebo było pokryte gęstymi chmurami, a po wtóre gwiazda nie mogłaby świecić tak nisko. Zresztą proszę zapytać reportera, wszak on go także widział.

— Tak, widziałem — odrzekł reporter — i dodam jeszcze, że ogień ten rzucił dokoła światło tak jasne, jak światło elektryczne.

— Tak, tak — zawołał Harbert — i z pewnością to światło paliło się nad Granitowym Pałacem.

— Cóż więc na to powiecie — rzekł inżynier — gdy was zapewnię, że w nocy z 19 na 20 października ani Nab, ani ja nigdzie na wyspie nie zapalaliśmy ognia?

— Nie zapalaliście?... — zawołał Penkroff, tak zdumiony, że nie mógł dokończyć pytania.

— Tak, a nawet nie wychodziliśmy wcale z Granitowego Pałacu. Skoro więc palił się ogień, musiała go rozniecić inna ręka!

Harbert, Penkroff i Nab nie mogli już wątpić, że na wyspie znajdowała się istota, wprawdzie sprzyjająca kolonistom, ale zawsze tajemnicza.

Gdzież się jednak ukrywała i dlaczego tak ich starannie unikała? Na to pytanie żadnej nie mogli dać odpowiedzi.

Cyrus przypomniał także towarzyszom, jak często Top i Jow okazywali widoczny niepokój, zbliżywszy się do otworu studni, wiodącej z Granitowego Pałacu do morza, i dodał, że chociaż zwiedził ją wewnątrz, nie znalazł nic, co by go mogło naprowadzić na jakieś domysły.

Wskutek powyższej rozmowy postanowiono, że zaraz na wiosnę wszyscy rozpoczną staranne poszukiwania na całej wyspie.

Od tego dnia Penkroff był często zamyślony i zakłopotany. Dotąd był pewien, że wyspa stanowi wyłączną własność kolonistów, teraz przekonał się, że miała innego jeszcze pana, którego wpływ ciągle im się dawał odczuwać. Rozmawiał o tym często z Nabem i obaj, skorzy do wierzenia w rzeczy cudowne, zaczęli przypuszczać, że wyspa Lincolna zostaje pod władzą nadprzyrodzonej istoty.

Z miesiącem majem nadeszły dni słotne i zimne. Zdawało się, że zima będzie wczesna i mroźna, rozpoczęto więc spieszne przygotowania.

Ma się rozumieć, że nie zapomniano o Ayrtonie, który zresztą przyrzekł Cyrusowi, że się przeniesie na zimę do Granitowego Pałacu, jak tylko zaopatrzy owczarnię. Przybył tam rzeczywiście około połowy kwietnia, jadał razem z nimi, podzielał ich prace, ale zawsze pokorny i smutny nie mieszał się do rozmowy.

Większą część tej trzeciej zimy koloniści musieli przepędzić zamknięci w Grantowym Pałacu, z powodu strasznych burz i wichrów. Rozhukane morze miało spienione fale aż

na wyspę, jakby chciało ją zatopić. Dwa razy w czasie burzy morskiej Mercy tak wezbrała, że obawiano się, aby nie zniosła mostów, i pomimo tak niesprzyjającej pory koloniści musieli je wzmacniać.

Łatwo się domyśleć, że tak straszne wichry musiały poczynić znaczne szkody, najwięcej jednak ucierpiał wiatrak i kurniki, które też często trzeba było naprawiać.

W ciągu zimy zgłodniałe jaguary i gromady małp zbliżały się aż do płaszczyzny, i trzeba się było obawiać, aby najśmielsze i najzręczniejsze nie dostały się na nią, zwłaszcza że przez zamarznięty strumień mogłyby przejść z łatwością. Koloniści musieli w dzień i w nocy odstraszać wystrzałami tych niebezpiecznych gości, aby uchronić od śmierci domowe zwierzęta i zabezpieczyć od zniszczenia zasiewy i ogrody.

W dni pogodniejsze Gedeon i Harbert udawali się na polowanie do bagna i za każdym razem wracali obładowani bekasami, cyrankami i innym ptactwem.

*Tak upłynęło cztery miesiące najcięższych mrozów, to jest czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień; przez cały ten czas nie zaszło nic ważniejszego i w niczym nie dał się odczuć wpływ owej tajemniczej istoty. Nawet Top i Jow chodzili spokojnie około otworu studni; zdawało się więc, że nadzwyczajne wypadki już się nie ponowią. Pomimo to koloniści rozmawiali o nich często i trwali w zamiarze zwiedzenia nawet najnieдоступniejszych części wyspy. Dopiero przy końcu zimy wypadek bardzo ważny i mogący mieć zgubne następstwa zajął wyłącznie uwagę Cyrusa i jego towarzyszków.

Było to w październiku. Wiosna zbliżała się szybko i ziemia, ogrzewana ciepłymi promieniami słońca, przywdziewała nowe szaty. Poza gałęziami drzew iglastych, rosnących na skraju lasu, ukazywały się już świeże listki.

Przypominamy sobie zapewne, że Gedeon i Harbert, zdejmowali już nieraz widoki z różnych miejscowości wyspy Lincolna. Otóż 17 października, około trzeciej po południu, Harbert powziął myśl sfotografowania całej zatoki.

Powietrze było przejrzyste, najdalsze widoki rysowały się wybitnie na widnokregu, a morze, kołyszące się pod tchnieniem wiatru, na dalszym planie zdawało się gładkie jak powierzchnia jeziora, mieniąca się w złote, srebrzyste i ciemne smugi.

Harbert umieścił przyrząd fotograficzny w jednym z okien Granitowego Pałacu, a otrzymawszy odbicie, zanu-

rzył kliszę w przygotowanej na ten cel chemicznej kąpeli. Gdy następnie Harbert przyniósł kliszę do okna, aby ją zobaczyć przy świetle, dostrzegł na odbiciu morza małą plamkę. Spróbował, czy plamka nie zniknie przy powtórnym zanurzeniu, a gdy i to nie pomogło, wyjął z lunety szkło powiększające, aby przez nie zbadać, czy w tym miejscu nie ma skazy na szkłe.

Zaledwie spojrzął przez soczewkę, krzyknął, i o mało klisza nie wypadła mu z ręki. Pobiegł natychmiast do pokoju inżyniera, podał mu kliszę i szkło powiększające, wskazując plamkę na morzu.

Cyrus spojrzął na punkcik, potem zerwał się z krzesła, pochwycił lunetę i zbliżył się szybko do okna. Przez czas jakiś przesuwając zwolna lunetę, jakby czegoś szukał na morzu, następnie zatrzymał ją dłużej, wpatrując się w jeden punkt wreszcie, odejmując ją od oczu, zawołał:

— Okręt!

ROZDZIAŁ XLIII.

Zguba czy zbawienie. — Ayrton wezwany. — Wnioski. — Nie Duncan. — Podejrzany okręt. — Ostrożność. — Zbliżenie się okrętu. — Wystrzał armatni. — Bryg w pobliżu wyspy. — Nadchodzi noc.

Już półtrzecia roku minęło, jak spadli na wyspę Lincolna, a nie znaleźli sposobności, nawiązania stosunków z ludźmi. Wprawdzie reporter próbował, powierzając odlatującemu ptakowi karteczkę, na której opisał położenie swoje i towarzyszy, lecz na środek ten niewiele można było liczyć. Teraz niespodziewanie — dnia 17 października, statek ukazał się na pustym zawsze morzu, jacyś ludzie zbliżali się do wyspy.

Tak, nie można już było wątpić, okręt unosił się na morzu! Ale czy się zatrzyma, czy popłynie dalej? O tym dowiedzą się za kilka godzin.

Cyrus i Harbert przywołali natychmiast Gedeona, Penkroffa i Naba do wielkiej sali Granitowego Pałacu i zawiadomili ich o tak nadspodziewanym zdarzeniu. Penkroff, chwytając lunetę, pobiegł natychmiast do okna a po niejakiem czasie zawołał głosem, nie zdradzającym wielkiej radości:

- Tam do licha! To naprawdę okręt!
- Czy zbliża się do nas? — zapytał Gedeon.
- Tego nie można jeszcze poznać, gdyż dotąd widać tylko maszty, pudła nie podobna jeszcze dostrzec.
- Cóż nam wypada czynić? — zapytał Harbert.
- Czekać — odpowiedział Cyrus.

Koloniści zamilkli i wpadli w głębokie zamyślenie, niepewni, czy mają pragnąć, czy też obawiać się przybycia statku, czy znajdą na nim przyjaciół, czy wrogów? Bez wątpienia nie znajdowali się w rozpaczliwym położeniu wyrzuconych na nieurodzajny i skalisty kawałek ziemi, którzy, pozbawieni najpierwszych środków życia, oczekują z utęsknieniem chwili wyzwolenia; Penkroff i Nab nawet z żalem opuściliby ukochaną wyspę, na której czuli się tak szczęśliwi i bogaci. W każdym razie statek ten przybywa z krajów zaludnionych, a może nawet przynosi im wiadomości z ich rodzinnej ziemi. Łatwo więc pojąć, że widok jego musiał silnie uczynić na nich wrażenie.

Od czasu do czasu Penkroff przysuwał się do okna i z natężoną uwagą przyglądał się przez lunetę statkowi, oddalonemu jeszcze o dwadzieścia mil od wyspy. Koloniści nie mogli dotąd żadnym znakiem zwrócić na siebie jego uwagi, nie dostrzeżono by jeszcze flagi ani ognia i nie dosłyszano by wystrzału. Nie ulegało tylko wątpliwości, że wyspa, posiadająca wysoką górę, nie ukryje się przed wzrokiem osady statku, ale czy pomimo to okręt nie popłynie dalej? Może zresztą tylko wypadek zapędził go na tę część Oceanu Spokojnego?

Na to pytanie, które każdy z kolonistów zadawał sobie w myśli, mogła posłużyć za odpowiedź uwaga Harberta:

— A może to Duncan?

Wspomnieliśmy już, że jacht lorda Glenarvana, który miał zabrać Ayrtona z wyspy Tabor, nazywał się Duncan; nie byłoby więc nic nadzwyczajnego, aby statek, udający się tam, był widziany z wyspy Lincolna.

— Trzeba niezwłocznie przywołać Ayrtona — rzekł Gedeon — on jeden zdoła nas objaśnić, czy to jest Duncan.

Wszyscy zgodzili się na to i reporter zatelegrafował natychmiast do Ayrtona:

„Przybywaj jak najspieszniej“.

W kilka minut odebrał odpowiedź:

„Przyjdę zaraz“.

Nie spuszczała oczu z nadpływającego okrętu.

— Jeśli to Duncan — mówił Harbert — Ayrton łatwo pozna go, ponieważ dość długo na nim żeglował.

— No, jeśli pozna Duncana — rzekł Penkroff — to dopiero dozna silnego wzruszenia.

— Zapewne — odrzekł Cyrus — ale teraz Ayrton go-dzien już jest wrócić na pokład Duncana, i daj Boże, iżby to był rzeczywiście jacht lorda Glenarvana.

— Przyznaję, że pojawienie się tu innego statku wydałoby mi się podejrzanym. Zazwyczaj na tych morzach żeglują tylko statki malajskich korsarzy. W takim razie groziłoby nam niebezpieczeństwo...

— Będziemy się bronili — zawołał Harbert.

— Zapewne — odrzekł inżynier — ale zawsze lepiej byłoby nie być zmuszonym do obrony.

— Jedna uwaga — rzekł Gedeon. — Wyspa Lincoln, jako nie zaznaczona na żadnej wyspie, jest całkiem nieznana żeglarzom; gdyby więc dostrzeżono ją z okrętu, rzecz prosta, zamiast omijać, dowódca osady mógłby zapragnąć ją zwiedzić.

— A więc cóż uczynimy w razie, jeśli okręt ten zarzuci kotwicę w pobliżu naszej wyspy? — zapytał Penkroff.

— Pytanie to pozostało przez pewien czas bez odpowiedzi, po chwili namysłu Cyrus rzekł spokojnie:

— Zrobimy, co jest naszą powinnością. Porozumiemy się z osadą, zamówimy sobie miejsca na statku i opuścimy wyspę, objąwszy ją uroczyście w posiadanie w imieniu Stanów Zjednoczonych. Później powrócimy, wraz ze wszystkimi, którzy będą chcieli się tu osiedlić, skolonizujemy całą wyspę a tym sposobem założymy dla Rzeczypospolitej pożyteczną stację w tej części Oceanu Spokojnego.

— Wiwat! — krzyknął Penkroff — to dopiero piękny podarek zrobimy naszej ojczyźnie! Kolonizacja prawie już ukończona, wszystkie części wyspy otrzymały odpowiednie nazwy, jest port, obfitość słodkiej wody, drogi, telegraf, warsztat okrętowy, kuźnia i różne fabryki, pozostaje tylko oznaczyć wyspę na mapach.

— A jeśli ją kto zajmie podczas naszej nieobecności? — zapytał Spilett.

— Kroć sto tysięcy! — krzyknął marynarz. — Nic z tego nie będzie! Choćbym miał tu sam jeden zostać na straży,

przysięgam, że nie ukradziono by mi jej przecież tak łatwo, jak zegarek z kieszeni jakiego niedołęgi!

Przez godzinę jeszcze nie można było rozpoznać, czy dostrzeżony statek płynął ku wyspie; zbliżył się wprawdzie, lecz Penkroff nie mógł poznać, w jakim zmierza kierunku.

Około czwartej, w godzinę po zawezwaniu, Ayrton przybył do Granitowego Pałacu.

— Co macie do rozkazania? — zapytał, wchodząc do wielkiej sali.

Cyrus podał mu rękę i rzekł, prowadząc go do okna:

— Ayrtonie, mieliśmy ważny powód zawezwania cię do nas. Ujrzeliśmy nadpływający statek.

Ayrton, usłyszawszy to, zmieszał się i poblądł; potem zbliżył się do okna i rozejrzał po widnokręgu, lecz nic nie zobaczył.

— Weź lunetę — rzekł Gedeon — gdyż być może, że statek ten to Duncan, dopływający do tych brzegów, aby cię zabrać do ojczyzny.

— Duncan! — powtórzył Ayrton. — Już!...

Ostatnie słowo wypowiedział jakby mimowolnie i głowę opuścił na rękę. Czyżby lat dwanaście, przebytych na bezludnej wysepce, nie uważano jeszcze za dostateczną karę?... Czy żałujący winowajca nie był jeszcze godny przebaczenia?

— Nie, to nie podobna! — rzekł cicho — to nie może być Duncan.

— Przypatrz się dobrze, Ayrtonie, bo bardzo zależy nam na tym, abyśmy jak najprędzej wiedzieli, czego mamy się spodziewać.

Ayrton wziął lunetę, przez kilka minut przyglądał się bacznie, nareszcie rzekł:

— Rzeczywiście jest to okręt, lecz zdaje mi się, że nie Duncan.

— Z czego to wnosisz? — zapytał reporter.

— Duncan jest parowcem, a tu z żadnej strony nie widać dymu.

— Może płynie tylko przy pomocy żagli — rzekł Penkroff.

— Wiatr jest pomyślny, i może osada pragnie zaoszczędzić węgla.

— Być może, że zagasili ogień — odrzekł Ayrton. — Przekonamy się o tym, gdy statek zbliży się do brzegów.

To powiedziawszy, usiadł milczący w oddalonym końcu sali; nie mieszał się do rozmowy.

Wszyscy znajdowali się w tak dziwnym usposobieniu, że nie podobna im było zająć się pracą. Gedeon i Penkroff szczególnie okazywali rozdrażnienie; chodzili wciąż, nie mogąc ustać na miejscu. Jeden tylko Nab był zupełnie spokojny. Ojczyzną była dla niego każda miejscowość, w której znajdował się jego pan. Inżynier siedział zatopiony w myślach i więcej obawiał się, niż pragnął przybycia tego okrętu.

Tymczasem okręt zbliżył się nieco do wyspy. Z pomocą lunety można było rozpoznać, że był całkiem odmiennym statkiem od tych, jakimi posługują się zazwyczaj korsarze malajscy na Oceanie Spokojnym. To pozwalało wnosić, że obawy inżyniera były nieusprawiedliwione i że obecność tego statku na wodach wyspy nie grozi żadnym niebezpieczeństwem.

Penkroff nie spuszczał zeń oka, zwłaszcza, iż zdawało mu się, że zaczyna omijać wyspę. Przywołany do okna Ayrton potwierdził to mniemanie.

— Cóż zrobimy, gdy noc nadejdzie? — zapytał inżynier. — Czy zapalimy ogień, aby wskazać naszą obecność na wyspie?

Było to ważne pytanie, jednak mimo swoich przeczuć, inżynier rozwiązał je twierdząco. Podczas nocy okręt mógł zniknąć z widnokągu i oddalić się, a czy po jego zniknięciu inny jaki zawita kiedy na wody wyspy Lincolna? Któż mógł przewidzieć, jaka przyszłość czeka kolonistów?

— Tak — odrzekł — ma słuszność, powinniśmy zawiadomić ten okręt o naszej obecności na wyspie, inaczej moglibyśmy kiedyś gorzko żałować tego zaniedbania.

Postanowiono tedy, że Nab i Penkroff, gdy noc zapadnie, rozniecą zaraz wielki ogień, który musi koniecznie zwrócić uwagę osady. Ale właśnie w chwili, kiedy zamierzali opuścić Granitowy Pałac, statek zmienił kierunek i bardzo spieszenie zaczął płynąć ku wyspie.

Nab i Penkroff pozostali. Podano lunetę Ayrtonowi, aby przypatrzył się dobrze, czy to Duncan, czy nie. Jacht szkocki był także jak bryg zaopatrzony w żagle, trzeba więc było dopatrzeć się komina między, dwoma masztami.

Widnokągu był jasny i pogodny; wkrótce też Ayrton opuścił lunetę, mówiąc:

— To nie Duncan! To nie może być Duncan!

Penkroff wziął lunetę i zaczął znów przyglądać się; poznał, że jest to statek doskonale zbudowany, objętości trzystu do czterystu beczek i odznaczający się niezwykłą szybkością biegu. Ale nie mógł rozróżnić, do jakiego należał narodu.

— Bandera powiewa na nim — mówił — ale nie mogę rozpoznać barwy.

— Przekonamy się o tym za jakie pół godziny — rzekł reporter. — Zresztą widać wyraźnie, że kapitan tego statku ma zamiar przybić do lądu. Jeżeli więc nie dziś, to najdalej jutro zapoznamy się z sobą.

— W każdym razie — odrzekł Penkroff — lepiej wiedzieć zawczasu, z kim mamy do czynienia. Chciałbym bardzo wiedzieć jego barwę.

Miówąc to, wpatrywał się bezustannie.

Zmierzch nastął i coraz trudniej było śledzić statek.

Nie jest to bandera amerykańska — mówił Penkroff — nie angielska, bo czerwona barwa widniałaby z daleka; nie są to barwy francuskie, ani niemieckie... także nie żółta hiszpańska... Zdaje się, że bandera ta jest jednostajnej barwy... Jaką by ona mogła być? Jakie statki mogłyby zabłąkać się na te wody?... Bandera chilijska jest trójkolorowa... brazylijska zielona... japońska o promieniach czerwonych i białych, ta zaś...

W tejże chwili wiatr rozwinął banderę. Ayrton pochwycił opuszczoną przez Penkroffa lunetę i, przyłożywszy do oczu, zawołał przerażony:

— Czarna!

Teraz już można było uważać statek za podejrzany. Czyżby sprawdziły się przeczucia inżyniera? Byłby to bryg korsarski? W jakim celu dopływał do wybrzeży wyspy Lincoln? Czy uważał ją za zupełnie nieznaną ziemię, mogącą służyć za skład zrabowanych rzeczy? Może korsarze zamierzają ukrywać się tu przez zimę, a w takim razie uczciwe schronienie kolonistów miałoby się zamienić w przytułek nędzników, stać się niejako stolicą korsarzy Oceanu Spokojnego.

Myśli te powstały instynktownie w umysłach kolonistów. Zresztą barwa bandery przekonywała, iż rzeczywiście jest to statek korsarski. Taką to banderę wywieszono by na Duncanie, gdyby się powiodły zbrodnicze zamiary przestępców.

— Przyjaciele — rzekł Cyrus — może statek ten chce tylko zbadać wybrzeża wyspy i może osada wcale nie wylądować? Byłoby to bardzo pożądane. W każdym jednak razie trzeba będzie wszelkimi sposobami starać się zataić naszą obecność. Wiatrak, stojący na płaszczyźnie, mógłby zwrócić uwagę, niech więc Ayrton i Nab co prędzej odejmą skrzydła. Dalej zasłońmy starannie gałęziami okna Granitowego Pałacu i pogaśmy światła, aby nic nie zdradzało obecności ludzi.

— A statek nasz? — zapytał Harbert.

— Och! — odrzekł Penkroff — jest on tak doskonale ukryty w porcie, iż nie boję się, aby łotry go znalazły.

Polecenia inżyniera wykonano niezwłocznie. Nab z Ayrtonem poszli na płaszczyznę, starając się ukryć wszelki ślad obecności ludzi a jednocześnie towarzysze ich udali się na skraj lasu i przynieśli znaczną ilość gałęzi i lian do przysłonięcia okien i ścian ich mieszkania. Nie zapomniano przygotować amunicji i broni, aby się bronić w razie napadu.

Ukończywszy przygotowania, Cyrus rzekł do towarzyszy:

— Przyjaciele, jeżeli nędznicy ci zechcą zająć wyspę Lincolną — gdy to mówił, głos jego drżał ze wzruszenia — będziemy jej bronili?

— O tak, Cyrusie — rzekł reporter. — Jeżeli trzeba, zginiemy w jej obronie.

Inżynier wyciągnął rękę do towarzyszy, uścisnęli ją serdecznie.

Sam tylko Ayrton pozostał w kącie, nie zbliżając się do kolonistów; może dawny przestępca jeszcze nie czuł się ich godny? Cyrus zrozumiał, co się działo w jego duszy, zbliżył się więc ku niemu, pytając:

— A ty Ayrtonie?

— Spełnię obowiązek — odpowiedział. Potem poszedł do okna i zaczął patrzeć przez gałęzie.

Słońce zaszło. Horyzont zaciemniał się powoli od zachodu. Bryg posuwał się ku zatoce Unii. Był oddalony o osiem mil. Czy wpłynie do zatoki i czy tam zarzuci kotwicę? Może poprzestanie na zbadaniu wybrzeży i wróci na pełne morze, nie wysadzając załogi?...

Cyrus przeraził się mocno, zobaczywszy czarną banderę, powiewającą na statku. Czy nie była to groźba zagłady dzieła, którego on i towarzysze dokonali tak szczęśliwie.

Czyżby korsarze już dawniej uczęszczali na tę wyspę, skoro dopływając do jej wybrzeży, rozwinęli swoją flagę?

Może lądowali tu już niejednokrotnie, co tłumaczyłoby pewne niewyjaśnione dotąd okoliczności? A może w nieznanych im dotąd częściach wyspy zamieszkuje ich współnik, z którym zostają w porozumieniu?...

Nadeszła noc. Księżyc skrył się w obłokach; ciemność zawisła nad wyspą i nad morzem. Gęste i ciężkie chmury, nagromadzone na widnokręgu, nie przepuszczały najbledszego światła; z zapadającym zmrokiem wiatr ucichł zupełnie. Żaden listek nie poruszył się na drzewie, najłżejsze fale nie uderzały o skały. Okrętu nie można było dojrzeć; wszystkie światła na nim były pogaszone.

— A kto wie — rzekł Penkroff — może ten przeklęty bryg popłynie dalej w nocy, i rano go już nie zobaczymy.

Jakby w odpowiedzi na te słowa smuga światła zabłysła w ciemności, i wystrzał armatni rozległ się w powietrzu.

Tak więc okręt nie oddalił się i miał działa na pokładzie.

Sześć sekund upłynęło między błyskiem a wystrzałem — bryg więc znajdował się milę i ćwierć od wybrzeży.

Jednocześnie dał się słyszeć odgłos łańcuchów, przesuwających się ze zgrzytem przez otwór na przodzie statku. Okręt zarzucał kotwicę w pobliżu Granitowego Pałacu.

ROZDZIAŁ XLIV.

Przeczcucia. — Projekt Ayrtona. — Przyjęty. — Ayrton i Penkroff na wysepce. — Więźniowie z Norfolku. — Ich zamiary. — Czyn bohaterski Ayrtona. — Powrót. — Sześciu przeciwko pięćdziesięciu.

Zamiary korsarzy żadnej nie przedstawiały wątpliwości. Zarzuciwszy kotwicę w małej odległości od wyspy, wyraźnie zamierzali wylądować nazajutrz.

Cyrus i jego towarzysze poczynili wszelkie przygotowania do obrony. Może obecność ich da się ukryć, jeżeli korsarze poprzestaną na zwiedzeniu wybrzeży, nie zapuszczając się w głąb wyspy? Może zamierzają tylko zaopatrzyć się w wodę słodką z rzeki Mercy, a w takim razie byłoby niepodobieństwem, żeby most, rzucony blisko półtorej mili od ujścia i składy drzewa przy Kominach nie zwróciły ich uwagi.

Ale cóż znaczy rozwinięta bandera, na co ten wystrzał armatni?... Albo to prosta zabawka, albo też jest to oznaka,

że zajmują wyspę w posiadanie. Teraz już Cyrus wiedział, że okręt jest uzbrojony w działa, przeciw którym koloniści mieli tylko strzelby.

— W każdym razie — rzekł Cyrus — zajmujemy tu prawie niezdobyte stanowisko. Korsarze nie zobaczą dawnego wejścia, ponieważ ukryte jest teraz w trawie i w trzcinie, a zatem nie podobna im będzie dostać się do Granitowego Pałacu.

— Tak, ale nasze plantacje, nasze kurniki i owczarnię mogą zniszczyć w przeciągu kilku godzin — wołał Penkroff, tupiąc nogą.

— Mogą to zrobić, Penkroffie, i my nie możemy temu przeszkodzić — odrzekł Cyrus.

— Wszystko zależy od liczby — rzekł reporter. — Damy sobie radę, jeżeli jest ich dziesięciu, dwunastu, ale czterdziestu, pięćdziesięciu, a może i więcej!...

— Panie Smith — rzekł Ayrton, zbliżając się do inżyniera — chciałbym prosić pana o pozwolenie.

— Jakie?

— Chcę udać się na ten okręt, aby przekonać się o jego sile i liczbie osady.

— Ależ, Ayrtonie — odrzekł inżynier — naraziłbyś swoje życie!

— Cóż mi to szkodzi?

— Chcesz uczynić więcej, niż tego wymaga obowiązek.

— Bo ja powinienem czynić więcej.

— Chcesz czólnem popłynąć ku okrętowi? — zapytał reporter.

— Nie, panie, mam zamiar rzucić się w pław. Czólno nie przepłynęłoby tam, gdzie człowiek może przepłynąć.

— Czy wiesz, że bryg stoi o milę i ćwierć od brzegu? — zapytał Harbert.

— Nic nie szkodzi, pływam doskonale.

— Ależ powtarzam ci, że narażasz życie — rzekł inżynier.

— Mniejsza o to — rzekł Ayrton. — Panie Smith, błagam jak o łaskę, proszę nie odmawiać mi pozwolenia. Może tym sposobem potrafię uszlachetnić się we własnym przekonaniu.

— Idź więc, Ayrtonie — odrzekł inżynier, czując, że odmowa dotknęłaby boleśnie dawnego przestępcę, który teraz stał się uczciwym człowiekiem.

— Będę ci towarzyszył — rzekł Penkroff.

— Nie dowierzasz mi — odrzekł żywo Ayrton; poczem kornie schylając głowę, dodał: — Niestety!

— Mylisz się, Ayrtonie — rzekł Cyrus. — Żle sobie tłumaczysz Penkroffa; on wcale nie chciał powiedzieć, że ci nie dowierza.

— Rzeczywiście — rzekł marynarz — chciałem towarzyszyć ci tylko do wysepki. Może który z tych łotrów wylądował, w takim razie dwóch nas nie byłoby za wiele, aby mu nie pozwolić przestrzec towarzyszków. Będę czekał na wysepce; na okręt udasz się sam, skoro jest to twoim zamiarem.

Za wspólną zgodą Ayrton zaczął czynić przygotowania do wycieczki. Projekt ten był nader śmiały, mógł jednak udać się dzięki ciemności nocnej. Raz dostawszy się na statek, mógł uczepić się łańcuchów lub lin od masztów i tym sposobem poznać liczbę, a może i zamiary nieprzyjaciół.

Wszyscy razem udali się na wybrzeże. Tam Ayrton rozebrał się i wysmarował tłuszczem, aby mniej czuć zimno wody, w której może długo będzie zmuszony pozostać. Jednocześnie Penkroff i Nab poszli sprowadzić łódź, uwiązaną o kilkadziesiąt kroków wyżej, nad brzegiem Mercy. Gdy wrócili, Ayrton był już gotowy do wycieczki. Zarzucono na niego kołdrę i towarzysze pożegnali go uściśnieniem dłoni. Odpłynął wraz z Penkroffem.

Było w pół do jedenastej, gdy obaj zniknęli w ciemnościach; koloniści oczekiwali na nich w Kominach.

Obaj marynarze przepłynęli kanał i przymocowali łódkę na wybrzeżu z przeciwnej strony wysepki. Po bacznych rozważeniach zdawało się pewnym, że korsarzy nie było na wysepce; przebiegli ją, poczem Ayrton bez wahania rzucił się w morze i popłynął cicho w kierunku okrętu, na którym właśnie zapalono światła.

Penkroff wsunął się w załom nadbrzeżnej skały, oczekując na powrót towarzysza.

Ayrton płynął, silnie robiąc rękami, lecz tak cicho, że powierzchnia wody wcale się nie poruszała. Głowę tylko wychylił nieco z wody, nie spuszczać brygu z oka, którego światelka odbijały się w wodzie. Całkiem zajęty zadaniem, które przyrzekł spełnić, ani pomyślał o niebezpieczeństwie, na jakie się narażał nie tylko na pokładzie okrętu, ale i w wodzie, gdyż w tej stronie morza często przebywały rekiny. Prąd go unosił, szybko więc oddalał się od brzegu.

W pół godziny później Ayrton niedostrzeżony dopłynął do okrętu. Tu zaraz wdział na siebie jedne z suszących się spodni marynarskich i, umieściwszy się, zaczął podsłuchiwać.

Na pokładzie rozprawiano, śpiewano i śmiano się wesoło, a wśród tego gwaru różne odzywały się przekleństwa. Oto, co z rozmowy posłyszał Ayrton.

— Dobry to nabytek, ten nasz bryg.

— Doskonale płynie nasz Speedy, godzien swej nazwy *).

— No! niech teraz cała marynarka norfolska uda się za nami w pogoń, możemy jej pokazać figę.

— Wiwat nasz dowódca!

— Wiwat Bob Harwey!

Łatwo pojmiemy, jakiego wrażenia doznał Ayrton, usłyszawszy ten urywek rozmowy, gdy dowiemy się, że w owym przywódcy poznał jednego z dawnych towarzyszków z Australii, doskonałego i śmiałego marynarza, który dawny zbrodniczy zamiar doprowadził do skutku. Bob Harwey opanował bryg, stojący przy wybrzeżach Norfolku, doskonale uzbrojony, zaopatrzone w amunicję, wszelkie narzędzia i zapasy. Cała jego banda dostała się na pokład, z zesłańców zmieniając się w korsarzy; nędznicy ci napadali i rabowali okręty, mordowali osady i byli stokroć okrutniejsi od Malajczyków.

Zbrodniarze ci rozprawiali głośno i, pijąc nad miarę, przechwalali się z okrucieństw i dokonanych grabieży.

Obecna osada okrętu Speedy składała się wyłącznie z więźniów angielskich, zbiegłych z Norfolku.

Wysepka Norfolk leży w Australii wschodniej, pod 29° 2" szerokości południowej i 16° 42" długości wschodniej, i ma sześć mil obwodu. Jest to osada angielska, do której wysyłają największych przestępców. Bywa ich pięciuset; pilnuje ich 150 żołnierzy, 150 urzędników pod zwierzchnictwem gubernatora. Trudno sobie wyobrazić, jak straszni są to zbrodniarze. Pomimo nadzwyczaj ścisłego nadzoru, niektórym udaje się uciec: zajmują oni zdradą okręty, na których dostają się na archipelagi polinezyjskie.

Tak postąpił Bob Harwey i jego towarzysze; zagarnął bryg Speedy, stojący na kotwicy w pobliżu wyspy Norfolk, wymordował z towarzyszami załogę, i od roku już bryg pły-

*) W języku angielskim *speedy* znaczy szybki.

wal po wodach Oceanu Spokojnego pod dowództwem zdolnego marynarza, dawniej zesłańca, a dziś korsarza.

Większa część zesłańców zebrała się w tylnej izdebce, a niektórzy rozciągnięci na pomoście rozprawiali głośno, pijąc nieustannie. Z ich rozmowy Ayrton dowiedział się, że przypadek jedynie sprowadził Speedy na wody Lincolna, Harwey dotąd nic o niej nie wiedział, i, jak trafnie domyślał się Cyrus Smith, zobaczywszy ziemię, nieoznaczoną na żadnej mapie, postanowił ją zwiedzić, a nawet zająć, jeśliby to się okazało korzystne.

Co się zaś tyczy wywieszenia czarnej bandery i strzału danego z działa, jak to czynią okręty wojenne w chwili rozwinięcia flagi, była to prosta fanfaronada, a nie żadne hasło, gdyż dotąd korsarze nie mieli żadnych stosunków z wyspą Lincolna.

Tak więc państwu kolonistów zagrażało wielkie niebezpieczeństwo. Niewątpliwie wyspa, tak łatwo dostępna, z przyrodzonym portem i zasobami, tak umiejętnie wyzyskiwanymi przez kolonistów, ze skrytymi podziemiami Granitowego Pałacu, spodoba się pewnie korsarzom. Zająwszy ją, zapewniliby sobie doskonałe schronienie, a samo to, że zupełnie była nieznana, zapewniało im na długo może bezkarność i bezpieczeństwo. Niewątpliwie także Bob Harwey rozkazałby bez litości wymordować kolonistów. Tak więc Cyrus Smith i jego towarzysze nie mogliby nawet ratować się ucieczką lub ukryć na wyspie, skoro zesłańcy zamierzali osiedlić się, gdyż nawet w razie, gdyby Speedy odplynął na wyprawę, to i wówczas zapewne pozostałaby na wyspie część osady. Trzeba więc było walczyć i co do jednego wytępić zbrodniarzy, niegodnych litości.

Tak myślał Ayrton, a Cyrus Smith podzieliłby jego zapatrywania.

Może w godzinę po jego dostaniu się na okręt wrzaski i pijatyka ucichły, i wielu zesłańców pogrążyło się w głębokim śnie. Wówczas Ayrton próbował dostać się na pokład, który po zgaszeniu świateł tonął w ciemnościach.

Po wielu usiłowaniach udało mu się dostać na wyniesienie z przodu okrętu; wtedy, przesuając się ostrożnie między leżącymi tu i ówdzie korsarzami, obszedł cały statek i przekonał się, że Speedy uzbrojony był czterema działami, które zapewne rzucały kule ośmio i dziesięcio-funtowe. Mógł nawet przekonać się, że były nabijane od tyłu. Były to więc

działa nowoczesne, które łatwo było obsługiwać, a straszne w swych skutkach.

Korsarzy śpiących na pokładzie naliczył dziesięciu, ale należało wnosić, że była to tylko część osady, i, o ile mu się zdawało z ich rozmowy, było na pokładzie pięćdziesięciu. Jednak, dzięki poświęceniu Ayrtona, Cyrus nie będzie zaskoczony niespodzianie, a znając siły nieprzyjaciół, obmyśli stosowne środki obrony. Mógł więc już wracać i zdać towarzyszom sprawę z wycieczki, toteż zamierzał dostać się na przód okrętu, a stamtąd spuścić się w morze. Lecz w tej właśnie chwili człowiekowi temu, który — jak sam powiedział — pragnął zrobić więcej nad obowiązek, przyszła do głowy myśl, aby poświęcić życie dla ocalenia wyspy kolonistów.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Cyrus Smith nie zdoła oprzeć się pięćdziesięciu tak doskonale uzbrojonym bandytom, którzy albo gwałtem wedrą się do Granitowego Pałacu, albo głodem zmuszą oblężonych do poddania. I w myśli przedstawił sobie swoich zbawców, którzy zrobili z niego człowieka i to człowieka uczciwego, którym był winien wszystko, pomordowanych bez litości, ciężką ich pracę obróconą w perzynę, a wyspę zamienioną w jaskinię korsarzy. Powiedział sobie, że w rezultacie on to jest główną przyczyną tylu klęsk i nieszczęść, ponieważ Bob Harwey wykonywał tylko dawne jego zamiary. I niewysłowny wstręt wstrząsnął całą jego istotą. Wtedy ogarnęła go nieprzeparta żądza wysadzenia w powietrze brygu, osady i wszystkiego, co się na nim znajdowało. On także zginie, lecz spełni swój obowiązek.

Nie zawahał się. Najpierw, co nie było zbyt trudne, należało dostać się do prochowni, mieszczącej się w tyle okrętu. Na statku, trudniącym się morskim rozbojem, prochu musiało być pod dostatkiem, dość było rzucić weń iskrę, aby niezwłocznie wysadzić okręt w powietrze.

Ayrton przesuwiał się ostrożnie po pomoście wśród śpiących korsarzy. U stóp wielkiego masztu płonęła okrętowa latarnia a ponad nią porozwieszana była broń różnego rodzaju i kalibru. Ayrton zdjął rewolwer i przekonał się, że był nabity. Było to dostateczne do dokonania dzieła zniszczenia. Skierował się więc ku tyłowi okrętu, gdzie w najniższej części musiał mieścić się skład prochu. Między dwoma pomościami panowała ciemność zupełna, nie podobna więc było, przekradając się tamtędy, nie potrącić którego ze śpiących

zbrodniarzy, co wywoływało gniewy i przekleństwa. Kilkakrotnie Ayrton zmuszony był zatrzymać się i przycząić; narreszcie jednak doszedł do ściany, odgradzającej tył okrętu, i znalazł w niej drzwi, które niezawodnie prowadziły do składu prochu.

Drzwi te były zamknięte na kłódkę. Chcąc się dostać do składu, trzeba ją było oderwać. Nie łatwo było dokonać tego bez hałasu, szczęściem Ayrton był nadzwyczaj silny, ukrecił więc kłódkę rękami i otworzył drzwi. W tej chwili uczył ciężką dłoń na ramieniu.

— Co tu robisz? — zapytał grubym głosem wysoki mężczyzna, nagle wysuwając się z ciemności, trzymaną w ręku latarkę podniósł ku twarzy Ayrtona.

Ayrton odskoczył w tył; przy przelotnym blasku latarki poznał dawnego współnika, Boba Harweya, który ze swej strony nie poznał go zupełnie — może dlatego, iż pewny był, że dawno nie żyje.

— Co tu robisz? — krzyknął znowu Harwey, chwytając Ayrtona za pasek od spodni.

Nic nie odpowiadając, Ayrton silnie odepchnął przywódcę korsarzy i chciał wpaść do składu prochu. Jeden wystrzał z rewolweru pomiędzy te beczki z prochem, a wszystko się skończy...

— Hej, koledzy! — krzyknął Bob Harwey.

Kilku bandytów zerwało się, usłyszawszy krzyk przywódcy, i rzucili się na Ayrtona, chcąc go pochwycić; ale Ayrton, posiadając olbrzymią siłę, zdołał im się wydrzeć. I natychmiast dał dwa strzały z rewolweru; dwóch rabusiów padło, ale Ayrton został nożem raniony w ramię.

Widział teraz, że nie podobna było dokonać powziętego zamiaru, gdyż Bob Harwey zamknął drzwi do prochowni, a ruch na pomoście wskazywał, iż korsarze przebudzili się. Nie mogąc zginąć wraz z okrętem, Ayrton chciał walczyć przy boku Cyrusa — trzeba więc było uciekać. Ale ucieczka była zbyt trudna, a nawet bardzo wątpliwa.

Miał jeszcze cztery strzały. Dał ognia dwa razy; jeden strzał skierował do Boba Harweya, ale albo nie trafił, albo lekko ranił; korzystając z chwilowego popłochu i cofnięcia się nieprzyjaciół, skoczył na drabinę, a stamtąd dostał się na pomost brygu. Przechodząc około latarni, rozbil ją kolbą rewolweru, aby wśród ciemności łatwiej mu było uciekać.

Zbudzeni odgłosem wystrzałów, rozbójnicy zaczęli wcho-

dzić na drabinę; w tejże chwili piąty strzał z rewolweru Ayrtona zrzucił jednego na dół, inni cofnęli się niezwłocznie, nie pojmując, co się stało. Ayrton w dwóch skokach dostał się na pokład, poczem, wystrzeliwszy raz jeszcze z rewolweru do korsarza, który go chciał pochwycić, przeskoczył parapet i rzucił się w morze.

Zaledwie odplynał kilkanaście kroków, grad kul posypał się za nim. Jakież wrażenie wyrzucić musiał na Penkroffie, ukrytym w szczelinie skały, i innych kolonistach, zaczajonych w Kominach, ten odgłos wystrzałów z brygu. Wypadli z bronią na wybrzeże, aby być w pogotowiu do obrony. Nie wątpili, że korsarze schwytali i zamordowali Ayrtona i może, korzystając z ciemności, zamierzali dostać się na wyspę.

Przez pół godziny czekali przerażeni. Nareszcie wystrzały ustały, lecz ani Ayrton, ani Penkroff nie wracali. Czy rozbójnicy wylądowali? Czy nie należy biec na pomoc Ayrtonowi i Penkroffowi?... Jak tego dokonać?... Przyływ morza czynił w tej chwili kanał niepodobnym do przebycia, a łodzi nie mieli.

Nareszcie po północy łódź przybiła do brzegu. Był to Ayrton, lekko raniony w ramię, i Penkroff zdrowi i caży. Towarzysze uściskali ich z radości i wszyscy schronili się do Kominów. Tam Ayrton opowiedział szczegóły swej wycieczki, nie ukrywając i tego, że zamierzał wysadzić bryg w powietrze. Gdy to oświadczył, wszyscy wyciągnęli do niego ręce.

Ayrton nie tał, że położenie było bardzo groźne. Rozbójnicy wiedzieli teraz, że wyspa jest zamieszkaana, wylądują więc w znacznej liczbie i dobrze uzbrojeni. Niezawodnie nie poszanują i jeżeliby koloniści wpadli w ich ręce, nie mogą spodziewać się żadnej litości.

— W takim razie potrafimy umrzeć! — zawołał reporter.

— Chodźmy i czuwajmy! — rzekł inżynier.

— Czy jest jaka nadzieja ocalenia, panie Cyrusie? — zapytał marynarz.

— Tak, Penkroffie.

— Hmm, sześciu przeciw pięćdziesięciu!

— Tak, sześciu... ale nie liczymy...

— Kogo?

Zamiast odpowiedzi Cyrus wskazał ręką niebo.

Mgła opada. — Rozkazy inżyniera. — Trzy stanowiska. — Ayrton i Penkroff. — Pierwsza szalupa. — Na wysepce. — Korsarze na lądzie. — Bryg podnosi kotwicę. — Kierunek „Speedy“. — Rozpaczliwe położenie. — Nieoczekiwane rozwiązanie.

Noc przeszła spokojnie, jednakże koloniści mieli się na ostrożności i nie opuszczali stanowiska w Kominach. Korsarze dotąd nie próbowali wylądować. Od czasu, jak przestali strzelać za Ayrtonem, żaden wystrzał, żaden hałas nie zdradzał obecności brygu na wodach wyspy. Można było myśleć, że podniósł kotwicę, w przekonaniu, że miałby do czynienia ze zbyt silnym nieprzyjacielem.

Gdy jutrzienka zaświtała, koloniści dojrzeliby wśród mgły olbrzymi szkielet — był to Speedy.

— Towarzysze — rzekł inżynier — oto, co należy czynić, zanim mgła opadnie. Teraz zasłania ona nas przed wzrokiem korsarzy, możemy działać bez zwrócenia ich uwagi. Przede wszystkim tak się musimy urządzić, aby korsarze mniemali, że wyspa ma liczną ludność, zdolną stawiać silny opór. Rozdzielimy się więc na trzy oddziały; pierwszy pozostanie w Kominach; drugi zajmie stanowisko przy ujściu Mercy; trzeci, jak sądzę, powinienby stanąć na wysepce, aby przeszkodzić lub przynajmniej opóźnić wylądowanie korsarzy. Mamy do dyspozycji dwa karabiny i cztery strzelby; wszyscy będziemy więc uzbrojeni, a że nie brak nam kul i prochu, nie będziemy oszczędzali strzałów. Nie mamy się co obawiać karabinów, a nawet i dział brygu. Cóż one zrobią tym skałom?... A ponieważ nie będziemy strzelali z okien Granitowego Pałacu, nie przyjdzie rozbójnikom na myśl rzucać tam granaty, które mogłyby wyrządzić szkodę. Najgorzniejszą dla nas byłaby potyczka, ponieważ korsarze przewyższają nas liczbą. Starajmy się więc głównie nie dopuścić do wylądowania, nie oszczędzajmy amunicji, ale strzelajmy z ukrycia. Strzelajmy często a celnie, nie zapominając, że każdy z nas ma przeciw sobie ośmiu lub dziesięciu nieprzyjaciół i powinien zgładzić ich ze świata.

Cyrus Smith dokładnie określił położenie, a przemawiał głosem tak pewnym i spokojnym, jakby wydawał rozporządzenia, odnoszące się do jakiej pracy, a nie układał planu bitwy. Towarzysze słuchali w milczeniu i zabierali się zająć wyznaczone sobie stanowiska.

Najpierw jednak Nab i Penkroff udali się do Granitowego Pałacu i przynieśli stamtąd dostateczny zapas amunicji. Penkroff i Ayrton, jako najlepsi strzelcy, dostali najlepsze dalekonośne karabiny, których strzały dochodziły do tysiąca kroków.

Cyrus Smith z Harbertem zaczęli się w Kominach, skąd panowali nad wybrzeżem i bronili dostępu do Granitowego Pałacu. Gedeon Spilett i Nab ukryli się między skałami przy ujściu Mercy, której most i mostki spuszczone w ten sposób, aby nie można było ani przejść przez nie, ani przepłynąć, ani też wylądować na przeciwnym brzegu.

Ayrton i Penkroff spuścili łódź na wodę, aby przepłynąć kanał i zająć dwie pozycje na wysepce. Tym sposobem strzały będą padały z trzech stron od razu, z czego rozbójnicy będą wnosić, że wyspa jest dostatecznie zaludniona i silnie broniona.

W razie, gdyby Penkroff i Ayrton nie mogli przeszkodzić wylądowaniu, lub gdyby widzieli, że mogą być otoczeni, mieli wrócić do łodzi, wysiąść na wybrzeżu i udać się na miejsce najwięcej zagrożone.

Przed udaniem się na wyznaczone stanowiska, koloniści polecili się Bogu i pożegnali uściskiem. Penkroff zaledwie zdołał zapanować nad silnym wzruszeniem, jakie go ogarnęło, gdy żegnał Harberta, swego przybranego syna... W kilka minut później Cyrus Smith i Harbert z jednej strony, a z drugiej Nab i reporter zniknęli między skałami, a niezdługo potem Penkroff i Ayrton, przebywszy szczęśliwie kanał, wylądowali na wysepce i ukryli się na jej wschodnim brzegu między szczelinami skał.

Nie mogli być dostrzeżeni, gdyż było jeszcze tak ciemno, że sami zaledwie mogli rozróżnić bryg wśród otaczającej go mgły.

Wkrótce mgła rozeszła się, szczyty masztów brygu zarysowały się wyraźnie. Jak obliczył Cyrus Smith, stał on na kotwicy o jaką milę i ćwierć od wybrzeża.

Straszna czarna bandera powiewała nad nim.

Inżynier mógł dojrzeć przez lunetę, że cztery działa, stanowiące artylerię brygu, skierowane były ku wyspie, tak, aby w każdej chwili korsarze mogli z nich dać ognia. Jednak dotąd Speedy milczał, tylko widać było około trzydziestu rozbójników, uwijających się na pokładzie. Kilku zeszło do

izdebek oficerskich. Dwóch stało przy wielkim maszcie z lunetami w rękę i uważnie przyglądali się wyspie.

Zapewne Bob Harwey i cała osada nie mogli wytłumaczyć sobie zajścia na brygu. Czy ów na wpół nagi człowiek, który oderwał kłódkę i gwałtem chciał dostać się do prochowni, o którego się ocierali, a on sześć razy wystrzelił do nich z rewolweru i zabił jednego, a ranił dwóch korsarzy, zdołał uciec przed ich kulami, czy dopłynął do brzegu? Skąd się wziął i po co wdarł się na statek? Czyżby, jak przypuszczał Bob Harwey, miał rzeczywiście zamiar zapalić proch i wysadzić bryg w powietrze? Wszystko to było dla nich nierozwiązaną zagadką. O tym tylko nie mogli wątpić, że nieznaną wyspa, przed którą Speedy zarzucił kotwicę, była zamieszkaana, i może liczna ludność gotowa była stanąć w jej obronie... A jednak nikogo nie było widać ani na wybrzeżu, ani na wzgórzach; wyspa zdawała się być zupełnie bezludną, nigdzie ani śladu mieszkań. Czyżby mieszkańcy schronili się w głębi wyspy?

Oto pytania, jakie stawiał sobie dowódca, i widać, jako człowiek przezorny, starał się rozpoznać grunt, zanim wydzi na ląd osadę.

Przez półtorej godziny nic na pokładzie nie zapowiadało zamiaru napaści, ani nawet wylądowania; widocznie Bob Harwey namyślał się i wahał. Najlepsze lunety nie mogły mu ukazać kolonistów, zaczajonych pomiędzy skałami, i zdawało się nieprawdopodobnym, aby okna Granitowego Pałacu, tak doskonale zakryte lianami i gałęzmi, zwróciły jego uwagę.

Niebawem koloniści dostrzegli ruch na pokładzie. Spuszczono łódź na morze, weszło do niej siedmiu ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni w dubeltówki; jeden stanął przy rudłu, czterech chwyciło za wiosła, dwóch stało na przodzie łodzi, gotowych wystrzelić każdej chwili, i rozpatrywali się w miejscowości. Zapewne zamierzali tylko odbyć wywiad, nie myśląc o wylądowaniu, bo w takim razie byliby wypłynęli w większej liczbie.

Reszta rozbójników, siedząc na masztach niższych i wyższych, mogła łatwo dostrzec wysepkę, leżącą poza kanałem, pół mili szerokim. Jednak, uważając bacznie, Cyrus Smith mógł się przekonać z kierunku w jakim płynęła łódź, że nie zamysłają wpłynąć do kanału lecz tylko przezornie pragną zbliżyć się do wysepki.

Penkroff i Ayrton, ukryci każdy z osobna w wąskich załamach skał, widzieli ich zbliżających się i czekali tylko, aby zbliżyli się na odległość strzału. Łódź posuwała się nadzwyczaj ostrożnie; rozbójnicy wiosłowali bardzo wolno, jeden trzymał w ręku sondę, którą mierzył głębokość, to dowodziło, że Bob Harwey miał zamiar zbliżyć bryg swój jak najbliższej brzegów. Nareszcie łódź zatrzymała się o jakie 200 sążni od wysepki; sternik upatrywał najlepszego miejsca na przystań. W tejsze chwili rozległy się dwa strzały i dym uniósł się ponad skałami wysepki. Sternik i trzymający sondę upadli na wznak na dno łodzi; ugodziły ich kule Ayrtona i Penkroffa. Jednocześnie prawie głośny huk rozległ się w powietrzu, i kula działowa, wyrzucona z brygu, uderzyła w szczyty skał, w których ukrywali się Ayrton i Penkroff, i rozsadziła je w drobne kawałki. Oni nic nie ucierpieli.

Straszne przekleństwa gradem posypały się z łodzi, która prędko zaczęła płynąć. Jeden z towarzyszy zastąpił sternika, inni zaczęli wiosłować. Zamiast wracać na statek, płynęli wzdłuż brzegów wysepki, starając się opłynąć ją od cypla południowego i, zakreśliwszy półkuliście, linię pod osłoną dział, skierowali się ku ujściu Mercy.

Teraz łatwo można było poznać, że mają zamiar wpłynąć do kanału i zająć tył zaczajonym na wysepce kolonistom, aby tym sposobem wziąć ich we dwa ognie.

Łódź posuwała się w obranym kierunku, a tymczasem panowała głęboka cisza. Penkroff i Ayrton nie opuścili swego stanowiska, chociaż zrozumieli, że korsarze mogą im przeciąć odwrót, gdyż nie chcieli im się jeszcze pokazywać i narażać na działowe kule, liczyli na Gedeona i Naba, czuwających przy ujściu rzeki, oraz na Cyrusa i Harberta, zaczajonych w Kominach.

We dwadzieścia minut po pierwszych strzałach łódź znajdowała się na wprost Mercy, lecz jeszcze o paręset sążni od jej ujścia. Zaczął się właśnie przypływ, i fale morza tłoczyły się tak gwałtownie w wąskie koryto rzeki, że wszyscy korsarze rzucili się do wiosel i z największą trudnością utrzymywali łódź w środku kanału. Kiedy na koniec zbliżyli się do ujścia Mercy, dwie kule świsnęły w powietrzu, i dwaj z nich upadli na dno łodzi; Nab i Spilett nie na próżno strzelali. Bryg odpowiedział natychmiast drugim wystrzałem działowym, lecz kula wyszczerbiła tylko skały.

Obecnie w łodzi znajdowało się tylko trzech ludzi zdrowych: uniesiona pędem wody, sunęła po kanale z szybkością strzały, przemknęła koło stanowiska Cyrusa i Harberta, lecz w zbyt wielkiej odległości, aby mogli do niej strzelać, następnie opłynąwszy północny cypel wysepki, zaczęła dążyć ku statkowi.

Dotąd koloniści byli szczęśliwi od swych przeciwników, żaden z nich nie był raniony, gdy przeciwnie — już czterech zbrodniarzy poniosło ciężkie a może nawet śmiertelne rany. Z tego widzimy, jak mądre były rozporządzenia inżyniera, gdyż korsarze musieli wnosić, że mają do czynienia z licznymi i dobrze uzbrojonymi przeciwnikami, których nie łatwo zdołają zwyciężyć.

Upłynęło pół godziny, zanim łódź zdołała zbliżyć się do statku; na pokładzie rozległy się straszne i groźne krzyki, gdy dostrzeżono ranionych. Dwunastu zbrodniarzy, uniesionych szalonym gniewem, wskoczyło natychmiast do łodzi, następnie spuszczone jeszcze drugą na morze, do której znów wsiadło ośmiu ludzi. Gdy pierwsza zmierzała wprost do wysepki, aby z niej wyprzeć kolonistów, druga kierowała się widocznie do ujścia Mercy, które zapewne chciała opanować. Teraz położenie Penkroffa i Ayrtona było tak niebezpieczne, iż musieli myśleć o powrocie na wyspę. Zatrzymali się jednak jeszcze o tyle, aby łódź zbliżyła się na odległość strzału, i znów dwie kule przerzedziły jej osadę. Penkroff i Ayrton opuścili swoje stanowisko; pomimo, że strzelano do nich z łodzi, wskoczyli do swej łódki i przepłynęli kanał w tej właśnie chwili, gdy druga łódź ukazała się przy południowym cyplu wysepki.

Zaledwie stanęli w Kominach obok Cyrusa i Harberta, korsarze z pierwszej łodzi wylądowali na wysepce i, przebiegając ją wszerek i wzdłuż, szukali przeciwników. Prawie w tym samym czasie odezwały się strzały na stanowisku przy Mercy, gdzie druga łódź zbliżyła się czybko. Dwóch, z ośmiu znajdujących się w niej ludzi, padło od kul Ge-deona i Naba, a łódź sama, uniesiona pędem wody, rozbiła się o skały przy ujściu Mercy. Jednak sześciu pozostałych korsarzy, unosząc broń ponad wodą, aby ją zabezpieczyć od zamoknięcia, dopłynęło do prawego brzegu rzeki i zaczęli uciekać, co im sił starczyło, w kierunku cypla Skrzyni, aby kule przeciwników nie mogły ich dosięgnąć.

Tak więc na wysepce znajdowało się obecnie dwunastu złoczyńców, między którymi wprawdzie byli lżej i ciężko ranni, ale mających jeszcze łódź, z której w razie potrzeby mogliby korzystać; na samą wyspę wylądowało sześciu, lecz tym nie podobna było dostać się do Granitowego Pałacu, ponieważ ściągnięto wszystkie mosty i mostki.

— Dobrze nam idzie, panie Cyrusie — zawołał Penkroff, wbiegając do Kominów. — Wszak prawda?

— Tak — odpowiedział inżynier — kto wie jednak, co będzie dalej, bo trudno nawet przypuścić, że ci złoczyńcy są do tego stopnia ograniczeni, aby chcieli i nadal prowadzić walkę w tak niekorzystnych dla siebie warunkach.

— Przecież nie zdołają przepłynąć kanału — rzekł marynarz. — Karabiny Ayrtona i pana Spiletta nie pozwolą na to. Wszakże pan wie, jak daleko sięgają ich kule.

— Prawda — rzekł Harbert — ale cóż znaczą karabiny w porównaniu z działami?

— Przecież bryg nie wpłynął jeszcze do kanału, abyśmy mogli obawiać się jego dział! — zawołał Penkroff.

— A jeżeli wpłynie? — odpowiedział Penkroff.

— To być nie może, obawiałby się osiąść na mieliźnie lub rozbić o skały.

— Przeciwnie, jest to bardzo prawdopodobne — odezwał się Ayrton. — Korsarze mogą wpłynąć do kanału, korzystając z przyływu, choćby nawet wiedzieli, że w czasie odpływu osiądą na mieliźnie, a wtenczas pod ogniem ich nie zdołamy się utrzymać na naszych stanowiskach.

— Do tysiąca kul i bomb! — zawołał Penkroff — zdaje się, że ci niegodziwcy zamierzają naprawdę podnieść kotwicę!

— Może — odezwał się Harbert — będziemy zmuszeni schronić się do Granitowego Pałacu.

— Czekajmy jeszcze — odpowiedział Cyrus Smith.

— Ale Nab i Spilet?...

— Potrafią połączyć się z nami, gdy to będzie potrzebne. Bądź gotów, Ayrtonie, teraz możemy głównie liczyć na twoje i Spiletta strzały.

Nie podobna już było powątpiewać; Speedy zaczął się już poruszać i skręcać ku wysepce. Przyływ morza miał jeszcze trwać półtorej godziny, a że fale jego nie podnosiły się tak gwałtownie, dość łatwo było kierować statkiem; pomimo to Penkroff nie mógł przypuścić, aby się osmielono wpłynąć do kanału.

Tymczasem rozbójnicy, znajdujący się na wysepce, tak zbliżyli się do brzegu, że tylko kanał oddzielał ich od wyspy. Uzbrojeni w proste strzelby, nie mogli szkodzić kolonistom, kryjącym się w Kominach lub między skałami przy ujściu Mercy, a nie wiedząc, że przeciwnicy mają dalekonośne karabiny, nie lękali się także o siebie i śmiało postępowali wzdłuż brzegów. Jednak złudzenie to niedługo trwało; z karabinów Ayrtona i Spiletta padły strzały, i kule ich powaliły na ziemię dwóch zbrodniarzy. Przestraszeni ich towarzysze uciekli na przeciwny brzeg wysepki, nie zabrawszy nawet ranionych czy zabitych i, wskoczywszy do łodzi, odpłynęli do statku.

— Ośmiu ubyło! — zawołał Penkroff. — Pan Spiiett i Ayrton nie psują prochu, strzelają razem jak na komendę.

Tymczasem Speedy zbliżał się zwolna do lądu. Na obydwóch stanowiskach koloniści śledzili jego ruchy z głębokim wzruszeniem, czuli, w jak strasznym znajdują się położeniu, gdy zostaną wystawieni na ogień jego dział, nie posiadając odpowiednich środków obrony. Jakże zdołają przeszkodzić złoczyńcom, aby nie wylądowali na wyspie? Cyrus Smith zastanawiał się, co teraz wypada czynić. Zamknąć się w Granitowym Pałacu i, korzystając z obfitych zapasów żywności, wytrzymywać oblężenie przez tygodnie i miesiące? Dobrze, ale cóż się potem stanie? Rozbójnicy pomimo to zostaną panami wyspy, zniweczą owoce ich pracy, a z czasem, gdy głód zawita do Granitowego Pałacu, mieszkańcy jego będą zmuszeni poddać się lub zginąć straszną śmiercią.

— Nie — powtarzał Penkroff — skoro Bob Harwey jest dobrym marynarzem, to nigdy nie odważy się wpłynąć do tej odnogi! Wie, że naraziłby bryg na rozbicie, gdyby tylko zerwał się wiatr trochę silniejszy, a cóż by się z nim stało, gdyby utracił swój statek?

Pomimo to bryg zbliżał się do wysepki i płynął wzdłuż jej brzegów ku wejściu do kanału. Łatwo było domyśleć się planu Boba Harweya. Oto chciał zarzucić kotwicę naprzeciwko Kominów i stamtąd odpowiedzieć wystrzałami działowymi na strzały mieszkańców wyspy. Puścił się tą samą drogą, którą płynęły wysłane przez niego łodzie, wpłynął śmiało w odnogę i wkrótce znajdował się już naprzeciwko ujścia Mercy.

— Już wpłynęli zbóje! — krzyknął Penkroff.

W parę minut później Nab i Gedeon Spilett połączyli się z towarzyszami. Opuścili stanowisko, na którym musieli teraz stać bezczynnie; przesuając się ostrożnie pod osłoną skał, przybyli szczęśliwie do Kominów, mimo rozlegających się ciągle strzałów.

— Gedeonie! Nabie! — zawołał inżynier — czy który z was nie raniony?

— Nie — odpowiedział reporter — otrzymaliśmy tylko kilka lekkich kontuzyj. Ale to gorsza, że ten szatański bryg wpłynął do kanału.

— Tak — rzekł Penkroff — i za dziesięć minut zarzuci kotwicę wprost Granitowego Pałacu.

— Co dalej zamierzasz czynić, Cyrusie? — zapytał reporter.

— Musimy schronić się do Granitowego Pałacu, dopóki jeszcze złoczyńcy nie mogą nas dostrzec.

— Podzielam twoje zdanie — odpowiedział Spilett — ale gdy już tam będziemy...

— Musimy działać stosownie do okoliczności — rzekł inżynier. — Teraz zaś idźmy; nie tracąc czasu.

— Czy nie byłoby dobrze, panie Cyrusie, abym pozostał tu z Ayrtonem? — zapytał marynarz.

— Na cóż by się to zdało, Penkroffie? — odpowiedział Cyrus. — Nie, lepiej się nie rozłączajmy.

— Nie było czasu do stracenia, koloniści wyszli więc z Kominów. Wystające skały zakrywały ich przed wzrokiem osady statku, ale z rozlegających się coraz bliżej wystrzałów mogli wnosić, że Speedy już niedaleko. Przyspieszyli kroku, wskoczyli na windę, w jednej chwili wzniesli się do Granitowego Pałacu i wbiegli do wielkiej sali, gdzie Top i Jow byli już od wczoraj zamknięci.

Schronili się w samą porę, gdyż prawie jednocześnie, przez gałęzie, zasłaniające okno, ujrzeli nadpływający statek; kule czterech jego dział padały bezustannie na opuszczone świeżo przez kolonistów stanowiska, a dzikie okrzyki towarzyszyły każdemu strzałowi. Odłamy skał z hukiem staczały się na ziemię.

Można jednak było mieć nadzieję, że Granitowy Pałac uniknie natarczywości wrogów dzięki rozporządzeniu Cyrusa, który, jak wiemy, kazał pozasłaniać gałęziami jego okna, gdy tymczasem kula wpadła do korytarza przez otwór na drzwi wchodowe.

— Przekleństwo im! — krzyknął Penkroff. — Odkryli nasze schronienie!

Być może jednak, że Bob Harwey tylko na chybił trafił kazał strzelać do tej prostokątnej skały, przysłoniętej gęsto gałęziami; wkrótce jednak, gdy kule pościnały w wielu miejscach gałęzie, i zobaczono wybite gdzieś w skale otwory, kule gradem zaczęły się sypać w tę stronę.

Położenie kolonistów było rozpaczliwe, odłamy granitu sypały się dokoła i groziły im śmiercią; zamierzali już schronić się do najodleglejszego zakątka Granitowego Pałacu, gdy nagle dał się słyszeć huk przygluszony, a zaraz po nim przerażające krzyki. Cyrus a za nim wszyscy przybiegli do okna.

Bryg podniósłszy się w górę na czymś, podobnym do trąby wodnej, rozłupał się na dwie części i najdalej w dieście sekund zapadł się w morze z całą zbrodniczą osadą!

ROZDZIAŁ XLVI.

Cyrus i Penkroff ratują szczątki. — Rozmowa podczas śniadania. — Zwiedzenie pudła statku. — Nowe bogactwa. — Ostatnie szczątki. — Kawalek cylindra.

— Wysadzeni w powietrze! — krzyknął Harbert.

— Tak, tak, wysadzeni! Jak gdyby Ayertonowi udało się podłożyć ogień do składu prochu — wołał Penkroff, zajmując obok Naba i Harberta miejsce na windzie.

— Co się stało? — wołał Spilett, zdumiony tak niespodzianym zakończeniem walki z napastnikami.

Później dowiemy się o tym. Tymczasem cieszmy się, że złoczyńcy zostali wytępieni!

Po tych słowach Cyrus wraz z reporterem i Ayertonem pospieszili także na wybrzeże.

Bryg zniknął pod wodą, tak, że nawet nie było widać szczytu jego masztów. Podniesiony w górę, przy spadaniu przechylił się na bok i zanurzył w wodzie. W tym miejscu kanał nie miał więcej nad dwadzieścia stóp głębokości, można więc było być pewnym, że w czasie odpływu morza bok statku ukaże się nad powierzchnią wód.

Na morzu pływały różne szczątki, klatki z drobiem, paki, baryłki, zapasowe reje i maszty, które zwolna wydobywały

się na powierzchnię, wkrótce nawet dwa maszty, pozrywawszy przytrzymujące je liny, ukazały się na wodach wraz z żaglami, ale nie było widać nigdzie desek z pokładu, ani części burty, otaczającej pomost, co jeszcze więcej czyniło zagadkowym. nagle zatonięcie statku.

Penkroff i Ayrton, obawiając się, aby morze podczas zbliżającego się już odpływu nie uniosło szczątków, wsiadli do łódki z zamiarem przyciągnięcia ich za pomocą lin.

— A złoczyńcy, znajdujący się na prawym brzegu Mercy? — zawołał Spilett, gdy już mieli odplynąć.

Wszyscy spojrzeli w kierunku, gdzie schroniło się sześciu ludzi z rozbitej łodzi, lecz żadnego z nich nie dostrzeżono. Prawdopodobnie, widząc, że bryg zatonął, uciekli w głąb wyspy.

— Później wypadnie zająć się nimi — rzekł Cyrus. — Posiadają broń, mogą więc być niebezpieczni, lecz teraz siły nasze i przeciwników będą zupełnie równe.

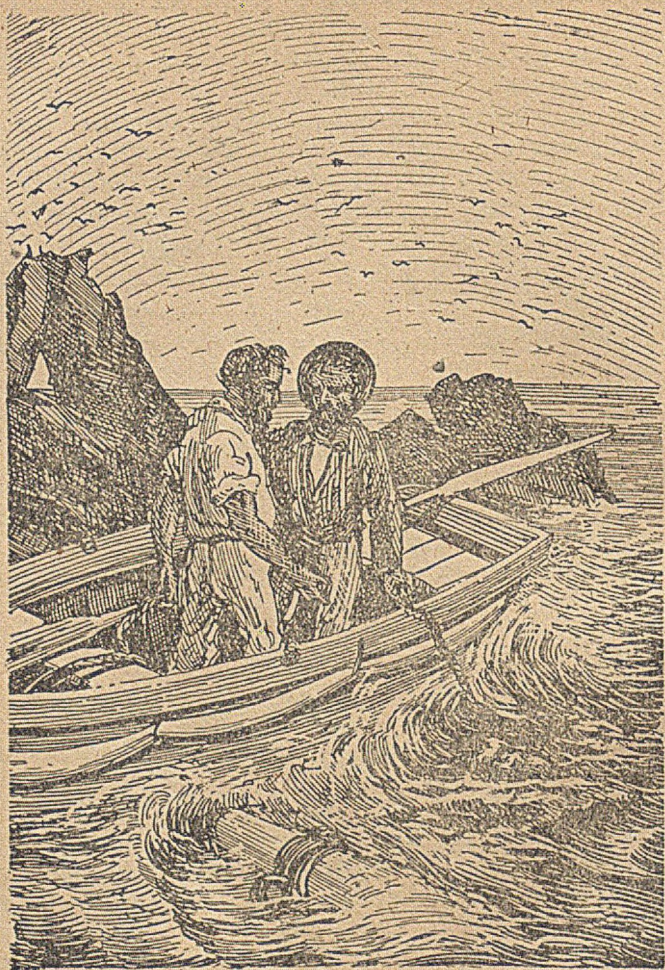
Ayrton i Penkroff odplynie. Prawie był przyplływ morza i trzeba było czekać najmniej godzinę, zanim woda odkryje pudło statku; dwaj marynarze mieli więc dość czasu, aby przyciągnąć do brzegu maszty z żaglami, klatki z drobiem, baryłki i paki, które przeniesiono natychmiast do Kominów.

Zwłoki kilku zbrodniarzy wypłynęły już na wodę. Ayrton poznał między nimi Boba Harweya.

Zajęci pracą, nie mieli czasu mówić wiele, ale ileż to myśli przesunęło się przez ich głowy! Stali się tak niespodziewanie panami wszystkiego, co bryg zawierał, a na każdym statku znajduje się tyle użytecznych przedmiotów!

Penkroff rozmyślał nad tym, czyby nie można statku naprawić, i wydobyć z wody. Jeżeli, mówił do siebie, zrobił się w nim otwór, przepuszczający wodę, to można go przecież zapelnąć, jak się to nieraz zdarza: a statek o czterystu mniej więcej beczkach, to prawdziwy okręt w porównaniu z naszym „Bonawenturą“! Można nim popłynąć daleko! Można dopłynąć, gdzie zechcemy! Warto, żeby pan Cyrus pomyślał o tym.

Gdy już wszystko złowiono, postanowili odpocząć trochę i zjeść śniadanie, gdyż głód dawał się im odczuwać. Szczęściem spiżarnia była blisko, a Nab nie lubił tracić czasu, posilili się więc, usiadłszy na murawie, a głównym przedmiotem ich



Ayrton poznał między nimi Boba Harweya (str. 291).

rozmowy był niespodziewany wypadek, który ich ocalił tak cudownie.

— Można śmiało nazwać go cudownym — powtarzał Penkroff — gdyż nie podobna zaprzeczyć, że ci niegodziwcy

zatonęli w samą porę! Dłuższy pobyt w Granitowym Pałacu był prawie niepodobny, a wyjść z niego nie mogliśmy.

— Jakim też powodom przypisujesz, Penkroffie, to wysadzenie statku w powietrze — zapytał reporter.

— O! tego domyślić się łatwo — odpowiedział marynarz. — Na statku korsarskim nie ma nigdy takiego ładunku, jak na wojennym. Zbrodniarze zwykle nie są dobrymi majtkami, nie ma zatem wątpliwości, że skład prochu był otwarty, skoro bezustanku zasypywano nas kulami, dosyć więc było najmniejszej nieostrożności, ażeby cały statek wyleciał w powietrze!

— To mnie tylko zadziwia, panie Cyrusie — odezwał się Harbert — że nie było silnego huku i że na morzu nie widać prawie szczątków pudła statku, stąd prędzej można by wnosić, że zatonął, niż wyleciał w powietrze.

— I mnie to dziwi także, Harbercie — odpowiedział inżynier. — Gdy obejrzymy pudło statku, może ta zagadka będzie rozwiązana.

— Ależ, panie Cyrusie — rzekł Penkroff — chyba nie sądzi pan, że Speedy zatonął sobie po prostu, jak każdy statek, kiedy uderzy o skałę.

— Dlaczego nie? — odezwał się Nab — jeżeli w tym kanale są skały.

— Widocznie, Nabie, nie widziałeś jak się to stało? — odpowiedział Penkroff. — Na chwilę przed zatonieniem statek wzniósł się wysoko i, spadając, przewrócił się na bok. Otóż, gdyby uderzył o skałę, byłby zatonął spokojnie, jak to czyni każdy uczciwy statek.

— No! ale ten właśnie nie był uczciwy! — odpowiedział Nab.

— W każdym razie, wkrótce przekonamy się o tym, Penkroffie — rzekł inżynier.

— Tak, przekonamy się, i dałbym głowę, że w kanale skał nie ma.

— Panie Cyrusie, proszę mi powiedzieć, czy i w tym zdarzeniu widzi pan coś nadzwyczajnego? — zapytał Penkroff. Inżynier milczał.

— Bądź co bądź — rzekł Gedeon — nie zaprzeczysz, Penkroffie, że czy przez wysadzenie w powietrze, czy przez rozbicie o skałę, statek zatonął w samą dla nas porę.

— O! tak! bez wątpienia!... ale teraz nie o to nam idzie. Pytałem się pana Cyrusa, czy widzi w tym coś nadzwyczajnego.

— Nie mogę jeszcze nic stanowczego powiedzieć — odrzekł inżynier.

Odpowiedź ta nie zadowoliła Penkroffa. Był przekonany i chciał przekonać innych, że statek był wysadzony w powietrze. Nie mógł przypuścić, aby w łożysku kanału, wysłanym mialkim piaskiem, jak całe wybrzeże, ukrywały się skały: zresztą bryg zatonał w czasie najsilniejszego przypływu morza, miał tedy więcej wody, niż mu było potrzeba do przepłynięcia szczęśliwie ponad skałami, niewidocznymi nawet przy odpływie. Statek nie uderzył więc o skałę, a zatem został wysadzony w powietrze.

Około drugiej po południu koloniści wsiedli do łódki i udali się na miejsce wypadku. W tej chwili pudło statku zaczęło już wychylać się ponad wodę. Speedy nie leżał, jak mniemał Penkroff, na lewym boku, lecz przewrócił się prawie spodem do góry.

Koloniści opłynęli dokoła pudła i w miarę, jak woda opadała, rozpatrywali straszne skutki. Przód i boki były strasznie potrzaskane, i nie podobna było nawet myśleć o zapchaniu otworów, przepuszczających wodę. Nie tylko że z całej tej części znikła miedziana blacha, lecz nadto nie pozostało nawet śladu z klepek i okuć. Wzdłuż całego pudła gwoździe i śruby obluzowały się lub powypadały, a belka, idąca wzdłuż pudła, rozłupała się na dwoje.

— Do licha! — rzekł Penkroff. — Trudno byłoby naprawić taki statek!

— Nie tylko trudno, ale i nie podobna — powiedział Ayrton.

— W każdym razie — rzekł Gedeon — wybuch, jeżeli to miał być wybuch, wydał dziwne skutki! Roztrzaskał pudło statku w dolnych jego częściach, zamiast rozsadzić pokład i górne części! Zdawało by się, że szerokie otwory można by prędzej przypisać uderzeniu o skałę, niż wybuchowi prochu.

— Nie ma skał w tym kanale — odpowiedział marynarz. — Zgodzę się na wszystkie przypuszczenia z wyjątkiem rozbicia o skałę.

— Starajmy się wejść do wnętrza statku — rzekł inżynier — może tam odnajdziemy powody zniszczenia.

Była to rzeczywiście bardzo dobra myśl, tym bardziej, że chodziło także o uratowanie znajdujących się na statku przedmiotów. Wejście do środka było dość łatwe, gdyż balast, składający się z ciężkich kawałków lanego żelaza, spadając na pokład, powybijał w nim duże otwory. Morze obniżało się ciągle, i słychać było, jak woda wypływała szparami z pudła statku.

Koloniści weszli z siekierami w rękę. Znaleźli tam mnóstwo rozmaitych pak, a ponieważ niedługo zostawały pod wodą, można było wnosić, że zawarte w nich przedmioty nie uległy jeszcze zepsuciu.

Pomyślano natychmiast o przeniesieniu ich na ląd. Odpływ morza miał trwać jeszcze kilka godzin, trzeba więc było ten czas wyzyskać jak najkorzystniej. Ayrton i Penkroff przymocowali przy jednym otworze rodzaj dźwigu i z jego pomocą podnosili do góry paki i baryłki, które następnie spuszczano do łodzi i przewożono na ląd. Ażeby nie tracić czasu, zabierano wszystkie bez wyboru, jak stały obok siebie.

W każdym razie koloniści mogli już teraz widzieć, że ładunek brygu składał się z różnych użytecznych przedmiotów, jak na przykład: narzędzi rolniczych, stolarskich, wyrobów rękodzielniczych itp. przedmiotów. Prawdopodobnie znajdują tam wszystkiego po trosze, a tego właśnie było trzeba kolonistom.

Cyrus przekonał się, że nie tylko pudło statku, lecz i wszystkie przegrody i przepierzenia były tak potrzaskane, jak gdyby wewnątrz pękła bomba.

To jednak ułatwiło kolonistom przejście do tylnej części statku, gdzie, według zapewnienia Ayrtona, znajdował się skład prochu. Cyrus, wnosząc z tego, co widział, pewny był, że nie wybuch prochu był przyczyną zatonięcia statku, udał się więc tam w nadziei, że będzie można uratować kilka baryłek. Nie omylił się. Pomiędzy znaczną ilością kul, znaleziono dwadzieścia baryłek z prochem, wyłożonych wewnątrz blachą miedzianą, nie przepuszczającą wilgoci. Penkroff przekonał się teraz, że zatonięcia nie można było przypisać wybuchowi prochu; ta część pudła nawet najmniej była uszkodzona.

— Bądź co bądź — powtarzał marynarz — mogę zaręczyć za to, że nie ma skał w kanale.

— A więc jakim stało się to sposobem? — zapytał Harbert.

— Tego nie wiem, pan Cyrus także nie wie, nikt nie wie i nigdy wiedzieć nie będzie!

Poszukiwania, wraz z przewożeniem pak, zabrały kilka godzin czasu, i przyływ już się dawał odczuwać, trzeba więc było zawiesić roboty. Szczęściem woda nie mogła unieść pudła, które już uwięzło w piasku! Przy następnym odpływie można było zabrać resztę pak, a nawet i nieuszkodzone jeszcze części pudła.

Koloniści wrócili na ląd około piątej wieczorem. Zjedli obiad, a następnie, pomimo zmęczenia całodzienną pracą, poszli zobaczyć, co zawierają w sobie uratowane paki. Większa część była napelniona gotowym ubraniem, rozmaitym bielizną i obuwiem i to w takiej ilości, że Penkroff zawołał:

— Doprawdy! teraz mamy tego za wiele!

Wesoły marynarz wydawał radosne okrzyki przy każdej baryłce ratafii (wódki z cukru), przy każdej pacie z tytoniem, z bawełną, z bronią palną i sieczną, cieszył się różnymi narzędziami i rozmaitymi nasionami, których nie uszkodziło wcale tak krótkie przebywanie w wodzie. O! gdyby tak dwa lata temu posiadali to wszystko!...

Miejsca nie brakowało w składach Granitowego Pałacu, ale jak na teraz, zabrakło czasu do złożenia w nich tylu rzeczy. Koloniści musieli pamiętać o tym, że na wyspie znajdowało się jeszcze sześciu korsarzy i że, jakkolwiek most na Mercy i wszystkie mostki były podniesione, rozbójnicy, znajdując się w prawdziwie rozpaczliwym położeniu, mogliby wpław przebyć rzekę, a tym bardziej strumień, i dlatego postanowiono pilnować kolejno pak, złożonych w Kominach. Jednak przez całą noc korsarze nie ukazali się nawet, gdyż Top i Jow, pozostawieni na straży, byliby natychmiast oznajmili o ich przybyciu.

Przez trzy następne dni podczas odpływu morza wydobywano ze statku wszystko, co tylko mogło mieć jakąś wartość, a w czasie przyływu przenoszono do składów uratowane rzeczy. Zdołano jeszcze oderwać znaczną część blachy miedzianej, pokrywającej pudło statku, które coraz bardziej zagłębiało się w piasek. Nadto Ayrton i Penkroff, spuściwszy się aż na dno kanału, wydobyli nie tylko łańcuchy i kotwice, ale nawet cztery działa, które zdołano wyciągnąć na brzeg, przywiązawszy do nich dla ulżenia kilka pustych baryłek.

Arsenał wyspy Lincolna wzbogacił się bardzo, a Penkroff marzył już o baterii, panującej nad kanałem i ujściem rzeki, i zobowiązywał się z pomocą tych czterech dział odeprzeć od brzegów wyspy najpotężniejszą nawet flotę.

Pomimo starannych poszukiwań, Cyrus Smith nie znalazł nigdzie papierów, dotyczących statku, widocznie rozbójnicy musieli je zniszczyć, gdy dostały się w ich ręce. Na tablicy z tyłu zatarte było także jego nazwisko, trudno więc było oznaczyć, skąd pochodził, jednak Ayrton i Penkroff z kształtów przodu domyślali się, że zbudowano go w Anglii.

W osiem dni po tej katastrofie wiatr północno-wschodni, połączony z burzą na morzu, zgruchotał do reszty pudło statku, i zapewne tajemnicza przyczyna jego zatonięcia nie zostałaby nigdy wyjaśniona, gdyby Nab nie znalazł na wybrzeżu sporego kawałka grubego, żelaznego cylindra, noszącego na sobie widoczne ślady wybuchu.

— Wszak ciągle obstajesz przy tym, że Speedy nie utonął wskutek uderzenia?

— Tak, panie Cyrusie. Zresztą wie pan dobrze jak ja, że nie ma skał w kanale.

— A jeżeli uderzył o ten kawałek żelaza? — rzekł inżynier, wskazując cylinder.

— Co, o ten kawałek rury? — wykrzyknął marynarz z niedowierzaniem.

— Czy przypominacie sobie, towarzysze — zapytał Cyrus — że bryg przed utonięciem wznosił się do góry na wierzchołku trąby wodnej?

— Tak, panie Cyrusie — odpowiedział Harbert.

— Czy chcecie wiedzieć, co wywołało powstanie tej trąby? Oto ten kawałek żelaznej rury.

— Co — zawołał Penkroff — ten?...

— Tak, są to szczątki, pozostałe z torpedy!

— Torpedy! — krzyknęli wszyscy zdziwieni.

— A któż tam umieścił tę torpedę? — zapytał Penkroff z powątpiewaniem.

— Zapewnić mogę, że nie ja, ale była tam z pewnością, i sam mogłeś osądzić, jak straszna jest siła jej wybuchu.

ROZDZIAŁ XLVII.

Twierdzenie inżyniera. — Przypuszczenie Penkroffa. — Bateria. — Cztery kierunki. — Z powodu korsarzy pozostałych przy życiu. — Wahanie Ayrtona. — Szlachetność Cyrusa. — Penkroff żałuje.

Tak więc wszystko zostało wytłumaczone przez podwodny wybuch torpedy. Cyrus, który w czasie wojny miał sposobność wypróbować te straszne narzędzia zniszczenia, nie mógł się mylić pod tym względem. Speedy nie mógł się oprzeć działaniu torpedy, która równie łatwo zniweczy opancerzoną fregatę, jak i łódź rybacką!

Wszystko więc obecnie było wyjaśnione, tak, wszystko... z wyjątkiem obecności torpedy w wodach kanału.

— Towarzysze — odezwał się Cyrus — nie możemy już powątpiewać, że na wyspie znajduje się tajemnicza istota, może rozbitek, jak my, albo wygnaniec. Kim jest dobroczynny nieznajomy, który już tyle razy tak pomyślnie wpłynął na nasze położenie, tego nie wiem. Dlaczego ukrywa się po'tyłu oddanych nam przysługach, pojąć nie mogę. Pomimo to są one nader ważne, i tylko człowiek, rozporządzający potężnymi środkami, może oddawać takie przysługi. Ayrton winien mu wdzięczność równie jak my wszyscy, bo jeżeli nieznajomy uratował mi życie, kiedy z balonu spadłem w morze, to któż, jeżeli nie on, rzucił na naszej drodze butelkę z dokumentem, zawiadamiającym o smutnym położeniu naszego obecnego towarzysza. Dodam jeszcze, że on to podrzucił skrzynię, zaopatrzoną we wszystko, na czym nam zbywało, że on to zapalił ogień, abyście nie zbłądzili na morzu; że tę torpedę, która zniszczyła bryg, on także zanurzył w kanale; że na koniec wszystkie niewytłumaczone przygody, które nam się przytrafiały, przypisać trzeba tej tajemniczej istocie. Tak więc, kim bądź jest ten nieznajomy, czy rozbitkiem, czy opuszczonym, jak Ayrton, byłoby źle; gdybyśmy nie poczuli się względem niego do obowiązków wdzięczności. Tak, towarzysze, zaciągnęliśmy dług, ale mam nadzieję, że go kiedyś spłacimy.

— Masz słuszość, kochany Cyrusie — odpowiedział Spillett. — Na tej wyspie ukrywa się prawie wszechwładna istota, której wpływ dobroczynny nieraz nam się dawał odczuć. Czy to zbliża się do nas potajemnie przez studnię w Granitowym Pałacu i tym sposobem dowiaduje się o naszych zamiarach; czy podaje nam butelkę z dokumentem w czasie naszej

pierwszej wycieczki na morze; czy ukryta w głębi jeziora, wyrzuca z niego Topa i zabija dugonga; czy ratuje ciebie, Cyrusie, gdy tonąłeś w morzu i to w takich okolicznościach, że każdy zwyczajny człowiek nie zdołałby tego uczynić... otóż we wszystkich tych wypadkach jest osobą dla nas niezmiernie zdumiewającą.

— Tak — odpowiedział Cyrus — jeżeli nie możemy już powątpiewać, że jakiś człowiek znajduje się na wyspie, to przyznać trzeba, że posiada środki działania, nieznanne ogółowi ludzkości. I w tym zawiera się tajemnica. Ale jeżeli zdołamy wynaleźć człowieka, tajemnica będzie wyjaśniona; dlatego też zadaję wam pytanie, czy, szanując wolę nieznanego, powinniśmy wstrzymać się od poszukiwań, czy też uczynić wszystko, co będzie w naszej mocy, aby znaleźć jego schronienie?

— Co do mnie — rzekł Penkroff — musi to być zacny człowiek i szanuję go bardzo, nie pytając się, kim jest.

— Bardzo słusznie, Penkroffie — odpowiedział Cyrus — ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Kochany mój panie — powiedział Nab — zdaje mi się, że choćbyśmy, nie wiem jak długo, szukali tego pana, nie znajdziemy go, dopóki nie zechce nam się pokazać.

— Podzielałam zdanie Naba — rzekł Spilett — lecz to nie powinno nas powstrzymywać od rozpoczęcia poszukiwań. Czy znajdziemy naszego dobroczyńcę, czy nie, spełnimy przynajmniej nasz obowiązek względem niego.

— A ty co nam powiesz, moje dziecko? — rzekł inżynier do Harberta.

— O! — zawołał Harbert z głębokim uczuciem — ja pragnę podziękować temu, który uratował pana, a następnie nas wszystkich!

— Wierzę, mój chłopcze — odrzekł Penkroff — i my także chcielibyśmy podziękować. Nie jestem ciekawy, a jednak oddałbym chętnie jedno oko za to, by zobaczyć tego zacnego człowieka! Jakiż on musi być piękny, i rozumny!

— Jakież jest twoje zdanie, Ayrtonie? — zapytał inżynier.

— Panie Smith — odpowiedział Ayrton — nie powinienem tu wypowiadać swego zdania. Już z góry zgadzam się na wolę pana, a jeżeli zechce pan, abym wziął udział w poszukiwaniach, pójdę wszędzie.

— Dziękuję ci, Ayrtonie — rzekł Cyrus — lecz chciałbym otrzymać wyraźniejszą odpowiedź na moje pytanie. Jesteś naszym towarzyszem, nieraz już poświęciłeś się dla nas i masz prawo, równie jak i każdy z nas, wypowiedzieć swoje zdanie, gdy idzie o powzięcie ważniejszego postanowienia.

— Panie Smith — odpowiedział Ayrton — sądzę, że powinniśmy uczynić wszystko, co można, dla odszukania naszego dobroczyńcy. Może on jest sam jeden; może znękanym smutkiem i cierpieniem!... Słusznie powiedział pan, że i ja zaciągnąłem względem niego dług wdzięczności. On to niezawodnie był na wyspie Tabor i, ulitowawszy się nade mną, uwiadomił was, że tam znajduje się nieszczęśliwy, potrzebujący ratunku. Jemu więc zawdzięczam, że znów jestem człowiekiem. Nie! nigdy tego nie zapomnę!

— Skoro więc wszyscy zgadzamy się na to — rzekł Cyrus Smith — poszukiwania rozpocznijmy jak można najprędzej, i zwiedzimy wyspę nawet w jej najdalszych, najnieдоступniejszych zakątkach.

Koszenie łąk i żniwa zajęły kolonistom kilka dni, gdyż przed rozpoczęciem poszukiwań chcieli ukończyć najpilniejsze roboty. W tym czasie przypadał także zbiór jarzyn, pochodzących z wyspy Tabor, i trzeba było to wszystko przemieścić do składów w Granitowym Pałacu, gdzie wszelkie produkty kolonii były systematycznie poukładane. Piękne stalowe działa potrzebowały także stosownego umieszczenia. Na prośbę Penkroffa przeniesiono je do Granitowego Pałacu, gdzie pomiędzy oknami wykuto strzelnice. Wkrótce błyszczące paszcze ukazały się na zewnętrznej stronie granitowej ściany. Z tej wysokości mała bateria panowała rzeczywiście nad całą zatoką Unii. Był to niby mały Gibraltar; i każdy statek, usiłujący przesunąć się wzdłuż brzegów wysepki, byłby wystawiony na ogień dział Granitowego Pałacu.

— Panie Cyrusie — rzekł pewnego dnia Penkroff — kiedyśmy już ustawili nasze armatki, warto by poznać ich zasięg. Inaczej nie będziemy wiedzieli, jak daleko mogą sięgać kule, w które zaopatrzył nas bryg.

— Wypróbujemy je, Penkroffie, skoro uważasz, że to może być nam potrzebne — odpowiedział inżynier. — Sądzę wszelako, że zamiast zwyczajnego prochu, lepiej będzie użyć bawełny strzelniczej, której nam nigdy nie zabraknie.

— Czy tylko te działa wytrzymają naboje z bawełny strzelniczej? — zapytał reporter.

— Tak sędzę. A zresztą będziemy działali ostrożnie — odpowiedział inżynier.

Cyrus nie mylił się. Armaty były doskonałe, mogły wytrzymać silny nabój, i co za tym idzie, nieść bardzo daleko.

Działa wypróbowano ósmego listopada; nabito je bawełną strzelniczą, biorąc pod uwagę jej siłę, przewyższającą cztery razy siłę zwykłego prochu; kule były stożkowe.

Penkroff na znak Cyrusa dał pierwszy strzał. Kula, wymierzona ku morzu, przeleciała ponad wysepką i upadła daleko na pełnym morzu. Drugie działo Harbert wycelował do ostatnich skał cypla Skrzyni, i kula, uderzywszy w śpiczasty wierzchołek jednej z nich, odległej blisko o trzy mile angielskie, roztrzaskała go w kawałki.

Harbert był dumny, że próba udała mu się tak wybornie, a Penkroff nie posiadał się z radości, że taki strzał padł z ręki jego wychowanka.

Trzecia kula, wyrzucona na piaszczyste wydmy, tworzące część wybrzeża zatoki Unii, uderzyła w piasek o cztery mile angielskie od Granitowego Pałacu, potem, odbiwszy się, wpadła w morze.

Do czwartego działa Cyrus powiększył trochę ilość bawełny strzelniczej dla przekonania się, jaką może mieć największą siłę rzutu. Wszyscy odsunęli się, aby uniknąć wypadku, gdyby nabój rozsadził działo, i zapalono lont za pomocą długiego sznurka.

Rozległ się huk ogłuszający, lecz działo nie było uszkodzone; koloniści dostrzegli przez lunetę, że kula wyszczerbiła skałę na odległym o pięć mil angielskich przyładku i znikła w zatoce.

— A co, panie Cyrusie — zawołał Penkroff — cóż pan powie o naszej baterii? Choćby wszyscy korsarze Oceanu Spokojnego chcieli opanować naszą wyspę, żaden nie wyłąduje bez naszego pozwolenia!

— Wierzaj mi, Penkroffie — odpowiedział inżynier — lepiej wyjdziemy, jeżeli nie będziemy zmuszeni uciekać się do podobnych środków obrony.

— Ale — zawołał marynarz — co zrobimy z sześciu niegodziwcami, którzy dotąd włóczą się po wyspie? Czy pozwolimy im biegać swobodnie po naszych lasach, polach i łąkach? Ci rozbójnicy nie lepsi od jaguarów, sędzę więc, że

wolno nam postępować z nimi, jak z jaguarami. Jak ci się zdaje, Ayrtonie? — dodał, zwracając się do towarzysza.

Ayrton milczał przez chwilę, a następnie wyrzekł z pokorą:

— Ja także byłem niegdyś jednym z takich jaguarów, panie Penkroffie, nie mogę więc wydawać o nich sądu...

Po tych słowach oddalił się wolno.

Nierozważnie się odezwałem — zawołał Penkroff. — Biedny Ayrton! A jednak miał prawo wyrazić swoje zdanie, równie jak my wszyscy!

— Tak — rzekł Spilett — ale ta jego powściągliwość w potępianiu dawnych towarzyszy przynosi mu zaszczyt, i powinniśmy uszanować to uczucie pokory, jakie w nim budzi wspomnienie przeszłości.

— Ma pan słuszność, panie Spilett — odpowiedział marynarz. — Na przyszłość będę ostrożniejszy. Wolalbym zadławić się własnym językiem, niż zrobić przykrość Ayrtonowi. Ale wróćmy do rzeczy. Zdaje mi się, że ci zbrojnicy nie mają najmniejszego prawa do naszej miłości, i że powinniśmy jak najprędzej oczyścić z nich wyspę.

— Czy mówisz to z przekonania, Penkroffie? — zapytał inżynier.

— Tak, panie Cyrusie.

— Chciałbyś więc, abyśmy ścigali ich bez litości, nie czekając, aby rozpoczęli przeciwko nam nieprzyjacielskie kroki.

— Czyż jeszcze nie dosyć nabroili? — zapytał Penkroff.

— Może i w nich obudzi się sumienie — rzekł Cyrus — może się poprawią...

— Oni się poprawią! — zawołał marynarz, wzruszając ramionami.

— Penkroffie — rzekł Harbert, biorąc go za rękę — Ayrton służy za przykład, że i zbrodniarz może się poprawić i zostać uczciwym człowiekiem!

Penkroff z zadziwieniem spoglądał na towarzyszy. Sądził, że jego wniosek przyjęty będzie bez wahania, gdyż nie przypuszczał, aby podobni zbrodniarze zasługiwali na względy. Wspólników Boba Harweya, morderców osady brygu Speedy stawiał na równi z dzikimi zwierzętami i był przekonany, że trzeba ich wycępić.

— Widzę — rzekł — że nikt nie podziela mojego zdania. Unosicie się wspaniałomyślnością. Ha! niech i tak będzie! Daj Boże, abyśmy tego nie żalowali!

— Wszakże nic złego nie może nas spotkać — rzekł Harbert — jeżeli zachowamy potrzebną w takim wypadku ostrożność.

— No! — odezwał się reporter, który dotąd nie wypowiedział swego zdania — jest ich sześciu i dobrze uzbrojonych; niech każdy, zaczajony w jakim kącie, strzeli do jednego z nas, a wkrótce staną się panami wyspy!

— Mogli uczynić to już dotąd, a jednak nie uczynili — odpowiedział Harbert. — Zresztą i nas jest sześciu.

— Dobrze! dobrze! — rzekł Penkroff — niech ci zacni ludzie żyją sobie w spokoju, i nie myślmy więcej o nich.

— Penkroffie — odezwał się Nab — po co udajesz nielitościwego? Gdyby który z tych nieszczęśliwych stanął tu przed tobą, nie strzeliłbyś do niego.

— Strzeliłbym jak do drapieżnego zwierzęcia — odpowiedział marynarz.

— Penkroffie — rzekł wtenczas inżynier — polegasz zwykle na moim zdaniu; czy zechcesz i tym razem spuścić się na mnie?

— Zrobię, co pan zechce — odpowiedział marynarz — pomimo, że nie zmienię zdania.

— A więc czekajmy dopóki złoczyńcy nie naruszą naszej spokojności i nie ścigajmy ich wcale.

Stało więc na tym, że postanowiono zachować wszelkie możliwe środki ostrożności, lecz nie zaczepiać wcale złoczyńców. Wszakże sam dobrze zrozumiany interes nakazywał mu rozpocząć nowe życie, i jeżeli iskierka uczciwości ukrywała się jeszcze w głębi ich duszy, mogliby poprawić się. Zresztą wyspa była tak rozległa i żyzna, że samo uczucie ludzkości nakazywało kolonistom czekać, dopóki nie będą zaczepieni, pomimo, iż teraz nie mogli już tak swobodnie żyć na wyspie, jak przedtem, skoro ukrywało się na niej sześciu korsarzy.

Penkroff zgodził się na to postanowienie, chociaż nie podzielał zdania towarzyszków! Czy miał słuszność? Przyszłość pokaże.

ROZDZIAŁ XLVIII.

Projekt wyprawy. — Ayrton w zagrodzie. — Wycieczka do portu Balonu. — Uwagi Penkroffa. — Depesza do zagrody. — Nie ma odpowiedzi. — Wyjazd. — Drut zerwany. — Harbert raniony.

Cyrus pragnął jak najprędzej doprowadzić do skutku zamiar szczegółowego zbadania wyspy. Ponieważ jednak wycieczka miała trwać kilka dni, trzeba było zabrać ze sobą wóz z rozmaitymi zapasami, a tymczasem jedna z onag skaleczyła nogę i dopiero za kilka dni mogła być zaprzęzona do wozu. Odłożono więc wyjazd do 20 listopada, to jest do najpiękniejszej pory roku i najstosowniejszej do robienia podobnych wycieczek.

Aby nie tracić czasu, postanowiono przez te kilka dni ukończyć roboty na płaszczyźnie Pięknego Widoku, Ayrton zaś udał się na parę dni do owczarni w celu uzbierania paszy dla muflonów.

Gdy odchodził, Cyrus przypomniał mu obecność rozbójników na wyspie i zapytał, czy nie życzy sobie, aby mu kto towarzyszył. Ayrton odpowiedział, że byłoby to zbyteczne, że nie lęka się niczego, a roboty nie będzie za wiele dla jednego. W każdym razie, gdyby coś ważniejszego zaszło w owczarni lub w jej okolicach, zawiadomi zaraz przy pomocy telegrafu.

Oddalił się sam 9 listopada z rana, zabrawszy ze sobą wóz, zaprzężony w jedną onagę; we dwie godziny później dał znać, że w owczarni zastał wszystko w porządku.

Kilka dni Cyrus Smith przeznaczył na zabezpieczenie Granitowego Pałacu od niespodziewanej napaści. W tym celu podwyższono o parę stóp poziom jeziora, aby woda zakryła całkiem zamurowany obecnie otwór dawnego odpływu. Gdy skończono tę pracę, nie podobną było domyśleć się nawet, że kiedyś istniał tam podziemny kanał, przez który woda z jeziora odpływała do morza, a tym mniej jeszcze, że dawniej z tej strony można było wejść do Granitowego Pałacu.

Następnie Penkroff, Spilett i Harbert udali się do portu, gdyż marynarz pragnął przekonać się, czy rozbójnicy nie byli czasem w malej zatoce, gdzie „Bonawentura“ stał na kotwicy.

— Właśnie — mówił — wylądowali na południowym wybrzeżu. Jeżeli trzymali się jęgo, mogli zobaczyć nasz port,

a w takim razie nie dałbym pół dolara za naszego „Bonawenturę“.

Tak Penkroff jak i towarzysze jego puścili się w drogę uzbrojeni dobrze. Nab towarzyszył im aż do mostu, który spuścił zaraz, gdy stanęli na przeciwnym brzegu Mercy, umówiwszy się najpierw, że wystrzałem ze strzelby dadzą mu znać o swoim powrocie.

Pomimo że do portu Balonu było tylko trzy i pół mili, koloniści stanęli tam dopiero po dwóch godzinach, gdyż zbaczali często z drogi, aby się przekonać, czy na skraju lasu lub około bagna Tadorna nie znajdują śladów pobytu rozbójników; nic jednak nie zdradzało ich obecności w tej stronie, co dowodziło, że, nie znając liczby Kolonistów i nie wiedząc, jakie posiadają środki obrony, musieli się ukryć w najnieodstępniejszej części wyspy.

Penkroff był bardzo zadowolony, gdy przekonał się, że „Bonawentura“ stoi spokojnie w zatoce.

— No! — zawołał — teraz możemy być pewni, że ci niegodziwcy nie byli tu wcale. Zresztą wszelkie gady lubią ukrywać się w gęstwinie i z pewnością znajdziemy ich w lasach Dalekiego Zachodu.

— Bardzo to szczęśliwie — powiedział Harbert — bo gdyby zobaczyli „Bonawenturę“, zabraliby go z pewnością, i nie moglibyśmy udać się powtórnie na wyspę Tabor, aby zostawić tam zawiadomienie o miejscu obecnego pobytu Ayrtona.

— No, dzięki Bogu! — zawołał marynarz — „Bonawentura“ stoi dotąd w porcie, a osada gotowa wypłynąć na pierwsze skinienie.

— Sądzę, — rzekł Spilett — że udamy się tam wkrótce po powrocie z zamierzonej wycieczki po wyspie. Zdaje się, że ten nieznany nasz przyjaciel, którego zamierzamy szukać, mógłby nam wiele powiedzieć szczegółów tak o naszej wyspie, jak i o wyspie Tabor. Nie możemy już wątpić, że to on napisał dokument, zawarty w butelce, i kto wie, czy nie mógłby nas także zawiadomić, czy i kiedy powróci jacht szkocki.

— Kto to jednak być może? — zawołał Penkroff. — Zna nas doskonale, a my go nie znamy. Jeżeli to rozbitek, to czemuż się ukrywa? Wszak jesteśmy uczciwymi ludźmi, a towarzystwo uczciwych nie może być przykre dla nikogo! Czy

on dobrowolnie osiadł na wyspie? Czy może odpłynąć, kiedy zechce? Czy przebywa tu jeszcze, czy też już się oddalił?...

W ciągu tej rozmowy Penkroff, Harbert i Spilett weszli na pokład „Bonawentury“.

— A to co? — zawołał marynarz, patrząc na linę od kotwicy. — Dziwna rzecz!...

— Co takiego, Penkroffie? — zapytał reporter.

— To nie ja zawiązałem ten węzeł.

Mówiąc to, wskazywał na sznur, którym była przymocowana lina kotwicy.

— Jak to nie ty, a więc ktoś? — zapytał Spilett.

— Tego nie wiem, ale mogę przysiąc, że nie ja. To jest węzeł płaski, a ja zawsze robią podwójny.

— Nie omyliłeś się, Penkroffie?

— Nie, nie omyliłem się, nie mogłem się omylić. U marynarza zamienia się to w nałogowe przyzwyczajenie, nawet bezwiednie zawiązuje tak, a nie inaczej.

— W takim razie — rzekł Harbert — trzeba by wnieść, że korsarze byli na pokładzie.

— Nie wiem, kto był ale to pewna, że podniósł a następnie na powrót zarzucił kotwicę — odpowiedział marynarz. — Patrz! jeszcze jeden dowód, zdjęto płótno zabezpieczające linę od tarcia.

— Zdaje się jednak, że gdyby „Bonawentura“ dostał się w ręce korsarzy, uciekliby...

— Uciekliby?... czy na wyspę Tabor?... I ty myślisz, że odważyliby się wypłynąć na morze na tak małym statku?

— Prócz tego musieliby wiedzieć o istnieniu wyspy Tabor — dodał reporter.

— Bądź co bądź, jestem tego tak pewny, że „Bonawentura“ mimo naszej wiedzy wypłynął na morze, jak tego, że nazywam się Penkroff.

— Czyżby to jednak być mogło, abyśmy nie wiedzieli, że „Bonawentura“ oddała się i zbliża do wyspy? — zapytał reporter.

— O? panie Spilett, można wypłynąć w nocy.

— Prawda — odpowiedział Gedeon. — Ale mimo woli nasuwa się znów pytanie, w jakim celu korsarze robili tę wycieczkę i czemu, zabrawszy raz statek, odprowadzili go do portu?

— Ha! panie Spilett, zaliczmy to do rzędu niezrozumiałych dla nas wypadków, które nas już spotykały, i nie

myślmy o tym więcej! Szło nam głównie o to, abyśmy zastali tu jeszcze „Bonawenturę“, i zastaliśmy, dzięki Bogu; źle tylko, że dopóki rozbójnicy znajdować się będą na wyspie, ciągle musimy się obawiać, aby go nie zniszczyli lub nie zabrali.

Tego samego dnia wieczorem telegrafowano do Ayrtona, prosząc, aby przyprowadził z sobą parę młodych kóz, które Nab chciał oswoić. Dziwna rzecz, Ayrton nie dał odpowiedzi, jak to czynił zawsze, aby wiadano, że otrzymał depeczę. Zdziwiło to inżyniera! Sądził jednak, że Ayrton wyszedł z domu, a może nawet wracał już do Granitowego Pałacu, gdzie według umowy miał stanąć na drugi dzień wieczorem.

Koloniści czekali na Ayrtona do dziesiątej godziny, a gdy nie wrócił, zatelegrafowali powtórnie, prosząc, aby odpowiedział. Odpowiedzi nie było. Opanował ich niepokój, i każdy zadawał sobie pytanie, co się tam mogło stać? Czy Ayrtona nie było już w owczarni, czy też dostał się do niewoli? Nad tym ostatnim pytaniem długo się zastanawiano. Jedni chcieli iść zaraz, inni radzili zatrzymać się jeszcze.

— Może — odezwał się Harbert — przyrząd telegraficzny uległ uszkodzeniu, i dlatego nie mamy odpowiedzi.

— Być może — potwierdził reporter.

— Zaczekajmy do jutra — rzekł Cyrus. — Ayrton mógł rzeczywiście nie odebrać naszej depeczy, albo też my jego odpowiedzi.

Nazajutrz, 11 listopada, zaledwie zaczęło świtać, Cyrus Smith przesłał Ayrtonowi pytanie: kiedy powróci? I tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Spieszmy do owczarni! — zawołał żywo.

— Dobrze uzbrojeni! — dodał Penkroff.

Nie chcąc zostawić Granitowego Pałacu bez opieki, powierzono straż nad nimi Nabowi. Miał doprowadzić towarzyszy do Glicerynowego Strumienia, podnieść most za nimi, a następnie skryć się pomiędzy drzewami i czekać tam powrotu ich lub Ayrtona. Gdyby rozbójnicy chcieli dostać się na płaszczyznę, polecono mu strzelać, a jeżeliby nie odstraszył ich tym sposobem, schronić się do Granitowego Pałacu, gdzie był bezpieczny.

Cyrus, Gedeon, Harbert i Penkroff udali się wprost do owczarni. Z obu stron drogi ciągnęły się gęste zarośla, wśród których łatwo mogli się ukrywać złoczyńcy, jak wiadomo;

także dobrze uzbrojeni. Koloniści szli więc ostrożnie. Top ich poprzedzał, biegnąc to środkiem drogi, to zbaczając w gęstwinę, lecz nie okazując najmniejszego niepokoju.

Zwracali uwagę na słupy i druty telegraficzne i przez całe dwie mile znaleźli wszystko w porządku, lecz dalej już inżynier spostrzegł, że drut nie był dość wyciągnięty, a wkrótce potem Harbert, wyprzedzający towarzyszy, zatrzymał się wołając:

— Drut przerwany!

Wszyscy podbiegli. Słup przewrócony leżał na środku drogi; to im wyjaśniło, dlaczego nie odbierali odpowiedzi od Ayrtona.

— Zdaje mi się — rzekł Penkroff — że to nie wiatr wyrządził nam taką psotę.

— Z pewnością nie — odrzekł Spilett — ziemia dokoła skopana, jest to więc dzieło człowieka.

— Prócz tego drut zerwany — dodał Harbert, pokazując wiszący jego koniec.

— Prędzej! prędzej! Spieszmy do owczarni — zawołał marynarz.

Puścili się w dalszą drogę, przyśpieszając jeszcze kroku; każdy z nich przeczuwał, że w owczarni musiał zajść ważny, a może i straszny wypadek.

Przywiązali się przy tym szczerze do nowego towarzysza, dlatego też biegli mu na ratunek, miotani obawą, czy nie został zamordowany przez dawnych towarzyszy. W pobliżu owczarni zwolnili kroku, aby odpocząć trochę, zanim przyjdzie im rozpocząć przypuszczalną walkę. Top, warcząc, zatrzymywał się czasami, co nie zapowiadało nic dobrego.

Zbliżyli się na koniec do palisady, otaczającej domek i owczarnię. Nigdzie nie było śladów zniszczenia; drzwi zastały zamknięte, wszędzie głęboka panowała cisza, nie słyszeli ani głosu Ayrtona, ani zwykłego beczenia muflonów.

— Wejźmy — rzekł Cyrus Smith.

Zbliżył się do drzwi, gdy tymczasem towarzysze jego stanęli o dwadzieścia kroków z przyłożoną do ramienia bronią.

Cyrus odsunął zasuwkę, a jednocześnie Top gwałtownie zaczął szczeukać. Ponad palisadą rozległ się wystrzał i dał się słyszeć bolesny krzyk. Harbert padł na ziemię, ugodzony kulą!

Reporter i Penkroff w zagrodzie. — Harbert przeniesiony. — Rozpacz marynarza. — Narada. — Sposób postępowania. — Nadzieja wraca. — Jak uprzedzić Naba. — Posłaniec pewny i wierny. — Odpowiedź Naba.

Na krzyk Harberta Penkroff rzucił broń i podbiegł do niego.

— Nie żyje! — wołał z rozpaczny. — Zabili go! Zabili moje dziecię!

Cyrus i Gedeon pospieszyli także do Harberta; reporter przyłożył ucho do jego piersi, aby przekonać się, czy serce jeszcze bije.

— Żyje — rzekł, podnosząc się. — Trzeba go przenieść...

— Do Granitowego Pałacu? O tym myśleć nie można — odpowiedział inżynier.

— A więc do domku przy owczarni! — zawołał marynarz.

— Zaczekajcie chwilę — rzekł Cyrus.

Zwrócił się na lewo i zaczął biec, ile mu sił starczyło, okrążając palisadę, wkrótce też spotkał się z uciekającym zbrodniarzem, który strzelił do niego. Szczęściem kula przeleciała ponad głową inżyniera, a zanim morderca zdołał wystrzelić po raz drugi, Cyrus uderzył go sztyletem w piersi i na miejscu pozbawił życia.

Tymczasem Spilett i marynarz przeszli na drugą stronę ogrodzenia i przewrócili koły, podpierające drzwi wewnątrz. Widząc, że domek jest zupełnie pusty, przenieśli tam Harberta i położyli na łóżku Ayrtona. W kilka minut później Cyrus Smith wszedł tam za nimi.

Marynarz rozpacział, płakał, załamywał ręce. Cyrus i Gedeon nie byli w stanie uspokoić go, żal i wzruszenie pozbawiło ich głosu. Czynili jednak wszystko, co było w ich mocy, aby wydrzeć śmierci tak drogiego towarzysza. Gedeon znał się trochę na sztuce lekarskiej; teraz więc przy pomocy Cyrusa zajął się Harbertem.

Harbert był nadzwyczaj blady, a puls miał tak słaby i wolny, jakby miał wkrótce zatrzymać się na zawsze. Przytomność opuściła go zupełnie; zdawał się całkiem pozbawiony czucia. Były to oznaki bardzo groźne.

Spilett odsłonił piersi Harberta i obmył z krwi zimną wodą; wówczas ujrano ranę pomiędzy trzecim a czwartym zębem. Cyrus i Spilett przewrócili następnie na bok bied-

nego chłopca, z którego piersi wydobył się jęk tak słaby, jak gdyby wydawał ostatnie tchnienie.

Na plecach znajdowała się również rana, z której krew płynęła obficie.

— Dzięki Bogu! — rzekł reporter — że kula nie pozostała w ciele; trudno byłoby ją wydobyć.

— A serce?... — zapytał Cyrus.

— Serce nie jest dotknięte, skoro Harbert nie umarł.

— Umarł! — krzyknął Penkroff z wybuchem rozpacz.

Marynarz dosłyszał tylko ostatnie słowo reportera.

— Nie, Penkroffie — rzekł Cyrus — on żyje. Puls, chociaż słaby, bije ciągle, a z piersi wydobył się cichy jęk, gdy przewracaliśmy go. Staraj się zapanować nad sobą, choćby przez wzgląd na Harberta; nie odbieraj nam zimnej krwi, na którą i tak zdobywamy się z trudem.

Nazajutrz zabłysła iskierka nadziei. Harbert wyszedł z odrętwienia, odzyskał przytomność, otworzył oczy; poznał znajdujące się przy nim osoby i przemówił do nich kilka słów. Nie wiedział zupełnie, co się z nim stało. Gedeon opowiedział mu wszystko, prosząc, aby leżał spokojnie, i upewnił, że rany jego zablizną się wkrótce. Zresztą cierpienia Harberta były dość znośne; zimna woda chroniła rany od zagnienia, gorączka nie wzmagała się, można więc było mieć nadzieję, że chory odzyska zdrowie. Penkroff nawet uspokoił się trochę, i troskliwie, jak matka lub siostra miłosierdzia, czuwał nad wychowalcem.

— Proszę mi powtórzyć raz jeszcze, panie Spilett, że nie traci pan nadziei — rzekł marynarz, gdy Harbert zasnął. — Proszę mnie zapewnić, że uratuje pan Harberta.

— Tak, uratujemy go — odpowiedział reporter. — Rana jest wprawdzie ciężka, może nawet kula przeszła przez jedną połowę płuc, ale to jeszcze nie pociąga za sobą śmierci.

— Daj Boże! aby sprawdziły się pana słowa! — rzekł marynarz.

Dotąd koloniści, zajęci jedynie Harbertem, zapomnieli zupełnie o grożącym im niebezpieczeństwie w razie powrotu korsarzy i nie przedsięwzięli żadnych środków ostrożności. Teraz jednak, gdy chory zasnął, a Penkroff czuwał przy jego łóżku, Cyrus i Gedeon naradzali się, co dalej wypada czynić.

Naprzód przejrzeni podwórze około domku i weszli do owczarni; nigdzie nie było śladów pobytu Ayrtona. Czy nieszczęśliwego uprowadzili dawni współnicy? Czy walczył

z nimi i zginął? Ostatnie to przypuszczenie zdawało się najprawdopodobniejsze. Gedeon, przeskakując przez palisadę, widział wyraźnie, że jeden ze zbrodniarzy zniknął między wzgórzami.

Owczarnia nie uległa jeszcze spustoszeniu, a że drzwi były zamknięte, muflony nie mogły rozprószyć się po lesie. Nigdzie w ogóle nie było widać śladów walki, ani też zniszczenia, tylko broń i ładunki, które Ayrton zabrał z sobą, zniknęły z nim razem.

— Musieli zająć biedaka niespodziewanie — rzekł Cyrus — a że był zbyt odważny, aby poddać się dobrowolnie, został zapewne zamordowany.

— Tak się zdaje — odpowiedział reporter. — Potem zbrodniarze osiedlili się w domku Ayrtona, gdzie mogli żyć wygodnie, i, dopiero spostrzegłszy nas, ratowali się ucieczką. W każdym razie to pewne, że Ayrtona nie było już z nimi.

— Trzeba koniecznie oczyścić wyspę z tych nędzników — rzekł inżynier. — Penkroff miał poniekąd słuszość, gdy namawiał, abyśmy ich ścigali, jak dzikie zwierzęta.

— Uczyniliśmy, co nam ludzkość nakazywała — odpowiedział reporter. — Teraz mamy prawo myśleć o własnym bezpieczeństwie.

— Bądź co bądź, jesteśmy zmuszeni wstrzymać się z tym, dopóki nie będzie można przenieść Harberta do Granitowego Pałacu.

— A Nab? — zapytał reporter.

— Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

— A jeżeli, zaniepokojony naszą długą nieobecnością, zechce połączyć się z nami?

— Trzeba by koniecznie zapobiec temu! — zawołał inżynier. — Gdyby telegraf nie był zepsuty, można by zostawić Harberta z samym tylko Penkroffem! Ha! nie ma rady, pójdę sam do Granitowego Pałacu.

— Nie, nie, Cyrusie, nie możesz się tak narażać! Zresztą, poświęcenie twoje byłoby daremne; ci nędznicy, zaczaiwszy się w lesie, śledzą nas bez wątpienia i, jeżeli wyjdiesz, spotka nas nowe nieszczęście!

— A cóż się stanie z Nabem? — zapytał inżynier. — Już od dwudziestu czterech godzin nie ma od nas wiadomości, zechce więc przyjść do owczarni, a że będzie mniej jeszcze ostrożny od każdego z nas, zabiją go z pewnością!...

W ciągu tej rozmowy, Top kręcił się koło nóg pana, jakby chciał powiedzieć: — Czemu zapominacie o mnie?

Inżynier spojrział przypadkiem na niego i zawołał:

— Top, tak, Top.

Wierne zwierzę, radując się, skoczyło do pana.

— Masz słusność, Top pójdzie — rzekł reporter, zrozumiawszy od razu myśl Cyrusa. — Top przesunie się tam, gdzie żaden z nas przejść nie zdoła. Zaniesie od nas wiadomość do Granitowego Pałacu i przyniesie nam odpowiedź Naba.

— Prędzej więc, prędzej! — zawołał Smith.

Gedeon wyrwał kartkę z notatnika i zapisał śpiesznie następujące słowa:

„Harbert raniony. Jesteśmy w owczarni. Bądź bardzo ostrożny. Nie oddalaj się z Granitowego Pałacu. Czy rozbójnicy nie ukazali się w pobliżu? Odpowiedz przez Topa“.

Spilett złożył następnie kartkę i przywiązał ją do obroży Topa.

— Top, wierny mój piesku — rzekł, głaszcząc go, inżynier — Nab, Topie, Nab. Biegnij! biegnij!

Top zaczął skakać i pobiegł do bramy; widocznie zrozumiał, czego żądano. Drogę znał dobrze i mógł ją przebiec w pół godziny, a pomiędzy drzewami i krzakami mógł prześlizgnąć się niepostrzeżenie.

Inżynier otworzył bramę i powtórzył raz jeszcze:

— Do Naba, Topie, do Naba! — i wskazał ręką w kierunku Granitowego Pałacu.

Top puścił się szybko i wkrótce znikł im z oczu.

— Która godzina? — zapytał reporter.

— Dziesiąta. Za godzinę może nam przynieść odpowiedź.

Zamknęli bramę i wrócili do domu. Harbert spał ciągle, a Penkroff często zwilżał kompresy zimną wodą. Gedeon, widząc, że chory nie potrzebuje obecnie jego pomocy, zajął się przyrządzeniem śniadania, a zarazem zwracał baczną uwagę na część podwórza, przylegającą do wzgórza, gdyż z tej strony najprędzej można było spodziewać się napadu.

Koloniści oczekiwali niecierpliwie powrotu Topa; jeszcze przed jedenastą Cyrus i reporter stanęli przy bramie z karabinami w rękę, aby ją otworzyć, jak tylko posłyszają szczerkanie. Byli pewni, że jeżeli tylko Top dostał się szczęśliwie do Granitowego Pałacu, Nab odesłał go natychmiast z odpowiedzią.

Nie upłynął kwadrans, kiedy usłyszeli wystrzał, a po nim zaraz głośne szczekanie. Inżynier otworzył bramę tak prędko, że spostrzegł jeszcze dym w lesie o jakie sto kroków i strzelił w tym kierunku. Prawie w tym samym czasie Top wbiegł na podwórze i zamknięto natychmiast bramę.

— Top! Top! — zawołał inżynier, głaszcząc z radością głowę wiernego zwierzęcia.

Do obróżki przyczepiona była kartka, na której Nab skreślił następujące słowa: „Rozbójnicy nie pokazali się około Granitowego Pałacu. Nie oddalę się nigdzie. Biedny Harbert!”

ROZDZIAŁ L.

Korsarze w pobliżu zagrody. — Tymczasowe zamieszkanie. — Dalsze leczenie Harberta. — Zwrot do przeszłości. — Uwagi Cyrusa Smitha.

Tak więc zbrodniarze krążyli ciągle koło owczarni i czekali na życie kolonistów; ci zmuszeni byli uważać ich za krwiożercze zwierzęta. Obecnie jednak musieli poprzestąć na zachowaniu największej ostrożności, oczekując chwili, w której będą mogli wymierzać karę. Szczęściem spiżarnia w domku Ayrtona była dobrze zaopatrzona, a zbrodniarze, przestraszeni przybyciem kolonistów, nie mieli czasu jej zrabować.

— Nie ma rady! musimy czekać — powtarzał Cyrus Smith. — Skoro Harbert wyzdrowieje, urządzimy oblławę na wyspie, i wówczas złoczyńcy nie wyślizną nam się z ręki. Będzie to celem naszej wycieczki, równie jak...

— Jak wyszukanie naszego tajemniczego opiekuna — dokończył Spilett. — Trzeba jednak przyznać, kochany Cyrusie, że zapomniał o nas wówczas właśnie, gdy najwięcej potrzebujemy jego opieki.

— Kto wie? — odpowiedział inżynier.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał reporter.

— Że nasze utrapienia jeszcze nie skończone, i może nieraz da nam dowody dobroczynnej opieki. Ale nie myślmy o przeszłości... Ocalić życie Harbertowi, to obecnie nasze zadanie.

Rzeczywiście, niepokój o życie biednego chłopca był największą troską kolonistów. Szczęściem, po kilku dniach stan

jego zdrowia nie pogorszył się, a może nawet polepszył trochę. Było to już bardzo wiele. Zimna woda zapobiegła zapaleniu się ran, gorączka się zmniejszyła i, dzięki troskliwym staraniom, Harbert wracał do zdrowia, chociaż był bardzo osłabiony, tak przez upływ krwi, jak z powodu bardzo ścisłej diety.

Po dziesięciu dniach Harbertowi było znacznie lepiej; mógł posilać się trochę, twarz jego była mniej blada i uśmiechał się do opiekunów. Byłby rozmawiał z nimi chętnie, gdyby nie to, że Penkroff, opowiadał mu ciągle różne tak prawdziwe, jak i nieprawdopodobne zdarzenia. Harbert dopytywał się o Ayrtona, lecz marynarz, nie chcąc go martwić, odpowiedział, że Ayrton udał się do Naba, aby wraz z nim czuwać nad Granitowym Pałacem.

— Wierz mi, chłopcze — mówił Penkroff — że ci zbrodniarze niewarci, aby ich uważać za ludzi. A pan Smith chciał się rządzić uczuciem! Oj przemówiłbym ja im do uczucia, ale za pomocą kulki ołowianej.

— Czy nie pokazali się tu później? — zapytał Harbert.

— Nie, moje dziecię — odpowiedział marynarz — ale znajdziemy ich, jak tylko wyzdrowiejesz, i przekonamy się, czy ci nikiemnicy, strzelający do ludzi zza płota, będą mieli odwagę stanąć do otwartej walki!

— Jestem jeszcze bardzo osłabiony, mój dobry Penkroffie.

— Odzyskasz siły, odzyskasz! Cóż znaczy taka rana? Ja sam miałem cięższe, a teraz, dzięki Bogu, jestem zdrow i silny.

Teraz koloniści mogli prawie już być pewni, że Harbert wyzdrowieje: ale jakże okropne byłoby ich położenie, gdyby na przykład kula pozostała w ranie, lub gdyby trzeba było odjąć choremu rękę albo nogę.

— Ach byłoby to straszne — powtarzał Gedeon. — Na samą myśl o tym przejmują mnie dreszcze.

— A jednak — odpowiedział mu raz Cyrus — gdyby to było konieczne, nie wahałbyś się tym sposobem ratować Harberta.

— Tak, Cyrusie, ale codziennie dziękuję Bogu, że nie wystawił mnie na tak ciężką próbę.

Jak w tylu innych okolicznościach, tak i tym razem zdrowy rozsądek i nauka zapewniły kolonistom powodzenie. Czy zawsze tak będzie? Byli sami na wyspie, a wszakże ludzie uzupełniają się wzajemnie, są użyteczni jedni drugim.

Cyrus Smith wiedział o tym i nieraz już zadawał sobie pytanie, czy nie nadejdą takie okoliczności, których przemóc nie będą mogli.

Zdawało mu się zresztą, że po dniach szczęśliwych, tak dla niego jak i dla towarzyszy, zbliżał się czas cierpień i próby. Można powiedzieć, że od chwili ucieczki z Richmond wszystko szło im pomyślnie; wyspa dostarczała im zwierząt, mineralów i roślin, a własnej nauce i pracy zawdzięczali możliwość zużytkowania jej darów. Co więcej, w wielu razach życzliwa, choć tajemnicza ręka przychodziła im z pomocą!... Tak, ale cóż jest trwałego na ziemi?...

Statek korsarski ukazał się na wodach wyspy, a jeżeli wraz z osadą został jakby cudem zatopiony, to przedtem jeszcze kilku zbrodniarzy zdołało dostać się na wyspę i ukrywało się dotąd na niej. Ayrton prawdopodobnie był przez nich zamordowany, kula z ich strzelby przeszła piersi Herberta. Byłyż to pierwsze pociski zawistnego losu? Cyrus i Gedeon zadawali sobie nieraz to pytanie, zdawało im się także, iż ów tajemniczy opiekun przestał już czuwać nad nimi. Czy opuścił wyspę? Czy go śmierć nie zaskoczyła?...

Na te pytania odpowiedź była trudna. Nie wyobrażajmy jednak sobie, że Cyrus i Gedeon zdolni byli poddać się zwątpieniu. Zastanowili się śmiało nad swym położeniem, aby obliczyć wszelkie możliwe wypadki, przygotować się na wszystko, aby, jeżeli zawistny los ścigać ich zacznie, być gotowymi do stawienia mu oporu.

ROZDZIAŁ LI.

Nie ma wiadomości od Naba. — Projekt Penkroffa i reportera. — Nieprzyjęty. — Kawalek tkaniny. — Posyłka. — Pospieszny odjazd. — Przybycie na płaszczyznę Pięknego Widoku.

Zdrowie chorego polepszało się stale, choć zwolna, teraz głównie szło o to, aby go można było przenieść do Granitowego Pałacu. Chociaż domek Ayrtona był dobrze zaopatrzony i zagospodarowany, nie można było znaleźć w nim takiej wygody, jak w obszernym i zdrowym mieszkaniu z granitu. Prócz tego tutaj koloniści musieli strzec się ciągle, aby którego z nich nie dosięgła kula zaczajonego gdzieś zbrodniarza, tam zaś nie potrzebowali obawiać się niczego.

O Naba byli spokojni. Chociaż nie mieli od niego wiadomości, wiedzieli, że odważny, lecz roztropny murzyn nie będzie się narażał na próżno, a w Granitowym Pałacu nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Cyrus nie posyłał do niego powtórnie Topa, nie chcąc narażać na strzały zbrodniarzy tak wiernego i użytecznego zwierzęcia.

Inżynier ubolewał nad tym, że siły kolonistów musiały być podzielone, co korzystne było dla korsarzy. Od zniknięcia Ayrtona kolonia liczyła tylko czterech obrońców przeciwko pięciu napastnikom, bo na Harberta nie można było jeszcze liczyć. Rozumiał to dobrze biedny chłopiec i martwił się, że towarzysze mają z jego powodu tak wiele kłopotu.

Gdy Harbert zasnął, Cyrus, Gedeon i Penkroff zaczęli się naradzać, jakie w obecnym położeniu można by przedsięwziąć środki przeciwko rozbójnikom.

— Towarzysze — rzekł reporter — podzielam wasze zdanie, że wyjść teraz na drogę, prowadzącą do Granitowego Pałacu byłoby to samo, co wystawiać się dobrowolnie na strzały zbrodniarzy, lecz czy nie zgodzicie się na to, że może byłoby najlepiej otwarcie zacząć ich ścigać?

— Właśnie o tym myślałem — odpowiedział Penkroff. — Żaden z nas przecie nie obawia się kuli, i jeżeli tylko pan Cyrus pozwoli, gotów jestem choćby dziś jeszcze poszukać ich w lesie.

— Ja pójdę z Penkroffem — rzekł reporter — i obydwaj dobrze uzbrojeni, wzięwszy z sobą Topa...

— Przyjaciele — rzekł Cyrus — mówmy rozsądnie, z zimną krwią. Gdybyśmy znali schronienie korsarzy i gdyby nam chodziło o to jedynie, aby ich z niego wyrugować, nie sprzeciwiałbym się waszemu zamiarowi. Ale czyż obecnie nie należy się obawiać, że oni właśnie, mając sposobność śledzenia naszych ruchów, pierwsi zaczną do was strzelać!

— Ech! panie Cyrusie — zawołał Penkroff — kula nie zawsze trafia do celu!

— Ta, którą wymierzono do Harberta, nie chybiła, Penkroffie — odpowiedział Smith. — Zresztą zastanówmy się i nad tym; jeżeli obydwaj oddalicie się z owczarni, ja sam nie będę w stanie odeprzeć napaści. A czy możecie zaręczyć, że zbrodniarze nie zobaczą was wychodzących i że, pozwoleńszy wam zapuścić się w las, nie uderzą na domek, wiedząc, że pozostał w nim tylko jeden obrońca i chory młodzieniec?

— Ma pan słuszność, panie Cyrusie — odpowiedział Penkroff. — Zechcą opanować owczarnię, wiedząc, że znajdują w niej żywność i wygodne schronienie. Sam jeden nie mógłby pan im się oprzeć! Ach gdybyśmy byli w Granitowym Pałacu!

— Tak — rzekł inżynier. — W Granitowym Pałacu położenie nasze byłoby całkiem odmienne; tam nie obawiałbym się pozostawić Harberta pod opieką jednego z nas, a trzech inni mogliby ścigać złoczyńców. Ale jesteśmy w owczarni i musimy pozostać, dopóki jej razem nie będziemy mogli opuścić.

Gedeon i Penkroff przyznali słuszność inżynierowi.

— Gdyby przynajmniej Ayrton był jeszcze z nami — odezwał się Gedeon. — Biedny człowiek! Niedługo cieszył się powrotem do normalnego życia.

— Tak, jeżeli nie żyje — rzekł Penkroff z naciskiem.

— Czy sądzisz, że ci niegodziwcy nie odebrali mu życia?

— Jeżeli to było zgodne z ich interesem!...

— Jak to! Przypuszczasz, że Ayrton, spotkawszy dawnych współników, zapomniał, co nam winien i...

— Kto może wiedzieć? — odpowiedział marynarz z pewnym wahaniem.

— Penkroffie — rzekł Cyrus — to myśl naganna, odrzuć ją od siebie! Ayrton dał nam już tyle dowodów wierności i przywiązania, że chętnie ręczyłbym za niego!

— Ja także! — dodał żywo reporter.

— Tak... tak!... panie Cyrusie... zbłądziłem... była to zła myśl, której zresztą nic nie usprawiedliwia. Ale ten przymusowy pobyt w owczarni tak mnie już zmęczył, że mi się zaczyna mieszać w głowie; nigdy jeszcze nie byłem tak rozdrażniony, jak obecnie!

— Musisz się jeszcze uzbroić w cierpliwość na pewien czas, Penkroffie — odpowiedział inżynier. — Powiedz mi, kochany Gedeonie, jak prędko będzie można przewieźć Harberta?

— Trudno przewidzieć — odrzekł reporter — bo najmniejsza nieostrożność mogłaby spowodować zgubne skutki; ale że zdrowie jego polepsza się ciągle, może za osiem dni będzie znacznie silniejszy, a wtenczas zobaczymy!

— Osiem dni! W takim razie powrócono by do Granitowego Pałacu dopiero w początku grudnia, a już teraz upłynęły dwa miesiące wiosny. Czas był piękny, upały zaczęły się

wzmacać i zbliżał się czas, w którym trzeba było rozpocząć żniwa, łatwo więc pojąć, jak to zamknięcie w owczarni przykre i szkodliwe było dla kolonistów. Musieli poddać się konieczności, ale niecierpliwość ich z każdym dniem wzrastała.

Parę razy reporter z bronią w ręku wyszedł za palisadę i okrążył ją dokoła. Top biegł przy nim. Nie spotkał nikogo. Top zachowywał się spokojnie, trzeba więc było wnosić, że zbrodniarze musieli się oddalić. Jednak, kiedy Spilett wyszedł powtórnie 27 listopada, i zapuścił się na jakie ćwierć mili w las, Top biegał w tę i ową stronę, jak gdyby czegoś szukał. Reporter zaczął go zachęcać, przesuając się ostrożnie między krzakami i śledząc bacznie, czy się kto nie zbliża. Nie zdawało się jednak, aby Top przeczuwał obecność człowieka, gdyż w takim razie byłby szczekał lub warczał.

Przez jakie pięć minut pies węszył i szukał, a Spilett szedł za nim ostrożnie, gdy nagle zmyślne zwierzę podskoczyło do gęstego krzaka i wyciągnęło poszarpany i powalany kawałek ubrania. Reporter zaniósł go natychmiast Cyrusowi; po bliższym rozpatrzeniu okazało się, że to kawałek kaftana Ayrtona, uszytego z sukna, wyrobionego na wyspic.

— Patrz, Penkroffie — odezwał się Cyrus — oto dowód, że korsarze uprowadzili przemocą biednego Ayrtona! Czy powątpiewasz jeszcze o jego uczciwości?

— Już dawno przestałem posądzać biedaka; ale zdaje mi się, że ten kawałek sukna może nam także służyć na dowód, że Ayrtona nie zamordowano tu w owczarni; a więc uprowadzono go żywego, skoro się bronił; może zatem jeszcze żyć!

— Tak, być może — rzekł inżynier i zamyślił się głęboko.

Dotąd zdawało się, że Ayrton, zaskoczony nagle w owczarni, padł ugodzony kulą, tak jak to później stało się z Harbertem; teraz mogli przypuszczać, że skoro zbrodniarze uprowadzili go z sobą do swej kryjówki, to może dotąd być jeszcze ich więźniem. Kto wie, czy który nie poznał w nim dawnego towarzysza z Australii, Bena Joycę, przywódcę bandy zbiegłych zbrodniarzy; mogli nawet przypuszczać, że Ayrton, jeżeli tylko żyje, dołoży wszelkich usiłowań, aby się wyswobodzić z rąk zbrodniarzy. W takim razie uda się wprost do Granitowego Pałacu, gdyż nie może przypuszczać, że jesteśmy uwięzieni w owczarni.

— Chciałbym szczerze, aby on już był w Granitowym Pałacu, i my z nim także. Wprawdzie te potwory nie mogą zburzyć naszego granitowego mieszkania, lecz mogą zrabować i zniszczyć zasiewy, ogrody i kurniki.

Wszyscy koloniści podzielali życzenia marynarza, żaden z nich jednak nie pragnął tak gorąco wrócić do Granitowego Pałacu, jak Harbert, który wiedział, że obecność jego towarzyszy jest tam prawie konieczna i że tylko przez wzgląd na niego pozostali dotąd w owczarni. Myślał tylko o tym, aby jak najprędzej opuścić domek Ayrtona; zapewniał, że prędzej odzyska siły w Granitowym Pałacu, oddychając morskim powietrzem. Przekładał to nieraz Spilettowi, lecz ten nie chciał na to zezwolić, obawiając się, aby niedobrze zabliźnione rany nie otworzyły się w drodze.

29-go listopada koloniści rozmawiali z sobą, siedząc przy łóżku Harberta, gdy Top zaczął głośno szczekać. Cyrus, Ge-deon i Penkroff pochwycili za broń i wybiegli z domu. Top szczekał i skakał przy samej palisadzie, ale widocznie były to oznaki radości, a nie gniewu.

— Ktoś się zbliża!

— Z pewnością!

— Ale nie żaden z naszych wrogów!

— Może Nab?

— Albo Ayrton!

Zaledwie zamienili z sobą tych kilka słów, kiedy ktoś jednym susem przeskoczył przez palisadę i stanął przed nimi. Był to Jow.

— Zapewne Nab przysłał go do nas — rzekł reporter.

— W takim razie — odpowiedział Cyrus — musiał nam przynieść karteczkę.

Penkroff przysunął się śpiesznie do orangutana. W istocie, jeżeli Nab chciał donieść coś ważnego, wynalazł sobie posłańca, który mógł przejść niezaczepiony przez nikogo, choćby nawet po wierzchołkach drzew.

Cyrus nie omylił się: na szyi Jowa zawieszony był mały woreczek, w którym znajdowała się kartka. Łatwo pojąć przerażenie i gniew kolonistów, gdy przeczytali następujące słowa:

„Piątek o 6-tej rano.

Rozbójnicy wtargnęli na płaszczyznę!

Nab“.

Spojrzeni po sobie w milczeniu i wrócili do domu. Co czynić? Rozbójnicy na płaszczyźnie, to ruina, zagłada, zniszczenie!

Harbert wyczytał zaraz z twarzy towarzyszy, że położenie musiało się pogorszyć jeszcze, a gdy zobaczył Jowa, nie wątpił już, że nieszczęście grozi Granitowemu Pałacowi.

— Panie Cyrusie — zawołał — opuśćmy domek Ayrtona. Jestem już dość silny i chcę się oddalić.

Gedeon zbliżył się do łóżka Harberta, przyglądając się czas jakiś chłopcu, i rzekł następnie:

— A więc jedźmy!

Zgodzono się od razu, że trzeba przewieźć Harberta na wozie, sprowadzonym tu, jak wiadomo, przez Ayrtona. Nosze były dogodniejsze dla chorego, ale wymagały dwóch ludzi do niesienia, więc tylko jeden mógłby im towarzyszyć z bronią w rękę.

Przyprowadzono wóz, do którego Penkroff zaprzął onagę. Cyrus i Gedeon przenieśli Harberta wraz z materacem i położyli na wysłanym miękko wozie.

Inżynier i Penkroff uzbroili się w dubeltówki. Spilett wziął swój karabin.

— Czy nie czujesz się bardzo zmęczonym, Harbercie? — zapytał inżynier.

— O! proszę się nie obawiać, nie umrę wam w drodze!

Znać jednak było, że biedny chłopiec tylko wysiłkiem woli powstrzymywał gasnące siły. Serce Cyrusa ścisnęło się boleśnie, chciał już odłożyć wyjazd, gdy przyszło mu na myśl, że przywiódłby tym Harberta do rozpacz, a tak silne rozdrażnienie mogłoby być szkodliwsze.

— Ruszajmy! — rzekł drżącym głosem.

Otworzono bramę, Top i Jow wybiegli naprzód, wóz wytoczył się wolno na drogę i zamknięto na powrót bramę. Cyrus i Gedeon postępowali z obu stron wozu, gotowi odeprzeć napaść; zdawało się jednak, że zbrodniarze nie opuścili dotąd płaszczyzny Pięknego Widoku. Nab, bez wątpienia, napisał karteczkę, gdy tylko się tam pokazali, to jest rano, a że teraz było zaledwie wpół do ósmej, prawdopodobnie droga dopiero w pobliżu Granitowego Pałacu mogła być niebezpieczna. Pomimo to koloniści postępowali z największą ostrożnością. Jow, uzbrojony w kij, biegł w parze z Topem, zapuszczając się to w tę, to w ową stronę lasu, bez najmniejszej jednak oznaki niepokoju.

Wóz toczył się bardzo wolno, w godzinę jednak po opuszczeniu owczarni koloniści zrobili cztery mile drogi, szczęściem bez najmniejszego wypadku. Zbliżono się do płaszczyny! Mila jeszcze, a widać będzie już mostek na strumieniu. Cyrus był pewny, że złoczyńcy go nie zniszczyli, gdyż inaczej przecięliby sobie drogę do odwrotu.—

Na koniec za ostatnimi drzewami lasu ukazało się morze, a wkrótce potem Penkroff, zatrzymując oną, krzyknął z gniewem:

— A nędzniki! potwory!

Zarazem wskazał ręką kłęby dymu, unoszące się nad młynem, chlewkami i kurnikiem.

Człowiek jakiś uwijał się przy zgliszczach; poznano w nim Naba. Towarzysze zaczęli wołać na niego, usłyszał ich i przybiegł.

Zbrodniarze, spustoszywszy płaszczynę, opuścili ją pół godziny temu.

— A Harbert? — zapytał Nab żywo:

Gedeon wrócił do wozu: Harbert leżał zemdlony!

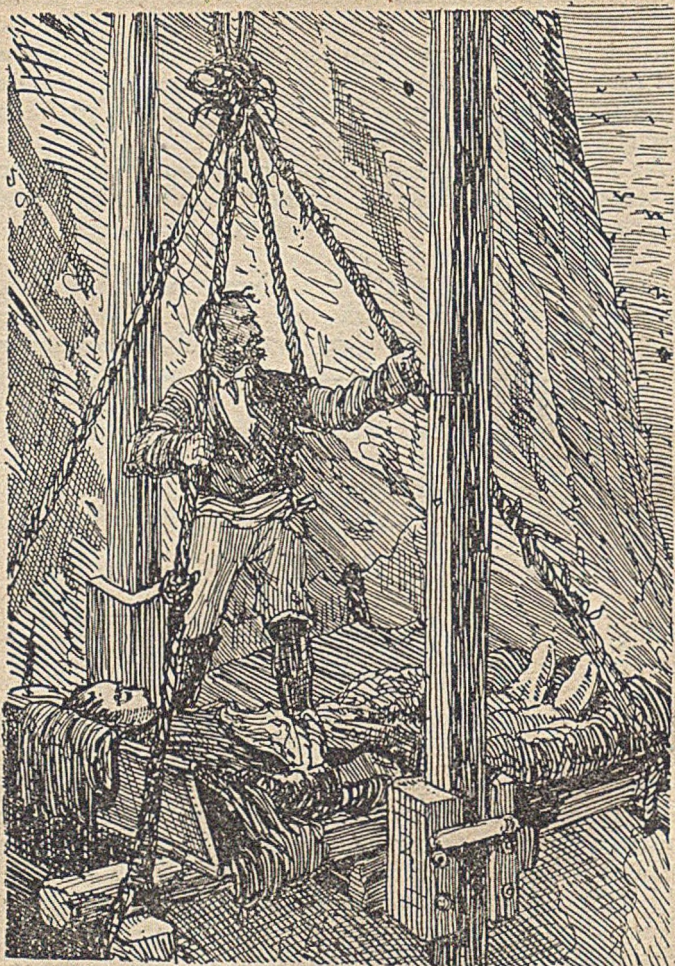
ROZDZIAŁ LII.

Przeniesienie Harberta do Granitowego Pałacu. — Opowiadanie Naba. Wyprawa Cyrusa na płaszczynę. — Zniszczenie. — Niezaradność wobec choroby. — Febra śmiertelna. — Top szczeka.

Zopomniano o korsarzach, o grożącym jeszcze niebezpieczeństwie, o spustoszeniu płaszczyny, a zajęto się wyłącznie Harbertem. Penkroff doprowadził wóz aż do zakrętu rzeki; tam zrobiono naprędce nosze z gałęzi i złożono na nich zemdlonego Harberta. W dziesięć minut później Cyrus, Gedeon i Penkroff stanęli przed Granitowym Pałacem, postawili nosze na windzie i wkrótce Harbert leżał już na swoim łóżku. Nab tymczasem odprowadził wóz na płaszczynę.

Troskliwe starania przywróciły Harbertowi przytomność; uśmiechnął się, zobaczywszy, że już jest w swoim pokoju, ale był tak osłabiony, że zaledwie zdołał wymówić parę słów.

Gedeon obejrzał jego rany, obawiając się, czy nie otworzyły się; nie znalazł nic złego. Skądże więc pochodził ten nagły ubytek sił? Dlaczego stan Harberta tak się pogorszył?



...postavili nosze na windzie... (str. 321).

Wkrótce potem chory wpadł w sen gorączkowy, a reporter i Penkroff usiedli na jego łóżku.

Cyrus zawiadomił Naba o tym, co zaszło w owczarni, on zaś nawzajem opowiedział wypadki, których przed chwilą był świadkiem.

Rozbójnicy dopiero zeszłej nocy pokazali się na skraju lasu w pobliżu strumienia. Nab znajdował się właśnie przy kurniku i, widząc, że jeden z nich chce wpław strumień przepłynąć, strzelił do niego; było już dość ciemno, więc nie wie, czy trafił. W każdym razie nie odstraszyło to bandy, i Nab ledwie zdołał schronić się do Granitowego Pałacu.

Sam niczego się nie obawiał, ale budynki, ogrody, pole, wszystko to pozostało na łasce zbrodniarzy. Wypadało koniecznie zawiadomić towarzyszy o grożącym niebezpieczeństwie.

Przyszło Nabowi na myśl, aby posłać Jowa, który nieraz już dawał dowody wielkiego sprytu. Ciemno jeszcze było, i zwinna małpa mogła przejść niepostrzeżenie przez las, który zresztą mógł być jej zwykłym mieszkaniem.

Nab przywiązał więc kartkę do szyi Jowa, przyprowadził go do drzwi Granitowego Pałacu, spuścił sznur, sięgający aż do ziemi, i, patrząc na małpę, powtórzył kilka razy:

— Jow! owczarnia, owczarnia!

Zwierzę zrozumiało dobrze nazwisko miejsca, do którego uczęszczało tak często z Penkroffem, zsunęło się też zrzęcznie po sznurze i znikło.

— Dobrze zrobiłeś, Nabic — rzekł Cyrus — ale może byłoby lepiej, gdybyśmy nie dowiadywali się wcale o tym, co tu zaszło.

Mówiąc to, inżynier myślał o Harbercie, któremu przewiezienie tak bardzo zaszkodziło.

Nab dodał jeszcze, że zbrodniarze nie pokazali się wcale na wybrzeżu w pobliżu Kominów, gdyż, sądząc z wystrzałów, którymi przywitano ich z tyłu naraz punktów, gdy chcieli wylądować na wyspę, musieli wnosić, że w Granitowym Pałacu powinni ukrywać się obrońcy wyspy. Płaszczyzna nie była wystawiona na strzały z Granitowego Pałacu, wtargnęli tedy na nią, zniszczyli i spustoszyli wszystko.

Zaraz po ich oddaleniu Nab pobiegł na płaszczyznę, nie zważając na to, że jeszcze kula może go dosięgnąć, starał się ugasić pożar, niweczący budynki, i walczył z nim, choć na próżno, aż do chwili, w której wóz ukazał się na skraju lasu.

Inżynier chciał przekonać się naocznie o wielkości szkód wyrządzonych i udał się wraz z Nabem na płaszczyznę. Na lewym brzegu nie znaleźli nigdzie śladu przejścia złoczyńców, na drugim brzegu i w lesie nie dostrzegli także nic, co

dowodziłoby, że byli w tej stronie. Cyrus wyprowadził z tego wnioszek, że albo zbrodniarze dostrzegli z daleka, że koloniści wracają do Granitowego Pałacu, i natychmiast udali się do owczarni; albo też, nie wiedząc o ich powrocie, uciekli do swej kryjówki, by przygotować się do nowej napaści. Wypadłoby ich uprzedzić, ale i teraz jeszcze stan zdrowia Harberta nie pozwalał rozpocząć stanowczych kroków.

Na płaszczyźnie znaleźli straszne spustoszenie. Pola były stratowane, zasiewy ścięte i wyrwane, ogrody i plantacje zniszczone. Ogień zniweczył młyn, kurnik, chlewki i stajenkę dla onag. Przerazone zwierzęta biegały jak błędne po płaszczyźnie; drób spłoszony ogniem pływał po jeziorze, lub błądził nad jego brzegami.

Na pobladłej twarzy Cyrusa malowało się z trudem tłumione oburzenie i gniew, nie wyrzekł jednak ani słowa, raz jeszcze spojrzął na spustoszone pola, na dymiące zgliszcza i wrócił do Granitowego Pałacu.

Następne dni były dla kolonistów najboleśniejże z wszystkich, jakie spędzili na wyspie. Harbert widocznie tracił siły, i Spilett przeczuwał, że nadejdzie chwila, w której nie będzie zdolny zwalczyć choroby.

Szóstego dnia chory zdawał się być jeszcze więcej znudzony, skóra pobladła mu na palcach, nosie i uszach, i zaczęły go przebiegać z początku lekkie, a następnie coraz silniejsze dreszcze. Później zimno zaczęło z wolna ustępować, a powróciła z początku słaba, potem coraz mocniejsza gorączka.

Gedeon Spilett nie mógł już wątpić, że Harbert dostał gorączki przerywanej, która bez śpiesznego ratunku będzie coraz silniejsza.

— Ażeby przeciąć tę gorączkę — rzekł do Cyrusa — trzeba mieć chininę, a nie ma jej na wyspie.

— Tak, to nie ulega wątpiwości.

— Nad brzegiem jeziora — odpowiedział Spilett — rosną wierzby, a kora wierzbowa może niekiedy zastąpić chininę. Spróbujmy!...

Cyrus pobiegł natychmiast nad jezioro, zdjął kilka kawałków kory z pnia czarnej wierzby, a następnie utarł ją na proszek, który Harbert zażył tego dnia wieczorem.

Noc i dzień następny przeszły dość spokojnie. Penkroff odzyskał trochę nadziei, ale reporter nie śmiał się jeszcze cieszyć. Zresztą i to go przerażało, że Harbert prócz wielkiego osłabienia doznawał jeszcze darcia wo wszystkich członkach,

ciążenia głowy i odurzenia. Wkrótce potem wątroba zaczęła puchnąć i wystąpiła silniejsza maligna. Przerażony reporter odprowadził na bok Cyrusa.

— Jest to zgubna gorączka — rzekł do niego.

— To być nie może! Mylisz się, Gedeonie. Ten rodzaj zimnicy nie rozwija się bez powodu.

— Niestety! Nie myślę się. Harbert musiał zdobyć zaród tej choroby, polując na bagnach. Miał już pierwszy paroksyzm, jeżeli teraz nadejdzie drugi, a nie zdołamy zapobiec trzeciemu... umrze... Trzeci paroksyzm jest zawsze śmiertelny.

— A kora wierzbowa?

— Słaby to środek, tu jedynie chinina mogłaby być skuteczna.

Nazajutrz, około południa, nadszedł drugi paroksyzm, cięższy jeszcze od pierwszego. Sam Harbert był pewny, że go nie przeżyje. Wyciągnął ręce do Cyrusa, Spiletta i Penkroffa, prosząc, aby go ratowali!... Była to rozdzierająca serce scena. Trzeba było gwałtem wyprowadzić Penkroffa.

Napad tej strasznej zimnicy trwał blisko pięć godzin; nie podobna było spodziewać się, że Harbert przetrzyma trzeci.

Noc była straszna. Harbert mówił w gorączce, niby walczył ze zbrodniarzami i przywoływał Ayrtona; błagał o pomoc tajemniczej istoty; pytał się, czemu przestała opiekować się nimi... Potem wpadł w zupełną bezwładność... Kilka razy zdawało się reporterowi, że biedny chłopiec już nie żyje.

Nazajutrz osłabienie chorego było straszne; dawano mu ciągle proszki z kory wierzbowej, ale te nie przynosiły pożądanego skutku.

Nadeszła noc, zapewne już ostatnia dla tego dobrego i odważnego młodzieńca, którego wszyscy kochali jak syna. Jedynego lekarstwa, jakie mogłoby zwalczyć tę straszną chorobę, nie było na wyspie.

W ciągu tej nocy Harbert nie poznawał już nikogo. Koło godziny trzeciej nad ranem Harbert wydał krzyk przeraźliwy; przerażony tym Nab, pilnujący go w tej chwili, wybiegł do przyległego pokoju, gdzie czuwali inni. W tym samym czasie Top zaszczekał.

Koloniści wbiegli natychmiast i zobaczyli umierającego, usiłującego wyjść z łóżka. Gedeon wziął go za rękę, puls ustępował zwolna.

Około godziny piątej promienie słońca zaczęły się przedzierać do Granitowego Pałacu, zapowiadając dzień jasny i pogodny. Jeden z promieni sięgał aż do stoliczka, stojącego przy łóżku. Penkroff krzyknął, wskazując na przedmiot, leżący na stole...

Było to małe, podłużne pudełeczko, na którym znajdował się napis:

Siarczan chininy.

ROZDZIAŁ LIII.

Niepojęty wypadek. — Powrót Harberta do zdrowia. — Jeszcze zwiedzanie wyspy. — Przygotowanie do wyjazdu. — Pierwszy dzień. — Noc. — Drugi dzień. — Kazuary. — Ślady w lesie. — Przybycie do przylądka Gadu.

Gedeon otworzył śpiesznie pudełeczko i znalazł w nim najmniej dwieście gramów białego proszku. Skosztował go: nadzwyczajna gorycz zdawała się świadczyć, że to jest chinina, ten najskuteczniejszy środek przeciwfebryczny.

Trzeba było przede wszystkim dać go Harbertowi, nie rozmyślając nad tym, kto go dostarczył.

— Kawy! — zawołał Spilett.

Nab wybiegł i w parę chwil potem przyniósł filiżankę ciepłej kawy. Spilett wsypał do niej około osiemnastu gramów chininy i z trudem napił Harberta. Chory mógł być uratowany, skoro trzeci paroksyzm zimnicy jeszcze nie przyszedł. Nadzieja wstąpiła w serca kolonistów; tajemniczy opiekun znów czuwał nad nimi, i doznali jego dobroczynnych skutków wtenczas właśnie, gdy zupełnie zwątpili.

Po kilku godzinach Harbert był już spokojniejszy, i koloniści mogli pomówić o wypadku. Jakim sposobem tajemniczy zbawca dostał się w nocy do Granitowego Pałacu? Działanie jego było równie niepojęte, jak on sam.

Przez cały dzień Harbert zażywał chininę co trzy godziny, nazajutrz było już trochę lepiej. Nadzieja wróciła do serc kolonistów. Wprawdzie ataki wracały często, ale teraz posiadali już zwalczający je środek. W dziesięć dni później Harbert zaczął już przychodzić do zdrowia; był jeszcze bardzo słaby, ale paroksyzmy ustały.

Penkroff był podobny do człowieka, którego wydobyto z przepaści: chwilami radość jego dochodziła prawie do szału, a kiedy minął czas trzeciego ataku, uściskał reportera tak silnie, że go o mało nie udusił i odtąd nazywał go ciągle doktorem Spilettem.

Skończył się grudzień, a z nim razem rok 1867, w którym koloniści tak ciężkie przechodzili doświadczenia. Zaraz od początku 1868 czas był prześliczny, upały silne, ale lekki wietrzyk od morza chłodził powietrze. Postawiono łóżko Harberta przy oknie, toteż wciągając w siebie to zdrowe powietrze, przepelnione wyziewami morskimi, widocznie odzyskiwał zdrowie i siły; zaczął już posilać się trochę, a jakież to przysmaczki Nab przyrządził dla niego!...

Przez cały ten czas zbrodniarze nie pokazali się wcale w pobliżu Granitowego Pałacu, o Ayrtonie nie było żadnej wieści. Aby dowiedzieć się o nim czegoś pewnego, trzeba było czekać może cały miesiąc, póki chory zupełnego nie odzyska zdrowia, gdyż wszystkie siły kolonii były potrzebne do wytropienia i zwalczenia zbrodniarzy. Szczęściem Harbert z każdym dniem czuł się lepiej. W styczniu koloniści zajęli się pracą na płaszczynie, chcieli bowiem uratować resztki zboża i warzyw, których zbrodniarze nie zdołali zniszczyć.

Przy końcu stycznia doktor Spilett pozwolił już Harbertowi wychodzić na płaszczynę i nad brzeg morza i kazał wziąć kilka kąpeli morskich. Cyrus mógł już teraz śmiało pomyśleć o przyprowadzeniu do skutku zamierzonej wycieczki i oznaczył ją na dzień piętnastego lutego. Noce bardzo jasne sprzyjały temu niezmiernie.

Rozpoczęto zaraz przygotowania do podróży, która mogła przeciągnąć się dość długo, bo koloniści postanowili nie wracać do Granitowego Pałacu, dopóki nie osiągną podwójnego celu podróży, to jest nie wytepią zbrodniarzy, nie oswobodzą Ayrtona, jeżeli żył jeszcze, i nie wyszukają tajemniczego opiekuna.

Koloniści nie znali dotąd wcale lasów, pokrywających półwysep, gdzie z pewnością musiało istnieć niejedno trudne do odkrycia schronienie. Dlatego też postanowił poznać tę część wyspy. Zamierzali pójść najpierw do owczarni, lecz po zastanowieniu zmienili plan, bo albo zbrodniarze zrabowali ją i zniszczyli, albo też obrali na stałe mieszkanie, a w takim razie znajdą ich tam później. Obejrzano starannie wóz, aby nie zepsuł się w drodze, następnie włożono na niego żywność,

naczynia kuchenne, przenośną kuchenkę, broń, zapasy kul i prochu.

Po ogólnej naradzie postanowiono, że nikt nie pozostanie w Granitowym Pałacu; nawet Top i Jow mieli należeć do wyprawy. Ponieważ zbrodniarze mogli błąkać się po lesie, Cyrus Smith polecił wszystkim iść razem.

W wigilię wyjazdu przypadła niedziela, cały więc dzień przeznaczono na modlitwę i odpoczynek. Nazajutrz inżynier zabezpieczył Granitowy Pałac od wszelkiej napaści. Przeniesiono do Kominów drabiny, po których dawniej wchodziło do niego, i zakopano je głęboko w piasek, aby po powrocie mogli się po nich dostać do domu, gdyż windę skasowano na czas nieobecności. Penkroff ostatni spuścił się z Pałacu po linie.

— Śliczny mamy dzień, choć nieco za gorący — rzekł wesoło reporter.

— Nic to nie szkodzi, panie doktorze — odpowiedział Penkroff — drzewa nas tak dobrze będą osłaniać, że nawet nie zobaczymy słońca.

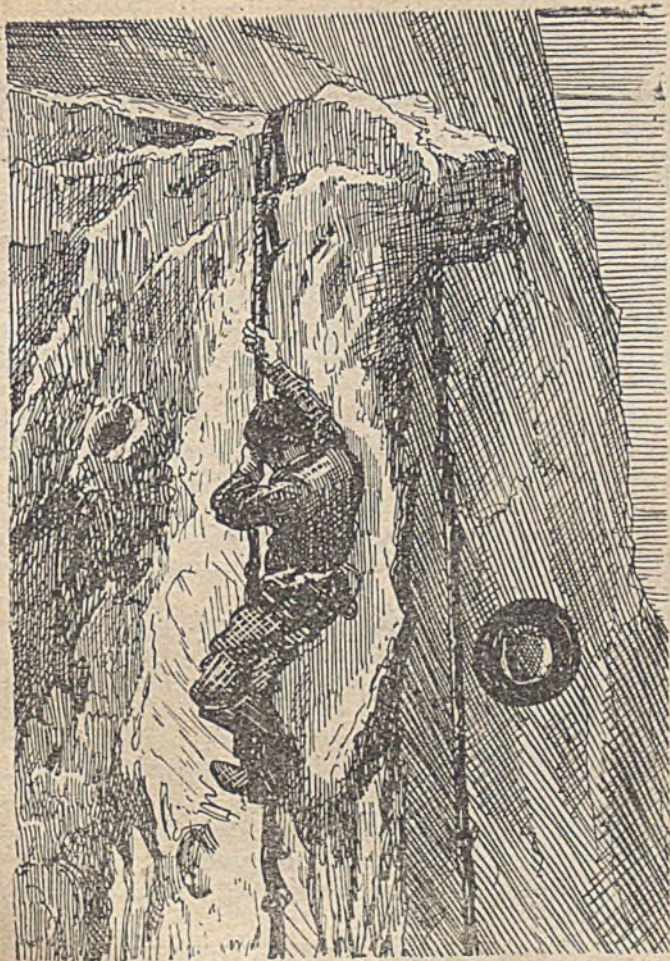
— Ruszajmy! — rzekł inżynier.

Wóz zaprzężony stał już przed Kominami. Reporter żądał, aby Harbert wsiadł na niego, i młody chłopiec musiał ulec woli swego lekarza. Nab prowadził onagi; Cyrus, reporter i Penkroff szli naprzód. Top jak zwykle biegł to w tę, to w ową stronę, Jow na wezwanie Harberta usiadł przy nim bez wahania.

Po przebyciu mostu zapuścili się w ogromne lasy Dalekiego Zachodu. Przez pierwsze dwie mile drzewa były rzadkie, i wóz toczył się między nimi swobodnie, tylko czasami trzeba było przecinać zielone girlandy lian, tamujące drogę.

Gumowce, drzewa smocze i inne gatunki, spotykane tu na wyspie, pokrywały niezmierzone okiem przestrzenie. Koloniści znajdowali tu także ptaki, znane im już z poprzednich wycieczek, jak cietrzewie, żakamary, bażanty, lory kakotaesy i rozmaite gatunki krzykliwych papug. Aguty, kangury i kabile, przesuwane się między krzakami, przypominały im pierwsze ich wycieczki.

— Czy nie zwróciliście na to uwagi — rzekł Cyrus — że tak ptaki jak zwierzęta są lękliwsze, niż były po naszym przybyciu na wyspę; z tego trzeba wnosić, że złoczyńcy musieli polować w tym lesie, i że pewno znajdziemy tu ich ślady.



Penkroff ostatni opuścił się z palacu po linie (str. 328).

W istocie spotykane w wielu miejscach wygasłe ogniska i liczne ślady stóp wskazywały, że ludzie przechodzili już tędy, ale nigdzie nie dostrzeżono nic takiego, co by dowodziło, że tu było stałe ich siedlisko.

Inżynier polecił towarzyszom, aby wstrzymali się od po-

lowania, choćby najwięcej napotykali zwierzyny, gdyż huk wystrzału oznajmiałby zbrodniarzom o ich zbliżaniu się, jeżeli znajdowali się w tej stronie.

Musieli nieraz wycinać drzewa i krzaki, aby wóz mógł się przesunąć, w takim wypadku Cyrus wysyłał najpierw w gęstwinę Topa i Jowa, a jeżeli zmyślnie zwierzęta nie ostrzegły kolonistów, mogli być pewni, że nie potrzebują się obawiać ani dzikich zwierząt, ani zbrodniarzy.

Wieczorem rozłożyli się obozem o dziewięć mil od Granitowego Pałacu, nad brzegiem nieznanej im dotąd rzeczki, wpadającej do Mercy. Nab przygotował sutą wieszakę, z której mało co pozostało, gdyż wszyscy byli głodni. Następnie trzeba było pomyśleć o noclegu. W obawie przed dzikimi zwierzętami dość byłoby utrzymać ciągle duży ogień, ale widok płomieni przyciągnąłby właśnie zbrodniarzy: lepiej więc było ukrywać się w ciemności, natomiast po dwóch kolonistów razem miało czuwać przez całą noc, zmieniając się co parę godzin.

Noc bardzo krótka przeszła spokojnie, z dala tylko dochodziło niekiedy chrapliwe wycie jaguarów i krzyki małp, zaczepiających Jowa.

Nazajutrz zrobiono zaledwie sześć mil, gdyż ciągle prawie trzeba było torować sobie drogę siekierą. Harbert odkrył nowe gatunki drzew, jak paproć drzewiastą, drzewo świętojańskie, którego długie strąki zajały chciwie onagi, kaurysy z pniami cylindrycznymi, których zielone stożkowate korony wznosiły się o dwieście stóp nad ziemią.

Z królestwa zwierzęcego spotykali tylko znane już na wyspie okazy, z wyjątkiem dwóch wielkich brunatnych ptaków, wysokich na pięć stóp, był to gatunek kazuara, zwany w Australii emeus. Ptaki te biegają tak szybko, że Top na próżno usiłował je doścignąć.

I tu jeszcze można było dostrzec ślady pobytu zbrodniców. W jednym miejscu, przy niedawno, jak się zdawało, wygasłym ognisku, koloniści znaleźli ślady stóp różnej wielkości a, zmierzyszy dokładnie ich długość i szerokość, przekonali się że zostawiło je tam pięciu ludzi.

— Nie było z nimi Ayrtona! — rzekł Harbert.

— Tak, nie było — rzekł Penkroff — i to dowodzi, że nędznicy już go zamordowali! Ale czyż te potwory nie mają nigdzie stałego legowiska, w którym można by ich osaczyć jak dzikie zwierzęta!

— Prawdopodobnie — odpowiedział reporter — przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce, uważając, że to dla nich najbezpieczniejsze, dopóki nie staną się panami wyspy.

— Oni! panami wyspy! — krzyknął marynarz. — Panami wyspy!... — powtórzył drżącym z gniewu głosem, potem dodał spokojniej: — Czy wiecie, jaką kulą nabilem moją strzelbę?

— Nie, Penkroffie.

— Tą, która przeszła pierś Harberta, i mogę zaręczyć, że trafi do celu!

Tego wieczora zatrzymano się na noc o czternaście mil od Granitowego Pałacu. Cyrus obliczał, że nie będą mieli więcej nad pięć mil do przylądka Gadu. Rzeczywiście nazajutrz stanęli już na końcu półwyspu, ale nigdzie nie znaleźli kryjówek zbrodniarzy, ani też schronienia tajemniczego opiekuna.

ROZDZIAŁ LIV.

Zwiedzenie półwyspu Wężowatego. — Obozowisko przy ujściu strumienia. — W okolicy zagrody. — Spilett i Penkroff na zwiadach. — Powrót. — Wszyscy naprzód. — Drzwi otwarte. — Wyjaśnienie. — Przy świetle księżyca.

Następny dzień był przeznaczony wyłącznie na zwiedzenie lesistej części wybrzeża, od przylądka Gadu do rzeki Spadku. Zbadali dokładnie tę część lasu, którego szerokość wynosiła zaledwie cztery mile. Wysokość drzew i bujne ich rozgałęzienie dowodziły nadzwyczajnej żyzności gruntu: można było sądzić, że to dziewiczy las Ameryki lub Afryki środkowej przeniesiony do tej strefy umiarkowanej.

Jednak nie dla podziwiania przepysznej roślinności przebiegali te lasy; wiedzieli już, że pod tym względem wyspa Lincoln może współzawodniczyć z wyspami Kanaryjskimi, które początkowo nosiły nazwę Szczęśliwych. Na zachodnim wybrzeżu nie znaleźli nigdzie śladu stóp, ani wygasłych ognisk.

— Nie dziwi mnie to bynajmniej — rzekł Cyrus Smith. — Zbrodniarze dostali się na łód przy cyplu Skrzyni i przez bagno Dzikich Kaczek przeszli do lasu Dalekiego Zachodu, a więc przebiegli prawie tę samą drogę, co my obec-

nie, lecz, doszedłszy do wybrzeża, zorientowali się, że tu nie zdołaliby się ukryć, cofnęli się więc ku północy i wówczas spostrzegli owczarnię.

— Do której może i teraz wrócili — przerwał Penkroff.

— Nie sądzę — rzekł inżynier — gdyż domyślają się zapewne, że ich tam będziemy szukać. W owczarni zaopatrują się w żywność, ale w innym miejscu obrali sobie schronisko.

— Podzielam zdanie Cyrusa — powiedział reporter. — O ile mi się zdaje, zbrodniarze muszą ukrywać się między wzgórzami podnóża góry Franklina.

— W takim razie, panie Cyrusie, śpieszmy do owczarni! — zawołał marynarz. — Już i tak straciliśmy dużo czasu na próżno.

— Zapominasz, przyjacielu — odpowiedział inżynier — że mieliśmy przekonać się również, czy w lesie Dalekiego Zachodu nie znajduje się mieszkanie naszego dobroczyńcy.

— Tak, panie Cyrusie — rzekł Penkroff — lecz zdaje mi się, że nie znajdziemy tego zacnego pana, dopóki on nie pozwoli na to.

Penkroff wyrażał tu ogólne mniemanie. Prawdopodobnie schronienie nieznanego musiało być równie jak on tajemnicze!

Zatrzymali się na noc przy rzece Spadku. Harbert, porzeczony powietrzem morskim i wonnymi wyciekami lasów, był równie zdrowy i silny jak przed chorobą, co noc czuwał parę godzin nad bezpieczeństwem śpiących towarzyszy i już pieszo podróżował z nimi. Nazajutrz, 19 lutego, puścili się lewym brzegiem rzeki. Droga była już po części utworzona w ciągu poprzednich wycieczek z owczarni do zachodniego wybrzeża, a sześć mil tylko dzieliło ich od góry Franklina.

Inżynier miał zamiar zbliżyć się ostrożnie do owczarni i, jeżeli była zajęta, zdobyć ją, jeżeli zaś nie, zamieszkać w niej i czynić wycieczki między wzgórzem, otaczające górę Franklina, w celu wyszukania zbrodniarzy. Zapuścili się więc w wąską dolinę między dwoma pasmami gór. Drzewa, zarastające gęsto brzegi rzeki, były coraz rzadsze w miarę, jak się pięły w górę; ale wśród wąwozów łatwo było urządzić zasadzkę, dlatego też koloniści posuwali się z największą ostrożnością. Top i Jow biegli naprzód, zbaczając to na prawo, to na lewo, jakby rozumieli, że mają czuwać nad bezpieczeństwem swych panów.

Około piątej wieczorem wóz zatrzymał się mniej więcej o sześćset kroków od palisady, otaczającej dziedziniec owczarni, którą przed ich wzrokiem jeszcze ukrywał lasek.

Trzeba było przekonać się, czy zbrodniarze zajęli powtórnie owczarnię, ale podsunąć się do niej otwarcie w biały dzień było to samo, co narażać się na strzały zdradzieckie; lepiej więc było czekać cierpliwie nocy.

— Nie, moi przyjaciele — rzekł Cyrus do Spiletta i Penkroffa, którzy chcieli natychmiast pójść na zwiady. — nie pozwolę wam się narażać. Czekajmy nocy.

— Ależ, panie Cyrusie... — rzekł, nalegając marynarz.

— Proszę cię, Penkroffie — powiedział inżynier.

— Ha! Niechże będzie, jak pan chce — odrzekł Penkroff.

Ale, chcąc ulżyć sercu, zaczął wymyślać na zbrodniarzy, wygrażając im pięścią.

Czekali trzy godziny, zwracając baczną uwagę na sąsiedni las. Powietrze było tak spokojne, że łatwo można by dosłyszeć najlżejszy nawet szelest; nie jednak nie przerwało ciszy. O godzinie ósmej wieczorem ściemniło się już o tyle, że łatwiej było posunąć się pod owczarnię, toteż inżynier nie opierał się bynajmniej, gdy Spilett i Penkroff oświadczyli, że pójdą na zwiady! Top i Jow zostali przy wozie, gdyż obawiano się, aby szczekaniem lub krzykiem nie obudzili czujności zbójców.

— Tylko nie narażajcie się zbyt — rzekł inżynier — i pamiętajcie, że nie idzie o to, abyście odebrali owczarnię, lecz, aby się przekonać, czy jest zajęta, lub nie.

Odeszli. Pomiędzy drzewami było już tak ciemno, że o trzydzieści kroków nic nie można było dojrzeć. Reporter i marynarz posuwali się naprzód bardzo ostrożnie, zatrzymując się, skoro najlżejszy szmer doszedł do ich uszu. Szli każdy z osobna, aby trudniej było wziąć ich na cel, gdyby zbrodniarze urządzili zasadzkę.

Po kilku minutach stanęli już na skraju lasu, nad łączką, na której wznosiła się owczarnia. Zatrzymali się. Na ogołoczonej z drzew przestrzeni było jeszcze dość widno. Musieli przejść trzydzieści kroków, aby stanąć przy bramie, prowadzącej na dziedziniec, ale te trzydzieści kroków, w miejscu zupełnie odkrytym, były najtrudniejsze do przebycia, gdyż spoza palisady można było celnie strzelać.

Reporter i marynarz byli odważni, ale wiedzieli, że najlżejsza z ich strony nierozwaga może być zgubna nie tylko

dla nich, lecz i dla pozostałych towarzyszy. Jeżeli oni polegną, cóż stanie się z Cyrusem, Nabem i Harbertem? Wprawdzie niecierpliwym Penkroff, widząc przed sobą owczarnię, w której domyślał się pobytu 'zbrodniarzy, chciał natychmiast pośpieszyć, ale Spilett zatrzymał go za rękę.

— Za kilka minut — rzekł — będzie już zupełnie ciemno, wtenczas podsuniemy się tam bezpiecznie.

Penkroff ścisnął gwałtownie karabin i zatrzymał się, złorzecząc rozbójnikom. Wkrótce zmierzch ustąpił miejsca nocy. Marynarz i reporter, stojąc na skraju lasu, zwracali pilną uwagę na palisadę, której wierzchołek tworzył na horyzoncie trochę ciemniejszą i zupełnie równą linię. Jeżeli rozbójnicy znajdowali się w owczarni, musieli postawić jednego ze swoich na straży, a w takim razie przynajmniej głowa jego wznosiłaby się nad palisadą. Czyżby nie było nikogo?

Spilett ścisnął za rękę towarzysza i obydwaj, pochyliwszy się, zaczęli ostrożnie zbliżać się do palisady.

Stanęli przy bramie. Penkroff spróbował ją otworzyć, widząc, że zewnętrzne zasuwki nie są założone, ale była wewnątrz zamknięta. Z tego trzeba było wnosić, że rozbójnicy zajęli domek Ayrtona i zaparli bramę.

Gedeon i Penkroff zaczęli przysłuchiwać się pilnie. Najłżejszy szmer nie doszedł ich uszu; nawet muflony i kozy, już śpiące zapewne, nie przerywały beczaniem nocnej ciszy.

Reporter i marynarz zadali sobie pytanie, czyby nie mogli dostać się na dziedziniec przez palisadę, ale reporter zauważył, że zamiar mógłby im się nie udać, a w takim razie ostrzegliby złoczyńców o grożącym niebezpieczeństwie. Lepiej będzie, jeżeli wszyscy razem wejdą do owczarni. Penkroff podzielał widać to zdanie, gdyż bez najmniejszego oporu powrócił z Gedeonem do lasu.

W kwadrans później uwiadomili już inżyniera, że można dojść aż do ogrodzenia, że brama zamknięta z wewnątrz, ale nikt nie stoi na straży.

— Z tego trzeba by wnosić — rzekł po namyśle — że nie ma tam obecnie zbrodniarzy.

— Przekonamy się o tym — odpowiedział Penkroff — skoro wejdziemy do owczarni.

— Chodźmy więc, towarzysze — rzekł Cyrus.

— Czy wóz pozostawimy w lesie? — zapytał Nab.

— Nie, jest to furgon z żywnością i amunicją, który w razie potrzeby może nam posłużyć za szaniec.

— Ruszajmy! — rzekł Gedeon.

Wóz przebył szczęśliwie las i zaczął toczyć się po łące; gęsta i bujna trawa tłumila turkot kół i odgłos kroków. Jow, z rozkazu Penkroffa, szedł za wozem; Topa prowadził na smyczy Nab, aby się naprzód nie wrywał. Wkrótce doszli do palisady i wóz zatrzymał się. Ani jeden wystrzał nie przerwał głębokiej ciszy. Nab pozostał przy onagach, inni udali się do bramy, aby spróbować, czy nie potrafią jej wysadzić...

Jedna jej połowa była otwarta!

— Wszak mówiliście, że zamknięta? — rzekł inżynier, zwracając się do Gedeona i marynarza, prawie osłupiałych ze zdumienia.

— Przysięgam na moją duszę! — zawołał Penkroff — że przed chwilą była szczelnie zamknięta.

Spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Zdawało im się niewątpliwie, że rozbójnicy byli jeszcze w owczarni; bo któż inny mógłby wrota otworzyć? Ale czy obecnie wszyscy z niej wyszli, czy tylko jeden z nich oddalił się — na to pytanie trudno było odpowiedzieć...

Harbert, który posunął się już o parę kroków za ogrodzenie, cofnął się nagle, chwytając Cyrusa za rękę.

— Co zobaczyłeś? — zapytał inżynier.

— Światło!

— W domku?

— Tak.

Wszyscy przeszli bramę i rzeczywiście ujrzeli słabe światełko w oknie.

— Naprzód! — zawołał Cyrus przytłumionym głosem — zbrodniarze są tam wszyscy razem i teraz już nie zdołają umknąć!

Gdy zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami domku, Cyrus skinął, pozostali na miejscu, sam zaś zbliżył się do okna. Na stole przy łóżku Ayrtona paliła się mała lampka; na łóżku leżał jakiś człowiek.

Cyrus cofnął się nagle i zawołał drżącym głosem:

— Ayrton!

Otworzyli drzwi i wpadli do izby. Ayrton spał; na twarzy jego widać było, że przebył długie i straszne cierpienia, na rękach i nogach były krwawe ślady po zdjętych niedawno więzach.

— Ayrtonie! — zawołał Cyrus, pochylając się nad nim i ściskając za rękę tak niespodziewanie odnalezionego towarzysza.

Ayrton otworzył oczy i przez czas pewien spoglądał na Cyrusa i na innych, jakby nie dowierzał, że widzi ich rzeczywiście.

— Wy tutaj! — zawołał na koniec — wy przy mnie!...

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powtórzył Cyrus Smith.

— Gdzie ja jestem?

— W domku przy, owczarni.

— Sam jeden?

— Tak!

— Ale oni wróć! — zawołał Ayrton. — Brońcie się! brońcie!

Po tych słowach bezsilny upadł na łóżko.

— Gedeonie — rzekł inżynier — możemy lada chwila spodziewać się napaści. Wprowadźcie wóz na dziedziniec i starannie zamknijcie bramę.

Penkroff, Nab i reporter natychmiast spełnili polecenie inżyniera. Nie było chwili do stracenia. Kto wie nawet, czy już wóz nie dostał się w ręce zbrodniarzy. Zbliżyli się prędko do bramy, za którą Top warczał ciągle głucho. Inżynier i Harbert wyszli przed dom, gotowi w razie potrzeby biec na pomoc towarzyszom.

Księżyc tymczasem wysunął się spoza lasu, światło jego pozwalało widzieć dokładnie kępy drzew, piękną murawę i strumień, płynący w ogrodzonym palisadą obrębie.

Wkrótce wóz wtoczył się, i Cyrus usłyszał, że towarzysze zamknęli bramę. Top zaczął szczekać gwałtownie, zerwał smycz i pobiegł w głąb dziedzińca po prawej stronie domku.

— Baczność towarzysze! Miejcie broń w pogotowiu!... — zawołał Cyrus.

Koloniści spełnili polecenie inżyniera. Top wciąż szczekał zawzięcie, a Jow towarzyszył mu ostrym, przenikliwym świstaniem. Koloniści poszli za nimi aż do brzegu strumienia. Cóż tam znaleźli?

Pięć trupów, leżących nad brzegiem. Były to ciała pięciu zbrodniarzy, którzy cztery miesiące temu wylądowali na wyspie Lincolna.

Opowiadanie Ayrtona. — Zamiary dawnych współników. — „Bonawentura“. — Poszukiwania w okolicach góry Franklina. — Grzmoty podziemne. — Odpowiedź Penkroffa. — W głębi krateru. — Powrót.

Jak się to stało? Kto odebrał życie zbrodniarzom? Czy Ayrton? Nie, skoro parę minut temu obawiał się ich powrotu.

Ayrton był tak senny i znużony, że nie był zdolny odpowiedzieć na żadne pytanie. Koloniści przepędzili przy nim całą noc, rozmyślając o tak dziwnym wypadku. Byli pewni, że nie dowiedzą się od Ayrtona szczegółów, dotyczących śmierci zbrodniarzy, bo wszakże nie wiedział o tym, że znajduje się w swym domku; ale będzie mógł przynajmniej opowiedzieć, co się przedtem działo.

Nazajutrz Ayrton z rozczuleniem spoglądał na towarzyszy, cieszących się szczerze, że po stu czterech dniach rozłąki znaleźli go przy życiu i prawie zdrowego.

Ayrton opowiedział im, że 10 listopada wieczorem, to jest nazajutrz po przybyciu do owczarni, został napadnięty niespodzianie przez zbrodniarzy, którzy zdołali przeskoczyć przez ogrodzenie; że skrępowali mu ręce, zawiązali usta i zaprowadzili do ciemnej jaskini u stóp góry Franklina, która służyła im za schronienie.

Wszyscy jednogłośnie wydali na niego wyrok śmierci, lecz następnego dnia rano jeden z nich poznał go, i nędzniczy, gotowi zamordować Ayrtona, darowali życie Benowi Joyce. Odtąd jednak biedny Ayrton znosił ciągle ciężkie prześladowania od dawnych współników, chcących go zmusić, aby połączył się z nimi, dopomógł do opanowania Granitowego Pałacu i wymordowania kolonistów.

Nie zdołali jednak złamać Ayrtona. Zbrodniarz poprawiony, żałujący szczerze za winy, przejęty nieograniczoną wdzięcznością za okazywaną mu życzliwość, wolał cierpieć i umrzeć, niżeli zdradzić towarzyszy i dobroczyńców. Zbrodniarze dostrzegli owczarnię zaraz w początku pobytu na wyspie; zaopatrywali się tam w żywność. Jedenastego listopada dwóch zbójców, zaskoczonych nagle przez kolonistów, strzeliło do Harberta, jeden z nich po powrocie chwalił się, że zabił młodego chłopca, mieszkającego na wyspie, ale wrócił sam tylko. Drugi, jak wiemy, zginął z ręki Cyrusa.

Wiadomość o śmierci Harberta skrwawiła serce Ayrtona; pozostało już tylko czterech kolonistów, a i tych może

dosięgną wkrótce kule morderców. Rozbójnicy nie oddalali się prawie z jaskini przez czas pobytu kolonistów w owczarni i znów wrócili do niej po spustoszeniu płaszczyzny Pięknego Widoku. Z Ayrtonem postępowali coraz gorzej; zdawało mu się, że podrażnieni oporem lada chwila pozbawią go życia.

Na koniec, w trzecim tygodniu lutego, Ayrton osłabiony głodem i prześladowaniami uległ zupełnemu obezwładnieniu, tak, że już ani słyszał, ani widział co się działo w koło niego.

— Proszę mi powiedzieć, panie Smith — dodał, kończąc — jak się to stało, że ja, uwięziony ciągle w jaskini, znalazłem się nagle w tym domku?

— A jakże się i to stało, że wszyscy zbrodniarze leżą tam martwi na dziedzińcu? — odpowiedział inżynier.

— Martwi? nieżywi? — zawołał Ayrton, siadając na łóżku pomimo osłabienia.

Na jego prośbę dwóch kolonistów wzięło go pod rękę, i wszyscy razem udali się nad brzeg strumienia. Tam leżały ciała zbrodniarzy w takim położeniu, w jakim śmierć zaskoczyła ich nagle.

Na rozkaz inżyniera Nab i Penkroff obejrzeliby ciała. Nie było żadnej widocznej rany, jednak po dokładniejszym rozpatrzeniu Penkroff dostrzegł, że każdy z nich ma na czole, piersiach, szyi, na krzyżu lub łopatce małą sino-czerwoną plamkę.

— Tu właśnie każdy z nich otrzymał cios śmiertelny! — rzekł Cyrus Smith.

— Ale od jakiej broni? — zawołał reporter.

— Była to jakaś broń straszna, zabijająca nagle, jak uderzenie pioruna, ale wcale nieznana.

— Któż posiada tę broń piorunującą? Kto nas uwolnił od tych zbrodniarzy? — zapytał Penkroff.

— Ten, kto przeniósł tu Ayrtona z jaskini, ten, kto znowu dał nam nowy dowód opieki, ten kto czyni dla nas to, czego sami nie jesteśmy zdolni uczynić, a który pomimo to ukrywa się przed nami.

— A więc szukajmy go! — zawołał Cyrus. — Ale człowiek, rozporządzający takimi środkami, że ich działanie wydaje mi się prawie cudowne, nie może być znaleziony, jeśli na to nie pozwoli.

Ta niewidzialna opieka, przypominająca ciągle kolonistom, że sami sobie nie mogą wystarczyć, wzruszała, ale zarazem drażniła inżyniera. Dobrodziejstwa, świadczące z wi-

doczną chęcią uwolnienia się od wszelkich oznak wdzięczności, zdawały się dowodzić pewnego lekceważenia, i to właśnie w oczach Cyrusa zmniejszało cenę doznanych dobrodziejstw.

— Tak, szukajmy — powtórzył — i daj Boże, abyśmy mogli dowieść naszemu dumnemu opiekunowi, że nie zobowiązywał niewdzięcznych! Dałbym wiele, bardzo wiele za to, abyśmy mogli spłacić mu kiedyś dług wdzięczności, choćby kosztem największych ofiar.

W kilka minut później koloniści wrócili do domku, gdzie Ayrton, otoczony troskliwą opieką, odzyskał prędko zdrowie i siły. Nab i Penkroff wykopali głęboki dół w lesie i pochowali w nim zwłoki zbrodniarzy.

Cyrus Smith opowiedział Ayrtonowi wszystkie przygody i cierpienia, których doznali w ciągu jego nieobecności, i dodał, skończywszy opowiadanie:

— Teraz pozostaje nam jeszcze jeden obowiązek do spełnienia. Nie potrzebujemy się już obawiać sąsiedztwa zbrodniarzy, ale nie uwolniliśmy się od nich własnymi siłami.

— A więc — odpowiedział Spilett — przebiegnijmy cały labirynt gór i wąwozów około góry Franklina, przetrzasknijmy wszystkie jaskinie, wydrążenia i zakręty tak, aby nic nie uszło naszej uwagi:

— I nie wracajmy do Granitowego Pałacu — dodał Harbert — dopóki nie znajdziemy naszego dobroczyńcy!

— Tak — rzekł inżynier — zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy... ale powtarzam, nie znajdziemy go, dopóki na to nie pozwoli.

— Czy pozostaniemy nadal w oczarni? — zapytał Penkroff.

— Tak — odpowiedział Cyrus — mamy tu pod dostatkiem żywności i jesteśmy w środkowym punkcie tej części wyspy, którą pragniemy poznać.

— Dobrze — odrzekł marynarz — ale muszę zrobić jedną uwagę.

— Jaką?

— Mamy właśnie najpiękniejszą porę roku i nie powinniśmy zapominać, że nas czeka podróż morska.

— Podróż? — rzekł Gedeon Spilett.

— Tak, do wyspy Tabor. Wszakże musimy zostawić tam zawiadomienie, wskazujące położenie wyspy Lincolna, na

której Ayrton znajduje się obecnie, aby jacht szkocki wiedział, gdzie go szukać. Kto wie nawet, czy już nie będzie za późno.

— Ale, Penkroffie — zapytał Ayrton — na czymże puścisz się w tę podróż?

— Na „Bonawenturze“, ma się rozumieć.

— Na „Bonawenturze“! — zawołał Ayrton. — Nie ma go już, niestety!

— Co! Nie ma już mego „Bonawentury“! — krzyknął Penkroff, podskakując w górę.

— Tak — odpowiedział Ayrton. — Osiem dni temu rozbójnicy spostrzegli go w porcie, wypuścili na morze i...

— I? — powtórzył Penkroff błady i drżący.

— I statek, nie mający sternika, rozbił się o skały.

— A podli niegodziwcy! Nikczemni zbroje! — krzyknął zrozpaczony Penkroff.

— Penkroffie! — rzekł Harbert — zbudujemy nowy statek, daleko większy i nazwiemy go „Bonawenturą“. Wszak mamy teraz tyle żelaza i różnych szczątków z brygu.

— Ale czy wiesz o tym, że na zbudowanie statku o trzydziestu lub czterdziestu beczkach potrzeba blisko sześć miesięcy czasu?

— Cóż robić, Penkroffie — rzekł inżynier — musimy odłożyć naszą podróż aż do przyszłego roku. Może to opóźnienie nie przyniesie nam szkody.

— Ach! mój „Bonawentura“! mój biedny „Bonawentura“! — powtarzał Penkroff, strapiony utratą statku, którym się tak chlubił i który kosztował go tyle pracy!

Aby go pocieszyć i wynagrodzić sobie poniesioną stratę, koloniści postanowili zająć się wkrótce zbudowaniem nowego statku; teraz zaś zajęli się głównie wycieczką w góry.

Poszukiwania, rozpoczęte tego samego dnia, trwały cały tydzień. Poprzeczne pasma gór, rozchodzące się od góry Franklina, wraz z licznymi rozgałęzieniami, tworzyły prawdziwy labirynt dolin, wąwozów i parowców. Kto wie, czy w głębi tych wąwozów nie ukrywał się właśnie ten, którego zamierzali szukać? W żadnej innej części wyspy nie można było ukryć się tak dobrze, jak wśród tych gór, zarośli i wąwozów?

Zwiedzali naprzód dolinę, ciągnącą się na południe od wulkanu, z której wypływa rzeka Spadku; tam Ayrton pokazał im jaskinię, do której schronili się zbrodniarze i w któ-

rej sam tyle przecierpiał. Jaskinia była zupełnie w tym stanie, w jakim ją Ayrton zostawił; znaleźli w niej jeszcze proch, kule i żywność, które złoczyńcy złożyli tam na zapas. Dolinę osłaniały pyszne drzewa, przeważnie iglaste. Następnie zapuścili się w ciasny wąwóz, doprowadzający do znanego im wybrzeża, na którym bazaltowe skały układały się w tak malownicze grupy. Tu drzewa były rzadsze, głązy zastępowały murawę; dzikie kozy i muflony pięły się po skałach; odtąd rozpoczynała się dzika i jałowa część wyspy. Z dolin, rozchodzących się u stóp góry Franklina, trzy tylko były równe, żyzne i zarosłe bujną roślinnością, jak ta, wśród której zbudowano owczarnię, ale te trzy doliny koloniści zwiedzili już dawniej i nie znaleźli tam nic, co by pozwalało wnosić, że ktoś na jednej obrał sobie mieszkanie. Czyżby więc nieznany ich opiekun przebywał w głębi niedostępnego wąwozu, wśród złomów skał, lub zastygłych potoków lawy?...

Z północnej strony rozchodziły się od podstawy góry Franklina dwie szerokie doliny, pozbawione wszelkiej roślinności, zasiane głazami, zabrukowane lawą. Ta część była najtrudniejszą do poznania. Koloniści spotykali tam mnóstwo jaskiń, wprawdzie małych, niewygodnych, ale doskonale ukrytych, zagłębiali się nawet wewnątrz wulkanicznej góry, przez długie tunele; przebiegali je z łuczywem w ręku, zatrzymując się przy każdym, choćby najmniejszym zagłębieniu i znajdowali tylko ciemność i ciszę. Znać było, że kroki ludzkie nie rozlegały się jeszcze pod tymi odwiecznymi sklepieniami, że nigdy ręka człowieka nie poruszyła z miejsca żadnego z leżących tam głazów; leżały tam, gdzie upadły, kiedy wyspa, wskutek działania wulkanu, wynurzyła się z głębi morza.

Pomimo, że wszystkie tunele były zupełnie puste i ciemne, to jednak Cyrus Smith przekonał się, że nie panowała w nich bezwzględna cisza. Kiedy doszedł do końca jednego z nich, zagłębiającego się na kilkaset stóp wewnątrz góry, usłyszał łoskot, podobny do huku grzmotów. Towarzyszący mu Gedeon Spilett zwrócił także uwagę na to groźne warczenie, dowodzące, że wulkan budzi się z długiego spoczynku.

— Widać, że wulkan nie wygaśł zupełnie — rzekł reporter do Cyrusa.

— Być może, iż po naszym spuszczeniu się wewnątrz czeluści wulkanu ogień rozpoczął na nowo swą nurtującą

pracę w niższych pokładach ziemi — odpowiedział inżynier.

— Czy wyspie Lincolna nie groziłoby niebezpieczeństwo w razie wybuchu wulkanu? — zapytał reporter.

— Nie sądzę — rzekł Cyrus. — Krater jest to kłapa bezpieczeństwa, istnieje dotąd, a więc para i lawa mogłyby odpływać nim jak dawniej.

— W każdym razie potoki lawy mogą zalać urodzajne części wyspy.

— Dlaczegoż, kochany Gedeonie, nie miałyby popłynąć raz już uutorowaną drogą? Zwróć na to uwagę, że pochylenie góry Franklina ułatwia wylew materii wulkanicznych właśnie ku stronie tych dolin, które zwiedzamy obecnie. Tylko w razie, gdyby trzęsienie ziemi zmieniło środek ciężkości góry, lawa potoczyłaby się w innym kierunku.

— Ale właśnie w takich warunkach można zawsze obawiać się trzęsienia ziemi — rzekł Gedeon Spilett.

— Tak, zawsze, zwłaszcza jeżeli wulkan w ciągu długiej bezczynności zatkał się masami mineralnymi a, przebudziwszy się, usiłuje je przerwać. Dlatego też, kochany Gedeonie, powinniśmy życzyć sobie, aby wulkan nie budził się z uspienia. My jednak nie zdołamy zapobiec temu, a zresztą nie sądzę, aby Granitowemu Pałacowi groziło niebezpieczeństwo.

— Dotąd — rzekł Spilett — nad wierzchołkiem krateru nie unosi się jeszcze dym, wskazujący, że wybuch może wkrótce nastąpić.

— Tak — odpowiedział Cyrus Smith — dotąd nie widzę tam ani dymu, ani pary, ale nie wykluczone, iż przez długie lata spoczynku dolną część czeluści zawalił popiół, stwardniała lawa i odłamy skał, lecz przy silnym działaniu wulkan przebije te zapory. Wszakże powtarzam, lepiej byłoby dla nas, gdyby do tego nie doszło.

— Jednak jest to bardzo prawdopodobne — rzekł reporter. — Już ten sam huk dowodzi, że wewnątrz wulkanu rozpoczęła się praca, której ostatecznych skutków nie podobna obliczyć.

Cyrus i Gedeon zawiadomili towarzyszy o swych spostrzeżeniach.

— Masz tobie — zawołał Penkroff. — Teraz znów wulkan chciałby nam splatać figła! Ale niech tylko spróbuje! Znajdzie się ktoś, kto na to nie pozwoli.

— Kto taki?

— Nasz duch opiekuńczy! Potrafi on mu zakneblować paszczę, jeżeli ją zbyt szeroko zechce otworzyć.

Od 19 do 25 lutego koloniści przeszukiwali północną część wyspy. Chociaż zwiedzili każdy zakątek, chociaż weszli z tej strony, aż na wierzchołek góry Franklina, chociaż następnie spuścili się nawet do krateru, — nie znaleźli nic i nikogo!

Koloniści, rozdrażnieni bezskuteczną stratą czasu, nie chcieli już przedłużać poszukiwań.

Wieczorem 25 lutego wrócili do Granitowego Pałacu, a w miesiąc później, 25 marca, obchodzili trzecią rocznicę przybycia na wyspę Lincolna.

ROZDZIAŁ LVI.

Trzy lata! — Sprawa odpląnięcia. — Rozwiązanie. — Rozwój kolonii. — Rozpoczęcie budowy. — Zimna. — Penkroff zrezygnowany. — Góra Franklina.

Trzy lata upłynęły od chwili ucieczki więźniów z Richmondu, a ileż to razy przez ten czas rozmawiali o drogiej rodzinnej ziemi, jakże często przenosili się do niej myślą!

Nie wątpili, że wojna domowa była już skończona; zdawało się niepodobieństwem, aby Północ, broniąca dobrej sprawy, mogła być zwyciężona. Ale ile krwi kosztowała ta straszna wojna, kto z ich krewnych i przyjaciół poległ w tej walce? Tego domyśleć się nie mogli, równie jak nie mogli przewidzieć, kiedy znów staną na ojczystej ziemi. Najgorętszym ich pragnieniem było wrócić do niej, choćby na krótki czas, nawiązać stałe stosunki między ojczyzną i wyspą, potem przepędzić najdłuższą, może najszczęśliwszą część życia w tej założonej przez siebie kolonii, która wtenczas byłaby już zaliczona do posiadłości amerykańskich. Ale czy to pragnienie będzie kiedy spełnione, czy nie należy zaliczyć go do niepodobnych do urzeczywistnienia marzeń?

Bynajmniej; życzenia te mogły być ziszczone w razie, gdyby jakiś okręt ukazał się na wodach wyspy Lincolna lub gdyby oni sami zbudowali statek dość mocny, aby w nim można było puścić się w tak daleką podróż.

— Kto wie — mówił nieraz Penkroff — czy nasz duch opiekuńczy nie ułatwi nam także powrotu do ojczyzny?

Rzeczywiście, nie zdziwiłoby to wcale Naba i Penkroffa, gdyby kto im powiedział, że w zatoce Rekina lub w porcie Balonu czeka na nich okręt o trzystu beczkach. Teraz wszystko już wydawało im się prawdopodobne. Cyrus Smith, nie dzielający ich ślepego zaufania, radził, aby z krainy marzeń zeszedli w dziedzinę rzeczywistości, i pomyśleli o zbudowaniu nowego statku.

— Zdaje mi się — rzekł do Penkroffa — że powinniśmy zbudować statek większych rozmiarów. Nie mamy pewności, że jacht szkocki przyplynie do wyspy Tabor, a mógł także już tam być i odpłynąć, nie znalazłszy Ayrtona. Trzeba więc zbudować statek dość wielki, ażeby mógł nas przewieźć do Nowej Zelandii, lub do innej zamieszkałej ziemi.

— Zdaje mi się, panie Cyrusie, że potrafi pan równie dobrze zbudować statek wielki jak mały; a ponieważ mamy drzewo i potrzebne narzędzia, reszta jest już tylko kwestią czasu.

— Ileż potrzeba miesięcy na zbudowanie statku o dwustu do trzystu beczkach? — zapytał Cyrus.

— Siedem do ośmiu — odpowiedział marynarz. — Ale zima nadchodzi, trzeba pamiętać, że drzewo w ciężkie mrozy trudniej daje się obrabiać; musielibyśmy więc na kilka tygodni zawiesić roboty. Cieszyłbym się, gdyby statek mógł być skończony w początku listopada.

— Byłaby to najwłaściwsza pora do podróży, czy to na wyspę Tabor, czy też do odleglejszej ziemi — rzekł inżynier.

— Rzeczywiście, panie Cyrusie. Proszę zrobić tylko plan, robotnicy są gotowi. Wszakże obecnie będziemy mieli w Ayrtonie dzielnego pomocnika.

Cyrus Smith zajął się więc zrobieniem planu i modelu statku, gdy tymczasem towarzysze jego ścinałi i zwozili pyszne dęby i wiązy z lasu Dalekiego Zachodu. Trzeba było śpieszyć się z obróbką drzewa, aby miało czas wyschnąć dostatecznie; dlatego też cieśle pracowali gorliwie przez cały kwiecień, w ciągu którego, szczęściem dla nich, tylko kilka razy silniejsze panowały wichry. Jow pomagał im bardzo, wkładając wraz z nimi na wóz pnie, które po obrobieniu układano w szopie, zbudowanej przy Kominach.

Kwiecień był piękny, toteż pracowali tak gorliwie, tak umieli korzystać z każdej chwili czasu, że wkrótce na płasz-

czyźnie Pięknego Widoku stanęły nowe, obszerniejsze jeszcze od spalonych, budynki. W stajni stało już pięć onag: jedna mała, a cztery tak dobrze ujeżdżone, że mogły służyć pod wierzch i do zaprzęgu. Drobiu była już znaczna ilość. Koloniści rozdzielali między siebie robotę. Przez cały dzień pracowali pilnie; ale za to cieszyli się czerstwym zdrowiem i bardzo wesoło przepędzali wieczory, gdy zgromadzeni razem snuli tysiączne projekty na przyszłość! Jeden tylko Ayrton był zawsze smutny i milczący, pomimo że był pracowitym, silnym, zręcznym i zdolnym robotnikiem.

Do owczarni udawał się co dwa dni jeden z kolonistów, zaopatrywał w paszę kozy i muflony a, wracając, przywoził mleko. Najczęściej jednak wycieczki te odbywał Harbert lub Gedeon Spilett, zabierając z sobą strzelbę i Topa.

Ma się rozumieć, że telegraficzną komunikację przywrócono między owczarnią i Granitowym Pałacem, aby w razie potrzeby koloniści mogli porozumiewać się, chociaż obecnie nie można się było obawiać napaści, przynajmniej ze strony ludzi.

Koloniści zwracali też codziennie lunetę na morze; dotąd nie dostrzegli nic zatrważającego, ale ostrożność była konieczna. Z tego powodu inżynier powziął myśl ufortyfikowania owczarni, to jest miał zamiar podwyższyć palisadę i zbudować rodzaj baszty, w której w danym razie mogliby bronić się przeciwko napastnikom. Wykonanie tej pracy odłożono do przyszłej wiosny.

W ostatnich dniach maja zrobiło się brzydko; od wschodu wiał wicher z gwałtownością huraganu. Inżynier lękał się, aby nie przewrócił szopy, pod którą złożone było obrobione drzewo; szczęściem jednak, nie ziściły się jego obawy.

Penkroff i Ayrton pracowali gorliwie koło budowy statku, nie zważając na wichry i deszcze, ale kiedy nastały silne mrozy, drzewo tak stwardniało, że trudno je było obrabiać i 10 czerwca trzeba było zawiesić roboty.

Zimy na wyspie Lincolna były tak mroźne, jak w Stanach Nowej Anglii, leżących w równiej mniej więcej odległości od równika. Ale jeżeli na półkuli północnej, a przynajmniej w północnej części Stanów Zjednoczonych, można było tłumaczyć to sobie płaskością obszarów, przytykających do bieguna, gdzie góry nie stawiają zapory północnym wiatrom, to tłumaczenie takie nie dało się zastosować do wyspy Lincolna.

— Zauważono nawet — rzekł pewnego dnia Cyrus — że wyspy i okolice nadmorskie nie miewają zim tak mroźnych, jak lądy, leżące pod tą samą szerokością geograficzną, lecz oddalone od morza. Fakt ten tłumaczy się tym, że w zimie morze wydaje z siebie ciepło, które pochłonęło w lecie.

— Dlaczegożby w takim razie — zapytał Harbert — wyspa Lincolna miała stanowić wyjątek.

— Trudno odpowiedzieć — rzekł inżynier. — Zdaje mi się jednak, że trzeba to przypisać położeniu naszej wyspy na półkuli południowej, gdzie, jak wiesz, mrozy są silniejsze niż na północnej.

— Tak — rzekł Harbert — nawet góry lodowe są mniejsze na Oceanie Lodowatym Północnym, graniczącym ze Spokojnym.

— To prawda — rzekł Penkroff. — W owym czasie, gdy trudniłem się jeszcze połowem wielorybów, spotykałem takie góry lodowe aż naprzeciwko przylądka Horn.

— W takim razie można by wytłumaczyć sobie ostre zimy na wyspie Lincolna obecnością pływających lodów w niewielkiej stosunkowo odległości — powiedział Spilett.

— Jest to bardzo prawdopodobne — odrzekł Cyrus — ale pamiętać trzeba, że południe już przez to samo jest zimniejsze od północy, że słońce jest więcej do niej zbliżone w lecie, a zatem więcej oddalone w zimie.

— Ale dlaczegoż to, panie Smith — zapytał Penkroff — nasza półkula miałaby być tak pokrzywdzona? Byłby to podział niesprawiedliwy.

— Przyjacielu Penkroffie — rzekł inżynier, śmiejąc się — czy to sprawiedliwie, czy nie, nic na to nie poradzimy, a przyczyna tego podziału jest następująca. Ziemia nie opisuje około słońca koła, lecz elipsę. Jedno ognisko tej elipsy zajmuje słońce i w pewnym okresie swego obiegu dochodzi ziemia do punktu największej swej odległości od słońca, zwanego punktem o d s ł o n e c z n y m, a w innej epoce do punktu, w którym jest najmniej oddalona od słońca, i wtenczas znajduje się w punkcie p r z y s ł o n e c z n y m. Otóż ziemia znajduje się właśnie w punkcie odslonecznym wówczas, kiedy na półkuli południowej przypada zima, przez co w tych strefach muszą panować silniejsze mrozy. Zapobiec temu nie podobna, Penkroffie, i ludzie choćby najbardziej uczeni nie potrafią w niczym zmienić porządku, zaprowadzonego przez samego Stwórcę wszechrzeczy.

— A jednak — rzekł Penkroff — ludzie są tak uczeni, umieją tak wiele! Jakąż to ogromną księgę można by napisać o tym, co już znane i wiadome!

— Prawda, lecz większą jeszcze o tym, co nieznanne i niewiadome — odpowiedział Cyrus Smith.

W czerwcu mrozy były tak silne, że koloniści rzadko kiedy mogli wychodzić z Granitowego Pałacu. Przymusowe to zamknięcie przykrzyło się wszystkim, ale może najwięcej Gedeonowi Spilettowi.

— Wiesz co, Nabie — rzekł pewnego dnia — zrzekłbym się chętnie na twoją korzyść, i to aktem notarialnym, wszystkich sukcesyj, jakie mogą kiedyś spaść na mnie, gdybyś mi za to gdziekolwiek i jakkolwiek zaprenumerował gazetę. Dla mego szczęścia trzeba koniecznie, abym codziennie rano mógł wiedzieć, co się działo poza granicami naszej wyspy.

— Ja zaś — odpowiedział Nab, śmiejąc się — nie mam czasu myśleć o czym innym, jak o codziennej robocie.

Rzeczywiście, tak w domu jak poza domem nie brakowało nikomu zajęcia.

Przez całą zimę mrozy były silne; nie dały się jednak uczuć dotkliwie kolonistom, którzy przygotowali sobie wczasu tak znaczną ilość drzewa i węgla kamiennego, że mogli utrzymywać ciągle na kominach duży ogień. Jeden tylko Jow był tak niewytrzymały na zimno, że trzeba mu było sporządzić ciepły szlafrok, podszyty wełną z muflonów.

Upłynęło już siedem miesięcy od czasu ostatnich poszukiwań około góry Franklina, a opiekuńczy geniusz wyspy nie zdradził niczym swej obecności, może dlatego, że koloniści nie potrzebowali obecnie jego pomocy; w każdym jednak razie inżynier zwrócił na to uwagę, że przez ten czas Top i Jow ani razu nie zbliżyli się do studni z oznaką niepokoju, jak to czynili dawniej. Czy wypadało, z tego wnosić, że wszelkie stosunki między nimi i tą tajemniczą istotą zostały na zawsze zerwane? Czy już nigdy nie znajdą sposobności rozwiązania tej dziwnej zagadki?

*Wreszcie skończyła się zima, i zaraz w pierwszych dniach wiosny zdarzył się fakt, mogący mieć ważne następstwa. Dnia siódmego września Cyrus Smith ujrzał dym, unoszący się nad kraterem góry Franklina.

ROZDZIAŁ LVII.

Wulkan. — Przyjazna pora. — Prace. — Wieczór 15 października. — Depesza. — Odpowiedź. — Wyprawa do zagrody. — Kartka. — Drut dodany. — Przyptyw i odpływ morza. — Pieczara. — Oślepiające światło.

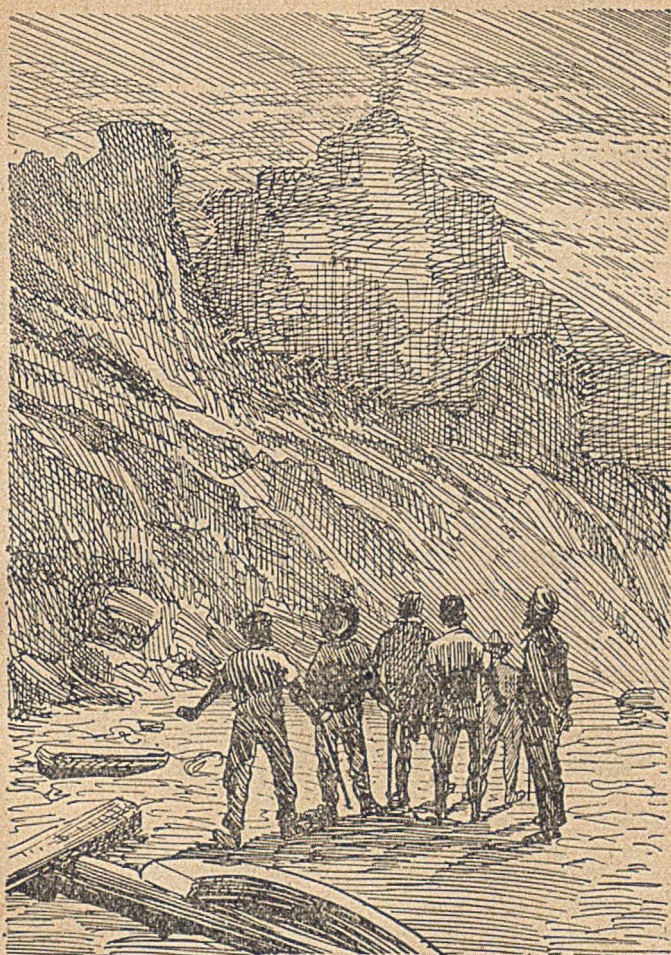
Porzucili rozpoczęte prace i długo w milczeniu spoglądali na wierzchołek góry. A więc wulkan przebudził się; wyziewy przebiły masy mineralne, nagromadzone w głębi krateru! Nie można jednak było przewidzieć, czy ogień wewnętrzny spowoduje gwałtowny wybuch.

Wprawdzie, nawet w razie silnego wybuchu, niebezpieczeństwo nie zagrażałoby prawdopodobnie całej wyspie Lincoln, gdyż nieraz już była wystawiana na podobne próby, jak tego dowodziły potoki zastygłej lawy, pokrywające stoki od północnej strony.

Wszakże przeszłość nie stanowiła jeszcze zupełnej rękojmi na przyszłość; często na szczycie wulkanów zamykają się dawne kratery, a na ich miejsce otwierają się nowe; dowodem tego jest Etna, Popocatepetl i Orizaba; a w przeddzień wybuchu wszystkiego można się obawiać. Dostyć trzęsienia ziemi, towarzyszącego często wybuchom wulkanicznym, aby wewnętrzny ustrój góry uległ zmianom i lawa utworzyła sobie nowe drogi. Odtąd nad szczytem góry ciągle już unosił się dym, coraz gęstszy, lecz płomień jeszcze się nie pokazywał; ogień ześrodkował się dotąd w niższej części czeluści.

Z wiosną rozpoczęły się zwykle prace poza domem, krzątano się pilnie około budowy statku. Cyrus Smith, dla przyspieszenia roboty, zbudował tartak wodny, którego mechanizm był tak prosty, jak w wiejskich tartakach w Norwegii. Przyrząd cały składał się z jednego koła, dwóch walców i bloków, odpowiednio ustawionych; koło, obracając się, poruszało jednocześnie piłę i podsuwało pod nią kłocę drzewa. Przy końcu września stał już na warsztacie szkielec statku, oklepkowanie było prawie skończone, ale pomimo to zupełne wykończenie wymagało jeszcze znacznego czasu.

Zniwa zajęły kolonistom kilka dni, poczem pracowali znów gorliwie i bez przestanku nad budową statku. Ażeby nie tracić czasu, zmienili nawet godzinę obiadu: po lekkim śniadaniu w południe jadali obiad po zachodzie i wkrótce potem udawali się na spoczynek, jeżeli zajmująca rozmowa nie zatrzymała ich dłużej w wielkiej sali Granitowego Pałacu.



*Porzucili rozpoczęte prace i długo w milczeniu spoglądali
na mierzchołek góry (str. 348).*

Zwykle rozmawiali o przyszłości, o zmianach, jakie znajdą w ich położeniu, gdy po ukończeniu statku popłyną do najbliższej, zamieszkałej ziemi. Chociaż tworzyli tysiące projektów, nie opuszczała ich nigdy myśl powrotu na wy-

spę Lincolna. Penkroff i Nab pragnęli zakończyć na niej życie.

— Harbercie — mówił marynarz — wszak nigdy nie opuścisz wyspy?

— Nigdy, Penkroffie, zwłaszcza, jeżeli ty na niej pozostaniesz.

— To nie ulega wątpliwości, mój chłopcze, będę tu czekał na ciebie! Przywieziesz z sobą żonę, a ja będę piastował, pieścił i psuł twoje dzieci.

— Zgadzam się na to — odpowiedział Harbert, śmiejąc się serdecznie.

— Pan zaś, panie Cyrusie — mówił dalej Penkroff — będzie gubernatorem naszej wyspy! Ale! ale! ile też ona mogłaby wyżywić mieszkańców? Ja myślę, że najmniej dziesięć tysięcy!

Ayrton słuchał w milczeniu, głównym jego życzeniem było zobaczyć lorda Glenarvana i stanąć przed nim, jako oczyszczony żalem i pokutą, uszlachetniony pracą i poświęceniem dla dobra swych dobroczyńców i towarzyszy.

Piętnastego października rozmowa przedłużyła się do dziewiątej wieczorem, aż wreszcie Penkroff znużony całodzienną pracą, przypomniał, że czas udać się na spoczynek. Wstał już, aby odejść do swego pokoju, gdy nagle odezwał się dzwonek przy telegrafii.

Kto mógł dawać sygnał? Nie było nikogo w owczarni.

Cyrus Smith zerwał się z krzesła; inni spoglądali na siebie, niepewni, czy im się nie przywidziało.

— Co to ma znaczyć? — zawołał Nab. — Może to diabeł zadzwonił?

Nikt mu nie odpowiedział.

— Mamy dziś burzę — odezwał się Harbert. — Może wpływ elektryczności...

Nie dokończył zdania, gdyż inżynier, na którego wszyscy zwrócili oczy, wstrząsnął przecząco głową.

— Czekajmy — rzekł Gedeon Spilett. — Jeżeli kto daje sygnał, to ponowi go z pewnością.

— Ale któż mógłby dawać sygnał? — zapytał Nab.

— Kto? — odpowiedział marynarz — ten, który...

Powtórny odgłos dzwonka przerwał odpowiedź Penkroffa.

Cyrus Smith zbliżył się do przyrządu telegraficznego i przesłał do owczarni następujące pytanie:

„Czego żądasz?”

W kilka minut później poruszyła się wskazówka na tarczy z alfabetem, i Cyrus wyczytał następującą odpowiedź:

„Przybywajcie jak najspieszniej do owczarni“.

— Nareszcie! — zawołał Cyrus.

Tak, wreszcie miała być odkryta tajemnica! Zapomnieli o znużeniu i potrzebie spoczynku i w jednej chwili wyszli z Granitowego Pałacu, pozostawiając w nim tylko Topa i Jowa.

Noc była ciemna. Wszakże najgłębsza nawet ciemność nie mogła powstrzymać kolonistów, znających dobrze drogę do owczarni. Przejęci żywym wzruszeniem, szli śpiesznie. Nie powątpiewali ani na chwilę, że niepojęta zagadka będzie na koniec rozwiązana, że poznają tę tajemniczą istotę, wywierającą na ich życie wpływ tak dobroczynny i posiadającą tak potężne i niezwykle środki działania, która zresztą, choć dla nich niewidzialna, musiała często przebywać obok nich, znać ich potrzeby i zamiary, słyszeć ich rozmowy, skoro mogła w porę przybywać im z pomocą.

Zajęci tymi myślami, mimowoli przyśpieszyli kroku. Pod sklepieniem* drzew tak było ciemno, że o parę stóp przed sobą nie mogli nic dojrzeć: w lesie panowała głęboka cisza; zwierzęta i ptaki, przeczuwające nadchodzącą burzę, kryły się w gęstwinie, milczące i nieruchome; najłżejszy powiew wiatru nie poruszał listkami, tylko odgłos kroków przerywał ciszę. Przez całą drogę raz jeden Penkroff przerwał ogólne milczenie.

— Szkoda — rzekł — że nie wzięliśmy z sobą latarni.

— Znajdziemy ją w domku Ayrtona — odpowiedział inżynier.

Burza mogła wybuchnąć lada chwila. Coraz jaskrawsze, coraz gęstsze błyskawice oślepiały ich prawie; huk grzmotów rozlegał się coraz bliżej; powietrze było ciężkie, duszne.

Jednak szli dalej i dalej, jakby popychani nieprzepartą siłą, aż na koniec przy świetle błyskawicy dojrzeliby owczarnię. Zanim przeskoczyli bramę, gwałtowny huk grzmotu rozległ się nad wyspą.

Stanęli przed domkiem Ayrtona. Zdawało się, że powiniby zastać tam nieznanego, skoro stąd właśnie przysłał do nich telegram, a jednak nie było widać światła.

Inżynier zapukał do drzwi. Nikt się nie odzywał. Otworzył drzwi, weszli. Nab skrzesał ognia i zapalił latarnię. Nie znaleźli nikogo...

— Czy ulegliśmy złudzeniu? — pomyślał każdy. — Ależ nie, to być nie może, inżynier przeczytał wyraźnie: „Przybywajcie śpiesznie do owczarni!“

Zbliżono się do przyrzędu telegraficznego; wszystko było w porządku.

— Kto tu był ostatni? — zapytał inżynier.

— Ja, panie Smith — odpowiedział Ayrton.

— Jak dawno?

— Cztery dni temu.

— A! jakaś karteczka! — zawołał Harbert, wskazując papier, leżący na stoliku.

Na tej kartce papieru napisane były po angielsku następujące wyrazy:

„Nowozałożony drut będzie wam służył za przewodnika“.

— W drogę! — zawołał Cyrus, który domyślił się, że depesza nie wyszła z owczarni, lecz z tajemniczego schronienia, połączonego wprost z Granitowym Pałacem za pomocą świeżo dodanego drutu.

Nab wziął latarnię i wszyscy wyszli z owczarni. Burza srożyła się; błyskawice, pioruny i grzmoty coraz częściej następowały po sobie: przy świetle błyskawic można było widzieć kłęby dymu, wydobywające się z czeluści wulkanu.

Na dziedzińcu przed domem nie było dodatkowego drutu, lecz, gdy inżynier zbliżył się do pierwszego słupa za bramą, spostrzegł przy świetle błyskawicy nowy drut, spuszczający się do ziemi.

— Oto jest! — zawołał.

Drut ciągnął się po ziemi.

— Chodźmy, dokąd nas ten drut zaprowadzi — rzekł Cyrus. — Przy świetle latarni i błyskawic nie stracimy go z oczu.

Huk grzmotów rozlegał się bez ustanku tak, że ogłuszał prawie. Inżynier sądził, że drut zaprowadzi ich w głąb doliny i że tam znajdą schronienie nieznanego. Omylił się. Musieli zwrócić się na południowy zachód i przedrzeć się między górami na jałową płaszczyznę, przy końcu której wznosiły się wyżej opisane kolumny bazaltowe, ugrupowane tak malowniczo. Koloniści nie powątpiewali już teraz, że drut doprowadzi ich do brzegu morza i że tam w jaskini ukrywa się ten, którego tak długo na próżno szukali.

Całe sklepienie niebios było w ogniu, błyskawice nie ustawały ani na chwilę, pioruny uderzyły kilka razy w szczyt

wulkanu i wpadły do jego czeluści: niekiedy można było sądzić, że z krateru buchają płomienie.

Kiedy stanęli na znacznie wzniesionym z tej strony wybrzeżu wyspy, zerwał się silny wichur i do huku grzmotów przyłączył się huk rozbijających się o skały bałwanów. W tym miejscu drut zakręcał pomiędzy skały i spuszczał się stromo na dół wąwozu. Była to niebezpieczna droga, jednak puścili się nią. Jakaś nieprzeparta siła przyciągała ich do tajemniczego celu podróży, jak magnes przyciąga żelazo.

Nareszcie drut zakręcił się nagle i poprowadził ich wzdłuż bazaltowej ściany, ciągnącej się równolegle do morza. Uszedłszy zaledwie sto kroków po łagodnej pochyłości, stanęli nad brzegiem oceanu. Inżynier posunął ręką po drucie i przekonał się, że był zanurzony w morzu.

Z ust zdumionych kolonistów wydobył się okrzyk prawie rozpaczliwy. Czyż im wypadnie rzucić się w morze i szukać w nim podmorskiej jaskini? Doszli do tego stopnia rozdrażnienia, że gotowi byli nawet to uczynić.

— Zaczekajmy — rzekł Cyrus Smith. — Teraz jest przypływ morza; znajdziemy drogę przy odpływie.

— Z czegoż to pan wnosi? — zapytał Penkroff.

— Nie przywołałby nas tutaj, gdybyśmy nie mogli dostać się do niego!

Cyrus powiedział to z tak głębokim przekonaniem, że ufność swą przelał w innych. Zresztą uwaga jego była słuszna; trzeba było wnosić, że u stóp bazaltowej ściany znajdowało się wejście do jaskini, widoczne tylko przy odpływie morza.

Koloniści schronili się w zagłębieniu, wykutym w skałę ręką przyrody. Deszcz zaczął już padać, a wkrótce potem zamienił się w gwałtowną ulewę.

O północy Cyrus udał się z latarnią na brzeg morza; odpływ trwał już dwie godziny. Nie omylił się; sklepienie obszernej jaskini zaczęło już ukazywać się nad wodą, a drut, widoczny teraz, nikał w głębi otworu.

Wrócił do towarzyszy i rzekł spokojnie:

— Za godzinę miejsce będzie odsłonięte.

— Więc jest wejście? — zapytał Penkroff.

— Czy wątpieś o tym? — rzekł Cyrus.

— Ale jaskinia będzie zalana wodą do pewnej wysokości — powiedział Harbert.

— Albo woda ustąpi zupełnie z jaskini — rzekł Cyrus —

i będziemy mogli wejść do niej, albo ten, który nas wzywa, obmyślił sposób dostania się do niego.

W godzinę potem już byli nad brzegiem morza, które w przeciągu trzech godzin obniżyło się o piętnaście stóp. Sklepienie, tworzące wejście do jaskini, unosiło się nad wodą przynajmniej na osiem stóp, a spienione fale płynęły pod nim jak pod arkadami mostu. Inżynier, pochyliwszy się naprzód, dostrzegł czarny przedmiot, kołyszący się na falach. Przyciągnął go do siebie; była to łódka, przywiązana do liny, wychodzącej z wnętrza jaskini. Dwa wiosła leżały w niej pod ławkami.

— Siadajmy — rzekł Cyrus.

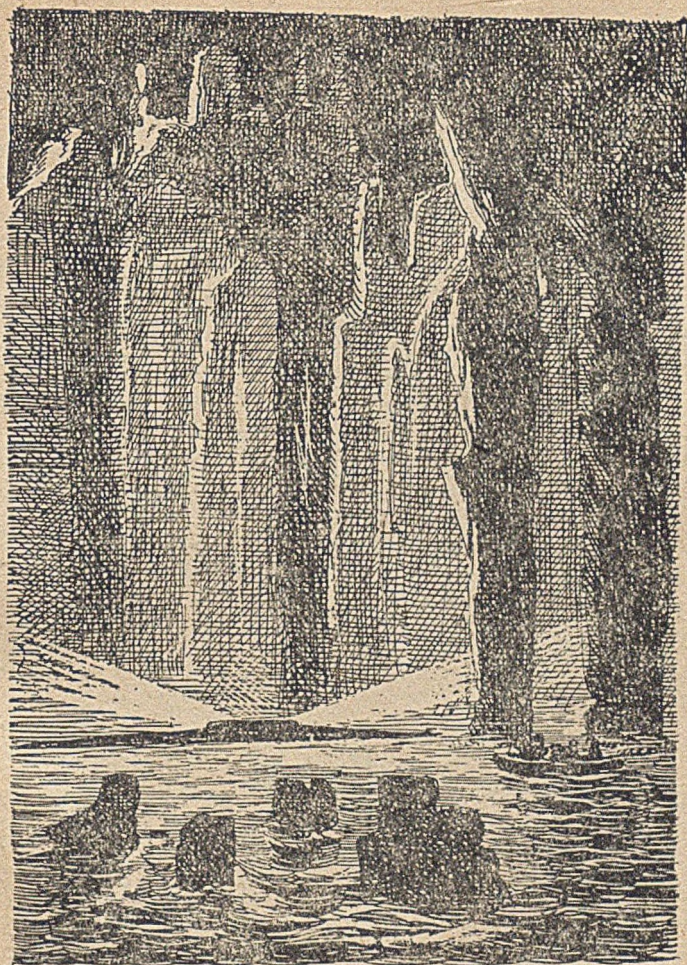
W kilka minut później byli już w łodzi. Nab i Ayrton wzięli wiosła; Penkroff stanął przy sterze, Cyrus zajął miejsce na przodzie z latarnią w ręku. Sklepienie, dość niskie z początku — wznosiło się dalej raptownie, lecz światło latarni było za słabe i nie pozwoliło rozpoznać rozległości i wysokości jaskini, w której wnętrzu panowała uroczysta cisza; nawet huk grzmotów nie zdołał zakłócić spokoju.

We wszystkich częściach ziemi znajdują się ogromne jaskinie; jedne zalane są falami morskimi, inne, zawierają jeziora, jak grota Fingla na wyspie Staffa, groty Morgat w zatoce Douarnezes w Bretanii, groty Bonifacio na Korsyce, Lyce Fiord w Norwegii, ogromna jaskinia Mamuta w Kentucky, wysoka na pięćset, a długa na dwadzieścia tysięcy stóp!

Płynęli już pół godziny wewnątrz jaskini w kierunku wskazanym Penkroffowi przez inżyniera, baczącego, aby nie oddalić się od drutu, wskazującego im drogę, gdy Cyrus zawołał:

— Zatrzymajmy się!...

Łódź stanęła. Kolonistów olśnił blask światła, oświetlający ogromną pieczarę, której istnienia nie domyślali się nawet. O sto najmniej stóp nad ich głowami zaokrąglano się sklepienie, wsparte na kolumnach bazaltowych. Kolumny te proste, jednolite, stały szeregami w równych prawie odstępach i odbijały się w wodzie zupełnie tu spokojnej, pomimo wichru i burzy, srożącej się poza obrębem jaskini. Promienie światła wdzierały się w każde choćby najmniejsze zagłębienie, zatrzymywały się na najłżejszych nawet wypukłościach, łamały się w różnych kierunkach, jak gdyby sklepienie i ściany wysadzone były drogami kamieniami; wszystko to odbijało się w wodzie, i łódka zdawała się kołysać między dwoma ognistymi smugami.



Od razu można było odgadnąć, z jakiego ogniska rozchodzą się te jasne promienie, oświetlające jaskinię (str. 355).

Od razu można było odgadnąć, z jakiego ogniska rozchodzą się te jasne promienie, oświetlające jaskinię; tylko światło elektryczne mogło być tak żywe i białe.

Na znak dany przez Cyrusa wiosła uderzyły o wodę,

a rozpryskujące się jej kropelki błyszcząły jak diamenty. Łódka zaczęła się zbliżać do ogniska i wkrótce już tylko kilkadziesiąt sążni oddzielało ją od niego.

W tym miejscu woda zalewała przestrzeń, mającą około trzystu pięćdziesięciu stóp szerokości, i tworzyła małe jezioro; dalej rozciągała się ściana bazaltowa, zamykająca z tej strony pieczarę, rozszerzoną tu znacznie. Sklepienie, ściany, kolumny silnie oblane były światłem elektrycznym; zdawało się, jakby to światło od nich się rozchodziło. Koloniści dostrzegli unoszący się w środku jeziora przedmiot znacznych rozmiarów, z którego boków wychodziły promienie tak żywe. Przedmiot ten, przypominający kształtem ogromnego wieloryba, był długi na dwieście pięćdziesiąt stóp, a wznosił się nad poziom jeziora na dziesięć lub dwanaście.

Łódź zbliżyła się do niego. Cyrus wstał z ławki i czas jakiś spoglądał na przedmiot z widocznym niepokojem, potem zawołał, schwyciwszy rękę reportera:

— Ależ to on! on z pewnością!...

Usiadł, wymawiając jakieś nazwisko, tak cicho, że tylko Gedeon mógł je usłyszeć. Widocznie reporter znał je dawniej, gdyż uczyniło na nim bardzo silne wrażenie, i odpowiedział stłumionym głosem:

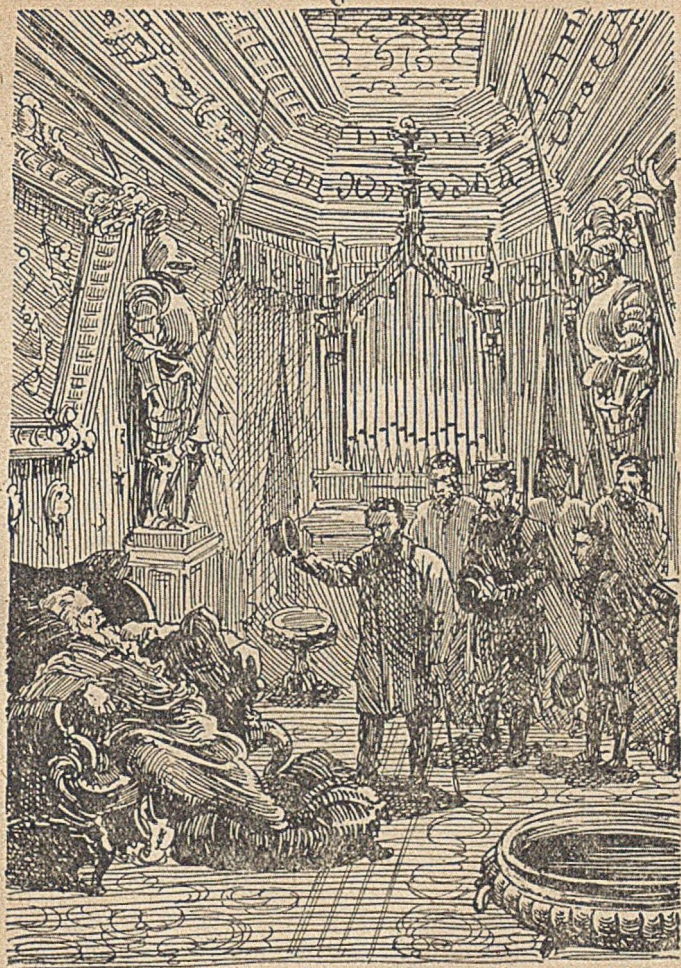
— Czy to być może! On! Człowiek wyjęty spod opieki prawa!

— Tak, to on! — odpowiedział Cyrus.

Na rozkaz inżyniera czółno przybiło do lewego boku tego dziwnego statku. Koloniści weszli na platformę i przez otwartą klapę spuścili się do wnętrza po drabinie. Znaleźli się najpierw w długim oświetlonym korytarzu; w końcu jego znajdowały się drzwi, które Cyrus otworzył.

Przeszli szybko przez wspaniałe urządzonej salę, przytykającą do biblioteki. Inżynier otworzył drzwi, znajdujące się w głębi biblioteki i zdumionym oczom kolonistów przedstawił się obszerny salon, czyli muzeum, gdzie obok prawdziwych skarbów z dziedziny mineralogii, nagromadzone były drogocenne dzieła sztuki i przemysłu. Wszedłszy tam, sądzili, że znajdują się w zaczarowanej krainie.

W jednym rogu salonu, na niskiej sofce, pokrytej bogatym kobiercem, leżał człowiek, który, jak się zdawało, nie dostrzegł ich jeszcze.



Kapitanie Nemo, wezwałeś nas, jesteśmy!... (str. 257).

Cyrus postąpił parę kroków, potem głośno i dobitnie wyrzekł następujące słowa:

— Kapitanie Nemo, wezwałeś nas, jesteśmy!...

ROZDZIAŁ LVIII.

Kapitan Nemo. — Pierwsze wyrazy. — Historia bohatera niepodległości. — Nienawiść do zaborców. — Towarzysze. — Życie pod powierzchnią morza. — Sam jeden. — Ostatnie schronienie „Nautilusa“ przy wyspie Lincolna. — Duch opiekuńczy wyspy.

Człowiek leżący na sofie powstał, i wówczas zobaczyli jego twarz. Piękna to była głowa, czoło wysokie, spojrzenie śmiałe i wyniosłe, broda biała, włosy gęste, w tył odrzucone.

Wsparł się ręką na poduszkach. Widocznie był wycieńczony długą chorobą, lecz głos jego był jeszcze dość silny, gdy odezwał się po angielsku, tonem, wyrażającym głębokie zdziwienie:

— Nie mam żadnego nazwiska.

— Ja znam je od dawna, kapitanie — odpowiedział Cyrus.

Kapitan Nemo spojrział na inżyniera gniewnym wzrokiem; potem wsparł głowę na poduszkach i rzekł cicho, jakby do siebie:

— Mniejsza o to zresztą, gdy chwile mojego życia są już policzone!

Cyrus zbliżył się do kapitana Nemo, Gedcon przystąpił także do niego i wziął go za rękę: była mocno rozpalona. Ayrton, Penkroff, Harbert i Nab zatrzymali się nieco dalej.

Kapitan Nemo wysunął prędko rękę i prosił Cyrusa i Gedcona, aby usiedli. Wszyscy spoglądali na niego z głębokim wzruszeniem. Więc ten, którego nazwali opiekuńczym duchem wyspy, był tuż przed ich oczyma. Zobaczyli na koniec tę tajemniczą istotę, która tyle razy śpieszyła im z pomocą, tego dobroczyńcę, któremu tak wiele zawdzięczali. I ten dobroczyńca, ten potężny opiekun był tylko człowiekiem i to człowiekiem umierającym, gdy Penkroff i Nab przedstawiali go sobie, jako istotę nadludzką. Ale jakim sposobem Cyrus mógł znać kapitana Nemo?...

— Więc znasz nazwisko, które nosiłem niegdyś? — zapytał kapitan, wpatrując się w inżyniera.

— Tak — odpowiedział Cyrus — a prócz tego znam jeszcze nazwisko tego pięknego statku podwodnego.

— „Nautilus“ — rzekł, uśmiechając się kapitan.

— Tak, „Nautilus“...

— Ale czy wiesz... czy wiesz... kim jestem?

— Wiem.

— Wszakże upłynęło już tyle lat od chwili, w której zerwałem stosunki z ludźmi; od tylu lat żyję w głębi morza, w jedynym miejscu, gdzie jeszcze można znaleźć swobodę! Któż mógł zdradzić moją tajemnicę?

— Człowiek, który nie zobowiązał się nigdy, że jej dotrzyma, którego zatem nie można obwiniąć o zdradę.

— Któż taki?

— Pewien Francuz, który dostał się przypadkiem na twój statek, kapitanie.

— Więc człowiek ten nie utonął wraz z dwoma towarzyszami przy brzegach Norwegii?

— Nie, i wydał dziełko pod tytułem „Dwadzieścia tysięcy mil pod morzem“, w którym zamieścił dzieje twego życia, kapitanie.

— Dzieje kilku miesięcy z mojego życia! — odpowiedział żywo kapitan Nemo.

— Tak, ale kilka miesięcy życia tak niezwykle były dostateczne, aby...

— Aby zapewne uznać mnie za wielkiego zbrodniarza, za buntownika, wyjętego spod prawa! Czy tak?

Cyrus milczał.

— Nie odpowiada pan?

— Nie mam prawa wydawać sądu o kapitanie Nemo, zwłaszcza, jeżeli to dotyczy jego przeszłości. Nie wiem, równie jak inni, co mogło go skłonić do prowadzenia tak dziwnego życia, a nie można sądzić o skutkach, nie znając przyczyn, które je wywołały. Wiem tylko, że dobroczynna ręka dopomagała nam od pierwszej chwili naszego pobytu na wyspie, że nas wszystkich uchroniła od śmierci; mógł to uczynić tylko człowiek dobry, szlachetny, a tym dobrym i szlachetnym człowiekiem jesteś ty, kapitanie Nemo.

— Tak, ja — odpowiedział kapitan z prostotą.

Cyrus i Gedeon powstali, towarzysze ich zbliżyli się do sofy, przepelnieni wdzięcznością; ale kapitan Nemo powstrzymał ich skinieniem ręki i odezwał się głosem, zdradzającym wzruszenie:

— Wysłuchajcie mnie najpierw!

Następnie opowiedział im dzieje całego życia. Mówił krótko, zwięźle; jednak znać było, że musi zbierać wszystkie siły, aby dojść do końca. Cyrus prosił go kilka razy, aby rozpoczął choć trochę, ale wstrząsnął tylko głową, jak człowiek

pewny, że nie doczeka jutra. Gdy reporter podawał mu orzeźwiający środek, odpowiedział:

— Na nic się już nie zdadzą, moje godziny są policzone.

Kapitan Nemo był Hindusem, synem radcy niezależnej prowincji Bundelkund i siostrzeńcem Tippo-Saiba, bohatera Indyj Wschodnich; prawdziwe jego nazwisko było: książę Dakkar. Zaledwie doszedł do dziesięciu lat życia, ojciec posłał go do Europy, aby tam pobierał nauki i mógł kiedyś wystąpić do walki z tymi, których uważał za ciemnóżółtych swych ziem.

Książę Dakkar, obdarzony wielkimi zdolnościami i najpiękniejszymi przymiotami serca, poświęcił dwadzieścia lat życia na wzbogacenie umysłu i wielkie poczynił postępy we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej. Podróżował po całej Europie, był poszukiwany w najwyższych towarzystwach, ale uciechy świata nie nęciły go wcale; młody i piękny, był zwykle poważny, prawie posępny, namiętnie oddany naukom.

W jednym tylko kraju nie powstała nigdy noga księcia, do jednego tylko narodu czuł nieprzebraganą nienawiść, a tym narodem byli Anglicy; nienawidził Anglii tym silniej, że w wielu razach musiał jej oddawać zasłużone pochwały. Serce Hindusa owładnęła zacięta nienawiść zwyciężonego ku zwycięzcy. Syn jednego z tych władców, nad którymi Anglia uzyskała tylko nominalne zwierzchnictwo, książę z rodziny Tippo-Saiba, któremu od dzieciństwa wpajano przekonanie, że powinien się zemścić i upomnieć o należne prawa, nie chciał nigdy wstąpić na tę obciążoną jego przekleństwem ziemię, której synowie ujarzmili Indie.

Książę Dakkar stał się artystą i umiał godnie oceniać arcydzieła sztuki; był uczonym, któremu żadna gałąź wiedzy nie była obca, na koniec mężem stanu, wykształconym na europejskich dworach. W oczach ludzi, znających go tylko powierzchownie, mógł uchodzić za człowieka chciwego nauki, lecz nieskorego do czynu, za jednego z tych bogatych podróżników, którzy przebiegają wszystkie kraje, ale nie umieją ukochać żadnego. Myłono się. Ten uczony, ten artysta, ten mąż stanu, sercem pozostał Hindusem; Hindusem był także przez gorącą żądze zemsty, przez ożywiającą go nadzieję, że kiedyś upomni się o prawa, należne jego krajowi, wypędzi cudzoziemców i oswobodzi Indie.

Wrócił do Bundelkundu w 1849 roku, ożenił się z młodą i piękną Hinduską, bolejącą równie jak on nad niedolą swego

kraju, miał dwoje dzieci, które kochał namiętnie, ale szczęście domowe nie głuszyło w nim pamięci o nieszczęściach Indyj. Czekał sposobności, ale czekał daremnie.

Jarżmo angielskie coraz bardziej przygniatało barki Hindusów; ksiązę Dakkar starał się przelać w ich serca nienawiść, jaką sam czuł dla cudzoziemców; przebiegał w tym celu nie tylko wolne jeszcze prowincje, ale i podległe Anglii; przypomniał wszystkim czasy Tippto-Saiba, który poległ śmiercią bohaterską w Seringapatam, walcząc w obronie ojczyzny.

W roku 1857 wybuchło powstanie cypajów; ksiązę Dakkar był jego duszą. Poświęcił tej sprawie cały majątek, wszystkie zdolności i siebie samego. Szedł do walki w pierwszych szeregach, narażał życie jak prosty żołnierz; stoczył przeszło dwadzieścia bitew, dziesięć razy był raniony i nie znalazł śmierci, gdy ostatni jego żołnierze polegli od kul angielskich. Nigdy jeszcze panowanie Anglików w Indiach nie było tak zachwiane, jak w czasie tego powstania, i gdyby cypaje otrzymali pomoc z zewnątrz kraju, jak się tego spodziewali, Indie byłyby wyswobodzone na zawsze.

Głośnie było wówczas jego nazwisko. Bohater ten nie ukrywał się, lecz walczył otwarcie. Nałożono okup na jego głowę. Wprawdzie nie znalazł się zdrajca, który by go wydał wrogom, ale ojciec, matka, żona i dzieci księcia odpokutowały za niego, zanim dowiedział się, jakie z jego powodu grozi im niebezpieczeństwo...

Prawo raz jeszcze uległo sile. Cypaje zostali zwyciężeni i państwo dostało się pod władzę Anglików.

Książę Dakkar schronił się w góry Bundelkundu; tam przez pewien czas żył zupełnie samotny, czuł wstręt do ludzi, brzydził się światem cywilizowanym i postanowił nigdy już do niego nie wrócić. Po jakimś czasie zgromadził koło siebie dwudziestu najwierniejszych towarzyszków, zebrał resztki bogactw, i pewnego dnia wszyscy razem zniknęli bez śladu.

Gdzież książę Dakkar postanowił szukać tej niepodległości, której nie mógł znaleźć między ludźmi? Pod wodą, w głębi morza, gdzie nikt nie mógł go osiągnąć.

Wojownik ustąpił miejsca uczonemu. Na jednej z bezludnych wysp Oceanu Spokojnego zbudowany został, według jego planu, podwodny statek. Elektryczność, której nieporównaną siłę mechaniczną potrafił zużytkować, zastosowano do tego statku podwodnego jako siłę poruszającą, oświetlającą i ogrzewającą. Morze, zawierające w sobie nieprzeliczone

skarby, miliardy ryb, tysiące roślin, obszary porostów, ogromne zwierzęta ssące, a nad to wszystko, co w nim ludzie utracili, obficie zaopatrywało potrzeby księcia i osady statku. To właśnie odpowiadało jego życzeniom, skoro już nie chciał mieć żadnego stosunku z ziemią. Księżę nadał swemu statkowi nazwę „Nautilus“, sam przybrał nazwisko kapitana Nemo i zniknął w morzu.

Przez długie lata kapitan przepływał oceany od bieguna do bieguna; w podróżach tych zebrał ogromne skarby. Miliony, stracone przez Hiszpanów, wskutek rozbicia ich okrętów w zatoce Vigo, były dla niego niewyczerpanym źródłem bogactw, które przesyłał bezimiennie na szlachetne cele! Dla samych Kandydów, w czasie ich powstania, posłał znaczne sumy.

Od dawna już nie miał stosunków z ludźmi, żyjącymi poza obrębem jego statku, kiedy trzech ludzi dostało się przypadkiem na platformę jego statku. Był to profesor Francuz, jego służący i rybak Kanadyjczyk. Ci ludzie zostali rzućeni w morze wskutek uderzenia „Nautilusa“ o ścigającą go fregatę Stanów Zjednoczonych „Abraham Lincoln“.

Kapitan Nemo dowiedział się od profesora, że „Nautilus“ uważany przez jednych za olbrzymie zwierzę z rodziny wielorybów, przez innych za korsarski statek podwodny, był ścigany na wszystkich morzach. Mógł zepchnąć na powrót w morze tych ludzi, których wypadek czynił powiernikami jego tajemniczego życia; nie uczynił jednak tego i przez siedem miesięcy mogli podziwiać cuda, przedstawiające się ich oczom w ciągu tej podmorskiej podróży.

W kilka miesięcy po tym zdarzeniu ci trzej ludzie, nie znający wcale przeszłości kapitana Nemo, zdołali uciec na szalupie „Nautilusa. Nie ścigał ich, gdyż „Nautilus“ walczył wtenczas z nader niebezpiecznym prądem podwodnym przy brzegach Norwegii, zwanym Maelstrom, zresztą sądził, że zbiegowie, niezdolni oprzeć się jego sile, znaleźli śmierć w głębi morza, gdy tymczasem Francuz i dwaj jego towarzysze zostali wyrzuceni na brzeg. Rybacy wysp Loffoden zabrali ich do siebie, i profesor, powróciwszy do Francji, ogłosił drukiem ciekawe szczegóły dziwnej podróży podmorskiej.

Długo jeszcze kapitan Nemo przebiegał głębiny morskie. Towarzysze jego wymierali z wolna i coraz więcej ciał spoczywało na koralowym cementarzu na dnie Oceanu Spokojnego. Wreszcie kapitan Nemo sam tylko pozostał na „Nautilusie“. Miał wtedy lat sześćdziesiąt.

Sam już tylko na świecie, nie mógł myśleć o dalekich podróżach, lecz zdołał doprowadzić „Nautilus“ do jednego z podmorskich portów, w których zatrzymywał się niekiedy; ten port znajdował się właśnie pod wyspą Lincolna.

Kapitan zostawał tam już od paru lat, oczekując chwili, w której śmierć połączy go z towarzyszami, gdy wypadek zdarzył, że był obecny przy spadaniu balonu na wyspę. W ubraniu nurka przechadzał się pod wodą, gdy inżynier wpadł w morze. Wrodzona szlachetność przemogła w nim uczucie niechęci do ludzi... wyratował Cyrusa.

Z początku chciał uciec od rozbitków, ale, zapewne wskutek działania wulkanicznego, wejście do pieczary zmniejszyło się tak znacznie, że „Nautilus“ nie mógł już przepłynąć przez nie. Kapitan Nemo musiał więc pozostać i mimowoli zwrócić uwagę na tych pięciu ludzi, rzuconych na bezludną wyspę, a nic zgola nie posiadających. Po niejakiem czasie, gdy się przekonał, jak są zacni, energiczni, pracowici, jak prawdziwie braterskie czują jedni dla drugich przywiązanie, postanowił im pomagać; nie pokazując się jednak wcale. Dochodził wodą aż do studni, znajdującej się w Granitowym Pałacu i, korzystając z zagłębień i wypukłości skały, dostawał się aż do zewnętrzznego otworu. Tym sposobem, słysząc ich rozmowy, poznał ich przeszłość i wiedział, jakie mają zamiary. Ci koloniści mogli pogodzić kapitana z ludźmi, których tak zacnymi byli przedstawicielami.

Kapitan Nemo uratował życie Cyrusowi Smithowi, on doprowadził Topa do Kominów; po walce z dugoniem, wyrzucił go na brzeg jeziora; podrzucił skrzynię, zawierającą tyle użytecznych przedmiotów; po napadzie małp na Granitowy Pałac, spuścił sznurową drabinę; powiadomił kolonistów o pobycie Ayrtona na wyspie Tabor; wysadził w powietrze bryg korsarski; dostarczeniem chininy uchronił Herberta od śmierci; na koniec odebrał życie zbrodniarzom wynalezionymi przez siebie kulami elektrycznymi, których używał, polując w morzu.

Teraz, gdy pewność zbliżającej się śmierci przytłumiła niechęć do ludzi w szlachetnym sercu odludka, przywołał ich do siebie... Może jednak nie uczyniłby tego, gdyby wiedział, że Cyrus Smith zna o tyle dzieje jego życia, iż będzie mógł przywitać go, jako kapitana Nemo.

Gdy skończył opowiadanie, Cyrus Smith, w imieniu swoim i towarzyszy wyraził mu serdeczną wdzięczność za to

wszystko, co dla nich uczynił, lecz kapitan Nemo przerwał mu zapytaniem:

— Teraz, kiedy już znane jest panu całe moje życie, jakież sądy wyda pan o mnie?

Kapitan, mówiąc to, miał widocznie na myśli straszny wypadek, jaki zaszedł w czasie pobytu profesora na statku i który ten musiał z pewnością zamieścić w opisie swej podmorskiej podróży. Na kilka dni przed ucieczką profesora i jego towarzyszy „Nautilus“, ścigany przez fregatę na Oceanie Atlantyckim, uderzył w nią z taką siłą, że zatonęła. Cyrus Smith zrozumiał myśl kapitana, lecz nic nie odpowiedział.

— Była to fregata angielska — zawołał kapitan Nemo, w którym nie wygasły jeszcze uczucia księcia Dakkara. — Czy słyszy pan? fregata angielska! Ścigała mnie. Znajdowałem się wówczas w ciasnej i płytkiej zatoce!... Musiałem z niej wypłynąć i wypłynąłem!

Milczenie trwało kilka chwil, poczem kapitan Nemo zapytał znowu:

— Jakież sądy wydadcie panowie o mnie?

Cyrus Smith podał rękę kapitanowi i rzekł z powagą:

— Kapitanie, popełnione przez ciebie błędy należą do rzędu tych, które Bóg tylko sprawiedliwie osądzić może, a rozum ludzki powinien rozgrzeszyć. Jeśli ktoś błędzi z tym przekonaniem, że czyni dobrze, można potępiać jego zasady, ale nie można odmówić mu szacunku. Winy twoje należą do tych, które pod pewnym względem zasługują na uwielbienie — nie potrzebujesz obawiać się sądów historii; lubi ona bohaterские szaleństwa, chociaż potępia wynikające z nich skutki.

Z piersi kapitana Nemo wydobyło się głębokie westchnienie, wznosił ręce do nieba i zawołał stłumionym głosem:

— Boże! czy byłem w błędzie, czy też miałem słuszność?

Cyrus Smith mówił dalej:

— Wszystkie wielkie czyny wracają do Boga, ponieważ od Niego pochodzą. Kapitanie Nemo, ludzie uczciwi, otaczający cię w tej chwili, dla których uczyniłeś tak wiele, zawsze będą cię oplakiwać!

Harbert zbliżył się do kapitana, ukląkł przy nim i ucałował jego rękę.

Łza potoczyła się z oczu umierającego.

— Niech cię Bóg błogosławi, drogie dziecko!

Ostatnie chwile kapitana Nemo. — Wola konającego. — Wspomnienie przyjaciół. — Zgon kapitana Nemo. — Rady jego. — Wzruszająca chwila. — W głębi morza.

Dzień nadszedł, ale światło nie mogło dostać się do wnętrza pieczary, do której wejście całkiem zasłaniało teraz morze: przez grube tafle szkła, osadzone w bocznych ścianach „Nautilusa“, zawsze równie silny blask elektrycznego światła rozchodził się dokoła!

Kapitan Nemo leżał bezsilny na sofie. Nie można było myśleć o przeniesieniu go do Granitowego Pałacu, gdyż oświadczył wyraźnie, że chce pozostać na „Nautilusie“, wśród nagromadzonych przez siebie bogactw i arcydzieł sztuki, i tak oczekiwać śmierci, która już unosiła się ponad jego głową.

Podczas dość długiego omdlenia, Cyrus i Gedeon zbadali starannie stan jego zdrowia. Nie podobna było ludzić się nadzieją: kapitan gasnął powoli. W tym ciele, tak krzepkim dawniej, wyczerpały się siły; pozostała krucha lepianka, z której dusza niedługo miała ulecieć. Resztki życia ześrodkowały się w sercu i głowie.

Cyrus i Gedeon naradzali się cichym głosem, czy były jeszcze środki ratunku. Czy można jeszcze było, jeśli nie uratować kapitana, to przynajmniej choć na kilka dni przedłużyć jego życie.

— Nie ma żadnego ratunku — rzekł reporter.

— Ale na jaką on umiera chorobę? — zapytał Penkroff.

— Siły wyczerpały się i powoli gaśnie, jak dopalająca się świeca — odrzekł Gedeon.

— Może orzeźwilby się nieco, gdybyśmy przenieśli go na świeże powietrze, na słońce — rzekł marynarz.

— Nie, Penkroffie — odparł inżynier — żadne ludzkie środki nie pomogą, gdy Bóg wzywa kogo do siebie — a potem kapitan Nemo nie chce opuścić swego statku. Tyle lat życia spędził na „Nautilusie“, że na nim pragnie umierać.

Widocznie kapitan dosłyszał słowa Cyrusa Smitha, gdyż uniósł nieco głowę i rzekł słabym głosem:

— Ma pan słuszność, powinienem i chcę tu umierać, ale mam jeszcze objawić wam ostatnią moją wolę.

Cyrus Smith i towarzysze jego zbliżyli się do sofy i porowali poduszki, aby umierający mógł wesprzeć się na nich

wygodniej. Kapitan odetchnął ciężko i powiódł wzrokiem po wszystkich cudach i arcydziełach sztuki, nagromadzonych w salonie. Przypatrywał się z kolei obrazom, pozawieszanym na wspaniałych kobiercach, pokrywających ściany: były to arcydzieła mistrzów włoskich, flamandzkich, hiszpańskich, francuskich; na piedestałach wznosiły się brązowe i marmurowe posąжки, przedstawiające w zmniejszeniach słynne dzieła sztuki; wspaniałe organy wspierały się o tylną ścianę; ku środkowi, pod szklanymi taflami nagromadzone były najpiękniejsze płody morskie, rośliny, zwierzokrzewy, sznury pereł nieocenionej wartości. Na koniec zatrzymał wzrok na napisie, umieszczonym na przodzie; była to dewiza „Nautilus“:

Mobilis in mobili.

Zdawało się, że pragnie po raz ostatni pieszczołliwym wejrzeniem objąć te arcydzieła sztuki i przyrody, stanowiące świat jego z czasu tyloletniego pobytu w otchłaniach morskich.

Cyrus Smith szanował milczenie kapitana, oczekując, aż sam zacznie mówić. Jakoż po kilku chwilach, w ciągu których zapewne uprzytomnił sobie w myśli całą swoją przeszłość, kapitan zwrócił się, mówiąc:

— Sądzicie, panowie, iż winni mi jesteście pewną wdzięczność...

— Kapitanie, każdy z nas oddałby życie, aby przedłużyć twoje.

— Dobrze więc — odrzekł — zatem przyrzeknijcie mi, że spełnicie moją ostatnią wolę, a będę stokrotnie wynagrodzony za wszystko, co mogłem zrobić dla was.

— Przyrzekamy to jak najuroczyściej! — zawołał Cyrus Smith, zobowiązując się tymi słowy za siebie i swoich towarzyszy.

— Panowie — mówił dalej kapitan — jutro przeniosę się do lepszego świata... jutro śmierć zamknie moje oczy i pragnę, aby „Nautilus“ stał się moim grobowcem. Będzie to moja trumna! Wszyscy przyjaciele spoczywają w otchłaniach morskich, chcę połączyć się z nimi.

— Panowie! — mówił po chwili. — „Nautilus“ uwięziony jest w tej grocie, wejście do niej znacznie się zmniejszyło; lecz jeśli nie podobna mu opuścić swego więzienia, może za to zapaść się w otchłań, kryjącą się pod nim i po-grzebać w niej śmiertelne moje szczątki.

Koloniści w milczeniu słuchali słów umierającego.

— Jutro, po mojej śmierci — mówił dalej — opuścicie panowie „Nautilusa“, gdyż wszystkie znajdujące się w nim bogactwa powinny zginąć wraz ze mną. Książę Dakkar, którego dzieje poznaliście teraz, jedną tylko pozostawi wam pamiątkę. Ta szkatułka... tam... zawiera w sobie brylanty, wartości kilku milionów; większa ich część pochodzi z tych czasów, gdy, będąc jeszcze mężem i ojcem, wierzyłem w szczęście. Tam także mieszczą się perły, które ja i przyjaciele moi znaleźliśmy w głębi morza. Posiadając takie skarby, będziecie kiedyś w możności czynić wiele dobrego; w rękach takich ludzi, jak ty, panie Smith, i twoi towarzysze, pieniądze nie sprowadzą złych następstw — jestem o to spokojny. Duch mój cieszyć się będzie z każdego waszego dobrego uczynku, a tak poniekąd i spoza grobu będę brał w nim udział.

Oslabienie zmusiło go do odpoczynku, po chwili mówił dalej:

— Jutro zabierzecie tę skrzynkę i, opuściwszy salon, zamkniecie drzwi na klucz, następnie wejdziecie na platformę, a klapę przybijecie gwoździami.

— Spełnimy to, kapitanie — odpowiedział Cyrus.

— Dobrze. Potem odpłyniecie na łódce, na której dostaliście się do mnie; ale przed opuszczeniem „Nautilusa“, przejdźcie na tył statku i odkręćcie znajdujące się tam dwa wielkie kurki; tym sposobem woda dostanie się do wnętrza, statek zatonie powoli i osiądzie w głębi otchłani!

Cyrus Smith zrobił przeczący ruch.

— Bądź spokojny — rzekł kapitan — przecież już żyć nie będę — pochowacie w ten sposób moje zwłoki.

Ale Cyrus Smith, ani żaden z jego towarzyszy nie śmiał robić uwag. Kapitan przekazywał im ostatnią swoją wolę — powinni spełnić ją sumiennie.

— Czy przyrzekacie mi to, panowie? — zapytał.

— Przyrzekamy uroczyście! — odrzekli.

Kapitan podziękował i prosił, aby go na kilka godzin zostawili samego. Gedeon Spilett nalegał, aby mu pozwolił zostać przy sobie, gdyż mogłoby nastąpić przesilenie choroby; chory odmówił, mówiąc:

— Umrę jutro!

Opuścili salon, przeszli przez bibliotekę i pokój jadalny i dostali się na przód okrętu, do pokoju, w którym mieścili

się maszyny i przyrządy elektryczne, dostarczające „Nautilusowi“ światła, ciepła i siły mechanicznej.

Inżynier patrzył zdumiony; „Nautilus“ był arcydziełem i same arcydzieła zawierał.

Przeszli na platformę, wznoszącą się na siedem do ośmiu stóp ponad wodą; tu ujrzeli grubą soczewkowatą tafelę szkła, zamykającą, jakby wielkie oko, latarnię, z której tryskała wiązka światła. Poza tym okiem znajdowała się kajuta, w której mieściły się koła steru, tam przebywał sternik, gdy kierował „Nautilusem“ wśród fal morskich, oświetlonych na dość znaczną odległość przez promienie światła elektrycznego.

Cyrus Smith i jego towarzysze patrzyli na wszystko, zdjęci podziwem; serca ich ścisnęły się boleśnie na samą myśl, że ten, którego opiekuńcza ręka tyle razy przychodziła im z pomocą, którego zaledwie od kilku godzin poznali, ma już niedługo opuścić ten świat!

Jakikolwiek sąd wyda kiedyś potomność o postępowaniu i czynach księcia Dakkara, żyjącego, że tak powiemy, życiem pozaludzkim, zawsze pozostanie on jedną z tych niezwykłych, niepojętych istot, których pamięć nigdy nie zaginie.

— To mi człowiek! — rzekł Penkroff. — Czy to słyszana rzecz przeżyć tyle lat w głębiach oceanu!... A jednak kto wie, czy i tu znalazł większy spokój niż na świecie!...

— Może — rzekł Ayrton — moglibyśmy na „Nautilusie“ opuścić wyspę Lincolna i dopłynąć do zamieszkałej ziemi?

— Kroć sto tysięcy! — zawołał Penkroff. — Za nic w świecie nie odważyłbym się kierować takim statkiem; płynąć po morzach — to rozumiem — ale pod morzem... to za mądre dla mnie!

— Zdaje mi się, Penkroffie — rzekł reporter — że kierowanie takim statkiem podwodnym jak „Nautilus“ nie musi być trudne, łatwo się z nim obeznać. Nie trzeba się obawiać ani burz, ani uderzenia o inny okręt: na kilka stóp pod powierzchnią morze jest tak spokojne jak wody jeziora.

— Być może — odrzekł marynarz — ale wolę już choćby burzę na dobrze urządzonym i zaopatrzonym okręcie. Statki są do tego, aby pływały po wodzie, a nie pod wodą.

— Towarzysze — rzekł inżynier — nie ma co rozprawiać teraz o okrętach podwodnych. „Nautilus“ nie jest naszą własnością, i nie mamy prawa nim rozporządzać. Najpierw nie podobna by było wydobyć go z tej pieczary, której wejście zamknęło znaczne podwyższenie się skał bazaltowych, a po-

tem kapitan Nemo pragnie, aby po jego śmierci wraz z jego zwłokami zapadł się w otchłań. Taka jest wyraźna jego wola — i spełnimy ją uczciwie.

Przez czas pewien przypatrywali się i podziwiali urządzenie „Nautilusa“, potem zeszli do wnętrza i, posiliwszy się, wrócili do salonu.

Kapitan Nemo odzyskał nieco sił; oczy jego świeciły jasnym blaskiem; pogodny uśmiech rysował się na ustach.

Zbliżyli się do niego.

— Panowie! — rzekł — jesteście odważni, dobrzy i uczciwi ludzie. Wszyscy poświęciliście się nieograniczenie dla wspólnego dobra; często patrzyłem na wasze postępowanie i słuchałem rozmów... Pokochałem was i Kocham... Podaj mi dłoń twoją, Cyrusie!

Cyrus Smith wyciągnął rękę, którą kapitan serdecznie uściskał.

— Miło jest uściskać dłoń zacnego człowieka! — wyszeptał, potem mówił znowu:

— Ale nie mówmy już o mnie, lecz o was i o wyspie Lincoln, na której znaleźliście schronienie... Zamierzacie ją opuścić?

— Ale czasowo tylko, kapitanie. Pragniemy tu powrócić — rzekł Penkroff.

— Powrócić!... No, wiem ja, Penkroffie, jak ukochaliście tę wyspę, którą odmieniliście i urządziliście waszą pracą tak, że macie wszelkie prawo uważać ją za swoją własność.

— Zamiarem naszym, kapitanie — rzekł Cyrus — jest oddać ją Stanom Zjednoczonym i założyć tu stację dla naszej marynarki, która w tej stronie Oceanu Spokojnego mogłaby się stać bardzo pożyteczna.

— Pięknie to i szlachetnie, że nie zapominacie o waszym kraju rodzinnym i pracujecie dla jego pomyślności i chwały... O, macie słusność! Każdy powinien pragnąć walczyć i umierać na ojczyznej ziemi... A ja! ja, nieszczęsny! umieram tak daleko od wszystkiego, co kochałem!...

— Może masz jakie polecenie, kapitanie, może pragniesz przesłać jakie upominki swoim przyjaciółom, pozostałym w górach Indyj? — rzekł inżynier.

— Nie, panie Smith — odpowiedział. — Nie mam już przyjaciół, jestem ostatni z mego pokolenia!... I dawno już przestałem żyć dla wszystkich znajomych... Ale mówmy o was. Smutna to rzecz samotność i odosobnienie! To prze-

chodzi siły ludzkie... Ja umieram dlatego może, iż sądziłem, że można żyć z dala od ludzi!... Powinniście zatem starać się wszelkimi sposobami opuścić wyspę i powrócić do rodzinnej ziemi. Wiem, że ci nędznicy zniszczyli wasz statek...

— Budujemy okręt — rzekł Gedeon Spilett — dość wielki i silny, aby mógł przewieźć nas do najbliższego lądu, ale zawsze mamy zamiar wrócić na wyspę. Zanadto wiele wspomnień nas z nią łączy, abyśmy mogli o niej zapomnieć.

— Tu poznaliśmy kapitana Nemo — rzekł Cyrus.

— Tu wszystko przypominać nam go będzie! — dodał Harbert.

— Tu ja spocznę snem wiecznym... — dorzucił kapitan. Zamilkł, a po chwili rzekł do inżyniera:

— Cyrusie, chciałbym z tobą pomówić sam na sam.

Towarzysze inżyniera wyszli zaraz, czyniąc zadość woli umierającego. Cyrus Smith kilka minut tylko rozmawiał z kapitanem Nemo, poczem przywołał wszystkich, lecz nie wyjawiał im tajemnicy, jaką powierzył mu umierający. Gedeon Spilett bacznie przyglądał się choremu. Widać było, że tylko niezwykła siła moralna podtrzymuje kapitana, lecz że wkrótce nie zdoła ona już pokonać coraz bardziej zwiększającego się osłabienia fizycznego. W tym dniu w stanie chorego żadna widoczna nie zaszła zmiana. Koloniści nie oddalili się z „Nautilusa“. Noc zapadła, lecz w tej pieczarze tego nie odczuli.

Kapitan Nemo nie cierpiał, lecz nikł z każdą chwilą; szlachetna twarz jego zbladła jak marmur, skutkiem zbliżającej się śmierci, ale była najzupełniej spokojna. Z ust wymykały się niekiedy urywane słowa, wyraźnie odnoszące się do przejszć z jego dziwnego życia. Widać było, że życie ustępuje powoli; nogi i ręce były już zupełnie zimne.

Parę razy jeszcze przemówił po kilka słów do kolonistów, stojących przy śmiertelnym jego łożu i uśmiechał się do nich ostatnim uśmiechem, który śmierć przykuła na ustach.

Około północy kapitan Nemo zdołał złożyć ręce na pierśsiach, jak gdyby okazując, że chce umierać w tej postawie.

O pierwszej po północy całe życie ześrodkowało się w spojrzeniu; źrenice, które pały niegdyś takim ogniem, po raz ostatni zabłyśły; po chwilce wyszeptał: „Bóg i ojczyzna“ — i ostatnie wydał tchnienie.

Cyrus Smith wznosił ręce ponad głowę zmarłego, mówiąc: Oto zakończył życie człowiek, który niegdyś był księciem Dakkar, a teraz przestał już być nawet kapitanem Nemo.

— Harbert i Penkroff płakali głośno. Ayrton skrycie lzy ocierał. Nab klęczał przy reporterze, nieruchomy jak posąg. Cyrus Smith wznosił ręce ponad głowę zmarłego, mówiąc:
— Boże! przyjm duszę jego do chwały Swojej! — i dodał, zwracając się do towarzyszy:
— Módlmy się za tego, który pożegnał nas na zawsze!

W kilka godzin później koloniści spełnili ostatnią wolę księcia. Opuścili „Nautilusa“, unosząc z sobą jedyną pamiątkę, jaką im przekazał ich duch opiekuńczy — ową szkatułkę z diamentami, zawierającą bajeczne skarby.

Zamknięto starannie prześliczny salon, zawsze jasno oświetlony; klapę żelazną spuszczone i zabito gwoździami, aby ani kropla wody nie mogła dostać się do wnętrza „Nautilusa“.

Następnie koloniści zeszli do łódki, przytwierdzonej do podwodnego statku, i na niej dostali się na tyły „Nautilusa“. Tu na linii, oddzielającej część zanurzoną od niezanurzonej, umieszczone były dwa kurki, komunikujące się ze zbiornikami. Otworzyli je, zbiorniki napełniły się wodą, i „Nautilus“ zaczął powoli zagłębiać się coraz więcej, aż nareszcie znikł w otchłani.

Koloniści mogli jeszcze przez pewien czas dojrzeć go wśród fal wodnych, gdyż silne jego światło oświetlało wód przezrocza, a jednocześnie ciemność zalegała pieczarę. Nareszcie światło elektryczne przestało się rozchodzić, i wkrótce „Nautilus“, będący teraz trumną i grobowcem kapitana Nemo, spoczął na dnie morza.

ROZDZIAŁ LX.

Wrażenia. — Budowa okrętu. — 1 stycznia 1869 r. — Dym nad wulkanem. — Pierwsze oznaki wybuchu. — Ayrton i Cyrus w zagrodzie. — Wyprawa do grotty Dakkara. — Co kapitan Nemo mówił inżynierowi.

Koloniści dostali się w milczeniu do wejścia pieczary, którą przez pamięć kapitana nazwali „grotą Dakkara“. Był właśnie odpływ morza, mogli więc z łatwością przejść pod arkadą bazaltową.

Burza ustała ze świtem. Ostatnie odgłosy grzmotów przycichaly na zachodzie; deszcz już nie padał, lecz niebo było pokryte chmurami. Miesiąc październik nie obiecywał pięknej pory, a wiatr nieustannie zmienny nie zapowiadał stałej pogody.

Cyrus Smith z towarzyszami opuścili grotę Dakkara, udając się z powrotem do owczarni. Nab i Harbert, idąc, zdejmowali drut, zaprowadzony przez kapitana między owczarnią a pieczarą, który mógł im się przydać później.

Zaledwie po kilka słów zamienili z sobą. Wydarzenia, zaszłe w nocy z 15 na 16 października, żywe na nich wywarły wrażenie. Nieznajomy, którego dobroczynna opieka dopomagała im tak skutecznie, którego uważali za opiekuńczego ducha wyspy, kapitan Nemo już nie żył. „Nautilus“ wraz z jego zwłokami zatonął w otchłaniach morskich. Każdemu z nich zdawało się, że teraz będą daleko więcej osamotnieni. Przyzwikli już liczyć zawsze na potężną pomoc, więc wszystko to przykro oddziało, nawet na reportera i Cyrusa. Około dziewiętej z rana wrócili do Granitowego Pałacu.

Postanowili pracować jak najpilniej około okrętu. Cyrus Smith poświęcał temu cały swój czas i naukę. Któż mógł przewidzieć, co im gotuje przyszłość? Otóż posiadanie statku mocnego, trwałego, mogącego oprzeć się burzom i tak dużego, aby w razie potrzeby mógł odbyć i wytrzymać dłuższą podróż morską — dawało kolonistom wielką rękojmię bezpieczeństwa. Jeśliby po ukończeniu okrętu nie chcieli zaraz opuścić wyspy, to powinni przynajmniej jak najspieszniej udać się na wyspę Tabor, aby tam zostawić zawiadomienie, odnoszące się do Ayrtona. Przewrotność ta była niezbędna, jeśliby jacht szkocki miał się zjawić na tych morzach. Należało więc nie zaniedbać niczego.

Wznowiono więc przerwana pracę i tylko w razie nagłej potrzeby kilku odrywało się od niej. Chcąc dopłynąć do wyspy Tabor, zanim wichry, panujące podczas porównania dnia z nocą, uniemożliwią przeprawę do niej, trzeba było, aby okręt był skończony w początkach marca, to jest za pięć miesięcy; toteż cięśle pracowali wytrwale, nie tracąc ani chwili. Nie potrzebowali wyrabiać lin, żagli i innych przyrządów okrętowych, bo te zachowali nieuszkodzone z okrętu „Speedy“. Przede wszystkim więc trzeba było zbudować pudło.

Ważna ta praca zajęła prawie wyłącznie koniec roku 1868. Po upływie dwóch i pół miesięcy robota tak daleko już postąpiła, iż można było poznać, że Cyrus Smith nakreślił doskonały plan budowy, i że okręt będzie mógł bezpiecznie puścić się na morze. Penkroff pracował zawiąnięcie i szemrał bez ceremonii, gdy który z towarzyszy rzucał topór, a chwycił broń, bo marynarz, zajęty pracą przy okręcie, ani pomyślał, że trzeba przygotować zapasy na zimę! Nic go teraz nie obchodziło, i nie lubił, aby robotnicy opuszczali warsztat. W takich razach poczciwy marynarz gniewał się, mrucał i w uniesieniu pracował za szczęściem.

Lato było brzydkie. Przez kilka dni panowały gwałtowne upały i atmosfera, nasycona elektrycznością, szukała dla niej ujścia w gwałtownych burzach, wstrząsających silnie warstwy powietrza. Ciągłe prawie dochodził ich z oddali huk grzmotów, a był to szmer głuchy, lecz nieustanny, jaki daje się słyszeć w podrównikowych strefach.

Dnia 1 stycznia 1869 roku wybuchła gwałtowna burza: kilka piorunów uderzyło na wyspie; kilka olbrzymich drzew uległo zdruzgotaniu, a między nimi wielka obrotnica, osłaniająca podwórze.

Czy miało to związek ze zjawiskami w łonie ziemi? Tak przypuszczał Cyrus Smith, gdyż jednocześnie z burzą zaczęły silnie występować objawy wulkaniczne.

Dnia 3 stycznia Harbert udał się o świcie na płaszczyznę Pięknego Widoku, w celu osiedlania onagi, i spostrzegł ogromny pióropusz, powiewający na wierzchołku wulkanu; zawiadomił o tym niezwłocznie towarzyszy.

— Oto! — zawołał Penkroff. — Tym razem to już nie para: olbrzym już nie oddycha, lecz dymi!

To określenie marynarza doskonale malowało zmianę, zaszłą w otworze wulkanu. Już od trzech miesięcy krater wyrzucał gęstszą lub rzadszą parę, która była tylko wynikiem wewnętrznego wrzenia materii mineralnych; teraz owe pary zastąpił gęsty dym, wznoszący się w kształcie szarej kolumny, przeszło trzysta stóp szerokiej u podstawy, która rozrastała się jak olbrzymi grzyb na wysokości siedmiu do ośmiuset stóp ponad wierzchołkiem.

— Ogień jest w kominie! — zawołał Gedeon Spilett.

— A nie podobna go zgasić! — odrzekł Harbert.

— Powinno by się wycierać wulkany jak kominy — rzekł Nab z poważną miną.

— Zapewne, lecz czy chciałbyś, Nabie, zostać kominia-
rzem wulkanów? — odrzekł Penkroff, wybuchając głośnym
śmiechem.

Cyrus wpatrywał się uważnie w gęsty dym i przysłuchi-
wał się bacznie, czy nie usłyszy oddalonego grzmotu; poczem
rzekł, zwracając się do towarzyszy:

— Nie ma co taić, przyjaciele, że nastąpiła ważna zmiana;
materie wulkaniczne nie są już tylko w stanie wrzenia, lecz
zajął się ogniem, i zagraża nam bliski wybuch wulkanu.

— No to i cóż, panie Smith, będziemy mieli na co pa-
trzeć, a jak się wulkan popisie, to mą przykłaśniemy, boć
zresztą, sądzę, że nas to nic nie może obchodzić.

— Kto wie, Penkroffie — odrzekł inżynier. — Wpraw-
dzie dawne ujście lawy pozostaje otwarte i dzięki jego poło-
żeniu dotąd krater zawsze wyrzucał lawę od strony północ-
nej, jednak...

— Jednak, ponieważ wybuch wulkanu żadnej nie przy-
nosiłby korzyści, więc najlepiej, żeby go nie było — rzekł
reporter.

— A może też — rzekł marynarz — wulkan wyrzuci
substancje, które będziemy mogli zużytkować?

Cyrus potrząsnął przecząco głową; on wiedział, że ten
niespodziewany wybuch nie wroży nic dobrego. Chociaż
z powodu położenia krateru ani lasom ani uprawnej części
wyspy nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo, jednak
następstwa mogły być groźne. Często wybuchom wulkanicz-
nym towarzyszy trzęsienie ziemi, a w takim razie wyspa,
utworzona z najróżnorodniejszych materiałów: z jednej
strony bazaltu, z drugiej z granitu, od północy z lawy, od
południa z granitu ruchomego, skutkiem czego części jej nie
mogły być bardzo silnie połączone z sobą — nie miała dosta-
tecznej siły oporu; choćby więc wybuch i rozlanie się sub-
stancyj wulkanicznych samo przez się nie stanowiły zbyt
groźnego niebezpieczeństwa, to jednak wstrząśnienie w łonie
ziemi mogło stać się nader zgubne dla wyspy.

— Zdaje mi się — rzekł Ayrton, który, leżąc, przyłożył
ucho do ziemi — zdaje mi się, że słyszę głuchy odgłos, tak,
jak gdyby po bruku toczył się wóz, naładowany żelazem.

Wszyscy zaczęli przysłuchiwać się bacznie i przekonali
się, że Ayrton się nie myli. Obok jakby turkotu kół słychać
teraz jeszcze było świst podziemny, jak gdyby gwałtowny
wicher dął gdzieś w łonie ziemi — ale właściwy wybuch do-

tańd nie dawał się słyszeć. Można więc było wnosić, że ponieważ gazy znalazły wolne ujście przez szeroki komin centralny, zatem nie ma się co obawiać gwałtownych wstrząśnień, ani wybuchu.

— Kroć sto tysięcy! — krzyknął Penkroff. — Nie traćmy czasu i chodźmy do roboty. Niech sobie góra dymi, jęczy, ryczy, bucha ogniem i płomieniami, niech się bawi, jak sama chce, ale my nie próżnujmy. Dalej! Ayrtonie, Nabie, Harbercie, panie Cyrusie, panie Spilett, dziś wszyscy bez wyjątku musimy pracować pilnie. I dla dwustu ludzi dość byłoby pracy około ukończenia naszego nowego „Bonawentury“, bo chciałbym za dwa miesiące spuścić go na wodę.

Gorliwie zajęci pracą, zapomnieli o wulkanie, którego zresztą nie było widać z wybrzeża około Granitowego Pałacu. Kilka razy zdawało się, że czarne chmury zasłoniły słońce, błyszczące na nadzwyczaj czystym niebie, co dowodziło, że gęste obłoki dymu przesuwają się między wyspą a tarczą słoneczną. Silny wiatr wszystkie te chmury pędził ku wschodowi. Cyrus Smith i reporter uważali dobrze na to przejściowe ściemnianie się i, nie przerywając pracy, rozmawiali o wzmaganiu się objawów wulkanicznych. Wszystko to nakazywało dokładać wszelkich sił, aby jak najprędzej ukończyć statek, gdyż, kto wie, czy nie stanie się dla kolonistów jedyną arką zbawienia.

Po wieczerzy Cyrus, Gedeon i Harbert udali się na płaszczyznę Pięknego Widoku. Noc zapadła, a w ciemności, roztaczającej się dokoła, łatwo było rozpoznać, czy wśród dymów, buchających z krateru, są płomienie.

— Krater w ogniu! — krzyknął Harbert, który jako najmłodszy i najzwinniejszy, pierwszy wbiegł na płaszczyznę.

Góra Franklina, na wierzchu której unosiły się płomienie, podobna była do pochodni; zapewne z płomieniami mieszała się tak wielka ilość dymu, a może i popiołu, iż pomimo ciemności nocnej blask ich był bardzo słaby. Mimo to dziwne światło roztaczało się nad wyspą i uwydatniało najbliższe lasy; pod obłokami przesuwaly się ciemne kłęby, przez które tu i ówdzie świeciły błyszczące gwiazdy.

— Jakże to szybko wszystko postępuje! — zawołał inżynier.

— Nic dziwnego! — odrzekł reporter. — Wulkan ten już od pewnego czasu zaczynał budzić się z uspienia. Przypomnij sobie Cyrusie, że pierwsze gazy zaczęły wydobywać

się już wówczas, gdy robiliśmy poszukiwania w okolicach tej góry, w celu wyśledzenia schronienia kapitana Nemo. Jeśli się nie mylę, było to 15 października.

— Tak — rzekł Harbert — upłynęło już zatem od owego czasu przeszło półtrzecia miesiąca.

— Ogień podziemny przez dziesięć tygodni wrzał w łonie ziemi! — rzekł znowu Gedeon. — Nic dziwnego, że tak długo tłumiony, wybuchnie z gwałtowniejszą siłą.

— Czy nie czujesz pewnego drgania ziemi? — zapytał inżynier.

— Rzeczywiście — odrzekł reporter — ależ od drgania do trzęsienia ziemi...

— Nie mówię, że nastąpi trzęsienie ziemi, i niech nas Bóg od niego broni! — rzekł Cyrus. — Drgania te są wynikiem wrzenia wewnętrznego ognia: skorupa ziemi jest jakby ścianą kotła a wiadomo, że pod ciśnieniem gazu ściany kotła drgają.

— Co za pyszne snopy ogniste!

Jakoż w tej chwili wystrzelił z krateru niby przepyszny bukiet fajerwerkowy, tak świetlny, że dym nie mógł przyćmić jego blasku; tysiące iskier i ognistych odłamków rozprysły się na wszystkie strony. Niektóre, wznosząc się w górę, przerzynały kolumnę dymu, zostawiając za sobą tumany jakby złotego piasku. Od czasu do czasu dawał się słyszeć odgłos, podobny do oddalonych strzałów armatnich.

Cyrus, reporter i Harbert po godzinnym pobycie na płaszczynie Pięknego Widoku powrócili do Granitowego Pałacu. Inżynier był tak zakłopotany, iż Gedeon Spilett zapytał go, czy nie przewiduje bliskiego niebezpieczeństwa, mającego być pośrednim lub bezpośrednim następstwem spodziewanego wybuchu.

— Tak i nie — odpowiedział inżynier.

— Zdaje się — rzekł reporter — że w najgorszym razie może nastąpić trzęsienie ziemi, które mogłoby grozić bezpieczeństwu wyspy, ale sądzę, że tego nie ma się co obawiać, skoro para i lawa znalazły ujście.

— Ja też nie obawiam się trzęsienia ziemi, ograniczającego się zazwyczaj na mniej więcej silnych wstrząśnieniach gruntu, które wynikają skutkiem rozszerzalności pary podziemnej, ale tu mogą zajść okoliczności, z których nader groźne wynikają następstwa.

— Jakie okoliczności, kochany Cyrusie?

— Teraz jeszcze nie wiem dobrze... Nie mogę powiedzieć nic stanowczego... Muszę zwiedzić górę i dobrze się w niej rozpatrzyć... Za kilka dni będę mógł wiedzieć na pewno, czego się mamy obawiać.

Gedeon poprzestał na tej odpowiedzi, i wkrótce mieszkańcy Granitowego Pałacu zatonęli w głębokim śnie.

Minął czwarty, piąty i szósty stycznia; pracowali gorliwie nad budową statku, a inżynier, nie podając żadnych powodów, wszelkimi siłami przyśpieszał jego ukończenie. Jednocześnie wierzchołek góry Franklina otaczały coraz czarniejsze kłęby dymu; z otworu wydobywały się płomienie, jakby odłamy gorejących skał; niektóre z nich spadały na powrót do krateru. Widząc to, Penkroff, który w żaden sposób nie chciał wierzyć w niebezpieczeństwo, zawołał, śmiejąc się:

— Oto olbrzym jak dziecko bawi się w piłkę, stary fi-glarz swawoli!

Pilna praca nad wykończeniem statku nie uwalniała przecież kolonistów od innych zajęć w różnych stronach wyspy. Trzeba było niezwłocznie udać się do owczarni i zaopatrzyć ją w paszę dla kóz i muflonów; postanowiono zatem, aby Ayrton udał się tam nazajutrz, dnia 7 stycznia. Było to zwykłe jego zajęcie, i nigdy nie potrzebował niczyjej pomocy, toteż Penkroff i inni towarzysze zdziwili się niewymownie, gdy inżynier rzekł do niego:

— Pójdę jutro z tobą do owczarni, Ayrtonie.

— Oj, oj! panie Cyrusie! — zawołał marynarz. — Robota taka pilna, a pan chce iść z Ayrtonem — w takim razie już nie dwóch, ale czterech rąk nam braknie.

— Powrócimy nazajutrz, ale muszę koniecznie iść do owczarni. Muszę z bliska rozpatrzyć się w sytuacji.

— Ej! z tym wybuchem! — odrzekł niezadowolony marynarz. — Myślałby kto, że to coś nadzwyczajnego... Cóż pan tam zobaczy ciekawego?... Przyznam się, że nic mnie nie obchodzi, niech sobie hula; jak się zmęczy, to przestanie!

Pomimo opozycji marynarza, Cyrus Smith nie zmienił postanowienia. Harbert pragnąłby towarzyszyć inżynierowi, ale nie śmiał wyjawiać chęci, nie chcąc sprzeciwić się Penkroffowi.

Nazajutrz o świcie Cyrus i Ayrton wsiedli na wóz, zaprzężony w onagi, i popędzili kłusem drogą, wiodącą do owczarni.

Ponad lasem unosiły się czarne obłoki. Chmury te, ciężko przesuwane się w powietrzu, składały się wyraźnie z różnorodnych substancyj, gdyż sam dym, buchający z wulkanu, nie mógłby być tak ciężki i gęsty. Sproszkowana piana z roztopionych metali, puzzolona (rodzaj ziemi wulkanicznej) i szary, nadzwyczaj miękki popiół unosiły się w powietrzu, a wiadomo, że mogą niekiedy unosić się przez całe miesiące. Po wybuchu Hekli w Islandii w 1783 roku, więcej niż przez rok powietrze tak było przesycone prochami wulkanicznymi, że prawie nie można było dojrzeć promieni słonecznych.

Najczęściej jednak prochy takie opadają na ziemię, co też i teraz się zdarzyło. Zaledwie Cyrus i Ayrton przybyli do owczarni, spadł jakby czarny śnieg, który w jednej chwili zmienił postać ziemi: drzewa, łąki, wszystko dokoła zniknęło pod jego pokładem. Szczęściem wiatr dał z północnego zachodu i większą część chmury zapędził nad morze.

— Doprawdy, to rzecz szczególna! — rzekł Ayrton — nie widziałem nigdy nic podobnego.

— To rzecz ważna i mogąca sprowadzić bardzo groźne następstwa. Ta puzzolona, sproszkowany pumeks, słowem, wszystkie te prochy mineralne, unoszące się w powietrzu, dowodzą, jak straszne zaburzenia odbywają się w niższych pokładach wulkanu.

— Cóż nam pozostaje czynić?

— Nic, tylko śledzić bacznie postęp tego zjawiska. Zajmij się zaopatrzeniem w paszę owczarni, a ja tymczasem dojdę do źródła Czerwonego Strumienia i zbadam północne zboczne góry — potem...

— Potem... panie inżynierze?...

— Potem zwiedzimy grotę Dakkara... Muszę zobaczyć... Zresztą za dwie godziny wrócę po siebie.

Ayrton wszedł na dziedziniec owczarni i, czekając powrotu inżyniera, zajął się muflonami i kozami, które okazywały wyraźny niepokój, wywołany pierwszymi objawami wybuchu.

Przedarłszy się przez poprzeczne pasmo gór od strony zachodu, Cyrus obszedł Czerwony Strumień i doszedł do miejsca, w którym podczas pierwszej wycieczki odkryli źródło siarczane.

Jakże tu wszystko przybrało inną postać! Tu już niejeden, ale trzynaście słupów dymu wydobywało się z ziemi, tak, jak gdyby je gwałtowna siła wypierała na zewnątrz. Znać

było, że skorupa ziemska podlegała w tym miejscu nadzwyczaj silnemu ciśnieniu. Atmosfera była nasycona gazem siarkowym, wodorem, kwasem węglowym i parą wodną. Cyrus czuł wyraźnie drganie kamieni wulkanicznych (tufy), rozsianych po płaszczynie, lecz nie widział nigdzie nowych śladów lawy, co dowodziło, że materię wulkaniczną nie dosięgały jeszcze powierzchni otworu głównego komina.

— Wolałbym, żeby to się stało — mówił do siebie. — Mógłbym przynajmniej być pewny, że lawa popłynie dawniejszą drogą — a teraz, być może, otworzy sobie nowe ujścia... Jednak nie w tym leży niebezpieczeństwo... Kapitan Nemo miał słuszność... stąd nic nam nie zagraża...

Zbadawszy starannie miejscowość, Cyrus był pewny, że ostatni wybuch sięgał bardzo już oddalonej epoki. Przykładając ucho do ziemi, słyszał nie ustający grzmot podziemny, a wśród niego niekiedy jakby wystrzały. O dziewiątej rano powrócił do owczarni, gdzie Ayrton oczekiwał go niecierpliwie.

— Uporządkowałem owczarnię i zaopatrzyłem w paszę; muflony i kozy nie boją się już głodu, panie inżynierze, jednak wydają się zaniepokojone.

— Nic dziwnego, Ayrtonie, instynkt ich nie myli.

— Ja już nic tu nie mam do roboty...

— Weź latarkę i krzesiwko, i chodźmy do pieczary.

Ayrton spełnił rozkaz; wyprężone onagi biegły swobodnie po dziedzińcu owczarni. Zamknęli drzwi zewnątrz i zwrócili się na drogę, wiodącą do groty Dakkara.

Żadne zwierzę, żaden ptaszek nie pokazał się w lesie! Cały grunt pokryty był sproszkowanymi materiałami wulkanicznymi, niekiedy, gdy wiatr zawiął, unosząc tumany popiołu, dwaj koloniści, otoczeni jego nieprzejrzystymi kłębami, nie mogli się widzieć; wtedy chustkami zasłaniali oczy i usta, aby się nie zadusić lub nie oślepnąć.

W takich warunkach nie mogli iść śpiesznie. Nadto powietrze było tak ciężkie, jak gdyby wypaliła się część tlenu i przez to stało się niezdolnym do oddychania. Co sto kroków musieli się zatrzymywać dla nabrania tchu; było więc już znacznie po dziesiątej, gdy dostali się na szczyt skał bazaltowych i porfirowych.

Cyrus i Ayrton przebywali tę samą mozolną drogę, którą przechodzili w czasie owej burzliwej nocy, tylko że w dzień i pokryte grubą warstwą popiołu skały nie były tak śliskie,

toteż pewniejszym krokiem mogli po nich stąpać. Wkrótce stanęli nad brzegiem morza i z łatwością znaleźli otwór, prowadzący do groty.

— Łódź musi być pod arkadą tej ostatniej skały! — rzekł inżynier.

— Jest, panie inżynierze! — rzekł Ayrton, przyciągając łódkę.

— Wsiadajmy! — rzekł Cyrus.

Popłynęli na lekko kołyszących się falach, a gdy łódź wpłynęła do groty, Ayrton skrzesał ognia i zapalił latarnię; ustawił ją na przodzie łódki, aby rzucała przed siebie światło i, wiosłując, zapuścili się w ciemne otchłanie pieczary. Nie było już „Nautilusa“, z którego bijące światło elektryczne, podsycane ciągle potężnym ogniskiem, rozchodziło się jeszcze w głębi fal, ale żaden odblask nie dochodził z otchłani, w której spoczywał kapitan Nemo.

Jakkolwiek latarnia słabe rzucała światło, mogli jednak szybko posuwać się coraz dalej, trzymając się prawej strony groty. W pierwszej części panowała grobowa cisza, dopiero dalej Cyrus Smith słyszał wyraźnie jakby huk grzmotów, dochodzący z wnętrza góry.

— To wulkan ryczy! — rzekł do Ayrtona.

Obok tego odgłosu, czuć było silną woń siarki, a duszące wyziewy chwytały za gardło inżyniera i jego towarzysza.

— Tego właśnie obawiał się kapitan Nemo — wyszeptał Cyrus, i twarz jego nieco pobladła. — Ale cóż robić, trzeba wytrwać do końca.

— Więc dalej, w imię Boże! — zawołał Ayrton i, silniej wiosłując, łódź szybko posuwała się naprzód, która też niedługo dopłynęła do końca groty i zatrzymała się przy jej krańcowej ścianie.

Przy świetle latarni Cyrus przyglądał się równym częściom tej ściany, oddzielającej grotę od centralnego komina wulkanu. Jaka była jej grubość, czy wynosiła sto stóp, czy kilkanaście, tego nie podobna było oznaczyć — ale odgłos podziemny dochodził tak wyraźnie, iż kazało to wnosić, że nie jest zbyt gruba.

Zbadawszy ścianę u dołu, inżynier przytwierdził latarnię do wiosła i zaczął się przyglądać wyższym częściom skały. Tu, przez zaledwie widoczne szczeliny, wydobywał się ostry dym, zatruwający powietrze pieczary. Pęknięcia na ścianie bazaltowej tworzyły różne zygzaki, a wyraźniejsze i głębsze

były zaledwie o parę stóp oddalone od powierzchni wody, zalewającej dno groty.

Cyrus zamyślił się głęboko, poczem rzekł z cicha:

— Tak, kapitan miał słuszość; stąd zagraża niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo straszne!...

— Ayrton nic nie odpowiedział, tylko na dany znak przez Cyrusa pochwycił wiosła i w pół godziny potem wypłynęli z pieczary Dakkara.

ROZDZIAŁ LXI.

Cyrus o wyprawie. — Starania nad wykończeniem okrętu. — Ostatnie odwiedziny zagrody. — Walka między ogniem i wodą. — Co zostało z wyspy. — Postanawiają puścić się na morze. — Noc z 8 na 9 marca.

Nazajutrz Cyrus i Ayrton powrócili do Granitowego Pałacu. Zgromadziwszy wszystkich towarzyszy, inżynier oznajmił im — że wyspie Lincolna zagraża straszne niebezpieczeństwo, którego żadna siła ludzka nie zdoła odwrócić.

— Przyjaciele — mówił im, a głos jego drżał ze wzruszenia — wyspa Lincolna nie należy do rzędu tych, które dotrwać mogą do końca świata. Zagłada jej jest nieuchronna, może nastąpić prędzej lub później, ale żadna potęga ziemską odwrócić jej nie zdoła.

Koloniści spojrzeli po sobie, potem zwrócili wzrok na inżyniera, nie mogąc pojąć znaczenia jego słów.

— Co chcesz powiedzieć, Cyrusie? — zapytał nareszcie reporter.

— Wytłumaczę ci zaraz — odrzekł inżynier — albo raczej powtórzę wam tylko to, co mówił kapitan Nemo podczas krótkiej rozmowy ze mną.

— Kapitan Nemo! — zawołali jednocześnie.

— Tak jest. I jest to ostatnia przysługa, którą jeszcze prawie w chwili śmierci chciał nam wyświadczyć.

— Ostatnia przysługa!... hm, ostatnia!... Zobaczycie, że, choć już żyć przestał, niejedną jeszcze odda nam przysługę!...

— Ale cóż ci powiedział? — zapytał reporter.

— Słuchajcie, towarzysze! Wyspa Lincolna nie znajduje się w tych warunkach, co inne wyspy Oceanu Spokojnego,

skutkiem wstrząśnień podmorskich prędzej czy później będzie wysadzona w powietrze.

— Cóż znowu! — zawołał Penkroff, wzruszając ramionami, gdyż pomimo całego szacunku, jaki miał dla inżyniera, nie chciał wierzyć w nic podobnego.

— Posłuchaj mnie uważnie, Penkroffie — rzekł Cyrus — a dowiesz się, co mi powiedział kapitan Nemo, i o czym przekonałem się naocznie, zwiedzając wczoraj grotę Dakkara. Ciągnie się ona pod wyspą aż do wulkanu i tylko ściana bazaltowa oddziela ją od głównego komina, a ściana ta poprzeczona jest szparami i szczelinami, przez które już wydobywają się gazy siarczane, wytwarzające się wewnątrz wulkanu.

— A więc? — zapytał marynarz, a głos jego zdradzał pewien niepokój.

— A więc widziałem, że szczeliny rozszerzają się skutkiem wewnętrznego parcia, że ściana bazaltowa pęka powoli i że prędzej czy później rozstąpi się i zostawi wolne przejście falam morskim, zapełniającym pieczarę.

— Ba! i cóż tak strasznego! — zawołał Penkroff, chcąc jeszcze wszystko w żart obrócić — woda zaleje wulkan i na tym koniec.

— Tak, rzeczywiście na tym koniec — odrzekł inżynier — gdyż w dniu, w którym morze dostanie się do wnętrza wulkanu, Penkroffie, wyspa Lincoln będzie wysadzona w powietrze, podobnie jak wysadzona byłaby Sycylia, gdyby morze Śródziemne zalało wnętrze Etny.

Wysłuchali w milczeniu słów inżyniera; zrozumieli, jak wielkie zagraża im niebezpieczeństwo. Bo też Cyrus Smith mówił najzupełniejszą prawdę.

Wiele osób przypuszczało już, że ponieważ wszystkie prawie wulkany wznoszą się nad brzegiem mórz lub jezior, to może udałoby się je zagasić, zalewając wodą. Robiący takie przypuszczenie zapominali, że tym sposobem narażano by się na wysadzenie w powietrze części kuli ziemskiej, podobnie jak rozsadzony zostaje kocioł przez zbytne naprężenie pary. Woda, wpadająca do środka, którego temperatura dochodzi do tysięcy stopni, tak nagle zamieniłaby się w parę, iż parcia jej niewytrzymałaby otaczająca ją skorupa.

Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że wyspie zagrażało bliskie i straszne niebezpieczeństwo, i że istnienie jej zależy od tego, jak długo utrzymać się zdoła w obecnym stanie

krańcowa ściana groty Dakkara. Nie szło tu już o miesiące i tygodnie, ale może o dni a nawet godziny.

Głęboka boleść zbudziła się w sercach kolonistów, zapominali o grożącym im bezpośrednio niebezpieczeństwie, myśląc z goryczą o zniszczeniu tej wyspy, na której znaleźli przytułek i schronienie, którą ukochali całym sercem i zamierzali doprowadzić do kwitnącego stanu. Tyle trudów, pomysłów, tyle ciężkiej i krwawej pracy ma zmarnieć!...

Wielka łza stoczyła się po ogorzałej twarzy Penkroffa — nie myślał nawet jej ukrywać!

Jeszcze przez pewien czas rozmawiali o tym, rozpatrując wszelkie możliwe środki ratunku. Stało na tym, że nie ma godziny do stracenia, że należy pracować niezmiernie nad wykończeniem statku i spuszczeniem go na morze.

Zaniechano więc żniw, polowania, zbiorów i nagromadzania zapasów żywności w Granitowym Pałacu, i wszyscy bez wyjątku pracowali przy budowie. Składy i spiżarnia były tak obficie zaopatrzone, iż zapasy te, przeniesione na statek, wystarczyłyby choćby na najdłuższą podróż; chodziło tylko o to, aby nowy „Bonawentura“ był spuszczony na wodę przed straszną a nieuchronną katastrofą.

Koloniści pracowali z gorączkową pilnością, i dnia 23 stycznia roboty w większej części były ukończone. Na szczycie wulkanu żadnych nie było zmian; krater buchał ciągle dymem, pomieszany z płomieniami i rozpalonymi do czerwoności kamieniami; ale w nocy z 23 na 24 stycznia, pod ciśnieniem lawy, dosięgającej do szczytu wulkanu, rozsadzony został stożek, stanowiący jego kapelusz. Spadł z przerażającym hukiem. Koloniści wybiegli z Granitowego Pałacu, sądząc, że wyspa się rozstała.

Było około drugiej w nocy. Najwyższy stożek, wazący miliardy funtów, zrzucony na wyspę, zatrzęsł ją w podstawach. Szczęściem, stożek przechylony był ku północy, spadł więc na płaszczyznę piasku i tufu, rozciągającą się między wulkanem a morzem, krater szeroko otwarty rzucał ku niebu tak jaskrawe i silne światło, iż, pod wpływem odbicia się tego światła, całe powietrze zdawało się palić. Niebo było czerwone. Jednocześnie niezmierny strumień lawy rozlał się w długich kaskadach, jakby woda spadająca z przepelnionego naczynia, i tysiące ognistych węzów wiło się po pochyłości góry.

— Przebóg!... Owczarnia!... — krzyknął Ayrton.

Jakoż rzeczywiście, wskutek zmiany kierunku, lawa toczyła się teraz z nowego krateru ku owczarni, a zarazem najurodzajniejszej części wyspy; zniszczenie groziło źródłom Czerwonego Strumienia i lasowi Żakamara.

Na krzyk Ayrtona wszyscy pobiegli do stajni, w której znajdowały się onagi, zaprzęgli je do wozu i popędzili do owczarni, jedną wspólną ożywieni myślą — oswobodzenia zamkniętych w niej zwierząt.

Przed trzecią godziną stanęli w owczarni. Przerażający ryk wskazywał straszne przerażenie kóz i muflonów. Strumień ognistej materii spadał już na łąkę i z jednej strony dotykał prawie palisady; gdy tylko Ayrton otworzył drzwi owczarni, rozszalałe zwierzęta w mgnieniu oka rozbiegły się na wszystkie strony.

W godzinę później wrząca lawa zalała owczarnię, woda przepływającego ją strumienia ulotniła się, ogień zajął mieszkanie, które spłonęło jak słoma, a z ogrodzenia palisady nie pozostała ani jedna tyczka. Wkrótce z całej owczarni śladu nie było! Koloniści próbowali oprzeć się niszczącej sile wulkanu, starali się koniecznie ocalić owczarnię — daremne próby — człowiek jest bezsilny wobec tych wielkich wstrząśnień przyrody!

Nadszedł 24 stycznia. Przed powrotem do Granitowego Pałacu koloniści postanowili zbadać kierunek potoku lawy. Ogólna pochyłość gruntu obniżala się od góry Franklina do zachodniego wybrzeża. Można więc było obawiać się, iż, mimo gęstego lasu Żakamaru, strumienie lawy dosięgną aż do płaszczyzny Pięknego Widoku.

— Jezioro nas osłoni! — rzekł reporter.

— I ja mam tę nadzieję! — odrzekł inżynier.

Próbowali dostać się na płaszczyznę, na którą spadł stożkowaty szczyt góry Franklina — lecz lawa zagradzała przejście. Z jednej strony płynęła doliną rzeki Spadku. Pozbawiony swojej korony, wulkan zmienił się do niepoznania.

Teraz już nie stożkowato był zakończony, lecz płasko; dwa wydrążenia, wyszczerbione na południowym i zachodnim brzegu, wyrzucały nieustannie strumienie lawy, tworzącej jakby dwa oddzielne potoki. Ponad nowym kraterem kłęby dymu i popiołu mieszały się z gazami, unoszącymi się nad wyspą. Z hukiem, dochodzącym z głębi wulkanu, łączył się silny odgłos grzmotów; wypadały rozpalone do czerwo-

ności odłamy skał, które, wyrzucone aż pod niebiosa, rozpryskiwały się, rozrzucając w powietrzu miliardy iskier. Na te wybuchy wulkaniczne niebo odpowiadało błyskawicami i grzmotem.

Okolo siódmej rano koloniści nie mogli już utrzymać się na obranym stanowisku, nad brzegiem Żakamaru. Nie tylko różne pociski tuż koło nich padały, lecz nadto lawa, występująca z łożyska Czerwonego Strumienia, mogła przeciąć im odwrót. Pierwsze szeregi drzew lasu zapaliły się.

Wrócili na drogę, wiodącą do owczarni; szli powoli, cofając się niekiedy. Wskutek pochyłości gruntu, potok lawy gwałtownie posuwał się ku zachodowi, i gdy tylko niższe pokłady stwardniały nieco, inne wrzące strumienie zalewały je niezwłocznie. Jednak najgroźniejszym stawał się główny strumień, posuwający się doliną Czerwonego Strumienia. Cała ta część lasu zapaliła się, ogromne słupy dymu unosiły się nad drzewami, których pnie od korzenia trzeszczały pod naciskiem lawy.

Koloniści zatrzymali się w pobliżu jeziora, o jakie pół mili od ujścia Czerwonego Strumienia. Była to chwila stanowcza, stanowiąca o ich życiu lub śmierci.

Nawykły do walki z najgroźniejszymi niebezpieczeństwami, Cyrus Smith zrozumiał położenie i, wiedząc, że ma do czynienia z ludźmi, nie lękającymi się prawdy, choćby najgroźniejszej, rzekł do towarzyszy:

— Oto idzie zagłada, której lękał się kapitan Nemo.

— A więc — zawołał Penkroff, zakładając ręce i uderzając nogą w ziemię — nie warto pracować nad wykończeniem statku.

— Penkroffie! — rzekł surowo Cyrus Smith — zawsze i do ostatniej chwili życia należy spełniać swój obowiązek.

W tej chwili strumień lawy, przedarłszy się przez piękne drzewa lasu, które skazywał na zniszczenie, posunął się ku wybrzeżom jeziora. Tu grunt był nieco podwyższony i gdyby wyniosłość ta była znaczniejsza, zdołałby może powstrzymać pęd biegnących w tę stronę strumieni lawy.

— Do roboty! — zawołał inżynier.

Towarzysze zrozumieli myśl jego; należało urządzić tamę, nie pozwalającą strumieniom lawy posunąć się dalej, i tym sposobem zmusić ją do spadania w jezioro.

Koloniści pobiegli do warsztatu; przynieśli stamtąd łopaty, rydle, siekiery i z pomocą obalonych drzew zbudowali

przeszkodę na trzy stopy wysoką i paręset długą. Pracy tej dokonali w kilka godzin, a zdawało im się, że trwała ledwie kilka minut, z takim pracowali zapalem.

Zaledwie tama stanęła, lawa dosięgła jej stóp, wydeła się jak rzeka grożąca wylewem i groziła przekroczeniem jedynej powstrzymującej ją zapory, gdyby ją przeszła, zalalaby cały Daleki Zachód... Szczęściem świeżo usypana zaporą zdołała ją powstrzymać, i po chwili strasznego wahania, chwili, która kolonistom wydała się wiekiem, lawa rzuciła się w jezioro Granta, spadając z wysokości dwudziestu stóp.

Kolonisci stali niemi, jakby przykuci do miejsca, wpatrując się w walkę dwóch żywiołów.

A jakże to strasznie wspaniały był widok, ta walka wody z ogniem!... Jakież pióro, jakież pendzel zdołałby odmalować tę podziwu godną, a przerażającą scenę!... Woda syczała, ulatniając się w zetknięciu z wrzącą lawą, para podnosiła się w powietrze do niezmierzonej wysokości, jak gdyby ktoś odkrył nagle pokrywę kotła. Lecz jakkolwiek jezioro zawierało ogromną ilość wody, jednak jej cała masa, jako niezasilana nową, musiała w końcu być pochłonięta przez lawę, która, wypływając z nieprzebranego źródła, miotła coraz nowe strumienie ognistych materii.

Pierwsze spadłe w jezioro strumienie lawy stwardniały niebawem i sterczały; po ich powierzchni toczyły się inne, także z kolei twardniejące i posuwające się ku środkowi. Tym sposobem utworzyła się jakby masa gruzu, grożąca zasypaniem jeziora, którego wody zamieniały się w parę. W powietrzu rozlegał się przerażający świst i syczenie. Gdzie przedtem była woda, teraz ukazywały się gromady dymiących skał, jak gdyby wydobywające się z łona ziemi.

Tym razem ogień zapanował nad wodą.

Szczęściem dla kolonistów strumienie lawy skierowały się do jeziora Granta, przez co uzyskiwali kilka dni zwłoki, a Płaszczyna Pięknego Widoku, Granitowy Pałac i warsztaty choć na pewien czas były ocalone. Należało korzystać, aby wykończyć i opatrzyć starannie okręt; następnie spuścić go na morze i tam szukać schronienia; później zaś będzie można zaopatrzyć go w liny, żagle i inne przyrządy. Nie podobna było pozostać dłużej na lądzie, skoro co chwila wybuch zagrożał wyspie, a owe tak pewne dotychczas schronienie w Granitowym Pałacu mogło niebawem zawrzec przed nimi granitowe ściany.

Przez sześć dni następnych, od 25 do 30 stycznia, koloniści tak posunęli roboty około ukończenia okrętu, jak gdyby pracowało nad tym dwudziestu ludzi. Zaledwie kilka chwil wypoczywali; płomienie, buchające z krateru, świeciły tak jasno, iż w nocy także mogli pracować. Wulkan wybuchał ciągle, ale mniej gwałtownie.

Zobaczymy, co się działo w zachodniej części wyspy.

Strumień lawy, spadający w szeroką dolinę rzeki Spadku, nie napotykał na swej drodze żadnej przeszkody, toteż ogniście potoki zalały las Dalekiego Zachodu. W tej porze roku gwałtowne upały wysuszają sok drzew, więc też las zapalił się nagle, ogień objął drzewa od dołu do szczytu i zdawało się, że pożar szerzy się gwałtowniej w górze, niż pęd lawy, oblewającej stopy drzew.

Przerażone zwierzęta, jaguary, dziki, kabie, lisy i przerażone ptactwo uciekały w stronę Mercy i bagnisk Tadorna, ku drodze, wiodącej do portu Balonu. Koloniści tak byli zajęci pracą, że nie zwracali żadnej uwagi na te groźne zwierzęta; opuścili Granitowy Pałac, a obozowali pod namiotem w pobliżu ujścia Mercy.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett wstępowali codziennie na płaszczyznę Pięknego Widoku. Harbert towarzyszył im niekiedy. Penkroff nigdy iść tam nie chciał, aby nie patrzeć na ogrom zniszczenia, jakiemu uległa jego ukochana wyspa.

W istocie smutny to był widok. Cała lesista część wyspy sterczała teraz naga; tylko na półwyspie Wężowatym utrzymała się kępka zielonych drzew. Tu i ówdzie sterczały okopcone i ogołocone z gałęzi szkielety. Lawa zniszczyła wszystko. Gdzie dawniej roztaczała się świeża zieleń, obecnie grunt pokryty był tufem wulkanicznym. Z dolin rzeki Spadku i Mercy nie spadała już do morza ani kropla słodkiej wody i, gdyby nie to, że jezioro Granta niezupełnie wyschło, koloniści nie mieliby czym ugasić pragnienia. Na szczęście, ocalał południowy skraj jeziora, i tu otworzył się jakby mały staw, w którym zebrała się cała ilość znajdującej się jeszcze na wyspie słodkiej wody.

Posępny to był i przejmujący widok! Jakże bolesny robił wrażenie na kolonistach!

— Serce pęka z bóleści! — rzekł raz Gedeon Spilett.

— Masz słuszność — odpowiedział inżynier. — Oby tylko Bóg pozwolił nam skończyć na czas ten statek; jest on dziś jedyną naszą deską ratunku.

— Czy zauważyłeś, Cyrusie, że wulkan zdaje się uspokajać? Wyrzuca jeszcze lawę, ale w mniejszej ilości.

— I cóż stąd, kiedy ogień zawsze równie gwałtownie wre we wnętrzościach góry, i woda morska lada chwila może się tam dostać! Jesteśmy w położeniu podróżnych, płynących na płonącym okręcie, którego ugasić nie mogą, a wiedzą, że czy prędzej czy później dostanie się do składu prochu. Ale chodź, Gedeonie, nie traćmy chwili czasu!...

Jeszcze przez osiem dni, to jest do 7 lutego, lawa nie przestawała płynąć, lecz wybuch utrzymywał się w dotychczasowych granicach. Cyrus obawiał się bardzo, aby ogniiste strumienie nie dostały się na wybrzeże, bo składy i warsztaty niewątpliwie uległyby zniszczeniu. W kilka dni później uczuli wyraźnie drganie w łonie wyspy, co ich bardzo zaniepokoiło.

Było już 20 lutego, a należało popracować jeszcze miesiąc, aby okręt mógł być spuszczonej na morze — lecz czy wyspa dotrwa do tego czasu?... Cyrus Smith zamierzał spuścić statek na morze, jak tylko pudło będzie zupełnie ukończone; pomost, urządzenie wewnętrzne i przyrządy mogły być później uzupełnione; szło głównie o to, aby koloniści mieli jak najprędzej zapewnione schronienie poza wyspą. Może trzeba będzie doprowadzić statek do portu Balonu, to jest jak najdalej od punktu wybuchu, gdyż w razie rozstąpienia się wyspy, przy ujściu Mercy, między wysepką a murem granitowym, mógłby zostać zdruzgotany.

Nadszedł 3 marca. Koloniści obliczyli, że za dziesięć dni będą już mogli spuścić statek na morze.

Nadzieja zaczęła wstępować w serca pracowników, którzy w tym czwartym roku pobytu na wyspie przetrwali tyle ciężkich prób. Nawet Penkroff zaczynał być mniej posepny i milczący, ochłonął nieco z utrapienia, w jakim pogrążyła go obawa o ukochaną wyspę. Co prawda, teraz myślał tylko o okręcie, w którym ześrodkowały się wszystkie jego nadzieje.

— Skończymy go na czas, panie Cyrusie! No! w najgorszym razie przezimujemy na wyspie Tabor. Ależ, Boże mój drogi! cóż to za zamiana!... Z wyspy Lincoln na wyspę Tabor... pomieniał stryjek, za siekierkę kijek!... Nigdy nie przypuszczałbym, że do tego przyjdzie!...

— Śpieszmy się! — powtarzał ciągle inżynier.
I pracowano bez wytchnienia.

— Panie mój — zapytał raz Nab inżyniera — proszę mi powiedzieć, czy wszystko to działałoby się, gdyby kapitan Nemo żył jeszcze?

— To nie ulega wątpliwości — odrzekł Smith.

— Nie wierzę w to — odparł Nab.

— I ja także — rzekł mu do ucha Penkroff.

W pierwszym tygodniu marca góra Franklina stała się znów bardzo groźna, krater znowu zapelniał się lawą, staczającą się ze wszystkich stron wulkanu. Główny potok zwrócił się teraz ku południowo-wschodniemu wybrzeżu jeziora Granta, przepłynął strumień Glicerynowy i zalał płaszczyznę Pięknego Widoku.

Był to straszny cios dla kolonistów: nie pozostało ani śladu z młyna i zabudowań gospodarskich. Przerażony drób rozleciał się na wszystkie strony. Top i Jow okazywali największe przerażenie; przeczuwali instynktem zbliżanie się strasznej katastrofy. Znaczna liczba zwierząt, znajdujących się na wyspie, znalazła śmierć podczas pierwszego wybuchu; pozostałe schroniły się na bagna Tadorna i na płaszczyznę Pięknego Widoku. Teraz zamknięty miały dostęp do tego ostatniego schronienia; strumień lawy przepłynął mur granitowy i zaczął splywać na wybrzeże. Nie ma słów na opisanie wspaniałej okropności tego widoku.

Kolonistom zagrażało straszne niebezpieczeństwo; na całej wyspie nie było już bezpiecznego miejsca na schronienie, toteż choć wyższe spojenia okrętu nie były jeszcze dostatecznie wykończone i opatrzone, postanowili puścić go na morze.

Penkroff i Ayrton zajęli się przygotowaniami do tej ważnej czynności, mającej nastąpić nazajutrz, dnia 9 marca.

Tymczasem w nocy z dnia 8 na 9 marca ogromny słup pary podniósł się z krateru wśród przerażającego huku i sięgnął trzech tysięcy stóp wysokości. Widocznie ściany groty Dakkara ustąpiły pod ciśnieniem gazu, i wody morza, wpadając nagle w ognistą przepaść głównym kominem, zamieniły się w parę, dla której krater nie przedstawiał dostatecznego ujścia. Wybuch tak głośny, że o sto mil można by go usłyszeć, wstrząsnął powietrzem, kawały góry spadły w Ocean Spokojny, i w przeciągu kilku minut fale morskie zalały miejscowość, na której istniała wyspa Lincolna.

ROZDZIAŁ LXII.

Odosobniona skała na Oceanie Spokojnym. — Ostatnie schronisko. — Niechybna śmierć. — Niespodziewana pomoc. — Dlaczego i skąd przybywa. — Ostatnie dobrodziejstwo. — Grób kapitana Nemo.

Odosobniona skała, mająca trzydzieści stóp długości a piętnaście szerokości, wystająca zaledwie na dziesięć stóp ponad morzem, to jedyny punkt oparcia, nieopanowany przez fale Oceanu Spokojnego — oto wszystko, co pozostało ze wspaniałego Granitowego Pałacu.

Ściany skał pochyliły się, a następnie rozpadły i niektóre skały dawnego salonu zgrupowały się i wytworzyły tę wyniosłość. Wszystko wokoło zapadło się w otchłań; niższy stożek góry Franklina, rozdarty wybuchem, szczęki zatoki Rekina, płaszczyna Pięknego Widoku, wysepka Ocalenia, granity portu Balonu, bazalty grotu Dakkara, długi półwysep Wężowaty, chociaż tak oddalony od miejsca wybuchu. Słowem, z całej wyspy Lincolna pozostała tylko wspomniana mała skała, służąca teraz za miejsce schronienia sześciu kolonistom i ich wiernemu psu.

Wszystkie zwierzęta zginęły w tej strasznej katastrofie, tak ptaki, jak inni przedstawiciele fauny wyspy Lincolna, nawet biedny Jow znalazł śmierć w jakiejś rozpadlinie.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Penkroff, Nab i Ayrton temu tylko zawdzięczali ocalenie, iż zgromadzeni pod namiotem rzuceni zostali w morze w chwili, gdy szczątki wyspy rozpryskiwały się na wszystkie strony.

Gdy dostali się na powierzchnię fal, jak okiem można było dojrzeć, zobaczyli tylko to nagromadzenie skał i, popłynąwszy w tę stronę, na nim szukali schronienia.

Tu znajdowali się od dziewięciu dni, a jedynym ich pożywieniem były zapasy żywności, które przypadkiem zostały im w kieszeniach przy przenosinach z Granitowego Pałacu, i trochę wody słodkiej, nagromadzonej podczas deszczu w rozpadlinie skały. Okręt, ta ostatnia ich nadzieja, uległ roztrzaskaniu; pozbawieni więc byli wszelkiej możliwości opuszczenia skały; nie mieli ognia, nie posiadali nic, co by go rozniecić pozwalało — czekała ich nieuchronna śmierć.

Działo się to 18 marca. Choć jedli tylko tyle, aby nie umrzeć z głodu, jednak już zaledwie na trzy dni mieli żywności. Żadna nauka, największy rozum w tym położeniu nie

mogły nic zaradzić, sam tylko Bóg mógł ich ocalić Swoją wszechmocnością.

Cyrus Smith był spokojny, Gedeon Spilett mocno rozdrażniony, a Penkroff zły i gniewny chodził po skale. Herbert nie odstępował inżyniera, wpatrywał się w niego nieustannie, jakby chcąc z twarzy wyczytać myśl zbawczą, jakby błagając o ratunek, którego Cyrus Smith dać już nie mógł. Nab i Ayrton spokojnie poddawali się losowi.

— Ach, to straszna rzecz! — zawołał Penkroff — gdybyż mieć choć najnędrniejszą łódkę, która by nas przewiozła na wyspę Tabor. Ale nie ma nic! nic! żadnej nadziei ratunku!

— Dobrze zrobił kapitan Nemo, że umarł! — rzekł raz Nab — nie doczekał tak ciężkiej doli!

Upłynęły cztery dni; Cyrus Smith i jego towarzysze nie mieli już żadnego pożywienia. Osłabienie wzmagало się z każdą chwilą; u Herberta i Naba zaczęły się już pokazywać objawy gorączki.

Czy mogli w takim położeniu ludzi się najslabszą iskierką nadziei?... Jakież pozostały im środki ocalenia?... Chyba gdyby okręt jaki przepływał w pobliżu skały, na której się znajdowali!... Ale wiedzieli dobrze, że okręty nie zapuszczają się w te strony, a czy można było przypuszczać, że szczególnym zrządzeniem Opatrzności jacht szkocki teraz właśnie nadpłynie, aby szukać Ayrtona na wyspie Tabor?... Było to prawie niepodobieństwem; a gdyby nawet tak się stało, to, ponieważ nie pozostawili tam dotąd zawiadomienia o zmianie, zaszelej w położeniu i postępowaniu Ayrtona, komendant jachtu, po daremnym poszukiwaniu na wysepce, popłynąłby z powrotem.

Nie, nie podobna było ludzi się nadzieją ocalenia, czekała ich na tej skale straszna śmierć z głodu i pragnienia! Jakoż leżeli już na niej bezprzytomni i jakby martwi, nie wiedząc, co się w koło nich dzieje. Jeden tylko Ayrton mógł jeszcze ostatnim wysiłkiem unosić niekiedy głowę i rozpaczliwym spojrzeniem ogarniał morze.

Aż oto 24 marca z rana Ayrton wyciągnął ręce ku jakiemś punktowi w przestrzeni, uniósł się nieco, najpierw na kolana, a następnie stanął prosto, jakby znak jakiś dając ręką...

W dali, wprost skały, ukazał się okręt i widać było, że nie przypadkiem zawinął w te strony, gdyż wyraźnie w prostej linii zmierzał ku rafie, będącej ostatnim schronieniem kolonistów. Płynął pośpiesznie, i gdyby nieszczęśliwi rozbitkowie

mieli dość sił, aby rozglądać się po widnokregu, dawno już spostrzegliby go.

— D u n c a n — wyszeptał Ayrton i padł bez zmysłów.

.

Gdy nareszcie, dzięki troskliwym staraniom, Cyrus Smith i jego towarzysze odzyskali przytomność, nie mogli pojąć, jakim cudem uniknęli śmierci i znajdują się w pięknej i wygodnej kajucie statku!

Ayrton objaśnił ich jednym słowem:

— D u n c a n !

— D u n c a n ! — powtórzył Cyrus Smith a, wznosząc ręce do nieba, zawołał: — O Boże miłosierdzia! dzięki Ci za to cudowne ocalenie!

Tak, był to rzeczywiście D u n c a n, jacht lorda Glenarvana, którego dowódcą był Robert, syn kapitana Granta. Wysłano go na wyspę Tabor w celu wyszukania i zabrania Ayrtona po dwunastu latach pokuty.

A więc koloniści byli ocaleni i wracali do ojczyzny!

— Kapitanie Robercie — zapytał Cyrus Smith — gdy nie znalazłeś Ayrtona na wyspie Tabor, skąd przyszła ci myśl płynąć o sto mil dalej w kierunku północno-zachodnim?

— Chciałem zabrać stamtąd nie tylko Ayrtona, ale ciebie, panie Smith, i twoich towarzyszy — odpowiedział kapitan.

— Co? Mnie i moich towarzyszy?

— Tak jest, w tym celu płynąłem do wyspy Lincolna.

— Do wyspy Lincolna! — powtórzyli z niewymownym zadziwieniem Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Penkroff.

— Skąd wiedziałeś o istnieniu wyspy, skoro nie jest oznaczona na żadnej mapie? — zapytał inżynier.

— Dowiedziałem się o niej z notatki, którą pozostawiliście na wyspie Tabor — odrzekł kapitan.

— Z notatki? — zawołał zdziwiony reporter.

— A no tak! — odpowiedział Robert Grant, pokazując im notatkę, określającą doskonale długość i szerokość geograficzną, oraz położenie wyspy Lincolna, na której zamieszkują obecnie Ayrton i pięciu kolonistów amerykańskich.

— To pisał kapitan Nemo!... — zawołał Cyrus Smith, przeczytawszy notatkę, pisaną tym samym charakterem, co kartka, znaleziona w owczarni.

— Aha! — krzyknął Penkroff — więc to on zabrał wtedy naszego Bonawenturę i nie wahał się sam jeden popłynąć aż na wyspę Tabor!...

— Aby tam zostawić to zawiadomienie — dorzucił Harbert.

— Miałem więc słusność, utrzymując, że nawet po śmierci kapitan wyświadczy nam jeszcze ważną ostatnią przysługę — mówił dalej Penkroff.

— Przyjaciele! — rzekł Cyrus Smith głosem głęboko wzruszonym — módlmy się do Boga, aby przyjął do Swej chwały duszę kapitana Nemo!

W tej chwili Ayrton zbliżył się do inżyniera, zapytując z prostotą:

— Gdzie mam złożyć tę skrzyneczkę?

Była to szkatułka z kosztownościami, którą Ayrton ocalił z niebezpieczeństwem życia i teraz oddawał inżynierowi.

— Ayrtonie! pocziwy Ayrtonie! — zawołał, ściskając go, rozrzuwiony Cyrus Smith a, zwracając się do Roberta Granta, dodał:

— Kapitanie, zamiast pozostawionego tu winowajcy znalazłeś pocziwego człowieka, który długoletnią pokutą i uczciwym postępowaniem zmasał popełnioną winę. Dumny jestem, mogąc ucisnąć jego dłoń.

Teraz opowiedzieli kapitanowi Grantowi osobliwą historię kapitana Nemo i kolonistów wyspy Lincolna, poczem kapitan wydał rozkazy i popłynął z powrotem do zamieszkałego świata.

We dwa tygodnie później koloniści wylądowali w Ameryce. Po kilku latach oddalenia zastali ją uspokojoną i potężną; zablizniły się już rany, zadane wojną domową; słusność i sprawiedliwość zwyciężyły.

Za część klejnotów, przekazanych kolonistom przez kapitana Nemo, nabyto i urządzono znaczne posiadłości w stanie Jowa, a najpiękniejszą i najdrogocenniejszą perłę przesłano w darze lady Glenarvan, jako upominek od rozbitków, uratowanych i powróconych ojczyźnie przez Duncana.

Zajawszy swoje posiadłości, koloniści zawezwali do wspólnej pracy, a tym samym zapewnili szczęście i dobrobyt wszystkim tym, których pierwotnie zamierzali sprowadzić na wyspę Lincolna. Utworzyli rozległą kolonię i nadali jej nazwę ulubionej swojej wyspy, zaginionej w nurtach Oceanu Spokojnego. Płynącą tam rzeczkę nazwano Mercy,

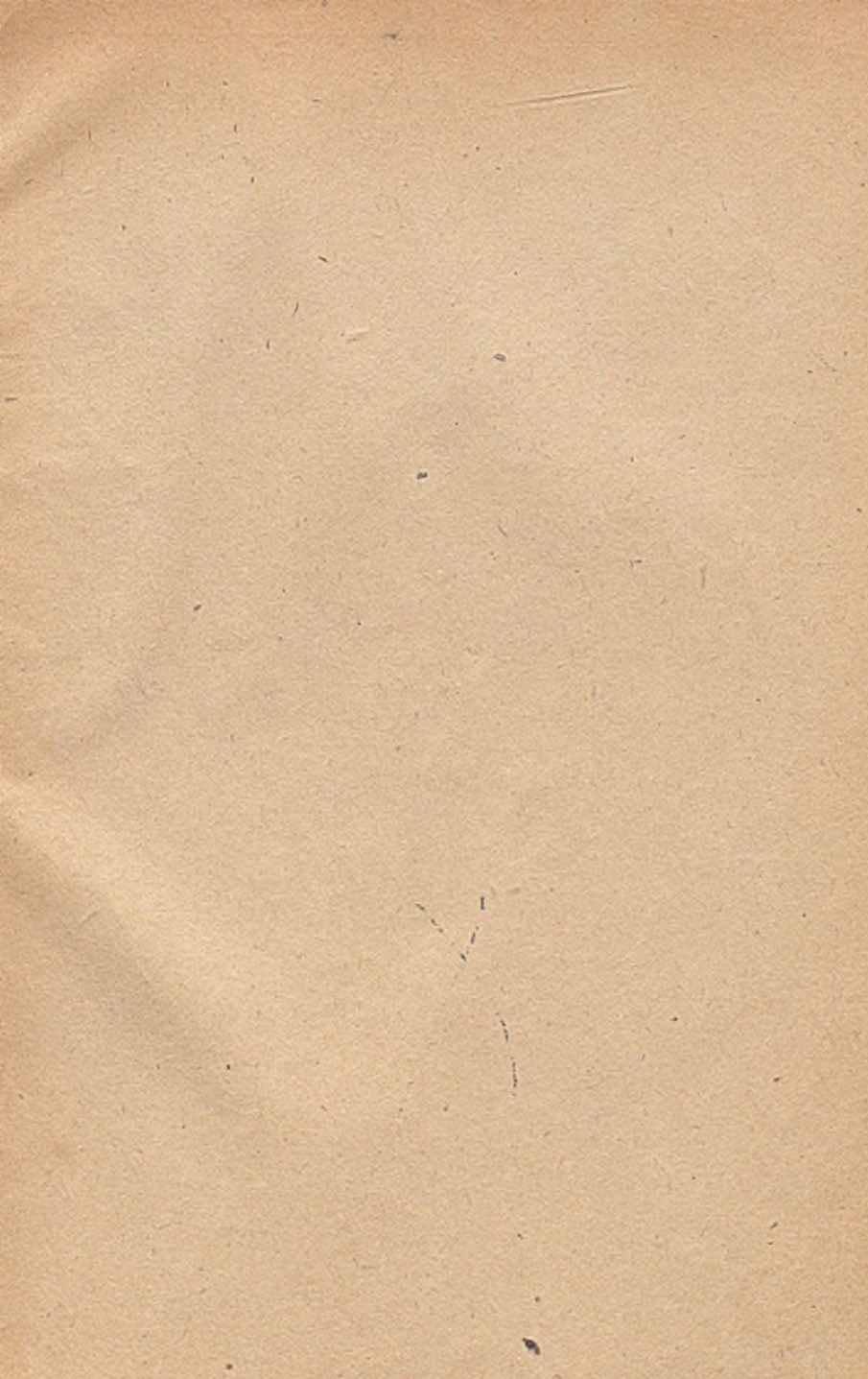
górcę sterczącą od południa — górą Franklina, małe jezioro — jeziorem Granta, otaczające lasy — lasami Dalekiego Zachodu. Była to więc wyspa na kontynencie.

Dzięki rozumnemu kierunkowi inżyniera i gorliwej pracy jego towarzyszy, nowa kolonia rozwijała się bardzo pomyślnie. Dawni koloniści wyspy Lincolna przysięgali sobie, że się nigdy nie rozłączą — wszyscy więc byli razem. Nab chciał żyć i umierać tam, gdzie ukochany jego pan! Ayrton nie pomijał żadnej sposobności poświęcenia się dla towarzyszy. Penkroff zapomniał prawie o morzu i był doskonałym rolnikiem Cyrusa Smitha, a Gedeon Spiletta założył najlepszą na świecie gazetę p. t. „New-Lincoln-Herald“.

Ale zawsze żalowali zagłady wyspy Lincolna, której wspomnienie nigdy nie zatarło się w ich sercach. Czy mogli zapomnieć, jak wiele jej zawdzięczali?... Zostali tam rzućni biedni i pozbawieni wszelkich zasobów, a jednak cztery lata przeżyli swobodnie, i nie brakowało im niczego; tam znaleźli opiekę kapitana Nemo, którego dar zapewnił wszystkim przyszłość; tam nauczyli się pracować i przekonali się, że praca i nauka w najtrudniejszych nawet położeniach mogą stać się arką wybawienia... A dziś z tej pięknej wyspy pozostał tylko odłam granitu, sterczący wśród fal Oceanu Spokojnego, w którego otchłaniach znajduje się grób tego, który nosił miano kapitana Nemo.

KONIEC.





1997-01-10

05.05.1999

2009-09-02

2011-03-21

2013-09-09

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

sp. 13503